

# Zwierciadło piekieł

Masterton Graham



calibre 0.9.43

**Graham Masterton**

**Zwierciadło piekieł**

**Przełożyła Paulina Braiter**

**Wydanie oryginalne: 1988**  
**Wydanie polskie: 1992**

**TMN**

*A Francois Truchaud  
Merci, mon ami!*

# 1.

Morris Nathan uniósł do oczu złożone niby lorgnon okulary przeciwsłoneczne i z zadowoleniem przyjrzał się swej czwartej żonie krążącej leniwie po basenie na materacu.

– Martin – rzekł – powinieneś oszczędzać energie. Nikt, ale to nikt nie będzie chciał zrealizować filmu o Boofulsie. Jak myślisz, czemu do tej pory ktoś się tym nie zajął?

– Może nikt o tym nie pomyślał? – zasugerował Martin. – Albo i pomyślał, ale uznał to za zbyt oczywiste. Dla mnie jednak to naturalne. Złotowłosego chłopczyka ze stanowego sierocińca w Idaho staje się światową gwiazdą. I to w niecałe trzy lata.

– Tak, jasne – zgodził się Morris. – Po czym zostaje porąbany na więcej kawałków, niż liczy sobie przeciętna układanka.

Martin odstawił szklanę.

– No cóż, zgadza się. Ale wszyscy o tym wiedzą, to znaczy stanowi to część podstawowej legendy, toteż nie pokazują jego śmierci. Żadnych plastycznych szczegółów. Widzimy tylko, jak odjeżdża ze studia tego ostatniego wieczoru. Trochę przypomina to *Butcha Cassidy* i *Sundance Kida*. Pamiętasz tamto zakończenie.

Morris opuścił okulary i przyjrzał mu się z namysłem.

– Wiesz co, Martin? Przez długi czas oszukiwałem się, że żenię się dla intelektu, czy uwierzysz? Konwersacja, dowcip, głębia – tego szukałem w kobiecie. A przynajmniej wmawiałem sobie, że tego właśnie pragnę. Trzy moje pierwsze żony miały ukończone studia. No, pamiętasz Sherri, tę trzecią? Pytam się, kto mógłby ją zapomnieć? Ale potem, pewnego dnia, już po naszym rozwodzie, przeglądałem album z fotografiami i zdałem sobie sprawę z tego, że wszystkie moje żony miały jedną wspólną cechę i nie był to bynajmniej intelekt. Odwrócił się i miłośnie spojrział na dwudziestodwuletnią rudowłosą kobietę w skąpym szydełkowym bikini, zataczającą krąg za kręgiem na zmarszczonej bryzie powierzchni basenu. – Bufory. Oto, dlaczego ją poślubiłem. I byłem głupcem, wstydząc się przed sobą do tego przyznać. Zupełnie jak faceci, którzy kupują *Playboya* wmawiając sobie, że to tylko dla artykułów. – Otarł usta wierzchem dłoni. – Zgoda, to infantylne. Ale to mi się właśnie podoba. Bufory.

Martin osłonił oczy ręką i zerknął na kobietę w basenie.

– Czyli tym razem dokonałeś dobrego wyboru?

– No jasne. Bo Alison ma figurę bez rozumu. Jeśli odejmiesz jej iloraz inteligencji od obwodu biustu, otrzymasz liczbę trzycyfrową. I możesz mi wierzyć, że jeśli kiedyś jeszcze spotkam babkę, która na mnie podziała, będzie to jedyna interesująca mnie statystyka.

Martin odczekał chwilę przed powrotem do tematu Boofulsa. Nie chciał, aby Morris pomyślał sobie, że nie ciekawi go Alison, znikomość jej inteligencji ani ogrom biustu. Podniósł do ust swoją wódkę z sokiem pomarańczowym, wolno wysączył łyk, po czym z powrotem odstawił ją na biały stół

z lanego żelaza.

– Mam tu streszczenie, gdybyś chciał rzucić na nie okiem – zaproponował, odchrząkując.

Morris wolno potrząsnął głową.

– Martin, to trucizna. Wszyscy producenci, o których jestem w stanie pomyśleć, zniechęcą ten pomysł. Jest na nim piętno Kaina, cała ohyda spraw Fatty’ego Arbuckle’a, Lupe Yeles czy Sharon Tate. Zapomnij o tym. Wszyscy inni już dawno to zrobili.

– Wciąż jednak czasami wieczorem pokazują jeszcze w telewizji *Gwiżdżącego Chłopca* – nalegał Martin. – Niemal każdy, kogo zapytasz, pamięta co najmniej dwie linijki „Heartstrings”, nawet jeśli nie wie, kto pierwszy to śpiewał.

Morris milczał przez długą chwilę. Para kalifornijskich przepiórek z trzepotem wylądowała na dachu basenowej przebieralni zbudowanej w stylu Tudorów, zaczęła ćwierkać i rozglądać się za prążonymi fistaszkami. W końcu powiedział:

– Martin, jesteś dobrym scenarzystą. Pewnego dnia zostaniesz bogatym scenarzystą, oczywiście jeżeli dopisze ci szczęście. Ale jeśli będziesz łaził po Hollywood, próbując wepchnąć komuś akurat ten temat, to skończysz jako żaden autor, zero, bo nikt nie zechce się z tobą zadawać. Zrób sam sobie przysługę i zapomnij o tym, że Boofuls kiedykolwiek istniał.

– Daj spokój, Morris, to idiotyczne. To jakby upierać się, że nigdy nie było Shirley Tempie.

– Niezupełnie. W końcu Shirley Tempie nie została zarębana na śmierć przez swoją babkę, prawda?

Martin zwinął scenariusz w rulon i uderzył nim w dłoń.

– Nie wiem, Morris. To coś, co naprawdę chciałbym zrobić. Jest w tym absolutnie wszystko. Piosenki, taniec, sentymentalna historyjka.

Alison przypląnęła do brzegu i wspięła się na krawędź basenu. Morris obserwował ją wzrokiem dobrotliwego posiadacza; poczerwieniałe od słońca ręce splótł na brzuchu niczym Budda.

– Czyż nie jest świetna? – zwrócił się do całego świata.

Martin skinął ku niej głową.

– Jak leci?

Alison uściśnęła wyciągniętą dłoń, ochlapując wodą jego i scenariusz.

– W porządku, dzięki. Choć wydaje mi się, że chyba zaczyna mi się łuszczyć skóra na nosie. Jak myślisz?

– Powinnaś używać olejku, kwiatuszku – odparł Morris.

Alison była bardzo ładna, tym specjalnym rodzajem pustej urody. Zadarty, piegowaty nos. Bledozielone oczy. Szeroki, z dentystycznego punktu widzenia bezbłędny uśmiech.

I naprawdę ogromne piersi, każda równie duża jak jej głowa, ledwo mieszczące się w szydełkowym staniczku bikini. Po krótkich obliczeniach Martin doszedł do wniosku, że jej iloraz inteligencji wynosił 29, plus minus parę centymetrów.

– Zostaniesz na obiedzie? – zapytała Alison. – Będzie tylko jogurt i owoce. Wiesz – moja linia i brzuszki Morriego.

Martin pokręcił głową.

– Przyszedłem tylko pokazać Morrisowi mój nowy scenariusz.

Alison zachichotała i nachyliła się, aby pocałować Morrisa w pomarszczone, szkarłatne czoło.

– Mam nadzieję, że mu się spodobał. Zrędził dziś caaały dzień.

– Niespecjalnie. Tak naprawdę, to wzbudził jego żywą niechęć.

– Och, Morry – nadąsała się Alison.

Morris wydał z siebie długie, przeciągłe westchnienie.

– Martin napisał scenariusz o Boofulsie.

Alison skrzywiła się z dziecinnym niesmakiem.

– Boofuls? Nic dziwnego, że Morry’emu się to nie podobało. To takie okropne. To ma być horror?

– Nie – wyjaśnił Martin, starając się zachować cierpliwość. – Musical oparty na jego życiu.

Chciałem opuścić to, co się zdarzyło na końcu.

– Ale jak chcesz to zrobić? – niewinnie zapytała Alison. – No wiesz, jeśli mówisz „Boofuls”, to jest to jedyna rzecz, jaką się pamięta. To znaczy, co się z nim w końcu stało.

Morris wzruszył ramionami, jakby potwierdzało to ostatecznie jego opinię. Jeśli dziewczyna tak tępa jak Alison uważała, że scenariusz na temat Boofulsa to okropny pomysł, to co tu mówić o Paramouncie? Albo M-G-M, gdzie Boofuls kręcił swój ostatni, nie dokończony film w dniu, kiedy został zamordowany?

Martin dopił drinka i wstał.

– Chyba będę leciał. Muszę jeszcze skończyć tę przeróbkę *Drużyny A*.

Morris z powrotem opadł na swój materac, a Alison przysiadła na jego grubym, włochatym udzie.

– Słuchaj – powiedział. – Nic mogę ci zabronić, żebyś próbował sprzedać ten pomysł. Moja rada jednak brzmi: nie rób tego. Nic dobrego z tego nie będzie, a może ci to bardzo zaszkodzić. Jeśli jednak będziesz próbować, nie mieszaj mnie do tego. Zrozumiałeś?

– Jasne, Morris – odparł Martin świadomie wyważonym tonem. – Rozumiem. Dzięki za poświęcenie mi cennego czasu.

Przeciął świeżo podlany trawnik, idąc w stronę tylnej bramy. Jego wyblakły mustang koloru mosiądzu zaparkowany był w cieniu eukaliptusa tuż za furtką. Rzucił scenariusz na przednie siedzenie, wsiadł i uruchomił silnik.

– Morris Nathan, arbiter dobrego smaku – powiedział na głos, hałaśliwie wykręcając w Mulholland Drive. – Boże, chroń nas od agentów i wszystkich ich spraw.

\* \* \*

Podczas jazdy do mieszkania na Franklin Avenue słuchał ścieżki dźwiękowej ze *Słonecznej serenady*, ostatniego musicalu Boofulsa, podkręciwszy głośność magnetofonu do oporu. Kiedy zatrzymał się na światłach przy końcu Mulholland, dwie piegowate od słońca nastolatki na rowerach spojrzały na niego ciekawie, po czym zachichotały. Przeciągle smyczki orkiestry studia M-G-M i wysoki piskliwy głos Boofulsa śpiewającego „Zmieć pokruszone promyki słońca” nie były raczej muzyką, jakiej można by oczekiwać w samochodzie szczupłego trzydziestoczterolatka w okularach, ubranego w wypłowiałą kraciastą koszulę i wytarte dzinsy.

– Może zatańczymy? – żartobliwie zaproponowała jedna z nich.

Obdarzył ją skąpym uśmiechem i potrząsnął głową. Wciąż jeszcze czuł wściekłość na Morrisa za tak całkowite zmiążdżenie jego projektu. Kiedy pomyślał o niektórych beznadziejnych pomysłach Morrisa, nie mógł nawet w części pojąć, czemu agent uznał Boofulsa za taką potworność. Na miłość boską, zrobiono przecież filmy m. in. o Jamesie Deanie, zawale Patricii Neal i raku kości Teda Kennedy’ego. I to ma być dobry smak? Co było takiego odstręczającego w Boofulsie?

Z piskiem zdartych opon zjechał z Bulwaru Zachodzącego Słońca. Zaparkował na ulicy, bo właściciel domu, pan Capelli, zawsze wolał na noc wstawić swego dziesięcioletniego lincolna do garażu, w obawie, by ktoś go nie porysował, by nie opadł nań pyłek z kwitnących drzew lub przelatujący ptak nie ośmielił się zapaskudzić go częściowo strawionym ziarnem. Za plecami gospodarza Martin nazywał lincolna „Mafiamobil”.

Na górze, w niewielkim mieszkaniu, brudna filiżanka i talerze po śniadaniu i kolacji wciąż jeszcze leżały nietknięte w kuchennym zlewie, dokładnie tak, jak je zostawił. Był to jeden z aspektów samotnego życia, do którego ciągle jeszcze nie mógł przywyknąć. Przez otwarte drzwi sypialni widać było zmiętoszoną pościel na łóżku, w którym sypiał teraz sam, i wielki plakat pod szkłem z *Gwiżdżącego Chłopca*, pierwszego musicalu Boofulsa. Przeszedł do pustego, pomalowanego na biało pokoju stołowego. Stała tam jedynie samotna staroświecka sofa, obita gobelinem, i szare stalowe biurko przy oknie. Jane zabrała całą resztę. Po prostu wmaszerowali wraz z jej nowym przyjacielem i wynieśli wszystkie rzeczy, podczas gdy Martin nie przerywał pisania.

Facet miał nawet czelność postukać w biurko i zapytać Jane:

– To też chcesz?

Nie podnosząc wzroku znad dziesiątej wersji kolejnego odcinka *Drużyny A*, Martin swym akcentem Johna Wayne’a odparł:

– Dotknij go tylko, frajerze, i jesteś trupem!

Odejście Jane przyniosło ze sobą natychmiastową ulgę.

Koniec regularnego współzawodnictwa w krzykach, koniec napięć i konfliktów charakteryzujących ich małżeństwo. Umożliwiło to mu również kontynuowanie pracy przez cały dzień i pół nocy bez żadnych przeszkód. Dzięki temu właśnie zdołał ukończyć scenariusz *Boofulsa* w cztery dni. Po trzech tygodniach zaczynał sobie jednak zdawać sprawę z tego, że praca to zdecydowanie nie wszystko. Może Jane była wymagająca, niezręczna i uparta, przynajmniej jednak miał kogoś inteligentnego, z kim mógł pogadać i podzielić się przeżyciami, kogo mógł się trzymać. Co za sens miało samotne siedzenie przed telewizorem, popijanie wina i towarzyszący oglądaniu kolejnej komedii śmiech, na który odpowiadało jedynie echo?

Martin położył odrzucony scenariusz na biurko. Stała na nim jedynie IBM-owska elektryczna maszyna do pisania, stos papieru i czarno-białe reklamowe zdjęcie Boofulsa w mosiężnej oprawie. Zdjęcie było podpisane: „Dla Moiry, z pozdrowieniami od Boofulsa”. Martin znalazł tę fotografię w „Reel Thing”, sklepie z filmowymi pamiątkami na Bulwarze Hollywoodzkim. Nie miał pojęcia, kim mogła być Moira.

Ścianę nad biurkiem od sufitu do podłogi pokrywały zdjęcia, plakaty, listy i wycinki, wszystkie związane z Boofulsem. Oto Boofuls tańczący z Jenny Farr w *Słonecznej serenadzie*. Boofuls w ubranku marynarskim, Boofuls w makiecie aeroplanu w *Tańcu w chmurach*. Autentyczny list od prezydenta Roosevelta z podziękowaniem za podniesienie ducha ogółu dzięki piosence: „Marsz, marsz, marsz Ameryko!” I pożółkła tytułowa strona *Los Angeles Times* z soboty 19 sierpnia 1939 roku: „Boofuls zamordowany. Kochająca babcia ćwiartuje dziecięcą gwiazdę, a sama się wiesza.”

Przez długą chwilę Martin stał, wpatrując się w te nagłówki. Nagle z rozdrażnieniem zdarł gazetę ze ściany i zmiął ją w kulę. Jednak gniew minął mu prędko. Ostrożnie rozłożył dziennik na biurku i wygładził go dłonią.

Zawsze, nawet gdy był małym chłopcem, zachwycały go hollywoodzkie musicale z lat trzydziestych. Pomysł napisania musicalu *Boofuls!* wykuł się w jego umyśle tego samego dnia, kiedy zajął się scenopisaniem (cudowny, dawno miniony pierwszy tydzień, gdy sprzedał Glenowi A. Larsenowi *Faceta na dnie*). *Boofuls!* przez cztery lata lśnił gdzieś w oddali – złocista wizja, jedyna szansa na sławę i chwałę. *Boofuls!* – musical napisany przez Martina Williama. Rzecz jasna, nie potrafił napisać muzyki, nie było jednak takiej potrzeby. Boofuls nagrał ponad czterdzieści własnych piosenek, w większości autorstwa Glazera i Hansona. Każda piosenka była błyskotliwa, przebojowa, a większość z nich całkowicie zapomniano, toteż jakiegokolwiek studio mogło je kupić bardzo tanio. W opinii Martina *Boofuls!* stanowił gotowy hit, a nikt o tym jeszcze nie pomyślał.

Morris Nathan miał nasrane w głowie. Był po prostu zazdrosny, bo nie wpadł sam na ten pomysł, a także dlatego, że Martin wykazał pierwsze objawy samodzielności twórczej. Morris wolał pokornych autorów. To dlatego ludzie tacy jak Stephen J. Cannell czy Mort Lachman zawsze przychodzili do niego z przeróbkami. Autorzy Morrisa, jeśli się im każe, przerobią scenariusz odcinka i sto razy, nigdy nie protestując. A przynajmniej nie na głos. Tacy galernicy Hollywood.

Chociaż nigdy nie pracowało mu się dobrze, kiedy się napił, Martin podszedł do parapetu i odkorkował dwulitrową butelkę czerwonego chardonnay, trzymaną na uczczenie entuzjastycznego przyjęcia *Boofulsa* przez Morrisa Nathana. Nalał sobie pełną szklankę i wypił od razu połowę. Morris Nathan. Co za szuja.

Nachylił się nad przenośnym magnetofonem kasetowym Sony, jedynym sprzętem, jaki zostawiła mu Jane, i przewinął do początku „Gwiżdżącego Chłopca”. Znowu zabrzmiały przeciągłe smyczki, dobrze znany wstęp, i wreszcie głos dawno już nie żyjącego dziecka zaczął śpiewać:

*Tyle razy gdzieś zmykałeś  
I robiłeś nie te rzeczy.  
Tyle razy chwytal cię strach.  
Lecz nie śmiałeś myśleć o łzach.  
Byłeś – Gwiżdżącym Chłopcem!*

Martin oparł się o okno i wyrzał na sąsiednie podwórze, składające się w głównej mierze z basenu otoczonego jaskrawą zielenią sztucznego trawnika. Maria znów tam była na swoim dmuchanym materacu. Jej nos i sutki ochraniały papierowe krążki. Maria pracowała jako kelnerka w koktajl-barze Hyatta na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Nazywała się Bocanegra i miała uda jak Carmen Miranda. Martin zaprosił ją kiedyś na randkę, piętnaście sekund przedtem, nim zza rogu domu wyłonił się potężny latynoski kulturysta o twarzy poznaczonej śladami po ospie, który objął ją ramieniem, wyszczerzył zęby do Martina i zapytał:

– Como la va, hombre?

Martin wydusił z siebie krótkie „*Hasta luego*” i to był początek i koniec pięknego związku.

Sącząc wino pomyślał o powrocie do przeróbki Drużyny A, jednak wczucie się w ostatnie szaleńcze wybryki Murdocka było bardzo trudne, gdy czuł takie przygnębienie z powodu *Boofulsa*. Wyszeptał do wtóru taśmy:

– „Byłeś – Gwiżdżącym Chłopcem!”

W tym momencie zadzwieczał telefon. Przez chwilę pozwolił mu dzwonić. Domyślał się, że to najprawdopodobniej Morris, który chce się dowiedzieć, kiedy będzie gotowy scenariusz. Biorąc pod uwagę, jak się w tej chwili czuł, odpowiedź brzmiała: w styczniu 2010. Wreszcie jednak Martin odwrócił się od okna i podniósł słuchawkę.

– Halo? Martin Williams.

– Cześć, Martin! – odpowiedział mu entuzjastyczny głos. – Tak się cieszę, że udało mi się ciebie złapać! Tu Ranione!

– O, cześć Ramone. – Ranione pracował za ladą w „Reel Thing”, sprzedając wszystko, od pamiątkowych programów z premiery *Przeminęło z wiatrem* do kolczyków Idy Lupino. To właśnie Ramone, bardziej niż ktokolwiek inny, pomógł mu skompletować unikalną kolekcję pamiątek po Boofulsie.



– Słuchaj, Martin, mam tu coś naprawdę ciekawego. Dziś rano przyszła do sklepu pewna kobieta i powiedziała, że ma na sprzedaż cały komplet mebli.

Martin odchrząknął.

– Pewnie, przydałyby mi się jakieś meble. Myślałem jednak raczej o wycieczce do magazynu meblowego w Burbank. Nie stać mnie na żadne antyki.

– Nie, nie, zupełnie nie łapiesz, o co chodzi. Ta kobieta kupiła część umeblowania starego domu Boofulsa. Rozumiesz, po śmierci dzieciaka odbyła się licytacja i sprzedano wszystko: zasłony, stoły, noże i widelce. Nawet całe jedzenie z lodówki. Wyobraź sobie, co za świr chciałby zjeść lody zamordowanego dziecka?

– I co? Ta kobieta kupiła część mebli?

– Może nie osobiście, tylko jej mąż, ojciec czy ktoś taki. W każdym razie ma – pozwól mi sprawdzić, zrobiłem sobie spis – ma dwa fotele, barek, kanapę, cztery taborety i lustro.

– Masz zamiar to dla niej sprzedać?

– Nie, meble to nie moja działka. A poza tym – sam wiesz – poza tobą nikt inny nie jest raczej zainteresowany Boofulsem. Poradziłem jej, żeby dała ogłoszenie do gazety. Może jakiś zboczeniec się zainteresuje.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że też jestem zboczeńcem?

– Daj spokój, stary, wiem, że jesteś w porządku. Powinieneś zobaczyć gości, co przychodzą tu pogrzebać w bieliźnie Carole Landis, czy inne tego typu sprawy.

– Jasne, chętnie obejrzałbym te meble, ale naprawdę nie mam akurat na zbyciu gotówki.

– To już twoja sprawa – odparł Ramone. – Jeśli jednak jesteś zainteresowany, kobieta nazywa się pani Harper i mieszka na Hillrise pod numerem 1334. Nic się nie stanie, jeżeli rzucisz na nie okiem.

– Dobra, chyba masz rację. Dzięki, że o mnie pomyślałeś.

– Nie ma sprawy, stary. Ilekroć słyszę nazwisko Boofuls, natychmiast myślę o tobie.

– Mam nadzieję, że to komplement.

– *De nada* – odpowiedział Ramone i rozłączył się.

Martin skończył wino. Wiedział, co powinien zrobić – zasiąść sumiennie do maszyny, wkręcić w nią kartkę papieru i zabrać się za pisanie *Drużyny A*. Choćby się nawet nie zgadzał z Morrisem i jakkolwiek był urażony jego reakcją na *Boofulsa*, był to jednak przedsiębiorczy agent o doskonałych kontaktach, który dawał mu możliwość zarabiania piórem. Całkiem możliwe, że jeżeli Martin nie skończy do jutra tej przeróbki, Morris nigdy już nie zdoła sprzedać jego roboty Stephen J. Cannell Productions.

Ale, do cholery, był tak zniechęcony i tak miał dosyć pisania błyskotliwego, bezsensownego dialogu. Wyprawa na Hillrise Avenue, mająca na celu obejrzenie autentycznych mebli Boofulsa, mogła być właśnie tym, czego potrzebował dla podtrzymania się na duchu. Nawet samo dotknięcie ich to już byłoby coś: dotknąć tych właśnie mebli, na których siadywał mały Boofuls. Sprawiłoby to, że Boofuls wydałby się bardziej realny, a Morris Nathan bardziej ulotny – w tym momencie zaś Martin nie był w stanie wymyśleć lepszego lekarstwa.

\* \* \*

Hillrise Avenue to ulica stromo wznosząca się za Zbiornikiem Hollywoodzkim. W 1952 roku tutejsze domy stanowiły awangardę, obecnie zaczynały pojawiać się na nich oznaki zaniedbania i zniszczenia. Hillrise była jedną z tych okolic, które jakoś nigdy nie stały się modne i teraz z rezygnacją niszczały, stanowiąc ewentualną szansę zysku dla jakiegoś sprytnego handlarza

nieruchomości.

Martin zaparkował swego mustanga z tylnymi kołami dotykającymi krawężnika i wysiadł. Roztaczał się stąd rozległy widok na dalekie Los Angeles, przesłonięte smogiem, z bliźniaczymi nagrobkami Century City wznoszącymi się ponad pokrywą dymu. Wspiął się na strome betonowe schody prowadzące do numeru 1334, płosząc jaszczurkę, która umknęła w trawę.

Dom miał kształt kwadratu, a kolor truskawki. Balkon w hiszpańskim stylu obiegał go naokoło. Otaczający ogród był suchy i zapuszczony. Chwasty porastały ścieżki, a krzewy juki w większości sprawiały wrażenie chorych. Daszek nad frontowym gankiem pokrywała gruba warstwa martwego, wysuszonego bluszczu, nad wszystkim zaś unosiła się woń uszkodzonej kanalizacji.

Nacisnął dzwonek. Dźwięk zabrzmiał ostro, nagłaco, lecz jakby daleko, niczym kobieta krzycząca na sąsiedniej ulicy. Martin szurnał swymi sportowymi butami Nike i czekał, aby ktoś wreszcie otworzył. „Tyle razy chwycił cię strach” zaśpiewał cichutko. „Byłeś – Gwiżdżącym Chłopcem!”

Drzwi frontowe otwarły się i na ganek wyszła drobna kobieta około sześćdziesiątki. Miała białą, wytapirowaną fryzurę i bawełnianą sukienkę mini. Jej twarz ozdabiały podwójne sztuczne rzęsy, z których jedna przekrzywiła się dziko w kąciku oka, i bladopomarańczowa szminka. Wyglądała, jakby nie zmieniała stroju ani makijażu od czasu ukazania się „Sierżanta Peppera”.

Martin był tak zaskoczony, że zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Kobieta wpatrywała się w niego, mrużąc lewe oko, aż wreszcie zapytała:

– Ta-a-ak? Pan coś sprzedaje?

– Ja, eee...

– Nic nie widzę. – Kobieta rozejrzała się wokół. – Żadnych szczotek, encyklopedii ani Biblii. Chce pan umyć mój samochód, czy o to chodzi?

– Tak naprawdę, to przyszedłem w sprawie mebli – wyjaśnił Martin. – Pani jest panią Harper, prawda? Zadzwoił do mnie Ramone Perez z „Reel Thing”. To mój przyjaciel. Wie, że interesuję się Boofulsem.

Pani Harper spojrzała na niego, pociągając nosem i szczypiąc się w policzek.

– Naprawdę? Jeśli rzeczywiście interesuje pana Boofuls, to wydaje się, że jest pan jedyną taką osobą w całym Hollywood. Woziłam moje meble do wszystkich domów aukcyjnych i sklepów z filmowymi pamiątkami, jakie tylko mogłam znaleźć, i zawsze była ta sama historia.

– Tak? – spytał Martin, pragnąc dowiedzieć się, co to była za historia, która zawsze się powtarzała.

– Cóż – skrzywiła się pani Harper. – To makabryczne, oto, co mówili. No, wie pan, teraz jest popyt na rzeczy związane z filmem. Trumna, w której leżał Bela Lugosi, kiedy pierwszy raz grał Draculę. Ta sama śruba, która przechodziła przez szyję Borisa Karloffa. Ale nikt nawet nie tknie mebli biednego małego Boofulsa.

Martin odczekał chwilę, pani Harper jednak najwidoczniej nie zamierzała z własnej woli powiedzieć nic więcej.

– Zastanawiam się, czy może mógłbym wejść i obejrzeć.

– Z zamiarem zakupu? – zapytała ostro pani Harper, po czym zamrugała lewym okiem, zacisnęła powiekę i dodała: – Przekłęte rzęsy! To nowy rodzaj. Nie mam pojęcia, co ma je trzymać na miejscu. Jeśli mnie pan spyta, to myślę, że chyba butapren. One... podwijają się w górę. Widywałam stonogi, które zachowywały się lepiej. I to żywe stonogi.

Wprowadziła Martina do holu. Unosiła się tam kwaśna woń, a samo wnętrze sprawiało przygnębiające wrażenie, choć kiedyś zostało urządzone w najnowszym, bajecznym stylu lat sześćdziesiątych. Podłogę pokrywała kudłata biała wykładzina, skołtuniona niby futro podstarzałego

Yeti. Zasłony były kolorowe, w żółte, pomarańczowe i fioletowe psychodeliczne zygzaki, zaś naokoło pokoju stały ustawione w prostokąt białe skórzane krzesła na czarnych nogach ze złotymi stopami. Był tam nawet biały stereofoniczny gramofon z automatyczną zmianą płyt, który natychmiast skojarzył się Martinowi z Beatlesami, Beach Boysami i licealnymi prywatkami. Przez krótki, przejmujący moment wydało mu się, że znów ma szesnaście lat.

– Jestem wdową – powiedziała pani Harper, jakby poczuła konieczność wyjaśnienia, dlaczego wewnątrz jej domu stanowi muzeum najnowszej mody sprzed lat dwudziestu. – Arnold zmarł w 1971 roku, i to wszystko... po prostu przypomina mi go.

Martin skinął głową na znak, że rozumie. Pani Harper dodała:

– Jemu też nie podobały się meble Boofulsa. Naprawdę ich nie cierpiał. Kupił je jego ojciec, tuż przed wojną. Widzi pan, jego ojciec urządzał właśnie dom, pojechał na licytację i kupił je – no bo były takie tanie. Dopiero potem ktoś mu powiedział, do kogo przedtem należały. A co więcej... stały właśnie w tym pokoju, w którym biednego małego Boofulsa – no, wie pan – załatwiono. Co za okropna rzecz. Wie pan, to nawet straszliwsze niż Charles Manson, bo przecież ona porąbała to kochane maleństwo niczym... nawet nie chcę o tym myśleć. I, co gorsza, wszyscy inni też nie chcą.

– Czy moglibyśmy... eee, obejrzyć je? – zapytał Martin.

– Ależ oczywiście. Są w piwnicy. Nie ujrzały światła dziennego od dnia, w którym dostaliśmy je od ojca Arnolda. Arnold wcale ich nie chciał, ale jego ojciec nalegał. Arnold nigdy nie potrafił się przeciwstawić swojemu ojcu. No, niewielu ludzi to umiało. Straszny był z niego tyran.

Pani Harper poprowadziła go do kuchni. Wspięła się na palce, odsłaniając przy tym tak wiele kościstej nogi, że Martin musiał odwrócić wzrok, i zaczęła macać po górnej półce szafki w poszukiwaniu klucza do piwnicy.

– Wie pan, powinnam to wszystko sprzedać i przeprowadzić się do San Diego. Mieszka tam moja siostra. Ten wielki stary dom to taki kłopot.

Otworzyła piwnicę i zapaliła światło. Martin zawahał się przez chwilę, po czym podążył za nią stromymi drewnianymi schodami. Tu, na dole, woń nieczystości była jeszcze silniejsza, mieszał się też z nią zapach wyschłego drewna i kotów.

– Teraz ostrożnie – ostrzegła pani Harper. – Dwa ostatnie stopnie są spróchniałe. Mieliśmy tu termity, wie pan. Arnold mawiał, że zjedzą cały dom na naszych oczach.

– I nie tknęły mebli?

– Niech mnie pan nie pyta, czemu. – Przez moment światło padło na jej szponiastą dłoń o różowych paznokciach, wspartą o poręcz. – Zjadły za to prawie całą resztę. Nawet trzonek łopaty Arnolda. Nigdy tego nie zapomnę. Cały cholerny trzonek. Ale nawet nie ruszyły mebli. Ani ociupinę. Może i termity mają szacunek dla zmarłych.

– Tak, może mają – przytaknął Martin, zerkając w głąb mrocznej piwnicy.

Pani Harper wskazała przed siebie.

– Tu stoją, za bojlerem.

Martin zaczął rękawem o stare chomąto zawieszona na haku przy schodach. Wyplątanie się zajęło mu krótką chwilę, zanim jednak się uwolnił, pani Harper zniknęła już w mroku za bojlerem.

– Pani Harper?

Nikt nie odpowiedział. Martin po omacku przesunął się kawałek do przodu. Bojler zrobiony był z ciężkiego lanego żelaza – jeden z tych staroświeckich typów – i wydawało się, że widać na nim szyderczo uśmiechniętą twarz o oczach z miki.

– Pani Harper?

Ostrożnie obszedł bojler i zobaczył ją. Strach uniósł mu włosy na karku, bowiem pani Harper

unosila się trzy stopy nad ziemią, przerażająco pochyłona. Jej białe, wytapirowane włosy lśniły niczym ogromny kokon jakiejś gigantycznej ćmy.

– Aaa! – krzyknął, w tym samym jednak momencie kobieta odwróciła głowę i pojał, że spogląda na jej odbicie, zaś prawdziwa pani Harper całkiem normalnie stoi za jego plecami.

– Przepraszam – powiedziała bez specjalnego współczucia. – Czyżbym pana wystraszyła?

– Nie, ja... – Martin gestem wskazał na zwisające z sufitu lustro.

– No cóż. – Pani Harper uśmiechnęła się i zatarła ręce. – To było lustro Boofulsa. Właśnie to lustro, które widziało jego śmierć.

– Bardzo ładne. – Martin zaczął zastanawiać się, czy rzeczywiście przyjazd tutaj i oglądanie starych mebli Boofulsa były naprawdę takim dobrym pomysłem. Może jednak nuda łącząca się z przepisywaniem scenariusza *Drużyny A* miała w sobie coś pozytywnego. Pewne wspomnienia lepiej zostawić w spokoju.

– Fotele i kanapa są tu, z tyłu. – Pani Harper pociągnęła za róg pokrowca, odsłaniając mroczny zarys eleganckiej stylowej sofy i dwóch fotelików, stanowiących razem z nią komplet. Meble były empirowe, złocone z seledynowymi satynowymi obiciami, przybrudzonymi i poplamionymi wilgocią – efekt długich lat spędzonych w piwnicy pani Harper. Martin przyglądał im się w ciemnościach.

– Czy ma pani tu może jakieś dodatkowe światło? – zapytał.

– Cóż, jest tu gdzieś latarka... – wycodziła pani Harper. Z tonu jej głosu jasno wynikało, że bynajmniej nie ma ochoty iść jej szukać.

– Nie trzeba – odparł Martin. – Widzę je dostatecznie dobrze. A tam, czy to barek? – wskazał na duży rokokowy mebel z rżniętymi kryształowymi szybkami, częściowo ukryty pod pokrowcem.

– Zgadza się. Nadal jeszcze są tam wszystkie oryginalne karafki, z plakietkami z czystego srebra. Gin, whisky, brandy. Nie to, żeby Boofuls kiedykolwiek pił, nie w jego wieku.

Wydało jej się to bardzo zabawne i parsknęła piskliwym, urywanym śmiechem.

Martin podszedł do mebli z mieszaniną obawy i fascynacji. Pogładził dłonią oparcie kanapy i pomyślał: „Boofuls naprawdę tu siedział.” Przeżycie było znacznie bardziej niepokojące, niż się tego spodziewał. Wycinki prasowe i zdjęcia to co innego – były płaskie i dwuwymiarowe. Sam Boofuls nigdy nie miał ich w ręku. To jednak były jego meble. Jego własne fotele. Lustro, które z pewnością wisiało nad jego kominkiem. Prawdziwe, dające się dotknąć przedmioty. Do Martina przemawiały one z równą siłą co koszule Hitlera, rubinowe klapki Judy Garland czy różowe kapelusiki Jackie Kennedy. Stanowiły dowód, że legenda była kiedyś rzeczywistością, że Boofuls naprawdę istniał.

Przez dłuższy czas stał w milczeniu, z rękami na biodrach, wdychając powietrze o zapachu stęchłych trocin.

– Mówiła pani, że nikt nie był zainteresowany ich nabyciem – odezwał się w końcu.

– Nie powiedziałam, że nikt nie chciał ich kupić – sprostowała pani Harper. – Po prostu nikt nie wydawał się zainteresowany wzięciem ich w komis. Przypuszczam, że chodziło o niewielki zysk.

Martin przytaknął i rozejrzał się wokół. Dwa fotele – na nich zależało mu chyba najbardziej. Fotele i lustro. Wyglądałoby rewelacyjnie na ścianie w pokoju stołowym, w miejsce wszystkich tych wycinków, fotografii i listów – i sprawiałoby o wiele lepszy efekt. Zamiast mówić: „A tak, to moja kolekcja reklamowych zdjęć Boofulsa”, mógłby oznajmić: „A, to właśnie to lustro, które wisiało w salonie u Boofulsa, kiedy został zamordowany.” Szok! Zgroza! Zawieść!

– Eee... ile chciałaby pani za całość? – spytał od niechcienia. – Fotele, lustro, kanapa, barek, taborety. Gdybym tak zdecydował się uwolnić panią od nich?

– Cóż, nie miałabym nic przeciw temu – odrzekła pani Harper, głaszcząc oparcie złoconej sofy. Mlasnęła językiem o sztuczne zęby. Jej rzęsy zatrzepotały niczym oszołomione ćmy.

– Ile? – powtórzył Martin, myśląc o 578 dolarach spoczywających na jego koncie w Security Pacific. Z pewnością nie będzie chciała więcej niż pięć stów za te kilka zużytych mebli z lat trzydziestych. Może nawet dopłaci mu za wywóz.

Pani Harper zastanawiała się przez chwilę z ręką przyciśniętą do czoła.

– No, nie wiem – powiedziała. – Słyszałam już tyle różnych ocen ich wartości. Niektóre bardzo wysokie, inne bardzo niskie. Ale pan jest prawdziwym fanem Boofulsa, autentycznym wielbicielem. I, wie pan, byłoby doprawdy świństwem podać panu zawyżoną cenę – szczególnie że stara się pan, aby pamięć o nim nie zginęła.

Martin wzruszył ramionami i szurnął nogą.

– To naprawdę uprzejmie z pani strony. Nie chciałbym jednak narażać pani na straty.

– O to niech się pan nie martwi. Dla mnie osobiście najważniejsze jest, aby rzeczy Boofulsa znalazły kochający dom.

Martin uniósł wzrok na zwierciadło. Teraz, gdy jego oczy przystosowały się do ciemności, mógł dostrzec szczegóły złoczonej ramy. Było to dość spore lustro – długie na sześć stóp, a wysokie prawie na pięć – które z pewnością wisiało niegdyś nad kominkiem. Po bokach były wyrzeźbione bujne sploty winorośli. Szczyt wieńczyła szyderczo uśmiechnięta złoczona twarz, przypominająca Bachusa albo bożka Pana. Samo szkło było w jednym rogu odbarwione i poplamione, pozostała powierzchnia odbijała jednak twarz Martina z taką czystością, że tworzyło to niemal złudę rzeczywistości, jakby zamiast na odbicie spoglądał na drugiego siebie. Nic dziwnego, że tak zaskoczyła go unosząca się w powietrzu pani Harper.

Sięgnął ręką i dotknął lustra, czując pod palcami chłód szklanej powierzchni, przez prawie dwadzieścia lat nie tkniętej promieniami słońca. Jak czuje się lustro, nie mając nic, co mogłoby odbijać? Nikogo, kto by się do niego uśmiechał, układał przed nim włosy. Żadnego pokoju, któremu mogłoby się przyglądać, żadnych przelotnych obrazów toczącego się obok życia. „Lustra są samotne”, napisał kiedyś Tennyson.

– Siedem tysięcy – powiedziała pani Harper. – Co pan na to?

– Przepraszam? – spytał całkowicie zaskoczony Martin.

– Siedem tysięcy za wszystko – powtórzyła. – To najniżej jak mogę zejść.

Martin potarł kark. Nie ma mowy. Nawet jego samochód nie był tyle wart.

– Przykro mi – odparł. – To więcej, niż mogę sobie pozwolić. Obawiam się, że nie jestem Aaronem Spellingiem.

– Naprawdę, taniej już nie mogę. I tak byłyby warte znacznie więcej, nawet gdyby nie należały do Boofulsa.

– Cóż, w takim razie trudno – rzekł Martin z rezygnacją. – W każdym razie dziękuję, że pozwoliła mi pani rzucić na nie okiem. Przynajmniej mam teraz jakieś pojęcie o tym, jak urządzony był pokój Boofulsa. Może mi to bardzo pomóc przy moim scenariuszu.

– A na ile pana stać? – spytała pani Harper.

Martin uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nic w okolicach siedmiu tysięcy. Nawet nie tysiąc. Pięć setek, to wszystko.

Pani Harper rozejrzała się.

– Myślę, że za pięćset dolarów mogłabym sprzedać panu taborety.

– Byłaby pani skłonna sprzedać poszczególne rzeczy oddzielnie?

– No, nie miałam takiego zamiaru. Ale skoro jest pan aż takim wielbicielem...

– Czy sądzi pani, że mógłbym kupić za tę sumę lustro? Najbardziej zależałoby mi na nim.

Pani Harper wydeła usta.

– Wcale nie jestem co do tego przekonana. To lustro to coś naprawdę specjalnego. Oryginalny francuski okaz – tak mi powiedział ojciec Arnolda.

– Jest bardzo piękne – zgodził się Martin. – Doskonale mogę je sobie wyobrazić, jak wisi u mnie w mieszkaniu.

– Może siedemset pięćdziesiąt? – zasugerowała pani Harper. – Da pan radę?

Martin odetchnął głęboko.

– Mogę zapłacić pani pięćset teraz i resztę w przyszłym miesiącu.

Nie zostawiało mu to zbyt wiele na życie, lecz jeśli skończy dziś wieczór tę przeróbkę *Drużyny A* i może poprosi Morrisa o parę dodatkowych fuch – cokolwiek, nawet *Czyste szaleństwo* czy *Srebrne łyżeczki*...

Pani Harper długą chwilę stała w milczeniu, po czym powiedziała:

– Dobrze. Pięćset teraz i dwieście pięćdziesiąt do końca przyszłego miesiąca. Tylko niech pan na pewno zapłaci. Nie chcę żadnych kłopotów. Niech pan pamięta, że też mam adwokatów.

Martin znalazł starą skrzynkę po owocach i przeciągnął ją przez całą piwnicę, aby stojąc na niej dosięgnąć lustro. Świętej pamięci Arnold Harper powiesił je na dwóch wielkich mosiężnych hakach, mocno wkręconych w belki stropowe znajdującego się nad piwnicą saloniku. Martin delikatnie opuścił lustro, uważając, żeby nie stuknąć złoconą ramą o podłogę. Było przeraźliwie ciężkie i zanim ostrożnie ułożył je na ziemi, cały się spocił. Pani Harper obserwowała go z dobrotliwym uśmiechem, nie objawiając jednak żadnej chęci pomocy.

– Co za cudowna rzecz, prawda? – zagadnęła, przeglądając się i strosząc napuszoną fryzurę. – Teraz już nie robi się takich luster.

Martin stwierdził, że nie jest dość silny, by podnieść lustro i wnieść je po schodach, opatulił zatem jedną z krawędzi pokrowcem i przeciągnął je po podłodze. Następnie, zdyszany, krok po kroku wwindował je po drewnianych schodach aż do holu. Prawie pięć minut zajęło wymanewrowanie go przez piwniczne drzwi do kuchni. Pani Harper stała w połowie schodów i przyglądała się, nadal nie oferując pomocy. Martin niemal żałował, że kupił ten przeklęty przedmiot. Ręce drżały mu z wysiłku, na jednym policzku rozmasał sobie brud. Brakło mu tchu.

– Jeśli pan chce, może pan podprowadzić wóz pod dom – zaproponowała pani Harper. Był to jej jedyne wkład. Martin skinął głową, nadal opierając się o jedną z kuchennych szafek.

– Przyjmie pani czek?

– Oczywiście. Tak długo, jak ma pan pokrycie. To w końcu pieniądze, prawda? Tak mawiał Arnold.

Po kolejnych dziesięciu minutach Martin zdołał przewlec lustro przez drzwi kuchenne i wpakować je na tylne siedzenie mustanga. Pani Harper zgodziła się pożyczyć mu pokrowiec do lustro, pod warunkiem, że zaraz go odwiezie.

– Obiecuję – przyrzekł jej. – Oddam go natychmiast.

Gdy powoli zjeżdżał Hillside w dół, pani Harper stała na schodach i machała mu czekiem. Spoglądając na nią we wstecznym lusterku pomyślał, że jak na kogoś, kto właśnie sprzedał kosztowny antyk po okazji niskiej cenie, wyglądała na nieco zbyt z siebie zadowolona. Prawdopodobnie zażądała dwa razy więcej, niż to lustro było w rzeczywistości warte.

Mimo wszystko był teraz właścicielem autentycznego lustro, które ozdabiało kiedyś kominek Boofulsa. Może przyniesie mu szczęście. Nucąc „Kwiaty Tuscaloosy” wolno wiozł swój zakup na Franklin Avenue.

Pan Capelli wrócił już do domu i pomógł Martinowi wnieść lustro na górę. Był to człowiek niewysoki i krągły, o łysej głowie i okularach, które wyglądały, jakby zrobiono je z dwóch szklanych korków.

– Nie powinienem nosić nawet koszyka z zakupami – mamrotał do siebie. – Mój lekarz mnie zabije.

– Panie Capelli, nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem panu wdzięczny – powiedział Martin. – To lustro należało niegdyś do Boofulsa. Naprawdę. Wisiało nad kominkiem w jego saloniku w Bel Air.

Pan Capelli, krzywiąc usta, przyjrzał się uważnie niesionemu przedmiotowi.

– To było własnością Boofulsa? Właśnie to lustro?

– Dokładnie to. W dodatku, kiedy jego babka zabijała go, prawdopodobnie to właśnie lustro odbijało całą scenę.

Pan Capelli wzdrygnął się.

– Niedobrze. Nie powinieneś trzymać u siebie czegoś takiego.

– To przecież tylko lustro, panie Capelli.

– Teraz tak mówisz. Ale wiesz, co u nas, na Sycylii, zawsze robiła moja babka? Kiedy tylko ktoś umarł, szła do jego domu i tłukła wszystkie lustra. To dlatego, że ilekroć spogląda się w lustro, zabiera ono malutką, maciupęnką część duszy. Więc żeby czyjaś dusza mogła po śmierci w całości powędrować do nieba, należy koniecznie zbić wszystkie lustra należące do tej osoby, uwalniając w ten sposób to, co jej ukradły, kiedy jeszcze żyła.

Martin wsunął ręce w kieszenie dzinsów i uśmiechnął się.

– Jak się nazywa ta słynna włoska wędliną? – zapytał.

– Mortadela – odparł pan Capelli.

– Nie, nie, ta druga. Taka duża, gładka.

– Mielonka.

– Dokładnie! Takie mielenie językiem.

– Hej! Nie mówi się do mnie w ten sposób! – warknął pan Capelli. – A może chcesz jeszcze raz wnosić to sam na górę?

– Już dobrze, przepraszam. – Martin położył dłoń na ramieniu gospodarza. – Naprawdę świetnie będzie wyglądało. Mieszkanie wyda się dwa razy większe.

– Hmm – powiedział tamten. – Może powinienem podwoić ci czynsz.

Akurat w tym momencie wnuczek pana Capelli, Emilio, wybiegł z mieszkania gospodarzy, żeby sprawdzić, co za hałas słyhać na schodach. Chłopiec miał pięć lat, proste czarne włosy, oliwkową cerę i wielkie oczy, jakby żywcem wzięte z sentymentalnego obrazka przedstawiającego smutne szczenię. Jak tylko stwierdził, że niosą lustro, zaczął stroić do niego miny.

– Teraz lepiej – skomentował Martin, gdy Emilio zrobił zęza i palcem rozpląszczył sobie nos.

– Hej, mówisz do mojego wnuka – zaprotestował pan Capelli. – To przystojny chłopak.

– Tylko dlatego, że nie wrodził się we własnego dziadka – odparował Martin, szczerząc zęby.

– Potrójny czynsz!

– Uważaj, Emilio – ostrzegł Martin. – To lustro jest naprawdę ciężkie. Nie chcesz chyba, żeby cię zgmiotło.

– A właśnie, że chcę! – odparł zuchwale Emilio.

– To się da zrobić – wymamrotał Martin.

Gdy pan Capelli poszedł do siebie, Martin ostrożnie zdjął wszystkie Boofulsowskie zdjęcia i wycinki, po czym z hałasem przeciągnął lustro do ściany przy biurku. Po jego bokach odkrył cztery metalowe wkrety, po dwa z każdej strony, służące niegdyś do dokładnego zamocowania haków lustra na ścianie nad paleniskiem. Martin pogrzebał w szufladzie, aż wreszcie znalazł cztery dwucalowe śruby i z pół tuzina gwoździ. Jane zabrała jego elektryczną wiertarkę, ale ściana była dość miękka, toteż udało mu się wydlubać w gipsie cztery dziury za pomocą śrubokrętu.

Prawie godzinę zabrało mu umocowanie lustra. Kiedy jednak wreszcie wisiało już na swoim miejscu, cofnął się i spojrzał na nie z podziwem, ani przez chwilę nie żałując, że wydał na nie całe swoje oszczędności, nawet jeśli pani Harper oszwabiła go na dwieście czy trzysta dolarów. Warto było. Ze swą złoconą ramą i lśniąca powierzchnią lustro dodawało mieszkaniu jakby nowy wymiar, przestrzeń i światło.

Nalał sobie kieliszek wina i usiadł za biurkiem. Portret zdolnego młodego scenarzysty, zakładającego kartkę papieru do maszyny. Portret młodego zdolnego scenarzysty, który nadaje właśnie kształt następnej serii Drużyny A.

Pracował przez całe popołudnie. Powoli słońce zaczęło zniżać się na niebie, cał po cału wyslizgując się z pokoju i oświetlając sąsiedni budynek. W końcu promienie dotykały już tylko czubków najwyższych palm na ulicy.

*B.A.: Przysięgam, jeżeli ten świr nie przestanie, rozerwę go na kawałki.*

*Hannibal: Daj spokój, B.A., rozmawiamy tu o współpracy. Ramię przy ramieniu.*

Było dobrze po siódmej, gdy Martin wyłączył maszynę i wyprostował się na krześle. Wiedział, że będzie musiał przerobić scenę, w której Hannibal przebiera się za mnicha, poza tym jednak właściwie skończył. Szczególnie zadowolony był z fragmentu, gdzie Murdock zaczyna żonglować kulami bilardowymi, a B.A. niechętnie przyłącza się do niego. Nabazgrał w notatniku: „Czy Mr. T potrafi żonglować? Jeśli nie, to czy da się go nauczyć? Czy istnieją dobrzy czarni żonglerzy? Muszą być jacyś! A co, jeśli nie? Czy jakiś biały żongler będzie mógł przyczernić ręce i stanąć a jego plecami?”

Nalał sobie kolejny kieliszek. Może jego szczęście miało się jednak odwrócić. Może coś z powodzenia Boofulsa wypromieniuje z jego lustra i pobłogosławi robotę Martina.

Uniósł kieliszek i patrząc na swoje odbicie powiedział na głos:

– Na zdrowie!

I właśnie wtedy ujrzał w lustrze biało-niebieską dziecinną piłkę, która wpadła przez otwarte drzwi, potoczyła się przez pokój i zamarła na środku parkietu.

Spojrzał na nią wstrząśnięty, czując ten sam dreszcz co wcześniej, gdy zobaczył panią Harper unoszącą się w powietrzu.

– Emilio? – zawołał. – Czy to ty?

Nie było odpowiedzi. Martin odwrócił się i ponownie zawołał:

– Emilio!

Wstał z krzesła z zamiarem podniesienia piłki, ale jeszcze w trakcie tej czynności zorientował się, że już jej tam nie ma.

Marszcząc brwi podszedł do drzwi i uchylił je szerzej. Korytarz był pusty, drzwi frontowe zamknięte na klucz.

– Emilio, co ty, u diabła, wyprawiasz?

Zajrzał do sypialni. Nikogo. Pootwierał nawet szafy. Nic, tylko brudne koszule i szorty, czekające na pranie, i rakietka tenisowa, która domagała się zmiany naciągu. Sprawdził w łazience, potem w



kuchni. Nie licząc jego samego, mieszkanie było puste.

– Halucynacje – rzekł do siebie. – Chyba zaczynam się sypać.

Wrócił do pokoju stołowego i podniósł swój kieliszek. I zastygł, ustami prawie dotykając szkła. *Biało-niebieska piłka wciąż była w lustrze, na środku podłogi, w tym samym miejscu co poprzednio.*

Martin wpatrzył się w nią, po czym szybko obejrzał się na prawdziwy pokój. Ani śladu piłki. Ale przecież była tam, w odbiciu, doskonale widoczna i całkiem normalna.

Ostrożnie ruszył naprzód. Obserwując swe odbicie w lustrze schylił się i spróbował podnieść piłkę, lecz w prawdziwym pokoju nic tam nie było, w lustrzanym zaś jego ręka po prostu przeszła przez nią, jakby była całkowicie niematerialna.

Trzy lub cztery razy starał się ją uchwycić i machał ręką dokładnie w miejscu, gdzie powinna się znajdować. Dalej nic. Najdziwniejsze jednak było to, że gdy uważnie obserwował odbicie swej ręki, wydało mu się, jakby to nie piłka była złudą, a jego własne palce. Jakby piłka była prawdziwa, a jego lustrzane odbicie – jedynie zjawą.

Podszedł blisko i dotknął jego powierzchni. Nie było w niej nic niezwykłego. Po prostu chłodne szkło. A jednak piłka ciągle tam leżała, niezależnie od tego, czy było to złudzenie, gra światła czy cokolwiek innego. Wpatrzony w nią usiadł na krześle. Dalej nie chciała zniknąć.

Po półgodzinie wstał i udał się do łazienki wziąć prysznic. Kiedy wrócił, piłka nadal tam była. Nie spuszczać z niej wzroku skończył wino. Oznaczało to porannego kaca, teraz jednak nie miał zamiaru się tym przejmować.

– Czym ty, u diabła, jesteś? – zapytał piłki.

Przycisnął policzek do lustra po lewej stronie, starając się zajrzeć w odbicie korytarza, by sprawdzić, czy nie różni się od oryginału. „Dom po Drugiej Stronie Lustra”, pomyślał. Wraz z tą myślą powróciły do niego wszystkie dziecięce strachy. Czy gdyby można było przejść przez lustro, korytarz byłby taki sam? Czy był tam zupełnie inny świat, nie po prostu odwrócony, ale niepokojąco odmienny?

Na półce z książkami stał *zaczytany egzemplarz O tym, co Alicja odkryła po Drugiej Stronie Lustra*, który dostał od Jane w czasach ich pierwszych spotkań. Wyjął go teraz i, utworzywszy, niemal natychmiast odnalazł na wpół zapomniane słowa.

Alicja spoglądała w zwierciadło nad kominkiem w salonie i zastanawiała się nad tym, jak wygląda pokój, który widać po drugiej stronie.

*„Jest zupełnie taki sam jak nasz salon, tylko że wszystkie rzeczy stoją po przeciwnej stronie. Mogę go obejrzyć w całości, kiedy wejdę na krzesło... nie widzę tylko tego kącika, tuż za kominkiem. Och! Och, jak bardzo chciałabym zobaczyć ten kącik! Tak bardzo chciałabym wiedzieć, czy mają oni tam zimą ogień na kominku: nie można tego stwierdzić, wiesz, chyba że nasz kominek zacznie dymić, a wtedy dym zaczyna kłębić się i w tamtym pokoju, ale to może być przecież tylko na niby, żeby wyglądało, że oni też tam mają ogień. No cóż, książki podobne są tam do naszych książek, tyle tylko, że słowa biegną w złym kierunku; wiem o tym, bo przyłożyłam jedną z naszych książek do lustra, a wtedy oni w tamtym pokoju też to zrobili z jedną ze swoich. Oto jest korytarz. Jeśli otworzysz drzwi naszego salonu, zobaczysz matusieńki skrawek korytarza w Domu po Drugiej Stronie Lustra: i jak głęboko wzrok sięga, jest on bardzo podobny do naszego korytarza, tylko, wiesz, tam dalej może być zupełnie inny.”\**

Martin zamknął książkę. Piłka ciągle tam była. Przez długi czas stał, wpatrując się w nią, po czym zgasił lampę na biurku, tak że pokój pogrążył się w całkowitym mroku. Odczekał chwilę i znów zapalił światło. Piłka w lustrze nadal tkwiła w miejscu.

– Cholera – powiedział i po raz pierwszy w życiu poczuł, że przytrafiło mu się coś, nad czym nie ma żadnej kontroli.

Gdyby mu naprawdę zależało, mógłby sprawić, żeby Jane do niego wróciła – a przynajmniej tak sądził. Gdyby pisał wszystkie idiotyczne scenariusze, jakie starał się mu wcisnąć Morris, mogłoby lepiej mu się powodzić. Ale zawsze był w stanie sam o takich sprawach decydować. Ta piłka to zupełnie co innego. Przedmiot, który istniał jedynie jako odbicie w lustrze, a nie w rzeczywistości?

– Cholera – powtórzył. Zgasił światło i ciężkim krokiem skierował się do sypialni. Zrzucił czerwony flanelowy szlafrok i nagi wgramolił się na kozetkę. Już miał zgasić boczną lampkę, kiedy naszła go pewna myśl. Poczłapał z powrotem do pokoju stołowego i zamknął drzwi. Jeżeli coś było nie w porządku z tym lustrem, nie chciał, by cokolwiek z niego wylazło i rzuciło się na niego w środku nocy.

To irracjonalne, zgoda; był jednak zmęczony i trochę pijany, a dawno już minęła północ.

Naciągnął kołdrę aż pod brodę, choć i tak było mu za gorąco, i spróbował zasnąć.

\* \* \*

Zbudził go dźwięk, brzmiący jak śmiech dziecka. Uniósł głowę nad poduszką i pomyślał: „Przeklęty Emilio; czemu te dzieciaki zawsze muszą zrywać się o bladym świetle?” Wtedy jednak ponownie usłyszał ten śmiech. Zdecydowanie nie dochodził on z dołu. Wydawało się, że dobiega z jego własnego pokoju stołowego.

Usiadł na łóżku, wstrzymując oddech i nasłuchując. Znowu. Głos śmiejącego się chłopca. Słysząc też jednak było dziwne echo, jakby dziecko bawiło się w dużej, pustej sali. Martin spojrzał na zegarek wbudowany w radio. Do świtu jeszcze daleko: była 3.17 nad ranem.

Zapalił światło, mrugając gwałtownie oczami nieprzywykłymi do jaskrawego blasku. Znalazł swój szlafrok i wcisnął go na siebie na lewą stronę, tak że zamiast przewiązać, musiał cały czas podtrzymywać go ręką. Nadstawiając uszu, podszedł do drzwi stołowego pokoju.

Nasłuchiwał prawie przez minutę, po czym spytał sam siebie: „Czego się boisz, frajerze? To twoje własne mieszkanie, twój własny pokój, a jedyne, co słyszysz, to dziecko.”

Obliznął wargi i otworzył drzwi do pokoju. Natychmiast sięgnął do wyłącznika i zapalił główne światło, kierując jednocześnie wzrok na lustro.

Nie było tam nikogo. Żadnego roześmianego chłopca. Tylko on sam, wymięty i blady, w szlafroku na lewą stronę. Tylko biurko z maszyną, półka z książkami i zdjęcie Boofulsa.

Wolno podszedł do lustra. Dostrzegął tylko jedną zmianę, choć nawet sobie nie mógłby tego udowodnić. Białoniebieska piłka zniknęła.

Spojrzał na lustrzane drzwi, do połowy otwarte, i kawałeczek korytarza za nimi. „*Jak głęboko wzrok sięga, jest on bardzo podobny do naszego korytarza, tylko, wiesz, tam dalej może być zupełnie inny.*”

„Jak inny?” – pomyślał Martin, czując suchość w ustach. Jak inny? Bo jeśli do odbitego pokoju wpadła w podskokach piłka, to musiał też być ktoś, kto ją rzucił; a jeśli zniknęła, to znaczy, że podczas jego snu ktoś musiał wejść do pokoju i zabrać ją.

– O Boże. – Przełknął ślinę. – Boże, spraw, żeby to nie był Boofuls.

## 2.

Henry Polowski, portier w Metro-Goldwyn-Mayer przysięgał, że kiedy Boofuls odjeżdżał tego wieczoru w sierpniu 1939 roku, przycisnął twarz do tylnego okna swej limuzyny i przez jedną przerażającą sekundę wyglądał niczym trupia czaszka. Biały jak kość, z czarnymi dziurami oczodołów i wyszczerzonymi gołymi zębami. Henry aż krzyknął.

– Śmiejecie się, ile chcecie, ale to było prawdziwe jasnowidzenie – powiedział reporterom, którzy przez całą noc tłoczyli się wokół hollywoodzkiej komendy policji. – Ja to widziałem, a jeżeli mi nie wierzycie, to jest to wasz problem, nie mój.

– Czy powiedział pan o tym komukolwiek? – spytała Lydia Haskins z *Los Angeles Times*. – Jeśli naprawdę to pan zobaczył i wierzył pan, że była to autentyczna prekognicja, to czemu nie próbował pan kogoś ostrzec?

– A co by pani zrobiła na moim miejscu? – odparował Henry. – Mój współpracownik usłyszał, jak krzyczę i zapytał, co się stało. Odpowiedziałem, że właśnie minął mnie Boofuls i – nie wiem – że jakoś dziwnie wyglądał. Na to mój wspólnik spytał: „Co to znaczy »dziwnie«? Stroił miny, czy co?” Odparłem, że nie, ale byłem pewien, że chłopcu przytrafi się coś niedobrego.

– I to była pańska jedyna próba zawiadomienia kogoś o tym, co, jak się panu zdawało, pan zobaczył? – naciskała Lydia Haskins.

– Proszę pani – odparł Henry – mnie się nie wydawało, że to widziałem. Ja to widziałem.

– A jak się pan teraz czuje? – zawołał Jim Keller, dziennikarz *Hollywood Reporter*. – Czy teraz, kiedy Boofuls nie żyje, czuje się pan w jakiś sposób winien?

– A pan jak by się czuł na moim miejscu? Dwadzieścia siedem po piątej zobaczyłem tego małego chłopca, którego twarz wyglądała jak czaszka, a o wpół do siódmej tego samego wieczoru był on już porąbany na kawałki. Kochałem to dziecko. Wszyscyśmy je kochali. Jak, do diabła, pan by się czuł?

Jim Keller wzruszył ramionami.

– Chyba diablo źle.

– No właśnie – odrzekł Henry. – Dokładnie tak się czuję. Diablo źle.

Martin nacisnął przycisk na pilocie i nagrana na wideo kronika zniknęła z ekranu jego telewizora. Wiele razy oglądał już to nagranie podczas swej pracy nad Boofulesem. Z jakiejś przekornej przyczyny zawsze chciał wierzyć, że Henry Polowski mówił wtedy prawdę – mimo iż dwa tygodnie później portier został zwolniony – po tym, jak *Hollywood Reporter* ujawnił, że był on alkoholikiem i dwa razy trafił do szpitala z *delirium tremens*.

Na biurku Martina leżał wyblakły wycinek prasowy. „»Portier, Który Widział Czaszkę« widywał też ogromne robaki i Marsjan.” Martin czuł do niego pewną sympatię. Każdy by czuł, gdyby zobaczył w lustrze u siebie w pokoju odbicie biało-niebieskiej piłki, która nie ma odpowiednika w realnym świecie.

Piłka jednak zniknęła, zupełnie jak Boofuls. Nie tylko sam chłopiec, ale także jego sława. Martin pomyślał, że to niezwykle – tak niewielu ludzi pamiętało historyczne uwielbienie okazywane niegdyś małemu złotowłosemu chłopcu nazwiskiem Boofuls. Tłum często zatrzymywał jego limuzynę na środku drogi. Prawie każdej nocy przyłapywano kobiety, próbujące włamać się do jego willi w Bel Air i porwać go. „On mnie potrzebuje”, krzyczały zazwyczaj, kiedy wleczono je przez trawnik. „On potrzebuje matki!”

Oczywiście to prawda, że Boofuls był sierotą. Urodził się jako Walter Lemuel Crossley w Boise, w stanie Idaho, w marcu 1931 roku, jako nieślubny syn Mary Louise Crossley, dziewiętnastoletniej stenotypistki, zatrudnionej w Stanowej Ubezpieczalni Resseque na Ford Street.

Mary Crossley przez dwa lata samotnie wychowywała dziecko, utrzymując się z zasiłku opieki społecznej, przepisywania na maszynie i sum okazjonalnie otrzymywanych od nieznanego ojca Boofulsa.

Jednakże na dzień przed drugimi urodzinami chłopca Mary Crossley, po kłótni z jednym ze swoich przyjaciół (najwyraźniej nie ojcem Boofulsa), przedawkowała aspirynę. Na ile Martin zdołał się dowiedzieć, niezbyt prawdopodobne było, aby poważnie myślała o samobójstwie. Parę razy przedtem zdarzało się jej przedawkować. Jednak tym razem w rezultacie płukania żołądka rozwinęło się u niej zapalenie płuc i zmarła w cztery dni później. Przez sześć miesięcy Boofuls znajdował się pod opieką stanową, dalsze trzy miesiące w domu sierot, aż w końcu wysłano go do jego świeżo owdowiałej babki, pani Alicji Crossley, mieszkającej dziewięćdziesiąt mil dalej, w Twin Falls.

W lutym 1935 roku – z powodu, którego Martinowi nigdy nie udało się ustalić – pani Alicja Crossley zabrała Boofulsa do Los Angeles w Kalifornii. Przez pewien czas mieszkali w pensjonacie „Palms” w kalifornijskiej Wenecji. Pani Crossley, jak się wydaje, utrzymywała ich oboje, wykonując pracę kelnerki, a potem sprzątaczk. Ale w maju następnego roku – znów z nieznanych przyczyn – babcia zabrała Boofulsa na przesłuchanie pretendenta do roli w nowym musicalu Jacoba Levitza, zatytułowanym *Gwiżdżący Chłopiec*. Praktycznie cudem został wybrany, spośród przeszło sześciuset pełnych nadziei młodocianych kandydatów na gwiazdy, do roli Małego Joe. Nie miał żadnego doświadczenia aktorskiego, nie umiał stepować, jego głos był całkowicie nie wyszkolony. Jedynymi jego atutami były złociste loki, twarzyczka w kształcie serca i słodki, rozczulający szczebiot.

Jednakże Jacob Levitz zachwycił się swoim odkryciem.

Nazwał go „chłopcą Shirley Temple”. Jedynym warunkiem, jaki postawił, było żądanie, by chłopiec zmienił nazwisko. „Walter Lemuel Crossley” nie brzmiało jak nazwisko pięcioletniej gwiazdy filmowej, tak mógł raczej nazywać się trzydziestoletni agent ubezpieczeniowy z Boise.

M-G-M ogłosiło w gazetach konkurs „Znajdź imię dla dziecięcej gwiazdy”. Krótką listę nazwisk przesłano Louisowi B. Mayerowi. Pan Mayer przeczytał ją, stwierdził, że wszystkie są do niczego, i na marginesie nabazgrał: „*B. Awful* – B. okropne.” Ta prawie nieczytelna notka uznana została przez sekretarkę, kompletną analfabetkę, za osobistą sugestię pana Mayera dotyczącą nowego imienia małego Waltera. Pilnie przepisała ją i wysłała do biura reklamowego. Przynajmniej tak to zawsze opowiadał Louis B. Mayer, a sam Boofuls nigdy temu nie zaprzeczył.

Oczywiście, *Gwiżdżący Chłopiec* został jednym z najbardziej kasowych musicali wszechczasów. Przejmująca piosenka Boofulsa „Heartstrings” sprzedawała się tego roku w większej ilości egzemplarzy niż „Ali My Eggs in One Basket”, a Spencer Tracy, odbierając w 1937 roku Oscara za rolę w filmie *Kapitanowie zuchy*, zażartował, że wygrał z Boofulesem jedynie dlatego, iż „uznali, że statuetka jest dla niego za ciężka i może ją upuścić”.

Boofuls nigdy nie zdobył Oscara, choć kolejne jego musicale stawały się przebojami: *Taniec w chmurach*, *Pieśń Południa*, *Słoneczna serenada* i *Kwiaty Tuscaloosy*. Podobizny złotowłosego

chłopczyka o błyszczących oczach zdobyły okładki wszystkich znaczących magazynów, od *Screenland* do *McCall's*. Wiosenny numer *Variety* z 1938 roku doniósł, że Boofuls jest sześciokrotnym milionerem. Tuż przed Bożym Narodzeniem tego samego roku przeprowadził się wraz z babcią do wielkiego, białego, pseudogotyckiego domu na Stone Canyon Drive w Bel Air. Zatrudnili szesnaście osób służby, łącznie z lokajem i kucharzem, dwóch prywatnych nauczycieli, instruktorów tańca i sztuki dramatycznej. Mieli też siedem samochodów, w tym dwie białe limuzyny lincoln, każde swoją. Posiadłość nazwali „Espejo”.

W czerwcu 1939 roku Boofuls obsadzony został w głównej roli Billy’ego Brighta w najambitniejszym jak dotąd musicalu Jacoba Levitza – zaplanowanym na dziewięć milionów dolarów przedsięwzięciu zatytułowanym *Błogosławiony rydwan*. Billy Bright miał być dzieckiem ubogiej dzielnicy, które próbując przeszkodzić swemu ojcu w napadzie na bank zostaje przypadkowo zastrzelone, aby stać się (co było praktycznie nieuniknione) czyniącym dobro aniołkiem.

W piątek, osiemnastego sierpnia, trzeciego dnia zdjęć, Boofuls opuścił wytwórnię M-G-M w swej limuzynie o godzinie 17.27, zgodnie z rejestrem prowadzonym przez portiera Henry’ego Polowski’ego. Przy wjeździe we wschodnią bramę jego posiadłości dostrzegła go grupka fanów, do których uśmiechnął się i pomachał ręką.

Główny ogrodnik Boofulsa, Manuel Estovez, widział, jak chłopiec wychodzi na taras na tyłach domu około godziny 18.12. Ubrany był w żółtą koszulkę z krótkim rękawem, białe szorty i białe podkolanówki. Pomachał panu Estovezowi, który odpowiedział mu tym samym.

Tuż po 18.21 komisariat policji w Bel Air odebrał telefon z posiadłości Crossleyów. Zniekształcony kobiecy głos powiedział: „On nie żyje. Dostałam go wreszcie. Jest martwy.” Patrol policyjny przybył na miejsce o 18.35 i dostał się do środka przez balkon wychodzący na basen. Wyglądało na to, że – o dziwo – cała służba domowa otrzymała wolny dzień albo popołudnie.

W salonie, na białym dywanie, znaleźli to, co zostało z Boofulsa – „porąbanego jak mięso na rosół”, wedle określenia jednego z policjantów. Jego kolega dodał, że nigdy w życiu nie widział tak wiele krwi. Po krótkich poszukiwaniach we wszystkich pokojach odkryto także ciało pani Crossley, powieszona na masywnym żelaznym żyrandolu nad schodami, na wpół uduszonej, lecz wciąż jeszcze żywej. Zmarła w dwadzieścia minut później, nie mówiąc ani słowa.

Trzy tygodnie potem koroner oznajmił, iż pani Alicja Crossley zamordowała swego wnuka Waltera Lemuela Crossleya w stanie chwilowych zaburzeń umysłowych, po czym popełniła samobójstwo. Pogrzeb Boofulsa odbył się w atmosferze niezwykłego spokoju na cmentarzu w Forest Lawn. Potworność tego, co się stało, zniechęciła do przyjścia wielu ludzi – podobnie jak myśl, że to, co chowają, to w istocie rzeczy nic więcej jak skrzynia szczątków. Na grobie stanął prosty biały nagrobek z kararyjskiego marmuru ze złotą inskrypcją głoszącą po prostu „BOOFULS, 1931 – 1939”. Można go tam obejrzeć do dzisiaj.

Przez następne lata napisano dziewięć książek na temat zamordowania Boofulsa. Z pewnością najlepszą z nich była *Boofuls: prawdziwe fakty* Kennetha Mellona. Martin czytał wszystkie; niektóre z nich były, delikatnie mówiąc, nieco bardziej sensacyjne od innych. Wszystkie jednak zgadzały się co do tego, że niewytłumaczalny zamach pani Crossley na jej sławnego podopiecznego miał swoje źródła we wcześniejszych atakach depresji, jeszcze z lat jej młodości. W 1911 roku sama straciła synka, a po urodzeniu Mary, matki Boofulsa, lekarz ostrzegł ją, aby już nie zachodziła w ciążę.

Trzy książki sugerowały, że pani Crossley chciała się zemścić na Boofulsie za próbę samobójstwa córki i za jej śmierć. Ukarać go za to, że żył w glorii sławy i w luksusie, podczas gdy jej ukochana nieżyjąca córka zmarła w ubóstwie, nie zaznawszy dostatku.

Autor *Hollywoodzkiej rzezi* twierdził, że Alicja Crossley zabiła dziecko mszcząc się w ten sposób

na jego nieznanym ojcu, nie było jednak żadnych dowodów na poparcie tej teorii, a zresztą nikomu nigdy nie udało się odkryć, kim był ojciec Boofulsa. Niektórzy dziennikarze wskazywali na Howarda Q. Forbesa, wicedyrektora Stanowej Ubezpieczalni Resseque, jednak Forbes nosił okulary, łysiał i miał kłopoty z sercem, toteż choć jego ojcostwa nie można było wykluczyć, wydawało się ono nad wyraz nieprawdopodobne.

Istniało też nie potwierdzone doniesienie, jakoby pewnej nocy Mary Crossley widziana była na Koonetal Street w Boise w wielkim czarnym cadillacu, ale domniemany świadek przyznał później, że mógł być „przemęczony”.

Martin zebrał także stos artykułów prasowych – nawet kretyńskie „prawdziwe” rekonstrukcje dramatyczne z pisma *Niezwykłe Historie Detektywistyczne* i *Sensacje Policyjne*. „Drobne ciało desperacko wrywało się i szamotało pod jej ciężarem, podczas gdy ona raz po raz uderzała śnieżnobiałe marynarskie ubranko obryzganym krwią tasakiem.” Oczywiście Boofuls nie miał na sobie marynarskiego ubranka, a narzędzia zbrodni, o dziwo, nie udało się odnaleźć.

Mimo przerażającej, niesławnej śmierci Boofulsa Martin zawsze uważał, że chłopiec miał w sobie jakiś niezwykły czar. Wewnętrzny żar, tak silny, że aż prawie nierealny. Jego przyjaciel Gerry, pracujący w archiwum M-G-M, nagrał dla niego na wideo wszystkie filmy Boofulsa. Oglądał je wielokrotnie i za każdym razem na widok tego złotowłosego chłopczyka, który tańczył i śpiewał, było mu coraz trudniej uwierzyć, że siedmiolatek mógł być tak błyskotliwy, okazywać taką energię i poczucie humoru, tak absolutnie doskonałe wycucie tempa.

Ilekcio przyglądał się ruchom Boofulsa, wsłuchiwał w jego oddech, oglądał choreografię – a szczególnie, gdy spoglądał w jego oczy – zdawało mu się, że widzi dorosłego, przebranego w dziecięce ciało.

„Był tak blisko, jak wy teraz. Na pewno się nie mylę. Widziałem to wyraźnie jak w dzień. Był blady, biały jak kość, a w miejscu oczu miał tylko puste otwory, ani śladu samych oczu, zupełnie jak u czaszki, i wyszczerzone gołe zęby.”

Martin raz po raz oglądał liczącą sobie pięćdziesiąt lat kronikę. Ten sam trzeszczący podkład muzyczny, te same błyski fleszów i ostre poruszenia głowy, jak gdyby Henry Polowski za grzech nieuwagi skazany został na nieustanne odgrywanie tej samej sceny.

– I co pan zrobił, panie Polowski?

– A co by pani zrobiła na moim miejscu? Nie uwierzyłaby pani własnym oczom. ŚmieJCie się, ile chcecie, ale to było prawdziwe jasnowidzenie. Ja to widziałem, a jeżeli mi nie wierzycie, to jest to wasz problem, nie mój.”

Martin za pomocą pilota wyłączył magnetowid. Już prawie dziesiąta, a za dwadzieścia minut był umówiony z June Lassiter w studiu 20th Century Fox. Znał June na tyle, aby machając do niej w tłumie przy barze „Pod Kogutem i Bykiem” mieć pewność, iż odpowie tym samym, nie wiedział jednak, jak zareaguje na projekt wysokobudżetowego musicalu. A zwłaszcza wysokobudżetowego musicalu o Boofulsie.

„Co tam” – pomyślał, starannie składając scenariusz i ostrożnie wkładając go do reklamówki z „Reel Thing” – „nikt jeszcze nie doszedł do niczego w Hollywood samym siedzeniem w domu i pobożnymi życzeniami.”

Przed wyjściem ostatni raz spojrział w lustro. Nie odbijało nic poza nim samym, pokojem stołowym i porannym słońcem. Zaczynał przypuszczać, że chyba wyobraził sobie tę piłkę. Może powinien iść pogadać o tym ze swą starą przyjaciółką, Marion Gidley. Ona interesowała się autohipnozą, wywołanymi nią halucynacjami i tym podobnymi sprawami.

Zamykając za sobą drzwi mieszkania natknął się na Emilia, który bawił się na podeście modelem

robota z *Transformerów*.

– Co słyszeć, Emilio? – zapytał.

Emilio uniósł ku górze wielkie czekoladowe oczy.

– Cześć, Martin. Całkiem nieźle.

– Co tu masz?

– To datsun 280, samochód sportowy, który zamienia się w złego robota. O, popatrz.

Przy akompaniamencie burzy trzasków, za pomocą skomplikowanych ruchów nadgarstka Emilio przekształcił samochodzik w robota z płaską główką i długimi, wąskimi nogami. Martin przykucnął i przyjrzał mu się z bliska.

– Dość drastyczna zmiana, no nie? Żeby tak mój wóz zamieniał się w robota.

– Twój wóz to kupa złomu.

– Kto tak twierdzi?

– Mój dziadek. On mówi, że twój wóz to kupa złomu i chciałby, żebyś go nie parkował przed samym domem, bo jeszcze ludzie pomyślą, że to jego własność.

– Mam lepszy samochód niż ten, którym on sam jeździ.

– Samochód dziadka zmienia się w robota.

– Ach, tak?

– Naprawdę się zmienia. Sam mi to powiedział.

Martin czule przejechał dłonią po włosach chłopca – czego ten nie znosił – i wstał. W połowie schodów zatrzymała go jednak pewna myśl.

– Nie masz może piłki? – spytał, wystawiając głowę ponad poręcz.

– Dostałem od dziadka, baseballową.

– Nie, nie – taką plastikową, do odbijania, biało-niebieską.

Emilio skrzywił nos i potrząsnął głową, jakby posądzenie go o to, że posiada biało-niebieską plastikową piłkę było i ogromną obrazą.

– W życiu, *gringo*.

Martin sięgnął przez poręcz, próbując ponownie pogłaskać go po włosach, ale Emilio odskoczył w tył.

– Nie rób tego! – zaprotestował. – Za kogo mnie masz, za jakiegoś królika, czy co?

Martin wybuchnął śmiechem i udał się na umówione spotkanie.

\* \* \*

June Lassiter była bardzo spokojna, opanowana i po kalifornijsku przyjacielska: świadoma kobieta o mocno kręconych czarnych włosach i bladym, nieskazitelnym, superantyallergicznym makijażu, który wyprodukowano nie krzywdząc ani jednego zwierzęcia. Ubrana była w lekki biały kostium i przewiązaną wokół szyi apaszkę, ręcznie malowaną na surowym jedwabiu przez Indian Hopi. Zabrała Martina do baru Foxa i kupiła mu ogromną porcję sałatki ze szpinaku oraz karafkę domowego chablis, niemal zbyt zimnego, aby je pić.

– Problem w tym, że starsz się wywołać duchy – powiedziała swym południowym akcentem.

Martin, z ustami pełnymi szpinaku, nie był w stanie zrobić nic poza spojrzeniem na jej szczupły nadgarstek, oparty na stole, na jego przybladłą opaleniznę i na luźną złotą bransoletkę. Wciąż żując, skinął głową.

– Boofuls to jedno z tych haseł, które w Hollywood wywołują nagłe zaćmienie umysłu. Wiesz, tak jak Charles Manson.

– Przedtem już poruszano trudne hollywoodzkie tematy. Spójrz na *Najdroższą Mamuszkę*.

– Tak, jasne – zgodziła się June. – Ale w *Najdroższej Mamusce* Joan Crawford uzyskuje w końcu odkupienie, a wszystkie te okropne rzeczy, które wyprawiała ze swymi dziećmi, zostają zracjonalizowane i wybaczone. Była pijaczką, złośliwą dziwką, lecz jednocześnie gwiazdą, a w Hollywood to usprawiedliwia wszystko. Jak chcesz to zrobić w przypadku Boofulsa? Chłopiec został porąbany na kawałki przez babkę-wariatkę – i koniec historii. Żadnego odkupienia, wyjaśnienia, tylko nagły i brutalny koniec, nawet jeśli nie pokazujesz go na ekranie.

Martin otarł usta serwetką.

– Więc jak brzmi wyrok?

– No cóż, nie czytałam twojego scenariusza. Być może jest znakomity. To znaczy słyszałam opinię Morrisa na twój temat; ma bardzo pochlebne zdanie o twojej pracy. Ale muszę powiedzieć, że Boofuls jest jak pocałunek śmierci. Jediną osobą, jaką mogę sobie wyobrazić, że mogłaby się tego tknąć, jest Ken Russel, a wiesz, jaką on cieszy się tu reputacją. *Enfant terrible*, wciąż jeszcze, mimo jego wieku. A nawet gdyby zgodził się to zrobić, ciągle pozostawałby problem pieniędzy. I zdobycie ich byłoby piekielnie ciężką robotą.

Martin wyprostował się na krześle.

– Nie wiem. Dla mnie to całkiem naturalne. Muzyka, taniec, a gdyby udało się znaleźć odpowiedniego dzieciaka do roli Boofulsa...

June potrząsnęła głową.

– Moja rada to odłożyć cały projekt na później, a na razie zapomnieć o nim. Kto wie, może pewnego dnia staniesz się dość bogaty i wpływowy, aby sam się tym zająć.

Resztę lunchu zajęły im plotki: kto kręci jaki film i kto z kim kręci. Kiedy już wychodzili, June stanęła na pustym miejscu parkingu, podpisanym „G. Wilder”, i powiedziała:

– Najpierw dorób się tego, że będzie tu widniało twoje nazwisko. Potem zrób swój musical.

Obdarzył ją uśmiechem, który, miał nadzieję, wyglądał powściągliwie, i ze scenariuszem pod pachą udał się powoli do swego samochodu. Po drodze gwizdał „Heartstrings”:

*To melodia... tak piękna  
Jak mam się... opamiętać  
Każda z nut... twego serca  
Pocałunkiem... mi jest.*

Kiedy jednak jechał Santa Monica Boulevard, a wietrzyk szeleścił kartkami leżącego na sąsiednim siedzeniu scenariusza, poczuł nagłą ochotę, by wyrzucić go z samochodu. Zaczynał wierzyć w to, że Morris miał rację, że jego dzieło przypomina tym ludziom worek cuchnącego mięsa.

Złoty chłopiec Hollywood lat trzydziestych zmarł więcej niż jednym rodzajem śmierci.

\* \* \*

Do domu wrócił tuż przed trzecią. Emilio bawił się; w słońcu na schodach przed wejściem. Zjadł już obiad – świadczyły o tym plamy keczupu na koszulce. Schody okazały się prawie nieprzebytą przeszkodą dla śmiertelnościanego plastikowego Rambo, zaś popołudniową ciszę wypełniał terkot karabinów maszynowych.



– Otwarta wojna? – zapytał Martin. Emilio nawet nie podniósł głowy. Martin usiadł na stopniu i przyglądał mu się przez chwilę. – Wiesz, nie jestem w stanie pojąć, jak *Rambo* mógł zarobić siedemdziesiąt pięć milionów, z całym tym strzelaniem, zabijaniem i pseudofilozofią, podczas gdy tutaj, o tu – klasnął rulonem w dłoń – mam najlepszy, najpiękniejszy musical wszechczasów, a wszyscy na jego widok krzywią się, jakbym w coś wdepnął.

Emilio nie przerywał swojej wojny. Tym razem słyhać było kanonadę z ciężkich dział, wymagającą wiele śliny.

– Powinieneś wpaść kiedyś na górę i obejrzeć któryś z moich filmów z Boofulsem. Wtedy byś uwierzył, ty mały Filistynie.

Emilio osłonił oczy przybrudzoną dłonią i spojrzał na niego.

– Kto to jest Boofuls? Czy to ktoś z komiksu?

– Ktoś z komiksu? Mój Boże, czy ten twój dziadek niczego cię nie uczy? Boofuls był chłopcem, tak jak ty, tylko że potrafił śpiewać i tańczyć, i czynić ludzi szczęśliwymi. Inaczej mówiąc, nie siedział cały dzień w piachu z jakąś groteskową podobizną Sylvestra Stallone, udając, że niszczy Azjatów. Kim jest Boofuls, na miłość boską.

Emilio podniósł zielony plastikowy helikopter i przez chwilę wymachiwał nim w powietrzu.

– Ten chłopiec u ciebie w pokoju naprawdę umie tańczyć – zauważył.

– To właśnie Boofuls – odparł Martin. – Chłopiec na plakacie nad moim łóżkiem.

– Nie – zaprzeczył Emilio, kręcąc głową. – Chłopiec w drugim pokoju. Ten prawdziwy.

Martin zmarszczył brwi, wyciągnął rękę i złapał Emilię za przegub zatrzymując helikopter w środku ataku.

– Jaki prawdziwy chłopiec? O czym ty mówisz?

Emilio skrzywił usta. Nie odpowiadał.

– Byłeś w moim pokoju? – naciskał Martin. – Dziś, kiedy mnie nie było, poszedłeś do mojego mieszkania?

Emilio nadal dąsał się i odmawiał jakiegokolwiek współpracy.

– Słuchaj, Emilio, jeśli nawet poszedłeś do mnie, nie będę się na ciebie wściekał. W końcu to dom twojego dziadka i możesz chodzić, gdzie chcesz.

Emilio w ponurym milczeniu powoli uwolnił rękę. Martin spojrzał w górę, na okno swego pokoju stołowego. Jak zwykle było puste, odbijało się w nim jedynie słońce.

– Nie powiesz, co? – powiedział do dziecka. – W takim razie lepiej będzie, jak sam pójde zobaczyć.

Wstał ze schodów i szybko pobiegł na górę, biorąc po trzy stopnie naraz. W końcu osiągnął podest przed swymi drzwiami. Widniała na nich mała plastikowa tabliczka głosząca: M. Williams. Pod spodem wydrapane było J. Berrywell. Nawet kiedy mieszkali razem, Jane z uporem trzymała się swego panińskiego nazwiska.

Zawahał się. Prawdziwy chłopiec. Z jakiegoś irracjonalnego powodu poczuł dreszcz autentycznego strachu. Oczywiście, w jego mieszkaniu nie było żadnych chłopców, prawdziwych czy nie. Po prostu Emilio wymyślił sobie towarzysza zabawy. W końcu był właśnie w odpowiednim wieku, a nie znał żadnych rówieśników, przynajmniej w tej okolicy. Mimo wszystko jednak w niewytłumaczalny sposób zaniepokoiło to Martina, jak gdyby jego mieszkanie zostało nawiedzone przez coś, czego nie potrafił zrozumieć.

Otworzył drzwi. Prawie nigdy nie zamykał ich na klucz, bo w środku nie było nic wartościowego poza maszyną do pisania. Przez całe lata żywił nadzieję, że ktoś mu ją wreszcie ukradnie i za pieniądze z ubezpieczenia będzie mógł kupić sobie nową.

W mieszkaniu panowała cisza. Słońce wczesnego popołudnia padało na drewnianą podłogę, malując na niej oślepiający czworokąt. Z sypialni obserwowała go blada twarz Boofulsa, kiedy cicho stąpił korytarzem w kierunku pokoju.

Zatrzymał się i zawołał: – Halo? – Nie było jednak żadnej odpowiedzi.

„A czego się spodziewałeś?” – zganił się w myślach. „Całego chóru Disneyowskich duchów, wyłaniającego się nagle z szaf z okrzykiem »A kuku, Martin!«?”

Szeroko otworzył drzwi pokoju i zajrzał do środka. Odpowiedziało mu spojrzenie własnej twarzy w lustrze. Nikogo innego w pokoju nie było, żadnego chłopca, żadnego śladu chłopca, jak choćby samotna biało-niebieska piłka.

– Dzieci – wymamrotał, mając na myśli szczególnie Emilia.

Parę chwil jedynie zajęło mu rozejrzenie się po pozostałej części mieszkania. Żaden chłopiec nie ukrywał się w szafie pomiędzy ubraniami ani pod jego łóżkiem. Kiedy jednak poszedł do kuchni, aby znaleźć sobie nową butelkę wina, przez moment był pewien, że usłyszał chichot.

Przystanął, nasłuchując. Nic. Z butelką w dłoni wyszedł na korytarz i ujrzał Emilia trzymającego ręce w kieszeniach szortów. Martin popatrzył na niego bez słowa.

– Czy mogę się z nim pobawić? – zapytał Emilio.

– Czy możesz pobawić się z kim? – odpowiedział Martin, z wyrachowaną dociekliwością.

Emilio wskazał ruchem ramienia w kierunku pokoju stołowego.

– Jasne, że z chłopcem.

– Emilio, ty mały wariacie, tam nie ma żadnego chłopca.

– A właśnie, że jest.

– Tak, tak, a samochód twojego dziadka zmienia się w robota.

– Sam widziałem! Pokazał mi!

– No dobrze – załagodził sprawę Martin. – Dobra, nie trać zimnej krwi. Powiedzmy po prostu, że jestem jednym z tych naprawdę sceptycznych dorosłych, jakich można zobaczyć w telewizji. No wiesz, takich, co to nie chcą pomóc E.T. i próbują uderzyć Lassie, kiedy ta ciągnie ich za nogawkę do opuszczonej kopalni.

Emilio nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówił, Martin jednak poczuł się od razu lepiej, a i chłopiec jakby się uspokoił.

– Jeżeli naprawdę jest tam chłopiec – powiedział łagodnie Martin – to wystarczy, jeśli mi go przedstawiś. Pozwól, że uścisknę mu dłoń i powiem: „Dzień dobry, chłopcze.” Wtedy ci uwierzę.

– Nie możesz uścisknąć mu dłoni – odparował Emilio.

– Wiem, że nie mogę, Emilio, bo on jest wymyślony. – Dość mocno postukał go palcem w czoło. – Istnieje tylko tutaj.

– Nie! – zaprotestował Emilio. – On jest prawdziwy. Ale nie można wziąć go za rękę, bo on jest w lustrze.

Martin wyprostował się, Emilio patrzył na niego z poważnym wyrazem usmolonej twarzyczki i szeroko otwartymi oczami, zaciskając pięści.

– Emilio, czy przyszło ci do twego jednobajtowego mózdzku, że prawdziwy chłopiec w lustrze to możesz być ty? Twoje odbicie. A może jesteś tak brudny, że nie poznajesz sam siebie? Myślałeś, że to Paul Robeson?

Emilio znowu zaczął się dąsać.

– On jest prawdziwy! Prawdziwy! Ale on jest tylko w lustrze! Ja jestem w lustrze i on też. Ale tylko ja jestem w pokoju!

Martin pomyślał o biało-niebieskiej piłce i o tym, jak wpadła, podskakując, do lustrzanego pokoju.

A także o tym, jak wrócił, aby jeszcze raz na nią spojrzeć i stwierdził, że zniknęła. *I jak głęboko wzrok sięga, jest on bardzo podobny do naszego korytarza, tylko, wiesz, tam dalej może być zupełnie inny.*

Poczuł nagle chłód wzdłuż kręgosłupa, wędrujący w dół niczym ślimak po zamrożonej rynnie.

– Ten chłopiec... czy był do ciebie podobny? – spytał.

Emilio przesunął dłonią po twarzy, jakby próbując zmasować własne rysy i pokazać inną twarz: pogodną, bez wyrazu, z oczami jak sierotka Marysia.

– Wyglądał jak... – starał się wyjaśnić, lecz nie wychodziło mu to, nawet z pomocą mimiki i gestykulacji. – Jak... – i nagle pobiegł do sypialni i wskazał przypięty do ściany plakat Boofulsa.

– Wyglądał jak to? – dopytywał się Martin, czując coraz większą grozę.

– To jest prawdziwy chłopiec – powtarzał z uporem Emilio. – Prawdziwy!

Martin położył dłonie na ramionach Emilia i spojrzał mu prosto w oczy.

– Emilio, to był prawdziwy chłopiec, ale on nie żyje od prawie pięćdziesięciu lat.

Emilio skrzywił się z niedowierzaniem.

– Nie wiem, co widziałeś w tym lustrze – ciągnął Martin – ale nie był to prawdziwy chłopiec. To tylko twoja wyobraźnia. Rozumiesz, co mam na myśli? Po prostu jakby... no nie wiem, jakby twój umysł płatał ci sztuczki.

– Ja go widziałem – wyszeptał Emilio. – Rozmawiałem z nim.

Martin nie wiedział, co jeszcze odpowiedzieć. Stał i otarł ręce o nogawki spodni, tak jak to robią bramkarze.

– Sam nie wiem, stary. Wszystko to brzmi dość dziwnie.

W tym momencie rozległo się dyskretne stukanie do drzwi i do środka weszła babcia Emilia. W rękach niosła szklane żaroodporne naczynie przykryte kraciastą ściereczką.

Martin zawsze lubił panią Capelli. Była babcią, jaką powinien mieć każdy: pogodną, filozoficznie patrzącą na świat, zawsze krzątającą się po kuchni. Siwe włosy splatała w misterne warkoczyki, a jej twarz była równie otwarta i szczerą jak kuchenna stolnica. Była ubrana na czarno; zawsze ubierała się w czerń. Nosila żałobę po swej zmarłej siostrze. Poprzednio była w żałobie po zmarłym bracie. Kiedy razem z panem Capelli wyruszali na zakupy w swym długim czarnym lincolnie, wyglądali, jakby się wybierali na pogrzeb.

– Przyniosłam ci lazanie – powiedziała.

Martin przyjął naczynie i skinął w podziękowanie głową.

– Staram się zachowywać dietę. Ale dziękuję.

– Cóż, możesz podzielić się z chłopcem. – Pani Capelli rozejrzała się po mieszkaniu, jakby oczekiwała, że zobaczy jeszcze kogoś.

– Chłopcem? – spytał Martin.

– Emilio powiedział mi, że mieszka u ciebie chłopiec. Bawił się z nim cały ranek. Czy to ten twój siostrzeniec, o którym mi opowiadałeś?

Martin wymienił z Emiliem zakłopotane spojrzenia. Jeżeliby powiedział, że nie ma tu żadnego chłopca, Emilia czekałaby ciężka przeprawa za kłamstwo. Z drugiej strony...

Ale nie. W tej chwili potrzebne mu było zaufanie Emilia. Jeśli w lustrze naprawdę było coś niezwykłego, jakiś rodzaj nadprzyrodzonego zjawiska, to, jak dotąd, mały Emilio był jedyną osobą, która to widziała. Mógł stanowić z nim jedyny kontakt, niczym medium. To w końcu dziecko, a Boofuls też był dzieckiem. Może w lustrze zachowała się jakaś wibracja i Emilio dostrajał się teraz do niej. Albo coś takiego.

Podniósł ściereczkę okrywającą lazanie i wciągnął w płuca zapach świeżych pomidorów,

tymianku i dopiero co utartego parmezanu.

– Najprawdopodobniej Petey zje to wszystko sam – powiedział z największą, na jaką mógł się zdobyć, nonszalancją. – Petey ma prawdziwego świra na punkcie włoskiej kuchni.

Dostrzegł, jak oczy Emilia rozszerzają się, jakby czekolada tęczówek rozplynęła się w większe kałuże. Mrugnął do niego pod osłoną uniesionej ścierki i zorientował się, że mały zrozumiał.

– Jest tu teraz? – spytała rozpromieniona pani Capelli. – Uwielbiam chłopców! Są zawsze tacy zadziorni.

– No, w tej chwili... eee... załatwia coś dla mnie. W sklepie.

– Wysłałeś małego chłopca samego do sklepu? Do Ralpha?

– Nie, nie, tylko do Hughesa, za rogiem.

– Mimo wszystko – powiedziała z dezaprobatą pani Capelli. – Highland Avenue to niebezpieczna ulica.

– Och, nic mu się nie stanie. Chodzi do szkoły w Nowym Jorku i codziennie sam przechodzi przez Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę. Jak dotąd jeszcze nic go nie przejechało.

Pani Capelli zmarszczyła czoło.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że mieszka w Indianapolis.

– Jasne, że w Indianapolis! Ale to było parę lat temu. Teraz mieszka w Nowym Jorku.

Powoli pani Capelli odwróciła się do wyjścia, w dalszym ciągu bezustannie lustrując wzrokiem całe mieszkanie, jakby spodziewała się, że Petey w każdej chwili wyskoczy zza krzesła. Martin wiedział, że ze swego fotela w saloniku na dole stale obserwuje podjazd, a ponieważ nie widziała, żeby Petey wychodził, z pewnością podejrzewała, że Martin ukrywa go u siebie. Może ma odrę i Martin nie chce, żeby się o tym dowiedziała, bo Emilio mógłby się zarazić.

– Zrób mi tę przyjemność – powiedziała w końcu, już stojąc w drzwiach. – Przyrowadź go do mnie z wizytą, kiedy wróci. Dam mu czekoladowego ciasta.

– Oczywiście, pani Capelli – zapewnił ją Martin, otwierając przed nią drzwi.

Wolnutko zeszła po schodach, przystając po każdym kroku, wsparta na poręczy. Kiedy dotarła do swego mieszkania, Martin pomachał do niej i zawołał:

– Niech się pani nie boi, przyrowadzę go na pewno. Nakarmi pani kanarka. Jeżeli istnieje coś, co lubi jeszcze bardziej niż spaghetti, to jest to ciasto czekoladowe.

Pani Capelli przystanęła, skinęła potakująco głową i zniknęła wewnątrz mieszkania, pozostawiając lekko uchylone drzwi.

Martin wrócił do siebie i z założonymi rękami stanął przed Emiliem.

– Wierzysz mi – powiedział Emilio. – Wierzysz, że chłopiec naprawdę istnieje.

– Wcale tego nie mówiłem.

– Ale powiedziałaś „Petey”.

– Emilio, tu nie ma żadnego chłopca. Powiedziałem tak tylko po to, żeby nie przysparzać ci kłopotów. Jak myślisz, co zrobiłaby twoja babcia, gdybym całkowicie temu zaprzeczył? Pomyślałaby sobie, że jesteś jakimś młodocianym wariatem. Zamknęliby cię w zakładzie albo jeszcze gorzej.

Emilio wyglądał na oszołomionego.

– Ale tu jest chłopiec. Chodź i zobacz – nalegał.

– Dobra – ustąpił Martin. – Chodźmy mu się przyjrzeć, jeżeli już nie można uścisnąć mu ręki.

Emilio pobiegł do pokoju i stanął tuż przed lustrem, z niecierpliwością chcąc dowieść tego, że ma rację. Martin podążył za nim nieco wolniej, porównując szczegóły odbicia z prawdziwym pomieszczeniem. Dwie rzeczywistości, jedna obok drugiej – ale która jest prawdziwa?

Przyjrzał się wszystkiemu dokładnie, nie znalazł jednak żadnych widocznych różnic. Scenariusz

*Boofulsa* leżał na biurku w takiej samej pozycji w obu pokojach. Jeden z jego butów stał nieco przekrzywiony pod krzesłem. Żaluzje migotały w słońcu.

Emilio przycisnął dłonie do szkła.

– Hej! – zawołał głośno. – Jesteś tam? Chodź, pobawimy się! Przywitaj się z Martinem!

Martin, wbrew sobie, stwierdził, że skupia całą uwagę na lustrzanych drzwiach. Nie poruszały się, nawet nie drgnęły i nie pojawił się żaden chłopiec.

– Hej, ty! – zażądał Emilio – Chodź się pobawić!

Patrzyli i czekali. Nic się nie zdarzyło. Ani śladu biało-niebieskiej piłki, śmiechu czy chłopca. Martin zaczynał na serio sądzić, że wszystko to było po prostu złudzeniem.

– Może nie ma już ochoty na zabawę – zasugerował.

– Ależ ma! – zaprotestował Emilio. – Powiedział, że zawsze chce się bawić. Kłopot w tym, że każą mu pracować, nawet kiedy jest zmęczony, i zawsze zmuszają go do noszenia ubrań, które mu się nie podobają, i musi śpiewać, gdy nie ma na to ochoty, i tańczyć też.

– Czy mówił, jak się nazywa?

Emilio nie odpowiedział.

– Posłuchaj, Emilio, to ważne. Czy powiedział, jak ma na imię? Czy nie kazał na siebie wołać *Boofulsa*? A może *Walter*? Albo *Walt*?

Emilio potrząsnął głową.

– No to co robił? Grał w piłkę? Tańczył? Śpiewał?

Emilio spojrział na Martina, nadal zachowując milczenie.

– Słuchaj – powiedział Martin, odwracając się plecami do lustra – może akurat w tej chwili on nie chce się bawić. Może, bo ja wiem, kąpie się teraz albo co. W końcu nawet chłopcy, którzy mieszkają w lustrze, muszą się od czasu do czasu wykąpać, prawda? Czemu nie wrócisz tu jutro? Wtedy znów spróbujemy.

Emilio obiema rękami uderzył w lustro.

– Hej, ty! – zawołał. Jego głos wznosił się coraz wyżej. Dźwięczała w nim panika. – Wychodź! Pobawimy się!

Martin przykucnął obok niego.

– Naprawdę wydaje mi się, że on nie chce teraz wyjść. Przyjdź tu jutro rano i wtedy znów go zawołamy.

Nagle Emilio zaczął na niego krzyczeć. Przypominało to piskliwe poszczekiwanie małego pieska.

– Ty wcale nie chcesz, żebym go zobaczył, prawda? Nie chcesz, żebym się z nim bawił! Myślisz, że on należy do ciebie! To nie twoje lustro! Nie twoje! To jego lustro! On w nim mieszka! A ty nie możesz mu mówić, co ma robić, wiesz!

Martin nigdy przedtem nie słyszał, żeby Emilio krzyczał w taki sposób, i trochę to nim wstrząsnęło. Ujął go za ramię i powiedział:

– Posłuchaj... być może wymyśliłeś tę całą historię, żeby mi zaimponować. A może i nie. Jakkolwiek by było, jestem po twojej stronie. Jeżeli w tym lustrze naprawdę jest jakiś chłopiec, to chciałbym go zobaczyć.

– I pomóc mu wyjść? – dopytywał się Emilio.

Martin skrzywił się.

– No, nie wiem. Może w ogóle nie istnieje sposób, żeby go stamtąd wydostać.

– Jest taki sposób – poinformował go Emilio zdecydowanym głosem.

– A skąd wiesz?

– On mi powiedział. Jest sposób.

– No dobrze, pod warunkiem, że nie trzeba będzie stłuc lustra. Właśnie zapłaciłem za nie siedemset pięćdziesiąt dolarów.

– Nie stłuczemy go – zapewnił go Emilio niepokojąco dorosłym tonem.

Martin oparł się o brzoskwińowego koloru ścianę klatki schodowej i odprowadził wzrokiem to pewne siebie dziecko o czekoladowych oczach, rozczochranych włosach i koszulce poplamionej keczupem. Nie wiedział, czy ma czuć rozbawienie czy przestrasz.

Ostatecznie cała ta sprawa to najprawdopodobniej dowcip stulecia. Albo może Emilio po prostu wymyślił to wszystko. W końcu całe mieszkanie było pełne zdjęć Boofulsa. Jeśli naprawdę miałby udawać, że bawi się tu z wymyślonym chłopcem, to cóż bardziej naturalnego niż nadanie mu rysów z fotografii?

Zamknął drzwi i wrócił do sypialni. Sentymentalne oczy małego Boofulsa spoglądały na niego z plakatu do *Gwiżdżącego Chłopca*. Wyciągnął rękę i koniuszkami palców dotknął złotych loków i bladej twarzyczki w kształcie serca.

– Wcale się ciebie nie boję, mój mały – powiedział głośno. – Wcale a wcale.

Lecz wychodząc z pokoju, zanim zabrał się za Drużynę A, raz jeszcze rzucił szybkie spojrzenie na plakat.

Obudził się nagle o trzeciej nad ranem z szeroko otwartymi oczami. W uszach coś dźwięczało mu alarmująco. Przez moment zawahał się, po czym usiadł na materacu, aby móc lepiej słyszeć. Był prawie pewien, że słyszał czyjś płacz, jakby dziecka.

Szum palm na zewnątrz i poświstywanie wiatru w szparze okna sypialni zagłuszały nieco ten dźwięk. Ale to na pewno i było dziecko, chłopiec, który łkał i zachłystywał się łzami, i jakby zaraz miało mu pęknąć serce.

Drżąc z lęku i nocnego chłodu Martin pomacał ręką wokoło i przyciągnął do siebie swój czerwony flanelowy szlafrok. Owinął się nim, ciasno przewiązując pasek, po czym wygrzebał się z pościeli, na palcach przeszedł przez sypialnię i otworzył drzwi.

Szlochanie trwało nadal, wysokie i rozpaczliwe, odbijające się dziwnym echem. Nie miał jednak cienia wątpliwości, skąd dochodzi. Drzwi pokoju stołowego były na wpół otwarte, jaskrawe światło księżycy wyraźnie odcinało się na drewnianej podłodze. Stamtąd właśnie dobiegał płacz.

„Prawdziwy chłopiec”, pomyślał Martin. „O Jezu, to prawdziwy chłopiec.”

Ale teraz, kimkolwiek – lub czymkolwiek – był ten chłopiec, musi stawić mu czoła. „Dalej, Martin, to w końcu tylko dzieciak, no nie? A jeśli okaże się, że to Boofuls, wtedy masz do czynienia nie tylko z dzieckiem, ale też i z duchem. No przecież nie powiesz mi, że przeraża cię perspektywa spotkania twarzą w twarz ze zjawą dziecka?”

Wyciągnął rękę tak sztywno, jak gdyby przytwierdzona była do sztucznego ramienia, i pchnięciem otworzył drzwi na oścież. Zawiasy wydały z siebie niski jęk. Płacz trwał nadal, jeżące włos na głowie och-och-och-och, które wzbudziło w Martinie jednocześnie pragnienie wejścia tam i ucieczki. Wejścia, aby uwolnić dziecko od tego, co sprawiało mu taki przeraźliwy ból. Ucieczki w obawie, że może to być coś tak niewytłumaczalnego i przerażającego, iż zastygnie w bezruchu i nie będzie mógł nic zrobić.

Niedługo po odejściu żony zaczęły Martina nawiedzać sny o tym, że stoi przyrośnięty do ziemi, nie mogąc się poruszyć, podczas gdy wokół inni naśmiewają się z niego, małpy o nastroszonej sierści uciekają z całym jego dobytkiem, a szyderczo uśmiechnięci kłowni na jego oczach brutalnie gwałcą Jane.

Najgorszy był strach przed tym, że po wejściu do pokoju stołowego odkryje, iż może jedynie stać jak sparaliżowany, bezradny, niezdolny do niczego innego.

Wziął głęboki oddech, po nim następny, a adrenalina w jego żyłach runęła naprzód niczym nocny ruch na autostradzie między stanowej. Postąpił trzy zdecydowane kroki w głąb pokoju, natychmiast pochylił się i obrócił twarzą w stronę zwierciadła, w niezdarnej parodii piłkarskiego manewru, którego zawsze starał się nauczyć go jego trener ze szkoły średniej – „Niżej, Williams, nachyl się, na miłość boska, jesteś zawodnikiem, a nie pieprzoną panienką z pomponami” – i nie zdołał się powstrzymać przed głośnym „Ach!”, ponieważ stanął twarzą w twarz ze swym własnym przerażonym wizerunkiem: białe policzki, wytrzeszczone oczy, sterczące na wszystkie strony włosy i jaskrawoczerwony szlafrok, owinięty wokół sylwetki niczym zakrwawione bandaż.

Przez moment przystanął, aż uspokoił przyspieszony oddech, a jego tętno stopniowo zwolniło. Powoli przestał dyszeć.

– Kurwa – szepnął, gdyż własne odbicie nadal wzbudzało w nim obawę.

Ostrożnie postawił dwa lub trzy kroki w kierunku lustra, po czym zawahał się i zaczął nasłuchiwać. Łkania nie ustawały, choć stały się cichsze i bardziej żałosne: nie kończące się och-och-och, jeszcze bardziej rozdzierające niż poprzednie głośne szloch i krzyki.

Wyciągnął rękę i dotknął lustra. Szkło było zimne, czyste i nieprzeniknione. Nie było mowy o tym, by rozwiało się w srebrzystą mgłę, niczym zwierciadło Alicji w Po Drugiej Stronie Lustra. Przycisnął do niego czoło. Zaledwie w odległości cała spojrzęły na niego bez wyrazu własne szare oczy. „Boże”, pomyślał, „co mam zrobić?” Chłopiec płakał dalej. Martin przesunął się do lewej krawędzi lustra, próbując zajrzeć w głąb korytarza. Udało mu się spojrzeć w głąb na dwie lub trzy stopy, ale to było wszystko. Wrócił do drzwi pokoju i wepchnął pod nie zwinięty numer *Variety*, podtrzymując je w szeroko otwartym położeniu. Kiedy jednak wrócił do lustra, przekonał się, że niewiele to pomogło.

A jednak brzmiało to tak, jakby w jego jadalni płakało dziecko. Nie w tej prawdziwej, ale w jej lustrzanym odbiciu. Zadrżał. Pokój wydawał mu się być nienaturalnie zimny, a wysoki, wyczerpany, żałosny głosik tego zrozpaczonego dziecka sam w sobie wystarczył, aby wywołać dreszcze. Pomyślał: „Co, do diabła, mam zrobić? Jak powstrzymać ten płacz?”

Przypomniał sobie opowieść pana Capelli o jego babce, jak tłukła wszystkie lustra w domu, w którym ktoś umarł, bowiem za każdym razem, kiedy się w nie spogląda, zabierają one maleńki skrawek duszy. Może gdyby zbił to lustro, uwolniłby ducha prawdziwego chłopca i nie musiałby on już cierpieć. Z drugiej strony jednak, przypuśćmy, że stanowi ono jego jedyny kontakt z realnym światem i ludźmi, którzy mogliby mu pomóc? Przypuśćmy, że wzywa w ten sposób ratunku? Lecz przed czym, albo przed kim? I jeśli życie w lustrze stanowiło taką udrękę, to czemu nie płakał przez te wszystkie lata, kiedy wisiało ono w piwnicy pani Harper?

A może płakał, tylko pani Harper zdecydowała się to zignorować?

Płacz nie ustawał: och-och-och. Martin uderzył dłonią w lustro.

– Posłuchaj! – krzyknął. – Czy mnie słyszysz? Ktokolwiek tam jest – słyszysz mnie?

Odczekał chwilę, nie nadeszła jednak żadna odpowiedź. Kiedy tak stał, przyklejony do zwierciadła, czuł niezwykłą mieszaninę wściekłości i bezsily, a ponieważ oddychał zbyt głęboko, miał też wrażenie, jakby unosił się w powietrzu, niby mucha obijająca się o szybę. Przez moment nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. W ciągu tego ułamka sekundy pojął, co to znaczy: żyć bez grawitacji, bez zrozumienia tego, czym jest szkło. Mucha może obijać się o okno aż do śmierci i nigdy nie pojmie, że świat na zewnątrz może być łatwo osiągnięty przez ominięcie przeszkody.

– Czy mnie słyszysz? – zawołał. – Jestem tutaj! Tuż obok! Mogę ci pomóc!

I nagle pomyślał: „Co ja, u diabła, robię? Jeżeli chłopiec jest w mojej sypialni, to wystarczy zdjąć lustro ze ściany, przeciągnąć je tam i wtedy będę mógł go zobaczyć na własne oczy.”

Podszedł do biurka, otworzył parę szuflad i wreszcie odnalazł śrubokręt. Rozgorączkowany, zaczął niezdarnie wyciągać jedną po drugiej śruby, utrzymujące lustro na ścianie, po czym, najdelikatniej jak to tylko było w tej sytuacji możliwe, opuścił je na podłogę. W trakcie tego złośliwie uśmiechnięta rzeźba Pana czy też Bachusa znalazła się tuż przed nim: antyczny symbol rozwiązłości spoglądał połączanymi oczami na wizerunek współczesnego przerażenia.

Martin zdjął marynarkę z oparcia krzesła, zwinął ją w rulon i wsunął pod dolną ramię, aby nie uległa uszkodzeniu podczas przeciągania po podłodze. Następnie etapami dowlókl lustro do otwartych drzwi, co chwilę przystając, by otrzeć przedramieniem pot z czoła i złapać oddech.

– Jezus, po co ja to właściwie robię? – zapytał sam siebie.

Przez cały czas było jednak słychać płacz dziecka – oto dlaczego.

W końcu dotarł do drzwi prowadzących na korytarz, nachylił się nad szklaną taflą i zajrzał. Prawdziwy korytarz był pusty – tak samo było w odbiciu. Wszystko było identyczne. Identyczne drzwi, wykładzina, identyczna tapeta, wyraźnie widoczna w świetle padającym na cały korytarz z sypialni Martina.

Ale to światło istniało tylko w lustrze. Kiedy Martin zerknął w głąb prawdziwego korytarza, stwierdził, że jego sypialnia pogrążona jest w ciemności, tak jak ją zostawił. Na poszukiwania chłopca wyszedł nie zapalając bocznej lampki. A niezależnie od tego, światło wydobywające się z lustrzanej sypialni było jasne i ostre, przypominające szpitalne czy biurowe lampy, podczas gdy jego lampkę osłaniał pomarańczowy abażur.

Nagle szlochanie chłopca przeszło w świszczący, śmiertelnie wystraszony oddech. Martin oparł wielkie lustro o brzeg biurka i niezgrabnie pobiegł do sypialni.

Zanim jednak zdołał dotrzeć do drzwi, światło w sypialni pospiesznie zgasło, a oddech dziecka zamarł. Przez ponad minutę Martin stał nieruchomo w drzwiach, natężając wzrok i słuch. Jednak zjawisko zniknęło. W mieszkaniu panowała cisza, lustro nie odbijało niczego poza drzwiami stołowego pokoju, kawałkiem ściany i plakatem *Słonecznej serenady* z roku 1937.

– Jesteś... gwizdzącym chłopcem... – wyszeptało najwątlesze echo; mógł to być po prostu klakson przejeżdżającej daleko w dolinie ciężarówki albo też poświst porannego wiatru w szparze pod drzwiami.

Martin rozejrzał się po sypialni, choć z góry wiedział, że niczego nie znajdzie. Dusza lustra ulotniła się stopniowo wraz z nadejściem przedświt. Wrócił do pokoju i wpatrzył się w nie, złoczone, barokowe i pełne własnych tajemnic.

Przypuszczał, że mógłby je odwieźć do pani Harper, z pewnością jednak uparłaby się, że umowa to umowa i odmówiłaby zwrotu pieniędzy. Mógłby spróbować sprzedać je Ramone Perezowi z „Reel Thing”, wątpił jednak, czy dostałby za nie więcej niż parę setek. Albo też można by wywieźć je na miejskie wysypisko śmieci, rzucić na kupę tłących się odpadków i zapomnieć o tym, że kiedykolwiek je widział.

Ale gdy ostrożnie położył rękę na szkle, powoli poczuł, że lustro wraz ze wszystkimi swoimi sekretami stanowi brzemień, którego przyjęcie było jego przeznaczeniem. Nie było to jakieś wielkie, historyczne fatum, podobne do tych, które sterowały losami Juliusza Cezara, Aleksandra Wielkiego czy Jerzego Waszyngtona, lecz kapryśny, codzienny przypadek, przejście przez drzwi A zamiast przez drzwi B, który kształtuje życie nas wszystkich. Lustro wisiało w piwnicy pani Harper czekając na niego od czasów jego dzieciństwa. Chodził do szkoły, grał w piłkę, dorósł, zaczął pisać scenariusze telewizyjne, dyskutował z Morrisem Nathanem, a przez cały ten czas lustro czekało; czekało na tę



rozmowę telefoniczną, na ostatnie kilka kroków po spękanej betonowej ścieżce przed domem pani Harper.

Sapiąc z wysiłku z powrotem przeciągnął lustro pod ścianę, na której przedtem wisiało, dźwignął je na walizkę od maszyny, podobnie jak za pierwszym razem, i przykręcił na miejsce. Następnie wrzucił śrubokręt do szuflady i poszedł do kuchni. Tam otworzył lodówkę, wyjął z niej karton mrożonego soku pomarańczowego i wypił od razu połowę. Od zimnego płynu aż zabolalo go podniebienie i stał tak na środku kuchni przez dłuższą chwilę, z ręką przyciśniętą do ust i łzawiącymi oczami.

– Prawdziwy z ciebie męczennik – powiedział do siebie. – Wiesz o tym?

Wrócił do sypialni, poluzował pasek od szlafroka i wygładził pościel. Nad jego głową Boofuls uśmiechał się niebiańsko, niczym aniołek, z jego złocistymi loczkami, szeroko rozwartymi oczami i bladą twarzą.

– No, może troszeczkę mnie przestraszyłeś – przyznał Martin.

Nagle zmarszczył brwi i uważniej przyjrzał się plakatowi. Stał na materac i podnosząc rękę, koniuszkami palców delikatnie dotknął papieru. Pod oczami Boofulsa był on lekko wypaczony, jakby niegdyś zamókł i sam wysechł.

Martin bardzo długo wpatrywał się w plakat.

– Może nawet bardziej niż trochę.

\* \* \*

Parę godzin później Martin pojechał do Morrisa, zabierając ze sobą przerobiony odcinek *Drużyny A*. Panował przeraźliwy upał. Idąc dróżką pośród obsypanych czerwonymi kwiatami krzewów czuł zmęczenie i narastającą irytację. Alison leżała na swym materacu, leniwie krążąc po basenie, a jej nos lśnił bielą kremu niczym mały reflektorek. Z ustawionego na trampolinie magnetofonu dobiegała muzyka z *Cats*.

Znalazł Morrisa w solarium wyłożonym białymi kafelkami sprowadzonymi z Meksyku, rozpartego na wielkiej białej otomanie, otoczonej białymi telefonami i stosami kolorowych scenariuszy. Morris przyodziany był w biały ręcznik i podjadał drobne zielone winogrona.

– Dzień dobry – powiedział, rzucając tekst na ziemię obok agenta.

– Właśnie marzyłem o tym, żeby się z tobą spotkać – rzekł Morris. – Weź sobie krzesło. Chcesz trochę wody mineralnej? A może winogronko?

Martin z hałasem przyciągnął pokryte białą farbą krzesło z lanego żelaza, płosząc białoczubą kakadu w zwisającej z sufitu klatce. Morris przywiózł ją kiedyś z Tanageru. Papuga zaskrzeczała, a agent obdarzył go jednym ze swoich długich, staromodnych spojrzeń, cały czas pakując do ust winogrona, jakby ładował naboje do magazynka trzydziestki ósemki.

– Słuchaj, Martin – powiedział w końcu i zawahał się, podczas gdy papuga wydała z siebie jeszcze jedno skrzeknięcie. – Ta historia z Boofulsem może ci nieźle zaszkodzić, jeśli nie będziesz ostrożny. Wczoraj wieczorem byłem na kolacji w hotelu w Bel Air. June Lassiter podeszła do mnie i zrobiła mi porządną awanturę z powodu tego gówna, które próbowałeś jej sprzedać. Powiedziała, że nie lubi bezpośrednio układać się z autorami, szczególnie jeżeli w grę wchodzi coś takiego. Mówiłem ci, że to niewypał. Wszystkich tylko wprawisz w zakłopotanie. Ze mną już ci się to udało. Co miałem odpowiedzieć: że umyvam ręce? W każdym razie jednak przeprosiłem ją w twoim imieniu.

– W żadnym wypadku nie miałeś prawa nic takiego robić! – warknął Martin.

– Cóż, ktoś musiał – odparował Morris, przekręcając się na otomanie. – Przyjacielu, zawlec ten pomysł do jeszcze jednego większego studia, a na twoich oczach zwodzony most twojej szansy uniesie się, zostawiając cię, niby jakiegoś *szlemiela*, na brzegu, powiem ci jeszcze coś: nie mam zamiaru być tym *nebach*, który przerzuci ci linę przez fosę.

Martin wstał, głośno szurając krzesłem, co wywołało u czubatej kakadu szal wrzasku i trzepotania.

– Oglądasz za dużo starych filmów z Burtem Lancasterem. Kto ci powiedział, że złapałbym się tej liny, nawet gdybyś ją rzucił?

– Uspokój się, dobrze? – powiedział mu Morris, po czym odwrócił się do papugi i wrzasnął: – Przestań skrzeczeć, ty durne ptaszysko!

– Morris, to może brzmi śmiesznie, ale wydaje mi się, że go znalazłem.

– Kogo? O czym ty mówisz? Zamknij się, ptaku! Wiesz, jak Alison nazwała to stworzenie? Dreyfuss. Według niej jest podobne do Richarda Dreyfussa.

– Boofulsa – odrzekł Martin niepewnym głosem.

– Cooo? – Morris skrzywił się. – Martin, czy możesz wyrażać się jaśniej? Mam tu do przejrzenia sześćdziesiąt scenariuszy. Sześć-dzie-siąt. Popatrz na to: *Scarlett O’Hara – dzieciństwo i młodość*. Czy ci ludzie poszaleli? A i ty sam zaczynasz wariować na punkcie tego Boofulsa. Wszystko, co od ciebie słyszę, to Boofuls, Boofuls, Boofuls. Gdyby nie to, że już nie żyje, sam życzylibym mu śmierci.

– Właśnie o to chodzi – przerwał mu Martin. – Nie jestem tego pewien. Nie do końca.

Morris uniósł kolejne grono i zjadł je bardzo powoli.

– Nie wydaje ci się, żeby Boofuls do końca nie żył?

Martin skinął głową.

Morris dzwignął się do pozycji siedzącej.

– Martin, gdybym wiedział, że cię na to stać, wysłałbym cię do doktora Eisenbauma. Czy to ten upał? A może daję ci za dużo przeróbek *Drużyny A*, co?

Martin głęboko zaczerpnął powietrza.

– Kupiłem lustro, które kiedyś należało do wyposażenia domu Boofulsa. Co więcej, najprawdopodobniej wisiało nad kominkiem tego dnia, gdy zabiła go babka.

– Mów dalej. – W głosie Morrisa brzmiała głęboka niechęć. Cokolwiek Martin miał do powiedzenia, Morris absolutnie nie przypuszczał, by miało mu się to podobać.

– No więc – jest u mnie dopiero parę dni – kupiłem je w środę – tuż po wizycie u ciebie – pewna kobieta z Hillside Avenue przechowywała je w piwnicy...

– I?

– To bardzo trudno wyjaśnić, wydaje mi się jednak, że on w nim jest.

– W czym? – Morris zmarszczył brwi.

– W lustrze – wyjaśnił Martin. – Myślę, że w jakiś sposób Boofuls jakby – cóż, ciężko to opisać – jakby uwiązał, utknał wewnątrz lustra. Może nie on sam, tylko jego duch czy też część ducha. Chryste, Morris, wczoraj w nocy on płakał, płakał przez prawie pół godziny! Słyszałem go!

Przez długą chwilę Morris zastanawiał się nad tym, z ręką zawieszoną nieruchomo tuż przy rozchylnych wargach.

– Boofuls jest uwięziony wewnątrz twojego lustra?

– Wiedziałem! Myślisz, że zwariowałem! Ale to prawda, Morris. Nie mam pojęcia, jak się to stało i cholernie się boję, ale on tam jest!

– Widziałeś go?

– Nie, ale słyszałem, jak płacze.

– Skąd wiesz, że to Boofuls, jeżeli go nie widziałeś? Może to jakieś dziecko w mieszkaniu obok.

– Bo w mieszkaniu obok nie ma żadnych dzieci, a także dlatego, że widziałem wszystkie filmy Boofulsa, absolutnie wszystkie, i to wiele razy. Jeżeli ja bym nie poznał głosu Boofulsa, to nikt nie byłby w stanie tego zrobić!

Morris wcisnął winogrono do ust, zmiażdżył je między błyszczącymi złotymi zębami i dziwnie zniewieściałym gestem lekceważąco machnął swą drobną, pulchną dłoń.

– Martin, za bardzo się tym wszystkim przejmujesz, i tyle. Cała ta sprawa wpływa na twój umysł! To się zdarza, sam widziałem podobne przypadki. Pewien autor, niejaki Jack Posnik, chciał zrobić epicki film wojenny o wojnie na Filipinach – to jeszcze jeden z tych pechowych tematów. Skończyło się na tym, że przywdział mundur i kazał nazywać się porucznikiem Rooseveltem.

– Morris – nalegał Martin – kiedy wróciłem do pokoju, mój plakat był wilgotny. Plakat Boofulsa był poplamiony łzami. Przysięgam!

Morris przyjrzał mu się zwięzonymi oczami.

– Czy jesteś katolikiem? – zapytał ostrym tonem. – Słyszałem coś o płaczących wizerunkach Madonny i tego typu sprawach...

– Morris, na miłość boską, posłuchaj! Pomyśl, co to za historia! Jaki by z tego można zrobić film!

W tym momencie do pomieszczenia weszła Alison, człapiąc mokrymi, bosymi stopami. Dziś miała na sobie jaskrawożółte bikini, które prawie w ogóle jej nie zakrywało. Od ostatniego razu jej opalenizna przybrała ciemniejszy odcień, z wyjątkiem białej plamy kremu na nosie.

– Martin! – wykrzyknęła. – Tak myślałam, że to ty!

– Zdaje się, że właśnie wychodziłem.

– Chyba tak – powiedział Morris. – Ale posłuchaj, proszę cię, dla twego własnego dobra, a i dla mnie też, daj sobie na razie spokój z Boofulsem. Powiem ci, co zrobimy. W przyszłym tygodniu ty i ja polecimy do San Diego i spędzimy weekend leniuchując na mojej łodzi, dobra? Będziemy łowić ryby, pić wino, jeść – i wtedy omówimy całą sprawę. Na pewno uda nam się dojść do czegoś bardziej strawnego. Czegoś w nieco lepszym guście. No i wiesz, czegoś, co mógłbyś sprzedać od razu, bez wzbudzania u wszystkich dreszczy.

Martin spojrział na Alison, ta zaś z miną posiadaczki położyła rękę na ramieniu Morrisa i odpowiedziała zachęcającym uśmiechem. „Miła dziewczyna”, pomyślał, „nie aż taka *cacke*, jak mi się z początku zdawało. Zasługiwała na więcej niż Morris i jego męskie szowinistyczne gadki o buforach.”

– Moja matka uwielbiała Boofulsa – zauważyła pojednawczo.

– Jasne – odparł Martin, po czym zwrócił się do Morrisa: – Miłej lektury. Może i jestem *szlemiel*, ale ciągle jeszcze potrafię pisać pierwszej klasy dialogi.

Wyszedł na gorące słońce. Ogólnie rzecz biorąc, był to jeden z tych dni, kiedy miał ochotę kupić dużą butelkę chardonnay, usiąść w pokoju i słuchając Z.Z. Top upić się w samotności.

\* \* \*

W powrotnej drodze zrobiło mu się tak gorąco, że zatrzymał się przy kiosku i kupił dwa lody, jeden dla siebie, drugi dla Emilia. Kiedy jednak dotarł do domu, trzymając w rękach goły patyk i ciekące opakowanie, ujrzał jedynie samochodziki leżące w pyłe obok schodów – i ani śladu dziecka.

– Emilio! – zawołał w kierunku podwórza. Lepki sok pomarańczowy spływał mu już po przegubie. Mały chłopiec w pasiastej tęczowej koszulce prowadził chodnikiem kudłatego, ryżego kundla.

– Hej, mały! – krzyknął Martin. – Masz ochotę na loda? Trochę się stopił, ale cię nie zabije.

Chłopiec wystawił język i odbiegł, tupiąc trampkami, aż na róg Yucca Avenue. Martin wzruszył ramionami. To chyba dobrze, że dzieci nie chcą rozmawiać z obcymi spoconymi autorami scenariuszy z topniejącymi lodami w rękach. Rzucił go do rynsztoka, na co kobieta w bawełnianym kapeluszu spojrzała na niego z drugiej strony ulicy, jakby nareszcie odkryła człowieka odpowiedzialnego za zanieczyszczenie środowiska naturalnego w całej południowej Kalifornii.

Martin zawrócił do domu i wszedł na schody. Wnętrze pachniało środkami dezynfekującymi i parmezanem, przynajmniej jednak panował tam chłód.

Poranne spotkanie z Morrisem przygnębiło go. Niespecjalnie przejął się tym, że agentowi nie spodobał się pomysł musicalu o Boofulsie. Był do tego stopnia profesjonalistą, by wiedzieć, że u jednych samo wspomnienie filmu może wywołać odruch wymiotny, podczas gdy drudzy nad tym samym dziełem rozplývają się z zachwytem. Jednak głęboko uraził go fakt, że June Lassiter mogła za jego plecami skarżyć się na niego Morrisowi. Poczł się nagle jak niezręczny amator, jakby jeszcze nie został uznany przez właściwe Hollywood.

Był już niemal na górnym podejściu, gdy usłyszał śmiech Emilia. „Cóż”, pomyślał filozoficznie, „lody i tak nie przetrwałyby wspinałki po schodach.” Kiedy jednak minął zakręt, zobaczył, że drzwi jego własnego mieszkania są lekko uchylone, a na podest przed nimi pada trójkątna plama słonecznego światła.

Najciszej jak tylko mógł, podszedł do drzwi. Ponownie dobiegł go chichot Emilia.

– Nie możesz jej rzucić! Nie możesz! – Znow śmiech. Po czym: – Nie dasz rady jej rzucić, nie przejdzie!

Martin delikatnie otworzył drzwi i na palcach, jak najszybciej przemierzył korytarz w stronę pokoju stołowego. Emilio wiercił się po całym pomieszczeniu, słycać było skrzypienie jego trampek na drewnianej podłodze. Zaśmiewał się tak gwałtownie, że przez moment Martin bał się, że dziecko się dusi.

Spróbował zajrzeć przez szparę w drzwiach. Przed oczami mignęły mu wyblakłe czerwone tenisówki Emilia, potem jego zwichrzone czarne włosy. Otwór był jednak za mały na to, by dostrzec wiszące na przeciwległej ścianie lustro, podejrzewał zaś, że jeśliby bardziej uchylił drzwi, wystraszyłby tego kogoś lub coś, z kim lub z czym bawił się Emilio.

Chłopiec zawołał ze śmiechem:

– Przestań ją rzucać!

I wtedy Martin usłyszał drugi głos – głos, który zupełnie nie przypominał krzyku Emilia. Brzmiał on czysto, dziecinnie, z lekkim pogłosem, jakby dochodził z tunelu albo wysokiego pomieszczenia.

– Weź jeszcze jedną piłkę! Jeszcze jedną! – I dziwny, dźwięczący śmiech.

Martin odniósł wrażenie, jakby ktoś uniósł kołnierzyk jego koszuli na karku i stopniowo opróżnił mu na plecy dzbanek lodowatej wody.

Jak to powiedział Morrisowi? *Jeżeli ja nie jestem w stanie poznać głosu Boofulsa, kiedy go usłyszę, to nikt tego nie robi.*

– Co? Jeszcze jedną piłkę? – To Emilio.

– Musimy mieć dwie! Jeśli ty rzucisz do mnie, to ja będę mógł rzucić do ciebie!

Chwila wahania, po czym głos Emilia:

– Dobra, to poczekaj chwilę. – I tupot tych skrzypiących trampek w stronę wyjścia.

W jednej chwili Martin pchnął drzwi, które odbiły się od ściany i zadrżały w zawiasach. Odsunął Emilia na bok i skoczył na środek pokoju.

Wydało mu się, że dostrzegł jakiś zamazany kształt, mogący być ramieniem albo nogą. Równie dobrze jednak mogło to być tylko złudzenie.

Lustro było puste, pomijając jego samego, pokój, południowe słońce i stojącego tuż za jego plecami oszołomionego Emilia.

Martin odwrócił się gwałtownie.

– Gdzie on jest? – zapytał załamującym się głosem.

Emilio potrząsnął głową.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Chłopiec, prawdziwy chłopiec. Gdzie on jest?

– On...

– Posłuchaj, Emilio. Stałem tuż za drzwiami. Słyszałem go. Słyszałem na własne uszy.

Niespodziewanie dwie łzy stoczyły się po policzkach chłopca i spłynęły po brodzie na ziemię.

– Kazał mi nikomu nie mówić. Powiedział, że jeżeli ktokolwiek się dowie, ukarzą go.

Martin ukląkł na jedno kolano i przytulił go do siebie.

– Posłuchaj, stary. Nie chcę go skrzywdzić. Jestem jego przyjacielem, tak samo jak ty.

– On mówi, że się boi.

– A czego się ma bać? Mnie nie musi się obawiać. Mogę mu pomóc. A przynajmniej tak mi się zdaje.

Emilio pokręcił głową.

– Twierdzi, że się boi.

– No dobra – powiedział Martin i wstał. Zerknął w stronę lustra ciekaw, czy jego mieszkanie słucha ich w tej chwili.

– Ale jeśli ten chłopiec jest naprawdę tym, kim myślę i jeśli został uwięziony w lustrze czy coś w tym stylu, nieważne z jakiego powodu, i teraz się boi – to jestem pewien, że uda mi się znaleźć jakiś sposób, aby mu pomóc, bo wiem o nim więcej niż on sam.

Emilio szybko, jakby chyłkiem zerknął na lustro i zapytał:

– Czy mogę już iść?

Martin wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Pewnie, że możesz. To nie przesłuchanie trzeciego stopnia.

Choć Emilio nie rozumiał, o co mu chodzi, poszedł i tak. Mijając drzwi kuchni odwrócił się jednak.

– Czy zaprosisz go na drugą stronę na obiad?

– Na drugą stronę?

– No wiesz, jak po drugiej stronie lustra.

Martin przeszedł przez korytarz i wymierzył chłopcu udawany cios, jakiego nie powstydziliby się Rocky.

– Chyba czegoś tu nie rozumiem.

– Ale on lubi lazanie.

– Powiedział ci?

– Lubi szwedzkie zraziki i lazanie, i placek orzechowy.

– Więc lazania twojej babci nie zmarnuje się u mnie?

– Nie, proszę pana.

Martin patrzył, jak Emilio schodzi po schodach. Niesamowite, z jaką łatwością dzieci akceptują to, co niezwykle i nadprzyrodzone, pomyślał. Ale może to lustro nie było aż takie niezwykle i nadprzyrodzone, na jakie wyglądało. Czytał kiedyś w *Popular Radio*, że lustra mogą czasem odbierać sygnały radiowe z potężnych nadajników dzięki swej warstwie srebra i że ich szkło jest w stanie wibrować wystarczająco mocno, aby ludzie mogli usłyszeć bezcielesne głosy. Pewnej nocy w

1962 roku w Pasadenie żona kierownika sklepu leżała w łóżku, czekając na powrót męża, kiedy lustro na jej toalecie zaczęło odbierać wywiad z Frankiem Sinatrą z Palm Springs. Jej mąż usłyszał męski głos w sypialni żony i strzelił. Kobiętę zranił, po czym popełnił samobójstwo.

Wrócił do pokoju, uniósłszy ręce oparł się o lustro, nasłuchując, i czekał tak przez dłuższą chwilę. Ani śladu chłopca. Nic.

– Walter! – zawołał. – Boofuls! Chodź tu, Boofuls, pozwól, że ci się przyjrzę! Jestem twoim największym wielbiciele! Czemu nie wyjdiesz i nie zatańczysz dla mnie tego marynarskiego tańca? No dalej, Boofuls, trzy lata życia poświęciłem na pisanie o tobie. Trzy lata – i trzy pełne transfuzje krwi i potu. Najmniej, co możesz dla mnie zrobić, to zatańczyć przez kilka minut.

Odczekał pięć minut, dziesięć. Nic się nie stało. Boofuls nie pojawił się. W końcu Martin odwrócił się od lustra i spojrzął na maszynę do pisania. Miał jeszcze trochę roboty przy scenariuszu *Knight Rider*. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby się do tego zabrać. Próbami nawiązania kontaktu z chłopcami, którzy mieszkają w lustrze, nie zarobi na chleb.

Włączył magnetofon i wsunął do niego kasetę ze ścieżką dźwiękową z *Pieśni Południa*. Natychmiast zaśpiewały flety, zadudniły werble, a pokój wypełniły dźwięki otwierającego film marsza, kiedy to Boofuls paraduje jako kapelmistrz na czele regimentu dwustu przebranych za Murzynów śpiewaków, defilujących promenadą.

*Południa Pieśń! Południa Pieśń!  
Gdy grają nam flety, puzony i werble,  
i ty możesz iść z nami i śpiewać ją też!*

Martin zasiadł za biurkiem, wkręcił nową kartkę do maszyny i zabrał się za najnowsze przygody Davida Knighta. Przewrotnie zaciekało go, czy Kit – gadający samochód – mógłby okazać się homoseksualistą, wyjść ze swego podziemnego garażu i ujawnić się przed światem.

*Południa Pieśń! Południa Pieśń!  
Bo to pieśń, bo to pieśń, bo to pieśń nasza jest!*

Sam nie wiedział, co przyciągnęło jego wzrok, co sprawiło, że oderwał się od zdania „Co jest, David? Kłopoty?“, obrócił wraz z krzesłem i uważnie wpatrzył w lustro. Białoniebieska piłka wytoczyła się spod biurka na środek pokoju i tam zamarła, przez chwilę kołysząc się lekko, aż wreszcie całkiem znieruchomiła.

Obejrzał się na prawdziwy pokój. Nie było w nim żadnej piłki. Wyłączył maszynę, podszedł do lustra i przez dwie lub trzy minuty z namysłem przyglądał się zabawce. Szybko wrócił do biurka, otworzył dolną szufladę i wyjął piłkę tenisową, której używał do ćwiczeń zeszłego lata. – *Musimy mieć dwie!* – tak wołał przedtem chłopiec. – *Jeśli ty rzucisz do mnie, to ja będę mógł rzucić do ciebie!*

Przez moment zawahał się, podrzucając lekko piłkę na dłoni. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia cisnął ją mocno w lustro, prawie pewien, że je stłucze, czując jakby nadzieję, iż tak się stanie.

Rozległ się donośny odgłos uderzenia. Piłka, odbiwszy się od szkła, potoczyła się po podłodze,

aby spocząć zaledwie piętnaście centymetrów od jego adidasów.

Nie była to już jednak zniszczona, szara piłka tenisowa, tylko nowiutka biało-niebieska piłeczka. A kiedy wstrząśnięty obejrzał się i spojrzął w lustro, zobaczył tam własną piłkę, dokładnie w tym samym miejscu, piętnaście centymetrów od jego nogi.

Podniósł piłkę. Była twarda i roztrzącała silny zapach gumy i farby. Jego odbicie podniosło piłkę tenisową i także ją powąchało.

– Mój Boże – szepnął i wolno podszedł do lustra, trzymając przed sobą biało-niebieską zabawkę, aż wreszcie dotknęła szklanej powierzchni. Jego odbicie uczyniło to samo, toteż zdawało się, że piłki się stykają.

Martin ledwie mógł uwierzyć w to, co widzi. Obracał piłkę na wszystkie strony, jednak bez wątpienia pozostawała tym, czym była, podczas gdy jej odbicie przedstawiało nadal szarą, wyłysiałą piłkę tenisową, którą kopał całe lato.

Spróbował jeszcze jednego eksperymentu. Cofnął się, wziął zamach i rzucił piłeczkę prosto w lustro. Ponownie rozległ się ten sam dźwięk, ale tym razem do prawdziwego pokoju znowu potoczyła się biało-niebieska kula. Martin podniósł ją, obrócił w dłoni i położył na biurku obok findesieclowego przycisku do papierów z brązu, przedstawiającego tancerkę odzianą w strusie pióra. Wpatrując się w piłkę usiadł, po czym nalał sobie wina i dalej na nią patrzył.

Słońce wędrowało po pokoju. Na sąsiednim podwórzu, obok basenu, Maria Bocanegra pojawiła się i zniknęła, chusteczkami osłaniając sutki od słońca. Nawet nie wstał, by na nią spojrzeć. Nie mógł oderwać wzroku od biało-niebieskiej piłki.

Dzień się skończył. Nie dotarło to do niego. Noc była jasna, światełka migały po horyzont.

Zasnął na krześle. Biało-niebieska piłka pozostała na swym miejscu, nieruchoma.

### 3.

Tej nocy śnił, że jest najmniejszym morskim żyjątkiem, skulonym w najmniejszej z muszelek na rozległej plaży oświetlonej blaskiem księżyca.

Czuł dotyk piasku, a w ustach smak soli. Słyszał odgłos wolnych, nieustających konwulsji oceanu, zmieniających skały w głązy, głązy w kamyki, kamyki w pył, dzień za dniem, rok po roku, nawet kiedy nie było nikogo, kto mógłby być tego świadkiem.

Odczuwał straszliwe przerażenie istoty małej i bezbronnej.

\* \* \*

Otworzył oczy. Zbudził się zlany potem. Powinno być gorąco, wokół jednak panował zaskakujący chłód. Zadrżał. Usiadł na łóżku, a z jego ust wydobyły się kłęby pary. Trudno mu było stwierdzić, czy to jeszcze sen, czy może już jawa – czy on sam to Martin Williams, czy raczej nadal małż.

Zawołał:

– Kto tam? – jeszcze zanim się do końca ocknął.

Ze stołowego pokoju dochodziły stłumione szepty: dwoje dzieci dzielących się sekretami. Widział także mrugające światło: chłodny kliniczny blask, jakby ktoś w pokoju spawał coś bezszelestnie.

– Emilio? – zawołał. I jeszcze raz, głośniejsze: – Emilio?

Odrzucił koc i sięgnął po szlafrok. Pospiesznie wyszedł na korytarz i podszedł do drzwi pokoju. Światło wewnątrz, choć migotliwe, było jednak bardzo jaskrawe, tak że musiał zasłonić oczy dłonią.

Na moment przystanął. Tym razem nie czuł specjalnego strachu, raczej wielką ciekawość. Jeżeli miał rację i to naprawdę był Boofuls albo duch Boofulsa, cóż za spotkanie go oczekiwało! Gdyby żył, Boofuls zbliżałby się teraz do sześćdziesiątki; Martin miał tylko trzydzieści cztery lata.

Mocno pchnął drzwi. Pokój lśnił wyładowaniami elektrycznymi, panowało w nim straszne zimno. Obróciwszy się, ujrzał Emilia w koszulce nocnej ozdobionej podobizną Misia Puchatka, klęczącego przed lustrem z uniesioną jedną ręką. Naprzeciw niego zaś – zamiast zwykłego odbicia – znajdował się drobny chłopczyk o złotych loczkach, ubrany w jasnożółtą piżamę.

Serce Martina przestało na moment bić, załomotało, po czym znów przystanęło – podobnie, jak to mu się kiedyś zdarzyło w kinie na *Zemście Montezumy*, w czasach jego dzieciństwa. I do tego to samo hipnotyczne, niemal histeryczne rozumowanie: *Nie chcę tego robić bardziej niż czegokolwiek na świecie, ale muszę, bo boję się tak, że prawie nie mogę już myśleć o tym, jak bardzo mnie to przeraża.*

Nie było żadnych wątpliwości. Chłopcem w lustrze był Boofuls. Martin wpatrywał się w niego z chorobliwą fascynacją. Stał tam, z uśmiechem na ustach. Jego oczy były znacznie mniejsze i jaśniejsze, niż to sobie Martin wyobrażał, zapewne jednak filmowi charakteryzatorzy przyciemniali



mu rżęsy, zanim stawał w świetle reflektorów. Także jego włosy wydawały się rzadsze. Złote – tak, i bardzo kręcone, lecz cienkie, niczym włosy dziecka, które cierpi z powodu alergii, stałego napięcia albo konfliktów z rówieśnikami.

Emilio skłonił swą ciemną głowę w kierunku lustra, a Boofuls nachylił się w jego stronę. Ich poruszenia były tak dokładnie zharmonizowane, iż niemożliwe było stwierdzenie, kto z nich inicjuje, a który naśladuje. Może zresztą istniała między nimi tak silna więź, że byli w stanie jednocześnie wykonywać identyczne ruchy.

Scena ta dziwnie przypominała Martinowi jeden z tych filmów braci Marx, w których Harpo staje w pustej ramie zwierciadła, imitując poruszenia jakiegoś biednego naiwniaka, próbującego poprawić sobie przed nim krawat.

– Moglibyśmy to zrobić teraz – wyszeptał Emilio.

A Boofuls przytaknął, na co Emilio również skinął głową. Emilio podniósł się, trzymając ręce po bokach. Boofuls także wstał z uśmiechem na białej twarzy.

– Raz! Dwa! TRZY! – powiedział.

I w tej sekundzie Martin zrozumiał, co zamierzają zrobić. Stara piłka tenisowa wpadająca do lustrzanego świata i wylatująca z niego nowiutka biało-niebieska piłeczka – tylko, że nie mógł potem odrzucić jej z powrotem.

– Emilio! – krzyknął z całych sił. – EMILIO, NIE!

Chłopiec odwrócił się, zaskoczony. Boofuls także obrócił głowę – tu jednak zawiodła go jego lustrzana zdolność naśladowcza, bowiem spojrzał prosto na Martina, dokładnie tak jak Emilio. Jego małe oczka przez moment zaśniły szafirowym błękitem, niczym dwa miniaturowe łuki elektryczne. Obiema rękami sięgnął w stronę Emilia.

Wtedy jednak Williams, który nigdy nie umiał zanurkować po piłkę ani właściwie się uchylać, przyniósł zaszczyt swemu trenerowi – pięknym szczupakiem rzucił się w kierunku chłopca, chwycił go w pasie i padł razem z nim na podłogę.

Przez ułamek sekundy Martin poczuł, że coś z niezwykłą siłą ciągnie Emilia, zupełnie jakby był wysysany z samolotu, w którym nagle spadło ciśnienie. Jedną ręką złapał krawędź biurka, palce ześliznęły się, po czym znalazły punkt zaczepienia; drugą cały czas podtrzymywał dziecko. Po sekundzie gwałtownego ssania nieznaną siłą ustąpiła, mrugające światła zamarły, a oni dwaj pozostali rozciągnięci na podłodze w ciemności, chłodzie i ciszy.

Martin przejechał dłonią po czuprynie chłopca.

– Nic ci nie jest, Emilio?

Ku jego zdumieniu, na policzkach dziecka błyszcząły łzy.

– Daj spokój – powiedział siadając. – O co chodzi?

– Ja chciałem tam pójść – wyszlochał Emilio.

– Chciałeś tam pójść? Ale gdzie?

– Na drugą stronę lustra, naprawdę chciałem.

Martin spojrzał na lustro. Boofuls zniknął. Jedyne, co było w nim widać, to ich dwóch i pokój, oświetlony promieniami księżyca. Gdzieś na zewnątrz, oddalając się w kierunku La Brea, wyla syrena policyjna. Samotne echo strachu i zagrożenia.

– Chodź. – Martin wziął chłopca pod rękę i pomógł mu wstać. – Poszukamy sobie coli.

Emilio wyprostował się i ze smutkiem popatrzył na lustro.

– On tylko chciał się pobawić.

– Tak ci powiedział?

Emilio przytaknął.

– Mówił mi, że będziemy mogli bawić się przez cały dzień, że nie będę musiał iść do szkoły.

Chce, żebym poznał jego przyjaciół. I jego starego.

– Jego starego? To znaczy ojca?

– Właśnie. I mówił, że będziemy jeździć na wycieczki i pływać w morzu, no i w ogóle.

Martin nachylił się nad biurkiem i wziął do ręki biało-niebieską piłeczkę.

– Emilio – zapytał – czy wiesz, skąd to się wzięło?

– Mmhmm.

– Stamtąd. Z lustra. Spójrz na moje odbicie. Co trzymam w ręce? Starą piłkę tenisową, prawda? A

popatrz tutaj. To zupełnie nie ma sensu. Tak jak to, że widzimy tego chłopca, też nie ma sensu. Kiedy się patrzy w lustro, powinno się widzieć siebie samego, a nie kogoś innego.

Emilio otarł łzy rękawem.

– Problem w tym, że nie mogę odzyskać mojej piłki tenisowej – powiedział Martin.

– Ale przecież ta jest w porządku. Czemu chcesz tamtą z powrotem?

Martin podrzucił piłkę w górę i złapał ją ponownie.

– Emilio, nie o to chodzi. Nie mogę jej wydostać, czy tego chcę, czy nie. A teraz przypuśćmy, że to ty przeszedłeś przez lustro. Tak jak ja to widzę, aby cokolwiek mogło tego dokonać, prawdziwa rzecz musi zamienić się miejscami z lustrzaną. Rozumiesz? To tak, jak ten chłopiec mówił ci wczoraj. Nie możesz grać w piłkę z jej odbiciem, to się po prostu nie da. Potrzebne są dwie piłki: jedna musi przejść stąd – tam, a druga stamtąd – tu. Tak samo potrzeba dwóch chłopców. Jeden musi wejść w lustro, a drugi z niego wyjść.

Emilio podrapał się w głowę jak jeden z Małych Łotrzyków.

– Ale jeśli ten chłopak musi wyjść, kiedy ja tam wejdę, to jak mamy się razem bawić? Obiecał pokazać mi swoją kolekcję ołowianych żołnierzyków.

– Posłuchaj mnie, mój ty supermózgu – rzekł Martin. – Jeżeli ta biało-niebieska piłka przeleciała przez lustro, a ja nie mogę teraz odzyskać mojej, to czy istnieje jakikolwiek powód, by przypuszczać, że kiedy ten chłopiec wyjdzie z lustra, będę w stanie wydostać stamtąd ciebie?

Emilio namyślał się przez chwilę z kwaśną miną, po czym powiedział:

– Wcale nie chcę wracać. Nie zależy mi. Wszystko jest lepsze od babci i dziadka. Zawsze pachną czosnkiem, a pod łózkami pełno jest kłaczek kurzu.

– Identyczne kłaczki istnieją też w lustrze – zapewnił go Martin. – Tak samo jak łóżka, pod którymi je znajdujesz. Jest tam taki sam czosnek, ci sami ludzie, ten sam świat. Jedyne różnica to to, że wszystko jest tam dokładnie odwrócone.

– Chciałbym to zobaczyć. – W głosie chłopca brzmiała tęsknota.

– Nie ma w tym nic specjalnego, uwierz mi.

– A właśnie, że tak! Popatrz na te napisy! – to mówiąc wskazał na litery edanereS enihsnuS. – Ciekaw jestem, jak się to mówi. Fajne.

– Fajne. – Martin uśmiechnął się, potrząsnął głową, i objął ramieniem Emilia. – Powinieneś zostać drukarzem, oni właśnie to robią: czytają odwrócone teksty. Chodź po tę colę.

Przeszli do kuchni. Emilio przysiadł na taborecie, podczas gdy Martin otwierał dwie puszkę coca-coli.

– Ten chłopiec naprawdę nie nazywa się Petey, prawda? – spytał Emilio.

– Nie – wyjaśnił Martin. – On ma na imię Boofuls.

– Tak jak ten na plakacie u ciebie w sypialni?

– Dokładnie ten sam.

Emilio głośno siorbnął przez słomkę.

– Ale to zdjęcie jest bardzo stare.

– Zgadza się. Dokładnie biorąc, z 1936 roku. A to ponad pięćdziesiąt lat temu.

Emilio dalej ssał colę, zastanawiając się, co powiedzieć. Jego twarz była bardzo blada, bo o tej porze powinien już dawno spać. Pod oczami miał śliwkowego koloru kręgi.

– To w jaki sposób on jest ciągle chłopcem? – zainteresował się nagle.

– Nie wiem – przyznał Martin. – Powinien nie żyć. To znaczy, myślę, że on nie jest prawdziwy. To, co widzisz w lustrze, to raczej coś w rodzaju ducha.

Emilio przemyślał to.

– O rany. Nigdy przedtem nie widziałem ducha.

– Ja też nie. – Martin otworzył torebkę chrupek. – Dlatego właśnie uważam, że twoje zabawy z nim to może nie jest najlepszy pomysł. Nie chciałbyś przecież skończyć jako duch, co?

– Czy byłbym niewidzialny? No wiesz, gdybym został duchem. Czy mógłbym przenikać przez ściany?

– Nie mam pojęcia. Ale z tego, co wiem o duchach, nie są one zbyt szczęśliwe. No wiesz, Boofuls nie jest specjalnie zadowolony, prawda? Słuchaj, może byś coś zjadł? Chrupkę albo co. Mam tu gdzieś te, jak im tam, chipsy.

Emilio potrząsnął głową. Był zbyt zmęczony i za bardzo fascynowała go nieziemska natura kolegi, którego poznał w pokoju stołowym Martina. Można było niemal zobaczyć maleńkie kółeczka obracające się w jego głowie: „Grałem w piłkę z duchem! Rozmawiałem z duchem! Duch! Prawdziwy żywy duch! Nie jak w bajkach czy w filmie *Poltergeist*, ale taki jak ja! Duch-chłopak, zupełnie podobny do mnie!”

Martin ciągnął dalej:

– Możliwe, Emilio – istnieje takie prawdopodobieństwo – że zabawa z Boofulsem może nie być całkiem bezpieczna. Rozumiesz mnie? To znaczy, sam Boofuls nie chce ci zrobić nic złego. Przynajmniej według mnie. Ale ta cała historia jest dość niesamowita, prawda? I dopóki się nie dowiemy, co się właściwie dzieje, czemu on tu jest i czego chce – to myślę, że lepiej by było, gdybyś tu na razie nie przychodził.

Emilio wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.

– Przecież Boofuls mnie lubi?

– Jasne, że tak. Pewno uważa cię za najlepszego kumpla, jakiego kiedykolwiek miał. Ale akurat w tej chwili powinniście najpierw ustalić między sobą pewne rzeczy. Jak na przykład to, że on mieszka po jednej stronie lustra, a ty po drugiej. Tak jak ja to rozumiem, to albo ty jesteś tu, a on tam, albo odwrotnie. A przyznasz, że to trochę za wiele dla normalnego człowieka.

Emilio ziewnął.

– No dobra – poddał się.

W tej właśnie chwili pan Capelli wkroczył ciężko do kuchni, opatulony w lśniący atłasowy szlafrok w metalicznie żółte i karmazynowe paski. Pod spodem Martin dostrzegł szare wełniane podkolanówki.

– Emilio! – krzyknął pan Capelli. – Szukam cię wszędzie! Doszedłem prawie do centrum!

– Wyszedł pan na ulicę w tym czymś i nie został pan aresztowany? – zapytał Martin z udanym zdziwieniem.

Pan Capelli ciałniej owinał się połami szlafroka.

– Pani Capelli podarowała mi go na Gwiazdkę.

– Mnie pan tego nie musi wyjaśniać, niech pan to powie przed sądem. Jedyne swej szczęśliwej gwiazdce może pan zawdzięczać, że nie wysłała się już ludzi do celi śmierci z powodu braku gustu, i

to okazywanego z premedytacją.

– A co ty nazywasz dobrym smakiem, co? Tę kupę złomu, zaparkowaną przed moim domem, którą uważasz za samochód?

Martin podniósł Emilia ze stołka i na dobranoc ucałował go w czubek głowy. Zabawne, że włosy dzieci zawsze wydają podobny zapach: świeży, nasycony młodością, pełen życia; woń kasztanów, lekkich ubranek i letnich dni.

– Proszę – powiedział – lepiej niech pan zabierze tego małego lunatyka z powrotem do łóżka.

Pan Capelli odebrał mu dziecko i przytulił je do siebie.

– Kompletny z ciebie wariat, wiesz, zupełnie jak twoja mama.

– Panie Capelli... – zwrócił się cicho Martin do odchodzącego już z Emiliem w ramionach gospodarza, kiedy ten jednak odwrócił się, dostrzegł łzy w jego oczach, wywołane jednym z tych nagłych uczuć żalu po zmarłej córce, chwilą słabości, przypadającą w najmniej spodziewanym momencie.

Matka Emilia, córka pana Capelli, nie żyła od trzech lat. Jej mąż, Stanley, porzucił ją (Martinowi opowiedziała o tym pani Capelli, ze wszystkimi szczegółami, zupełnie jak w serialu: trzeba było widzieć te kłótnie, słyszeć przekleństwa; jak dwoje ludzi mogło się do tego stopnia znienawidzić, nie do uwierzenia).

Smutna, zagubiona, czując, że w jakiś sposób wypadła z łask, pewnego niedzielnego ranka matka Emilia przesadziła z valium i włoskim winem. Znalaziono ją martwą w jej mieszkaniu, bladą niby Ofelia, z rozrzuconymi ramionami i włosami, prawie piękną, roztaczającą jednak ohydny smród. W całym mieszkaniu kłębiły się roje wielkich much.

Stanley przeniósł się do Saskatchewan, aby tam rąbać drewno. Opiekę nad Emiliem przyznano państwu Capelli. Czosnek, kłaczki kurzu i tak dalej.

– W porządku, Martin, dzieciak musi natychmiast iść do łóżka – powiedział pan Capelli.

– Panie Capelli, muszę z panem porozmawiać – nalegał Martin. – Jeśli mógłby pan wrócić tu na chwilę...

– Porozmawiać?

– Proszę, tu chodzi o Emilia. Czy może mi pan poświęcić pięć minut?

– Już po trzeciej.

– Tak, wiem, ale bardzo pana proszę. Nie jestem pewien, czy to może czekać do jutra.

Oddał kawałek papierowego ręcznika i podał gospodarzowi, który otarł nim oczy. Był to jakby akt akceptacji, pojednania z rzeczywistością.

– No dobra – obiecał pan Capelli. – Ale pięć minut i ani chwili dłużej.

Martin spojrzał na Emilia, wtulonego w ramię dziadka. Chłopiec spał już głębokim snem.

\* \* \*

Po dziesięciu minutach pan Capelli wrócił na górę i zastukał w drzwi.

– Proszę wejść! – zawołał Martin.

Gospodarz w swoim żółto-purpurowym szlafroku stanął w progu, zmęczony i zaambarasowany.

– Przepraszam. Chyba puściły mi nerwy. Po prostu... czasem mam dosyć, wiesz, Andrea i to wszystko...

Martin poklepał go po ramieniu.

– Rozumiem. Też pana przepraszam. Wie pan, my, scenarzyści, wszyscy jesteśmy tacy sami. Spryciarze o niewyparzonej gębie. Właśnie tym zarabiamy na życie.

Pan Capelli przytaknął, nieświadom ironii zawartej w tych słowach.

– Andrea była taka piękna, a Emilio wygląda zupełnie jak ona. Nic nie ma po tym draniu Stanleyu. Stanley miał za blisko osadzone oczy, wiedziałeś o tym? Ale Emilio to wykapaną Andrea. Śliczny, prawdziwy Włoch, cóż więcej można powiedzieć?

– Może kawy? – zaproponował Martin.

– Nie, nie, dziękuję. I tak kiepsko sypiam. No mów, co masz powiedzieć.

– Okay – Martin głęboko zaczerpnął powietrza. – Nie jest to takie proste. Proszę postarać się mnie zrozumieć. Nawet jeśli to nie zabrzmiało logicznie, musi pan pojąć, że nie mówiłbym tego, gdyby nie to, że boję się o Emilia.

– A czemu boisz się o Emilia? – zapytał ostro pan Capelli. – Dlaczego niby miałbyś się o niego troszczyć?

– Proszę posłuchać, panie Capelli. Emilio jest pańskim wnukiem, ale też i moim przyjacielem. Przynajmniej taką mam nadzieję. Nie wydaje mi się, aby było ważne, kto ile ma lat, jak pan sądzi? W końcu różnica wieku między panem a mną jest znacznie większa niż między mną a Emiliem. Nie może więc pan powiedzieć, że on i ja nie mamy prawa być kumplami, prawda?

– Nie, nie mogę – odparł sztywno pan Capelli. Dłonie złożył spokojnie na kolanach.

– No dobrze – ciągnął Martin. – Proszę mi wierzyć, że to, co mam do powiedzenia, leży w najlepszym interesie Emilia. Jeżeli dalej będzie przychodził do mojego mieszkania... – no, krótko mówiąc, nie chcę, aby tu więcej przychodził.

Pan Capelli pochylił się naprzód, rękoma wciąż ściskając kolana.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... no, nie jesteś chyba pedałem?

– Do cholery, panie Capelli! – krzyknął Martin, uderzając pięścią w ścianę. – Tu nie chodzi o mnie! Pedał! Co się dziś z panem dzieje, u diabła? Mam na myśli to lustro, które pomagał mi pan wnieść na górę.

– Lustro, co? Lustro Boofulsa? A co ci mówiłem? Nie powinieneś być przynosić go do domu.

– Może i tak – przyznał Martin. – Nie wiem dokładnie, ale coś jest z nim nie w porządku. Trudno powiedzieć co. Ale to nie jest takie zwyczajne, normalne lustro.

– Może magiczne? – poddał pan Capelli, starając się rozjaśnić nieco tę ponurą i złowieszczą rozmowę, zanim Martin zacznie opowiadać o śmierci, morderstwach i wszystkich innych strasznych tematach, które (podobnie jak *saraghine alla brace*) nieodmiennie wywoływały u niego senne koszmary i potworną niestrawność. – Patrząz w lustro i co? Nie masz na sobie ubrania!

– Nie, panie Capelli, to zupełnie co innego. To znaczy, w pewnym sensie to jest rodzaj magicznego lustra, ale nie sprawia ono, że znika pańskie ubranie czy coś w tym stylu. Nie – kiedy się w nie patrzy... no, nie zawsze widać w nim to, co istnieje w rzeczywistości.

Pan Capelli milczał, oczekując wyjaśnień. Co chwila mrugał wolno oczami, co Martinowi skojarzyło się z pelikanem w ogrodzie zoologicznym w San Diego.

– Chodzi o to, że jeśli Emilio będzie się tu bawił, może zacząć widzieć rzeczy – może nawet ludzi, których naprawdę nie ma. A cóż, gdyby zaczął widywać takie rzeczy – to może to być dla niego, no...

Przerwał. Pan Capelli wpatrywał się w niego w ten pelikani sposób, myśląc zapewne, że całkiem już zwariował.

– Niebezpieczne – dodał, obdarzając gospodarza kretyńskim uśmiechem.

Pan Capelli ścisnął palcami swój bulwiasty nos i zastanowił się przez chwilę, po czym oznajmił:

– Martin, lubię cię. Dlatego daję ci do wyboru: albo pozbędziesz się tego lustra, albo opuścisz ten dom. Jedno z dwojga.

– Wyrzuci mnie pan? – W głosie Martina brzmiało niedowierzenie.

– Oczywiście, że nie. Tylko to lustro.

– Panie Capelli, nie jestem wcale pewien, czy mogę to zrobić.

– Czemu? Oszalałeś? W jednym momencie twierdzisz, że jest niebezpieczne, że widać w nim rzeczy, których naprawdę nie ma, że boisz się o Emilia, a w następnym mówisz, że nie możesz tego zrobić. Otóż możesz, nic prostszego. Po prostu zrób to. Czyżbym za wiele żądał?

Martin położył mu rękę na ramieniu. Pan Capelli przyjrzał się jej uważnie.

– W zasadzie to lustro jest w porządku – rzekł Martin, a pan Capelli zawtórował mu:

– W zasadzie.

– Twierdzą tylko, że jest w nim jakaś wibracja. Nie wiem, może pan to nazwać, jak się panu żywnie podoba. To takie optyczne echo. Echo, które da się zobaczyć.

– Echo, które da się zobaczyć? – powtórzył pan Capelli i Martin dostrzegł, jak bardzo gospodarz jest poirytowany i zmęczony. Nawet nie starał się go zrozumieć. Reakcją pana Capelli na wszystko, cokolwiek mu nie odpowiadało albo czego nie był pewien, było odwrócenie się do tego plecami.

– No dobrze – powiedział Martin – Boofuls ożył. Niech pan mnie nie pyta, jak to możliwe. On jest w tym lustrze. Emilio bawił się z nim i sam o mały włos nie dostałby się tam także.

Pan Capelli wstał. Zerknął przelotnie na Martina, jakby nigdy nic, po czym pokiwał głową. Mruknął do siebie, jeszcze raz skłaniając głowę. Martin przypatrywał mu się z rosnącym napięciem.

– Dobrej nocy, Martin – odezwał się wreszcie pan Capelli i skierował się ku wyjściu.

– To wszystko? Dobrej nocy?

– W porządku, bardzo dobrej nocy. Czego jeszcze chcesz?

– Chcę, aby obiecał mi pan, że przez jakiś czas nie pozwoli Emiliowi tu przychodzić. Niech pan mu absolutnie tego zabroni. Całe moje mieszkanie to teren zakazany.

– Rano będziesz się musiał zdecydować. Albo to lustro opuści mój dom, albo ty. Pierwsza rzecz, którą ci powiedziałem, kiedy je tu przywiozłeś. Pamiętasz? Nic dobrego z tego nie wyniknie. Tak właśnie powiedziałem. I co się stało? Nic dobrego.

– Panie Capelli, całkiem możliwe, że w tym lustrze uwięziony jest prawdziwy chłopiec.

– Racja, i całkiem możliwe, że istnieją tacy spryciarze, którzy potrafią nauczyć świnię, aby sama wskakiwała do wędzarni, i drugą świnię, by odwiozła potem mięso do sklepu.

– Panie Capelli...

– NIE! Tego lustra ma tu nie być do wieczora. W przeciwnym razie wyprowadzasz się stąd. Już późno. Nie chcę o tym więcej dyskutować.

I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Martin pozostał w kuchni. Czuł się wyprany z energii i dziwnie nieważny, jakby sen sprawił, że jego świadomość skurczyła się do rozmiarów mikroskopijnego pyłka. Był niewątpliwie zmęczony, zaniepokojony i wybity z równowagi z powodu tego, co się zdarzyło z lustrem.

Wrócił do łóżka i niemal natychmiast zasnął. Nie pamiętał, aby cokolwiek mu się śniło, choć zdawał sobie sprawę, że błądzi w ciemności, zastanawiając się, czy ujrzy jeszcze kiedyś światło. Kiedykolwiek.

Była już prawie ósma, gdy wydało mu się, że słyszy dziecięcy głos, szepczący mu do ucha: – Gałka-siostra-wiatru.

Usiadł na łóżku. Rozejrzał się po pokoju, całkiem już o tej porze jasnym. Wszystko wyglądało normalnie, miał jednak dziwne uczucie, jakby zasłony i meble skoczyły na miejsce, kiedy tylko otworzył oczy; jakby cały pokój zachowywał się jakoś niezwykle aż do momentu jego przebudzenia.

Zasłony zadrżały lekko, jakby chowało się za nimi dziecko, po chwili jednak Martin zorientował się, że to tylko poranna bryza.

Gałka-siostra-wiatru. Co to, u diabła, miało znaczyć? Nie namyślając się wiele poszedł do pokoju stołowego, poszukał na biurku kawałka papieru i zapisał te słowa zielonym flamastrem. Było w nich coś niepokojącego, wywoływały niejasne skojarzenia. Jakaś książka z dzieciństwa: rysunki chmur, kominów i dalekich wzgórz.

Zerknął w stronę zwierciadła. Szyderczo uśmiechnięta złota twarz Pana wieńczyła obraz, będący skrupulatnym odbiciem rzeczywistości. Jedyne biało-niebieska piłka na biurku pozostawała uparcie w rażącej sprzeczności ze swym odbiciem – szarą piłeczką tenisową.

Podszedł do lustra i nadal trzymając w dłoni strzęp papieru, przejrzał się w nim uważnie. Wyglądał całkiem nieźle i zupełnie spokojnie, choć wcale się tak nie czuł. Zamyślił się. Może naprawdę za tymi drzwiami istniał cały świat, zupełnie odmienny od prawdziwego. Świat, w którym Boofuls przeżył swoją śmierć. Świat Lewisa Carrolla, gdzie zegary uśmiechały się, figury szachowe rozmawiały, wśród kwiatów wybuchały kłótnie, a żeby iść naprzód, należało się cofać.

*Było smaszno, a jaszmije smukwijne  
Świdrokrętnie na zegwniku wężały...*

Z uśmiechem wspomniął słowa „Dzabbersmoka”, nonsensownego zwierciadlanego wiersza z *Alicji Po Drugiej Stronie Lustra*, a także to, jak w dzieciństwie bawiło go przykładanie książki do lustra i czytanie odwróconych słów.

Zawsze wyglądało to dla niego jak jakieś czary, kiedy tajemnicze znaki posłusznie odwracały się i za każdym razem ujawniały swój sekret.

Uniósł kawałek kartki, na którym napisał „Gałka-siostra-wiatru”. Może po odwróceniu coś to będzie znaczyło: w końcu do tej pory wszystko, cokolwiek mu się przydarzyło, miało jakiś związek z tym przeklętym lustrem.

Ale ku jego stopniowo wzrastającemu zaskoczeniu słowa te wcale nie biegly w przeciwną stronę. W lustrze jego własne pismo głosiło nadal „Gałka-siostra-wiatru”, bez żadnych zmian.

Przeniósł wzrok na prawdziwy skrawek papieru. Jego ręka drżała. „Gałka-siostra-wiatru”, tak jak przedtem.

Napis nie chciał odwrócić się w lustrze. Zmiał kartkę, po czym rozprostował ją i uniósł ponownie. Żadnych zmian. Z jakiegoś zupełnie niewyobrażalnego powodu słowa, wyszeptane do niego wczesnym rankiem, całkowicie zaprzeczały wszelkim prawom optyki.

Stał tak przez dłuższą chwilę, przyglądając się swemu odbiciu. Nie wiedział, co ma robić. „Mój Boże”, pomyślał, „o co tu w ogóle chodzi?”

Krok po kroku wycofał się z pokoju, ani na moment nie spuszczać wzroku z lustra. Zamknął za sobą drzwi, przekręcając klucz w zamku i zabierając go ze sobą, po czym wrócił do sypialni i ubrał się.

\* \* \*

Kiedy Martin dotarł do „Reel Thing”, Ramone jadł właśnie śniadanie. Jego oparte na ladzie, robione na zamówienie adidas w kolorach fioletu, bieli i naturalnego zamszu same wyglądały na eksponat. Ramone był śniady, rozczochrany, obdarzony kończynami, które zdawały się mieć większą niż zwykle ilość stawów, i jedną z tych brzydkich, szerokonosych latynoskich twarzy, wzbudzających

natychmiastową sympatię. Jego śniadanie składało się z ogromnego chili-burdera, nadzianego praktycznie wszystkim, i butelki cytrynowej wody mineralnej.

– Hej, Martin! – zawołał, wymachując jedną ze swych pajęczych rąk.

Martin podszedł bliżej i całym ciężarem oparł się o ladę niedaleko kasy.

– *Allure*, Ramone – przywitał go. „*Allure*” zamiast „cześć” było ich własnym powiedzonkiem od czasu, gdy pewnego wieczoru poszli razem do kina na przedmieściu, aby obejrzeć ambitny brazylijski film, w którym wszyscy mówili „allure”.

– *Allure*, *Juanita*.

– *Allure*, *Gaspar*.

– Ta ruda panienska była tu wczoraj po południu, pytała o ciebie – poinformował go Ramone.

– Tak? – Określenie „ta ruda panienska” odnosiło się do studentki z jego wieczornego kursu pisania dla telewizji, Normy, która uważała jego przeróbki *Drużyny A* za „przecudne” i koniecznie chciała zaciągnąć go do łóżka, aby „no wiesz, dokonać transfuzji talentu”.

„Reel Thing” nie był jedynie sklepem: to była świątynia. Zgromadzono tu wszystko, cokolwiek miało jakąś wartość dla maniaków kina. Lalki Shirley Tempie w marynarskich ubrankach, kowbojskich kostiumach i tradycyjnych szkockich strojach. Dezintegratory, blastery i rakiety Bucka Rogersa. Składane noże i sześciostrzałowce Toma Mixa. Oraz pudło obok pudła podpisanych fotosów reklamowych – Joan Crawford i Adolphe Menjou, Robert Redford i Dorothy Doli.

W całym sklepie unosiła się woń czterdziestoletnich programów kinowych, kurzu, starych strojów i dymu papierosowego z tysiąca dawno zapomnianych przyjęć. Mimo to każdy, kto interesował się filmem, mógł tu siedzieć godzinami, z szacunkiem dotykając sukien Garbo, białego stetsona Williama Boyda czy koszul z krótkim rękawem, należących niegdyś do Mickeya Rooneya. Same eksponaty były niczym. O ich wartości stanowiły wspomnienia, które przywoływały.

Martin wziął do ręki poźółkły numer *Silver Screen*, opatrzony kuszącym tytułem: „Czego trzeba, by być Dziewczyną Roku 1939”.

– Oglądałeś ten towar? – zapytał Ramone, zgarniając palcami paprykę i kiszzone ogórki.

Martin odłożył pismo na półkę.

– O tak, obejrzałem go dość dokładnie.

– Do niczego?

– To zależy, co masz na myśli, mówiąc „do niczego”.

Kocur Ramone, Lugosi, leżał na stosie *Screenlandu* z podkurczonymi łapkami i oczami zmrużonymi przed blaskiem słońca, wpadającym przez okno. Martin podrapał go pod brodą, jednak Lugosi otworzył oczy i spojrzał na niego z irytacją, podkreślając swe rozdrażnienie sposobem, w jaki jeden spiczasty kiel, niby przypadkiem, wysunął nad wargę. Lugosi był zdecydowanie kotem jednego pana.

– To najprawdziwszy dobytek Boofulsa – ciągnął Ramone z pełnymi ustami. – Widziałem papiery. M-G-M sprzedało go na licytacji z całą kupą rzeczy Shirley Tempie.

– Kupiłem lustro – odpowiedział Martin. – Słuchaj, Ramone, czy mógłbyś urwać się na trochę? Potrzebuj? kogoś, z kim mógłbym na ten temat pogadać.

Ramone wytarł dłonie w papierową serwetkę, zwinął ją i cisnął precyzyjnie do kosza.

– I tak miałem jechać do Westwood. Kelly zajmie się sklepem. Kelly! *Dónde está usted?*

Drobna dziewczyna w wielkich modnych okularach, z długim blond warkoczem zwieszającym się przez środek pleców wyszła z zaplecza. Miała na sobie luźną białą koszulkę z napisem: „Ze wszystkich koszulek na całym świecie musiałam wybrać akurat tę.”

– *Hasta luego*, Kelly – rzucił Ramone, podnosząc kluczyki od samochodu. – Jadę do Westwood z



tym oto Martinem-Tartinem, żeby obejrzeć ten towar.

– W porządku – odparła Kelly nosowym akcentem z Frisco i zabrała się za przekładanie programów. Ramone zagwizdał na swego kota, który natychmiast zeskoczył na ziemię i podążył za nimi.

\* \* \*

„Towar z Westwood” okazał się niewypałem. Dwie zmięte i wyblakłe wieczorowe suknie, ponoć należące niegdyś do Marilyn Monroe. Ich właścicielka, nerwowa kobieta w średnim wieku, paliła papierosa za papierosem i przechadzała się tam i z powrotem.

– Są na nich plamy – oznajmiła wreszcie, jakby to właśnie stanowiło atut, mogący wpłynąć na ich decyzję.

– Plamy? – spytał Ramone, podnosząc w górę jedną z sukien.

– Na miłość boską, no wie pan, plamy – warknęła kobieta. – Robert Kennedy.

Martin, który siedział z boku na tapczanie i przyglądał się przyjacielowi przy pracy, potrząsnął z niedowierzaniem głową. Nie był w stanie wyobrazić sobie czegoś bardziej niesmacznego od próby sprzedaży wieczorowych kreacji Marilyn Monroe z plamami Roberta Kennedy’ego.

Ramone odłożył obie suknie z powrotem na krzesło.

– Przykro mi, ale nic pani za nie nie mogę zaproponować. Nie ma żadnych dowodów, nic. A poza tym to różne rozmiary. Mogły należeć do dwóch różnych kobiet, z których żadna nie była Marilyn.

– Wątpi pan w moje słowo? – zapytała sztywno kobieta.

– Wcale tego nie powiedziałem. Wszystko, co mówię, to dziękuję – ale nie, dziękuję.

\* \* \*

Przechadzali się plażą. Dość silna bryza wydymała ich ubrania, Lugosi podążał za nimi, utrzymując pewien dystans. Od czasu do czasu unosił głowę i węszył.

– Nie wiedziałem, że koty lubią morze – zauważył Martin.

– Och, Lugosi je uwielbia. Wszystkie te ryby i ptaki.

Pewnie by sobie popływał, gdyby tylko udało mu się dostać pasujący na niego kostium.

Ranione wyjął krótkie cygaro i zapalił je za pomocą zapalniczki ozdobionej napisem „Indiana Jones”, osłaniając płomyk dłonią.

– Co sądzisz o tej babce i jej sukniach Marilyn Monroe? Mocne, co?

– Gdyby były autentyczne, dałbym jej za nie po półtorej stówy – poinformował go Ramone.

– A skąd wiesz, że nie są?

Ramone potrząsnął głową.

– Trzeba mieć oko na takie rzeczy; oko i wycucie. Marilyn nigdy w życiu nie włożyłaby na siebie czegoś takiego. Żydzi mówią na takie sukienki „szmata”. A poza tym, nie istnieje żadne zdjęcie Marilyn w takiej sukni. Gdyby kiedykolwiek miała na sobie taką obcisłą sukienkę z głębokim dekoltem, to nie sądzisz, że ktoś pstryknąłby fotkę? Ostatecznie, najogólniej mówiąc, miała to i owo do pokazania.

Dostrzegłszy zdumione spojrzenie Martina, Ramone uśmiechnął się.

– To prawda! Pamiętam każde zdjęcie Marilyn Monroe, jakie kiedykolwiek powstało. I Jamesa Deana. I Jayne Mansfield. I to, w co wtedy byli ubrani.

– Chciałbym, żebyś spojrział na tego chłopaka w lustrze. I powiedział mi, czy to naprawdę Boofuls.

Ramone wydmuchnął obłoczek dymu.

– Cała ta sprawa paskudnie mi śmierdzi.

– Nie musisz mi wierzyć, póki sam tego nie zobaczysz.

– Ależ wierzę ci. – Ramone szeroko rozłożył ramiona. – Czemu miałbym nie wierzyć? Pochodzę z bardzo przesądnej rodziny.

– Po prostu nie mam pojęcia, co robić – wyznał Martin. – No bo przypuśćmy, że to faktycznie on? I że istnieje jakiś sposób na to, by go stamtąd wydostać?

– Tak jak z piłką tenisową, co? No nie wiem. To cuchnąca sprawa. Ale cokolwiek by się stało, to gdyby ci się udało, gdybyś rzeczywiście go stamtąd wydostał, to jakbyś siedział na kopalni złota, nie? Jesteś w końcu facetem, który chce zrobić musical o Boofulsie. I co ci wpada w ręce? Autentyczny Boofuls. A co z całą tą historią o tym, jak to został porąbany na kawałki? Będą raczej musieli o niej zapomnieć, kiedy stanie przed nimi cały i nietknięty?

– Raczej tak – zgodził się Martin lekko nieszczęśliwym głosem. – Tylko sposób, w jaki próbował złapać Emilia i wciągnąć go do lustra – no, trochę mnie to wystraszyło. Możliwe, że nic by się nie stało... no wiesz, może akurat to lustro ma jakieś niezwykle naukowe właściwości, pozwalające przedmiotom na wniknięcie wewnątrz. Może Emilio mógłby pobawić się w tamtym świecie, a potem wyjść, kiedy by tylko zechciał.

– Naprawdę uważasz, że to możliwe? – zapytał Ramone.

Martin potrząsnął głową.

– Jeżeli stałoby się z nim to samo co z piłką... cóż, może i zdołałby dostać się na drugą stronę lustra, lecz wcale nie jestem pewien, czy kiedykolwiek udałoby się nam go odzyskać.

Ramone odrzucił niedopałek i przez moment stał z rękami w kieszeniach dzinsów, wpatrując się w ocean.

– Wiesz, przychodzę tu zawsze, kiedy wydaje mi się, że życie jest okropne, ludzie mali, zawistni i pełni goryczy, a ludzkie ambicje gównem warte.

Przerwał, spoglądając na szarą wodę połyskującą w słońcu.

– I wiesz co? Kiedy tak patrzę na całe te nieskończone przestrzenie wodne, na ten ogrom, to wcale mi to nie pomaga. Ani trochę. Morze jest wielkie – i co z tego? Wcale nie czyni to życia znośniejszym.

Wracali wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca w poobijanym camaro należącym do Ramone, z Lugosim rozpartym sztywno na tylnym siedzeniu. Zaśpiewali razem dwie lub trzy linijki „Gwizdającego Chłopca”, po czym umilkli na dobre.

– A więc to właśnie to – powiedział Martin, przekręcając klucz w zamku drzwi pokoju i gestem zapraszając Ramone do środka.

Ramone gwizdnął cicho i skrzypiąc adidasami podszedł do lustra z Lugosim na rękach. Ciało kota zwieszało mu się z ramienia.

– Niezły kawał szkła. Rama też niekiepska. Kim jest ten palant na środku?

– Chyba Pan albo Bachus. Jeden z tych dawnych, rzymskich bogów.

– To wykapany Charlton Heston, jeśli chcesz znać moje zdanie. Jak sądzisz, czy Charlton Heston kiedykolwiek pozował do lustrzanych rani? No wiesz, zanim jeszcze stał się sławny.

Ramone z pewnym wahaniem dotknął powierzchni zwierciadła, po czym cofnął się o krok.

– To naprawdę coś, wiesz? Ile za nie chciała?

– Pięć stów – skłamał Martin.

– No, tak. Chyba cię orznęła. Nie dałbym za nie więcej jak dwieście pięćdziesiąt, góra dwieście siedemdziesiąt pięć. Ale to spory kawałek szkła.

– To właśnie ta piłka. – Martin wskazał na białą-niebieską kulę na biurku. Ramone zerknął na nią, a następnie przeniósł wzrok na piłeczkę tenisową w lustrze.

– Tak, to naprawdę zasługuje na miano *extrano*. – Ramone uważnie obejrzał białą-niebieską piłkę i spytał:

– Czy mogę ją ruszyć?

– Jasne, sam to robiłem. Ani trochę nie różni się od innych.

Ramone podrzucił piłkę w powietrze i ponownie złapał, z radością obserwując to w lustrze.

– I co ty na to? – zawołał ze śmiechem. – Tu piłka, którą podrzucam, jest niebieska, a w lustrze odbija się coś zupełnie innego!

– Spróbuj nią rzucić – zaproponował Martin i podszedł do parapetu po butelkę wina. – To znaczy, rzuć w lustro.

– Hej... – powiedział naraz Ramone. – Właśnie coś mi wpadło do głowy. Jeżeli ta piłka tutaj nie jest tą samą co w lustrze, to może ten facet, który wygląda jak ja – no, może nie jest mną, tylko zupełnie kimś innym, podobnym do mnie, zgoda, ale nie mną.

Martin nalał po kieliszku chardonnay.

– Czemu go nie spytasz? – zasugerował.

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się Ramone, po czym zawołał do swego odbicia: – Hej, stary, czy ty jesteś mną, czy kimś, kto tylko udaje? Bo, bądźmy szczerzy, masz prawą rękę po lewej stronie, a lewą po prawej – a ja nie. Więc może ściągnij spodnie i zobaczymy, po której stronie tyłka jest u ciebie wytatuowana trupia czaszka i skrzyżowane piszczele, co?

– Nigdy mi nie mówiłeś, że masz na tyłku tatuaż.

Ramone wyglądał na zakłopotanego.

– Bo nie mam. Żartowałem tylko, rozumiesz? Ale powiedz jedno słowo, a...

– W każdym razie spróbuj rzucić piłką w lustro. Ale nie za mocno. Nie chcemy przecież go stłuc.

Biorąc potężny zamach, Ramone powiedział:

– Proszę państwa, a teraz przed państwem Rip Collins, szykujący się właśnie do podania stanowiącego ukoronowanie jego kariery!

– Tylko nie za mocno, dobra? – poprosił Martin.

Ramone rzucił i piłka uderzyła o szkło. Kot Lugosi natychmiast skoczył za nią, ku własnemu wizerunkowi. Białą-niebieska piłka odbiła się od szkła i odleciała na środek pokoju, ale ku przerażeniu Martina Lugosi zapadł się do połowy w powierzchnię lustra, jakby zanurkował w wodę. Wyglądało to tak, jakby Lugosi przeistoczył się w niezwykle bezgłowe stworzenie z ogonem po obu stronach i dwiema parami tylnych nóg, które szarpiąc się i drapiąc starały się uwolnić.

– Wyciągnij go stamtąd! – ryknął Ramone głosem pełnym przerażenia. – Martin, na miłość boską, wyciągnij go!

Martin rzucił się na podłogę i chwycił smukłe ciało Lugosiego. Przez futro czuł żebra kota, jego łomoczące serce. Tyłne nogi wierzgnęły dziko, a pazury zadrapały wewnętrzną stronę jego ręki.

Ramone najlepiej jak umiał starał się unieruchomić łapy kota, podczas gdy Martin próbował go wydostać. Czuł jednak tę samą potężną siłę, z którą zetknął się w przypadku Emilia; to samo nieodparte ssanie.

– Martin! Pomóż mu! – wrzeszczał Ramone. – Kurwa mać, Martin, coś go tam wciąga!

Przyciąganie było zbyt silne, za bardzo gwałtowne. Stopniowo, cal po calu, ciało kota wysuwało się z rąk Martina, mimo że trzymał je tak mocno, iż w dłoniach pozostawały całe kępki jego sierści. Tułów, nogi i wreszcie drżące łapki – wszystko po kolei znikało. Odbicie kota także się zmniejszało – aż wreszcie nie zostało z niego nic, poza jedną ciemną włochatą gąsienicą wijącą się w powietrzu

– czubkiem ogona.

A potem nie było już nawet tego. Lugosi zniknął, pozostawiając po sobie jasną nienaruszoną powierzchnię zwierciadła.

Ramone był cały mokry.

– Gdybym sam tego nie widział... gdyby nie to, że stało się to na moich oczach... *Madre mia!*

Martin wstał. W lustrze widział swą twarz, poszarzałą, koloru gazety.

– Ramone... nie wiem, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia, że coś takiego może się zdarzyć.

– Ale ono go wciągnęło! Wciągnęło do środka! Ramone musnął powierzchnię lustra, jakby dotykał żelazka, żeby się upewnić, czy działa.

– Ramone... – ostrzegł go Martin. – Na rany Chrystusa, człowieku, uważaj! A jeśli wciągnie i ciebie?

Strach Ramone powoli przeradzał się w żal i wściekłość.

– Słuchaj, to mój kot! Mój własny pieprzony kot! Mam go od sześciu lat! Nie po to kochałem, karmiłem i opiekowałem się nim, żeby teraz zabrało mi go jakieś głupie lustro! Kretyńskie lustro!

Martin podszedł do niego i delikatnie ujął go za ramiona.

– Ramone, przykro mi. Gdybym wiedział, co się stanie...

– Czy ja twierdzę, że to twoja wina? – warknął Ramone. – Wcale cię za to nie winię! To nie ma nic wspólnego z tobą. Chcę tylko mojego kota z powrotem. Przeszedł na drugą stronę i gdzie jest?

– Ramone, nie mam najmniejszego pojęcia. Zniknął, nie wiem w jaki sposób ani dokąd się dostał.

Ramone wstał. W jego oczach błyszczało zdecydowanie.

– No, na pewno istnieje jeden sposób, aby się dowiedzieć – trzeba rozwalić to pieprzone lustro na kawałki!

– Nie! – krzyknął Martin. – Ramone, posłuchaj – w tym lustrze jest chłopiec. Z tego, co wiem, udało mu się w jakiś sposób przeżyć – rozumiesz, ukryć się w lustrze czy coś takiego. Słuchaj, sam nic z tego nie pojmuję. Ale dopóki nie uda mi się tego zrozumieć, błagam, nie dotykaj go. Do cholery, nie wiesz, co może się stać, ilu ludzi może zginąć.

Ramone na moment przygryzł wargę, z wściekłością odstępując na trzy kroki i podchodząc z powrotem.

– To głupie pieprzenie! Idiotyczne pieprzenie, i sam o tym wiesz! Co się martwisz, ilu ludzi może zginąć! Co, do diabła, stało się Lugosiemu? To mój kot!

Martin nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Obaj wciąż jeszcze odczuwali wstrząs wywołany niesamowitym zniknięciem kota – gdzie? w czym? To nie miało sensu. Żaden lustrzany kot nie wyskoczył do pokoju, aby zająć jego miejsce, tak jak biało-niebieska piłka Boofulsa pojawiła się zamiast piłeczki tenisowej Martina.

Dotychczas zdawało mu się, że odkrył logikę rządzącą tymi wydarzeniami: dany obiekt mógł przeniknąć w głąb lustra jedynie wtedy, gdy w zamian do prawdziwego świata wydostawało się coś stamtąd. A jednak Lugosi został wchłonięty przez lustro i zniknął bez śladu. I sądząc ze sposobu, w jaki zwijało się jego ciało i biło serce – było to przeżycie przerażające i bardzo bolesne.

Ramone ponownie dotknął powierzchni zwierciadła prędkim, nerwowym ruchem, błyskawicznie cofając dłoń.

– Wessało już piłkę, wessało też kota. Czy naprawdę sądzisz, że mogłoby wciągnąć też człowieka?

– Ramone – odpowiedział Martin – to eksperyment, o podjęciu którego nie chcę nawet myśleć.

– Cóż, może i tak, a może nie. Ale tam jest mój kot. To znaczy, w jakiś sposób jest tam w środku. I wszystko, czego chcę, to wydostać go.

– Zaczekaj. Mam pomysł. Może uda mi się namówić Boofulsa, żeby nam powiedział.

– Człowieku, Boofulsa? Boofuls nie żyje, Boofuls to hamburger.

– No, może i tak – odparł Martin, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt chłodno. – Ale jego dusza albo duch, czy też coś, co stanowi część tego, kim był, ciągle tam jest – wewnątrz lustra.

– Ach tak? A gdzie? Nie widzę tam żadnego Boofulsa. Jedyne, co tam widać, to ty, ja i jakaś głupia piłka, która tutaj jest niebieska, a tam szara, co zresztą niczego nie dowodzi, a przede wszystkim w niczym nie ułatwia mi odzyskania Lugosiego.

– Trochę cierpliwości! – podniósł głos Martin.

– Nie chcę być cierpliwy! – wrzasnął Ramone. – Po pierwsze wcale tu nie chciałem przychodzić!

– Więc zjeżdżaj! – krzyknął Martin.

Ramone szarpnął drzwi. Przez chwilę zawahał się, potem jednak pochylił głowę, odwrócił się, rzucił przekleństwo i wyszedł. Martin stał na środku pokoju, nadal bez tchu, ciągle rozdygotany, i słuchał, jak jego przyjaciel zbiega po trzy stopnie na dół.

Poszedł do łazienki i przez długi czas stał nachylony nad umywalką, wsłuchując się w odgłosy dochodzące z własnego żołądka. Chociaż nie zwymiotował, miał wrażenie, jakby wewnątrz jego ust i przełyk pokrywała warstwa zestalonego tłuszczu.

\* \* \*

Pan Capelli przyszedł do jego mieszkania o szóstej wieczór. Martin z furią walił w maszynę pracującą nad odcinkiem *Tak kręci się świat*. Pan Capelli zastukał do drzwi pokoju, po czym wszedł do środka. Miał na sobie ciemny trzyczęściowy garnitur, był bardzo uroczy i rozlaczkał silny zapach wody lawendowej. Poprawił mankiety, odchrząknął i skinął głową w stronę lustra.

– Nie pozbyłeś się go? – zapytał.

Martin przerwał pisanie i odwrócił się na swym kręconym krześle.

– Przykro mi. Ktoś po nie przyjedzie jutro rano. To najwcześniejszy termin, jaki udało mi się załatwić.

Pan Capelli podszedł do lustra i poprawił czarno nakrapiany krawat. Następnie dłonią przyglądał włosy z tyłu głowy.

– Wychodzi pan gdzieś? – Martin nie spuszczał z niego wzroku. Miał nadzieję, że gospodarz nie podejdzie za blisko lustra.

Pan Capelli nachylił się i wyszczerzył zęby do swego odbicia.

– Dwadzieścia jeden tysięcy dolarów – oznajmił. – Tyle wziął dentysta. Dwadzieścia jeden tysięcy. I co za to mam? Tylko zęby.

– Dzięki, że trzymał pan Emilia z daleka.

Pan Capelli odwrócił się do niego.

– No, nie było to łatwe. Mówił, że chce się pobawić z twoim siostrzeńcem.

– Panie Capelli...

– Nic nie mów. – Gospodarz uniósł dłoń w geście ostrzeżenia. – Cokolwiek to jest, nie mam ochoty tego słyszeć.

– Panie Capelli, próbowałem wyjaśnić to panu wczoraj. Mojego siostrzeńca wcale tu nie ma. Chłopiec, z którym bawił się Emilio, to Boofuls.

– Jasne – powiedział pan Capelli.

– Boofuls pojawił się w lustrze, a Emilio go zobaczył. Widziałem go na własne oczy, równie wyraźnie jak teraz pana.

– Jasne – powtórzył gospodarz.

– Nie wierzy mi pan – stwierdził Martin. – Ani przez chwilę mi pan nie wierzył.

– Jasne, że ci wierzę. – Na twarzy pana Capelli widać było wymuszony uśmiech. – Kiedy byłem chłopcem, moja matka i ojciec opowiadali mi różne historie o duchach, potworach i stworach, które wyglądają na człowieka z luster. Ojciec opowiadał mi raz, że przechodził wieczorem koło jadalni, zerknął w lewo i zobaczył sześcioro ludzi w czerni, z czarnymi welonami na głowach, siedzących przy stole w milczeniu, ale tylko w lustrze.

Martin spojrział na pana Capelli, nie wiedział jednak, co na to powiedzieć.

– Wierzę ci. Wierzę, ale nie chcę nic na ten temat słyszeć. Nie chcę nic wiedzieć o innych światach i lustrzanych ludziach. Życie i w tym świecie jest dostatecznie ciężkie, dziękować Bogu.

Gwałtownie obrócił się w stronę lustra.

– Każde lustro jest złe. Istnieją tylko po to, by zaspokajać próżność, patrzeć we własną twarz, zamiast w twarze innych ludzi. A to lustro jest szczególnie złe. Jutro rano ma go tu nie być. Przykro mi, ale w przeciwnym razie będziesz się musiał wyprowadzić.

Martin przytaknął.

– W porządku, panie Capelli. Człowiek przyjedzie po nie koło jedenastej.

Faktycznie Martin nie poczynił żadnych starań w celu pozbycia się lustra. Po prostu grał na zwłokę. Jeżeli Boofuls naprawdę był tam w środku i jeżeli był tam też kot Ramone, to Martin chciał nadal mieć lustro w swoim zasięgu i wiedzieć, że jest bezpieczne. Dzwonił do Ramone, aby zapytać, czy mógłby przez jakiś czas przechować je w „Reel Thing”, ale przyjaciel nie wrócił jeszcze do pracy, a Kelly poinformowała go, że „nie jest upoważniona do podjęcia takiej decyzji”.

Pan Capelli położył dłoń na ramieniu Martina.

– Pozbądź się go, rozumiesz, ale uważaj, żeby go nie zbić, a przynajmniej nie w tym domu. Gdybyś stłukł takie lustro, to kto wie, co mógłbyś z niego wypuścić.

– Jasna sprawa, panie Capelli – zapewnił go Martin. – I, wie pan, niech pan się dobrze bawi.

Gospodarz rzucił okiem na swój garnitur, po czym spojrział na Martina, jakby ten powiedział coś niesłychanie idiotycznego.

– Dobrze się bawić? Idziemy na obiad do siostry mojej żony.

## 4.

Tuż przed siódmą zadzwonił do niego stary kumpel z college'u z Wisconsin, Dick Rasmussen, który kiedyś chodził z młodszą siostrą Jane, Ritą.

Dick przyjechał do Los Angeles w interesach – handlował walizkami – i koniecznie chciał umówić się z Martinem na drinka i może na kolację.

– Dick, jestem naprawdę zajęty. Pracuję nad *Tak kręci się świat*.

– Poważnie, ktoś rzeczywiście pisze te bzdury? Byłem pewien, że aktorzy sami wymyślają to na poczekaniu.

Z dużą niechęcią Martin zgodził się spotkać z Dickiem o ósmej w „Salonie Polo”.

– Muszę cię jednak ostrzec, Dick, że jedyni ludzie, którzy w dzisiejszych czasach bywają w „Polo”, to turyści.

– Martin, muszę słuchać rozkazów dowódcy. Jeżeli po moim powrocie do domu Nancy dowie się, że nie byłem w „Salonie Polo”, to, uwierz mi, urwie mi jaja.

– Ożeniłeś się z Nancy?

– Nie z Nancy Untermyer. O nie, nie ma tak dobrze. Z Nancy Brogan. Pamiętasz Nancy Brogan? Mała blondynka, przyjaźniła się z taką paskudną grubaską, Phyllis Jak-jej-tam.. Tak jest, wpadliśmy w te więzy! Mamy już dwójkę, chłopiec i dziewczynka. Nie, niestety, nie Nancy Untermyer, a bardzo żałuję. Przypominasz sobie, jak Nancy Untermyer grała na wiolonczeli w szkolnej orkiestrze? Ho, ho, ho! Wyglądała, jakby zaraz miała zacząć się z nią pieprzyć.

Niechętnie Martin przebrał się w czystą niebieską koszulę i swój najlepszy i jedyny biały garnitur. Z wydatną pomocą śliny i chusteczki higienicznej usunął ze swych białych butów sportowych od Gucciego sporą warstwę brudu. Zanim wyszedł, upewnił się, że dobrze zamknął drzwi od pokoju. Nie chciał, aby pod jego nieobecność zawędrował tam Emilio. Po drodze minął różowy rower ze skomplikowaną przrzutką. Należał do opiekunki chłopca, Wandy.

Wieczór spędzony z Dickiem był dokładnie tak okropny, jak to sobie wyobrażał. Dick zachowywał się hałaśliwie i energicznie, na każdym kroku okazując podniecenie faktem, że oto znalazł się w Hollywood. Nieco już zbyt wysokie czoło przesłaniał małym brązowym tupecikiem, a ubrany był w sportową marynarkę w czerwono-zieloną kratę, której brakowało jedynie napisu „Hayseed” wyhaftowanego na plecach. Kiedy tylko ktokolwiek wchodził do „Polo”, Dick ostentacyjnie szturchał Martina i pytał głośno:

– Czy to ktoś znany? To chyba nie jest Katharine Ross, prawda?

Dick pił pina coladas z wetkniętymi do środka papierowymi parasolkami, zajadając głośno plasterki pomarańczy.

– W końcu to kraina pomarańczy, nie? Słuchaj, to chyba nie Warren Beatty? No wiesz, przecież musisz chyba znać ich wszystkich osobiście, prawda?

– Cóż, z czasem poznaje się tego czy owego.

Dick klepnął go po udzie.

– George Peppard! Założę się, że znasz George’a Pepparda!

Elegancko ubrana kobieta przy sąsiednim stoliku obróciła głowę i obdarzyła ich zimnym, pogardliwym spojrzeniem. Martin błysnął w jej stronę swym Szczerym Chłopięcym Uśmiechem, nie dało to jednak cienia efektu. Bardziej niż kiedykolwiek poczuł się tu obcy. Dopił szprycera z białego wina i słuchając paplaniny Dicka zastanowił się, czy drobnomieszczaństwo nie jest aby zaraźliwe.

Dick nalegał, żeby na kolację pójść do „Brown Derby”.

Restauracja była prawie pusta, pomijając małżeństwo z Oregonu, które przybyło do Hollywood w drugiej podróży poślubnej.

– No, my nie jesteśmy w drugiej podróży poślubnej, jak łatwo się zresztą domyślić – poinformował Dick kelnera, uderzając dłonią w stół, po czym śmiał się z własnego dowcipu tak długo, aż poczerwieniała mu twarz.

Gdy Martin odwiózł go wreszcie do „Hyatta” przy Bulwarze, minęła już północ. Dick chciał się jeszcze napić, lecz Martin został w samochodzie, nie gasząc silnika.

– Dick, mam kupę pracy. Może dla ciebie to czarodziejska kraina, ale dla mnie to galery. Zrób mi więc tę grzeczność, życz przyjemnej podróży do domu, ucałuj ode mnie Nancy i dobranoc.

– Uwielbiam cię, wiesz? – Dick oparł się o bok mustanga. Miał przekrwione oczy, a jego tupecik przekrzywił się. Zapachem wina i rumu wionął prosto w twarz Martina. – Kocham cię, kurwa, jak brata.

– Dobranoc, Dick – powtórzył Martin, po raz dziesiąty ściskając jego rękę. Nareszcie udało mu się ruszyć.

– Martinek-skurwysynek! – zawołał Dick, zataczając się na chodniku przed hotelem. – Tak właśnie zawsze cię nazywali! Hej-ho! Mar-ti-nek skur-wy-sy-nek!

– Dickie-siki – odparł Martin przez zaciśnięte zęby.

Światła na skrzyżowaniu z Sierra Bonita zmieniły się na zielone i mustang z piskiem opon skręcił w lewo, w kierunku Franklin Avenue.

\* \* \*

Kiedy wkraczał z powrotem do domu, rower Wandy wciąż jeszcze stał w holu. Potknął się o niego, boleśnie uderzając łydką o pedał.

– Szlag by to! – syknął i byłby go kopnął, gdyby nagle nie zapaliło się światło na podeście i nie pojawiła się jego właścicielka.

– Martin? – zawołała. – Czy to ty?

Martin wszedł na schody.

– Tak, to ja, o boska Wando, a pedał twojego roweru stał się właśnie dopełnieniem najpaskudniejszego wieczoru mojego dorosłego życia, obdarowując mnie na dodatek cielesnymi obrażeniami.

Wanda była drobną siedemnastoletnią blondynką. Wciąż jeszcze nie pozbyła się resztek dzieciennego tłuszczu, lecz jej twarz miała już w sobie urodę, przypominającą malowaną matrioszkę: różane policzki i porcelanowo błękitne oczy. Ubrana była w różowy dres, ozdobiony podobizną Bruce’a Springsteena, i także trampki. O dziwo, w ręce trzymała spodeczek do połowy wypełniony mlekiem.

– Co chcesz z tym zrobić? – spytał.



– Twój kot bardzo płakał; myślałam, że może jest głodny.

Martin rzucił spojrzenie na górę, na drzwi swojego mieszkania.

– Mój kot? – Jego głos zabrzmiał głucho.

– Miauczał od paru godzin, praktycznie od chwili, kiedy wyszedłeś.

Martin odetchnął głęboko. Dzięki Bogu, Lugosi wrócił. Przynajmniej będą mogli pogodzić się z Ranione.

– Chodźmy. – Odebrał Wandzie spodek i poprowadził ją na górę. – I tak byś się tam nie dostała – drzwi są zamknięte na klucz.

– Nie mam nic przeciwko opiekowaniu się kotami, kiedy już siedzę z dzieckiem. Uwielbiam koty.

Martin przekręcił klucz w zamku.

– Ten kot nie należy do mnie. Po prostu dziś po południu postanowił mnie odwiedzić i zdecydował się tu zostać. – Zapalił światło w korytarzu. – Nazywa się Lugosi – wiesz, na cześć Beli Lugosiego, tego, co grał Drakule. Wierz mi, trafnie go nazwano.

Otworzył drzwi pokoju.

– Lugosi! Wrócił wujek Martin!

Sięgnął do wyłącznika. Żarówka strzeliła natychmiast i pokój nadal pozostał ciemny.

– Cholera. To już piąta żarówka w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Nie robią ich już tak jak kiedyś.

Zaczekaj, zapalę lampę na biurku.

Przeszedł przez pokój; naprzeciw jego ciemne odbicie uczyniło dokładnie to samo.

– Państwo Capelli spóźniają się – zauważył, macając po biurku w poszukiwaniu wyłącznika.

– To jakaś rocznica czy coś takiego. Powiedzieli, że nie wrócą przed pierwszą.

– Nie masz chyba zamiaru wracać o pierwszej na rowerze?

Pstryknął wyłącznikiem, jednak okazało się, że i ta lampa nie działa.

– No, tego już za wiele. Ta też wysiadła. Wanda... Miał właśnie poprosić ją, żeby poszła do kuchni i przyniosła mu dwie nowe żarówki, kiedy usłyszał cichy, niski, syczący dźwięk. Zamarł, nadal trzymając spodeczek w ręce.

– Lugosi? – zawołał.

– Czy to on? – spytała Wanda, zaglądając do mrocznego pokoju. – Brzmiało to zdecydowanie dziwnie.

Martin zamilkł na moment, nasłuchując. Po chwili dobiegł go odgłos skrobania pazurów o drewnianą podłogę i ten sam syk.

– Lugosi, to tylko ja, wujek Martin. No chodź tu, staruszk. Wanda przyniosła ci mleczka, pysznego, nieradioaktywnego, odtłuszczonego, wzbogacanego witaminami mleczka.

Długa chwila ciszy, przerwana w końcu przez Wandę.

– Jak on się nazywa? Lugosi?

– Zgadza się. Może spróbujesz go zawołać?

– Dobra. Lugosi! Lugosi! Chodź tu, kotku, kici-kici-kici.

Martin odstawił talerzyk na biurko. Kompletnie milczenie Lugosiego z jakiegoś powodu mu się nie podobało. Wyteżył wzrok, żeby przeniknąć ciemność – zobaczyć cokolwiek, łapę, ogon, błysk żółtych kocich źrenic. Może przygoda z lustrem zszokowała go, może nawet był ranny. Wpatrywał się w cień, nasłuchując, ale w pokoju panowała cisza, nie licząc przytłumionego warkotu i zgrzytu ruchu ulicznego z przedmieść Los Angeles. Słyszał bicie własnego serca.

– Lugosi! – zawołała ponownie Wanda. – Kici-kici!

W tym momencie Martina dobiegł inny dźwięk: cichutkie puk-puk-puk włochatego ogona o podłogę i niski, zamierający głos mruczącego kota.

– Brzmi to, jakby siedział gdzieś pod biurkiem – powiedział Wandzie i przykucnął.

Stuk, stuk, stuk. Mrrr, mrrr, mrrr.

– Lugosi? – zapytał, dławiąc się nagle flegmą.

W ciemności otwarło się dwoje oczu. Oczu płonących jaskrawym błękitem, jak płomień aparatu spawalniczego.

– Lugosi? – powtórzył Martin, choć tym razem właściwie nie było to już pytanie.

Coś twardego i rozwścieczonego wyskoczyło spod biurka, lądując dokładnie na jego twarzy i powalając go na podłogę. Był tak zaskoczony, że nawet nie krzyknął, w przeciwieństwie do Wandy, która wydała z siebie zdumiony pisk, a następnie przeszywający krzyk.

Poczuł pazury rozrywające mu szyję i wbijające się w policzki. Usta zatkało mu miękkie, cuchnące futro.

W panice obiema rękami chwycił ciało kota, starając się odciągnąć je od swej twarzy. Jednak pazury wbiły się w jego uszy i skórę na głowie tak mocno, że nie mógł się uwolnić.

– Aaaaach! – usłyszał własny krzyk. – Wanda, pomóż! Wanda!

Dziewczyna z łomotem wpadła do pokoju i kilka razy uderzyła kota, nie wiedziała jednak, co robić dalej. Martin turlał się po podłodze, rozpaczliwie wymachującymi nogami przewrócił krzesło i zderzył się z biurkiem, lecz zwierzę ze złowrogą determinacją przywarło do niego. Pazury orały mu twarz niczym bicze z ostrego jak brzytwa drutu.

„Moje oczy!”, pomyślał z przerażeniem Martin. „Próbuje wydrapać mi oczy!”

Udało mu się wcisnąć lewą rękę pod dygoczące ciało kota i nakryć nią twarz. W ustach czuł krew i dławiącą sierść. Prawą ręką rozpaczliwie machnął w stronę biurka, nie trafił, machnął ponownie, tym razem celnie, i z hukiem wyszarpnął dolną szufladę. Jego dłoń zagłębiła się w nią w poszukiwaniu czegokolwiek – noża, młotka, obcęgow.

Palce zamknęły się na rączce dużego śrubokrętu – tego samego, którego użył do zamocowania lustra do ściany. Dysząc ciężko i szamocząc się uniósł go i dźgnął zwierzę – raz, drugi, trzeci. Tępy metal zagłębił się w miękkie, miotające się futro. Za trzecim razem kot splunął jak wąż i drapnął go dziko, toteż uderzył go ponownie. Wtedy wydał z siebie długi, ostry wrzask, niepodobny do niczego, co Martin kiedykolwiek w życiu słyszał.

Kot odskoczył od niego, uderzył o ścianę i rzucił się na Wandę, podcinając jej nogi. Dziewczyna krzyknęła i upadła. Kot natychmiast skoczył na jej twarz i rozorał jedną jej stronę z wyraźnie słyszalnym trzaskiem rozrywanej skóry i ciała.

Martin jednak stał już na nogach. Kaszląc i zataczając się złapał fałd skóry na karku zwierzęcia, podniósł je do góry i przytrzymał, nie zważając na to, że kot szarpał się i zwijał, przypominając węgorza na końcu wędki, ani na wściekłe ataki jego tylnych łap.

Uderzył głową kota o ścianę, jednocześnie wbijając mu kciuk w szyję, tak że zwierzę zaczęło się dusić. Jego oczy – te płonące, błękitne oczy – rozwierały się coraz szerzej. Kot otworzył pysk tak szeroko, że aż wywichnął sobie szczękę.

– Nie! – krzyknęła Wanda, lecz Martin wziął zamach i wbił śrubokręt prosto w klatkę piersiową zwierzęcia, przybijając go do ściany.

Odstąpił o krok, chwiejąc się na nogach. Kot nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Skręcał się tylko, szamotał i chwiał z boku na bok, wpatrując się w niego bez przerwy, jakby nie dbał o to, że umiera, przeszyty śrubokrętem, i jakby chciał jedynie upewnić się, że Martin również niedługo zginie.

Wanda zaczęła histerycznie szlochać.

– Dobrze, już dobrze, już po wszystkim – uspokajał ją Martin. – Ten kot po prostu się wściekł. Wściekł się.

Poprowadził ją w stronę drzwi, z powrotem do mieszkania Capellich. Kiedy mijali kota, zasłonił jej twarz. Zwierzę wciąż jeszcze żyło, chlustając krwią z rozdartego pyszczka; ciągle wpatrywało się w niego i próbowało uwolnić.

Razem otworzyli drzwi. Wanda oparła się o ścianę, blada i drżąca. Na jej czole i górnej wardze widać było kropelki potu. Do rozdartego policzka przyciskała dłoń.

– Przepraszam – wykrztusiła – muszę wymiotować.

Pobiegła do łazienki. Martin, oszołomiony, stał w korytarzu, chwiejąc się na nogach i słuchał, jak zwraca kurczaka z nadzieniem, którego pani Capelli zostawiła dla niej na kolację w lodówce.

Emilio usłyszał krzyki i hałasy na górze i całkiem rozbudzony siedział na swoim łóżku.

– O rany – rzekł z podziwem na widok Martina, który wszedł do sypialni i zapalił światło. – Co ci się stało?

– Biłem się – odparł Martin. – Słuchaj, lepiej kładź się z powrotem. Niedługo wracają twoi dziadkowie.

– Z kim się biłeś? – chciał wiedzieć Emilio. – Czy to był ninja? Rany, założę się, że wszystkie te skaleczenia to od gwiazdek, którymi rzucają ninja.

– Prawdę mówiąc, to był kot. – Martin przysiadł na brzegu łóżka chłopca i przyłożył do twarzy chusteczkę. Zaskoczyła go ilość ciemnoczerwonej krwi, która natychmiast w nią wsiąkała.

– Aż tak źle ze mną? – zapytał Emilio i przejrzał się w jego lustrze z He-Manem.

Wyglądał strasznie, niczym zdjęcie w dzienniku przedstawiające ofiarę bomby podłożonej przez terrorystów. Oczy miał zapuchnięte, policzki obrzmiałe, a całą twarz przecinały głębokie zadrapania. Uszy były poszarpane, a lewe, prawie oderwane, kołysało się przy każdym ruchu.

– Lepiej jedź do szpitala – poradził rozsądnie Emilio.

Martin ujrzał, jak jego groteskowa, zakrwawiona twarz potakuje.

– Pomysł na pięć z plusem. – Nie mógł pojąć, dlaczego nie bolało go bardziej ani w jaki sposób był w stanie chodzić i rozmawiać, wyglądając tak okropnie.

Do pokoju weszła Wanda, ciągle jeszcze blada, przyciskając do pokaleczonego policzka poplamiony krwią kawałek papieru toaletowego.

– O, Boże – powiedziała z oczami pełnymi łez. – Nigdy nie słyszałam, żeby kot zrobił coś takiego.

Martin otarł chusteczką własną twarz.

– Jadę do szpitala, okay? Nie chciałbym skończyć jak Van Gogh, bez jednego ucha. Wanda, mogę cię tak zostawić?

– Chyba tak. Zadzwoń do taty i powiem mu, co się stało.

Odsunął papier z jej twarzy i uważnie obejrzał zadrapania. Były głębokie, ale zupełnie czyste. Miał jedynie nadzieję, że nie zostaną jej blizny. Niespecjalnie odpowiadała mu perspektywa procesu, wytoczonego przez rodziców Wandy.

– Trzymaj się, wszystko będzie dobrze – pocieszył ją, czując przez dres, jak drży – niepowstrzymanym dygotem kogoś, kto przeżył prawdziwy szok i nadal jest przerażony.

Wyszedł z mieszkania Capellich i skierował się na górę po kluczyki do samochodu. Kiedy dotarł na podest, zawahał się jednak. A jeżeli kot zdołał się uwolnić? Co będzie, gdy po otwarciu drzwi rzuci się na niego równie szaleńczo jak przed chwilą? Otarł ręką usta, rozsmarowując na palcach krew i ślinę, po czym ostrożnie sięgnął do klamki i uchylił drzwi.

Kot wisiał dokładnie tam, gdzie go zostawił, z dyndającym ogonem i tylnymi łapkami. Przednie łapy miał podkurczone, a płaski niczym kowadełko łeb zwisał bezwładnie na bok. Po ścianie poniżej niego spływały ciemne strużki krwi.

Martin na palcach przeszedł przez korytarz, dopóki nie znalazł się naprzeciw zwierzęcia. Oczy

kota były zamknięte, pysk rozwarł się w bezgłośnym grymasie. Zupełnie nie przypominał Lugosiego. Wielki, pręgowany kocur o ciężkim, kosmatym cielsku i groźnych pazurach. Cuchnął kocim moczem i jeszcze czymś nieopisanie ohydny, czego Martin nie zdołał zidentyfikować.

– Ty cholerny skurwysynu – wycedził przez spuchnięte wargi. Kot zdołał podrapać mu nawet język.

Wszedł do stołowego pokoju. Ponownie pstryknął wyłącznikiem, który tym razem, o dziwo, zadziałał. Kluczyki lśniły pod biurkiem. Podnosząc je, specjalnie starał się nie patrzeć w lustro. Jeżeli odbicie odpowiadało dokładnie temu, co było w pokoju, doskonale. Jeśli nie, nie chciał o tym wiedzieć. Nie teraz, jeszcze nie w tej chwili. Zaczynało go boleć ucho, a twarz wydawała się spuchnięta do trzykrotnej objętości.

Wrócił na korytarz. Zastanowił się, co ma zrobić z ciałem kota. Nie mógł tak po prostu zostawić go wiszącego na ścianie, lecz teraz, kiedy cała adrenalina gdzieś odpłynęła, sama myśl o tym, że miałby go dotknąć, wywoływała nieznośną odrazę.

Przypuśćmy jednak, że w czasie, gdy będzie w szpitalu, wejdzie tu pan Capelli i to zobaczy? Wtedy nie będzie już żadnego ale. Natychmiastowa eksmisja – łóżko, biurko i maszyna wprost na ulicę, bez dyskusji, spotkamy się w sądzie.

W kuchennej szufladzie Martin znalazł duży zielony worek na śmieci. Zwinął go niczym ogromny kondom i ułożył pod ścianą w miejscu, gdzie wisiał kot. Jego plan zakładał, że wyrwie śrubokręt, a wtedy kocie zwłoki elegancko wpadną wprost do worka, po czym naciągnie go na nie, zawiąże i wyniesie do samochodu, a później wyrzuci w jakimś pustym i ciemnym zaułku.

Przez długą chwilę stał naprzeciw kota, zbierając się na odwagę, by chwycić rączkę śrubokrętu. „Co się z tobą dzieje, palancie? To tylko kot, i do tego martwy.

O co chodzi? Po prostu kurewsko się boję, ot co. No, bo skąd on się właściwie wziął? Okna i drzwi były zamknięte, a nikt inny nie ma klucza. Skąd, u diabła, mógł się wziąć? Chyba tylko z lustra.

Pan Capelli ma rację. To lustro doprowadza cię do obłądu. Pozbądź się go, zanim nie wyjdzie z niego jakaś zjawą i nie pozbędzie się ciebie.”

Mocno ścisnął uchwyt śrubokrętu i pociągnął. Bez skutku. Ostrze wbiło się zbyt głęboko. „Chryste Panie”, pomyślał, „żeby tak to wbić w ścianę, musiałem mieć siłę dziesięciu ludzi. A spójrzcie na mnie teraz. Osiemdziesięciokilowy mięczak.”

Lewą ręką wsparł się o mur, poprawił uchwyt na rękojeści i szarpnął ponownie. Rezultat był natychmiastowy. Kot rozwarł oczy i wrzasnął na niego. Martin krzyknął także, równie głośno.

Kot spadł na ziemię. Martin przewrócił się do tyłu, objając plecy o kłamkę. Tak szybko, jak tylko mógł, odwinął zieloną folię, uniósł ją wokół wijącego się zwierzęcia i mocno zacisnął węzeł.

– O, Boże, spraw, żeby wreszcie zdechł – bełkotał. – Boże, błagam, spraw, żeby zdechł.

Kot jednak skręcał się i zwijał, pazurami drapiąc wściekle i hałaśliwie o folię i cały czas wrzeszcząc niczym torturowane dziecko.

Martin podniósł śrubokręt, natychmiast jednak upuścił go ponownie. Narzędzie odtoczyło się poza jego zasięg. Kotu udało się wyszarpać długie rozdarcie w worku. Martin widział pełną nienawiści mordkę z nadal szeroko otwartym pyszczkiem. Widział, jak płoną jego oczy.

Krzycząc z wysiłku podniósł worek i mocniej skręcił, żeby utrzymać zwierzę w środku. Następnie wywinął nim nad głową, raz i drugi, na podobieństwo młociarza szykującego się do rzutu, i z całej siły uderzył o ścianę – i jeszcze raz, i jeszcze.

Kiedy wreszcie kot znieruchomiał, Martin upuścił worek na podłogę, odnalazł śrubokręt i zaczął dźgać ostrzem ciało zwierzęcia. Uderzał tyle razy, że w końcu kompletnie stracił rachubę. Wreszcie przyklęknął, gwałtownie chwytając ustami powietrze.

– Jezus, Maria – wydyszał. – O, Jezu.

Pociągnął worek do drzwi. Wydawał się niemożliwie ciężki jak na kota. Miał właśnie otworzyć drzwi i wywlec swój ciężar na zewnątrz, kiedy usłyszał głosy. Włoskie głosy, pod wpływem alkoholu i oburzenia jeszcze bardziej donośne niż zwykle. Państwo Capelli wrócili do domu.

– Co to było? Kot? On nie ma żadnego kota! Warunki umowy dzierżawnej! Potrzebny ci doktor, wiesz o tym? Patrz, krwawisz! Co na to powie twój ojciec? Gdzie jest Martin? Jak to, wygląda jeszcze gorzej? Co może być gorsze?

Martin zawahał się, po czym z szelestem plastiku zawłókł torbę do kuchni, zostawiając na podłodze wyraźne smugi krwi. Podniósł pokrywę szarego kosza na śmieci i wrzucił do niego zwłoki kota, a następnie przetarł podłogę ścierką. Wyżymając z niej zakrwawioną wodę do zlewu czuł się jak morderca. „Boże”, pomyślał, „co dopiero, kiedy zabija się człowieka? Jak im się udaje pozbyć tej całej krwi?” Czerwone smużki wirowały w zlewie, jak woda pod prysznicem w *Psychozie*.

W drzwiach pojawił się pan Capelli, zaczerwieniony, spocony, roztaczający wokół siebie zapach brandy.

– Martin – zawołał, a kiedy ten odwrócił się do niego, dodał: – Na Boga! Spójrz na siebie! Co ty wyprawiasz? Mój Boże!

Martin oparł się o ścianę i obdarzył gospodarza grymasem ust, mającym oznaczać uśmiech.

– Wszystko w porządku, panie Capelli, czuję się świetnie. Właśnie szukałem kluczy od samochodu – wie pan, żeby pojechać do szpitala.

Pan Capelli skrzywił się i wyciągnął do niego ręce. Martin sięgnął ku nim, ale w jakiś sposób nagle ich tam nie było, wszystko ogarnęła czerń, a zresztą i tak nic już nie miało znaczenia.

Upadł na podłogę, prosto na twarz. Miał szczęście, że nie złamał przy tym nosa. Pan Capelli przez moment trząśł się cały, po czym ryknął:

– Wanda! Zadzwoń po karetkę. Powiedz im pronto.

\* \* \*

Kiedy ocknął się, pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, był klekot. Klik-klak, klik-klak, przerwa, klik-klak, klik-klak. Uniósł głowę i ujrzał Ramone, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na jednym z niewygodnych szpitalnych krzeseł, i znącającego się nad najnowszą układanką Rubika. Rolety były spuszczone, toteż w pokoju panował mrok, choć z zewnątrz dochodził warkot samochodów i inne hałasy – wszystkie odgłosy ruchliwego dnia. Wszędzie stały kwiaty: róże i orchidee i wielkie bladioróżowe stokrotki; o szybę obijała się duża mucha. Spróbował coś powiedzieć, ale jego usta wydawały się wielokrotnie powiększone i nie mógł sobie przypomnieć, jak właściwie układa się słowa.

– Mamoun... – wybełkotał. – Mamoun...

Ramone odwrócił głowę i wpatrzył się w niego.

– Cześć, stary! Więc ciągle jeszcze żyjesz i wierzgasz! – Odłożył układankę i podszedł do łóżka. Jego ciemna twarz pochylała się nad Martinem niczym ryba-teleskop wyglądająca z akwarium.

– Wszyscy myśleliśmy, że jesteś już całkiem gotów na oddanie do przechowalni – no wiesz, tam, gdzie już nigdy się nie budzisz, więc obcinają ci nogi i ofiarują je jakiemuś bogatemu południowoamerykańskiemu tancerzowi rumbi, cierpiącemu na raka stóp.

– Czy możesz sobie wyobrazić moje nogi tańczące rumbę? – wykrztusił Martin.

Ramone złapał go za rękę i uściśnął.

– Chyba nie, bracie. Dobrze widzieć cię żywego. Jak się czujesz?

Martin spróbował unieść głowę, lecz odniósł wrazenie, jakby ktoś przyszył mu włosy do poduszki.

– Obolały. O, Jezu.

– Hej, pan Caparuparelli opowiedział mi o tym kocie. Człowieku, to niesamowite, absolutnie obłądne.

– Czy mógłbyś mi nalać trochę wody? – poprosił Martin. – Ledwo mogę przełknąć.

Ramone hałaśliwie nalał mu szklankę wody mineralnej.

– Nic dziwnego, że tak się czujesz. To po znieczuleniu, człowiek zawsze potem gówniano się czuje. Pamiętasz, jak zaliczyłem tego thunderbirda? Uśpili mnie wtedy na cztery godziny. Obudziłem się cały rozbity.

Martin wypił, po czym zapytał:

– Jak długo...

– Dwie i pół godziny, bracie. Założyli ci trzydzieści osiem szwów.

– Chryste! – Martin czuł się cały obolały, spuchnięty, jakby nadmuchany. Wiedział, że coś powinno go niepokoić, jakaś robota czy coś takiego – jakiś scenariusz – zbyt był jednak otepiały, by pamiętać, co to było.

– Pan Caparupadupa pozbył się kota – opowiadał Ramone. – Wyrzucił go do śmieci koło supermarketu. Miejmy nadzieję, że dobre stare Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami nie będzie go teraz ścigać.

– Kot... wyszedł z lustra... – rzekł Martin niewyraźnym głosem. – Musiał. To jedyne wytłumaczenie. Nie ma innego sposobu. Drzwi i okna pozamykane.

– Naprawdę myślisz, że wyszedł z lustra? – zapytał Ramone, dodając tym specjalnym akcentem, który obaj umieli naśladować: – No dobra, słuchaj, palancie, dość już tych bredni.

– Ale to potwierdza to, o czym mówiłem wcześniej – upierał się Martin. – Coś za coś, rzecz za rzecz, kot za kota. Równowaga. Lugosi przeszedł przez lustro i wcześniej czy później jakiś inny biedny kot musiał z niego wyjść.

– Ale ten kiciuś zupełnie nie przypominał Lugosiego.

– Nieważne. Piłka tenisowa i ta gumowa piłeczka – były tak samo... – jak to się mówi? Niepodobne do siebie.

– Niepodobne, racja – zgodził się Ramone. – Nie-po-dooob-ne – skinął głową. – A co teraz? To znaczy, zabiłeś tego kota, prawda? Czy to znaczy, że w lustrzanym świecie również Lugosi został zabity, czy co? Jest żywy czy martwy?

– Sam sobie zadaję to pytanie – powiedział Martin. – Nie tylko o Lugosiego, ale także o Boofulsa.

Ramone wziął swoją układankę i przekreślił ją kilka razy.

– No tak, Boofuls, prawda. Nie miałem jeszcze tej przyjemności. O ile to naprawdę przyjemność.

Martin wypił jeszcze trochę wody. Wreszcie udało mu się podnieść nieco, podpierając się na łokciach.

– Która godzina?

– Trzecia po południu.

– Muszę się stąd wydostać.

Ramone pchnął go z powrotem na poduszkę.

– Nic nie musisz, wybij to sobie z głowy. Masz tu zostać jeszcze jedną noc, *compadre*, na obserwacji. Tak powiedzieli. Dobrze, że masz ubezpieczenie chorobowe.

– Ale lustro.

– Co z tym cholernym lustrem?

– Pan Capelli chce, żebym się go pozbył. I to do dziś wieczór. Przypuśćmy, że zrobi coś szalonego,

na przykład je rozbije albo wyrzuci na śmietnik? Co się wtedy stanie z Lugosim? I, jeżeli już o tym mowa, z Boofulsem?

– Nie musisz się o to martwić, stary. Już się tym zająłem. Powiedziałem panu Capaclupi, że przejmę od ciebie to brzemię. Mam po nie przyjechać późnym popołudniem i zabrać do „Reel Thing”.

– Zrobisz to? – spytał z ulgą Martin.

– Jasne, że tak. Chyba, że wyskoczy z niego jakiś piekielny kot i spróbuje wywinąć mi taki sam numer jak tobie.

Martin wyciągnął rękę.

– Prawdziwy z ciebie kumpel, Perez.

– Cóż za serdeczność, Mart.

Leżąc na wznak Martin zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

– Wiesz co? Potrzebne nam jest medium.

– Jakie medium?

– Medium. Jasnowidz. Ktoś, kto potrafi kontaktować się z duchami.

– Nie nabijasz się ze mnie?

– Wcale nie. Mówię całkiem serio. Według mnie wygląda to tak, jakby lustro stanowiło coś w rodzaju bramy – wiesz, o co mi chodzi – pomiędzy światem rzeczywistym a krainą duchów. Nie możesz przecież powiedzieć, że Boofuls nie jest duchem. A takie medium powinno w końcu umieć zajmować się tego typu sprawami, prawda? Bo kiedy rozmawiają z duchami, tworzą własne przejście na drugą stronę, no nie? Myślę, że każde medium z prawdziwego zdarzenia rzuci się na możliwość takiego spotkania z duchem, jak spotykają się Emilio i Boofuls. Rozumiesz, zobaczyć przed sobą ducha tak wyraźnie, to zupełnie co innego.

– A widzieć, jak lustro połyka twego ulubionego kota, to jeszcze inna sprawa – poskarżył się Ramone. – I do tego oglądać swego najlepszego kumpla w takim stanie, jakby właśnie wyszedł z ringu po walce z Iwanem Drago. „Przegrasz” – dodał, naśladując radzieckiego boksera z filmu *Rocky IV*.

– Czy znasz kogoś, kto siedzi w czymś takim?

Ramone pokręcił przecząco głową.

– Nie ja. Ale znam kogoś, kto może nam pomóc. Jednym z moich klientów jest Elmore Sweet – wiesz, ten pianista. Liberace\*, tylko bez zahamowań. Jego matka umarła dwa – trzy lata temu, a mimo to za każdym razem, kiedy do mnie przychodzi, opowiada, jak to paplał z mamcią o tym i o tamtym. Z początku myślałem, że coś z nim nie tego, potem jednak Dorothy Dunkley powiedziała mi, że on pozostaje w kontakcie, no wiesz, seanse i te rzeczy.

– Dobra – odparł Martin. – Czemu więc do niego nie zadzwonisz i nie poprosisz o nazwisko jego medium?

– Spróbuję.

Zapadła cisza. Ramone spojrział na swój staroświecki zegarek.

– Chyba muszę już wracać do sklepu. Kelly jest w porządku, ale czasem potrafi zupełnie się wyłączyć. I do tego nie wierzy w coś takiego jak odpowiedzialność. Ma to jakiś związek z tą sektą, do której należy. Maharishi Woda-z-mózgu czy coś w tym stylu.

– Trzymaj się – powiedział Martin. – I dzięki za zajęcie się lustrem. Wyświadczasz mi prawdziwą przysługę.

– To nie dla ciebie, przyjacielu. To dla Lugosiego. Gdziekolwiek teraz jest, biedactwo.

Martin spędził w szpitalu bardzo nieprzyjemną noc. Pielęgniarka podała środki nasenne, żeby pomóc mu zasnąć, i rzeczywiście, przez trzy lub cztery godziny spał jak kłoda, jednak cały czas nękały go przerażająco wyraźne koszmary. Widział Boofulsa – czy też coś, co wydawało się Boofulsem – na samym końcu długiego tunelu luster. Migniecie ręki, nogi, przelotny kształt sylwetki, echo śmiechu, który z początku dźwięczał melodyjnie, a potem zabrzmiał ostro, jak rzeźnicki nóż ostrzony na osełce.

– Gałka-siostra-wiatru – wyszeptał ktoś tak blisko i wyraźnie, że Martin otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. – Gałka-siostra-wiatru.

I naraz biegł przez rozległy, równo przystrzyżony trawnik, próbując dogonić umykającego chłopca ubranego w cytrynowożółty strój. Dzień był pogodny. Chłopiec zanosił się śmiechem. Nagle zniknął za długim szeregiem niskich cyprysów, chmura przesłoniła swą szarą spódnicą słońce, a śmiech umilkł.

Martin ruszył wzdłuż rzędu krzaków, z początku powoli, nawołując:

– Boofuls? Boofuls!

Zaczął biec, coraz prędzej i prędzej.

– Boofuls, gdzie jesteś? Boofuls!

– Gałka-siostra-wiatru – szepnął ktoś i powtórzył, szybciej, jak pociąg nabierający rozpędu: – Gałka-siostra-wiatru.

Jeszcze przyspieszył kroku. Był teraz przerażony. Tuż za nim coś wypadło spomiędzy cyprysów i zaczęło go ścigać, równie prędko, prędzej. Oszałały ze strachu, odwrócił się, żeby zobaczyć, co to jest, i ujrzał małego chłopca w cytrynowożółtym ubranku, jednak jego twarz była złoconym obliczem Pana, szczerzącym do niego zęby.

Potknął się i upadł, turlając się kawałek, po czym przebudził się – spocony, zaciskając ręce na prętach łóżka. Upiorny ogród rozplynął mu się przed oczami, cyprysy zwinęły się niczym ciemnozielone namioty i odleciały, a złocona twarz wykrzywiła się złowrogo i zniknęła.

Zapalił lampkę na nocnym stoliku. Za drzwiami dwie pielęgniarki i salowa głośno rozmawiały o przyszłotygodniowym występie szpitalnego chóru. W pobliżu izby przyjęć zawodziły syreny, kiedy wnoszono tam pospiesznie ofiary nocnego napadu. Nieszczęście i przemoc nie znają snu: narkomani i panienki nie śpią, podobnie jak noże.

Wezwał pielęgniarkę. Drzwi otworzyła siostra Newton, potężna Murzynka o zaraźliwym uśmiechu, która uspokajała go lepiej niż cała reszta personelu razem wzięta.

– O co chodzi, panie Willy-ams?

– Czy myśli pani, że mógłbym dostać butelkę czerwonego wina? To jedyna rzecz, jaka pozwala mi zasnąć.

– Czerwone wino, panie Willy-ams? To wbrew przepisom. A poza tym, jest pan po uszy naszpikowany środkami nasennymi.

– Siostro, potrzebny mi sen.

Siostra Newton podeszła do niego, zmierzyła mu temperaturę i sprawdziła puls.

– Jest pan zimny – zauważyła, marszcząc brwi. – W jaki sposób tak pan zmarzł?

– Złe sny – odpowiedział.

– Złe sny? Od kiedy to duży, dorosły mężczyzna jak pan miewa złe sny?

– Bóg mi świadkiem, nie miewam.

– Proszę mi opowiedzieć ten sen.

– Pomyśli pani, że zwariowałem.



Siostra Newton nachyliła się nad nim i sprawdziła opatrunek na jego uchu.

– Jestem pielęgniarką, panie Willy-ams. Płacą mi za to, żebym opiekowała się ludźmi, a nie wygłaszała opinie na temat ich zdrowia psychicznego. Mogę inaczej o panu myśleć najwyżej wtedy, gdy mam wolne.

Martin skrzywił się, gdy przekręciła mu głowę na bok.

– Czy słyszała pani kiedykolwiek o chłopczyku nazwiskiem Boofuls? – zapytał. – Takiej dziecięcej gwiazdki z lat trzydziestych.

Siostra Newton spojrzała na niego zaskoczona.

– A czemu pan pyta?

– Po prostu chciałem wiedzieć, to wszystko.

– Ależ oczywiście, że słyszałam o Boofulsie. Tu, u Sióstr Miłosierdzia, wszyscy o nim wiedzą.

Martin spróbował usiąść, lecz pielęgniarka pchnięciem położyła go z powrotem.

– Niech pan leży. Nie jest z panem jeszcze tak dobrze, żeby miał pan skakać po pokoju.

– Ale co jest takiego specjalnego w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia? Dlaczego wszyscy tu znają Boofulsa?

Siostra Newton wyjęła mu spod pachy termometr i obejrzała go, marszcząc czoło.

– Po prostu krąży tu o nim taka niesamowita historia, to dlatego. Przywieźli tu jego babkę tego wieczoru, gdy go zabiła.

– Zgadza się. To znaczy... ja o tym wiem, bo specjalnie zajmowałem się Boofulsem. Ale skąd pani też o tym wie?

Kobieta uśmiechnęła się.

– Właśnie z powodu tej niesamowitej historii. Opowiadają ją wszystkim pielęgniarkom i praktykantkom. Zazwyczaj na przyjęciu gwiazdkowym, wie pan, o północy, przy świecach.

– Zdawało mi się, że wiem o Boofulsie wszystko, czego można się dowiedzieć. Nigdy jednak nie słyszałem żadnej historii związanej ze Szpitalem Sióstr Miłosierdzia.

Siostra Newton uniosła głowę i przymknęła oczy.

– Jak idzie ta piosenka? „Poo...łuuudnia Pieśń! Południa Pieśń! Gdy grają nam flety, puzony i werble, i ty możesz iść z nami i śpiewać ją też!” Jako dziecko zawsze przy tym płakałam.

– Ten chłopczyk był naprawdę wspaniały – przytaknął Martin.

– Ale niesamowity – dodała siostra Newton, unosząc palec.

– Czy może mi pani o tym opowiedzieć?

Mrugnęła do niego.

– I tak miał pan o nim koszmary senne. Naprawdę sądzi pan, że powinnam?

– Sostro, proszę posłuchać, jestem największym na świecie ekspertem od Boofulsa. Jeżeli jest jeszcze coś z nim związanego, o czym nie wiem...

Siostra Newton strząsnęła rękę w termometrze trzema zdecydowanymi ruchami nadgarstka.

– No cóż, niech pan tylko nie mówi nikomu z administracji szpitala, że to panu powiedziałam. Mogłabym mieć z tego powodu duże nieprzyjemności. Zarząd nie chce, żeby bogaci klienci wpadali w histerię. A proszę mi wierzyć, gdyby niektórzy z szajbusów na tym piętrze usłyszeli tę historię, właśnie to by się stało. Wpadliby w histerię.

Naskrobała coś na karcie choroby, po czym pociągnęła nosem i potrząsnęła głową.

– Poza tym nie powinno się mówić źle o umarłych. Moja mama zawsze tak twierdziła. Zmarli przecież nie mogą się bronić.

– A jeśli zaprosiłbym panią na kolację? – przymiłał się Martin.

Siostra Newton aż klepnęła się po udzie w ataku wesołości.

– Pan mnie na kolację! Z tymi wszystkimi bandażami na twarzy? Niewidzialny Człowiek spotyka Winifred Atwell! A poza tym, mogłabym przez pomyłkę pana zjeść.

– A może umówiłbym panią z Mr. T, we własnej osobie? – zaproponował, znacznie już subtelniej, Martin. – Piszę scenariusze *Drużyny A*. Mogłaby pani spotkać się z nim osobiście. Nie wiem: obiad, kolacja, może jeszcze jakieś tańce.

Siostra Newton przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Mógłby pan to zrobić?

– Jasne, że tak! Znam go od lat! Mr. T i ja to jak... – pokazał jej dwa splecione palce.

– Nie nabiera mnie pan?

– Niech skonam, jeśli kłamię.

– Proszę tak nie mówić. Nie należy żartować ze śmierci. Naprawdę by pan to zrobił? Ja i Mr. T?

Martin skinął głową.

– Pani i Mr. T. Wystarczy, że powie pani jedno słowo.

Siostra Newton obejrzała się przez ramię, jakby spodziewając się, że za jej plecami ukrywa się cała dyrekcja szpitala.

– No, dobrze – powiedziała cicho. – Niech pan pamięta, że kiedy to się stało, nie było mnie jeszcze na świecie, więc proszę bez złośliwych komentarzy.

– To było w 1939 roku – podchwycił Martin. – W sierpniu trzydziestego dziewiątego.

Pielęgniarka przytaknęła.

– Niektórzy z tych starszych wciąż to pamiętają. Doktor Rice, który był wtedy praktykantem, a także siostra Bonifacja. Jak już mówiłam, opowiadali o tym podczas przyjęcia gwiazdkowego. Ot, taka opowieść o duchach. Ale zawsze traktowali to tak poważnie, że po prostu nie można było im nie wierzyć. I prosili, byśmy przyrzekli, że nigdy o tym nikomu nie powiemy, ale to przenigdy. Może obawiali się oskarżeń o zniesławienie, czy coś takiego.

– Nie sądzę, żeby musiała się pani przejmować zniesławieniem. Zmarłych to nie dotyczy, a Boofuls nie żyje już od bardzo dawna.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Hmm, nie wydaje mi się, żeby to stanowiło specjalną różnicę. To znaczy, chodzi mi o jego śmierć.

– Co pani przez to rozumie? – dopytywał się Martin.

– Niech się pan tak nie przejmuje, to w końcu tylko anegdotka, nic więcej. W każdym szpitalu krążą opowieści o duchach. W takich miejscach panuje ciągle nerwowe napięcie. No i często zdarza się śmierć.

– Anegdota czy nie, chciałbym ją usłyszeć.

Siostra Newton podeszła do drzwi, przez moment nasłuchiwała, po czym zamknęła je starannie. Na palcach wróciła do łóżka.

– To było tuż po tym, jak odkryto, że Boofuls nie żyje – wyszeptała. – Policjanci odcięli jego babkę – wie pan, próbowała się powiesić – i przywieźli ją tutaj. Myśleli, że nie żyje, a doktor Rice twierdzi, że powinni jej byli pozwolić umrzeć. Miała złamany kark i tak posiniaczone i spuchnięte gardło, że ledwie mogła mówić. Ale wciąż jeszcze żyła, i prawdopodobnie wydawało im się, że istnieje ciągle jakaś szansa uratowania jej, jedna na milion.

Zawahała się i uśmiechnęła.

– Co do Boofulsa, to oczywiście od razu zabrali go do kostnicy. Nie można było zrobić nic innego. Wyobraża pan sobie jakąkolwiek próbę zszycia go do kupy? Doktor Rice mówi, że został porąbany na dwieście jedenastie kawałków. Koroner musiał je wszystkie przeliczyć, a i tak wciąż paru

brakowało. Podobno jeszcze przez parę miesięcy żartowali z tego w szpitalnej kantynie – za każdym razem, kiedy ktoś znajdował kawałek kości w kotleciku, podnosił go na widelcu i mówił: „Witaj, fragmencie numer dwieście dwanaście!” Sam pan wie, jacy są lekarze. Mają najbardziej zboczone poczucie humoru.

– Czy babka Boofulsa powiedziała coś przed śmiercią? – spytał Martin. – To znaczy, policja twierdziła, że nie, ale może któraś z pielęgniarek coś słyszała.

Siostra Newton pokręciła przecząco głową.

– Umarła niedługo po przywiezieniu do szpitala, tak przynajmniej mówiła siostra Bonifacja, a to właśnie ona czuwała przy niej aż do końca. Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek mówiła, poza tym, że kilka razy wołała Boofulsa.

– No więc na czym polega ta niesamowita historia?

– Niech pan słucha – trzy pielęgniarki i dwóch lekarzy, wszyscy widzieli tej nocy Boofulsa spacerującego po szpitalu i wzywającego swoją babcię: „Babciu, babciu, gdzie jesteś?”

– Co pani ma na myśli – po tym, jak już nie żył? Po porąbaniu go na dwieście jedenaście kawałków?

Siostra Newton przytaknęła.

– Właśnie dlatego to jest takie niesamowite. Prawda?

Martin zastanowił się przez chwilę.

– Tak. To naprawdę niesamowite. Ale czy nikt z nich gdzieś tego nie zgłosił? Nie powiedział prasie ani policji, ani władzom szpitalnym?

– A pan by to zrobił?

Martin przyglądał swoje bandaże.

– Nie – przyznał. – Chyba nie.

Siostra Newton nachyliła się nad nim i poprawiła mu poduszkę.

– Najdziwniejsze z tego wszystkiego, że za każdym razem, gdy jakaś pielęgniarka czy lekarz dostrzegli go, ruszali w jego stronę – wie pan, zdawało im się, że to prawdziwy chłopiec – ale kiedy dochodzili do miejsca, gdzie go widzieli, okazywało się, że wcale go tam nie ma. Widać było tylko ich odbicie w jednym z luster na końcu korytarza.

Tym razem Martin usiadł prosto.

– Widzieli Boofulsa w lustrach?

– Hej, hej, proszę się uspokoić. Nie wolno się panu tak denerwować. Popękają panu szwy.

– Widzieli Boofulsa w lustrach i nigdzie indziej?

– Zgadza się, tak właśnie mówił doktor Rice, a on był jednym z lekarzy, którzy go widzieli. Ale pan nie powinien o tym wiedzieć. To po prostu jeden z kawałków historii szpitala. Coś takiego, jak „Wierście Albo Nie” w telewizji.

Martin spuścił nogi na podłogę.

– Muszę porozmawiać z tym doktorem Rice. Czy mogłaby go pani znaleźć?

– Spokojnie, bez nerwów, jest środek nocy. Doktor Rice śpi sobie smacznie w domu. Panu zresztą też by się to przydało. A teraz proszę grzecznie do łóżka, bo inaczej zarobi pan taką ranę, której nigdy nie uda im się zacerować. Ode mnie.

Martin czuł, jak łomocze mu serce.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Położę się z powrotem pod jednym warunkiem: jak tylko doktor Rice zjawi się tu rano, przyjdzie ze mną porozmawiać. Obiecuje siostra?

– Panie Willy-ams, nic takiego nie mogę panu obiecać.

– A zatem, słowo honoru, zacznę krzyczyć tak głośno, że obudzę cały ten cholerny szpital.

– Mój ty Boże z wszystkimi świętymi. Ależ pan uparty. No dobrze, zejdę do biura doktora Rice i zostawię mu wiadomość. Zazwyczaj nie przychodzi przed jedenastą, w dzisiejszych czasach zajmuje się już tylko konsultacjami. Ale zrobię, co będę mogła, żeby go tu sprowadzić.

– Siostró Newton, jest pani aniołem.

Kobieta siłą położyła go na wznak.

– Nie, panie Willy-ams. Tylko pielęgniarką.

\* \* \*

Resztę nocy Martin przedzemał. Niczym karuzela, która zerwała wszelkie zabezpieczenia, koszmary senne wirowały mu w głowie: mroczne i nagłe, szalone i wrzaskliwe świąteczne przejażdżki umysłu.

Śniło mu się, że biegnie długim, przesuwanym się obok niego korytarzem, a na samym jego końcu stoi Boofuls, niewinnie uśmiechnięty. Jednak w miarę zbliżania się Martina, głowa Boofulsa zaczynała obracać się na szyi, najpierw powoli, z cichym zgrzytem, potem coraz prędzej i prędzej, aż w końcu trysnęła z niej krew. Drobniutka mżawka posoki.

Martin krzyknął i obudził się, albo przynajmniej tak mu się zdawało. Usiadł na łóżku, nasłuchując. Dobiegł go szept kogoś stojącego tuż za drzwiami jego szpitalnego pokoju:

– Gałka-ka-gałka-ka-gałka-ka-gałka.

Pozostał tam, gdzie był, wsłuchany, oblany potem. Po chwili wygramolił się z łóżka i zaczął sunąć w stronę drzwi, wyciągając jedną rękę.

– Gałka-siostra-wiatru – zachichotał głos z korytarza.

Powoli, z lękiem przekręcił klamkę i otworzył drzwi. Na zewnątrz nie było nikogo, tylko czarny korytarz, w którym niosło się echo, tylko odległe zawodzenie syren. Nieszczęście nie zna snu i noże też nie śpią.

– Martin – wyszeptał cichutki głosik. – No, dalej, Martin, nie bój się. Czemu się boisz, Martin?

Wyszedł na korytarz. Na samym końcu dostrzegł Boofulsa. Chłopiec był drobniutki i uśmiechnięty, słodziutki niby cukierek, taka mała przylepka, jednak w jakiś szczególny sposób wydawał się bardziej karłowaty i kruchy niż w lustrze w pokoju stołowym Martina. Był blady, tak biały, że jego twarz wyglądała jakby zrobiono ją z alabastru.

– Czy boisz się, Martin? – szepnął. Jego słowa nie były zsynchronizowane z ruchem ust, zupełnie jak na kiepskim playbacku. Rozłożył szeroko ramiona, jak mały prorok. – Niczego nie musisz się obawiać.

Wtedy Martin pojął, że Boofuls wcale nie stoi na podłodze, lecz wisi w powietrzu między ziemią a sufitem. Lęk uniósł mu włosy na głowie, ale coś zmuszało go, by pobiegł w stronę Boofulsa, złapał go i wreszcie udowodnił, że jest on jedynie wspomnieniem.

Boofuls zaśmiał się, podczas gdy Martin brnął ku niemu poprzez lepki syrop koszmarnego snu. Wysoki, słodki śmiech odbijał się echem od wszystkich ścian, aż w końcu wydawało się, że otoczeni są tysiącem szczękających nożyc. W końcu Martin dotarł do końca korytarza i sięgnął w stronę Boofulsa, aby zerwać go z jego niewidzialnego krzyża. Ale tylko zderzył się boleśnie z płytą lodowatego szkła. Boofuls wybuchnął śmiechem. Był tylko obrazem w lustrze – odbiciem chłopca, który dawno już nie żył. Martin zamachnął się dziko, miotając się i wrzeszcząc.

– Boofuls! Boofuls! Na miłość boską, Boofuls!

Doktor Ewart Rice nalał sobie kolejną filiżankę herbaty z cytryną. Promienie południowego słońca przeświecały delikatnie przez obłoczek pary, padając na oliwkowozieloną skórę, którą wyłożone było jego biurko. W gabinecie panowała niezmacona cisza, zaś z jego właściciela promieniował taki spokój, że Martinowi przez moment wydało się, że znalazł się w sanktuarium, a przed sobą ma jego kapłana.

– Jest pan pewien, że nie chce pan jeszcze herbaty? – spytał doktor Rice. Był to szczupły, wymizierowany mężczyzna o długim nosie, sterczącym niczym ptasi dziób, i wściekle potarganych siwych brwiach. Miał na sobie brązowy tweedowy garnitur i bardzo czystą miękką koszulę w delikatną szkocką kratę. W jego wymowie także słychać było odległe echa szkockiego akcentu. Każde słowo wymawiał wyraźnie i bardzo dokładnie.

– Rzecz jasna opowiadamy tę historię dla rozrywki – wyjaśnił, postukując łyżeczką o filiżankę. – Przypuszczam jednak, że w jakimś sensie stanowi ona dla nas coś w rodzaju rytuału, wyznania wiary. Bo, wie pan, ona jest prawdziwa. Widzieliśmy Boofulsa, cała nasza piątka. Wspólnie zdecydowaliśmy, że poinformowanie policji czy prasy byłoby bardziej niż bezużyteczne. W najlepszym razie wyśmiano by nas. W najgorszym, mogło to kosztować nasze posady. Ale to się naprawdę zdarzyło – pierwszy i ostatni raz, kiedy którekolwiek z nas widziało coś, co można by określić mianem ducha. I właśnie dlatego przybraliśmy to w otoczkę szpitalnej legendy.

Uśmiechnął się.

– Można chyba powiedzieć, że poprzez stałe przypominanie tej historii dokonywaliśmy swoistych egzorcyzmów. Coroczny obrzęd dzwonka, księgi i świecy. No i przynajmniej upewnialiśmy się w ten sposób, że nikt z nas nie zwariował.

– Nie zwariowaliście – zapewnił go Martin.

Doktor Rice napił się herbaty, po czym odstawił filiżankę.

– Wygląda na to, że jest pan tego dziwnie pewien.

– Jestem – zgodził się Martin. – Bo ja nie jestem wariatem, a także widziałem Boofulsa.

– Pan go widział? – zapytał ostrożnie doktor Rice. – Przypuszczam, że miało to miejsce niedawno?

– Od dziecka byłem wielbicielem Boofulsa. Obecnie jestem scenarzystą, zajmuję się pisaniem dla filmu i telewizji. Napisałem musical oparty na jego biografii – nie, żebym zdołał go komukolwiek sprzedać. W Hollywood samo nazwisko Boofulsa wydaje się otoczone szczególną atmosferą. Atmosferą kłęski, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

Doktor Rice przytaknął i ponownie łyknął herbaty.

– W tym tygodniu kupiłem lustro, które wisało kiedyś nad kominkiem u Boofulsa – ciągnął Martin.

– Od tego czasu mam same kłopoty.

– I mówi pan, że go pan widział?

– W lustrze, tak. I właśnie dlatego chciałem z panem porozmawiać.

– Tak, nawet rozumiem, dlaczego. To bardzo niezwykle. Z zasady nie wierzę w zjawiska tajemne. Jestem ginekologiem, a kiedy się widziało misterium ludzkich narodzin, wiele razy powtarzające się na naszych oczach, to obawiam się, że w porównaniu z tym inne tajemnice będą i stają się nieważne.

– Nie uważam, aby akurat ta tajemnica była nieważna – zaproponował Martin i opowiedział o dwóch nie pasujących do siebie piłkach i o tym, jak Emilio próbował przejść przez lustro, a także co się przydarzyło Lugosiemu.

– Trafiłem do szpitala właśnie z powodu tego lustra – dodał – założono mi trzydzieści osiem szwów, mogłem nawet zginąć. To dla mnie raczej ważne.

Przez długą chwilę doktor Rice milczał. Jego zwiędłe dłonie, złożone na kolanach, wyglądały jak para opadłych kasztanowych liści. Kiedy wreszcie przemówił, głos miał cichy i opanowany – i to właśnie sprawiło, że jego relacja ze zdarzeń owej nocy, gdy do Sióstr Miłosierdzia przywieziono Alicję Crossley, zabrzmiała jeszcze bardziej przerażająco.

– Oczywiście, panowało tu ogromne podniecenie. Wszędzie kręcili się dziennikarze. Cały hol pełen był reporterów, fotografów i operatorów kronik filmowych. Kiedy przyszedłem o siódmej na nocny dyżur, z trudem udało mi się dostać do środka.

Przerwał, po czym kontynuował:

– Pani Crossley umarła chyba koło ósmej. Potem przez kilka godzin panował względny spokój, bo wszyscy dziennikarze pobiegli do swoich redakcji, żeby przygotować poranne wydania. Ja byłem na piętrze, na którym mieści się ginekologia, to znaczy na piątym. Tej nocy przyjmowaliśmy dwa porody, toteż bezustannie krążyłem pomiędzy dwiema salami.

– Czy to właśnie wtedy zobaczył pan Boofulsa? – spytał Martin.

– Tak. To było kwadrans po dziewiątej. Szedłem korytarzem pomiędzy tak zwaną Salą Porodową B i głównymi schodami, kiedy ujrzałem małego chłopca, stojącego na końcu korytarza. Wyglądał na zagubionego. Zawołałem go, ale zdawało mi się, że mnie nie słyszy. Płakał i powtarzał bez przerwy: „Babcia, gdzie jest babcia?”

Podszedłem do niego. Byłem już blisko, jak teraz z panem tutaj siedzimy. Może jeszcze bliżej. Wyciągnąłem rękę, widziałem, co mam przed oczami, ale w jakiś sposób mój umysł nie chciał w to uwierzyć. Więc wyciągnąłem rękę, żeby go dotknąć, chociaż stał nie przed, ale wewnątrz lustra. Lustro wydawało się po prostu szklanymi drzwiami, czy może oknem. To było absolutnie niemożliwe, to nie mogło być prawdą. Było w całkowitej sprzeczności ze wszystkim, co wiedziałem o nauce, o świecie i tym, co może, a co nie może istnieć. Proszę mi wierzyć: to, co miałem przed sobą, nie miało prawa istnieć, a przecież widziałem to na własne oczy.

Chłopiec przestał płakać. Zakrył twarz dłońmi i zerkał na mnie spomiędzy palców. Dwa lub trzy razy krzyknąłem do niego: „Czy mnie słyszysz?”, a wtedy on w końcu opuścił ręce i odsłonił twarz. Jakbym chciał, żeby tego nie zrobił.

Martin wyprostował się na krześle czekając, aż doktor Rice dokończy. Rozumiał, jakiej odwagi wymagał szczegółowy opis tego, co zobaczył lekarz.

– Z początku jego twarz wyglądała normalnie. Może była nieco blada, ale w tamtych czasach wiele dzieci cierpiało na anemię. Nagle jednak z jego nosa wysunęło się coś czerwonego, i jeszcze jedno, i jeszcze, aż w końcu zaczęło spadać na podłogę. Otworzył usta i wystawił język, cały rojący się od robaków. Mięsne robaki, takie, co jedzą zwłoki. Wylewały się z niego, z każdego zakątka ciała. Spodziewam się, że pan rozumie, że w takiej sytuacji upuściłem notatnik i nowiutki stetoskop i uciekłem. Byłem w okropnym stanie.

– Czy nie sądzi pan, że to mogła być jakaś halucynacja? – spytał Martin. – Ostatecznie wszyscy wiedzieli, że Boofulsa nie żyje, panowała ogólna histeria, a pan znajdował się w samym centrum tego całego zamieszania.

Doktor Rice uśmiechnął się ze smutkiem.

– Proszę pana, tysiące razy zadawałem sobie to samo pytanie. Czy to była halucynacja? A może sen? Albo efekt zmęczenia? Ale nie, przyjacielu, obawiam się, że nie. Widziałem go bardzo wyraźnie. Byłem absolutnie zdrowy, wypoczęty. Żadnego kaca. W tamtych czasach nie mogłem sobie pozwolić na picie! Jedyne możliwe wytłumaczenie, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, to że on naprawdę tam był. Albo przynajmniej jego duch.

– Pan wierzy w duchy? – spytał Martin.

– A pan? – odparował doktor Rice.

– Ujmijmy to w ten sposób: nie mogę powiedzieć, żebym w nie nie wierzył. Szczególnie teraz, po tej historii z Boofulsem.

– W sumie widziało go pięć osób. No może sześć, lecz jedna z pielęgniarek nie chciała się przyznać do tego, że była świadkiem czegokolwiek niezwykłego. Cała nasza piątka miała podobne przeżycia – to znaczy wszyscy widzieliśmy Boofulsa, jak płakał w lustrze – i wszyscy mniej więcej o tej samej godzinie, około kwadrans po dziewiątej. I, co już szczególnie dziwne, każde z nas było wtedy na innym piętrze, a dwojga z tej piątki przedtem w ogóle nie znałem.

Martin ostrożnie podrapał się po zabandażowanym podbródku.

– Więc nie mógł to być przypadek, jak to się nazywa, grupowej hysterii czy czegoś w tym rodzaju? To znaczy, nie zbieraliście się razem, aby porozmawiać o morderstwie Boofulsa, aż wreszcie ktoś z was nie wytrzymał i pękł?

Doktor Rice pokręcił przecząco głową.

– Zapewniam pana, tej nocy nikt nie „pękł”. Sam musiałem wypić trzy duże szkockie, po prostu żeby się upewnić, że nie tracę zmysłów.

– A ci inni, lekarze i pielęgniarki, czy ciągle tu pracują?

– Tylko siostra Bonifacja. Reszta niestety już nie żyje. Marskość wątroby, rak, wypadek samochodowy – niezły przekrój plag współczesnego świata.

– Czy mógłbym pomówić z siostrą Bonifacją?

– Owszem, jeśli pan chce, lecz jej doświadczenie było niezwykle krótkie. Czuwała przy pani Crossley przed jej śmiercią, a po zgonie została, aby jak zwykle wszystko uporządkować. Zakrywała właśnie prześcieradłem twarz pani Crossley, kiedy wydało jej się, że słyszy jakiś hałas tuż nad głową. Spojrzała w górę i zobaczyła Boofulsa – jakby leżącego na suficie. Krzyknęła, do środka wpadł policyjny strażnik, a zjawą zniknęła.

Doktor Rice podniósł z biurka złoty automatyczny ołówek i zaczął obracać go w palcach.

– Głęboko nią to wstrząsnęło. Kto mógłby uwierzyć, że widziała, jak martwy chłopiec uśmiecha się do niej z sufitu? Była całkiem roztrzęsiona. Cóż, jedynie nasz coroczny rytuał opowieści gwiazdkowych pozwala jej zachować właściwą perspektywę. Biedaczka.

Martin spojrzał na niego uważnie.

– A co pan osobiście o tym wszystkim myśli? – zapytał otwarcie. – Wie pan, o co mi chodzi – czy to tylko bzdury, czy może wszyscy wariujemy albo co?

Doktor Rice obdarzył go skąpym uśmiechem.

– Widziałem to, co widziałem, panie Williams. Pan też widział to, co widział. Każdy ma swoje doświadczenia. Powiedzmy po prostu, że nikt nie może nam tego odebrać, niezależnie od tego, czego by nie myślał o stanie naszych umysłów.

Podniósł głowę i łagodnie spojrzał na Martina.

– Albo byliśmy wszyscy świadkami niezwykłego zjawiska – być może mocy miłości wykraczającej poza grób – albo też wszyscy całkiem zwariowaliśmy.

Martin pociągnął nosem i stwierdził, że nawet to sprawia mu ból.

– Innymi słowy: witajcie w domu wariatów – rzekł kwaśno.

\* \* \*

Kiedy ją znaleźli, siostra Bonifacja jadła lunch w szpitalnym ogrodzie. Siedziała w cieniu dębu Engelmanna i posilała się wegetariańskim burgerem wprost z polistyrenowego opakowania. Była tak

szczupła, że niemal przezroczysta, miała okulary bez oprawek i twarz jak Woody Allen, gdyby miał siedemdziesiąt lat i był zakonnicą. Gdy podeszli do niej, mrugnęła i szybko zamknęła pudełko, jakby przyłapali ją na czymś nieprzyzwoitym.

– Dzień dobry, siostrze – powiedział doktor Rice. – To jest Martin Williams. Martin, to jest siostra Bonifacja. Martin pisuje dla telewizji.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się siostra Bonifacja. – Witam, panie Williams. Nie pisze pan chyba dla jednego z tych seriali szpitalnych? Wie pan, Szpital Gdzieś Tam czy coś takiego?

Martin pokręcił głową.

– To siostra ogląda te rzeczy? No proszę, nigdy bym nie pomyślał, że zakonnice oglądają telewizję.

– Staramy się nie robić tego razem. Trochę zasłaniają nam kornety.

– I do tego jeszcze humorystka – wymamrotał półgębkiem doktor Rice. – Wie pan, co mam na myśli?

– Przyszedł pan w sprawie Boofulsa – stwierdziła stanowczo siostra Bonifacja.

Martin zerknął na doktora Rice.

– Skąd siostra wie?

– Cóż, panie Williams, każdy szpital ma swoje tajne kanały przekazywania informacji. Rozumiem, że ostatniej nocy męczyły pana koszmary, powiedziała mi o tym siostra Newton. Rzecz jasna spytałam, czy jest coś szczególnego, co pana dręczy – no cóż, siostra Newton to znakomita pielęgniarka, lecz nie należy do najdyskretniejszych.

Martin pocił się. Południowe słońce było bardzo gorące, a sól zawarta w pocie drażniła skaleczenia na jego twarzy.

– Z tego, co zrozumiałem, widziała siostra Boofulsa w pokoju jego babki, tej nocy, gdy zmarła.

Siostra Bonifacja przytaknęła, a jej nakrochmalony kornet zafalował niczym skrzydła śnieżnobiałej mewy.

– To prawda.

– Unosił się pod sufitem, tak?

– Zgadza się. Unosił się pod sufitem.

Jej głos był tak zrównoważony, że kiedy podniosła wzrok i Martin ujrzał, że jej oczy są pełne łez, zaskoczyło go to całkowicie. Odłożyła swojego burgera, wyciągnęła dłoń i złapała go za rękaw koszuli.

– Och, panie Williams, to nieszczęsne dziecko! Wciąż jeszcze prześladuje mnie ten widok!

– Pan Williams także widział Boofulsa, siostrze, i to w tym tygodniu – powiedział doktor Rice.

– A zatem wierzy pan? – Zdumienie rozszerzyło jej oczy.

– Ależ oczywiście, że wierzę – odparł Martin. – Widziałem..

Siostra Bonifacja niezgrabnie uklękła na brukowanej ścieżce.

– Panie Williams, po tych wszystkich latach! Co to była za próba! Wierzyć czy nie? Cud, wizja, tuż przed moimi oczami!

Martin ukląkł obok niej i łagodnie pomógł jej wstać na nogi. Pod obszernym białym habitem wydawała się koścista jak ptak.

– Siostrze Bonifacjo, nie jestem taki pewien, czy to był cud. Sam nie wiem, co to jest. Próbuję się dowiedzieć. Ale wcale nie mam pewności, czy – no, czy to pochodzi od Boga.

Siostra Bonifacja wyciągnęła dłoń o długich palcach i delikatnie musnęła policzek Martina.

– Jest pan dobrym człowiekiem – powiedziała. – Czuję w panu to dobro. Ale to musiał być cud. Bo co innego?



Unosił się pod sufitem i uśmiechał do mnie. Tak wyraźnie, jak pana widzę.

– Nic nie mówił? – spytał Martin.

– Nie, nic. Widziałam go tylko przez sekundę, po czym zniknął.

– Krzyczała siostra?

– Oczywiście, że krzyczałam! Bardzo się złąłam.

– No, tak, z pewnością. W obecności zwłok pani Crossley, i w ogóle.

Siostra Bonifacja wyprostowała się.

– Nie boję się śmierci, panie Williams. Czuję lęk jedynie w obliczu absolutnego dobra albo absolutnego zła.

– Jak długo pozostała siostra przy pani Crossley? – chciał wiedzieć Martin.

Siostra Bonifacja wzruszyła ramionami.

– Poproszono mnie, abym przyszła do niej i pomogła przy Ostatnim Namaszczeniu. Wie pan, pani Crossley była katoliczką. A potem... cóż, po prostu zostałam na miejscu i pomagałam, aż nadeszła pora, by ją zabrać.

Martin wolno potarł kark. To wszystko zupełnie nic mu nie dawało. Dowiedział się, że w noc morderstwa Boofuls pojawił się jako lustrzany duch, dalej jednak nie miał pojęcia, dlaczego został zabity, jak dostał się do lustrzanego świata i czemu postanowił pojawić się ponownie.

– Bardzo mi siostra pomogła. Przykro mi, że przywołałem bolesne wspomnienia.

Siostra Bonifacja uśmiechnęła się lekko.

– Nie przywołał ich pan, panie Williams. Nigdy o tym nie zapominałam. Nie przestawałam o tym myśleć. Czy nawiedził mnie Bóg, czy może Szatan? Obawiam się, że nigdy nie będę wiedziała. A przynajmniej nie na tym świecie.

Martin zawahał się przez chwilę, po czym nachylił się i ucałował jej dłoń. Jej skóra była sucha i miękka, przypominała w dotyku cieniutką bibułkę.

– Jest jeszcze coś – powiedziała siostra Bonifacja.

Martin uniósł wzrok. Oczy zakonnicy spoglądały gdzieś w przestrzeń, jakby chciała zdystansować się od tego, co miała zamiar powiedzieć.

– Co takiego? – zapytał.

– Byłam jedyną osobą z personelu szpitalnego, która czuwała przy pani Crossley od chwili, kiedy została przywieziona, aż do końca.

– I?

– Nic nie powiedziała – ciągnęła siostra Bonifacja. – Ale na krótką chwilę odzyskała przytomność. Leżała tam, wpatrzona w sufit, łapiąc oddech. Potem, kiedy przez chwilę zostałyśmy same, gestem wezwała mnie bliżej. Wskazała na swoją bransoletę, którą zdjęto jej jeszcze podczas pierwszych prób reanimacji, ale dalej leżącą na stoliku przy łóżku. To była bransoleta-amulet, z małymi złotymi figurkami kotów, księżyców i gwiazd. Był też do niej przyczepiony klucz, całkiem zwykły klucz. Poleciała mi gestem, żebym go odczepiła, a kiedy to zrobiłam, wcisnęła mi go do ręki i zacisnęła na nim moją dłoń.

Siostra Bonifacja sięgnęła pod fałdy habitu i wyjęła niewielką skórzaną portmonetkę. Otworzyła ją i wyjęła mały stalowy kluczyk.

– To właśnie ten klucz, panie Williams.

– Rozumiem... Co on otwiera?

– Nie mam pojęcia. Pani Crossley nie zrobiła nic, poza wciśnięciem mi go do ręki. Zależało jej, abym go zatrzymała. Jej gardło było niemal całkowicie zablokowane i ledwie mogła biedaczka złapać oddech, a co dopiero mówić. Wyglądało jednak na to, że klucz ma ogromne znaczenie, bo nie

spuszczała ze mnie wzroku, próbowała skinąć głową i łapała mnie za rękaw.

– Czy mogę? – Martin wyjął jej z ręki klucz. Był niewielki i całkiem zwyczajny, z wybitym numerem 531. Obrócił go. Z drugiej strony widniała nazwa producenta: „Klucze Woodsa”, ale to było wszystko. Żadnej wskazówki, skąd pochodził ani do jakich drzwi pasował.

– Jakiegokolwiek sekretu strzegł ten klucz, prawdopodobnie zniknął on lata temu – powiedział doktor Rice.

– Wygląda jak kluczyk od walizki – stwierdził Martin. – Nie, chyba jest na to trochę za duży. Może od szafki w szatni, co pan o tym sądzi? Albo od kasetki z pieniędzmi?

– Może być od czegośkolwiek – odparł Rice. – Siostra Bonifacja pokazywała go nam już wcześniej i wypróbowaliśmy go w każdej szafce i skrytce, jaką udało nam się znaleźć. Przypuszczam, że mieliśmy nadzieję na odnalezienie jakiejś ukrytej fortuny. Zupełnie bezowocne zajęcie. Dowiodło jedynie, że klucz nie pasuje do żadnego zamka w szpitalu. O ile się nie mylę, doktor Weddell poszedł pewnego popołudnia na dworzec autobusowy i sprawdził skrytkę numer 531, nic to jednak nie dało. Nie pasował także do skrytek na żadnym z miejscowych lotnisk.

– No cóż, to prawdopodobnie kluczyk od skrytki bankowej albo hotelowej – odrzekł Martin. – A w takim przypadku mamy takie szansę odnalezienia jej, jak... – Już miał powiedzieć „kot na przepłynięcie oceanu”, pomyślał jednak nagle o cuchnącym pregowanym kocurze skaczącym mu wprost do oczu i pozostawił zdanie nie dokończone. Pomimo panującego upału, poczuł nieprzyjemny chłód.

– Panie Williams, a może wzięłyby pan ten klucz? – zaproponowała siostra Bonifacja. – Być może uda się panu odnaleźć zamek, do którego pasuje. Teraz to pan jest najbliższym związany z Boofulsem. Może on sam panu powie.

Doktor Rice położył mu dłoń na ramieniu.

– No, dalej, niech pan go weźmie. Sprawia jej pan tym przyjemność.

– Jasne – zgodził się Martin i wcisnął klucz do kieszeni.

Wracając w stronę szpitala przeszli na skos przez podwórze. Martin odwrócił się, osłaniając ręką oczy przed palącym słońcem. Siostra Bonifacja wróciła do swojego burgera i żuła go z ukontentowaniem.

– Widzi pan, ona cierpi – wyjaśnił doktor Rice. – Nie może zdecydować, czy została błogosławiona niebiańską wizją, czy raczej przeklęta przebłyskiem piekła.

Martin wyjął klucz. O dziwo, czuł, że był mu przeznaczony, tak samo jak jego przeznaczeniem było kupienie lustra. Miał również wrażenie, że – już niedługo – dowie się, jaki zamek otwiera i co za sekret kryje. Problem polegał na tym, że wcale nie był pewien, czy chce o tym wiedzieć.

## 5.

Kiedy późnym popołudniem tego samego dnia przyjechał do domu, zastał zaparkowaną na zewnątrz pordzewiałą biało-niebieską półciężarówkę. Na podwórzu przed domem Ramone kłócił się z panem Capelli.

– Hej, co się dzieje? – spytał, zatrzasnąwszy drzwi samochodu i przechodząc przez chodnik.

Pan Capelli obejrzał się błyskawicznie.

– Wypuścili cię ze szpitala? Spójrz tylko na siebie! Wyglądasz jak klątwa grobowca mumii!

– Dzięki, panie Capelli, od razu poczułem się lepiej. O co chodzi? Ramone nie zabrał lustra?

– Mówi, że nie może – wtrącił pan Capelli, zanim Ramone zdążył otworzyć usta. – Twierdzi, że jest za ciężkie, że nie może go podnieść, a ja nie mogę mu pomóc. Mój lekarz urządziłby mnie gorzej, niż ten kot ciebie.

Ramone zapalił cygaro i wciągnął dym w nozdrza.

– Czy ten facet myśli, że zostałem pobłogosławiony przez samego Arnolda Schwarzeneggera, czy co?

– Daj spokój, Ramone – rzucił Martin. – To lustro jest ciężkie, zgoda, ale nie aż tak ciężkie. Poprzednim razem sam je zdejmowałem.

– Cóż, może i tak, ale to znaczy, że musiałeś uczęszczać na jakiś kurs typu „I Ty Możesz Mieć Takie Ciało”. Nie jestem w stanie go podnieść, i tyle. Jeśli chcesz, możesz mnie nazwać Pan Słabizna, nic na to nie poradzę, bo mówię ci, człowieku, to lustro ani drgnie i koniec.

Pan Capelli skubał palcami krokodyla na swojej koszulce od Lacoste’a. Miał po prostu taki zwyczaj, kiedy się zdenerwował. Jeśli nie był akurat ubrany w strój od Lacoste’a, nawijał na palec włosy na karku.

– On nawet nie próbował! Martin, ty i ja wnieśliśmy to lustro na górę, tylko we dwóch, a jeden Bóg wie, w jakim jestem stanie! Dziwne, że jeszcze żyję!

– Mnóstwo ludzi w pańskim wieku nie może tego o sobie powiedzieć – odparł z przekąsem Ramone. – A niektórzy mogą, choć nie powinni.

– No dalej, chodźmy i przyjrzyjmy się temu – zaproponował Martin. – Razem z Ramone chyba uda nam się je ruszyć.

– Myśli, że jestem Arnold Schwarzeneggerem? – mamrotał Ramone, podążając za Martinem i panem Capelli na górę.

Dotarli do mieszkania Martina. Drzwi były lekko uchylone i dobiegał zza nich śpiew. Wysoki, piskliwy śpiew Emilia. Martin przystanął, posłuchał przez moment i poczuł nagły strach.

– Na miłość boską, chyba powiedziałem panu, żeby nie puszczał pan tu Emilia! – warknął do gospodarza i pobiegł w górę ostatnim ciągiem schodów po trzy stopnie naraz.

– Poo...łudnia pieśń! Południa pieśń! – śpiewał Emilio.

Martin wpadł do pokoju. Drzwi zadygotały w zawiasach.

Emilio maszerował przed lustrem z wysoko uniesioną głową, wymachując rękami i wyrzucając nogi niczym cyrkowy żrebak.

– Gdy grają nam flety, puzony i werble i ty możesz iść z nami i śpiewać ją też!

Martin spojrzał w stronę lustra. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że dostrzegł Boofulsa, maszerującego po zwierciadlanym pokoju. Potem jednak widział już jedynie odbicie Emilia, jego błyszczące brązowe oczy i lśniące ciemne włosy.

– Poo...łudnia pieśń! Południa pieśń!

– Emilio? – powiedział Martin.

Emilio zatrzymał się i odwrócił.

– Hej, zobacz tylko! – wysapał. – Wyglądasz zupełnie jak mumia!

– Bardzo dziękuję – odparł Martin. – Ale czy nie mówiłem, żebyś tu już nie przychodził?

– Ale on chciał się bawić – zaprotestował chłopiec.

– Hej, hej – któż to chciał się bawić? – zapytał ostro pan Capelli. – Nikogo tu nie ma, oprócz ciebie i nas.

– Jasne, to był Kaczor Donald. – Emilio zmarszczył ironicznie nos. Pan Capelli bez wahania przepchnął się obok Martina i mocno trzepnął chłopca w głowę.

– Nie odzywaj się tak do starszych i lepszych od ciebie! Chcesz wyrosnąć na nicponia?

– Jak tak dalej pójdzie, jak nic zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych – zauważył lakonicznie Ramone.

– To właśnie miałem na myśli! – odparował pan Capelli.

Oczy Emilia były wilgotne od łez. Potarł głowę i powiedział:

– Przepraszam, dziadku. Ale on tu był. Ten chłopiec, Boofuls. Naumiał mnie tej piosenki.

Pan Capelli przytulił do siebie wnuka i czule zmierzwił mu włosy.

– Ja też przepraszam. To moja wina. Martin mówił mi, żebyś cię tu nie puszczał. No już, tylko bez płaczu. To tylko twój głupi stary dziadek.

Emilio jednak wyśliznął się z objęć dziadka i podszedł do lustra.

– Nie ma go – stwierdził ze smutkiem. – Wystraszyliście go i uciekł.

Pan Capelli zachichotał i pokręcił głową z podziwem.

– Niezła wyobraźnia, co? – Jednocześnie jednak zerknął na Martina, który wyczytał w jego oczach niepokój. Pan Capelli wierzył w zjawy, mieszkające w lustrach, i bał się ich.

– No, dobra, zabierajcie to lustro – rozkazał pan Capelli. – Pan weźmie jeden koniec, Ramone, a ty drugi, Martin, podniesiecie je, a ja pokieruję wami na schodach.

– Mam lepszy pomysł – odparł Ramone. – Pan sam to znieś, a my sobie posiedzimy i popatrzemy.

Mimo narzekania, obaj nachylili się po swych stronach, szykując się do dźwignięcia lustra. Ramone już przedtem wykręcił śruby i rozłożył na podłodze koc dla ochrony złoconej ramy, toteż musieli tylko zdjąć lustro ze ściany i znieść je na dół, na ulicę.

– Kiedy powiem: trzy! – oznajmił pan Capelli.

Odliczył do trzech. Jednocześnie dźwignęli. A raczej próbowali to zrobić. Nie udało im się jednak ruszyć lustra ani na milimetr. Zupełnie jakby ktoś przybił je do ściany.

– Dawaj, Ramone, spróbujmy jeszcze raz – powiedział Martin. Ponownie pociągnęli, stękając z wysiłku. Lustro ani drgnęło.

Martin oparł łokieć o ramę i wydymając policzki głośno wypuścił oddech.

– Nic nie rozumiem. To kompletny idiotyzm. Skoro pan Capelli i ja zdołaliśmy wnieść je po trzech

kondygnacjach schodów i przykręcić do ściany, to mogłoby się wydawać, że ty i ja damy radę je podnieść – i to z łatwością.

– Po prostu brak wam kondycji, i tyle – stwierdził pan Capelli.

– Komu brak kondycji? – gwałtownie zaprotestował Ramone. – Codziennie po południu gram dwie godziny w squasha i nigdy nawet się nie zadyszałem!

– Pewnie, ale co jest do podnoszenia w squashu? Tylko ta mała rakietka. To przecież w ogóle nic nie waży.

Ramone uniósł z rezygnacją ręce i opuścił je, zupełnie jak jeden z kruków w Dumbo, wymachujący skrzydłami.

– *Me duele!* Co począć z człowiekiem, który tak myśli?

– No dalej, Ramone, spróbujmy jeszcze raz – nalegał Martin.

– Jeśli nie wyniesiecie stąd tego lustra, to wezwę przedsiębiorstwo przewodzkowe, obciążę cię rachunkiem i do tego wywalę! – wrzasnął pan Capelli.

– Do roboty, Ramone. Znowu zaczyna mu się wydawać, że jest Donem Corleone.

– Schwarzeneggerburger – wymamrotał pod nosem Ramone.

Ponownie chwycili lustro, a pan Capelli zaintonował:

– iii-raz, iii-dwa, iii-trzy!

Bez słowa obaj puścili ramę, wyprostowali się i odstąpili na krok. Spojrzeli sobie w oczy – obaj wiedzieli, że doświadczyli tego samego.

Gdy próbowali podnieść lustro, przez ich umysły przepłynęła potężna mroczna fala, czarna i nieludzka, lecz niezaprzeczalnie żywa, jak rozedrgane kończyny stonogi czy rzęski jakiejś bezrozumnej morskiej istoty, zimna, zgęszczona, intelekt pozbawiony uczuć, miłosierdzia i najmniejszego choćby zainteresowania czymś innym niż własna supremacja i własne przetrwanie.

Po raz pierwszy Martin poczuł, że udało mu się sięgnąć do samego jądra egzystencji lustra, i było ono bardziej bezlitosne, aniżeli mógł to sobie wyobrazić.

Martin i Ramone stali naprzeciw siebie, oszołomieni i oślepiali, jakby zaaplikowano im elektrowstrząs. W ich umysłach nie było jednak żadnych wątpliwości, co miała im przekazać ta fala uczuć. Cokolwiek żyło w lustrze, kategorycznie rozkazało im pozostawić je na miejscu.

Pan Capelli nie był na tyle niewrażliwy, by nie pojąć, że stało się coś złego – że dziwne uczucie wrogości kazało im nagle wycofać się.

– Co się dzieje? – dopytywał się. – Martin, co się dzieje?

– Nie wiem – odparł Martin. – Przykro mi, panie Capelli, po prostu nie wiem. Ale nie mam już zamiaru nawet tknąć tego lustra, przynajmniej nie w tej chwili.

– Co?! – krzyknął gospodarz. – Co to znaczy, że więcej go nie tkniesz? Dlaczego? Z jakiego powodu? Czemu tego nie zrobisz?

– To lustro – powiedział szczerze Ramone – to lustro, panie Caparuparelli, chce tu zostać. Nie życzy sobie, aby je ruszano. Nie, żebyśmy byli w stanie to zrobić. Jesteśmy przecież za słabi, prawda? Dajemy tylko radę podnieść rakietki do squasha i inne lekkie rzeczy, takie, które zdradzają poważny niedobór pudów i łutów.

Pan Capelli stał sztywno wyprostowany, z rękami opuszczonymi po bokach. Z twarzy odpłynęła mu cała krew, tak że wyglądał na chorego, a jego głowa wydawała się za duża w stosunku do ciała.

– W porządku – powiedział. – Ty przyniosłeś to lustro – i co masz zamiar teraz zrobić?

– Nie mam pojęcia – wyznał Martin. – Gdybym mógł się go pozbyć, to chyba w tej chwili zrobiłbym to, czy jest tam Boofuls, czy nie.

– Boofuls – rzekł pan Capelli, zaciskając swoje sztuczne zęby. – O niego właśnie chodzi, prawda?

Boofuls. Ta kobieta zabiła go, porąbała na milion kawałków...

– Dwieście jedenaście, wedle wiarygodnych informacji – wtrącił Martin, nie miał jednak ochoty na żarty.

Następne słowa pan Capelli jakby wypluł z niesmakiem:

– Kogo to obchodzi, ile dokładnie? Tu jest jego dusza! Jego duch! Znalazłeś mu dom i teraz nie chce go opuścić! I co ja z tego mam? Nawiedzony dom, ot co! Nawiedzony dom i ducha!

– Może powinniśmy sprowadzić jakiegoś księdza – podsunął Ramone.

– Myślałem, że szukasz medium? – przypomniał mu Martin.

– Księdza, tak! – krzyknął z entuzjazmem gospodarz. – Księdza!

– Moglibyśmy spróbować obu – stwierdził Ramone. – Księdza i medium.

– O, Boże, to śmieszne – odparł Martin. – Sam nie wiem, co począć. Może najlepiej będzie nie robić nic. Po prostu przeczekać, zorientować się, czego chce to lustro.

I właśnie wtedy – bez żadnego ostrzeżenia – biało-niebieska piłka spadła z biurka Martina i podskoczyła na drewnianej podłodze – raz, drugi, trzeci. Następnie potoczyła się w stronę lustra, zupełnie jakby podłoga nachyliła się w tamtym kierunku jak pokład statku. Jednocześnie brudna piłka tenisowa spadła z lustrzanego biurka i poturlała się jej na spotkanie.

– Coś się dzieje, człowieku – ostrzegł Ramone. – Coś się dzieje. Czuję to.

Żaden z nich nie wiedział, jak zareagować. Czuli jednak, że powietrze w pokoju stołowym jakby faluje. Przypominało to drgania gorącego powietrza nad rozgrzanym asfaltem albo drobne odkształcenia obrazu odbitego w wypolerowanej blasze. Nawet ich głosy brzmiały dziwnie – przytłumione i niewyraźne.

– Ono ciągnie – powiedział Martin. – Czujecie to? Przyciąga do siebie przedmioty.

Z początku nie zauważyli Emilia. Chłopiec stał niecały metr za plecami dziadka i rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w lustro. Stopniowo jednak ruszył naprzód, z rękami nadal przyciśniętymi do boków, a kiedy ich mijał, wybuchnął śmiechem: niezwykłym, piskliwym śmiechem, jako żywo przypominającym śmiech Boofulsa.

Martin obrócił się natychmiast.

– Emilio? – spytał. I głośniej: – EMILIO!

– Wielki Boże! – krzyknął pan Capelli.

Emilio sunął w stronę lustra nie poruszając w ogóle nogami. Przyciągało go do siebie jak potężny magnes.

– Emilio! – wrzasnął pan Capelli, starając się go pochwycić.

Chłopiec szeroko rozrzucił ramiona i odchylił głowę, a jego śmiech był głośny i metaliczny niczym szczęk sekatora. W lustrze jego odbicie sunęło ku niemu równie niepowstrzymanie, było jednak w tej odbitej twarzy coś, co nie pasowało do oryginału. Coś innego, bledszego, o mniejszych oczach, jakby świńskiego, nie budzącego zaufania. Coś, co krzywiło się z afektacją, jak oblicze z dawno zapomnianego filmu.

– Ramone! – ryknął Martin, i Ramone wyprysnął w skoku, chwytając ramię Emilia w tej samej chwili, gdy chłopiec zderzył się z powierzchnią lustra. Emilio wrzasnął – potworny, rozdzierający krzyk przeszył głowę Martina jak cios. Chłopiec zaczął szarpać się, gryźć i kopać, Ramone potrzebował całej swej siły, żeby go utrzymać.

– Sukinsyn! – wrzeszczał Emilio. – Sukinsyn!

– Emilio, co robisz? Emilio! – Pan Capelli zadrżał i spróbował złapać wymachującą rękę Emilia. Ten jednak ryknął do niego „sukinsyn!” i kopnął go, najpierw w brzuch, a potem między nogi. Pan Capelli zakrzuszył się, sapnął i runął na podłogę.

– Sukinsyn! Sukinsyn! Sukinsyn! – skrzeczał Emilio, rzucając się z boku na bok jak oszalałe zwierzę. Jego włosy fruwały wokół głowy. W powietrzu unosiły się drobinki śliny.

– Martin! Nie dam rady go utrzymać! Martin! – krzyknął ochryple Ramone.

Przez jedną rozpaczliwą chwilę wydawało się, że lustro wessie w swą jasno błyszczącą powierzchnię nie tylko Emilia, ale i Ramone. Wtedy jednak Martin złapał kołnierzyk Ramone i rozmyślnie upadł do tyłu, używając całej swojej wagi, by odciągnąć ich obu. Cała trójka upadła na biurko i zwała się na podłogę obok pana Capelli. Emilio uderzył głową o kant biurka – Martin usłyszał odgłos uderzenia – i leżał nieruchomo z policzkiem na podłodze, nagle bardzo blady. Oczy miał nadal otwarte, ale powieki trzepotały od wstrząsu. Magnetyczne działanie lustra ustało równie nagle, jak się pojawiło.

– *Madre mia* – Ramone podniósł się na nogi przy wtórze skrzywienia podłogi.

Martin pochwycił podkoszulek Emilia i przyciągnął chłopca do siebie.

– Na zewnątrz, Ramone. Musimy wydostać go na zewnątrz.

Pan Capelli klęczał, zanosząc się kaszlem, jakby zaraz miał się zadławić. Martin położył mu dłoń na ramieniu.

– Panie Capelli? Wszystko w porządku? Muszę zabrać stąd Emilia.

Gospodarz, nadal kaszłąc, skinął potakująco głową.

Ramone pomógł Martinowi podnieść Emilia i przenieść go do mieszkania Capellich. Chłopcu nie stało się nic poważnego. Po lewej stronie czoła miał szybko puchnący czerwony siniak, a jego oczy wciąż wędrowały bez celu, lecz zaczynał powoli odzyskiwać przytomność.

– Boofuls – mamrotał. – Gdzie Boofuls?

– Żadnego więcej Boofulsa – odparł Martin. – Boofuls odszedł na dobre.

– I to zdecydowanie, jeśli ja mam tu coś do powiedzenia – warknął Ramone.

Pani Capelli wyszła z tupotem z saloniku.

– Co tam się dzieje? Cały ten hałas! Czy ktoś upadł? Gdzie jest Constantine? Emilio! Co ci się stało? Spójrzcie na jego głowę! Przez cały tydzień nic, tylko hałasy i kłopoty. Och, co za siniak! Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście jak dzieci! Ciągłe łomoty! Czy nic nie umiecie zrobić w spokoju? A teraz potłukło się dziecko! Mój biedny Emilio! No dalej, wnieście go tutaj.

– Nic mu nie będzie – uspokajał ją Martin. – Po prostu uderzył się o biurko, to wszystko.

– Mój biedny chłopiec! Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami!

Zostawiwszy Emilia pod opieką babci, Martin i Ramone wrócili na górę, by zobaczyć, jak mogą pomóc panu Capelli. Gospodarzowi udało się wstać, twarz miał jednak poszarzałą i musiał opierać się o ścianę, aby utrzymać się na nogach.

– Spokojnie, panie Capelli, pomożemy panu zejść na dół – rzekł do niego Martin.

Pan Capelli odkaszlnął i pociągnął nosem.

– To lustro – to lustro ma w sobie diabła! Co ci mówiłem, nic dobrego z tego nie będzie! Pozbądź się go, pozbądź się go natychmiast! W tej chwili! I bez dyskusji!

– Pan może chcieć pozbyć się tego lustra z domu, ale wcale nie jestem pewien, czy ono ma podobne zdanie – powiedział Ramone.

Pan Capelli wsparł się ciężko na ramieniu Martina.

– Wyrzucie to lustro, w tej chwili! Nie interesuje mnie jak! Pozbądźcie się go! Jeśli trzeba, rozbijcie na kawałki!

– Stłuczenie lustra przynosi wielkiego pecha – ostrzegł Ramone, pomagając wraz z Martinem gospodarzowi zejść stopień za stopniem po schodach.

– Czy kopniak w jaja od mego pięcioletniego wnuka nazywa pan wielkim szczęściem? – syknął

pan Capelli.

– Dobrze, panie Capelli, zrobimy, co tylko się da – uspokajał go Martin. – Na razie doprowadźmy pana na dół.

Ramone przyjrzał się Martinowi i stwierdził pesymistycznie:

– Masz zupełnie zakrwawione bandaże. Wygląda na to, że puściły ci szwy.

– Tylko tego mi brakowało. – Martin skrzywił się z wysiłku, gdy wypięte brzuszysko gospodarza przycisnęło go do poręczy.

Pani Capelli jeszcze raz wyszła z domu, krzątając się przy mężu z takim samym gderaniem jak przedtem przy wnuku.

– To istny dom wariatów! Nigdy więcej! Z lokatorami zawsze to samo!

– Wszystko w porządku, pani Capelli – łagodził spraw? Martin. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Pod kontrolą? – wybuchła pani Capelli. – Mój wnuk wariuje! To nazywasz kontrolą? Popatrz tylko na siebie! Krew, bandaże! Wszyscy poranieni!

Martin spróbował uśmiechnąć się uspokajająco i powoli wycofał się na podest. Ramone podążył za nim.

– Stary ma rację – stwierdził Ramone, gdy wchodzili po schodach wiodących do mieszkania Martina. – Tego lustro trzeba się pozbyć. Coś się w końcu stanie albo jeszcze gorzej, a zdecydowanie wolę nie myśleć, co to może być. Zastanów się, Martin, omal nie straciliśmy chłopca w taki sam sposób jak Lugosiego.

– Ale jeśli stłuczemy lustro, stracisz nawet cień szansy na odzyskanie go – odparł Martin. Lustro przerażało go, ale jednocześnie nadal czuł niechęć na myśl o pozbyciu się go, zanim nie zdobędzie więcej informacji na temat Boofulsa, dlatego został tam uwięziony i czemu jego umierająca babka dała siostrze Bonifacji ten klucz.

Ramone jednak potrząsnął głową.

– Lugosi najpewniej i tak nie żyje. Sam się nad tym zastanów. Ja już się z tym pogodziłem. Miałem nadzieję, że może, mimo wszystko... no, wiesz, ale im dłużej o tym myślę... Człowieku, on zniknął w szkło, w normalnym szkło. Nie sądzisz chyba, że to przeżył? Bo ja nie. Zapalę dla niego świeczkę i pomodłę się chwilę, to wszystko. Nie wierzę, abym mógł zrobić coś więcej.

– Ramone, tak mi przykro.

– Nieważne – odrzekł Ramone tonem, który zniechęcał do dalszej dyskusji.

\* \* \*

Weszli z powrotem do pokoju stołowego, a ich odbicia wiernie ich naśladowały. Przez bardzo długi czas stali, patrząc na siebie.

– Wiesz, on ma rację – zauważył Ramone.

– Kto?

– Pan Caparuparelli. Słyszałeś, co powiedział. To lustro to nic dobrego.

– Jednak Boofuls wciąż jest tam w środku – odparł Martin.

– I dlatego nie chcesz się go pozbyć? Jakiś dzieciak, który nie żyje od pięćdziesięciu lat, czai się gdzieś tutaj – ale gdzie? Za nim? Wewnątrz? Lustra są płaskie. Nie mają żadnego wnętrza.

– Ale twój kot jest jednak tam w środku.

Ramone zaczął się denerwować.

– Mój kot to moja sprawa, okay? Nic nie może żyć wewnątrz lustra, no nie? Lustro to kawałek szkła, trochę srebra i tyle. Odbicia, nic więcej. Złudzenie optyczne, żadnej głębi, nic, do czego można



by wejść. To znaczy – no, co jest za lustrem? Nic! Ściana i nic poza tym! Człowieku, tam nie mieszka żaden Boofuls. Tam w ogóle nic nie ma!

– Popatrz – przerwał mu Martin.

W jego głosie zadźwięczał taki chłód i niepokój, że Ramone rozejrzał się bez słowa. W lustrze na biurku Martina spoczywała biało-niebieska piłeczka. A na podłodze obu pokojów, rzeczywistego i zwierciadlanego, leżała obszarpana piłka tenisowa.

Ale na biurku Martina w prawdziwym pokoju pojawiło się coś, co wyglądało jak nowa piłka. Włochata, nastroszona, szaro-czarna piłka. Żywa piłka z mrugającymi oczami. Piłka, która bezdźwięcznie otwierała i zamykała pyszczek. Piłka, która wcale nie była piłką, lecz głową Lugosiego – nadal chwytającą oddech, pozbawioną jednak tułowia i uszu – groteskowa żyjąca zabawka.

Ramone zbliżył się do biurka z mieszaniną przerażenia i niesmaku. Warstewka śluzu przesłaniała żółte oczy, ale i tak podążały one za jego ruchami.

– Co to, u diabła, jest? – szepnął.

Włochata kula szeroko otwarła pyszczek i zapłakała bezgłośnie.

– CO TO JEST? – krzyknął Ramone. W jego głosie pobrzmiwała nuta hysterii.

Martin nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Poczul nagły skurcz żołądka i oblał się zimnym potem, zawsze towarzyszącym mdłościom.

Ramone wyciągnął w stronę piłki-głowy nieopanowanie dygoczącą dłoń. Głowa otworzyła pysk – nie wiadomo, krzycząc czy próbując go ugryźć. Natychmiast cofnął rękę.

– O, Boże, nie dam rady tego dotknąć – wykrztusił. – Boże, wybac mi. Martin, po prostu nie mogę.

Martin przełknął gwałtownie i podszedł tak blisko biurka, jak tylko śmiał. Głowa znów otworzyła pyszczek, a jej oczy wpatrzyły się w niego z desperackim bólem.

– Nie wiem, co robić! – wrzasnął w panice Ramone. – On cierpi, Martin! Nie wiem, co mam robić!

– Wyjdź stąd – powiedział Martin.

– Co?

– Dobrze słyszałeś – wyjdź z tego pokoju.

Ramone wbił w niego wzrok.

– Co masz zamiar zrobić?

– Po prostu wyjdź! – ryknął Martin.

Ramone, nadal wstrząsany dreszczami, wycofał się z pokoju. Martin słyszał jego kroki na korytarzu, oddalające się w stronę kuchni. Trzasnęły kuchenne drzwi.

Czując w ustach gorzki posmak, Martin przysunął się do biurka i złapał maszynę do pisania. Była to ciężka elektryczna Olivetti. Podarował mu ją ojciec z okazji pierwszego sprzedanego scenariusza telewizyjnego. Pochodziła pierwotnie z hali maszyn Security Pacific Bank, ale poddano ją gruntownemu remontowi. Nadal nie działała zbyt dobrze – notorycznie przeskakiwała litery „j” i „m”. Jednak w tej chwili jedyne, co interesowało Martina, to jej waga: w całym pokoju była najcięższym przedmiotem, jaki zdołałby podnieść.

Wyrwał z gniazodka przewód i wyszarpnął kartkę, na której widniał fragment najnowszego scenariusza. Głowa kota znów rozwarła pysk w jeszcze jednym potwornym ziewnięciu, jej wzrok nadal starał się skupić na postaci Martina, powoli okrążającego biurko z maszyną w obu rękach. Martin oblizwał wargi. Serce dudniło mu niczym bęben. Napływająca do głowy krew omal go nie ogłuszyła.

– O, Boże – szepnęła, unosząc wysoko maszynę. Jeżeli udałoby mu się trafić głowę Lugosiego jednym z kantów, zdołałby prawdopodobnie zmiażdżyć mu czaszkę za pierwszym uderzeniem. Najważniejsze jednak było, aby nie stracić opanowania i w ostatniej chwili podnieść maszynę z powrotem.

„Policz do trzech”, powiedział w duchu, „i zrób to”.

Maszyna była tak ciężka, że jego ręce zaczynały już drżeć z wysiłku. „Dalej!” – rozkazał sam sobie. „Raz, dwa, trzy i zrób to!”

Jednak w tej samej sekundzie głowa kota jakby uniosła się nad blatem i zachybotwała. Martin niemal upuścił maszynę, po czym przycisnął ją do siebie, wpatrując się w głowę z paraliżującym strachem.

Wznosiła się coraz wyżej i wyżej na włochatej szyi, która zdawała się wypełzać bezpośrednio z blatu biurka na podobieństwo węża, metr za metrem, aż w końcu jej zwoje opadły na stronę, gdzie znajdowały się szuflady, i na ziemię. Przypominało to teraz pytona, a nie kota. Dziwaczna, smukła głowa pozostawała nadal naprzeciw Martina, na nie kończącej się wstędze szyi, wpatrując się w niego z męką i jadowitą wrogością.

Była taka chwila, gdy Martin uwierzył, że naprawdę traci zmysły – kiedy z trudem mógł pojąć, że rzeczywiście tam stoi, ściskając w objęciach maszynę do pisania, a przed nim chwieje się ta kocia zjawa, w dalszym ciągu wyrastająca z biurka.

Z jego ust dobywało się staccato ostrych oddechów, jakby biegł. Hah-hah-hah-hah!

Kot zaczął nachylać się w jego stronę z obnażonymi zębami i Martin wiedział, że to nie żart, nie sen, nie żadne złudzenie optyczne. Cisnął maszyną, ta jednak chybiła i ciężko odbiła się od podłogi. Następnie rzucił słoikiem po dżemie, w którym trzymał wszystkie kredki i długopisy, i tym razem trafił Lugosiego w bok szyi, kot jednak jedynie gibnął się do tyłu i wściekle zasyczał.

– Ramone! – wrzasnął Martin. Lecz cokolwiek Ramone robił, nie usłyszał. Najpewniej stał w kuchni z rękami przyciśniętymi do uszu, żeby nie słyszeć, jak przyjaciel miażdży głowę Lugosiego.

Martin ostrożnie okrążył biurko, a węzokot zaczął sunąć w ślad za nim, nadal balansując głową na poziomie oczu Martina, pięć czy sześć stóp nad podłogą, nie spuszczać z niego nieruchomego, żółtego spojrzenia. Przystanął i to coś zatrzymało się także. W pokoju panowała cisza, zmacona jedynie przyspieszonym oddechem Martina i szelestem futra węzokota na drewnianej podłodze, przypominającym kobietę, ciągnącą po ziemi długi szal z norek.

– Ramone – powtórzył Martin, lecz tak cicho, że Ramone w żaden sposób nie mógł go usłyszeć.

Ostrożnie wyciągnął rękę, ani na sekundę nie spuszczać wzroku z węzokota, aż wreszcie jego palce dosięgły mosiężnego uchwyty górnej szuflady. Uchwyt zaklekotał, a węzokot rozwarł szeroko pysk, ukazując ociekające lśniąca śliną zęby, a jego ciało zaczęło ślizgać się po podłodze w kierunku mężczyzny.

„Teraz albo nigdy” – powiedział sobie Martin. Wyrwał szufladę, rozrzucając jej zawartość po całym pokoju – ołówki, gumki, spinacze, pinezki, taśmy do maszyny, zapalki, korektor w płynie i przede wszystkim rozcieńczalnik do korektora.

Mała plastikowa buteleczka przetoczyła się przez cały pokój i wpadła pod kanapę. Martin zerknął szybko na węzokota i rzucił się w ślad za nią. Buteleczka potoczyła się prawie poza jego zasięg, pod sam kraniec sofy, obok wiklinowego koszyka, w którym stała doniczka z juką.

Położył się na brzuchu i sięgnął ręką pod sofę. Koniuszkami palców musnął sam skraj buteleczki, która odturlała się centymetr dalej. Jeszcze bardziej wyęźając rękę, przyciskając ramię do sofy aż do bólu, zdołał nareszcie ją dosięgnąć i delikatnie chwycić zakrętkę pomiędzy dwa palce, tak by móc przyciągnąć ją do siebie.

– No, dalej, cholera – wymamrotał pod nosem. Właśnie zdołał zamknąć na niej dłoń, gdy poczuł,

jak coś niemożliwego do opisania prześlizguje się po jego prawym udzie. Przerażliwie krzyknął i przetoczył się na plecy. To był Lugosi, kot, który przemienił się w węza, a teraz owijał mu się wokół nogi i przeciskał swą wydłużoną gadzią głowę pod lewym ramieniem w stronę karku.

Martin zaczął gorączkowo macać za plecami i pochwycił futro węzokota. Pod miękką warstewką jego ciało było muskularne i twarde. Martinowi udało się zacisnąć na nim uchwyt, po czym, dysząc z wysiłku, przeturlał się po podłodze, niczym dziecko wywijające koziołki w przedszkolu, dzięki czemu węzokot musiał zsunąć się z jego pleców.

– Ramone! – wrzasnął Martin. – Na miłość boską, Ramone!

Udało mu się złapać węzokota tuż poniżej szczęki i mocno ścisnąć. Zwierzę pluło wściekle i rzucało głową na wszystkie strony. Było niewiarygodnie silne, a im bardziej zaciskał uchwyt, tym stawało się mocniejsze, aż w końcu potrzebował całej swej siły, żeby utrzymać kłapiące zęby z daleka od twarzy.

Ponownie przetoczył się, i jeszcze raz, i tym razem zdołał wysunąć kolano i przyszpilić węzokota do podłogi. Stworzenie szarpało się i zwijało całe swe cztery czy pięć metrów. Jeszcze moment i uda mu się uwolnić, a wtedy jeden Bóg wie, co się stanie.

Martin zębami otworzył buteleczkę z rozcieńczalnikiem i przytrzymując łeb Lugosiego przy samej podłodze, wycisnął prawie całą zawartość prosto w oczy i pysk węzokota, aż wreszcie świdrujący w nosie płyn pozlepił mu całą sierść na głowie. Zwierzę skręcało się i zwijało w męce, po raz pierwszy też wydało z siebie coś więcej, niż syk: niskie, gardłowe kkhakk-khhakk-khakkk, którego dźwięk uniósł Martinowi włosy na karku. Odrzucił buteleczkę po rozcieńczalniku i obiema rękami złapał szyję węzokota, ściskając ją z całych sił, coraz mocniej i mocniej.

Drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich Ramone. Wyraźnie spodziewał się widoku Martina, uprzątającego resztki strzaskanej głowy kota. Zamiast tego stanął oko w oko z wijącym się węzem, jakby wyjętym wprost ze złego snu.

– Zapalniczka! – krzyknął Martin. – Prędko, zanim wyschnie!

Ramone stał z szeroko otwartymi ustami.

– Wyschnie? Co wyschnie? O czym ty mówisz? Człowieku! Co to, u diabła, jest? O, Chryste!

– Twoja zapalniczka! – powtórzył Martin. Teraz już praktycznie na niego wrzeszczał. – Podpał mu głowę! Przed chwilą oblałem go rozcieńczalnikiem!

Oszołomiony Ramone pogrzebał w kieszeni koszuli i wyciągnął zapalniczkę. Niezdarnie pstryknął kciukiem, zadziałała jednak. Podsunął ją Martinowi.

– Podpał go! – ryknął Martin. – Podpał, jak rany!

Dygoczącą, tańczącą ręką Ramone przytknął płomyk zapalniczki do czubka głowy Lugosiego. Futro węzokota natychmiast buchnęło ogniem, a cierpienie rozwarło szeroko jego żółte oczy. Przez całe ciało przebiegł mu silny dreszcz – dreszcz, który wstrząsnął też Martinem, który czuł tylko strach, ból i obrzydzenie. Jedyne, co mógł zrobić, to nie rozluźnić uchwytu, podczas gdy węzokot miotał swą płonąącą głową na boki. Martin był całkowicie pewien, że gdyby go uwolnił, potwór znów rzuciłby się na niego i najprawdopodobniej również podpalił.

Pokój zaczął powoli wypełniać się duszącą wonią płonącej sierści i palonego ciała. Podczas gdy Martin dzierżył przed sobą węzokota niczym człowiek niosący pochodnię, głowa stworzenia płonęła jaskrawo i trzaskała – futro, skóra i ciało. Ciągle na niego patrzyła, nawet gdy jej żółte oczy zaczęły matowieć – białko ścięło się pod wpływem wysokiej temperatury. Z pyska wciąż dobywało się owe khakkk-khakkk-khakkk!, podczas kiedy z gardła zaczęły wypełzać płomyki liżące podniebienie i ostre jak igła zęby, a skóra na języku skwierczała i zwęgliła się.

Nareszcie zwierzę skonało i Martin ścisnął w rękę dymiącą głowę o żółtobrazowych szczękach,

wyglądających przez spopielone policzki, i pysku rozwartym w potwornym grymasie.

Upuścił ją. Głowa odpadła i potoczyła się w kąt. Reszta ciała skurczyła się, zmałała, pogrubiała i na oczach Martina i Ramone przybrała kształt najzwyczajszego domowego kota.

– Lugosi – szepnął Ramone. – Właśnie zabiłem Lugosiego. Chciałem go ocalić, a tymczasem zabiłem go.

Martin pokuśtykał do okna i otworzył je, aby choć część gryzącego dymu mogła ulecieć na dwór. Raz i drugi wstrząsnęły nim mdłości, lecz przyciskając pięść do ust zdołał zapanować nad sobą.

– To nie był Lugosi – wykrztusił. W ustach czuł suchość.

– Myślisz, że nie poznałbym swojego własnego kota? – zaprotestował Ramone. – Spójrz na niego!

Martin głęboko zaczerpnął tchu. W dole za oknem Maria Bocanegra wyruszała dumnie na randkę ze swym chłopakiem-kulturystą. Obcisła biała spódniczka, ostre jak sztylet wysokie białe szpilki, które sprawiały, że dreptała mocno kołysząc na boki biodrami, przylegająca do ciała biała koszulka i sterczące pod nią sutki, dokładnie widoczne nawet dla kogoś, komu niespecjalnie zależało na tym, żeby je oglądać.

„Boże”, pomyślał Martin, „normalne życie”.

Usłyszeli donośne kroki na schodach i władcze walenie do drzwi.

– Znowu jakieś hałasy! – krzyknęła pani Capelli. – Co to ma znaczyć? I dym? Czy coś się pali? Nie wolno nic palić!

– Wszystko w porządku, pani Capelli, nic się nie stało. To tylko niedopałek papierosa na łóżku.

Martin usiadł ciężko na blacie biurka i potarł dłońmi twarz. Ramone ciągle jeszcze kręcił głową i powtarzał:

– Zabiłem go, człowieku! Kazałeś mi to zrobić i posłuchałem! Zabiłem go!

– Nie – odparł Martin. – Nie zabiłeś. To nie twoja wina. Ale dzięki temu czegoś się dowiedzieliśmy – albo przynajmniej tak myślę.

– Co? Czego się niby dowiedzieliśmy? – spytał zrozpaczony Ramone. Jego twarz była mokra od łez.

– Cóż, po pierwsze wiemy już, że jeśli coś wychodzi z lustra, coś innego musi tam wejść. I vice versa. Łapiesz? Coś w rodzaju wymiany. Rozumiesz, może to i brzmi dziwnie, ale jest w tym jakaś logika, jak u Isaaca Newtona. Każde działanie powoduje taką samą reakcję, tylko odwrotnie skierowaną.

– Dobra – rzekł podejrzliwie Ramone, nadal unikając wzrokiem widoku ciała Lugosiego.

– Jest jeszcze coś – ciągnął Martin. – Tak jak to teraz widzę – po tym, co przytrafiło się Lugosiemu – cokolwiek się dzieje wewnątrz tego lustra, w jakiś sposób zmienia rzeczy. Sam pomyśl – zamieniło Lugosiego Bóg wie jeden w co. Węża? Kota? Jakaś zjawę? Nie mam pojęcia, co to było, ale temu czemuś niemal udało się mnie zabić. A wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby lustro wchłonęło Emilia? Co by z niego zostało? Chłopiec-wąż? Nawet nie mogę o tym myśleć.

Ramone nic na to nie powiedział, lecz wcisnął ręce w kieszenie dzinsów i przechadzał się tam i z powrotem. Jego nozdrza drgały gniewnie.

– Lepiej pójdę po worek na śmiecie.

– Oko za oko – stwierdził gwałtownie Ramone. – Zabijamy lustrzanego kota – lustro zabija mojego kota. Cokolwiek by to jednak było, to tylko cholerne lustro. Nic więcej. Kawał szkła.

Martin nie odpowiedział. Wiedział, że Ramone, podobnie jak on sam, wyraźnie odczuł mroczną falę promieniującą z lustra. Zdawał sobie sprawę, że Ramone nie podejmie żadnej próby poruszenia czy stłuczenia zwierciadła, niezależnie od tego, jak bardzo wzburzyło nim to, co przydarzyło się Lugosiemu.

Wiedział też, że choćby Ramone sto razy lekceważąco nazywał lustro „kawałkiem szkła”, nadszedł już czas, by zwrócić się o pomoc do kogoś, kto znał się na takich sprawach. Księżdz lub spirytysty. Kogoś, kto mógłby powiedzieć im dokładnie, jaką to pamiątkę Martin sprowadził do domu i co skrywa się za jej lśniąca powierzchnią; czy jest to siła dobra czy zła i co można zrobić, by się przed nią uchronić.

Otworzył drzwi. Dym ze zwęglonej głowy Lugosiego zawirował i rozpląnął się w przeciagu.

\* \* \*

Homer Theobald przybył w niedzielny ranek w jaskrawożółtym volkswagenie rabbit i zaparkował go, dokładnie blokując wjazd do garażu pana Capelli. Państwo Capelli zabrali Emilia do kościoła, aby pomodlić się za jego nieśmiertelną duszę, a także by utrzymać go z dala od lustra, podczas gdy Homer Theobald będzie je oglądał.

Martin otworzył mu drzwi. Homer Theobald był pulchny i całkowicie łysy, zupełnie jak wujek Fester z *Rodziny Adamsów*. Nosił okulary w rogowej oprawie i hawajską koszulę w czerwone i zielone palmy. Uśmiechnął się niczym lekarz, załatwiający prywatną wizytę i wyciągnął miękką, wilgotną dłoń.

– Pan Williams? Nazywam się Homer Theobald. Wezwał mnie pański przyjaciel, Ramone Perez.

– Zgadza się, proszę wejść. Ramone jeszcze nie przyjechał, ale jeśli pan chce, możemy tymczasem rzucić okiem na lustro.

– Oczywiście – rozpromienił się Homer Theobald. – Mówił mi, że ma to coś wspólnego z lustrem. To się zdarza, wie pan? Lustra odbijają duszę, nieprawdaż, podobnie jak twarze.

Martin poprowadził gościa na górę. Homer Theobald pociągnął nosem i zapytał:

– Włoch?

– Słucham?

– Zastanawiałem się tylko, czy pan jest może Włochem.

– Nie, nie. Ale mój gospodarz tak. W pierwszym pokoleniu.

Homer Theobald zachichotał.

– Obawiam się, że nie powiedziały mi o tym moje moce. Po prostu mam bardzo dobry węch. Od razu poczułem zapach sosu do spaghetti.

– Pani Capelli to wyśmienita kucharka. Może wypłacimy pańskie honorarium w pizzach?

– Cóż – zaśmiał się Homer Theobald. – Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł. Czy Ramone mówił panu, że pracuję dla Elmore’a Sweeta? I jeszcze dla wielu innych gwiazd: Jocelyn Grice, Nahuma Ferrisa, sióstr Polo. Wszyscy chcemy pozostać w kontakcie z naszymi najdroższymi, nieprawdaż, bogaci i biedni, sławy i ludzie z tłumu.

Martin przystanął na podeście, tak że Homer Theobald omal na niego nie wpadł.

– Pan naprawdę to potrafi? – spytał. – No, wie pan, nawiązać kontakt?

Uśmiech Homera Theobalda stracił jakby coś ze swej promienności zastępowego drużyny zuchów.

– Mam nadzieję, panie Williams, że nie poddaje pan w wątpliwość moich kwalifikacji jako medium. W całej Południowej Kalifornii znany jestem jako Mistrz Mediów. Raz rozmawiałem z Willem Rogersem.

– Przepraszam. Nie miałem wcale zamiaru...

– Nie, nie, ależ nic się nie stało. – Homer Theobald poklepał Martina po ramieniu, natychmiast odzyskując beztróskę. – Większość ludzi z początku podchodzi do tego sceptycznie, nawet mimo to że naprawdę chcą uwierzyć. To naturalne. Ale kiedy pojmują, że mogą rozmawiać ze swymi

najdroższymi tak łatwo, jak zatelefonować do znajomych w innym mieście – cóż, wtedy ich sceptycyzm po prostu ulatnia się bez śladu.

Martin otworzył drzwi do swego mieszkania i wprowadził Homera Theobalda do środka.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, abymostał tu przez moment i wczuł się w atmosferę? – poprosił Homer Theobald.

Martin wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. To dla mnie coś zupełnie nowego. Nigdy w życiu nie zetknąłem się z niczym nadprzyrodzonym. No, przynajmniej do teraz.

Nagle Homer Theobald przypatrzył mu się uważniej.

– Te skaleczenia... – powiedział, wskazując bandaże spowijające szyję Martina i opatrunki na policzkach i uszach. – Jeśli wolno mi zadać panu osobiste pytanie – czy te skaleczenia pochodzą z wypadku samochodowego, czy może mają jakiś związek z tym lustrem?

– Nawet jeśli bym panu powiedział, nie sądzę, żeby pan uwierzył.

– Panie Williams – rzekł Homer Theobald niespodziewanie rozdrażnionym tonem – być może sądzi pan, że swe spore dochody zawdzięczam jedynie temu, iż oszukuję gwiazdy filmowe, niby to porozumiewając się z ich krewnymi. Jak już wspominałem, z początku większość tak uważa. Pozostaje jednak faktem, że posiadam pewien dar wrażliwości psychicznej przekraczającej normalny zakres ludzkich możliwości.

Wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palec wzdłuż szwów na podbródku Martina.

– Te rany związane są jakoś z lustrem, mam rację? Czuję, że boi się pan. Jest pan zbity z tropu. Nie wie pan, jak postępować w sytuacji, w której się pan znalazł. Śmiać się czy płakać. Cóż, tak to już jest. Druga strona zawsze wywołuje takie reakcje. Bowiem tam nie działają normalne prawa fizyki. Przedmioty unoszą się w powietrzu, ludzie zmieniają kształt. Nieczęsto mówię o tym moim klientom. Większość z nich nie byłaby w stanie pojąć, że ich ukochani rodzice w moich oczach przybierają postać inteligentnych żółwi albo że ich głowy zostały rozciągnięte do wysokości trzech metrów. A jednak, wie pan, w pewien sposób to ma sens. Bo niby dlaczego świat po drugiej stronie miałby stosować się do praw naszego świata? Byłoby to jeszcze bardziej niezwykle.

Martin skinął głową i zacytował:

– „Tam dalej może być zupełnie inaczej”. Homer Theobald zmarszczył brwi.

– Przepraszam?

– Cytowałem tylko. *Z Alicji Po Drugiej Stronie Lustra*.

– No cóż, tak. Ta książka zawsze miała w sobie coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Ludzie epoki wiktoriańskiej byli niezwykle czuli na punkcie śmierci i świata po drugiej stronie.

Uniósł głowę i rozejrzał się po korytarzu, nasłuchując, po czym bez wahania podszedł do ściany w miejscu, gdzie Martin przyspilił pręgowanego kocura i dotknął jej. A przynajmniej miał taki zamiar, jednak w ostatniej chwili gwałtownie cofnął rękę.

– Coś nie tak? – spytał Martin.

Homer Theobald odwrócił się i spojrzał na niego.

– W tym miejscu stało się coś bardzo nieprzyjemnego.

Martin przytaknął.

– Czy chciałby mi pan o tym opowiedzieć?

– Może najpierw obejrzyjmy to lustro – zaproponował Martin. – Potem opowiem panu całą tę historię od początku.

– Chciałbym tylko wiedzieć jedno – stwierdził Homer Theobald. – Czy w tym lustrze odbija się coś, co nie ma odpowiednika w rzeczywistym świecie?

– Tak – odparł Martin.

– Czy to jakaś osoba? Jeśli tak, proszę tylko powiedzieć, ale niech pan nie mówi, kto to. Widzi pan, nie mogę zacząć myśleć o kimś szczególnym. Kiedy się pomyśli czyjeś nazwisko, to tak, jakby zapraszało się tę osobę do swojego umysłu.

– Tak, to człowiek – potwierdził Martin.

– Czy to ktoś, kogo pan znał?

– Ktoś, kogo znam z opowiadań, ale nie osobiście. On umarł na długo przedtem, nim się urodziłem.

– Rozumiem. – Homer Theobald wyjął z kieszeni czystą chusteczkę, rozłożył ją i otarł pot z łysiny.

– A więc to mężczyzna.

– Właściwie chłopiec.

– A zatem nie umarł naturalną śmiercią?

– Zdecydowanie nienaturalną, tak. Został zamordowany.

Homer Theobald zamknął oczy i zamyślił się na moment. Nagle powiedział:

– Koty.

Martin przytaknął.

Nie otwierając oczu Homer Theobald rozprostował ramiona i zaczął ostrożnie macać w powietrzu naokoło.

– Był kot. Więcej niż jeden kot. Ale pierwszy kot przyszedł do tylnych drzwi i nie chciał odejść. Siedział tam i siedział, a chłopiec karmił go. I była kłótnia. Nie, nie możesz karmić kota. Koty są niezdrowe, wystarczy tylko powąchać, jak śmierdzi. Ale ja go kocham. Nikt nie może kochać takiego kota. Chcę, żeby zamieszkał u nas w domu. Kategorycznie zabraniam, nie możesz hodować takiego brudnego zwierzaka w naszym pięknym domu, wszyscy mielibyśmy pchły.

Homer Theobald zamilkł równie gwałtownie, jak przedtem zaczął mówić. Uniósł powieki i spojrzał na Martina z miną mechanika samochodowego, który właśnie ma ci powiedzieć, że cała skrzynia biegów nadaje się na śmietnik.

– Ciągle jeszcze jestem w korytarzu, prawda? Nawet nie widziałem tego lustra. Ono jest w tym pokoju, zgadza się, tutaj, za ścianą?

– Zgadza się – odparł Martin.

Homer Theobald potarł czoło.

– Nie wiem, co będę mógł dla pana zrobić, panie Williams. Naprawdę nie wiem. To nie przypomina niczego, z czym bym się wcześniej zetknął. To dusze, tak. Coś, co próbuje skontaktować się z nami już po swej śmierci. Ale jeśli odbieram to tak wyraźnie z korytarza...

– O czym pan mówi? Nie może pan nic zrobić, czy co? Jedyne, czego chcę, to pozbyć się tego!

– Panie Williams – zwrócił się do niego błagalnie Homer Theobald – staram się panu wyjaśnić, że za bardzo się boję.

Martin oblizał spieczone, popękane wargi.

– To znaczy, że nawet nie rzuci pan na nie okiem?

– Właśnie.

– Czy ma pan jakieś pojęcie, kto to? Czyj to duch?

– Mam nawet dość dokładne pojęcie. Panie Williams, w końcu mieszkam i pracuję w Hollywood przez całe życie. I wiem, co w trawie piszczy.

– Co pan ma na myśli?

Homer Theobald głęboko zaczerpnął tchu.

– Panie Williams, kupując to lustro napytał pan sobie mnóstwa kłopotów. Oczywiście, nie zrobił pan tego z rozmysłem, nie. Większość ludzi mogłaby kupić je, powiesić na ścianie i nigdy nie

dostrzec nic niezwykłego. Pan jednak sam posiada pewne utajone moce ponadzmysłowe. Nic nadzwyczajnego. W porównaniu z moimi są mniej więcej tak silne, jak dziecinna latarka w zestawieniu z reflektorem przeciwlotniczym. Ale do tego pan ogromnie interesuje się duchem, który opętał to zwierciadło – słowa „opętał” używam jedynie w braku lepszego określenia. I pańskie intensywne zainteresowanie, połączone ze zdolnościami paranormalnymi, jakkolwiek by one były słabe – cóż, widocznie wystarczyło to, aby duch ocknął się ze swego uspienia. Nie snu, duchy nie śpiąją w potocznym tego słowa znaczeniu.

– Ale czemu pan na nie chociaż nie spojrzy? Tylko rzuci okiem!

– Nie-e-e, dziękuję – odparł Homer Theobald. Był nieugięty.

– Ma pan zamiar po prostu odwrócić się i wyjść? – spytał gniewnie Martin. – I zostawi mnie pan tutaj, zresztą nie tylko mnie, ale także ludzi z parteru, każdego, kto może natknąć się na to coś – pan po prostu zostawi nas, terroryzowanych przez tego ducha, do końca naszych dni? Jest tu też dzieciak, tak samo zagrożony. Pięcioletni chłopczyk. Co pan chce, żebyśmy mu powiedział?

– Czy pan serio uważa, że nie chciałbym pomóc? – krzyknął Homer Theobald. – Myśli pan, że zrezygnowałbym, gdyby istniało inne wyjście?

– No, niewątpliwie tak to właśnie wygląda – powiedział prowokująco Martin.

– Posłuchaj, przyjacielu. – Homer Theobald dźgnął palcem w klatkę piersiową Martina. – Nie jestem zwykłym medium, spirytystą czy parapsychologiem. Jestem wrażliwy, podatny na wpływy psychiczne. To oznacza, że mój umysł jest wrażliwy. To, co pan ma w mieszkaniu, przyjacielu, to rozszalała bestia. Usiłowała już pana rozszarpać, ale tylko twarz. Jeśli ja bym tam wszedł, rozszarpałaby mi umysł. Przykro mi bardzo, rozumiem pański problem, ale nie mam ochoty spędzić resztę życia z ilorazem inteligencji kalafiora.

– Trudno – odrzekł Martin. – Jeśli tak pan do tego podchodzi.

– Przykro mi – powtórzył Homer Theobald. Wyjął z kieszeni koszuli miętowy cukierek na kaszel i wsunął go sobie do ust. – Rozmowa z jakimś zmarłym mężem to jedno. Rozszalała bestia z innego świata, to całkiem co innego. Nie nabieram pana, panie Williams, to naprawdę wściekła bestia. To, o co pan mnie prosi, to zupełnie jakby włożyć głowę w paszczę głodnego lwa. I to lwa, któremu ludzkie głowy wyjątkowo smakują.

– Czy nie moglibyśmy po prostu o tym porozmawiać? – spytał błagalnie Martin. – To znaczy, cały czas mówi pan, że to rozszalała bestia. Ale jaka? I co mają do tego te wszystkie koty?

Homer Theobald zawahał się, głośno delektując się cukierkiem.

– No, dobrze – powiedział w końcu. – Ale nie tutaj. Zdecydowanie za dużo tu wibracji. – Uniósł dłoń ku skroni i skrzywił się boleśnie. – Nie uwierzyłby pan. Te głosy!

– Pan naprawdę słyszy tu jakieś głosy?

Theobald wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że „słyszeć” nie jest najlepszym słowem na opisanie tego. Ale, ogólnie rzecz biorąc, tak, słyszę głosy.

– Głos chłopca?

– Jasne. A także kobiety. Starszej kobiety. I jeszcze czyjś.

– Jeszcze czyjś? Czyj? Kobiety czy mężczyzny?

– Nie wiem. Trudno powiedzieć. Jest ostry, przenikliwy i jakby metaliczny, brzmi jednak tak, jak gdyby ten ktoś był gdzieś zamknięty, rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć? Przytłumiony. Dochodzi z innego pokoju albo może z jakiejś skrzyni.

– Czy jest pan w stanie zrozumieć, co mówi?

– Nie jestem wcale pewien, czy tego chcę.



– Niech pan chociaż spróbuje! – błagał Martin.

Homer Theobald niechętnie zdjął okulary i zamknął oczy.

– Ale ostrzegam pana, że może to bardzo podniecić i zaniepokoić tego pańskiego ducha chłopca.

– Błagam – naciskał Martin.

– Ma to jakiś związek z tym, w jaki sposób ten chłopiec bez przerwy mówi o kocie. Z jakiejś przyczyny ten kot jest dla niego naprawdę ważny. Ale ja nigdy jeszcze nie miałem własnego zwierzątka. Miałeś przecież te żółwie, co ci się w nich nie podobało? Żółwia nie można przytulić, to nie to samo, a poza tym i tak wszystkie uciekły. Rzeczywiście, uciekły, pełzały po całej kuchni, kucharka stała na krześle. Ale ja kocham Gałkę, kocham go.

Martin gwałtownie złapał gęsto porośnięte włosami przedramię medium.

– Panie Theobald!

Homer Theobald zamrugał oczami.

– O co chodzi? Co się stało?

– Gałka, tak pan powiedział. Gałka.

– Zgadza się – skinął głową Homer Theobald. – Kot nazywał się Gałka.

– Żadna z ksiązek o nim nie wspomina.

– Jakich ksiązek? – Tych o...

– A-a – przerwał mu Theobald. – Proszę tylko nie wspominać nazwiska! Mam całkiem niezłe pojęcie, o kogo chodzi, lecz nie chcę zacząć myśleć o żadnych nazwiskach, rozumie pan? Żadnych obrazów w umyśle. Umysł, panie Williams, to także lustro.

– Jeżeli już mamy tak cholernie bać się razem, to proszę mnie lepiej nazywać Martin.

– Ja jestem Homer, ale prawie wszyscy moi przyjaciele nazywają mnie Theo. Wiesz, to z racji utraty włosów. Theo Bald, Theo Łysy.

– Przepraszam, że ci przerwałem, Theo. Ale to imię, Gałka, lekko mnie zaszokowało. Czy myślisz, że uda ci się usłyszeć jeszcze coś?

– Nie wiem – odparł Theo, najwyraźniej nie zachwycony tą perspektywą.

– Tylko ten głos – no wiesz, ten ostry. Który dochodzi, jakby ktoś był zamknięty w skrzyni.

– No, dobrze. Ale to może nic nie dać. I na pewno nie mam zamiaru tu zostać, jeśli to zaczniesz orientować się, że tutaj jestem i podsłuchuję.

– W porządku, rozumiem.

Theo zamknął oczy.

– Chłopiec ciągle gada. To prawdziwa katarynka. Za życia był naprawdę popularny, naprawdę uroczy. Ale było coś, co zawsze ukrywał. Jakaś ważna część jego osobowości, której nigdy nikomu nie ukazywał. W dalszym ciągu ją skrywa, nawet teraz. To bardzo dziwne, ponieważ gdy ludzie umierają, nie ukrywają już dłużej swego prawdziwego oblicza. Całkowicie sobie folgują. To dlatego właśnie przybierają najdziwaczniejsze kształty. Zaczynają wyglądać tak jak powinni. Odrzucają skórę owcy, jeśli pojmujesz, o co mi chodzi, i ukazują wilka. Albo na odwrót, rzecz jasna.

Wśluchał się intensywniej. Na jego piegowanej czaszce i nad górną wargą wystąpiły kropelki potu. Zaczął mrużyć i mamrotać: niekontrolowany, bezładny potok słów, próśb, klótni.

– Nie mogę, babciu. Mówiłem już, nie mogę. Musisz. Musisz podziękować Panu. Nie chcę, nie mogę. Jak myślisz, co na to powiedzą ludzie, jeśli nie pójdziesz.

Theo, nadal z zamkniętymi oczami, uniósł jedną pulchną dłoń na znak, że odbiera teraz ten inny głos.

– Nigdzie nie chodź, ona nie może ci rozkazywać, nie idź, jak będzie gadała, to Gałka ją załatwi, nie idź, nie idź. Nigdzie nie idę. Nie możesz mnie zmusić. Jeśli mnie zmusisz, to Gałka cię załatwi.

Ten kot, jak śmiesz się tak do mnie odzywać. Masz się pozbyć tego kota i już, bez dyskusji. Jesteś wstrętnym dzieckiem. Przynosisz tylko hańbę twojej biednej matce. A za takie gadanie pójdziesz do piekła, będziesz przeklęty, tak, przeklęty.

Podczas gdy Theo pospiesznie mamrotał całą tę kłótnię pomiędzy Boofulsem a jego babką, zamek w drzwiach pokoju stołowego ustąpił bez ostrzeżenia i drzwi wolno rozwarły się. Ponieważ miał zamknięte oczy i koncentrował się wyłącznie na głosach we własnej głowie, Theo nie zauważył, jak ostro zarysowana plama światła przesuwa się po podłodze i stopniowo ogarnia go coraz bardziej i bardziej.

– Theo... – ostrzegł go Martin z walącym sercem. – Drzwi.

Theo otworzył oczy i z niepokojem spojrzał przed siebie.

– To ty je otwarłeś? – spytał.

Martin jedynie potrząsnął głową w odpowiedzi.

– Dotykałeś ich w ogóle?

– Nawet się do nich nie zbliżałem.

Theo otarł usta wierzchem dłoni.

– Muszę ci powiedzieć, Martin, że nie mam pojęcia, co się tu dzieje, i, po prawdzie, niespecjalnie chcę wiedzieć. Możemy porozmawiać, jasne, wyjaśnię ci, cokolwiek będę mógł. Ale nie mam zamiaru pozostać tu ani chwili dłużej, a już na pewno nie zbliżę się do tego twojego lustra.

– W porządku – odparł Martin. – Zgoda. Chodź, pojedziemy do „Butterfielda”. Postawię ci drinka. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

Theo z powrotem założył okulary. Kiedy to zrobił, drzwi do pokoju stołowego zatrzęsły się z hukiem, tak mocno, że jedna listwa pękła.

– Boże, co to było? – sapnął Martin.

Theo uśmiechnął się ponuro.

– To twoje lustro życzyło mi, żebym skręcił kark.

\* \* \*

Martin zostawił na drzwiach wiadomość dla Ramone, informującą, że pojechali do „Butterfielda”. Udali się tam rabblem Theo. Theo prowadził jak taksówkarz: zmieniał ze zgrzytem biegi, pocił się, przeklinał pod nosem i próbował ścigać się z każdym napotkanym samochodem, nieważne – porsche, rolls-royce’em czy eldorado.

– Nie wierzę w idealne opanowanie wszystkiego – stwierdził, parkując na chodniku przed „Butterfieldem”. – Czasami miło jest robić coś naprawdę źle.

„Butterfield” leżał na południowym krańcu Bulwaru Zachodzącego Słońca. Ocienione liściastymi palmami i kwitnącymi krzewami schody wiodły do stolików, przy których pod zielono-białymi parasolami zasiadali szczupli, opaleni ludzie w drogich ubraniach w kolorze khaki, rozmawiający o filmach, dietach, znajomych i o sobie, przeważnie jednak o sobie. Wokół pełno było świeżych owoców, jogurtu i wody mineralnej. Pierwszą osobą, którą dostrzegł Martin, był Morris Nathan. Jego szerokie plecy przelewały się po obu stronach białego metalowego krzeselka. O ramię opierała mu się Alison, której twarz ocieniał miękki biały kapelusz, drogie ciemne okulary skrywały oczy, a mocno opalone piersi wyskakiwały niemal z małej bluzeczki od Firucciego. „Władcy Obfitych Ciał”, pomyślał Martin.

– Martin! – zawołał Morris, machając tłustą ręką. – Przysiadz się do nas!

Martin jednak miał naprawdę pilną sprawę do Theo, a poza tym Morris siedział razem z Ahabem

Greene'em, niezależnym producentem o falistych złotych włosach, wylupiastych oczach i nogach obutych w białe kowbojskie kozaki, który zawsze cuchnął wodą po goleniu Armaniego. Martin zaś nie był w stanie wysiedzieć obok Ahaba Greene'a dłużej niż sześć i pół minuty bez wszczęcia piekielnej kłótni.

– Dzięki! – odchrząknął więc. – Ale, sam wiesz, interesy!

Morris przyjrzał się Theo podejrzliwie, zastanawiając się, czy to jakiś inny agent, lecz Alison szepnęła mu na ucho coś, co wyraźnie go uspokoiło. Alison nie grzeszyła może specjalnie inteligencją, jednak była jedną z tych dobrze ustawionych hollywoodzkich dziewcząt, które znają każdego aktualnie najlepszego astrologa, najmodniejszą masażystkę i najdroższą kosmetyczkę. Sama pracowała kiedyś jako manikiurzystka i prawdopodobnie nieraz zetknęła się z nazwiskiem Homera Theobalda. Ostatecznie hollywoodzcy mężowie bez przerwy umierają, a hollywoodzkie żony stale czują potrzebę kontaktowania się ze swymi najdroższymi, choćby po to, by ich zapewnić, że mądrze wydają ich pieniądze.

Ładna, znudzona kelnerka znalazła im stolik i Martin zamówił szampana.

– Szampan? – Uniósł brwi Theo, choć niewątpliwie do tego właśnie był przyzwyczajony.

– Taki mam nastrój – odrzekł Martin. – A co, do diabła.

Theo oparł łokieć na stole.

– Powiem ci coś, Martin. Kiedy ludzie umierają, ich duchy przenoszą się dalej. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jak już powiedziałem, to miejsce, do którego się przenoszą – druga strona, jeśli tak to chcesz nazywać – całkowicie różni się od świata, jaki znamy. Nie działają w nim te same prawa, czy to dotyczące moralności, fizjologii, czy też wszystkie zasady naukowe. Sam nie wiem. Trudno to opisać. Nie można przykładać do niego normalnej miary – takich pojęć, jak góra, dół, lewo, prawo. Ale ono istnieje. I tam właśnie idą ludzie po śmierci.

Przez chwilę Martin spoglądał w przestrzeń. Pomimo wszystkiego, co się dotąd wydarzyło, nadal jedynie z najwyższym trudem mógł uwierzyć w tę drugą stronę, o której opowiadał Theo. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć w samego Theo.

Kiedy wreszcie odezwał się, zabrzmiało to niemal jak skarga – zmieszany i zakłopotany student, proszący wykładowcę o wyjaśnienie jakiejś niepojętej teorii czasu i przestrzeni.

– Ale jak to miejsce – ten świat po drugiej stronie – jak on może pojawiać się w lustrze? I to nie tylko pojawiać się, lecz także wysyłać tu rzeczy? To znaczy, nie powiedziałem ci jeszcze nawet połowy tej historii. Widziałem w tym lustrze dziecinną piłeczkę, której w rzeczywistości w ogóle nie było. A kot Ranione został w nie wessany – dosłownie wessany w szkło. I Gałka, kot, który wyszedł z lustra – a przynajmniej wydaje mi się, że to był Gałka – on naprawdę wyszedł z lustra, mogę to udowodnić, bo wszystko było pozamykane, drzwi i okna, i w żaden inny sposób nie mógł dostać się do mojego pokoju. Omal mnie nie zabił – popatrz tylko na mnie. A potem z lustra wyszedł kot Ramone, tylko że zmienił się w coś w rodzaju węża, jak pyton, wiesz, albo boa dusiciel, i musieliśmy go spalić, dosłownie spalić! I dlatego wezwaliśmy ciebie. Ale, oczywiście, ty nie możesz nam pomóc. Albo nie chcesz.

Dziewczyna naląła im szampana. Może nie najlepszego gatunku, był jednak chłodny i pienisty, a tylko tego Martin żądał.

– Okay – powiedział.

Odeszła, kręcąc biodrami.

Theo wysączył łyk szampana, po czym spytał ciężko:

– To się faktycznie zdarzyło, te wszystkie rzeczy?

– Nie wierzysz mi, prawda?

– Ależ wierzę. Martin – pozwól, że ci to powiem – lustra to nie żarty. I nigdy nie były, szczególnie dla nas, ludzi wrażliwych na wpływy. Bo co to jest lustro? Ludzie myślą o nich jak o obrazkach na ścianie, ale to coś głębszego, przypominają raczej aparaty fotograficzne. Sam pomyśl. Patrząc w swoje lustro ze znacznie większym skupieniem niż na cokolwiek innego w życiu. Ludzie nawet na żony i mężów nie patrzą z takim napięciem jak na swoje odbicie.

– Nie rozumiem – przyznał Martin, i naprawdę nic nie pojmował.

– Posłuchaj – wyjaśniał Theo. – Słyszałeś kiedyś o pomieszczeniach, które w nie wyjaśniony sposób zachowują atmosferę strasznych czy tragicznych wydarzeń, jakie miały tam miejsce, i to na długo po ich zakończeniu? Czasem dzieje się to nie tylko z pomieszczeniami, ale też z całym domami, jak w Amityville. Och, zrobili z tego serię kretyńskich horrorów, ale ten dom naprawdę został czymś dotknięty, podobnie jak wiele innych. Niektórzy ludzie czują to w momencie, gdy przybywają w takie miejsce, inni nie. Cóż, część ludzi ma dobry słuch, a część nie ma. Wrażliwość na wpływy świata po drugiej stronie to nie coś, czego można nauczyć się w szkole.

– Co przez to rozumiesz? – spytał Martin. – Czy próbujesz mi wyjaśnić, że to lustro w jakiś sposób zapamiętało to, co przydarzyło się Boofulsowi?

Theo skrzywił się.

– Prosiłem przecież, żebyś nie wspominał jego imienia.

– Przepraszam. Ale i tak musiałeś się domyśleć.

– Och, oczywiście. Któż by to mógł być inny? A więc kupiłeś lustro, które należało do Boofulsa, i powiesiłeś je na ścianie? W sensie parapsychologicznym to trochę tak, jakby kupić szczoteczkę do zębów Adolfa Eichmanna i używać jej. Czy wiesz może, gdzie wisiało? To, czego próbuję się dowiedzieć, to czy istnieje jakaś szansa, że mogło być świadkiem tego, co się z nim stało – że lustro widziało śmierć Boofulsa?

– Wisiało nad kominkiem w głównym salonie. To tam zginął Boofuls.

Theo głęboko zaczerpnął tchu i gwałtownie zabębnił palcami po stole.

– To wszystko tłumaczy. Oto źródło twoich kłopotów. To lustro pamięta, jak umarł Boofuls. Teraz wszystkie te uczucia, cały strach, ból, cała nienawiść powraca do ciebie. To po prostu jak opóźnione odbicie. Ale może wydawać się rzeczywiste. Może przybrać realny kształt i może naprawdę zranić. Ten kot, Gałka, z jakiegoś powodu był dla Boofulsa niezmiernie ważny. Boofuls go kochał, lecz jego babcia nie pozwalała mu go trzymać w domu. Zatem cała ta sytuacja stanowiła część ogólnego napięcia.

Martin odstawił kieliszek.

– Sam już nie wiem. Dla mnie to wygląda jak coś więcej niż tylko odbicia. W końcu ludzie już przedtem musieli mordować innych przed lustrami. No wiesz, prawie w każdym domu wisi jakieś lustro. A jednak nie słyszy się o tym, żeby bez przerwy wyskakiwały z nich koty, potwory i Bóg wie, co jeszcze, prawda?

– Prosiłeś o wyjaśnienie. Udzieliłem ci go.

– A co z tym trzecim głosem, który słyszałeś? Tym, co brzmiał jak ktoś zamknięty w skrzyni czy coś takiego.

Theo zaczął się pocić.

– Nie wydaje ci się, że robi się tu gorąco? Może powinniśmy wejść do środka?

Martin sięgnął do kieszonki koszuli i wyjął klucz, który dała mu siostra Bonifacja.

– Kiedy powiedziałeś „skrzynia”, natychmiast pomyślałem o tym kluczu, bo babka Boofulsa, pani Crossley, dała go jednej z pielęgniarek w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia tej samej nocy, kiedy go zabiła. I zastanawiałem się, czy...

Theo spojrział na klucz, wybałuszając oczy. Promyk słońca odbił się od metalu i rzucił jasny refleks na jego czoło.

– Mój Boże, schowaj to – szepnął.

– Ale chciałbym tylko – skoro jesteś wrażliwy – może mógłbyś dotknąć tego klucza i powiedzieć mi...

– Odłóż go! – Polecenie Theo było tak ostre i przenikliwe, że kilkanaście osób obejrzało się.

– Theo... ta siostra powiedziała mi, że pani Crossley nie mogła mówić, ale pielęgniarka była całkowicie przekonana, że ten klucz był dla niej bardzo ważny. Gdybyś tylko mógł go dotknąć, potrzymać, zobaczyć, czy nie jest źródłem jakichś wibracji... To może być klucz do całej tej choleralnej sprawy.

– Scho-waj-ten-klucz – zaczął Theo, wtedy jednak z jego nosa buchnęła krew, zalewając hawajską koszulę i grubo tkane spodnie, plamiąc obrus i zabarwiając jego szampan na kolor mętnego rózu. Dziewczyna przy sąsiednim stole krzyknęła. Martin upuścił klucz i natychmiast chwycił Theo w ramiona.

– Theo! Co się stało? Theo!

– Płuco! – wykrztusił Theo, po czym zwymiotował strumień zaskakująco jaskrawej krwi, która chlusnęła na Martina, ochlapała chodnik wokół nich i zaczęła ściekać po białym krzeselku niczym lepka farba.

– Karetkę! – krzyknął Martin. – Na miłość boską, niech ktoś wezwie karetkę!

Theo zachybotał się na krześle. Martin starał się utrzymać go w pozycji pionowej, ale był niezwykle ciężki, bezwładny i śliski od krwi. W końcu, przy pomocy jednego z kelnerów, udało mu się ułożyć go delikatnie na ziemi.

– On umiera, czy co? – spytał kelner z wystraszoną miną.

– Martin, wszystko w porządku? – krzyknął Morris. – Właśnie zadzwonili po pogotowie.

Alison także zamachała do niego z niepokojem. Martin pokiwał do nich, co miało oznaczać, że robią wszystko, co tylko się da. Theo leżał na ziemi z twarzą przytuloną do płyty chodnika i zamglonymi oczami. Między jego wargami utworzył się krwawy bąbel.

– Klucz... – szepnął. Uniósł prawą rękę i złapał Martina za przegub, przyciągając go bliżej. – Klucz...

– Co mówisz? – spytał Martin. – Słuchaj, teraz po prostu odpoczywaj. Wezwali już karetkę.

– Klucz... działa jak... detonator...

– Co? Co masz na myśli?

– Lustro... nie chce... abym się wtrącał... przebiło mi... płuco. Zlokalizowało nas... rozumiesz?... w momencie... gdy powiedziałaś... Boofuls.

– Przykro mi, Theo. Nie miałem pojęcia.

– Cóż... to nie twoja... wina – mruknął Theo. – Powiniennem być... odmówić... na samym początku... wtedy, kiedy poczułem ten chłód... tę ciemność.

– Ja też to czułem – potwierdził Martin.

Theo wypluł kilka kropel krwi. W oddali słychać już było szybko zbliżające się zawodzenie syreny.

– Trzymaj się, Theo – powiedział uspokajająco Martin. – Wszystko będzie dobrze. Pogotowie jest tuż-tuż.

– Gdzie jest... ten klucz? – zapytał Theo.

– Nie wiem. Chyba go upuściłem.

– Znajdź go... daj mi go. Szybko.

– Theo, jeśli to niebezpieczne...

Theo uniósł głowę. Usta miał tak zakrwawione, jakby przez cały dzień wpychał do nich garściami maliny. Lepkie i czerwone, wyglądały dziwnie dziecinnie.

– Jeśli nie dasz mi tego klucza, nigdy już się do ciebie nie odezwę.

Groźba zabrzmiała tak absurdalnie, iż Martin pojął, że Theo mówi serio. Zaczął macać w szybko powiększającej się kałuży krwi i znalazł go w końcu obok ciemno poplamionych spodni Theo. Medium wyciągnęło po niego rękę i Martin podał mu go niechętnie.

Karetka zaparkowała przy Bulwarze, tuż przy wejściu do „Butterfielda”, i sanitariusze już zbiegali po schodach. Theo zamknął oczy i przez moment Martin, klęczący w błyskawicznie stygnącej krwi, był pewien, że umarł. Sanitariusze podbiegli do niego i odsunęli stolik. Ktoś krzyknął:

– No dobra, panie, niech się pan posunie.

Theo podniósł jedną zakrwawioną rękę.

– Martin... – wykrztusił – Martin...

Martin spróbował dostać się bliżej niego, lecz jeden z sanitariuszy powstrzymał go.

– Odsuń się, przyjacielu, temu człowiekowi potrzeba miejsca.

– Martin! – charczał Theo. – Martin!

– Muszę tam podejść – błagał Martin. – Niech pan posłucha, muszę wiedzieć, co on ma do powiedzenia.

– Chce pan go zabić, czy co? – spytał ostro sanitariusz. – Ten człowiek ma przedziurawione płuco. A teraz proszę nam zrobić tę grzeczność i zjeżdżać stąd, bo przestanę być uprzejmy.

Badali właśnie funkcje życiowe Theo i rozwijali maskę tlenową. Zanim jednak zdołali przyłożyć mu ją do twarzy, ranny uniósł się na jednym łokciu i wybełkotał:

– Martin! Martin, słuchaj! „Boskie Hollywood”! „Boskie Hollywood”!

– Słucham? – zapytał bezradnie Martin.

– Bywałem tam... jako dziecko... zabierał mnie ojciec... sala koktajlowa... Masz! Weź klucz! „Boskie Hollywood”! Bankiety w lamparcich skórkach... połączone zwierciadła... Łap! Martin! Klucz!

Theo wymachiwał kluczem, aż w końcu znecierpliwiony lekarz zabrał mu go i podał Martinowi.

– Facet gada zupełnie od rzeczy – skomentował, nakrywając twarz Theo maską tlenową.

Martin odczekał, aż lekarz pogotowia przekaże dane o stanie pacjenta do szpitala, po czym spytał:

– Dokąd go zabieracie?

– Do Sióstr Miłosierdzia, to najbliżej.

– W porządku, jadę tam.

– Tylko niech pan nam nie siedzi na ogonie – odparł sanitariusz, układając zakrwawione ciało Theo na noszach.

– W rabbie? – spytał zgryźliwie Martin.

## 6.

Theo zmarł o trzeciej czterdzieści sześć tego samego popołudnia. Martin siedział w poczekalni, gdy weszła tam siostra Michaela, szeleszcząc białym habitem i kornetem. Zawiadomiła go, że wszelkie wysiłki, mające na celu uratowanie Theo, okazały się bezskuteczne.

– Czy był pańskim bliskim przyjacielem, panie Williams? – Twarz siostry Michaeli sprawiała wrażenie wyrzeźbionego w wosku oblicza Anioła Pocieszyciela.

– Nie, poznałem go dopiero dzisiaj – odparł Martin.

– Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Ale jego płuca po prostu odmówiły posłuszeństwa. Później może pan porozmawiać z lekarzem, jeśli pan sobie życzy.

Pojawił się Ramone, ubrany w czarny podkoszulek, czarne dżinsy i wyglądający na bardzo nieszczęśliwego.

– Zadzwoń do niego do domu. Odebrał jakiś chłopak, chyba jego najnowszy przyjaciel. Wydaje mu się, że jest jakaś siostra w Indianie, w każdym razie ma przejrzeć notes z adresami i zadzwonić do niej.

– Przynajmniej odszedł w pokoju do Królestwa Niebieskiego.

– Proszę? – nie zrozumiał z początku Ramone. – Ach, tak, jasne – popatrzył na Martina i wykrzywił się w porozumiewawczym grymasie. Martin zdążył już opowiedzieć mu o tym, jak Theo opisywał świat po drugiej stronie, z jego gadającymi żółwiami i ludźmi o rozciągniętych głowach.

Siostra Michaela położyła mu na ramieniu chłodną bladą dłoń.

– Jeżeli jest jeszcze coś, co mogłabym dla pana zrobić, proszę nie wahać się i powiedzieć. Kiedy ktoś umiera, rozumiemy potrzebę pocieszenia tych, których zostawił za sobą.

– Dobrze, dziękuję – odrzekł Martin.

Ramone krzyżując ramiona przysiadł na jednym z krytych szarym materiałem foteli. Nad jego głową uśmiechał się do nich obraz, przedstawiający Madonnę o dobrotliwej twarzy, przebaczącej wszystkie ludzkie błędy i słabości.

– I co teraz? – chciał wiedzieć. – Jeśli Homer Theo-bald nie był w stanie nam pomóc, jeśli on tak skończył, to jakie my mamy szansę? – Pochylił się i spytał: – Naprawdę myślisz, że to lustro go załatwiło? Z takiej odległości?

Martin wzruszył ramionami.

– On przynajmniej wydawał się tak sądzić. Pokazałem mu ten klucz i w tym momencie pobladał cały. To znaczy, rozumiesz, zaczął bełkotać. Boże, chciałbym, żebym tego nie zrobił. Mógłby jeszcze żyć.

Ramone wyjął cygaro, lecz zakonnica za szybą w milczeniu wskazała mu znak, głoszący *No fumadores*.

– Skąd wiedziała, że znam hiszpański? – szepnął Ramone, chowając z powrotem cygaro do paczki.

– Musiała zgadnąć. Albo może przeczytała „Viva Las Patillas!” z tyłu twojej koszulki.

– Przyjrzyjmy się temu kluczowi – zaproponował Ramone.

Martin podał mu go. W trakcie czekania na wieści o stanie Theo poszedł do szpitalnej umywalni i dokładnie obmył klucz z krwi. Ramone obrócił go parę razy w palcach i oddał przyjacielowi.

– To po prostu najzwyklejszy klucz.

– Cóż, może tak, a może i nie. Uważam, że powinniśmy pojechać do „Boskiego Hollywood” i sprawdzić. Co ty na to? Tu i tak nie mamy po co siedzieć.

– Nie wiem nawet, czy „Boskie Hollywood” jeszcze stoi – stwierdził Ramone. – W zeszłym roku wyburzyli większość okolicznych budynków.

– Pozostaje nam jedynie przekonać się na własne oczy.

Siostra Michaela raz jeszcze wtrącała się, kiedy ruszyli w kierunku windy.

– Panie Williams! Panie Perez! Czy przed wyjściem chcieliby panowie zobaczyć zmarłego?

Martin spojrział na Ramone, który wybałuszył na niego oczy w absolutnie jednoznacznej odpowiedzi: „za żadne skarby”.

– Dzięki – odparł Martin. – Ale myślę, że wolałbym zapamiętać go takim, jaki był.

– To znaczy? – zaciekawiał się Ramone, gdy zjeżdżali windą do hallu szpitala.

– Żywego – wyjaśnił Martin.

\* \* \*

Hotel „Boskie Hollywood” został wzniesiony w 1927 roku przez Daniela T. Rollsa, bogatego młodszego syna hotelarskiej rodziny Rollsów z Pasadeny. Stał dwie ulice na północ od słynnego skrzyżowania ulic Hollywood i Vine – wymyślny twór w stylu neoklasycystycznych pałaców filmowych, spopularyzowanym przez Eve Leo.

W okresie swojej świetności „Boskie Hollywood” słynęło z ekscentrycznej, wyrafinowanej klienteli i stanowiło na Zachodnim Wybrzeżu odpowiednik nowojorskiego hotelu „Algonquin”. Lecz po ohydnej śmierci założyciela, która miała miejsce w 1937 roku (kokaina, burbon, zadławienie się własnymi wymiocinami), hotel szybko stracił styl. Obecnie stał zniszczony, obdrapany i gotowy do rozbiórki. Jego blad różowe ściany niszczały od samochodowych spalin, markiza niemal zupełnie odpadła, a marmurowe schody poplamione były moczem i dziobate od gумы do żucia.

– Przysięgłbym, że już dawno rozwalili to miejsce – zauważył Ramone, gdy parkowali na zewnątrz mustangiem Martina.

Natychmiast podszedł do nich dzieciak o szczupłej twarzy i szkarłatnym punkowym czubie.

– Hej, przyjacielu, zaopiekować się twoim wozem?

Martin sięgnął do kieszeni spodni i dał mu dwa dolary.

– Czekają na ciebie jeszcze trzy do kompletu, jeśli magnetofon zostanie tam, gdzie jest.

– Nie ma sprawy – odparł dzieciak.

Przy wejściu do hotelu stały trzy panienki, dwie czarne i jedna biała, odziane w superobcisłe mini-spódniczki i staniczki. Wszystkie były ładne, a jedna nawet prawie piękna. Mrugnęła do Martina, który właśnie wchodził po schodach i nie mógł się powstrzymać, by nie odpowiedzieć uśmiechem.

– Nowa znajomość? – skomentował Ramone.

Przepchnęli się przez wrota z brązu i szkła do mrocznego holu. Przegniła wykładzina była tak poplamiona i brudna, że w żaden sposób nie dało się odgadnąć jej oryginalnego koloru. Wokół unosił się duszący smród marihuany, nie mytych ciał i środków odkażających. Sześciu czy siedmiu obszarpańców rozpierało się na poszarpanych krzesłach krytych lamparcią skórą, tam gdzie niegdyś



siadywali John Barrymore i Betty Davis. Wspólnie popijali muszkata z owiniętych w brązowy papier butelek i chóralnie pociągali nosami.

Z sufitu zwieszał się ogromny kandelabr, przywodzący na myśl wyschniętego trupa olbrzymiego pająka, wciąż jeszcze usadowionego w swej pajęczynie.

Martin i Ramone podeszli do recepcji. Recepcjonista był zaskakująco młody i czysty, ubrany w szokująco różową koszulę i ostrzyżony po wojskowemu. Dopiero kiedy położył na marmurowej ladzie wychudzone ramiona, Martin dostrzegł ślady ukłuc.

– Wprowadzacie się? – spytał recepcjonista. Jego oczy były tak blade i pozbawione wyrazu jak dwa kamyki znalezione na plaży.

Martin potrząsnął przecząco głową.

– Ciekaw jestem, czy wciąż jeszcze macie tu skrytki.

– Skrytki? – Młody człowiek zamrugał oczami.

– No, wie pan. Tam, gdzie goście mogą trzymać swoje kosztowności.

– Żartuje pan czy co? Jeżeli ktoś ma jakieś cenniejsze rzeczy, to trzyma je przy sobie. A zresztą rzadko kto zatrzymuje się tu dłużej niż na pół godziny.

– Ale czy są tu jeszcze oryginalne skrytki – te, które założono przy budowie?

– Nie sądzę. Tu już praktycznie nic nie ma. W zeszłym tygodniu ktoś nawet wyniósł wannę. Może pan to sobie wyobrazić? Nikt nie wie, jak udało mu się przecisnąć ją przez drzwi.

Martin ściągnął usta i rozejrzał się wokół. Jeden z obszarpańców wymachiwał rękami i śpiewał:

– Pooo...łudnia Pieśń! Po...łudnia Pieśń! Gdy grają nam flety, puzony i werble, i ty...

– Zamknij się wreszcie! – wrzasnął na niego jeden z towarzyszy. – Zamknij się!

Martin przez chwilę przyglądał się staremu obszarpańcowi, po czym odwrócił się do recepcjonisty i spytał:

– Kto to?

– Kto to kto? – Być może młody człowiek wyglądał przyzwoicie, ale jego umysł znajdował się gdzieś w sąsiedniej galaktyce.

– Ten stary, co śpiewa. Ten, co śpiewa „Pieśń Południa”.

Recepcjonista wytężył wzrok.

– Och, to Fido. No, przynajmniej wszyscy go tak nazywają. Kręci się tutaj chyba od stu lat. Zdaje się, że kiedyś tu pracował czy coś takiego. Zawsze opowiada historyjkę o tym, jak tu wpadł kiedyś na Billa Hainesa, a Bill Haines miał na sobie jedynie biustonosz, pas do pończoch i kapelusz ze strusimi piórami.

Martin zostawił go i podszedł do grupki obdartusów. Fido siedział w samym środku, na jednym z niegdyś eleganckich krzeseł. Miał obrzękłą twarz, pokrytą alkoholowymi plamami i garnitur z gatunku tych modnych w latach pięćdziesiątych, z szerokimi wydłużonymi klapami, niegdyś jasnobrązowy, obecnie jednak tłustoszary. Martin nie był w stanie podejść zbyt blisko. Połączony smród tych wyrzutków zwałął z nóg.

– Fido? – spytał.

Fido podniósł ku niemu załzawione spojrzenie.

– To ja, wasza miłość.

– Mówią, że kiedyś tu pracowałeś?

Ze strony towarzyszy Fido rozległ się chór jęków i parsknięć:

– Nie pytaj go o to! – poprosił błagalnie jeden z nich głosem niewyraźnym od flegmy. – Zrób nam tę grzeczność, przyjacielu, dobrze? Nie pytaj!

– Czy ten dżentelmen zwracał się do was? – warknął Fido z oburzeniem godnym najlepszych

filmów Olivera Hardy'ego.

– Pracowałeś tu, pracowałeś, a teraz idź pan! – błagał drugi obszarpaniec.

– Moglibyśmy pogadać gdzieś na osobności? – zaproponował Martin. – Nie chciałbym drażnić twoich przyjaciół.

– Przyjaciół? Nazywa pan tych śmieciarzy moimi przyjaciółmi? To po prostu przypadkowe życiowe wraki, zrządzeniem losu wyrzucone na tę samą mieliznę.

– Och, przymknij twarz, Fido – jęknął któryś z pozostałych. – Uszy bolą od twojego szczekania.

Fido wygramolił się spośród stadka pijaczków i podreptał w ślad za Martinem i Ranione w odległy kraniec hallu, koło złoconej fontanny, która dawno już wyschła. Teraz misę w kształcie muszli wypełniały niedopałki papierosów, puste butelki i zużyte igły.

Kiedy Fido zatoczył się bliżej niego, Ramone zmarszczył nos.

– Kąpiele nie są karalne, wiedziałeś o tym?

– Ciii. – Martin gestem nakazał mu milczenie. Nie chciał denerwować Fido, zanim z nim nie porozmawia.

– Czy to prawda, że tu pracowałeś?

– Ile to warte? – chciał wiedzieć Fido.

Martin wyciągnął dziesięciodolarówkę. Fido pociągnął nosem, wziął banknot i zmiął go w palcach, sprawdzając, czy przypadkiem nie jest fałszywy.

– No dobra. Pracowałem.

– Byłeś tu w trzydziestym dziewiątym?

Mężczyzna skinął głową, a pomarszczona biała skóra jego szyi otarła się z szelestem o kołnierzyk brudnej koszuli.

– Jasne, w trzydziestym dziewiątym. Awansowałem wtedy na przełożonego chłopców hotelowych. W marcu 1939 roku.

– Czy widziałeś tu kiedyś Boofulsa?

– Boofulsa? – powtórzył podejrzliwie Fido. – Czemu pan o to pyta?

– Po prostu mnie to interesuje, to wszystko. Piszę książkę o jego życiu.

– No, wiele to on sobie nie pożył, co nie? Ale za to z pewnością miał pamiętną śmierć.

– Widziałeś go?

– Jasne, że tak. Cały czas tu bywał, on i ta kobieta, Redd. Co miesiąc, a oprócz nich cała kupa innych. Sławni aktorzy, wie pan, łatwi do rozpoznania, sławni reżyserzy.

Martin w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– To znaczy, że Boofuls co miesiąc spotykał się tu z dużą grupą innych aktorów i reżyserów?

– Zgadza się. Istny cyrk. Nikt nie miał prawa się dowiedzieć. Wielki sekret, nie mówcie nic prasie, tego typu rzeczy. I po prawdzie wydaje mi się, że faktycznie dziennikarze nigdy tego nie wywąchali. Ale myśmy wiedzieli, cała obsługa. W końcu nie da się nie rozpoznać kogoś takiego, jak Clark Gable, no nie? I do tego George Cukor, Lionel Atwill i wielu, wielu innych. Same wielkie nazwiska trzydziestego dziewiątego roku, wszyscy tu bywali. Może nie co miesiąc, ale prawie.

– Lepiej niech to nie będzie pański wymysł, panie Fido – ostrzegł Ramone.

– Po co miałbym was nabierać? – zaprotestował Fido. – Wszystko to najszczęsza prawda. Co miesiąc, tu, w „Boskim Hollywood”, w apartamencie Leicester.

– I Boofuls był tam za każdym razem? – spytał z niedowierzaniem Martin.

Fido przytaknął.

– Nie zaczęliby bez niego.

– Nie zaczęli czego? – zdziwił się Ramone.

Fido wydał dziobate policzki.

– Niech mnie pan nie pyta. Skąd mam wiedzieć? W końcu to wszystko to była tajemnica. Zanim zaczęli, zastawialiśmy dla nich stoły – kurczęta, homary, różne takie – a potem musieliśmy zamknąć drzwi i zostawić ich – cokolwiek tam robili. Ale wiercie mi, to były same sławy. Errol Flynn tam bywał. I Joan Crawford. Co miesiąc pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt osób, czasem jeszcze więcej.

– Jesteś tego pewien?

– Jasne, że tak. Byłem w końcu szefem pikolaków.

– No, dobrze, a jak długo trwały te spotkania?

– Do drugiej, trzeciej w nocy, czasem dłużej.

– I Boofuls zostawał aż do końca?

– Widziałem, jak wychodził, często i o czwartej rano. Ta Redd okrywała go płaszczem z kapturem, ale nie można go było pomylić z kimś innym.

– Miał tylko osiem lat; co tam robił do tak późna? – zdumiał się Martin.

Fido odkaslnął i głośno chrząknął parę razy.

– Ja tam nie mam bladego pojęcia, co mógł robić aż do rana. Czasami podsłuchiwalismy pod drzwiami, ale nic nie było słychać. Tylko czasem muzykę. Ale mieli też ze sobą dziewczęta. Nie żeby od razu panienki, ale tak zwane „gwiazdeczki”.

Martin spojrzał na Ramone, ten jednak tylko potrząsnął głową.

– Nie pytaj mnie, człowieku, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Są trzy możliwości: ten gość wpuszcza nas w maliny, zupełnie zwariował albo też natknęliśmy się właśnie na największą hollywoodzką tajemnicę wszechczasów.

Martin zwrócił się do Fido:

– Posłuchaj, gdzie były skrytki hotelowe, w czasach, gdy tu pracowałeś? Pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam. A ile to kosztuje?

Z pewną niechęcią Martin wręczył mu kolejny banknot dziesięciodolarowy. Fido złapał go równie łapczywie jak poprzedni, po czym pociągnął nosem i powiedział:

– Trzymali je kiedyś na tyłach biura dyrekcji, tam, gdzie prowadzi to przejście za ladą. Ale jeśli ich szukacie, to mogę wam oszczędzić zachodu, bo już ich tam nie ma. Około 1951 roku, kiedy „Boskie Hollywood” naprawdę zaczęło tracić forszę, powstał plan jego przebudowy, wiecie, i całą kupę rzeczy przeniesiono do piwnic. Problem polegał na tym, że ten plan upadł: brak pieniędzy, kłopoty z administracją, coś takiego, i wszystko, co czasowo przerwano do piwnicy, już tam zostało.

– A więc to tam są teraz skrytki.

– Dokładnie, wasza miłość. Nie wspominając nawet dwóch tysięcy stóp kwadratowych zapleśniałej wykładziny i wystarczającej ilości aksamitnych zasłon, aby móc uszyć z nich lordowskie spodenki dla każdego włóczęgi w Los Angeles i okolicach.

Ramone roześmiał się ostro, bez cienia prawdziwej wesołości. Fido wzruszył ramionami i obdarzył go głupawym uśmiechem, ukazując obwisłe dziąsła i brązowe, pokryte nalotem zęby.

– I jeszcze jedno – odezwał się Martin. – Kim była ta kobieta, o której mówiłeś? Redd? Myślałem, że Boofulsem opiekowała się babcia.

– Nigdy nie dowiedziałem się o niej zbyt wiele. Ale to właśnie ona rezerwowała apartament, stąd poznaliśmy jej nazwisko. R-E-D-D, Redd, tak się to pisało, ale równie dobrze mógł to być, jak mu tam, pseudonim.

– Czy wiesz, jaki był jej związek z Boofulsem?

Fido pokręcił przecząco głową.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Po prostu wprowadzała go, zanim się to wszystko zaczęło, i wyprowadzała, gdy się skończyło.

– Czy widziałeś kiedyś jej twarz? Jak wyglądała?

– No... przez chwilę. To było bardzo dawno temu. Była blada, wie pan, co mam na myśli, takim rodzajem bladości, co to wygląda, jakby ktoś chorował albo długo pozostawał w zamknięciu i nie wychodził na słońce. Ładna na swój sposób, ale taką ostrą urodą. Miała ostry nos, ostry podbródek, ostre spojrzenie. I z klasą. Definitywnie z klasą. Ale ostra.

– W co się ubierała?

– Zawsze tak samo: czarna wieczorowa peleryna, pod spodem czerwona suknia. Nigdy nie udało mi się dostrzec jej kroju. Wpadała tu i wypadała cholernie szybko, jak błyskawica.

Wszystko to całkowicie oszołomiło Martina. Nigdy nie słyszał o jakiejś kobiecie, zajmującej się Boofulsem oprócz jego babki, i z całą pewnością nie słyszał o comiesięcznych spotkaniach gwiazd filmowych w hotelu „Boskie Hollywood”, którym Boofuls najwyraźniej przewodził.

– Dla twojego własnego dobra mam nadzieję, że wszystko to trzyma się kupy – ostrzegł obdartusa.

Ten zasalutował mu dłonią szarą od brudu.

– Wasza miłość zawsze znajdzie we mnie najwierniejszego sługę.

\* \* \*

Za dodatkowe dwadzieścia dolarów recepcjonista o błędnym spojrzeniu zaprowadził Martina i Ramone do niegdysiejszego apartamentu Leicester. Szerokimi marmurowymi schodami wspięli się na półpiętro i przeszli przez dźwięczący echem ich kroków przedsionek, w którym śmierdziało karbidem. Recepcjonista podprowadził ich do szerokich podwójnych rzeźbionych drzwi – niektóre z szybek popękały i zostały zastąpione kawałkami dykty – i otworzył je jednym z kluczy, dyndających na dużym kółku.

– Musimy zamykać to miejsce, wszystkie ćpuny w mieście używały go jako bazy. Co rano wywlekaliśmy stąd dwóch czy trzech sztywnych ćpunów, którzy zafundowali sobie ostatni strzał.

Wewnątrz, przy świetle kilku gołych żarówek, ostrożnie obejrzelili cały apartament, który kiedyś musiał być wspaniały. Ponieważ znajdował się na półpiętrze, jego pokoje były półtora raza wyższe od wszystkich innych w hotelu. Na ścianach błyszcząły złote i srebrne tapety, a na mrocznych sufitach i naokoło drzwi lśniły złoczone renesansowe stiuki.

Recepcjonista przeprowadził ich przez przedsionek wewnętrzny i kolejne podwójne drzwi do ogromnego pomieszczenia, które musiało być salonem. Był tam połączony kominek i złożony żyrandol, lecz poza tym wyniesiono wszystkie meble i dywany. Podłogę zaścielały stare poźółkłe gazety i szczurze odchody, w najdalszym kącie stała zaskakująca w takim miejscu zielona ogrodowa huśtawka.

Szuranie ich kroków odbijało się echem w całej sali. Ramone, trzymając ręce w kieszeniach, powiedział:

– Trudno uwierzyć, że był tu kiedykolwiek Clark Gable, prawda?

– Jedyne, czego się chcę dowiedzieć, to co, u licha, tu robił – odparł Martin. – I co tu robił Boofuls?

– Może jakieś orgie? – zasugerował Ramone. Podeszedł do huśtawki i pchnął ją. Zakołysała się ze zgrzytem, w przód i w tył, w przód i w tył, skrzyyyyp-skrzyp, skrzyyyyp-skrzyp.

– Mały chłopczyk przewodzący orgiom? To nie ma sensu.

– Człowieku, skąd niby mam wiedzieć? – Ramone pociągnął nosem. – To miejsce wywołuje we

mnie dreszcze.

Recepcjonista wtrącił się:

– Czy już skończyliście? Nie ma tu nic więcej do obejrzenia.

– Chyba tak – stwierdził Martin. – Mógłby pan nas zaprowadzić do piwnic?

Opuścili apartament Leicester i ciężkie podwójne drzwi zatrzasnęły się za nimi. Recepcjonista sprowadził ich schodami do holu i dalej, wąskim korytarzykiem do kuchni i pomieszczeń służbowych. W kuchniach panował okropny bałagan, były pełne śmieci i opustoszałe. Lepkie od brudu drzwi piekarników stały otworem. Martinowi trudno było uwierzyć, że kiedyś przygotowano tu słynnego homard orientale, specjalność restauracji „Boskiego Hollywood”, a także przesławny płonący deser z czereśniami i Grand Marnierem, stworzony specjalnie dla Glorii Swanson.

Recepcjonista przekręcił klucz w drzwiach prowadzących do piwnic.

– Na dole po lewej jest wyłącznik światła. Możecie oglądać, co chcecie, ja muszę wracać do siebie. Zawołajcie mnie, kiedy skończycie.

Ranione i Martin po omacku zeszli po szerokich betonowych schodach. Martin wymacał wyłącznik i pstryknął: rząd jarzeniówek oświetlił wysokie sklepienie pomieszczenie, aż po sufit zapchane krzesłami, stołami, składanymi łóżkami, materacami, tablicami, abażurami, statuetkami, znakami głoszącymi „Wyjście” i „Palenie wzbronione”, kartonami, skrzyniami i zrolowanymi dywanami.

Ostrożnie ruszył naprzód, pomiędzy całą tą kolekcją świadectw historii „Boskiego Hollywood”, wyciągając ręce dla utrzymania równowagi. Prawie natychmiast nadepnął na kartonowe pudło pełne mosiężnych oprawek do żarówek, które rozsypały się po podłodze niczym skarb Aladyna.

– Widzisz cokolwiek, co przypominałoby te skrytki? – spytał Ramone.

– Nie wiem. Tam na końcu jest cała kupa rzeczy przykrytych pokrowcami. Zaraz sprawdzę.

Martin przedarł się przez stosy składanych łóżek w najdalszy kąt piwnicy. Było tam ciemniej, a zastałe powietrze dławilo w gardle. Natknął się na coś wysokiego i kanciastego, ukrytego pod szarym, poplamionym pokrowcem. To coś było wzrostu człowieka z wyciągniętą jedną ręką. Martin pociągnął za pokrowiec, ale tkanina zaczepiła o coś.

– Co tam masz? – zawołał Ramone, gramoląc się za nim. Nastąpił na jedno z łóżek i stopa wpadła mu pomiędzy sprężyny. Rozległ się głośny brzęk, a po nim wściekle:

– Szlag by to!

Martin ponownie pociągnął pokrowiec i tym razem rozdarł go na całą szerokość. Aż krzyknął ze strachu, cofnął się i omal nie stracił równowagi. Z rozdartego materiału spoglądała na niego lśniąca czarna twarz, twarz o białych oczach i czerwonych ustach.

Ramone minął go i zdarł resztę pokrowca.

– Hej! – wyszczerzył do niego zęby. – Niezła. Nie powinna cię była tak przerazić.

To była figura z lat trzydziestych, przedstawiająca afrykańską tancerkę ze strusimi piórami we włosach i spódnicą z trawy wokół bioder. W ręku trzymała tarczę, krytą skórą zebry.

– Bardzo gustowne cycusie – stwierdził Ramone, przyglądając się bliżej.

Przedarli się wzdłuż ściany i wreszcie w jednym z rogów natknęli się na wciśnięte w kąt skrytki. Były tego cztery segmenty, leżące płasko na podłodze i niemal zupełnie przykryte stosem składanych drewnianych krzesel.

– No, przynajmniej tego nikt stąd nie wyniesie – skomentował Ramone.

Ponad dziesięć minut zajęło im samo usunięcie krzesel. Martin oczyścił najwyższy segment z kurzu, 1-100. Oznaczało to, że będą musieli podnieść cały segment, by dotrzeć do numeru 531 gdzieś pod spodem.

Każdy z nich złapał za róg, próbując unieść skrytki. Były nieprawdopodobnie ciężkie.

– Jak tak dalej pójdzie, jak nic dostaniemy ruptury – orzekł Martin. – Może lepiej spróbujemy je zsunąć.

Przy wtórze sapania i przekleństw udało im się zwlec najwyższy segment na bok, po czym przechylić go tak, że osunął się na podłogę.

– O co się założymy, że te, o które nam chodzi, są na samym dole? – spytał Ramone. Spojrzał na tabliczki i przetarł jedną czy dwie wierzchem dłoni. – Numery od pięćset do sześćset, dzięki Ci, Panie.

Martin wspiął się na nie i przejechał palcem po plakietkach, póki nie dotarł do numeru 531.

– Tysiąc do jednego, że ten klucz nie będzie pasował. Nikt z twoim szczęściem nie może od razu za pierwszym razem znaleźć właściwej skrytki.

– Theo powiedział: „Boskie Hollywood” – odparł Martin. – A, uwierz mi, on był prawdziwym medium. Czy wrażliwym, jak to nazywał.

– Chyba każdy by był wrażliwy, pracując dla Elmore Sweeta – rzucił Ramone.

Martin wyjął klucz, który dała mu siostra Bonifacja, i wsunął go w zamek skrytki. Kiedy to zrobił, wydało mu się, że słyszy, jak gdzieś na górze, w zrujnowanym hotelu, ktoś gwizdże. Zawahał się i natężył słuch. I rzeczywiście. To była dziwna melodyjka ze Słonecznej serenady. Boofuls śpiewał ją na samym końcu filmu, gdy uważał (oczywiście niesłusznie), że stracił swoją matkę.

*Gruszki są słodsze od jabłek,  
jabłka są słodsze niż lzy,  
ale najśłodsze jest twoje wspomnienie  
i smutek szczęśliwszych dni.*

Piosenka była niezwykła dlatego, ponieważ nie została napisana przez zwykłych autorów Boofulsa, lecz przez George Garratta, a także dlatego, że po tym, jak Garratt pokłócił się z L. B. Mayerem w związku z „różnicami artystycznymi” – całą tę sekwencję wycięto z kopii przeznaczonych do ogólnego rozpowszechniania. Martin ją znał, gdyż video Słonecznej serenady, które sporządził mu jego przyjaciel Gerry w archiwach M-G-M, zawierało ten fragment. Ale kto inny mógł ją znać?

Być może Fido, jeśli kiedykolwiek słyszał śpiewającego ją Boofulsa. Albo George Garratt, tylko że w pięćdziesiątym ósmym roku George Garratt popił dwie buteleczki środków nasennych szklanką polskiej wódki i w szpitalu Laurel Canyon orzeciono „zgon w drodze do szpitala”. Albo też – jeśli jego obraz w lustrze Martina był czymś więcej, niż tylko zwykłym obrazem, i jeśli była choć cząstka prawdy w tym, co powiedziała o nim siostra Newton – sam Boofuls.

*Nie wydaje się, żeby to czyniło specjalną różnicę – to znaczy, jego śmierć.*

– Co się stało, stary? Człowieku, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Martin natężył słuch, pogwizdywanie jednak zamarło najcichszym echem gdzieś na górze, w mrocznych korytarzach hotelu „Boskie Hollywood”.

– Słyszałeś coś? – zapytał przyjaciela.

Ramone potrząsnął głową.

– Sam nie wiem. Zdawało mi się, że słyszę, jak ktoś gwizdże.

– Pewnie to wiatr, *mi amigo*. Albo w rurach.

Mimo to Martin był pewien, że słyszał tę żalną, zapomnianą piosenkę. „Smutek szczęśliwszych

dni”, słowa i muzyka: George Garratt, wykonanie: Walter Lemuel Crossley, znany całemu światu jako Boofuls.

Martin spróbował przekręcić klucz. Szło mu ciężko, bo zamek był zardzewiały i nie oliwiony od wieków, lecz wreszcie klucz drgnął.

– Widzisz! To ten klucz, jestem pewien! Po prostu cholernie ciężko idzie!

– Tylko go nie złam – upomniał go Ramone – bo wtedy już nigdy nie otworzysz tej gangreny.

W zamku coś zazgrzytało, po czym nagle klucz przekręcił się do samego końca tak, że Martin mógł unieść drzwiczki. Nie były one zbyt duże: dwadzieścia centymetrów na dziesięć – lecz wewnątrz skrytka liczyła ponad pół metra. Teraz, kiedy leżała płasko na ziemi, Martin musiał włożyć do niej rękę jak do worka. Zerknął do niej podejrzliwie. Od czasu, gdy z cienia pod biurkiem rzucił się na niego ten pręgowany kocur Gałka, uważał z wsadzaniem głowy w ciemne miejsca, gdzie jej nie chciano, a zresztą także i w te, gdzie była mile widziana.

Ramone także próbował zajrzeć do wnętrza skrytki i ich czoła zderzyły się nad nią.

– Wygląda na to, że jest pusta – orzekł Ramone, nie bez ulgi.

– No, nie da się stwierdzić na pewno, póki nie włożę do niej ręki.

– Chcesz tam włożyć rękę? A jeśli w środku coś jest?

Martin podniósł głowę i spojrzał na niego.

– Coś tam jest? A co mianowicie?

– No, nie wiem, człowieku, a jeżeli to pułapka? Przypuśćmy, że ta zakonnica, która dała ci klucz, to nie prawdziwa zakonnica, tylko jeszcze jedna z tych halucynacji – no, to całkiem możliwe, nie możesz temu zaprzeczyć – i przypuśćmy, że wiedziała o jakiejś pułapce tu wewnątrz, tylko czekającej na to, aby ktoś taki jak ty, wsadził tam swoją gorącą rączkę, w sam środek. No wiesz, a jeśli to coś równie okropnego jak ten kot? Bo chyba lubisz swoją rękę, nie?

– Ramone – przerwał mu Martin. – Nie sądzisz, że prawdopodobieństwo, aby tu w ogóle cokolwiek było, jest niezmiernie małe? Nie mówiąc nawet o tym, że najprawdopodobniej cokolwiek tu było, zostało odebrane przez prawowitego właściciela pięćdziesiąt lat temu, to przecież dyrekcja hotelu nie wywaliliby tych skrytek tutaj bez uprzedniego przejrzania ich zawartości. Ostatecznie, mój przyjacielu, ludzie trzymali tu pieniądze, diamenty, paszporty. Nie wierzę, aby ktoś mógł zostawić tu coś takiego.

– Pieniądze, diamenty i paszporty nie odgryzają ludziom palców. Mówiłem o tych wszystkich sprawach nadprzyrodzonych.

Martin zawahał się przez moment. Nie chciał się przyznać, lecz jemu także zaświtała myśl o czymś groźnym z zaświatów, czającym się na dnie skrytki, albo nawet czymś groźnym z tego świata. Czy nie czytał gdzieś, że skorpiony mogą przeżyć pięćdziesiąt lat bez wody i pożywienia?

W końcu jednak ostrożnie wsunął obnażoną rękę w mrok otwartej skrytki, w miarę opuszczania macając też nią na boki. Goły metal, jak na razie nic więcej. Sięgnął dalej. Przez cały czas Ramone przyglądał mu się uważnie, przygryzając wargi.

– Czujesz coś, człowieku? Jest tam co?

Martin już miał wyjąć rękę, gdy jego palce musnęły coś, co przypominało miękką bibułkę.

– Poczekaj – powiedział. – Coś tam jest. Obmacał dno skrytki i wyczuł coś w rodzaju paczuski, owiniętej w cieniutki zmarszczony papier.

– To chyba nie pułapka, co? – dopytywał się Ramone.

– Nie, nie wydaje mi się. To zawiniątko. Nie mogę się zorientować, co w nim może być. Coś twardego, chyba tak – nie, to więcej niż jeden przedmiot, chyba trzy czy cztery. Twarde i zakrzywione, jest jeszcze coś, jakby słoma, albo może wióry. Poczekaj – jeżeli uda mi się wcisnąć tu

drugą rękę, zdołam to wyciągnąć.

W skupieniu Martin wepchnął drugą rękę do skrytki i ostatecznie udało mu się złapać paczuszkę z obu stron. Była bardzo luźno zapakowana i obawiał się, że gdyby podniósł ją tylko jedną ręką, jej zawartość – jakakolwiek by była – mogłaby się rozsypać.

– Powoli, powoli – powtarzał Ramone, kiedy Martin wolniutko wysuwał paczkę ze skrytki i delikatnie kładł ją na ziemi.

Jeszcze raz sięgnął do skrytki, nie było tam jednak nic więcej.

– To wszystko – oznajmił. – Cała zawartość.

Paczka stanowiła luźny kłęb cienkiej czarnej bibułki, przewiązanej cieniutkim tłustym warkoczykiem z czegoś, co mogło być ludzkimi włosami. W miejscu, gdzie włosy związane w węzeł, zapieczętowano je czarnym woskiem, na którym ktoś odcisnął herb z sygnetu bądź metalowej pieczęci. Martin ostrożnie potrząsnął paczką i wyczuł wewnątrz kilka ciężkich zakrzywionych przedmiotów, długich na dziesięć – dwanaście centymetrów, oraz skrawek szeleszczącego obicia.

– Weźmy to do światła i otwórzmy – zaproponował.

Oczy Ramone rozwarły się ze zdumienia.

– A przypuścimy, że lustro nie chce, abyśmy to zrobili? Że spróbuje załatwić nas tak, jak załatwiło Homera Theo-balda? Może ty chcesz zginąć z płucami wypływającymi z gardła, bo ja z całą pewnością nie!

– Zawsze myślałem, że jesteś wielki *Huevo Duro* – drażnił się z nim Martin.

– *Huevo Duro* – powtórzył z niesmakiem Ramone. Po hiszpańsku znaczyło to „jajko na twardo”.

Martin delikatnie przeniósł paczkę na jeden z licznych zmagazynowanych w piwnicach „Boskiego Hollywood” stołów. Oczyszczył blat z kurzu i szcurzych odchodów, po czym złożył na nim zawiniątko.

– Czy masz może nóż? – W odpowiedzi Ramone z całkowitym brakiem entuzjazmu wyjął nóż sprężynowy i bez słowa wysunął ostrze.

– *Huevo Duro* – wymamrotał.

Z niezwykłą ostrożnością Martin przeciął splecione włosy, które, jak się zdawało, były jedyną rzeczą trzymającą tę niestarannie zapakowaną paczuszkę w całości. Następnie zaczął odwijać czarną bibułkę warstwa po warstwie, póki nie ukazała się zawartość. Na jej widok Ramone przeżegnał się natychmiast i szepnął:

– *Madre mia*.

Na czarnym papierze spoczywały cztery szpony – grube, rogowe i czarne. Nie przypominały żadnych innych szponów, jakie Martin kiedykolwiek widział. Nie były to pazury lwa, bowiem lwie pazury zwężają się i zakrzywiają na końcach. Ani też szpony orła – były na to o wiele za duże. Martin ujął jeden dwoma palcami i spytał:

– Od jakiego, u diabła, zwierzęcia może pochodzić coś takiego?

– Wierz mi, cieszę się, że cała jego reszta jest gdzie indziej – odparł Ramone. – Człowieku, to wszystko naprawdę nie wróży nic dobrego. Absolutnie nic dobrego.

Martin odłożył szpon i podniósł ów skrawek obicia. Był on czarny i lśniący, przypominający końskie włosie. W istocie była to jakaś sierść, przyczepiona do miękkiego kawałeczka skóry, jakby oddartego i zasuszonego fragmentu skóry z głowy. W dotyku sprawiał wrażenie jakby zmumifikowanego i wzbudzał zdecydowany wstręt.

– Jak sądzisz, co to może być?

– Nie mam pojęcia – odparł Ramone. – Ale okropnie mi się to nie podoba. – Przyjrzał się nieco uważniej. – Wiesz, co mi to przypomina? Voodoo. No wiesz, czarownicy i te rzeczy. I te obrzydliwe afrykańskie figury, całe pokryte skórą i skrawkami materiału, a ty nie wiesz na pewno, skąd się to



wszystko wzięło, rozumiesz?

Martin podrzucił ciężkie szpony na dłoni.

– Nie. Nie rozumiem. Po co, u licha, babce Boofulsa klucz do tych rzeczy?

– Może po nic – podsunął Ramone. – To przecież pięćdziesiąt lat, nie? Może to wszystko należy do kogoś zupełnie innego?

– Chyba nie mówisz serio? Nie po tym, co działo się z lustrem. To wszystko w jakiś sposób się łączy.

Ramone zdarł kolejną warstwę bibułki.

– Hej, popatrz! Coś przeoczyłeś!

W rogu zawiniątka leżał mały kawałek zgniecionego papieru. Martin rozprostował go i znalazł jeszcze jeden klucz, identyczny z tym, którym otworzył skrytkę. Podniósł go do oczu i dokładnie obejrzał.

– Ciekaw jestem, co ten otwiera?

Obrócił go. Było na nim to samo nazwisko producenta, Woods, i wyglądało na to, że jest to kolejny kluczyk do skrytki. Lecz tym razem nie było na nim żadnego numeru.

– Gdybyśmy mieli całą noc, moglibyśmy wypróbować go w każdej skrytce – stwierdził Ramone.

Jednak w tej właśnie chwili pojawił się recepcjonista, lawirujący między meblami.

– Muszę już zamykać. Czy znaleźliście to, czegoście szukali?

– Mniej więcej – odparł Martin.

Na widok zawiniątka z czarnej bibułki recepcjonista zmarszczył brwi.

– To chyba nie prochy ani nic takiego?

Martin pokręcił głową.

– Przykro mi pana rozczarować. To tylko pamiątka, i to niewiele warta. Wie pan, co mam na myśli. Jedynie wartość uczuciowa.

Recepcjonista sucho pociągnął nosem – typowy odruch wachacza koki.

– Jasne, tylko wartość uczuciowa. Dobra, muszę już zamykać.

\* \* \*

Doktor Ewart Rice stał w łazience u siebie w domu, ubrany w podkoszulek i wyjściowe czarne spodnie. U pasa zwisały mu szelki, niczym dopiero co wystrzelona katapulta. Golił się i nucił do siebie. Promienie popołudniowego słońca przeświecały ciepło przez białą perkalową roletę, zaciągniętą przez niego osobiście, i odbijały się w pełnej gorącej wody umywalce. Na ścianie przed nim tańczyły wrzecionowate świetlne zajączki.

Tego wieczoru byli wraz z żoną zaproszeni na kolację do jednego z przyjemniejszych znajomych, Billa Asschera, producenta filmowego. Na kolacjach u Asscherów zawsze można było liczyć na znakomite jedzenie, konwersację na poziomie, ładne dziewczęta i liczne martini. Jego żona powtarzała często, że chodząc do Asscherów robi z siebie durnia, lecz doktor Rice odpowiadał, że jeśli mężczyzna choć raz nie robi z siebie durnia do czasu, gdy ukończy siedemdziesiątkę, to znaczy, że faktycznie jest idiotą.

Opłukał maszynkę w wodzie i sięgnął po ręcznik. Z sąsiadującej z łazienką sypialni dobiegł go głos pani Rice:

– Jeszcze nie jesteś gotów, Ewart? Jeżeli już mamy iść, to przynajmniej bądźmy punktualni. Wtedy będziemy mogli wyjść punktualnie!

– Jeszcze tylko chwileczkę!

Przyjrzał się uważnie swemu odbiciu. Nigdy nie dał tego po sobie poznać w towarzystwie innych, lecz tak naprawdę, był bardzo prózny. Lubił wyglądać absolutnie nienagannie: nienagannie odziany, nienagannie ogolony. Nawet myśl o tym, że mógłby pojawić się w miejscu publicznym ze śpiochem w kąciuku oka albo włoskiem wystającym z dziurki od nosa, była dla doktora Rice bluźnierstwem.

Pokręcił na boki głową. Siedemdziesiątka z okładem, ale wciąż jeszcze przystojny, na ten specjalny celycki sposób. Może przydałoby się podciąć nieco lewy baczek. Nie mógł znieść myśli o tym, że na kolacji mogłaby usiąść obok niego jakaś ładna dziewczyna, zerknąć ukradkiem i pomyśleć: „Jakież ten stary cap ma zapuszczone baczki!” Próżność doktora Rice była naprawdę najwyższej miary. Zawsze wyobrażał sobie, co o nim myślą wszyscy napotkani ludzie, a rzecz jasna święcie wierzył w to, że jest jedynym obiektem ich zainteresowania.

Otworzył teraz szufladę obok umywalki i wyjął z niej ostre fryzjerskie nożyczki – profesjonalny sprzęt, niespotykany w sprzedaży. Ponownie nachylił się nad lustrem.

W prawej ręce trzymał gotowe nożyczki, lewą naciągał skórę na policzku. Ostatnie spojrzenie i...

Mrugnął. Wzrok jakby mu się zamglił. Jeszcze raz zamrugał lecz twarz w lustrze nadal pozostała zamazana. Wytarł szkło suchą ściereczką, myśląc, że niewątpliwie zaparowało, odbicie jednak pozostało tak samo niewyraźne.

– Agnes! – zawołał przekonany, że sprzątaczką musiała wyczyścić lustro środkiem do polerowania drewna. – Agnes, coś jest nie tak z tym lustrem! Nic w nim nie widzę!

– Właśnie nakładam rzęsy! – odkrzyknęła pani Rice.

Jeszcze raz spojrzął w lustro i zadrzał, jakby poczuł na plecach nagły lodowaty powiew. Z odbitej w nim łazienki patrzyła na niego nie jego własna twarz, lecz oblicze chłopca, złotowłosego, słodkiego dziecka o małych oczkach i niezwykle złośliwym uśmiechu.

Prawie sparaliżowany strachem doktor Rice wyteżył wzrok i spróbował przeczekać obraz w lustrze. Jeśli będzie się weń wpatrywał dostatecznie długo, mara zniknie. Zjawy i duchy nigdy nie są w stanie zbyt długo znieść ludzkiego wzroku przy dziennym świetle.

Za oknem jednak wieczorne słońce zaczęło gasnąć i łazienka nagle pociemniała, jakby była klatką, na którą narzucono czarny woal. A blada twarzyczka dziecka pozostała na miejscu, odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie, bynajmniej nie onieśmielona, lecz zawzięta i pełna złośliwej uciechy.

– Gałka-siostra-wiatru – zaintonował chłopczyk. – Gałka-siostra-wiatru.

– Odejdź – wyszeptał ochryple doktor Rice. – Idź sobie, słyszysz? Odejdź stąd!

– Mówiłeś coś, kochanie? – zawołała jego żona.

– Odejdź, odejdź, odejdź – zawodził doktor Rice.

– Wygadałeś – odparło dziecko. – Kto językiem miele, temu go utną, język zjedzą psy i koty, a gadule będzie smutno.

– Idź sobie – błagał Rice.

Oczy dziecka rozwarły się szerzej, a jego uśmiech stał się jeszcze głębszy i radośniejszy. Doktor Rice stwierdził, że jego prawa ręka unosi się ku twarzy – ręka, w której nadal trzymał ostre nożyczki.

– Nie! – jęknął.

Dziecko uśmiechnęło się.

– Gaduła.

– Nie chciałem. On mnie zapytał. Nie wiedziałem, że to coś złego.

– Powiedziałeś mu, powiedziałeś, powiedziałeś.

– Ale nie chciałem! – Doktor Rice rozplakał się. – Błagam, o Boże, naprawdę nie chciałem. Pytał mnie o ciebie, to wszystko. Nie sądziłem, że ty jeszcze...

– Nie sądziłeś, że jeszcze żyję? Nie myślałeś, że wciąż jestem tutaj? A zatem jesteś głupi. Tak

głupi, jak twierdzi twoja żona. Bo ja jestem tu od początku świata i zawsze będę, kiedy ty już dawno przemienisz się w proch!

Pani Rice spytała z drugiego pokoju:

– Ewart? Czy coś się dzieje? Twój głos brzmi jakoś dziwnie.

Jednak otwarłszy usta, doktor Rice odkrył, że nie jest w stanie mówić. Jego gardło sprawiało wrażenie, jakby ścisnęły je stalowe cęgi. Jedyne, co mógł robić, to gwałtownie chwytać powietrze. Gorączkowo przesuwając lewą ręką po półeczce obok umywalki strącił komplet do golenia od Gucciego, kilka buteleczek z kosmetykami i porcelanową chanelowską mydelniczkę. Prawa tymczasem zbliżyła się jeszcze bardziej do twarzy. Kciuk i reszta palców rozwarły się nieubłaganie i ten sam niekontrolowany skurcz mięśni sprawił, że ostre nożyce rozwarły się powoli.

Dławiąc się z braku powietrza, coraz szerzej otwierał usta, z których powoli wychylał się siniejący język.

– Kto językiem miele, temu go utną, język zjedzą psy i koty, a gadule będzie smutno.

Nożyce w dłoni doktora Rice zamknęły się na jego własnym języku. Koszmarny odgłos miażdżonego ciała odbił się fizycznym niemal echem w jego głowie, gardle, całym ciele. Mięśnie gardła skurczyły się w próbie krzyku, jednak uchwyt na szyi nie zelżał ani przez moment i doktorowi nie pozostało nic innego, jak tylko krztusić się i desperacko chwytać oddech.

Krew spływała po podkoszulku, jakby naciągał na siebie jaskrawoczerwony sweter, i skapywała do wody. Lecz chłopczyk z lustra jeszcze z nim nie skończył. Drżąca dłoń ponownie rozwarła nożyczki i tym razem wbiły się one w język od krańca do krańca, tak blisko ust, że przecięły również wargę. Czuł ich ostrza pod i nad językiem. W histerycznym przerażeniu pomyślał: „Jeśli tylko rozciąłem język, to da się zaszyć i wyleczyć. Ale, o Boże, jeżeli odciąłem go całkowicie...”

Twarz chłopca promieniała uciechą.

– Powiedziałeś, powiedziałeś, powiedziałeś!

– Gggngggghhh – błagał doktor Rice.

– Powiedziałeś, a nie powinieneś, i teraz musisz za to zapłacić!

Jak na zwolnionym filmie prawa ręka doktora Rice zacisnęła nożyce. Ciął aż do poprzedniej rany, biegnącej w głąb, i połowa języka spadła do umywalki. Następnie, wstrząsany nieopanowanymi dreszczami, uniósł lewą dłoń, przytrzymał pozostałą połówkę i odciął ją także.

Stał przed lustrem w szoku, wpatrując się w swoje odbicie. Usta miał zamknięte, a mimo to cienki, ciemny strumyczek spływał mu po podbródku. Wszędzie była krew – na jego twarzy, włosach, ubraniu, w całej łazience. Wyglądało to tak, jakby szalał tam cyrkowy clown ze swoją szminką.

Do łazienki weszła pani Rice, ze sztywno wylakierowaną fryzurą, dopinając mankiet lśniącej błękitnej sukni.

– Ewart, co ty, u licha, wyprawiasz? Mamy tylko piętnaście minut do...

Oczy męża spojrzały na nią żałośnie z krwawej maski. Zastygła z ręką przyciśniętą do ust, wpatrzona w niego, nie wiedząc, co robić.

Mężczyzna szedł chodnikiem, kłapiąc mnisimi sandałami ze skóry. W jego okularach odbijało się światło latarni. W zębach trzymał fajkę. Jego francuski pudel dreptał obok na długiej smyczy.

– Tylko do tych krzaków na końcu ulicy – zapowiedział psu. – Potem masz zrobić swoje pipi i wracamy do domu.

Doszedł do domu państwa Rice.

– Biedny doktor Rice. Jeden Bóg wie, co mu się stało. Żeby tak ni stąd, ni zowąd zabrała go

karetka. Bóg jeden wie.

Dokładnie w tej chwili pudel przystanął, zeszywniał i z jego gardła dobiegło głucho warczenie.

– Co się stało, Redford? Co ci jest, chłopie?

Pudel nie przestawał warczeć. Sąsiad państwa Rice obejrzał się na mroczny ogród. Ujrzał otwarte okno i łopoczącą na wietrze roletę.

Zawahał się. Nie miał specjalnej ochoty na to, aby pójść tam i zbadać sprawę, bo wiedział, że doktor Rice w dalszym ciągu przebywa w szpitalu, jego żona pojechała wraz z nim, a dom stoi pusty. W tym miesiącu miały miejsce w tej dzielnicy już trzy napady z bronią w rękę, a w jednym z nich jego znajomy został postrzelony w ramię. Mimo to stał tam dalej, wyężając wzrok, wypatrując śladu ewentualnych włamywaczy. Spuścił też psa ze smyczy.

– Do nogi, Redford!

Przez długą chwilę słyszał jedynie nie kończący się koncert cykad i odległy szum samochodów na autostradzie. Pudel skomlił i głośno węszył.

Niespodzianie biała roleta podskoczyła z łoskotem, który zabrzmiał niemal jak wystrzał, a z okna wyprysnął ciemny kształt.

Pudel rzucił się w pogoń przez trawnik i dopadł swej ofiary tuż za wielkim kwitnącym krzewem. Mężczyzna pobiegł naprzód, zatrzymał się jednak równie gwałtownie, zaskoczony wściekłym warczeniem psa. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął latarkę i ostrożnie skierował jej promień w ciemność.

Sam nie zrozumiał, co dokładnie widzi, lecz i tak poczuł, jakby żołądek stopniowo wypełniała mu lodowata woda. W krzakach przysiadł ciężki, pręgowany kot i szarpał zębami kawałek sinoszarego mięsa. Jego własny pudel stał obok kota i także coś żuł. Kawałeczek tego czegoś zwisał mu z pyska.

– Redford! – krzyknął na psa. A do kota: – Poszedł! Wynos się stąd do diabła! Uciekaj!

Kot został tam, gdzie był, przyglądając się mu oczami, które w świetle latarki lśniły przerażającym błękitem. Pies także nie posłuchał wezwania.

– Redford, ty cholerny sukinsynu! – wrzasnął mężczyzna i uniósł smycz z zamiarem trzepnięcia pudła po nosie.

Ale kot prychnął na niego z taką złością, a Redford zawarczał tak groźnie, że jego pan cofnął się, wzruszył ramionami i powiedział:

– W porządku, niech ci będzie. Dobra. Chcesz czołgać się w krzakach i jeść wiewiórki – twoja sprawa. Ale nie spodziewaj się jutro żadnych cukierków, to wszystko.

\* \* \*

Tego wieczoru o jedenastej trzydzieści detektyw Ernest Oeste z policji hollywoodzkiej został wysłany do domu państwa Rice, aby odnaleźć dwa fragmenty języka doktora Rice, przeoczone przez pogotowie, które przybyło wcześniej, zaalarmowane telefonem jego żony.

Oczywiście nie było nawet mowy o przyszcyciu ich z powrotem na miejsce. Uszkodzenia były zbyt rozległe. Fragmenty te miały jednak posłużyć jako dowód, że (co wyglądało prawie nie do wiary) doktor Rice okaleczył się własnoręcznie.

– Uwielbiał mówić, czemu miałby zrobić coś takiego? – szlochała pani Rice.

Po długich poszukiwaniach detektyw Oeste musiał zameldować, że język doktora Rice zniknął, prawdopodobnie porwany przez szczura czy kota.

Jego bezpośredni przełożony bardzo długo siedział nad raportem. W końcu wystukał: „Kot porwał język”. Niemal natychmiast wykreślił to i napisał: „Dowody usunięte przez drapieżne zwierzęta”.

– Wierzycie w coś takiego? – zwrócił się z pytaniem do całego świata.

## 7.

Tego niedzielnego wieczoru Martin wrócił na Franklin Avenue zmęczony i lekko podchmielony. Ramone zabrał go do swej ulubionej restauracji i baru, „Una Porcion”, na Santa Monica Boulevard, trzy przecznice od „Palm”. Wypili trzy butelki Lopez de Heredia, spożywając przy tym niezliczone *tapas*, ser, kalmary, pikantne kiełbaski, sardynki, klopsiki.

Kiedy jechali do domu Santa Monica Boulevard, a ciepły, niosący ze sobą woń spalin wietrzyk owiewał im twarze, Ramone powiedział:

– Czasami trzeba świadomie postarać się zapomnieć, wiesz? W przeciwnym razie człowiek by zwariował. Ja już zapomniałem o Lugosim. On nigdy nie istniał, był tylko wybrykiem mojej wyobraźni, niczym więcej. Kiedy zapomnisz, nie czujesz już bólu. A komu potrzebny ból?

– Próbuję właśnie zapomnieć, że mój żołądek odprawia marsz protestacyjny – odparł Martin.

– Co z tobą, czyżbyś nie lubił hiszpańskiej kuchni?

– Każda potrawa z osobna jest w porządku, ale razem jakoś nie mogą u mnie w brzuchu dojść do porozumienia. Słyszę, jak kiełbaski kłócą się z kalmarami. „A co wy tu robicie, ośmionogi, ten żołądek jest za mały dla was i dla nas.”

Ramone poklepał go po ramieniu.

– Hej, daj spokój, nic ci nie będzie. Porządny kieliszek Fundador, oto, czego ci trzeba.

– Ramone – upierał się Martin. – Odwiozę cię do domu.

Podrzucił go na miejsce, przez chwilę ścisnął mu dłoń w podzięcie, po czym ruszył do siebie. Zaparkował niezręcznie, z tylnymi kołami daleko od krawężnika, uznał jednak, że skoro innym wolno, to i jemu też. Wyłączył magnetofon, ucinając w połowie falsetowy popis wokalisty Simply Red, i wyskoczył z samochodu nie otwierając drzwi.

Zaledwie zdążył wsunąć klucz w zamek, gdy lampa nad drzwiami zapaliła się i kiedy wszedł do hallu, na schodach pojawił się pan Capelli, przyodziany w swój oślepiająco złoty szlafrok i ozdobione monogramami kapcie.

– Martin? Martin, czy to ty? Dzwoniłem wszędzie!

– Dobry wieczór, panie Capelli. Co słyhać? Czy musi pan nosić ten szlafrok? Trochę mi niedobrze.

– Czy Emilio jest z tobą? – spytał ostro pan Capelli, ignorując jego odzywkę.

– Emilio? Oczywiście, że nie. Byłem z Ramone.

Pan Capelli zszedł do połowy schodów, po czym przystanął, trzymając się poręczy. Twarz miał poszarzałą i bardzo poważną.

– Emilia nie ma, Martin. Zniknął.

– Co to znaczy „zniknął”? – Martin starał się skupić wzrok na gospodarzu, w czym wybitnie przeszkadzał mu wpływ trzech wypitych butelek hiszpańskiego czerwonego wina. – Zniknął? Gdzie?

– Skąd miałbym wiedzieć? W jednej chwili bawił się samochodzikami na schodach, a w następnej, kiedy babcia zawołała go do kąpieli, już go nie było.

– Nie poszedł chyba na górę? Do mojego mieszkania?

– Skąd mam wiedzieć? Nie mam pojęcia, gdzie poszedł!

Martin podszedł do niego i pocieszająco uściśnął mu rękę.

– Niech się pan nie martwi, panie Capelli, znajdziemy go. Wszystko będzie dobrze.

– Ale gdzie on jest? Nigdy przedtem nie odchodził daleko.

– Proszę posłuchać, naprawdę nic mu się nie stanie.

– Dzwoniliśmy na policję – ciągnął pan Capelli. – Od razu zadzwoniliśmy na policję.

– I co powiedzieli?

– Że roześlą jego opis, cóż więcej mogli powiedzieć? Ale dotąd ani śladu.

– Proszę, jeśli dowie się pan czegokolwiek – niech pan nie zapomni mnie powiadomić, dobrze?

– Będę pamiętał, na pewno. – Pan Capelli był głęboko zaniepokojony. Najpierw utrata córki, a teraz zniknięcie jej jedyne dziecko.

Martin ruszył po schodach do swego mieszkania. Przed wyjściem zamknął drzwi, ale pan Capelli miał całą szufladę pełną zapasowych kluczy i całkiem możliwe, że Emilio znalazł ten właściwy. Modlił się, aby tak nie było. Miał jednak okropne przeczucie, że kolega z lustra okazał się nieprzezwyrodną pokusą i Emilio poszedł odwiedzić go na górze. Martin otworzył drzwi i wszedł do środka. Przez moment nasłuchiwał. Żadnych głosów czy śpiewów. Odczekał chwilę, po czym przeszedł korytarzem i zajrzał do pokoju stołowego.

Pomieszczenie było puste. Oprócz kanapy, biurka i lustra – zimnej, nieubłaganej szklanej płyty. Wolno przeszedł próg. Jego buty łomotały głucho o deski podłogi, serce tłukło się w ciszy. Gałka-ka-gałka-ka-gałka.

Podszedł do lustra, wyciągnął rękę i dotknął go. Chłodna powierzchnia nie ustąpiła.

– Emilio? – zawołał półgłosem.

Nie było odpowiedzi. Tylko szum nocnego ruchu za oknem, tylko odgłos silników samolotu, kierującego się w stronę Burbank. Tylko wiatr, postukujący żaluzjami, niczym Drewniana Noga, torujący sobie drogę do Kapitana Kidda.

– Emilio?

Znowu nic. Przez długi czas Martin stał tak przed lustrem, wstrząsany dreszczem, zmarznięty, zastanawiając się, co, u licha, robić dalej. Bo co mógłby zrobić, gdyby Emilio rzeczywiście zniknął w lustrze, szukając Boofulsa?

Jak miałby go znaleźć? W jaki sposób go wydostać? I wreszcie, jak miał powiedzieć to państwu Capelli? Że jego obsesja na punkcie Boofulsa kosztowała ich jedyne wnuka? W jaki sposób mógłby im to wynagrodzić?

Poczuł nagły chłód, gorszy niż chłód śmierci. Było to poczucie całkowitej bezradności, nieodwracalnej straty.

Do pokoju wszedł pan Capelli i stanął, wpatrując się w niego.

– Wołałeś Emilia – stwierdził. – Ja, eee...

– Wołałeś Emilia. Dlaczego?

– Panie Capelli, będę z panem szczery.

– Szczery, tak. Bądź szczery. Bądź szczery i powiedz, że twoje lustro zabrało Emilia. Twoje lustro zabrało mi wnuka!

Martin potarł czoło. Bolała go głowa.

– Panie Capelli, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Widział pan, co się kiedyś stało – sam pan

widział, jak Emilio omal nie został wessany do środka. Dziś rano, zanim wyszedłem, zamknąłem drzwi do mieszkania, ale możliwe, że udało mu się znaleźć jeden z pańskich zapasowych kluczy. A jeśli to zrobił...

Urwał. Naprawdę nie wiedział, co powiedzieć. Gospodarz ruszył dalej, szurając kapciami i spojrzał w lustro. Ujrzał w nim jednak tylko swą poszarzałą twarz i pusty pokój.

– Jeżeli to lustro go zabrało – odezwał się ochryple, nie patrząc na Martina – to co możemy zrobić? Jak go odzyskać?

– Nie mam pojęcia – przyznał Martin.

Pan Capelli nadal wpatrywał się we własne odbicie.

– I nie ma nikogo, kto by znał się na takich rzeczach? Mówiłem, żeby znaleźć księdza. Może ksiądz mógłby pomóc. Mój własny ksiądz, ojciec Lucas.

Martin przełknął ślinę.

– Ktoś tu był dziś rano... medium, nazwiskiem Homer Theobald. Obawiam się, że nie chciał nawet podejść do tego lustra.

– Nie chciał podejść do lustra? Powiedział, czemu?

– No, mówił, że jest potężne, niebezpieczne, nie wiem.

– I nie chciał pomóc?

Martin potrząsnął głową.

– Może gdybym z nim porozmawiał – zaproponował pan Capelli. – Może udałoby mi się go przekonać.

– Nie sądzę, panie Capelli. Homer Theobald zmarł dziś po południu. Jakiś krwotok. Nie wiem, czy miało to coś wspólnego z lustrem, ale niech mi pan wierzy, ono nie lubi, jak mu wchodzić w drogę.

– Zadzwoń do ojca Lucasa.

– Dobrze – zgodził się Martin. – Wszystko lepsze niż takie bezczynne siedzenie.

Gospodarz zszedł na dół. Martin odczekał chwilę, obserwując lustro w nadziei, że może pojawi się w nim Emilio, po czym udał się do łazienki i wziął gorący prysznic. Do czasu powrotu pana Capelli wytrzeźwiał już zupełnie, a w kuchni parzyła się kawa.

– Czy rozmawiał pan z księdzem?

– Tylko z gospodynią. Mówi, że pojechał do szpitala, ktoś umiera i musiał udzielić mu Ostatniego Namaszczenia. Oddzwoni, jak tylko wróci.

Martin nalał mu kawy.

– W takim razie nic więcej nie możemy zrobić, prawda? Pozostaje nam tylko twardo siedzieć i czekać i mieć nadzieję, że Emilio jednak nie wszedł w lustro i że znajdą go gliny.

Pan Capelli przeszedł do pokoju. Martin podążył za nim.

– Nigdy nawet mi się nie śniło, że może mi się przydarzyć coś tak okropnego. – Gospodarz zbliżył się do lustra i oparł o nie obie dłonie.

Odwrócił się i Martin ujrzał łzy, spływające mu po policzkach.

– Nie wiesz, Martin, ile Emilio dla mnie znaczy. Po prostu nie masz pojęcia. On jest jedyną rzeczą, która mi została, wszystkim, co mi zostało. I teraz, kiedy nie mogę go znaleźć, czuję się, jakbym utracił własną duszę.

Martin objął pana Capelli i uściskał go mocno.

– Już dobrze, wszystko będzie dobrze. Znajdziemy Emilia. Przyrzekam to panu.

Gospodarz podniósł na niego wzrok.

– A jak ty możesz mi coś takiego obiecać?

– Bo nie spocznę, póki go nie odzyskamy. Wypróbuję wszystko. Policję, księży, media,



wszystkich. I zamierzam dowiedzieć się wszystkiego o tym lustrze, skąd ma taką moc i czego, u diabła, chce.

– No cóż, dobry z ciebie chłopak, Martin. – Pan Capelli pociągnął nosem. – Jakże chciałbym, żebyś nigdy nie przyniósł tu tej okropnej rzeczy. Mam ochotę odrąbać sobie ręce, jak pomyślę, że sam pomagałem ci wnieść je na górę.

Pan Capelli zszedł do siebie, zaś Martin wrócił do kuchni i wypił dwie filiżanki mocnej czarnej kawy, jedną po drugiej. Następnie przeszedł z powrotem do pokoju i przestawił kanapę tak, by móc z niej obserwować lustro. Był zdecydowany trwać na posterunku, w razie gdyby pokazał się Emilio.

Zgasił światło i usadowił się wygodniej na kanapie, nakrywając się indiańskim kocem, który Jane przywiozła ze swej podróży do Phoenix. Nie zabrała go tylko dlatego, że Martin przechowywał go w bagażniku samochodu i umknął on jej uwagi.

Zdjął z ręki zegarek i rozłożył na poręczy sofy, skąd mógł go wyraźnie widzieć. Było parę minut po północy, już poniedziałek. Ziewnął, postarał się opanować, po czym ziewnął ponownie. Całonocne czuwanie nie powinno sprawiać mu specjalnych trudności. W końcu w głowie aż mu szumiało od natłoku myśli, po uszy opił się kofeiną, a w razie czego, na wypadek nagłego ataku senności, miał w dolnej szufladzie biurka parę proszków pobudzających.

Przyjrzał się swemu odbiciu. Błady mężczyzna, siedzący na kanapie w zalanym promieniami księżycy pokoju. Zupełnie jak jeden z tych surrealistycznych obrazów Magritte'a. Przypomniawszy mu się obraz tego malarza, na którym mężczyzna przegląda się w lustrze, lecz jedyne, co widzi, to tył swojej głowy.

„Lustra zawsze były tajemnicze”, pomyślał. Jednak tajemnicę tego szczególnego lustra postanowił rozwiązać. Nawet gdyby miało go to kosztować życie.

\* \* \*

Nie zdając sobie z tego sprawy, stopniowo zasypiał. Jego głowa opadała na bok, palce powoli rozchyłyły się, niczym płatki wodnej lilii.

Poderwał się i na moment jego oczy rozwarły się szeroko, po chwili jednak zapadł w jeszcze głębszy sen. Jego oddech stał się donośniejszy i chrapliwszy, jak u kogoś, kto wypił za dużo wina. Obok cichutko tykał zegarek; pierwsza, wpół do drugiej. Na zewnątrz ulica opustoszała. Zapadła cisza.

\* \* \*

Śniło mu się, że jest noc, a on podróżuje autobusem, mila po mili, godzina za godziną, i że jest jedynym pasażerem. Wiedział, że autobus jedzie w złym kierunku, że dotarcie do miejsca, dokąd naprawdę się wybierał, zajmie mu co najmniej parę dni. Próbował wstać i porozmawiać z kierowcą, lecz autobusem rzucało tak bardzo, że zawsze tracił równowagę i opadał z powrotem na swe siedzenie.

Krzyknął. Choć jego głos zabrzmiał słabo i niezdecydowanie, pewien był, że kierowca go słyszał. Ten jednak nadal nie reagował i nawet na niego nie spojrział.

Pograżali się w ciemność, dalej i dalej.

– Dokąd jedziemy? – krzyknął znowu. – Dokąd jedziemy?!

Wreszcie kierowca odwrócił się do niego. Ku przerażeniu Martina, jego twarz była połączonym obliczem Pana, który uśmiechnął się szyderczo i spojrział na niego złoconymi oczami.

– Gałka-siostra-wiatru – szepnął ktoś tuż przy uchu Martina. Owiał go czyjś zimny oddech.

Jęczał, pomrukiwał i rzucał się przez sen, nie obudził się jednak. Na zegarku była druga w nocy.

W lustrze drzwi pokoju uchylły się lekko, choć ich odpowiednik w rzeczywistości nawet nie drgnął. Na podłogę padła zimna smuga księżycowego światła, w której ukazał się niewielki cień – cień chłopca.

Przez prawie minutę cień nie poruszył się, lecz z leciutkiego drżenia drzwi dało się poznać, że chłopiec trzyma klamkę, nasłuchuje i czeka.

W końcu wszedł do odbitego pokoju. Miał około ośmiu lat, jasne kręcone włosy i bladą twarzyczkę o małych okrągłych oczach. Ubrany był w cytrynowożółtą koszulę i także szorty, białe skarpetki i sandały.

Promień księżycy padł na jego loki, które zaśniły jak białe płomienie. Twarz chłopca miała niezwykle wyraz: oszołomiony, zdeterminowany, jak u dziecka, które przejęło się czymś do tego stopnia, że aż zaczyna zachłystywać się własnym oddechem.

Przez moment stał nieruchomo, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej i ruszył w stronę lustra. Nie zawahał się ani przez chwilę, lecz przeszedł przez nie, tak że stanął w oświetlonym księżycem prawdziwym pokoju. Za jego plecami szklana tafla przez moment falowała i przebiegały po niej kręgi, jak po powierzchni zbiornika rtęci.

Chłopiec podszedł do mężczyzny śpiącego na kanapie. Przez bardzo długi czas przyglądał mu się. Zegarek mężczyzny cichutko odmierzał minuty. Mężczyzna sapnął, jęknął i mruknął coś niewyraźnie. Chłopiec uśmiechnął się do siebie, po czym wyciągnął rękę i ujął jego otwartą dłoń.

\* \* \*

Martin poczuł przez sen, jak zimna mała rączka wślizguje się w jego dłoń.

– Emilio? – zapytał. Zaschło mu w ustach, toteż otworzył je i zamknął kilka razy, aby pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia. Jego powieki zatrzepotały, po czym uniosły się.

Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Cześć, Martin.

Martin szeroko rozwarł oczy i wpatrzył się w niego. Szok, wywołany tym, że oto budzi się, by odkryć, że Boofuls rzeczywiście trzyma go za rękę, okazał się zbyt silny i ogłupił go do tego stopnia, iż nie był w stanie nic zrobić – poruszyć się czy powiedzieć choć słowo.

– Przestraszyłem cię? – spytał Boofuls. Jego głos był czysty i piskliwy, doskonała dykcja typowo przedwojenna. – Nie chciałem cię wystraszyć. Wiedziałaś, że przyjdę, prawda? Ty wiedziałaś.

Martin uwolnił dłoń z uścisku chłopca i cofnął rękę. Zaczął dygotać, kuląc się na kanapie i podciągając pod siebie nogi. Przez moment jego umysł znalazł się na samej krawędzi całkowitego szaleństwa, bliski wyzbycia się jakiegokolwiek odpowiedzialności za cokolwiek. Lecz chłopiec był tak spokojny i radosny, tak całkowicie realny, że obłęd odpłynął niby cień znikający pod drzwiami i Martin stwierdził nagle, iż oto siedzi na kanapie twarzą w twarz z prawdziwym chłopcem, którego pięćdziesiąt lat temu zamordowano w potworny sposób, o czym wszyscy wiedzieli.

– Rzeczywiście cię przestraszyłem, prawda? – powtórzył Boofuls.

Martin powoli opuścił nogi na podłogę. Nawet na sekundę nie spuścił z niego wzroku. Bał się, że jeśli choć na moment spojrzy w inną stronę, Boofuls zniknie. Zresztą w równym stopniu obawiał się, że dalej tam będzie.

– Naprawdę, nie powinieneś się bać. Ostatecznie jestem tylko dzieckiem.

– Martwym dzieckiem – wyszeptał Martin.

Boofuls roześmiał się głośno.

– Czy wyglądam na martwego? Czy to jest martwe ciało? No dalej, weź mnie za rękę i powiedz, że nie żyję.

Martin zawahał się, lecz Boofuls chwycił jego dłoń i przycisnął sobie do piersi. Czuł, jak rytmicznie bije serce chłopca, jak jego płuca nabierają i wypuszczają powietrze.

– No, dobra, nie jesteś martwy – przyznał. – Powinieneś być, ale nie jesteś.

– Ty nie chcesz, abym nie żył, mam rację? Nie tak, jak ona. A nie była wcale jedyną osobą, która życzyła sobie mojej śmierci. Mnóstwo ludzi tego pragnęło. A jednak tu jestem, jestem sobą. To wystarczy. A ty mnie lubisz, prawda? Wiem, że tak!

– Lubiłem twoje filmy. – W tej sytuacji zabrzmiało to jak pusty zwrot. Oglądając się na lustro ponad ramieniem chłopca, Martin dodał: – Gdzie jest Emilio? Czy przeszedł przez lustro?

– Emilio? – odparł dość cierpko Boofuls. – Nie znam nikogo o takim imieniu.

– Ten chłopiec, z którym się bawiłeś. Ten mały Włoch.

– A, on. Z nim wszystko w porządku.

– Czy on tam jest? – dopytywał się Martin, wskazując na lustro. – Właśnie o to mi chodzi.

– Nie wolno ci na mnie krzyczeć, wiesz. Jeśli ktokolwiek na mnie krzyczy, mam atak.

– Doskonale wiem o twoich atakach. Wiem praktycznie wszystko na twój temat. – Martin wstał, obszedł Boofulsa i zbliżył się do ściany. – Ale posłuchaj, wiadomo mi też coś o tym lustrze. Ma specyficzne właściwości. Próbuje wciągać do środka różne rzeczy; może to zrobić, jeśli mu tylko pozwolić. A za każdą rzecz, która przechodzi na drugą stronę, coś innego musi z niego wyjść. Piłka za piłkę, kot za kota, a teraz? Ty jesteś tutaj – a mogłeś się wydostać jedynie wtedy, gdy ktoś podobny do ciebie zajął twoje miejsce. Mam wrażenie, że ten ktoś to Emilio.

Boofuls wysłuchał go, skrzywił usta w niemądrym uśmiechu, po czym wybuchnął metalicznym dziecięcym śmiechem.

– Powiedziałem coś zabawnego? spytał Martin ze złością. Jednocześnie pomyślał, spłoszony: „Co ja robię? Naprawdę rozmawiam z Boofulem, autentycznym Boofulem, prawdziwym zamordowanym chłopcem sprzed tylu lat.” Cień obłędu w dalszym ciągu czaił się tuż za progiem.

– To on chciał się bawić – powiedział Boofuls. – Nie zmuszałem go. Przeszedł, bo sam tego chciał. Nie zmuszałem go, przysięgam.

– Więc gdzie dokładnie jest w tej chwili?

– Nie wiem. Prawdopodobnie gdzieś się bawi. Tam jest mnóstwo dzieci, z którymi można się bawić. No, w każdym razie przynajmniej niektóre mają na to ochotę.

– Jest prawie trzecia w nocy.

– No – odparł Boofuls – tam jest inaczej.

– Czy jest bezpieczny? – wypytywał go dalej Martin. – Gdybym i ja wszedł w to lustro, to czy mógłbym znaleźć go i sprowadzić z powrotem?

Boofuls zmarszczył czoło i odwrócił wzrok.

– Zadałem ci pytanie! – krzyknął Martin.

Dolna warga chłopca zadrżała, a jego oczy nagle wypełniły się łzami.

– Ja... ja nie chciałem... myślałem, że... że to nic złego. On chciał się bawić – powiedział, że chce się bawić... i że wszystko jest w porządku. Jego dziadek mu pozwolił.

Martin przykucnął obok tego dziwnego dziecka o kręconych włosach i w cytrynowożółtym ubraniu i położył mu rękę na ramieniu.

– Emilio tak ci powiedział? Emilio powiedział, że ma pozwolenie od dziadka?

Boofuls przytaknął załośnie i otarł oczy wierzchem dłoni.

– Nie chciałem zrobić nic złego.

Martin przytulił go do siebie. Pod cienkim letnim ubrankiem jego ciało wydawało się zimne, poza tym jednak nie różnił się ani trochę od normalnego dziecka. Jego łzy kapały na ramię Martina.

W końcu mężczyzna usiadł na kanapie, ujął rączkę chłopca i spojrzał mu prosto w oczy.

– Walter, musisz mi odpowiedzieć na kilka ważnych pytań.

– Nie możesz nazywać mnie Walter. Nikomu nie wolno mówić na mnie Walter.

– Ale przecież to twoje imię, prawda?

– To było jego imię.

– Masz na myśli swojego ojca?

Boofuls skinął głową.

– Nie wolno mi rozmawiać o moim ojcu.

– Czy wiesz, kto to był? Czy kiedykolwiek go widziałeś?

– Nie wolno mi rozmawiać na temat mojego ojca.

– Ależ Boofuls, posłuchaj, ludzie, którzy zabraniali ci o nim mówić, już wszyscy nie żyją, i to od bardzo dawna. To już nie jest ważne. Teraz musimy przede wszystkim odkryć, jak tobie udało się przeżyć w tym lustrze i jak mamy wydostać stamtąd Emilia. No i co zrobić z tobą.

– Nie możecie wydostać Emilia.

Martin poczuł nagle lekkie mdłości i nie był to po prostu efekt hiszpańskiego wina, spożytego poprzedniego wieczoru. Kiedy pomyślał o przerażającej, czarodziejskiej przemianie Lugosiego w węzokota, perspektywy odzyskania Emilia wydały mu się nagle zdecydowanie odległe. A nawet gdyby udało im się go wydostać, najprawdopodobniej nie byłby to już ten sam zwykły pięciolatek co przedtem.

Martin przypuszczał, że lustro zmieniało kształt żywych istot, tak że przybierały one postać tego, czym były naprawdę. Lugosi, jak większość kotów, był przebiegły, zimmokrwisty i obdarzony umysłem drapieżcy. To dlatego stał się węzem.

Może się mylił, lecz podejrzewał, że świat po drugiej stronie lustra bardzo przypomina krainę zmarłych, którą opisywał Theo. Być może nawet był to w istocie ten sam świat, a lustro stanowiło okno, z którego rozpościerał się widok na raj albo czyściec, albo też wprost na piekło.

Najmocniejszym dowodem był sam Boofuls żywy, oddychający, od dawna martwy Boofuls.

– No, dobra – powiedział Martin nieco drżącym głosem – powoli. Po pierwsze, co jest za tym lustrem?

Boofuls odwrócił się w stronę szklanej tafli i zmarszczył brwi.

– Hollywood.

– Ale nie to Hollywood?

– Nie – przytaknął Boofuls. – Hollywood Na Odwrot.

– Pozwól, że cię spytam: gdzie mieszkasz w Hollywood?

– Na Stone Canyon Drive, pod numerem tysiąc sześćset sześćdziesiąt pięć, w Bel Air. Dom nazywa się „Espejo”.

– Czy twoja babcia nadal żyje?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Powiesiła się.

– Nie powiesiła się jednak, zanim cię nie zabiła. Jak to jest, że ty żyjesz, a ona nie?

– Bo nie życzyłem sobie, aby tam była.

– Ale przecież to nie ty decydujesz, prawda? O tym, czy ludzie mają żyć, czy umrzeć.

Boofuls pozostawił to pytanie bez odpowiedzi, wpatrując się w twarz Martina tymi swoimi

małymi świńskimi oczkami. Dopiero teraz widać było, ile wysiłku musiał włożyć zespół charakteryzatorski M-G-M, aby uzyskać ten słynny rozmarzony wyraz twarzy. Boofuls był po swojemu ładny, ale gdyby to Martin znalazł się na miejscu Jacoba Levitza, z pewnością nawet nie spojrzaliby na niego podczas przesłuchań kandydatów do roli w *Gwiżdżącym Chłopcu*.

„Może w trzydziestym piątym roku Boofuls wyglądał bardziej świeżo”, pomyślał w nagłym przypływie czarnego humoru. Ostatecznie wtedy nie był martwy od pięćdziesięciu lat.

Martin powoli zatarł ręce.

– Okay – kontynuował. – Jeżeli twoja babcia nie żyje, to kto się tobą opiekuje?

– Panna Redd. Panna Redd zawsze się mną opiekowała.

Martin wyprostował się.

– Nigdy nie słyszałem o panie Redd.

Boofuls wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie jego wina.

– Chcesz może trochę soku pomarańczowego? Coś do jedzenia?

Chłopiec rozpromienił się.

– A masz płatki Rolstona?

– Niestety. Co powiesz na Hrabiego Kaczulę?

Boofuls był wyraźnie zawiedziony.

– Zbieram kupony z pudełek Rolstona. Na pierścień wyborowego strzelca Toma Mixa.

– Pierścień wyborowego strzelca? To jest nagroda radiowa, prawda? Czy raczej była? Nie rozdają już takich rzeczy od...

Wpatrzył się w chłopca, wstrząśnięty. Nagle uświadomił sobie, że nie tylko rozmawia z żywym duchem, ale że ten duch w dalszym ciągu żyje w trzydziestym dziewiątym roku.

\* \* \*

Boofuls siedział przy kuchennym stole z talerzem pełnym płatków Hrabiego Kaczuli i szklanką mleka. Dla siebie Martin zrobił kolejną mocną kawę. Była czwarta rano i czuł się tak, jakby ktoś wolniutko ścisnął mu głowę drzwiczkami od samochodu. Za oknem niebo zaczynało się rozjaśniać. Przedświt, godzina fałszywych obietnic.

Usiadł naprzeciwko Boofulsa, okrakiem na jednym z kuchennych krzeseł. Starał się dowiedzieć, jak Boofuls żył w „Hollywood Na Odwrot”. Zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, jak może wyglądać całe miasto dokładnie odwrócone. A przecież widywał je co dzień, co chwila. Hollywood Na Odwrot widniało w szybach wystawowych, fryzjerskich lustrach, wypolerowanych do połysku maskach samochodów, błyszczących sztuccach – wszędzie, gdziekolwiek natykał się na płaszczyznę odbijającą światło.

W istocie to wizja ludzi wędrujących wewnątrz tych powierzchni była dla niego tak trudna do przyjęcia. Jednak Boofuls, z buzią pełną czekoladowych płatków, powiedział:

– Czemu? Robisz to przez cały czas. Przecież widzisz, że tam jesteś.

– No, tak – zaprotestował Martin – ale w rzeczywistości to przecież nie ja, tylko Ja Na Odwrot: leworęczny, z przedziałkiem po przeciwnej stronie i pieprzykiem na prawym policzku, zamiast na lewym.

Boofuls uśmiechnął się. Te jego uśmiechy niespecjalnie zachwycały Martina. Było w nich jakieś chytre wyrachowanie, coś, czego nie mógł do końca uchwycić.

– Ten Martin w lustrze jest podobniejszy do ciebie niż ty sam.

– Co to właściwie ma znaczyć?

– Spójrz w jakiegokolwiek lustro, Martin, a ujrzysz prawdę.

Martina niepokoił nie tylko uśmiech Boofulsa. Także sposób, w jaki on mówił. Czasami był bardzo dziecinny i używał jedynie słownictwa ośmiolatka i odpowiednich pojęć. Co pewien czas jednak dziecięca maska zsuwała się nieco i wtedy mówił coś, co było zbyt wyważone i za bardzo filozoficzne jak na chłopca w jego wieku. Choć właściwie, w jakim był wieku? Dla niego czas nie istniał. Boofuls był martwy, był jedynie cudownym wspomnieniem, które nagle wyszło z lustra.

– Powiedz mi jeszcze coś – powiedział po chwili Martin. – Kiedy położę lustro płasko na podłodze i przejrzę się w nim, cały świat jest nie tylko na odwrót, ale w dodatku do góry nogami. Jak wy sobie z tym radzicie?

Boofuls dopił mleko i otarł wargi ręką.

– Tam jest po prostu inaczej.

– No, chyba – zauważył Martin.

Boofuls oparł łokcie na stole, podparł dłońmi podbródek i spojrzał na niego z poczuciem wyższości.

– Chodzi o to, Martin, że ona nie zabiła prawdziwego mnie. Dlatego właśnie się powiesiła. Kiedy to robiła, nagle zorientowała się, że nie zabija prawdziwego mnie.

Martin zastanowił się nad tym. Po chwili spytał:

– No, dobra, jeśli nie zabiła prawdziwego ciebie, to który z was był prawdziwy? Boofuls w tym Hollywood czy Boofuls w Hollywood Na Odwrót?

Chłopiec uśmiechnął się.

– Który z was jest prawdziwym Martinem? Gdybym cię zabił, tego ciebie, to kto by został? Co by zostało?

– Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał Martin.

– Cóż, gdyby tak się stało, wiedziałbyś. Wtedy byś wiedział.

– W porządku, nie zamordowała prawdziwego ciebie. Ale co się zdarzyło potem, kiedy już ty, nie będący jednak naprawdę tobą, zostałeś porąbany na dwieście jedenaście kawałków?

– Musiałem odejść. Nie mogłem zrobić nic innego. Wszyscy myśleli, że nie żyję. Przerwali pracę nad *Błogosławionym rydwanem*, spłacili wszystkich. Czy widziałeś jakieś kawałki *Błogosławionego rydwanu*?

Martin potrząsnął przecząco głową.

– Widziałem wszystkie inne rzeczy, jakie zrobiłeś. Nawet zdjęcia próbne do *Kwiatów Tuscaloosy*. Były dość okropne, nie sądzisz?

– Miałem wtedy grypę. I tak dostałem tę rolę.

– Jasne, że tak. Nie mieli nikogo innego. Był tylko jeden Boofuls. To znaczy – jest tylko jeden Boofuls.

Okulary Martina zaszyły mgłą od pary, unoszącej się nad kubkiem z gorącą kawą. Zdjął je i przetarł ręką koszuli. Boofuls przyglądał mu się przez chwilę.

– Moglibyśmy skończyć ten film, prawda?

– Co masz na myśli mówiąc, że moglibyśmy go skończyć?

– No, wyobraźmy sobie – Boofuls oblizwał wargi czubkiem języka – że scenarzysta odkrywa chłopaka, który potrafi tańczyć i śpiewać jak Boofuls, zupełnie jak Boofuls, i postanawia ukończyć ostatni, przerwany film Boofulsa.

– Ale ja wcale nie mam zamiaru dokończyć ostatniego filmu Boofulsa. Chcę zrealizować własny musical, zatytułowany Boofuls!

Przez długą chwilę Boofuls milczał, rysując palcem wzory na blacie stołu. Wreszcie oznajmił:

– Chcę skończyć *Błogosławiony rydwan*.

– Cóż... przypuszczam, że dałoby się to zrobić. Ciężko jednak będzie znaleźć kogoś, kto zechciałby to finansować. Miałem wystarczająco dużo problemów, próbując sprzedać swój musical. A poza tym, cały ten pomysł *Błogosławionego rydwanu* jest w dzisiejszych czasach okropnie przestarzały. Chłopiec, który zamienia się w anioła? To już było, i to kupę razy – Warren Beatty, Michael Landon... całe to *Niebo może poczekać*, te rzeczy, George Burns zagrał nawet Boga.

– To George Burns jeszcze żyje? spytał Boofuls, zaskoczony.

– Niektórzy przynajmniej tak uważają.

– Chcę skończyć *Błogosławiony rydwan* – powtórzył Boofuls. Jego oczy rozszerzyła nagle wściekła determinacja. – To bardzo ważne!

– Daj spokój, mówimy tu o budżecie rzędu dwudziestu pięciu milionów dolarów. Nie sądzę, aby było wielu producentów, którzy zechcieliby zainwestować tyle forsy w nową wersję musicalu z trzydziestego dziewiątego roku.

– Ale to musical z Boofulem – nalegał chłopiec.

– Ho-ho-ho, mnie tego nie musisz mówić. W tym mieście jest parę nazwisk, które cuchną, a z tego, co się orientuję, Boofuls dzierży w tym palmę absolutnego pierwszeństwa.

Boofuls powoli potrząsnął głową. Jego oczy nabrały dziwnego wyrazu, jakby spoglądał gdzieś daleko, w przestrzeń, przez niewłaściwy koniec teleskopu.

– Nie masz racji, Martin. Teraz to wszystko się zmieni. Boofuls znów będzie sławny. Wszyscy go pokochają!

Martin wstał i sprzątnął talerz i szklankę chłopca.

– Tyle ci mogę odpowiedzieć: spróbuj przekonać mnie.

– Zrobię to. Obiecuję.

– Tymczasem jednak musimy porozmawiać o czymś znacznie istotniejszym. Chcę sprowadzić z powrotem Emilia.

– Mówiłem już. Nie możesz.

– To znaczy nigdy?

Boofuls milczał. Martin przechylił się przez stół i warknął:

– Czy to znaczy: nigdy? Co?

– Jest pewien sposób.

– Naprawdę? A jaki to sposób?

Boofuls uniósł ku niemu wzrok, uśmiechnął się, po czym znowu odwrócił spojrzenie.

– Możemy zawrzeć układ. Jeśli pomożesz mi dokończyć *Błogosławiony rydwan* i będziesz się mną opiekował, to po skończeniu zdjęć odzyskasz Emilia.

– A dlaczego nie wcześniej?

– Bo nie.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

– Nie, i już. Mógłbym to zrobić, ale nie zrobię. Takie są moje warunki.

Martin uderzył pięścią w stół.

– Posłuchaj, ty wylupiastooki smarkaczu! Tu na dole mieszka para starych ludzi, dla których Emilio jest wszystkim, co mają na tym świecie! Albo go wydostaniesz, albo możesz pożegnać się z moją pomocą, *comprende?*

– Nie – powtórzył Boofuls.

– Co mam według ciebie zrobić? – prowokował go Martin. – Może przełożyć cię przez kolano i sprać ci tyłek?

– Nie wolno ci na mnie krzyczeć. Kiedy ktoś na mnie krzyczy, dostaję ataku.

– Chcę, żeby Emilio wrócił. – Głos Martina był cichy i złowieszczy.

– Chcę skończyć *Błogosławiony rydwan*.

Martin starał się zmusić go do odwrócenia wzroku, lecz w oczach chłopczyka było coś, co sprawiło, że poczuł się nieswojo i niemal zaczęło kręcić mu się w głowie – jakby za chwilę miał wpaść w zimny, dźwięczący echem szyb windy i nigdy się już z niego nie wydostać.

Poddał się. Boofuls ani na sekundę nie oderwał od niego spojrzenia.

– Dopóki Emilio nie wróci, nie zamierzam nawet kiwnąć palcem – poinformował go Martin, zabrzmiało to jednak znacznie mniej przekonywająco.

– Ale jeśli Emilio naprawdę wróci, skąd mam pewność, że pomożesz mi przy *Błogosławionym rydwanie*?

– Nie masz. Po prostu musisz mi zaufać.

– Ja nikomu nie ufam.

Martin dopił swoją kawę.

– Może nadszedł czas, żebyś zaczął.

\* \* \*

O wpół do ósmej rano Martin odsłonił żaluzje, pozdrawiając jasne kalifornijskie słońce. Boofuls siedział za biurkiem i w skupieniu bazgrał czarnym długopisem: obłoki, twarze i bezcielesne uśmiechy.

Martin odwrócił się i spojrzał na niego. Normalny chłopiec, niewątpliwie, ciało i krew, piegi i wydatne królicze zęby. Jego nogi były lekko opalone, na kolanie widniała plama białej skóry – musiał się tam uderzyć. Martin podszedł do niego i przez chwilę przyglądał się, jak rysuje. Boofuls nawet pachniał jak zwykły chłopak – ciasteczkami i ciepłem. Zupełnie bezwiednie męczyzna przejechał dłonią po jego lokach.

Boofuls natychmiast odepchnął jego rękę.

– Przestań. Nikomu nie wolno tego robić.

– Dobra, dobra, przepraszam. – Martin uśmiechnął się. – Chyba niezupełnie traktowałem cię z honorami należnymi wielkiemu filmowemu gwiazdorowi.

– Ja jestem wielką gwiazdą – podkreślił gniewnie Boofuls.

– Byłeś nią – kiedyś – przypomniał mu Martin.

Boofuls nie raczył nawet na to odpowiedzieć, z jego miny jednak Martin wywnioskował, jak bardzo myśl ta go zdegustowała. Martin znał wiele dorosłych gwiazd filmowych i ich całkowity egotyzm nigdy go nie zaskakiwał. Była to po prostu cecha niezbędna w tym zawodzie, zupełnie jak pewna ręka konieczna jest do tego, by być stolarzem. Jednakże odkrycie, że tak szaleńczą pychą może być opanowane ośmioletnie dziecko, zaszokowało go – nawet jeśli chodziło o ośmiolatka, który wkroczył w jego życie w równie szaleńczy sposób. Martin zakładał zawsze, że dzieci przed okresem dojrzewania mają w sobie pewien wrodzony cynizm, dar samokrytycyzmu, uniemożliwiający podobną zarozumiałość.

Lecz nie to dziecko. Z tego, co Martin zdążył dostrzec, Boofulsa nie interesował nikt poza nim samym. Zaczynał powoli rozumieć, jak chłopcu udało się odnieść tak szybki i oszałamiający sukces – jaką to specjalną cechą dojrzał w nim Jacob Levitz już pierwszego dnia, podczas przesłuchania kandydatów do roli w *Gwiżdżącym Chłopcu*. Gwiazda filmowa interesuje się jedynie tym, co o niej myślą inni, a wielka gwiazda ma na tym punkcie istną obsesję.



– Musimy się zastanowić, co z tobą zrobić – oznajmił. – Nie możesz pojawić się nagle znikąd i oczekiwać, że twoje życie potoczy się dalej, jak gdyby nigdy nic. Jeśli zostaniesz po tej stronie lustra, będziesz musiał chodzić do szkoły, będzie ci potrzebne ubezpieczenie... Jak to załatwisz? W twojej metryce jest wpisany rok urodzenia: 1931, a przecież masz tylko osiem lat.

Boofuls spojrział na niego.

– Potrzebuję wyłącznie nowego ubrania. Potem możemy zacząć kręcić film.

– Dlaczego ten cholerny film jest taki ważny?

Boofuls jednak nie odpowiedział. Po prostu siedział na krześle, machając nogami, i machinalnie rysował dalej: obłoki szybujące po niebie i dziwne uwodzicielskie uśmiechy. Właśnie w tym momencie rozległo się stukanie do drzwi. Boofuls uniósł wzrok. W jego oczach błysnęła chłodna ciekawość, Martin jednak powiedział:

– Zostań tutaj, dobrze? Nie chcę na razie, żeby ktokolwiek dowiedział się, że tu jesteś.

Poszedł otworzyć drzwi. Gościem okazał się pan Capelli w niebieskim podkoszulku z podobizną Jacka Nicklause i biało-niebieskich kraciastych spodniach do gry w golfa. Pod oczami miał fioletowe kręgi i był lekko zadyszany po wejściu na górę.

– Cześć, Martin, nie obudziłem cię?

– Nie, już wstałem. Proszę wejść.

– Dzwoniłem na policję jakieś dziesięć minut temu – oznajmił pan Capelli. – Powiedzieli mi, że nie mają nic nowego.

Martin zamknął drzwi.

– Jak to znosi pani Capelli?

– Okropnie, a jak myślałeś? Wczoraj w nocy musiałem dać jej Tranxenu.

– Może kawy? – zaproponował Martin.

– Jasne, czemu nie?

– Jadł pan coś? Mam w zamrażalniku parę ciastek z malinami.

Gospodarz przyjrzał mu się dziwnie.

– Coś nie w porządku?

– Nie w porządku? – powtórzył Martin z udanym zdziwieniem. – Co ma być nie w porządku?

– Coś się nagle zrobił taki troskliwy?

Martin wzruszył ramionami.

– Jestem trochę zmęczony, to wszystko. Nie spałem za dobrze, martwiłem się o Emilia.

Zaprowadził pana Capelli do kuchni, oglądając się błyskawicznie w stronę pokoju stołowego, aby upewnić się, czy Boofuls nie postanowił jednak się pokazać.

– Dzwoniłem też do ojca Lucasa – ciągnął pan Capelli. – Przyjdzie koło dziewiątej.

Martin wsypał do ekspresu jeszcze jedną łyżeczkę kawy.

– A tak, ojciec Lucas. Zupełnie o nim zapomniałem.

– Nie wiem, czy poważnie mnie potraktował. – Gospodarz wysunął spod stołu kuchenny taboret i umieścił na nim swoje szerokie siedzenie. – Kiedy powiedziałem mu, że mamy kłopoty z lustrem, wiesz, jak to o mały włos nie wciągnęło Emilia i tak dalej – no, wydał mi się jakiś rozproszony. Wiesz, co mam na myśli, mówiąc: rozproszony? Jakby zamiast tego, co mu powiedziałem, zastanawiał się, co ma sobie zrobić na śniadanie albo może o czym wygłosi kazanie w przyszłym tygodniu.

– Jasne. Rozumiem, o co panu chodzi.

– Ale to dobry ksiądz, nieco staroświecki, wiesz, tradycyjny. Lubię go. To on ochrzcił Emilia. On uczestniczył w pogrzebie mojej córki.

Woda w ekspresie zaczęła kipieć. Martin wyjął dwa porcelanowe kubki i postawił je na stole. W tej samej chwili w otwartych drzwiach, za plecami pana Capelli, stanął Boofuls. Martin nie potrafił określić wyrazu jego twarzy. Równie dobrze mógł być znudzony, zły czy rozbawiony.

Jego maleńkie oczka lśniły błękitem, jakby zdolne były ciąć metal.

– Niektórzy młodzi księża wydają się czerpać przyjemność z podważania starego porządku. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Pytają, czemu ksiądz nie miałby się ożenić? Dlaczego ludzie nie mogliby stosować środków antykoncepcyjnych? Czemu właściwie mają wygłaszać msze po łacinie?

Gospodarz przeniósł spojrzenie na twarz Martina.

– Hej! Co ci jest? Wyglądasz, jakby właśnie ci się przypomniało, że wczoraj były urodziny twojej matki.

Powoli, marszcząc brwi, pan Capelli obrócił się na krześle w stronę drzwi i zobaczył Boofulsa, który stał tam w milczeniu. Jego twarz miała ów niesamowity wyraz, nie będący uśmiechem ani grymasem, lecz czystym, absolutnym triumfem.

Przez jedną, nie kończącą się sekundę pan Capelli zamarł, po czym krzyknął: – Aaa! – przerażonym głosem i zeskoczył z taboretu, który z hukiem runął na podłogę. Gospodarz oparł się plecami o kuchenne szafki i stał tak, z uniesionymi rękami, wstrząśnięty i oszołomiony do tego stopnia, że nawet się nie przeżegnał. Kiedy wreszcie zdołał wykrztusić kilka desperackich, nosowych słów, jego włoski akcent stał się tak silny, że Martinowi ledwie udało się go zrozumieć.

– Ktotto? Ktotto?! Nie mów mi, Martin, nie mów mi!

Boofuls nadal milczał. Pan Capelli cofał się, nie odrywając pleców od ściany, aż do najdalszego kąta kuchni. Tam przystanął, wpatrując się w chłopca przerażonym wzrokiem.

– To Boofuls – powiedział Martin. – Wyszedł z lustra.

– On mi mówi: „Wyszedł z lustra”. Dobry Boże ze wszystkimi niebieskimi zastępami! Boże!

Martin położył mu dłoń na ramieniu.

– Miałem nadzieję, że tu nie przyjdzie. Nie chciałem pana przestraszyć.

– On nie chciał mnie przestraszyć! – powtórzył pan Capelli.

Boofuls ruszył naprzód, wyciągając do niego rękę.

– Nie musi się pan bać. Nie ma żadnego powodu do lęku.

Pan Capelli przeżegnał się pięć razy pod rząd, gestykulując gwałtownie.

– Ty nie żyjesz! Trzymaj się z dala ode mnie!

Chłopiec uśmiechnął się łagodnie.

– Czy wyglądam na martwego?

Gospodarz trząsł się cały:

– Nie dotykaj mnie! Odejdź ode mnie! Ty nie żyjesz!

Martin jednak podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Panie Capelli, według wszystkiego, co wiemy, on powinien być martwy. Ale nie jest. Sam pan widzi, że nie jest. I nie sądzę, aby miał zamiar wyrządzić nam jakąś krzywdę.

– Nic nam nie robi, co? A gdzie jest Emilio? Emilio wszedł do lustra, a ten chłopak z niego wyszedł, czy nie tak?

Martin miał właśnie wyjaśnić, że owszem, istnieje taka możliwość, ale Boofuls z pewnością pomoże im odzyskać Emilię. Boofuls jednak ubiegł go.

– Ma pan całkowitą rację, proszę pana. Emilio jest w lustrze. Poszedł pobawić się z moimi kolegami.

Tego już było dla pana Capelli za wiele. Jego twarz posiniała i Martin musiał podsunąć mu

krzesło, aby nie upadł. Opadł na nie, przyciskając dłoń do klatki piersiowej, oddychając głęboko. Chłopiec stał obok niego. Nadal się uśmiechał.

– Emilio jest zupełnie bezpieczny, proszę pana – oznajmił.

– Bezpieczny? – odparł dysząc gospodarz. – Kogo to obchodzi? Chcę, żeby wrócił.

– Wróci. Sprowadzę go z powrotem.

– To na co czekasz? Dalej, ruszaj! – zażądał pan Capelli.

Boofuls potrząsnął swoją śliczną główką.

– Wszystko w swoim czasie, proszę pana. Wszystko w swoim czasie.

Pan Capelli próbował zerwać się na nogi i Martin musiał chwycić go za ramiona i siłą posadzić z powrotem.

– Co to ma znaczyć: „wszystko w swoim czasie”? Idź tam w tej chwili i przyprowadź tu mojego wnuka, a jak nie będzie go tu za pięć minut, pięć minut, to tak ci przyleję, jak jeszcze w życiu nie dostałeś! I nie obchodzi mnie, czy jesteś martwy, czy nie! Zrozumiałeś?

Boofuls spojrział na niego, zaskoczony, po czym spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

– Co ty wyprawiasz? – spytał pan Capelli, ale jakby mniej pewnie. – W tej chwili idź po Emilia, słyszysz!

Boofuls nadal skrywał twarz. Martin ruszył w jego stronę, chłopiec jednak odsunął się, nie opuszczając rąk. Przez moment Martina ogarnęło niepokojące przeczucie, że gdyby spróbował oderwać te dłonie, ujrzałby nie drobne rysy Boofulsa, lecz złocone, sardoniczne oblicze Pana. Zawahał się, spojrział na pana Capelli i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co robić dalej.

I wtedy pan Capelli dostrzegł łzy, spływające między palcami Boofulsa. Ramiona chłopca drżały i jasne było, że jest głęboko poruszony. Gospodarz zmarszczył brwi i wyciągnął ku niemu rękę.

– Posłuchaj, młody człowieku...

– To Boofuls, panie Capelli – wtrącił Martin. – Naprawdę. I tak właśnie lubi być nazywany.

Pan Capelli odchrząknął.

– No cóż, posłuchaj, Boofuls. Przepraszam, nie chciałem tak na ciebie krzyknąć. Ale naprawdę bardzo martwię się o Emilia. To lustro wcale mi się nie podoba i nie chcę, aby się tam włóczył, to nienormalne. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Dłonie Boofulsa dalej zakrywały twarz. Pan Capelli stawał się coraz bardziej zatroskany. Przesunął swe krzesło nieco bliżej chłopca, który w odpowiedzi cofnął się o krok.

– Posłuchaj mnie. Jestem dziadkiem. Kocham dzieci. Nie mam pojęcia, skąd się wzięłeś i jak możesz chodzić i rozmawiać z nami, skoro nie żyjesz, ale w końcu nie muszę rozumieć absolutnie wszystkiego na tym świecie, prawda? W końcu nie rozumiem też podatku od dochodów osobistych – czy dlatego mam być złym człowiekiem? Ale kocham Emilia. On jest dla mnie wszystkim. I nawet jeśli nic mu nie grozi, gdziekolwiek teraz jest, mnie jest potrzebny tutaj.

W końcu Boofuls opuścił ręce. Jego twarz była mokra od łez. Wyglądał przeraźliwie żałośnie.

– Och, panie Capelli, jestem taki nieszczęśliwy!

– Hej, uspokój się. – Gospodarz wyciągnął do niego rękę. Boofuls zawahał się przez moment, po czym podszedł i przytulił się do niego jak do własnego dziadka.

– Wiesz, masz rację. – Pan Capelli zaczynał się uśmiechać. – Rzeczywiście nie wyglądasz na martwego. I z pewnością w dotyku nie sprawiasz wrażenia martwego. Nie wiem, jak to możliwe, ale jesteś żywym chłopcem!

Martin przyglądał się temu wszystkiemu z rezerwą. Niewątpliwie Boofuls był niezwykle czarującym dzieckiem, mimo to jednak Martin nie mógł się oprzeć wrażeniu, które zawsze ogarniało go podczas oglądania musicali: że ma przed sobą dorosłego mężczyznę, przebiegłego dorosłego,

udającego małego chłopca. Boofuls był odrobinę za sprytny, za bardzo wyrachowany. Cała ta scena podbijania serca pana Capelli przypominała niemal zreżymowany filmowy kawałek, mający wzruszyć widownię do łez.

„Och, ciociu” – łkał Freddy Bartholomew w *Davidzie Copperfieldzie*. – „Jestem taki nieszczęśliwy.” A Boofuls użył tego samego tekstu dokładnie w taki sam sposób. Ostatnia próba poruszenia serca dziadka. *David Copperfield* został zrealizowany w 1935 roku, było zatem bardzo prawdopodobne, że Boofuls go widział.

– Panie Capelli – zaczął ostrzegawczo Martin.

– Ciii, Martin. Ja tu jestem dziadkiem. A poza tym, kogo my tu mamy? Słynną gwiazdę filmową.

– Panie Capelli... – powtórzył, niewiele jednak mógł zrobić.

Za plecami gospodarza Boofuls obdarzył go wrogim spojrzeniem, mającym oznaczać: „Nie wtrącaj się, albo już nigdy nie ujrzysz Emilia żywego.”

– Emilio jest bezpieczny, proszę pana. – Chłopiec otarł łzy wierzchem dłoni. – Jest tam mnóstwo ludzi, którzy się nim zajmą. Ale w momencie, gdy Emilio wróci, ja będę musiał wrócić do lustra, będę musiał.

– Ale przecież ty żyjesz wewnątrz lustra – odparł pan Capelli. – Prawda? Faktycznie nawet nie należysz do tego świata.

Boofuls żałośnie przełknął ślinę. W jego oczach ponownie zakręciły się łzy.

– Nie żyję tam, proszę pana, tam w ogóle nikt nie żyje. To takie miejsce, gdzie się idzie, kiedy nie można pójść do nieba.

– Czyściciec – podsunął Martin.

– Niektórzy tak to nazywają – zgodził się Boofuls. – Ale można jednak dostać się do nieba, jeśli wypełni się swoje zadanie na ziemi, zadanie przeznaczone nam przez Boga.

– I nakręcenie *Błogosławionego rydwanu* to właśnie twoje zadanie?

Boofuls skinął głową.

– Jeśli uda mi się ukończyć ten film, odzyskam spokój.

– Co to jest, ten *Błogosławiony rydwan*? – chciał wiedzieć pan Capelli.

Przez moment Martin milczał, obserwując Boofulsa, po czym rozlał kawę do kubków, podsunął jeden panu Capelli i wyjaśnił:

– To był ostatni film Boofulsa prawda, Boofuls? Zanim zamordowała go babcia. Czy raczej wydawało się jej, że go zabiła. Historia małego ulicznika, który staje się aniołem i lata naokoło, czyniąc dobro, aby przypodobać się Wszechmogącemu. Musical i, proszę mi wierzyć, prawdziwy wyciskacz łez.

Boofuls przywarł do gospodarza.

– Nigdy nie ukończyłem tego filmu, nie udało mi się, a jeżeli go nie skończę, będę musiał zostać w tym lustrze na zawsze i nigdy nie zdołam się wydostać.

Martin napił się kawy.

– Rozumie pan, o co on prosi, panie Capelli? Prosi o pańskie pozwolenie. Emilio miałby zostać w lustrze do czasu, aż Boofuls skończy film, wypełni swe przeznaczenie i ruszy na spotkanie Stwórcy.

– Wiem, że to bardzo dużo, proszę pana – wykrztusił przez łzy Boofuls. – I wiem, jak wiele Emilio dla pana znaczy. Ale błagam, niech się pan zgodzi. W przeciwnym razie nigdy nie uda mi się zasnąć, przez całą wieczność. A taki jestem zmęczony. Tak okropnie zmęczony.

Również w oczach pana Capelli pojawiły się łzy. Gospodarz pogładził plecy chłopca.

– Sam nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wiem. Jak mężczyzna i dziadek może odmówić komuś takiemu, małemu chłopcu, potrzebującemu jego pomocy?

– Panie Capelli – powiedział Martin – czy Emilio nie ma tu nic do powiedzenia?

– Oczywiście, że ma – zgodził się pan Capelli. – Ale jeśli Boofuls mówi prawdę, Emilio sam chciał pobawić się w lustrze. To on tego chciał.

– Może moglibyśmy zapytać go o to sami? – zaproponował Martin.

– Czy da się to zrobić? – spytał gospodarz Boofulsa.

Ten przytaknął.

– Tak, możemy go zapytać. Ale nie wolno wam próbować wydostać go z lustra. Dokąd nie będę gotowy, to bardzo niebezpieczne. Mógłby umrzeć.

– To chodźmy z nim pogadać, co? – uciał Martin.

\* \* \*

Przeszli do pokoju stołowego, który był zalany jaskrawymi promieniami słońca. Pan Capelli osłonił oczy ręką. Lustro wydawało się większe niż przedtem; większe i bardziej przejrzyste. Ktoś, kto by nie wiedział, że to lustro, mógłby łatwo uznać je po prostu za prowadzące pod złoconym łukiem przejście do drugiego, identycznego pokoju.

Kiedy zbliżyli się do szklanej tafli, Martin stwierdził z dreszczykiem zdumienia, że odbiciom jego i gospodarza towarzyszy nie obraz Boofulsa, lecz Emilio. Obaj chłopcy stali dokładnie naprzeciw siebie, w jednakowych pozach, i kiedy jeden z nich skinął głową, drugi uczynił to również.

– Emilio... – szepnął pan Capelli i rzucił się w stronę lustra. – Emilio!

Rzecz jasna jednak, udało mu się jedynie zderzyć z własnym odbiciem. Emilio stał za plecami odbicia pana Capelli, tak jak Boofuls pozostał za nim w prawdziwym pokoju. Gospodarz zawahał się, po czym odstąpił krok, aby lepiej widzieć chłopca.

– Emilio? – spytał Martin. – Czy wszystko w porządku?

Chłopiec miał na sobie koszulkę z napisem „Star Trek”, czerwone szorty i rozdeptane biało-czerwone adidasy. Był jakby lekko zmęczony i bledszy, poza tym jednak wyglądał całkiem jak zwykle. Kosmyk czarnych włosów, który zazwyczaj opadał mu na lewą stronę czoła, znajdował się teraz po prawej, a zegarek zapięty był na prawym przegubie. Twarz Emilia sprawiała wrażenie dziwnie asymetrycznej, po prostu dlatego, że Martin przyzwyczajony był oglądać ją w odwrotnym ujęciu.

– U mnie wszystko OK, czuję się dobrze – zawołał Emilio. – Świetnie się bawię.

– Kto się tobą zajmuje? – dopytywał się pan Capelli.

Emilio wsunął rączkę w dłoń odbicia pana Capelli, a Boofuls uczynił to samo z prawdziwym gospodarzem. Obaj się uśmiechnęli.

– Oczywiście, że ty – odrzekł.

– Ja? – Pan Capelli był całkowicie oszołomiony.

– Ty i babcia. Wy też tu jesteście. Tak samo jak Martin i wszyscy inni. Tu jest zupełnie jak w domu.

Pan Capelli przycisnął dłonie do czoła. Absolutnie nie mógł tego pojąć.

– Chcę tylko wiedzieć, czy u ciebie wszystko dobrze? Czy ja i babcia dbamy o ciebie? Dostajesz dobrze jeść? Nikt nie robi ci krzywdy, czy coś takiego? Nikt ci nie każe zostać tam na zawsze?

– Dziadku, mnie się tu podoba. Jest mi tu bardzo dobrze.

Pan Capelli zerknął w kierunku Martina, jakby szukając jego wsparcia. Ten jednak zajęty był szczegółowym oglądaniem ich odbić, szukając jakiejś wskazówki, wyjaśnienia, w jaki sposób osiągnięto to złudzenie. Ale wyglądało na to, że nie ma w tym żadnego oszustwa, żadnych tricków.

Miał przed sobą złotowłosą gwiazdę filmową z końca lat trzydziestych, której lustrzanym odbiciem był ciemnowłosy włoski chłopczyk z końca lat osiemdziesiątych. I tyle.

– Emilio – odezwał się głośno – gdybym ci powiedział, że możesz tu do nas wrócić już zaraz, w tej sekundzie, co byś mi odpowiedział?

– Mnie się tu podoba – powtórzył chłopiec. – Jest mi tu dobrze.

W jego głosie było jednak coś, co mówiło Martinowi, że nie jest to cała prawda.

– Emilio, jak tam właściwie jest? Czy naprawdę jest tam zupełnie jak w domu? Boofuls mówił co innego.

– No, jasne, że jest trochę inaczej – odparł Emilio. Wcale się już nie uśmiechał.

– Posłuchaj, mam dla ciebie propozycję. – Martin zwrócił się do Boofulsa. – Może byś tak wrócił do lustra dopóki nie zorganizuję wszystkich spraw, związanych z tym filmem? Minie parę miesięcy, zanim ktoś wreszcie powie „tak” lub „nie”, kolejne parę potrzeba na przerobienie scenariusza i ustalenie obsady, i jeszcze kilka, nim przygotuje się wszystkie dekoracje i kostiumy. Będziemy mieli szczęście, jeśli ukończymy całą produkcję w osiemnaście miesięcy czy nawet dwa lata. A Emilio nie może zostać w tym lustrze przez dwa lata.

Oczy Boofulsa zwężyły się i pociemniały.

– Ja byłem w nim uwięziony przez pięćdziesiąt lat, Martin. Pięćdziesiąt! Jeżeli nie uda mi się wydostać teraz, to zostanę tam już na zawsze.

– Ale nie możesz przecież wymagać, by Emilio został w tym lustrzanym świecie do swoich siódmych urodzin!

– Realizacja filmu nie będzie trwała aż dwa lata – odparł Boofuls.

– No jasne, a skąd niby masz taką pewność?

– Jestem pewien, i tyle. Kiedy już zaczniemy produkcję, wszystko pójdzie gładko. Nie rozebrano ani jednej dekoracji, żaden kostium nie uległ zniszczeniu.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem i już. Wszystko jest w magazynie w Long Beach.

– No, no – Martin starał się, by jego słowa nie zabrzmiały zbyt gorzko – zatem jesteśmy zupełnie gotowi. Mamy scenariusz, mamy gwiazdę, kostiumy, dekoracje. Jedyne, o czym zapominamy, to ów drobny szczegół zwany finansami. Dwadzieścia pięć milionów dolarów za pełnometrażowy musical, a i to może nie wystarczyć.

Boofuls nie zareagował na ironiczną uwagę Martina. Uśmiechnął się tylko i odparł:

– Zobaczymy.

Pan Capelli, oszołomiony, zawołał:

– Hej, Emilio, kocham cię, wiesz.

– Wiem, dziadku. Ale Boofuls nie będzie mógł spocząć w spokoju, jeśli teraz wrócę.

– Posłuchaj...

– Musicie mu pomóc – nalegał Emilio. Jego głos brzmiał znacznie poważniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Martin? – spytał błagalnie pan Capelli. – Co mam zrobić?

– Mówiąc całkiem poważnie, panie Capelli, na pana miejscu domagałbym się...

Wszelako dylemat pana Capelli rozwiązał się sam, gdyż w tym momencie pod drzwiami lustrzanego pokoju mignął czarno-rudy koci ogon. Emilio natychmiast skoczył za nim, wyprysnął za drzwi i zniknął. Martin obejrzał się. Boofuls także wybiegł z pokoju. Usłyszeli, jak chichocze w kuchni, jakby bawił się tam z jakimś zwierzęciem.

– W co właściwie mamy wierzyć? – Gospodarz szeroko rozłożył ręce. Martin widział, że jest

bliski załamania, a szok wywołany przez wszystkie poranne wydarzenia podziałał także i na niego. Kręciło mu się w głowie. Za dużo kawy, za mało snu i jedzenia.

– Nie mam pojęcia, panie Capelli. Naprawdę nie wiem. Może ten pański ojciec Lucas powie nam, o co tu właściwie chodzi.

\* \* \*

Siostra Bonifacja klęczała, odmawiając poranną modlitwę w kaplicy Szpitala Sióstr Miłosierdzia. Nachyliła głowę i zacisnęła powieki, starając się jak najbardziej zbliżyć myślą do Boga.

Kaplica była nowoczesna i bardzo prosto urządzona. Proste dębowe ławki, prosta marmurowa posadzka, ołtarz z szarego polerowanego marmuru. Najozdobniejszym jej elementem było okno witrażowe, przedstawiające Madonnę z nagim Dzieciątkiem unoszoną w chmury przez różnokolorowe promienie światła. Siostra Bonifacja ubóstwiała to okno. Zmieniało ono wygląd w zależności od pory dnia. Czasami sprawiało wrażenie spokoju i lekkiej melancholii; innym razem, gdy słońce oświetlało je pełnym blaskiem, obraz płonął niebiańskim ogniem.

Dziś siostra Bonifacja modliła się szczególnie za duszę Homera Theobalda. Z plotek szpitalnych dowiedziała się, że zmarł, a siostra Michaela powiedziała jej, że byli z nim Martin i Ramone. Obawiała się jednak zadzwonić do Martina, aby potwierdzić najbardziej nękające ją przypuszczenie – że klucz, który mu dała, przyciągnął uwagę mściwego Szatana. Czowała zgrozę na myśl, że wierzy w nieczyste duchy. Szarpały nią wyrzuty sumienia, że dała Martinowi klucz.

Kiedy poznała go w zeszłym tygodniu, wydało jej się, że być może jest on tym wysłannikiem, na którego czekała przez pięćdziesiąt lat; człowiekiem, który raz na zawsze zakończy jej mękę i przyniesie ukojenie. Wyczuła wokół niego aurę szczerości i dobra. Teraz jednak zaczynała podejrzewać, iż Szatan mógł ją oszukać i że jego jedynym celem było zdobycie klucza, którego tak długo strzegła.

Nie miała pojęcia, co otwierał ten klucz, ale wiedziała, że musi to być coś potwornego ponad wszelkie wyobrażenie.

Modliła się za swe zakonne towarzyszki, za szpital, za chłopczyka na Oddziale Świętego Franciszka z Asyżu, i umierającego na AIDS, którym zaraził się w wyniku transfuzji zakażonej krwi. Modliła się o pokój, o to, by jej prośby zostały wysłuchane, i o to, aby Homer Theobald i odnalazł swoje miejsce w Królestwie Niebieskim.

Kończyła już swe modlitwy, kiedy czyjś głos szepnął:

– Siostrze Bonifacjo.

Uniosła głowę i rozejrzała się wokół. Nikogo. Kaplica była pusta.

– Siostrze Bonifacjo.

Nasłuchiwała. Wreszcie wstała, wygładziła swój biały habit i spytała drżącym głosem:

– Kto to? Czy ktoś tu jest?

– Siostrze Bonifacjo, zdradziłaś mnie – odparł głos.

– Nikogo nie zdradziłam. Zawsze dotrzymywałam słowa i dochowywałam świętego zaufania.

– Oddałaś klucz, siostrze Bonifacjo.

Zakonnica cofnęła się do przejścia i ruszyła w stronę ołtarza, rozglądając się na prawo i lewo w poszukiwaniu właściciela tajemniczego głosu, być może kryjącego się za jedną z ławek lub kolumną.

– Zdradziłaś mnie, siostrze Bonifacjo, i musisz zostać ukarana.

Siostra Bonifacja zatrzymała się przed ołtarzem. Po jej prawej stronie, obok gładkiej kolumny z włoskiego marmuru, płonęły liczne wotywny świece. Z witrażowego okna uśmiechała się do niej jej

ukochana Madonna. Wiedziała, że w obecności Madonny nie może się jej stać nic złego.

– Nikt, kto mnie zdradził, nie może pozostać bezkarny – oznajmił głos, tak samo bliski jej ucha jak poprzednio. – Ciepłe, ciepłe ręce, mężczyzna w polu orze, jeśli ogrzać chcesz swe ręce, ogrzej je, niebożę.

– Kim jesteś? Czym jesteś? Czego ode mnie chcesz?

– Dała ci klucz na przechowanie – wyszeptał głos. – Dała ci, abyś go przechowała. Nie: zgubiła; nie: oddała, ale zatrzymała na zawsze i zabrała ze sobą do grobu.

Siostra Bonifacja błyskawicznie odwróciła się na pięcie, ale za jej plecami nie było nikogo. Kaplica była pusta. Poczwała nagłą suchość w ustach, wstrząsnął nią dreszcz.

– O, Matko Boska, chroń mnie – modliła się, powoli jednak zaczynało ją ogarniać uczucie, że sama modlitwa to za mało. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

– Ciepłe, ciepłe ręce – mamrotał głos – mężczyzna w polu orze, jeśli ogrzać chcesz swe ręce, ogrzej je, niebożę.

To właśnie wtedy ujrzała jego twarz. Krzyknęła głośno. Jej krzyk odbił się echem w całej kaplicy, w pobliżu nie było jednak nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Uśmiechała się do niej z niewielkiego lusterka tuż ponad rzędami wotywnych świec. Dziecinna, blada twarz. Twarz tego samego chłopca, który unosił się nad łóżkiem swej babci tak dawno temu. Tego samego chłopca, którego nieziemskie odwiedziny prześladowały siostrę Bonifację we wspomnieniach przez całe jej życie.

– Ach – szepnął Boofuls – zobaczyłaś mnie.

Siostra Bonifacja podeszła do lusterka, lekko powłócząc lewą nogą. Jej habit z szelestem przesuwiał się po marmurowej posadzce. Boofuls przyglądał się jej. Jego oczy lśniły przeszywającym blaskiem.

– Nigdy cię nie zdradziłam – powiedziała siostra Bonifacja drżącym głosem.

– Miałaś zabrać ten klucz ze sobą do grobu, ty przekłeta stara wiedźmo! – warknął. – Kiedy go wydałaś, wydałaś też część mojej tajemnicy. Powinnaś była wiedzieć dobrze, starucho, nawet ty!

Po czym powoli, starannie dobierając rytm, zanucił:

– Ciepłe, ciepłe ręce, mężczyzna w polu orze, jeśli ogrzać chcesz swe ręce, ogrzej je, niebożę.

Siostra Bonifacja zadygotała.

– Jesteś Szatanem! – oznajmiła. – Poznaję cię teraz! Jesteś Szatanem!

Boofuls wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał, zanosił się śmiechem do tego stopnia, że – przez jedną szczególną sekundę – jego twarz w lustrze wydała się niemal wywracać na drugą stronę, odsłaniając coś, co było ciemne, złożone z licznych członów i dziwnie przypominało owada. Siostra Bonifacja krzyknęła:

– Szatan! – i sięgnęła ponad rzędami świec, aby zrzucić lusterko.

I wtedy właśnie wszystkie mięśnie jej ciała nagle zeszytywniały. Całkowicie sparaliżowana, stała z rękami wyciągniętymi nad płomykami świec. Próbowwała się ruszyć, próbowała krzyknąć, ale system nerwowy po prostu odmówił posłuszeństwa.

„Szatan”, pomyślała w popłochu. „Szatan!”

Ponad siedemdziesiąt świec płonęło teraz tuż pod jej wyciągniętymi rękami. Najpierw poczuła jedynie falę ciepła, która po chwili zaczęła stawać się nieznośnie gorąca. Twarz chłopca przyglądała jej się z uciechą z lusterka, podczas gdy siostra Bonifacja stopniowo uświadamiała sobie, co ją czeka.

„O, Matko Boska, pomóż mi, co za ból!”, pomyślała. Lecz nie była w stanie odsunąć dłoni dalej od ognia ani nawet wezwać pomocy. Nigdy w życiu nie czuła takiego bólu. Jej dłonie stawały się coraz



czerwieńsze, a w powietrzu zaczynał unosić się coraz silniejszy swąd palonego mięsa. Każdy paznokciec wydawał się być rozgrzany do białości.

„Błagam”, prosiła w myślach Boofulsa. „Błagam, uwolnij mnie, błagam! Odzyskam twój klucz, przyrzekam! Zabiorę go ze sobą do grobu, tak jak chciałeś!”

Boofuls jednak jedynie nucił dalej:

– Ciepłe, ciepłe ręce, mężczyzna w polu orze, jeśli ogrzać chcesz swe ręce, ogrzej je, nieboże!

Siostra Bonifacja odkryła, że powoli, cal po calu opuszcza ręce ku płomykom świec. Gorąco było tak intensywne, że prawie go nie czuła. Skóra wewnątrz jej dłoni poczerniała i skurczyła się, jej pasma zaczęły odrywać się i padać na świeczniki, skąd zwieszały się, dymiąc. Kiedy jej ręce znalazły się jeszcze niżej, rękawy habitu zatliły się i buchnęły ogniem. Płomienie zaczęły lizać również przeguby rąk.

W oczach siostry Bonifacji zakręciły się łzy, spływające po jej pomarszczonych policzkach. Męka stawała się nieznośna. Pragnęła już tylko umrzeć, choć paraliż uniemożliwiał jej odwrócenie głowy i choćby spojrzenie w stronę ukochanej Madonny.

Teraz w płomieniach stało już i ciało jej dłoni, które płonęło z trzaskiem i sykiem. Stopniowo ogień pożerał kolejne warstwy ciała. Ukazały się kości, kości jej własnych palców, obnażone na jej oczach.

– Ciepłe, ciepłe ręce, mężczyzna w polu orze!

I w tym momencie, gdy męka osiągnęła swój szczyt, Boofuls uwolnił siostrę Bonifację z jej paraliżu. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co się stało, potem jednak wydała z siebie donośny krzyk bólu, który przeszył kaplicę od krańca do krańca.

Zatoczyła się do tyłu, trzymając płonące ręce przed sobą, niczym lunatyczka. „Woda święcona”, pomyślała z desperacją, „mogę zgasić ręce w święconej wodzie.”

Krok po kroku ruszyła w stronę wyjścia. Jej ręce były już tylko zwęglonymi kikutami, rękawy płonęły pomarańczowym ogniem. Nagle jej kornet, nakrochmalony na sztywno, buchnął płomieniem niczym ognista korona. Od niego zajęły się krótko ostrzyżone włosy.

Kiedy udało jej się przejść połowę drogi, habit siostry Bonifacji płonął od góry do dołu. Cała była zataczającą się masą ognia. Jej głowa płonęła, oczy rozszerzał szok i przerażenie. Nie była już w stanie krzyczeć ani nawet jęczeć.

Wiedziała, że nigdy nie uda jej się dojść do święconej wody. Potknęła się, zachwiała i upadła na bok. W uszach huczał jej ryk ognia. Widziała, jak płomienie tańczą tuż przed jej oczami.

Ostatnim wysiłkiem, w śmiertelnej męce, zdołała unieść głowę na tyle, by móc pochwycić wzrokiem witrażowe okno za rzędami ławek. Ukochana Madonna dalej uśmiechała się do niej, jak to zawsze czyniła. Siostra Bonifacja spróbowała coś powiedzieć, najkrótszą z modlitw, ale od jej habitu zajęła się bielizna, skóra na nogach stała w ogniu. Umarła, zanim zdołała wyszeptać choćby jedno słowo.

Jeden ze szpitalnych strażników, choć patrolował drugie piętro, usłyszał krzyk siostry Bonifacji i postanowił zbadać sprawę. Z początku myślał, że to śmiech albo dowcipy którejś ze sprzątaczek. Zanim dotarł do kaplicy, zdążył zajrzeć do kilkunastu pomieszczeń.

– O Jezu – jęknął, kiedy otworzył właściwe drzwi.

Kaplicę wypełniał gęsty dym. Na środku głównego przejścia leżała skulona czarna postać. Na jej piersi wciąż jeszcze błyskały płomyki. Strażnik poczuł w gardle skurcz mdłości. Nie wiedział, czy powinien wejść do środka, czy nie. Nie istniała najmniejsza nawet szansa na to, żeby postać na podłodze jeszcze żyła.

Wreszcie jednak głęboko zaczerpnął powietrza, osłonił nos i usta złożoną chustką do nosa i

ostrożnie ruszył naprzód. Dotarłszy do miejsca, gdzie leżały zwłoki siostry Bonifacji, zatrzymał się, spoglądając na nie ze zgrozą.

Jej głowa spłonęła niemal całkowicie – większa część czaszki rozpadła się w pył. Zakrzywione łuki żeber sterczały z kupki spalonej tkaniny i zwęglonego ciała, naga miednica leżała z boku niczym stara, zniszczona umywalka.

Jedyną rzeczą, która umożliwiła strażnikowi natychmiastowe stwierdzenie, iż chodzi tu o siostrę Bonifację, był jej krucyfiks: duży krzyż z brązu, okopcony przez ogień, na którym srebrna figurka Chrystusa stopiła się w kilka nieregularnych kropel metalu.

Nagle wydało mu się, że słyszy cichy szelest, jakby ktoś na palcach wędrował po kaplicy, lecz kiedy rozejrzał się wokół, w kłębach dymu nie dostrzegł nikogo.

Odczepił od paska swoją krótkofalówkę, włączył ją i powiedział:

– Douglas? Tu Andrej. Posłuchaj, lepiej zejdź tu do kaplicy. Siostra Bonifacja miała jakiś wypadek. Nie, ogień. Nie wiem, może podeszła za blisko świec. Nie, nie żyje. Nie, nie żyje! Żartujesz? Nie ma nawet ust, żebym mógł zastosować sztuczne oddychanie.

Z powrotem przypiął radio do pasa i stał tak, wpatrując się w popioły. Popioły kobiety, która popełniła tę omyłkę, że oddała komuś klucz Boofulsa.

## 8.

W ten weekend ojciec Lucas zwichnął sobie kostkę. Stało się to podczas gry w baseball z chłopięcą drużyną Małej Ligi od Świętego Ignacego. Teraz gramolił się po schodach prowadzących do mieszkania Martina, stąpając ciężko, wsparty o poręcz. Co chwila głośno odchrząkiwał. Pan Capelli szedł tuż za nim, próbując jakoś mu pomóc, lecz faktycznie tylko go denerwował.

– Wszystko w porządku, panie Capelli – przekonywał go ojciec Lucas. – Udało mi się osiągnąć odpowiedni rytm. Jeśli go pan zakłóci, to najpewniej będzie mnie pan musiał zbierać z podłogi pod schodami.

– Proszę uważać tutaj, w kącie – mówił z troską pan Capelli. – Czasami ja sam się tu potykam, a ile czasu mieszkam w tym domu.

Na górze, w pokoju stołowym, Boofuls siedział spokojnie i oglądał *Ulicę Sezamkową*. Martin stał przy oknie i obserwował Marię Bocanegra, która opalała się przed pójściem do pracy. Musiała chyba zasnąć, bowiem poranna bryza zdmuchnęła jedną z papierowych chusteczek, odsłaniając pierś. Jej sutek przypominał Martinowi miękka, pomarszczoną suszoną śliwkę. Z tych, co to natychmiast wzbudzają ochotę, aby delikatnie zagłębić w nich zęby.

Od czasu do czasu rzucał okiem na Boofulsa. Jak tylko ojciec Lucas wyjdzie, miał zamiar zabrać go do Searsa i kupić coś nowego do ubrania. Koszulki, adidasy, żeby przynajmniej wyglądał jak chłopak z lat osiemdziesiątych. Pomyślał, że to niesamowite, jak łatwo nauczył się przyjmować obecność Boofulsa jako coś oczywistego. No, ale jeśli dana osoba naprawdę gdzieś jest, rozmawia, chodzi, oddycha i żyje, to czy jest jakaś inna możliwość, aniżeli jej akceptacja? I nieważne, czy ten ktoś przybywał z drugiej strony lustra, czy prosto z Księżyca. Ojciec Lucas zastukał do drzwi Martina.

– Halo! Panie Williams!

Martin opuścił żaluzję i odszedł od okna.

– To chyba ksiądz – poinformował Boofulsa. Już przedtem powiedział mu o planowanej wizycie ojca Lucasa, chłopiec jednak wyglądał na zupełnie niezainteresowanego. Teraz też nie okazał żadnego zaciekawienia.

Nie czekając na otwarcie drzwi, ojciec Lucas wkroczył do pokoju. Był to mężczyzna o szerokich ramionach i lwiej głowie, która wydawała się o wiele za duża w stosunku do reszty ciała. Srebrne włosy zaczesywał prosto do góry. Na nosie miał grube okulary w rogowej oprawie, przypominające Martinowi parę odbiorników telewizyjnych z lat pięćdziesiątych, ustawionych jeden obok drugiego i pokazujących jako obraz kontrolny jedno szare oko.

Ojciec Lucas ruszył naprzód i ścisnął dłoń Martina.

– Pan Capelli mówił mi, że ma pan jakieś kłopoty, panie Williams. – Rozejrzał się wokół i ciągnął dalej: – Pozwoli pan, że usiądę. Próbowałem pokazać mojej drużynie, jak należy wykonywać rzut

rożny i chyba nieco mniej poniosło.

Przykuśtykał do kanapy, na której nadal siedział Boofuls i oglądał *Ulicę Sezamkową*.

– Witaj, młodzieńcze – powiedział radośnie i zmierzwił włosy chłopca. – Nie masz nic przeciw temu, że zaparkuję obok ciebie?

Nie podnosząc nawet wzroku, Boofuls odpowiedział:

– Owszem, mam wiele przeciw temu. I proszę nie dotykać więcej moich włosów. Nie wolno panu.

Ojciec Lucas spojrział na niego oszołomiony. Zawsze szczyił się, że „diabło dobrze” radzi sobie z dziećmi, a zwłaszcza małymi chłopcami.

– Hej! Ty! – warknął pan Capelli. – Smarkaczu! Rozmawiasz tu z księdzem! Ze świętym ojcem!

Boofuls niechętnie oderwał wzrok od Kermita Żaby i zmierzył ojca Lucasa spojrzeniem od stóp do głów.

– Jestem ojciec Lucas – powiedział ksiądz. – A ty?

Przez moment – tak szybko, jakby ktoś przewrócił gumową rękawicę na lewą stronę, po czym odwinął ją z powrotem przez twarz Boofulsa przemknął wyraz, który sprawił, że Martin zdrzął. Widywał już wrogość na twarzach dzieci, ale jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś podobnym do stężonego jadu, który zniekształcił oblicze Boofulsa. W tej chwili prawie nie przypominał dziecka, raczej złośliwego karła.

Wrogość jednak zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, i Boofuls był ponownie uroczy i roześmiany – do tego stopnia anielski, że ojciec Lucas odpowiedział mu uśmiechem.

– No, no, i kto tu zadziera nosa?

Mimo to jednak cofnął się i usiadł za biurkiem Martina, skinąwszy Boofulsowi głową, jakby się go obawiał.

– To lustro – oznajmił pan Capelli, przenosząc wzrok z Boofulsa na ojca Lucasa i z powrotem.

– Słucham? Co – lustro? – spytał ojciec Lucas. Obrócił się razem z krzesłem i ujrzał swoje odbicie na ścianie. – Tak, lustro. Jest bardzo piękne, nieprawdaż?

– Ono zabrało mojego wnuka.

– Ono...? – Ojciec Lucas uniósł swe okulary, niezupełnie pewien, co pan Capelli chciał przez to powiedzieć.

– Zabrało mojego wnuka, porwało go. On jest teraz tam, w środku.

Ojciec Lucas zerknął na Martina, aby upewnić się, że z panem Capelli wszystko w porządku i że nie cierpi on na jakieś chwilowe zaburzenia mózgowie. Ten upał, wie pan. Może męska menopauza. Mężczyźni w tym wieku czasami zachowują się dość dziwnie. Martin jednak skinął głową, zapewniając go, że to prawda.

– Ani przez chwilę nie spodziewaliśmy się, że będzie łatwo panu w to uwierzyć – zwrócił się do księdza. – Ale to z całą pewnością nie jest jedno z tych zwyczajnych domowych czy ogrodowych luster. To jakby brama do innego świata.

– Innego świata? – spytał ojciec Lucas. Wyglądał na jeszcze bardziej zbitego z pantałyku.

– Tam jest w dalszym ciągu Hollywood – poinformował go Martin. – Ale to Hollywood Na Odwrot. A odbicia, które widzimy w tym lustrze, nie zawsze odpowiadają oryginałom z prawdziwego świata. Czy czytał pan kiedyś *Alicję po Drugiej Stronie Lustra*?

– Tak, oczywiście – odparł ksiądz, nadal zmieszany.

– No to ma pan pewne pojęcie, co się u nas dzieje. Pamięta pan, jak w Alicji lustrzany świat zmienił się nie do poznania w momencie, kiedy Alicja wyszła poza granice odbitego obrazu? Wydaje mi się, że z tym lustrem jest podobnie. Kiedy przejdzie się przez drzwi stołowego pokoju, cały świat staje na głowie.

Nie patrząc na Boofulsa, Martin dodał:

– Jestem absolutnie pewien, że wewnątrz tego lustra ludzie mogą przeżyć po śmierci. To fakt.

– Jest pan tego absolutnie pewien? Martin przytaknął.

W pokoju zapadła długa, pełna zakłopotania cisza. Boofuls nadal oglądał *Ulicę Sezamkową*, na pozór zupełnie nie interesując się obecnością ojca Lucasa. On sam siedział na krześle, ze swym podwójnym podbródkiem wciśniętym w księżą koloratkę, wbijając oczy w podłogę i marszcząc czoło niczym chiński bożek. Starał się wymyślić jakąś sensowną odpowiedź. Znał pana Capelli od wielu lat i nigdy jeszcze nie doświadczył w jego zachowaniu ani cienia nieszczerości. Był pompatyczny, zgoda, czasami drażliwy, lecz nigdy nie kłamał ani nie robił głupich dowcipów.

Ojciec Lucas po raz pierwszy spotkał Martina, ten jednak z pewnością nie sprawiał wrażenia szaleńca ani ekscentryka, ani też złośliwego kawalarza.

– Musicie mi wybaczyć – powiedział. – Wcale nie jestem pewien, czy rozumiem, o co wam chodzi, a gdybym nawet rozumiał, o co prosicie, nie jestem pewien, czemu prosicie o to akurat mnie.

Wstał i podszedł do lustra.

– Próbuje mi powiedzieć, że ludzie mogą wchodzić i wychodzić z tego lustra?

– Czasami. Nie zawsze – odparł Martin.

Ojciec Lucas postukał w szkło wierzchem dłoni.

– Wydaje się zupełnie twarde. Co jest za nim?

– Ściana szczytowa. Tył domu.

Ksiądz chuchnął na powierzchnię zwierciadła, po czym przetarł je mankietem.

– I twierdzi pan, że gdyby można było dostać się w głąb tego lustra... to za drzwiami pańskiego pokoju świat jest zupełnie inny od naszego?

Pan Capelli wtrącił się do rozmowy.

– Widzieliśmy tam piłkę, tak? Dziecinną piłeczkę. Tutaj była biało-niebieska, a tam leżała piłka tenisowa.

Głośno przełknął ślinę, po czym dodał:

– Widziałem tam Emilia, moje własne ciało i krew, ale tutaj był to... – Jego ręka uniosła się, wskazując Boofulsa, i natychmiast opadła, bezwładnie zwieszając się wzdłuż jego boku. – Tutaj to był ten chłopiec.

– Właśnie ten? – spytał z niedowierzaniem ojciec Lucas.

Pan Capelli z zakłopotaniem otarł spocone dłonie o spodnie. Ojciec Lucas ponownie podszedł do Boofulsa i przykucnął obok niego, przyglądając mu się przez swe przypominające telewizorki okulary. Wyglądał jak lekarz, do którego przyprowadzono chłopca z podejrzeniem świnki. Boofuls zignorował go kompletnie i nadal oglądał telewizję.

Ojciec Lucas wyciągnął do niego rękę, lecz Boofuls, nie odrywając wzroku od ekranu, odsunął swoją.

– Jak się nazywasz, synu? – spytał łagodnie ksiądz.

Chłopiec wciąż wpatrywał się w Grovera.

– Nazywam się Lejeune – odparł.

– Lejeune? Czy to francuskie nazwisko?

Boofuls pokręcił głową. Ojciec Lucas oczekiwał, że coś, jeszcze powie, w końcu jednak podniósł się na nogi.

– Czy to pański krewny?

– To mój... – zaczął Martin, pan Capelli przerwał mu jednak natychmiast.

– To przyjaciel Emilia, bardzo, bardzo bliski przyjaciel. Najlepsi kumple. Jego rodzice musieli

wyjechać na tydzień lub dwa. No więc mieszka teraz u nas. Ze mną i z panią Capelli.

Boofuls nie próbował nawet zaprzeczyć temu kłamstwu, uśmiechał się tylko.

– Cóż... – stwierdził ojciec Lucas. – Zupełnie nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

Pan Capelli zacisnął dłoń na jego ramieniu i zaczął mówić tonem gracza, dzielącego się poufnymi typami na wyścigach:

– Chcę, aby ojciec powiedział mi, czy to lustro jest dobre czy złe. Chcę, żeby ojciec powiedział, co czuje, gdy go dotyka. I miałem nadzieję, że może uda się ojcu wymyśleć jakiś sposób wydostania stamtąd Emilia. Jakiś sposób, zgodny z naszą wiarą, rozumie ksiądz, co chcę przez to powiedzieć? Żeby nikomu nie stało się nic złego. Widzi ksiądz, na przykład Lejeune. Nie chciałbym, aby coś mu się stało.

– Czemu miałyby istnieć takie niebezpieczeństwo? – spytał ojciec Lucas.

– Proszę księdza – odparł pan Capelli – po prostu nie wiem. Ale może mogłaby pomóc modlitwa. Wie ksiądz, może dałoby się spytać Boga.

Ojciec Lucas starał się zachować powagę.

– Bóg to niezupełnie kącik porad lokalnej rozgłośni radiowej, ktoś, do kogo można się zwrócić, kiedy tylko ma się ochotę.

– Wiem o tym. On jest lepszy. Proszę spojrzeć na jego popularność. Bóg jest bardziej popularny niż ktokolwiek, z jakiegokolwiek rozgłośni.

– Panie Capelli. Powoli. Zacznijmy od początku. Chce pan, abym powiedział, czy to lustro jest dobre czy złe. A więc sprawdźmy. Jest taki test, który możemy tu zastosować. Chyba mógłby pan to nazwać lakmusową próbą bluźnierstwa.

– Lakmusową? – Pan Capelli zmarszczył brwi, podczas gdy ojciec Lucas wyjął z kieszeni płaszcza małe flakonik ze srebra i ciemnogranatowego szkła.

– Nie miał pan w szkole chemii? – zapytał Martin. – Lakmus to proszek, który zabarwia się na czerwono w kwasach i na niebiesko w zasadach. Robi się go z mchu.

– I to jest lakmus? – Gospodarz wskazał na buteleczkę.

Ojciec Lucas uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Niezupełnie, panie Capelli. Ma jednak zbliżone działanie. To woda ze świętego źródła w Lourdes, zmieszana z solą z Morza Galilejskiego. Powiadają, że jeśli dotknie jakiegokolwiek złego albo zbeszczeszczzonego przedmiotu czy osoby, sparzy go niczym kwas.

Usłyszawszy to, Boofuls spojrział na niego z zainteresowaniem, lecz po chwili wrócił do telewizora. *Domek na prerii* wyraźnie bawił go bardziej niż głupi ksiądz, który skreślił sobie nogę w kostce, grając w baseball.

Ojciec Lucas zdjął zakrętkę z flakonika i uniósł go przed lustrem.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – zaintonował i pokropił powierzchnię lustra, kreśląc w powietrzu znak krzyża.

Ku jego zdumieniu krople wody święconej przeleciały na wskroś przez lustro i rozprysły się na podłodze w odbitym pokoju stołowym.

Ojciec Lucas spojrział na odbicie w lustrze, dotknął szklanej tafli, po czym cofnął się, aby przyrzeć się prawdziwej podłodze.

– Mój Boże – szepnął. – Jest tam, w lustrze, ale tu nic nie ma. – Nerwowo oblizał wargi. – Przeleciało na drugą stronę. Jak to możliwe? To przecież zwykłe szkło.

– Teraz już pan wie, czemu pana wezwaliśmy – powiedział Martin.

Ksiądz odczekał chwilę, najwyraźniej niepewny, co ma robić dalej.

– Może istnieje jakieś wytłumaczenie naukowe – zasugerował. – Zawsze szukam naturalnego

wytłumaczenia, zanim zacznę wyobrażać sobie, że oto stoję twarzą w twarz z czymś nadprzyrodzonym. I tak właśnie być powinno. Nauka sama jest cudem Naszego Pana i jeśli jakieś zjawisko wydaje się jej zaprzeczać, cóż – tym większy cud.

– A więc co ma ojciec zamiar zrobić? – spytał pan Capelli. – Jedyne, co ojciec stracił, to trochę święconej wody. Ja straciłem swojego wnuka.

– Cóż, to niezupełnie moja działka, jeśli mogę tak powiedzieć. Nie jestem egzorcystą i nie mam przekonania, czy potrzeba wam właśnie egzorcysty. Może bardziej przydałby się tu fizyk.

Boofuls zaśmiał się głośno, nie wiadomo jednak, czy z czegoś w telewizji, czy z ojca Lucasa. Pan Capelli spiorunował go wzrokiem.

– Przepraszam – powiedział chłopiec.

Ojciec Lucas ukląkł sztywno i wsparł się na rękach, klepiąc deski w miejscu, gdzie (w lustrze) były mokre – podobnie jak robił to Martin, kiedy piłka Boofulsa po raz pierwszy wpadła w podskokach do odbitego pokoju, i z równym brakiem powodzenia.

– Widzę samego siebie, jak tego dotykam – stwierdził ksiądz – a przecież moje ręce są suche. To zupełnie oszałamiające.

Wyciągnął rękę do Martina, aby ten pomógł mu wstać, jednak w tym momencie z lustra wyleciało coś – dokładnie po tej samej paraboli, którą wcześniej przemierzyła woda święcona – i ochlapało czoło ojca Lucasa, spływając po jego policzku.

Ksiądz aż krzyknął zaskoczony i uniósł dłoń ku twarzy. Uderzyło go kilkanaście białych, śluzowatych kropeł, które ściekały na podłogę i zwisały z jego palców na cieniutkich lepkich pasmach.

– Proszę – powiedział pan Capelli, wyjmując dużą czystą chustkę do nosa i rozwijając ją. – Proszę, ojcze, niech się ojciec wytrze.

– Cóż to, na Boga, jest? – spytał ojciec Lucas z niesmakiem. Podniósł dłoń do nosa i powąchał. Kilka razy pociągnął nosem. Nagle – z przerażeniem tak wielkim, że prawie przechodzącym w panikę – wyrwał gospodarzowi chusteczkę i zaczął zawzięcie trzeć twarz, póki nie przybrała z jednej strony jaskrawoczerwonej barwy.

– Sperma! – Zadrżał cały. – Sperma!

Pan Capelli przeżegnał się, raz za razem. Martin pomógł ojcu Lucasowi wstać. Kiedy już odzyskał równowagę, ojciec Lucas spojrzał na lustro ze złością i frustracją.

– To diabelska sprawka, od razu musieliście się domyśleć.

– Ale co mamy robić? Szatańskie sztuczki to coś, z czym księży uczy się walczyć. Czy może więc ojciec zrobić coś dla nas?

Ojciec Lucas miał właśnie coś powiedzieć, kiedy odwrócił się niespodziewanie i spojrzał na Boofulsa. Chłopiec wpatrywał się w niego, a na jego twarzy znów malował się czysty triumf.

Przez chwilę ich oczy spotkały się, prowadząc cichą, ostrożną grę. Pytanie, odpowiedź. Ojciec Lucas podszedł bliżej.

– A co ty wiesz o tym lustrze?

Pan Capelli pochwycił ramię księdza.

– Proszę posłuchać, ojcze, on nic nie wie. Jest w tym mieście dopiero od wczoraj.

Ojciec Lucas w dalszym ciągu wpatrywał się w Boofulsa w sposób, w jaki pewny siebie człowiek spogląda na psa, który ma reputację złego i groźnego.

– Lejeune – powiedział. – To twoje nazwisko, tak? Lejeune.

Boofuls milczał, jedynie uśmiech przemknął po jego ustach. Ani na moment jednak nie spuścił wzroku z księdza. Martinowi zupełnie nie podobał się ten uśmieszek. Wzbudził w nim dreszcz, jakby

ktoś właśnie przeszedł po jego grobie.

Zeszli na dół, do mieszkania pana Capelli, zostawiając Boofulsa samego.

– Proszę wejść, napije się ojciec kawy – błagał gospodarz. – Mam świetną polentę.

– Niech pan wejdzie – poparł go Martin. – Mam coś, co chciałbym księdzu pokazać.

– No, dobrze już, dobrze – zgodził się ojciec Lucas. Wyciągnął własną chustkę i jeszcze raz przetarł swój zaczerwieniony policzek. – Ale mogę zostać tylko kwadrans.

– To nie zajmie więcej czasu – zapewnił go Martin.

Podczas gdy państwo Capelli prowadzili księdza do saloniku, Martin zbiegł na dół i na ulicę. Otworzył bagażnik swego mustanga i ostrożnie wyjął z niego zawiniątko z czarnej bibułki, które znaleźli z Ramone w „Boskim Hollywood”. Wrócił z nim do domu i zaniósł na górę.

Pani Capelli nakrywała stół, stawiając na nim filiżanki i talerzyki. Wyglądała na rozdrażnioną i niespokojną, a z jej warkocza z jednej strony wymykały się włosy. Ojciec Lucas rozmawiał z panem Capelli na temat lustra. Widać było, że nie opowiedzieli gospodyni o wytrysku nasienia na twarz księdza. Ojciec Lucas jednak wydawał się niezwykle zaniepokojony.

– Człowiek zawsze kojarzy takie diabelskie zdarzenia ze średniowieczem – mówił właśnie – prawda jednak jest taka, że diabeł nie śpi nigdy, podobnie jak Bóg Wszechmogący.

– Amen, amen – dodała pani Capelli, pobrzękując łyżeczkami do kawy.

Martin wszedł do pokoju i położył czarne zawiniątko na koronkowym obrusie. Ojciec Lucas przesunął krzesło, aby móc się lepiej przyjrzeć.

– Co to? – chciał wiedzieć. – Czy ma to jakiś związek z lustrem?

– Tak mi się wydaje, nie wiem jednak jaki. Zanim pan to otworzy, ojcie, proszę pozwolić mi coś powiedzieć. Człowiek, który pomógł mi to odszukać, nie żyje od wczoraj. Nie wiem, czy to był wypadek, czy nie. Być może po prostu miał wylew. Ale nie sędzę.

Pani Capelli przeżegnała się.

– Matko Boska, co tam jest?

Ojciec Lucas rozwiązał splecione w warkoczyk włosy i rozprostował bibułkę. Uniósł jedną warstwę i ze środka z grzechotem wypadły czarne szpony.

– Boże, miej nas w swojej opiece – powiedział głośno pan Capelli.

– Skąd pan to ma? – Ojciec Lucas podniósł jeden pazur i obracał go w palcach.

– Na razie nie chcę panu powiedzieć. To znaczy chcę, ale nie mogę. To wszystko ma związek z ochronieniem Emilia. Ale z tego, co wiem, te rzeczy mają pewien związek z lustrem, bardzo silny związek.

Ojciec Lucas zmarszczył nos, wyjmując z zawiniątka kawałek zaszuszonej skóry. Następnie znalazł klucz.

– Czy wie pan może, co on otwiera?

– Przypuszczam, że skrytkę, w tym miejscu, gdzie znaleźliśmy to wszystko. Ale jest ich tam mnóstwo, a my nie znamy numeru.

– A te rzeczy, pod jakim numerem były?

Martin sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął klucz, który dała mu siostra Bonifacja.

– O, mam, 531.

Ksiądz uważnie obejrzał klucz.

– Cóż, niewiele mi wiadomo na temat okultystycznej numerologii, ale wystarczy, żeby poznać liczbę Bestii, kiedy mam z nią do czynienia.

– Liczbę Bestii?

– Liczbę Szatana, 666. Nie pamięta pan filmu *Omen*? Ten motyw grał tam dużą rolę.



– A, tak – odparł Martin. – Damien miał to wytatuowane na głowie czy coś takiego, prawda? To znaczy, że to prawda? To rzeczywiście liczba Szatana?

Ojciec Lucas wydawał się niemal zakłopotany.

– Historia była oczywiście fikcyjna, ale numer jest prawdziwy. Z tego, co wiem, pochodzi jeszcze z czasów biblijnych. Ale, rozumie pan, sataniści ukrywali go... rozbijali na ćwiartki, dziesiątne, może połówki, czy coś podobnego. To jedna z tych rzeczy, których nauczyli nas na studiach biblijnych. Wie pan, jak jest 531 na odwrót?

– 135 – odpowiedział bez wahania Martin.

– Zgadza się... a jeżeli je dodamy? 135 i 531?

Martin milczał. Pani Capelli stała w drzwiach z niebezpiecznie przekrzywionym półmiskiem, na którym spoczywała polenta z orzechami, i z otwartymi ustami wpatrywała się w ojca Lucasa, choć nie miała pojęcia, co się właściwie dzieje.

Ojciec Lucas wskazał ręką szpony.

– Można chyba przyjąć, że to, co tu mamy, to tylko połowa przedmiotów używanych do satanistycznych sabatów. Nie trzeba geniusza, by zgadnąć, że druga połowa znajduje się w skrytce numer 135.

Martin usiadł powoli. Podniósł jeden ze szponów i przyjrzał mu się pod światło. Był lśniącoczarny, nieprzezroczysty i niezwykle ciężki.

– Więc co to jest? Te wszystkie rzeczy? Do czego służą?

– Nie jestem egzorcystą – powiedział ojciec Lucas.

– Ale? – naciskał Martin, domyślając się z brzmienia jego głosu, że wie coś jeszcze.

– No cóż, u Świętego Patryka mówili nam, że tak samo, jak istnieją relikwie Świętego Krzyża, całunu Jezusa i korony cierniowej, istniały też relikwie Szatana.

– I myśli ksiądz, że to właśnie to? Relikwie Szatana?

– Któż to może wiedzieć? Wszystko to mogą być bzdury.

– Ale to nie są bzdury, prawda? Sam pan widział to lustro. Pokropił je pan święconą wodą, a ona przeleciała na wylot. Wie pan, że dzieje się tu coś złego, i my też to wiemy.

Przez długą chwilę ojciec Lucas siedział w milczeniu, wpatrując się w rozsypane szpony.

– U Świętego Patryka uczyli nas, że przed laty Bestia została pokonana, jej ciało rozszarpane na strzępy i rozrzucone po całym świecie.

– I? – spytał pan Capelli niecierpliwie.

– I to już wszystko. Z wyjątkiem tego, że wszystkie te rzeczy te pazury, ta skóra, te włosy to wszystko fragmenty jakiegoś zwierzęcia. A ktokolwiek zostawił je w skrytce, najwyraźniej zmierzał do tego, aby na powrót zebrać je razem – wszystkie fragmenty, nieważne, gdzie są – i wskrzesić istotę, którą Biblia nazywa Szatanem. Prawdziwego Szatana, samo źródło wszelkiego zła – z krwi i kości.

Martin przesunął szpony, popychając je czubkiem palca, nie miał jednak ochoty wziąć ich znowu do ręki. Szatan mógł być staroświeckim konceptem, nadal jednak wzbudzał przerażenie.

– Naprawdę nie może pan powiedzieć, gdzie pan to znalazł, ani gdzie prawdopodobnie znajduje się reszta? – spytał ksiądz.

Martin zastanowił się przez chwilę, potem jednak potrząsnął głową. Zanim pozwoli ojcu Lucasowi włączyć się w tę sprawę, chciałby dowiedzieć się czegoś więcej na temat comiesięcznych spotkań Boofulsa w „Boskim Hollywood”. Chciał wiedzieć więcej o samym Boofulsie. Czuł, że gdyby ojciec Lucas zorientował się, kim naprawdę jest Boofuls, po godzinie byłby już z powrotem w towarzystwie stada egzorcystów. A wtedy ich szansa odzyskania Emilia całego i zdrowego zdecydowanie by się

zmniejszyła.

Co gorsza, najmniejsza nawet wzmianka o egzorcyzmach sprowadziłaby reporterów i kamery telewizyjne, zmieniając pojawienie się Boofulsa w istny cyrk.

Może istniał jeszcze jeden powód, dla którego Martin nie chciał na razie wyjawić wszystkiego ojcu Lucasowi, powód bardziej samolubny. Może chciał przemyśleć sprawę tego ewentualnego remake'u *Błogosławionego rydwanu*. Jeśli kiedykolwiek udałoby się go zrobić, byłaby to sensacja wszechczasów – jedyny film, w którym grałaby zmartwychwstała ofiara morderstwa – i widniałoby na nim nazwisko Martina. Po czymś takim nic nie mogłoby zahamować jego kariery. Stałby się filmową legendą. Może wzbudzałby kontrowersje, ale nie zostałby zapomniany.

Ojciec Lucas ukroił sobie kawałek polenty i zjadł go, zamyślony. Dla Martina była ona nieco za sucha i miała za dużo orzechów. W końcu, wycierając ręce w jedną z najlepszych haftowanych serwetek pani Capelli, ksiądz zapytał:

– Ten chłopiec na górze, przyjaciel pańskiego wnuka, Lejeune. Czy on ma coś wspólnego z tym wszystkim, w jakikolwiek sposób?

– Czemu ksiądz o to pyta? – wtrącił się Martin, zanim pan Capelli zdążył cokolwiek odrzec.

– Jest w nim coś szczególnego, to wszystko. Nie jestem w stanie tego określić. Może to tylko świeżość młodości.

– To bardzo inteligentny chłopiec – powiedział Martin.

Przez moment ojciec Lucas przyglądał mu się z wyzwaniem w oczach. Martin odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem, nie zdradzając się z czymkolwiek.

– Proście mnie, żebym wam pomógł, a jednocześnie nie mówicie mi wszystkiego – stwierdził ojciec Lucas i odwrócił się do gospodarza. – Czy nie tak, panie Capelli?

Pan Capelli wyglądał na zakłopotanego, Martin jednak powiedział:

– Ojczy, powiedzmy po prostu, że trochę się ubezpieczamy. Nie jesteśmy zupełnie pewni, z czym walczymy. Jeśli wpadniemy tam nagle z dzwonekami, książkami i gromnicami, próbując wypędzić coś, co może nawet nie potrzebować egzorcyzmów albo nawet nie podda się egzorcyzmom, to może być to niebezpieczne.

Na moment umilkł, po czym dodał:

– Nie staramy się niczego utrudniać. Tylko że bardzo martwimy się o Emilia. Jeden błędny krok i może już nigdy go nie ujrzymy, a przynajmniej nie całego, i nie takiego, jakim był przedtem. Bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy. Jeżeli udałoby się księdzu dowiedzieć czegokolwiek na temat luster i światów za nimi... Może przydać się wszystko, nawet najdrobniejszy szczegół. Ale Emiliowi grozi poważne niebezpieczeństwo i gdybyśmy go stracili dlatego, że nie byliśmy dość ostrożni... cóż, nie sądzę, aby i naszym душom udało się zaznać spokoju.

Ojciec Lucas zmarszczył brwi.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Nie sądzi pan, aby i wasze dusze miały osiągnąć spokój? A kto jeszcze ma duszę, która nie zaznała spokoju?

Martin czuł wielką pokusę, aby mu powiedzieć, ale potrząsnął tylko głową.

– Proszę, ojczy. Działajmy powoli i po kolei.

Ojciec Lucas wstał i strzepnął okruchy z sutanny.

– Naprawdę muszę już iść. Ale zgadzam się – wierzę wam na słowo, że nie możecie powiedzieć mi wszystkiego o tym lustrze. Ostatecznie przede wszystkim powinno nas interesować bezpieczeństwo Emilia.

Sięgnął ręką i podniósł zawiniątko z czarnej bibułki.

– Ale pozwólcie mi to zabrać. Mam u Świętego Patryka przyjaciela, któremu być może uda się

rzucić na to nieco światła. Może nawet będzie mógł powiedzieć nam, co znajdziemy w drugiej skrytce, zanim zaryzykujemy jej otwarcie.

Martin ujął jego dłoń i mocno uściskał.

– Dzięki, że ksiądz w to wszystko uwierzył.

Ojciec Lucas obdarzył go kwaśnym uśmiechem.

– Panie Williams, regularnie wymaga się ode mnie, abym uwierzył w niemożliwe.

Zaakceptowanie rzeczy absolutnie niemożliwej nie sprawia mi specjalnej trudności.

\* \* \*

Już na podeście ojciec Lucas pożegnał się z państwem Capelli i podziękował pani Capelli za kawę i ciasto. Miał właśnie zejść ze schodów, kiedy w drzwiach mieszkania Martina pojawił się Boofuls. Stał tam w milczeniu, wpatrując się w księdza z nie ukrywaną pogardą.

– Do widzenia, Lejeune – zawołał ojciec Lucas, starając się, by jego głos zabrzmiał beztrąsko.

– Do widzenia, ojciec – odparł Boofuls.

Na moment zapadła niezręczna cisza.

– No, cóż – rzekł wreszcie ksiądz. – Muszę już iść.

– Ojciec Lucas! – powiedział Boofuls dźwięcznym głosem.

– Co takiego, chłopcze?

Boofuls uśmiechnął się do niego.

– Niech ksiądz uważa na swoje zęby.

– Nie martw się, mój chłopcze – zaśmiał się ojciec Lucas. – Szczotkuję je trzy razy dziennie!

Boofuls także wybuchnął śmiechem, po czym odwrócił się i zniknął w głębi mieszkania. Martin nie czuł rozbawienia.

– Uważać na swoje zęby? – powtórzył. – O co mogło mu chodzić?

Ojciec Lucas ścisnął rękę Martina.

– Proszę tylko uważać na siebie, panie Williams. Zadzwoń, jak tylko dowiem się czegoś o tych relikwiach. Pracuje pan w domu, prawda?

Martin przytaknął. Stał u stóp schodów, spoglądając w ślad za odchodzącym księdzem.

– Nie podoba mi się to wszystko – stwierdził pan Capelli, pocierając dłonią podbródek. – Wcale mi się to nie podoba.

Martin poklepał go po ramieniu, po czym powoli wrócił na górę, sprawdzić, co porabia Boofuls.

## 9.

Następny ranek był szary i wilgotny; jeden z tych pochmurnych hollywoodzkich dni, gdy wszystkie budynki wokół sprawiają wrażenie tandetnych i nierzeczywistych, niczym dekoracje niskobudżetowego filmu. Pod willę Morrisa Nathana podjechali parę minut po jedenastej. Morris powiedział wprawdzie Martinowi przez telefon, że tego dnia będzie zbyt zajęty, lecz Martin nalegał. Ostatecznie agent zgodził się wcisnąć go pomiędzy Joe'ego Willmore i Henry'ego Winklera.

– Ale tylko na cztery minuty. Cztery – i ani chwili dłużej.

Ponura pogoda sprawiła, że w basenie nie było nikogo. Krążył po nim jedynie pusty materac Alison, upstrzony kropeczkami much. Samą Alison Martin dostrzegł w oranżerii, ubraną w białą jedwabną szatę. U jej stóp siedziała przywodząca na myśl pokorną kapłankę manikiurzystka i malowała jej paznokcie na kolor cadillaców z 1956 roku. Alison pomachała im, kiedy przechodzili przez werandę do drzwi frontowych.

Wewnątrz Morris żegnał się właśnie z Joe'em Willmore. Wokół unosił się silny zapach cygar.

– Wejdz, Martin – powiedział agent, a Joe Willmore skinął mu głową, mrugnął do Boofulsa i wyszedł.

Martin podążył za Morrisem do jego wielkiego gabinetu obitego dębową boazerią i wyściełanego kudłatą trawiastozieloną wykładziną. Wokół stały oprawione zdjęcia, przedstawiające Morrisa obok wszystkich tych, którzy byli kimś, od Franka Sinatry do Ronalda Reagana.

– To jeden z tych dni, no wiesz – oznajmił Morris. – Ten *fonfer* David Santini spiera się o procenty z *Robota zabójcy III* i nie pytaj nawet, ile Fox domaga się za *Łowców głów*.

– Ile Fox domaga się za *Łowców głów*? – zainteresował się Martin.

– Powiedziałem przecież, nie pytaj. Uwierz, kiedy mówię, że będzie lepiej, żebyś nie wiedział.

Martin położył dłoń na ramieniu Boofulsa. Chłopiec przez cały czas milczał, rozglądając się wokoło. Tego dnia wyglądał zupełnie jak każdy inny chłopiec w jego wieku. Martin zabrał go wczoraj na zakupy i zaopatrzył w koszule i podkoszulki, szorty i dzinsy. Oprócz tego za pomocą żelu rozprostował mu włosy, dzięki czemu nie przypominały tak bardzo dziewczęcych loczków.

Boofuls nadal był blady i nadal było w nim coś niezwykłego, ale już nie wyglądał dziwnie na pierwszy rzut oka.

– To jest Lejeune – przedstawił go Martin. Dla uniknięcia komplikacji postanowił trzymać się nazwiska, które Boofuls podał ojcu Lucasowi.

– Ach tak? – powiedział uprzejmie Morris, przerzucając czerwono oprawny scenariusz, leżący na biurku. – Miło mi cię poznać, Lejeune, nie mów mi tylko, że masz pecha być siostrzeńcem tego *leca*?

– Nie jesteśmy spokrewnieni – wyjaśnił Martin. – Wybrałem go, żeby zagrał Boofulsa.

Morris powoli uniósł wzrok i spojrzał najpierw na chłopca, a potem na Martina.

– Posłuchaj – oznajmił. – Mogę poświęcić cztery minuty na rozmowę o czymkolwiek, z wyjątkiem

Boofulsa.

– Czy jesteś w stanie wysłuchać mnie tylko przez jedną minutę? Postanowiłem odłożyć mój wcześniejszy projekt. Zamiast tego chcę zrobić remake ostatniego filmu Boofulsa – filmu, którego nigdy nie ukończono.

Morris z powrotem spojrzął na scenariusz.

– Martin – powiedział z przesadną cierpliwością – jak długo masz zamiar zanudzać mnie tym Boofulsem? Czy nie możesz wysłuchać dobrej rady? To niewypał. Trup. Nawet jeszcze gorzej.

Teraz jednak Boofuls wystąpił naprzód i powiedział swym wysokim głosem:

– Nie, proszę pana. To wcale nie jest trup.

Morris zerknął na Martina, nieprzyjemnie zaskoczony.

– Kim jest ten *mazik*? – spytał. Mazik oznaczał w jidisz złośliwego diabełka. W ustach Morrisa było to wprawdzie określenie mniej obraźliwe niż *mamzer*, ale niewiele mniej.

– Film nosił tytuł *Błogosławiony rydwan*. Pan może tego nie pamiętać – wycedził Boofuls.

– Nie pamięta? – obruszył się Morris. – Oczywiście, że pamiętam. A gdybym nawet zapomniał, to obecny tu twój wujek niewątpliwie nie omieszkałby mi o tym przypomnieć.

– On nie jest moim wujkiem – poprawił go Boofuls. – To po prostu mój scenarzysta.

– Twój scenarzysta? – powtórzył z niedowierzaniem Morris.

Boofuls przytaknął.

– Zrobimy ten film, panie Nathan, a pan nam w tym pomoże.

– Martin, czy to ma być jakiś dowcip? – spytał ostro Morris. – Jestem człowiekiem zajęтым, zdajesz sobie z tego sprawę? Nie mogę tu siedzieć i wysłuchiwać tych...

Urwał w połowie zdania, nie zamykając nawet ust, gdyż – bez najmniejszego wahania, a za to z oszłamiającym wdziękiem – Boofuls uniósł ręce i zaczął wolno tańczyć po całym gabinecie. Jego głowa była wysoko uniesiona, oczy promienne i przenikliwe, zaś ręce i nogi poruszały się płynnie, przechodząc z jednej skomplikowanej figury tanecznej w drugą. Martin cofnął się, aby Boofuls mógł przepłynąć obok niego w piruecie, ledwo muskając podłogę czubkami palców. Wydawało się, że grawitacja nie ma na niego żadnego wpływu – poruszał się lekko i bezszelestnie w rytm jakiejś niesłyszalnej muzyki. Raz-dwa-trzy-cztery, raz-dwa-trzy-cztery, i jeszcze, jeszcze, jeszcze.

Morris przyglądał się, zafascynowany, jak Boofuls kończy swój taniec, kłania się i nieruchomieje, po czym składa dłonie i kieruje wzrok ku sufitowi z wyrazem uniesienia na twarzy.

– Nigdy jeszcze nie widziałem, aby ktoś... – zaczął, lecz Martin uciszył go, bowiem Boofuls zaczął śpiewać.

Martin nigdy przedtem nie słyszał tej piosenki, choć czytał jej nuty. Pochodziła mniej więcej z połowy *Błogosławionego rydwana*, kiedy chłopiec ze slumsów unosi się nad swym ciałem w postaci aniołka.

Głos Boofulsa był czysty, słodki i przejmujący. Brzmiał nieludzko, jakby dobywał się ze srebrnej gardzieli jakiegoś dawno zapomnianego instrumentu, a nie z gardła dziecka. Był tak wzruszający, że Martin nie mógł uwierzyć, iż naprawdę go słyszy i, sądząc z wyrazu jego twarzy, Morris czuł się podobnie. W jego oczach lśniły łzy, a Martin nigdy przedtem nie widział płaczącego Morrisa Nathana i (poza jego matką, kiedy jeszcze był maleńkim dzieckiem) nikt inny też nie.

*Jak rosa, co się wznosi  
na słońca spotkanie  
tak i ja ulatuję*

*ujrzeć twarze kochane.  
Jak światelko tańczące  
na powierzchni wody  
tak i ja, tańcząc, lecę  
tam, gdzie rajskie ogrody.*

Boofuls skończył piosenkę i zamarł ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Nie było żadnej muzyki, żadnego akompaniamentu, a przecież Martin był prawie pewien, że słyszy orkiestrę smyczkową i że kiedy Boofuls odśpiewał ostatnią nutę, pojedyncze skrzypce solo odegrały końcowy, melancholijny akord. Co do Morrisa, to wyjął z kieszeni chusteczkę, głośno wydmuchał nos, spojrzął na Martina i uniósł jedną dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Niesamowite, cofam wszystko, cokolwiek mówiłem na temat Boofulsa, w ogóle cokolwiek mówiłem.”

Boofuls otworzył oczy. Na jego ustach mignął przebiegły uśmiezek, dostrzeżony jedynie przez Martina.

– I co? – spytał Martin. – Co o tym myślisz?

– Myślę, że powinienem się zastrzelić – odparł Morris, kręcąc z podziwu głową. – A potem muszę pogadać z June Lassiter.

– Naprawdę podobało ci się?

Agent wyszedł zza biurka uśmiechając się szeroko. Objął ramieniem Martina i obdarzył go przyjacielskim uściskiem.

– Pozwól, że ci coś powiem. Istnieje gigantyczna różnica pomiędzy pomysłem a gotowym produktem. Jeśli mówimy o koncepcji, to pomysł ożywienia Boofulsa przeraźliwie cuchnie. Zresztą już ci to mówiłem, nie pamiętam ile razy.

Wyciągnął rękę, by zmierzyć włosy Boofulsa, choć ten cofnął się szybko poza jego zasięg.

– To, co tu masz, Martin, to coś zupełnie innego. To jest produkt. To coś, co wytwórnia może rozpatrzeć w kategoriach kasowych. Mówisz, że jak się nazywasz, chłopcze?

– Nazywam się Lejeune.

– No, o tym akurat trzeba będzie jeszcze pomyśleć. – Morris wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie chcemy przecież, żeby brzmiało to zbyt po francusku? Może nazwiemy cię Boofuls II. Martin zrób sobie drinka. A ty, Lejeune? Może Seven-Up? Pozwólcie, że zawołam Alison, zajmie się tobą, chłopcze, podczas gdy my pogadamy o interesach.

– Wolę tu zostać i posłuchać – odparł Boofuls.

– Nieee, po co ci to? To sprawy dorosłych, bardzo nudne. Alison pokaże ci pawie. Mamy ich teraz pięć, wiedziałeś o tym, Martin? Są niesamowicie czujne, lepsze niż psy. Kiedy tylko ktoś zbliży się do domu na pięćset stóp, zaczynają się drzeć, jakby ktoś dusił waszą babcię.

Boofuls gwałtownie pobladł.

– Chcę iść do domu.

– To nie potrwa długo – zapewnił go Morris, sadowiąc połowę swego ogromnego siedzenia na blacie biurka i ujmując w dłoń słuchawkę. Wystukał numer oranżerii.

– Musimy po prostu ustalić, jak nadać temu wszystkiemu jakiś kształt.

– Chcę iść – nalegał Boofuls.

– Jasne – odparł Morris – jasne. Jak tylko wszystko obgadamy. Halo, Alison? Jak się miewasz, słoneczko? Czy mogłabyś wpaść na chwilę do mojej jaskini? Jest tutaj pewien słodki młodzieniec i chciałbym, żebyś go poznała. Więc w porządku. Pa-pa.

Telefon zadzwonił ponownie. Morris odebrał.

– Halo? O, cześć, Henry, jak ci leci? Skąd dzwonicz? Żartujesz! No, jeśli to nieuniknione. O której tu będziesz? Dobrze, w porządku, pasuje mi. Do zobaczenia o wpół do trzeciej. Jasne.

– To był Henry Winkler – poinformował Martina, odkładając słuchawkę – zatrzymali go w ABC. Dobra, co z tym drinkiem? Sam bym się czegoś napił. Lejeune, przyjacielu, uroczą pani Nathan oprowadzi cię po ogrodzie, a my z Martinem w tym czasie pogadamy sobie, dobrze?

– Ja idę – warknął Boofuls. Jego usta aż zsiniały z wściekłości. Odwrócił się i wypadł z biura Morrisa, trzaskając za sobą drzwiami.

– Morris – poprosił Martin – daj mi pięć minut, dobrze?

Wybiegł za Boofulem i ujrzał go maszerującego wzdłuż basenu. Chłopiec spuścił głowę i ze złością wymachiwał rękami.

– Boofuls! – krzyknął Martin. – Zaczekaj na mnie!

Akurat w tej chwili z oranżerii wynurzyła się Alison i ruszyła w stronę basenu, naprzeciw Boofulsa. Kiedy go dostrzegła, zamachała mu ręką, uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku. Jej wschodnia szata unosiła się w szarym świetle niczym fala na Pacyfiku na zwolnionym filmie. Była już bardzo blisko Boofulsa, gdy nagle zakryła twarz dłońmi i bez żadnej widocznej przyczyny pozwoliła mu przejść obok siebie i zniknąć na schodach, prowadzących do głównej bramy. Martin podbiegł do niej i chwycił ją za rękę.

– Alison? Wszystko w porządku?

Dziewczyna skinęła głową. Cała drżała.

– Chyba muszę usiąść – powiedziała. Martin przyniósł jej żelazne ogrodowe krzeselko. Opadła na nie ciężko, zwieszając głowę między kolana i oddychając głęboko.

– Kto to był? – udało jej się w końcu wykrztusić.

– Masz na myśli chłopca? To dziecięcy aktor, którego odkryłem. Wiesz, śpiewa i tańczy. Przeprowadziłem go, żeby Morris mógł go zobaczyć, bo to naprawdę coś wspaniałego.

Alison nadal dygotała.

– Czy on jest chory? – dopytywała się.

Martin nie zdołał powstrzymać zaskoczonego chrząknięcia.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Alison wyprostowała się i złapała go mocno za rękaw.

– Jeżeli nie jest chory, to dlaczego wygląda tak blado? Jakby był bardzo chory, jakby już nie żył.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Martin uniósł wzrok. Morris zbliżał się do nich, głośno kłapiąc po chodniku swymi białymi sandałami. – Dlaczego miałby już nie żyć?

– Jego twarz... o Boże, Martin – wyglądała zupełnie jak czaszka.

\* \* \*

Martin znalazł Boofulsa siedzącego na przednim siedzeniu mustanga. Chłopiec rzucał kamykami w jaszczurki i przeważnie nie trafiał. Martin wgramolił się za kierownicę i siedział tam w milczeniu przez dwie lub trzy minuty, bębniąc palcami o deskę rozdzielczą.

Wreszcie Boofuls odezwał się:

– Przepraszam, Martin. Nie chciałem nic zepsuć. Od dawna już tak bardzo nie straciłem panowania nad sobą.

– Mogłeś spieprzyć wszystko na dobre. – Martin zdjął okulary, chuchnął na szkła i zaczął je przecierać chusteczką. – Jeśli Morris Nathan nie będzie mógł albo nie zechce zająć się tobą, to

możesz od razu spakować walizki i wrócić, skąd przybyłeś.

– To znaczy z powrotem przez lustro? – spytał Boofuls. Przez chwilę namyślał się, po czym dodał:

– Nie, nigdy. Nigdy tam nie wrócę.

– Miałem na myśli realizację filmu – wyjaśnił Martin.

– Ten film musi zostać zrealizowany – odparł z naciskiem Boofuls, nie po raz pierwszy tego dnia.

– Ten film zostanie zrealizowany – zapewnił go Martin. – A kiedy już to zrobisz, możesz iść nawet do diabła, jeśli zechcesz, byle tylko Emilio wrócił. Teraz jednak bądź miły dla Morrisa, bo jeżeli dojdzie on do wniosku, że nie można na tobie polegać, to załatwienie wszystkich spraw zajmie nam całe lata – o ile w ogóle zdołamy tego dokonać.

Właśnie w tym momencie w bramie pojawiła się Alison. Boofuls przekrzywił głowę, aby na nią spojrzeć. Alison powiedziała:

– Morris mówi, że przeprasza. Czy chcecie wrócić i obgadać sprawę?

Martin nie mógł oderwać wzroku od wyrazu twarzy Boofulsa. Był on równocześnie dorosły i lubieżny. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał złocone oblicze Pana – włochate, chytre i przebiegłe. Alison stała w przejściu z jedną ręką opartą o bramę. Delikatny promyczek przedpołudniowego słońca przeświecał przez białą tkaninę jej szaty i wyraźnie było widać, że jest naga pod spodem. Dziewczyna spojrzała na niego, mrużąc oczy, i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

Boofuls wysiadł z samochodu i pomaszerował przed nimi w stronę domu. Alison trzymała się blisko Martina, a kiedy chłopiec od czasu do czasu oglądał się, by sprawdzić, czy idą za nim, przystawała, jakby się go bojąc.

– Czy to, co widziałas, było takie straszne? – spytał Martin.

Alison przytaknęła.

– Przypominał maskę na Halloween, wiesz? Tylko przez sekundę. Potem już wyglądał normalnie.

– No, nie wiem – odrzekł Martin, starając się ją uspokoić. – To raczej niezwykły dzieciak.

– Twój siostrzeniec czy coś takiego? Bo przecież nie masz dzieci, prawda?

Martin potrząsnął przecząco głową.

– Możesz go nazwać moim protegowanym.

Alison zatrzymała się, chwytając go za ramię.

– Nie chcę, żebyś myślał, że jestem głupia albo co. Nie jestem może amerykańską Miss Inteligencji, ale także nie jestem tępą. Przez całe życie byłam w stanie dostrzec rzeczy niewidoczne dla innych. Nawet kiedy byłam małą. Nic ważnego, tylko jakby aurę. Na przykład kiedy ktoś jest szczęśliwy, to jakby promienie, a kiedy jest smutny, chory albo ma mu się przydarzyć coś złego, na jego twarzy widać coś w rodzaju czarnej mgły. Czasem nawet nie mogę wtedy dostrzec, jak naprawdę wygląda.

Boofuls dotarł już do drzwi. Odwrócił się, czekając na nich. Martin uniósł dłoń i pomachał do niego na znak, że zaraz przyjdą.

– Ten widok twarzy Lejeune'a... myślisz, że to coś podobnego?

Alison skinęła głową.

– Moja ciotka zawsze mówiła, że mam – jak to się nazywa? – zdolności parapsychiczne. Mówiła, że każdy je ma, troszeczkę. Wiesz, kiedy masz przecucie, że coś pójdzie nie tak, że nie powinieneś wsiadać do tego akurat samolotu albo przechodzić przez ulicę. Twierdziła, że to należy do zdolności parapsychicznych. Ale niektórzy ludzie widzą dużo więcej od innych. Niekiedy dostrzegają rzeczy, które jeszcze się nawet nie wydarzyły, na przykład kiedy ktoś ma umrzeć.

Przerwała i zerknęła w stronę Boofulsa.



– Nie chcę być nieuprzejma ani nic takiego, ale Lejeune wywołuje u mnie niesamowite uczucie.

Patrzę na niego i mam wrażenie, jakbym zjeżdżała na dół ekspresową windą.

Martin ujął ją pod ramię i poprowadził do domu.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić? – poprosił. – Chciałbym, żebyś zachowała swe przeczucia dla siebie, tylko na razie.

– Czy coś jest nie tak?

– Nie wiem. W tej chwili ciężko to wytłumaczyć, a nawet gdybym to wyjaśnił, nie sądzę, aby to w czymkolwiek pomogło. Zaufaj mi.

Alison zawahała się przez chwilę, uważnie przyglądając się mu, jakby chciała upewnić się, że nie kłamie.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Ale on nie jest chory, ten Lejeune? Nie umrze? To nie tylko jego twarz mnie zaniepokoiła. Wokół niego unosi się zapach, jakby coś się psuło, i słychać dźwięk, jak brzęczenie setek much.

– Idziesz, Martin? – zawołał niecierpliwie Boofuls.

– Tak, idę, idę. Chodźmy zobaczyć, w jaki sposób możemy puścić w ruch całą maszynę filmową.

Martin pierwszy wszedł do domu. Alison została tam, gdzie była – na werandzie. Wietrzyk szeleścił jej szatą. Tuż przed wejściem do środka Boofuls odwrócił się i pokazał jej język w lubieżnym geście lizania.

Alison nawet nie drgnęła, wstrząśnięta i przerażona. To stało się tak nagle, że nie można było stwierdzić z całą pewnością, przysięgłaby jednak, że jego język był długi, wąski i szary, koloru ślimaka, i rozdwojony na końcu, jak u żmii.

\* \* \*

Pomimo swej niepokojącej dojrzałości, Boofuls pił, jadł i sypiał jak normalny chłopiec. Martin podał mu kolację o ósmej – ravioli prosto z puszek – i ułożył go na kanapie w pokoju stołowym. Boofuls nalegał, by móc spać w tym pokoju, bo pozwalało mu to przed zaśnięciem leżeć i wpatrywać się w powierzchnię lustra. Sam Martin nie miał już nawet ochoty na nie patrzeć. Jedyne, o czym wtedy myślał, to Emilio, uwięziony w jakimś niewyobrażalnym świecie, gdzie wszystko było na odwrót.

– No widzisz – powiedział Boofuls, gdy Martin przyszedł zgasić mu światło – mówiłem, że nie będzie trudne znalezienie kogoś, kto robi remake *Błogosławionego rydwanu*.

– Jutro mamy się spotkać z June Lassiter – poinformował go Martin. – Wydaje mi się, że ją będzie ci znacznie trudniej podbić niż to było z Morrisem Nathanem.

Boofuls uśmiechnął się do siebie. Martin zgasił światło i przez moment przystanął w drzwiach. Doszedł do wniosku, że bardzo niepokoi go sposób, w jaki oczy chłopca lśnią w ciemności błękitnym blaskiem. Był to błękit gnijącej makreli, błękit płomyka aparatu spawalniczego.

– Dobranoc, Boofuls – powiedział i zamknął za sobą drzwi. Pomyślał, że prawdopodobnie jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie czuł takiego strachu. Nie tylko o siebie, ale także o Emilia.

Przeszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął czerwone jabłko oraz puszkę dietetycznego Coorsa. Następnie usiadł za kuchennym stołem, na który przeniósł maszynę do pisania, i zaczął wystukiwać kilka linii poprawionego dialogu z *Błogosławionego rydwanu*. Boofuls chciał, żeby nieco unowocześnić całą historię, „tak, aby nie była zbyt staroświecka i by ludzie naprawdę mogli w nią uwierzyć”.

Raz jeszcze spytał wtedy Boofulsa, dlaczego właściwie tak bardzo zależy mu na zrobieniu tego

filmu, chłopiec jednak puścił to pytanie mimo uszu i tylko zaśmiał się dźwięcznie.

Pisał przez prawie godzinę, stopniowo zmieniając grupkę dzieci z przedmieścia z lat trzydziestych w młodzieżowy gang z Hollywood lat osiemdziesiątych. Praca szła mu niezwykle łatwo i Martin poczuł się dumny z siebie.

– Kto raz został zawodowcem, zawsze nim będzie – powiedział, wkręcając w maszynę kolejną kartkę papieru.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon. Martin odsunął się razem z krzesłem i sięgnął po słuchawkę. Odezwał się w niej znajomy, łagodny głos.

– Pan Williams? Czy to pan? Czy nie przeszkadzam w czymś ważnym?

– Ojciec Lucas? To pan?

– We własnej osobie. Czy możemy bezpiecznie rozmawiać?

– Niezbyt rozumiem, co pan ma na myśli.

– Chodzi mi o to, czy jest tam chłopiec.

– Nie, nie. Śpi w sąsiednim pokoju.

– Bardzo dobrze, doskonale. Mam dla pana nowiny. Dziś po południu poszedłem spotkać się ze starym przyjacielem, ojcem Quinlanem z Kolegium Świętego Patryka, i zabrałem ze sobą pańskie znalezisko. Opowiedziałem mu też o lustrze.

– I?

– Chce się z panem zobaczyć. Mówi, że to rozpaczliwie pilne. Twierdzi, że zbliża się coś strasznego i że natychmiast musi się z panem spotkać.

Martin spojrzął na zegarek. Było dwadzieścia po dziewiątej.

– W tej chwili? Chce się ze mną widzieć w tej chwili?

– Mówi, że nie ma czasu do stracenia. Proszę, panie Williams. To naprawdę niesłychanie pilne.

Martin zmęczonym gestem przetarł oczy.

– No, dobrze, proszę mi powiedzieć, jak tam dojechać. Chwileczkę – tylko wezmę coś do pisania. Już. Skręcić w lewo z Alden Drive, tuż za Mount Synai. W porządku... będę za jakieś piętnaście minut. Muszę poprosić, żeby pani Capelli miała oko na chłopca.

Zwinął kawałek papieru z adresem ojca Lucasa, wetknął go do kieszeni džinsów, po czym wyszedł na korytarz i stanął pod lekko uchylonymi drzwiami pokoju stołowego. Zaczął nasłuchiwać, ale jedynym dźwiękiem, który dotarł do jego uszu, był równomierny dziecięcy oddech. Mały *mazik* spał.

Martin delikatnie zamknął drzwi swego mieszkania, cichutko zszedł na dół i zapukał do drzwi gospodarzy. Widząc go, pani Capelli przeżegnała się.

– Pani Capelli, czy mogłaby pani uważać na chłopca... tylko przez godzinę, najwyżej dwie?

– Hmm! Mam pilnować tego diabelskiego pomiotu, który porwał mojego Emilio?

– Bardzo panią proszę. Istnieje możliwość, że nie ma w tym wcale jego winy.

Gospodyni wskazała gwałtownie w górę.

– Jeśli to dziecko jest niewinne, to znaczy, że Bóg ostatecznie porzucił ten świat!

Wreszcie jednak pani Capelli zgodziła się mieć oczy i uszy otwarte, nic ponadto.

– Jak będzie płakał, niech sobie płacze. Nie podoba mi się to dziecko. Nie ufam mu.

Martin ucałował ją szybko dwa razy, po razie w każdy policzek, i zbiegł na dół. Na Franklin Avenue zawrócił swego mustanga i ruszył na zachód. Nie chciał tracić więcej czasu. Ojciec Lucas sprawiał wrażenie, jakby lada moment spodziewał się Apokalipsy lub czegoś jeszcze gorszego.

Teologiczne Kolegium Świętego Patryka było jednym z tych budynków z lat trzydziestych, które nadawały Hollywood wygląd miasta ze snów. Zaprojektowano je w stylu zamku z czasów Tudorów z witrażowymi oknami i flankami z czerwonej cegły. Łatwo tu było wyobrazić sobie Errola Flynna, odzianego w kubraczek i pantalony, jak szpadą odgania napastników na szerokich schodach.

Martin zaparkował z boku, tak jak poinstruował go ojciec Lucas, i wspiał się na oświetlony ganek z tabliczką „Zakład Historii – Administracja”. Nacisnął dzwonek i czekał. Nad odległym Zbiornikiem Hollywoodzkim migotały błyskawice przypominające języki węży.

Drzwi otworzył młody ksiądz w szarej sportowej marynarce, z ogoloną głową.

– Słucham?

– Chciałbym się widzieć z ojcem Quinlanem. Powiedział, że to pilne.

– Pilne? – powtórzył ksiądz.

W Teologicznym Kolegium Świętego Patryka nigdy nie zdarzało się nic pilnego. Przez ostatnie siedemnaście lat cały wydział dyskutował na temat sensu wersów 20 i 21 pierwszego rozdziału drugiego listu świętego Pawła: „Nie z woli bowiem ludzkiej zostało kiedyś przyniesione proroctwo” i nadal nie udało się im osiągnąć zgody co do znaczenia tego fragmentu.

Młody ksiądz poprowadził Martina wąskim korytarzem o ścianach wyłożonych boazerią i wyczyszczonej na wysoki połysk podłodze. Na samym końcu korytarza stał stolik ozdobiony dużym bukietem, a nad nim wisiał obraz, przedstawiający świętego Piotra z błyszczącą, złotą aureolą wokół głowy. Buty Martina skrzypiały po posadzce.

Ksiądz zastukał do przedostatnich drzwi. Martin nie usłyszał żadnego zapraszającego głosu, lecz jego przewodnik otworzył drzwi i wpuścił go do dużego, od dawna nie porządkowanego gabinetu. Stały tam skórzane sofy, półki nabite książkami i biurko zavalone papierami, Bibliami, oprawnymi fotografiami i brudnymi kubkami po kawie.

Ojciec Lucas siedział przy kominku, na którego palenisku nie było niczego poza bukietem zasuszonych kwiatów. Obok niego stał szczupły, wysoki ksiądz o wychudzonej twarzy, długich siwych włosach i ciemnych, wyrazistych oczach. Ksiądz postąpił naprzód, aby przywitać Martina, z gracją i stylizowanym, płynnym ruchem zawodowego tancerza.

– Doceniam pański pośpiech, panie Williams – powiedział z uśmiechem. – Jestem ojciec Quinlan, szef zakładu nauk historycznych – tu, u Świętego Patryka.

Młody ksiądz wciąż stał w drzwiach, niewątpliwie w nadziei, że uda mu się usłyszeć choćby fragment ich rozmowy, jednak ojciec Quinlan, nadal uśmiechnięty, odprawił go ruchem dłoni.

– Proszę usiąść. Może ma pan ochotę na kieliszek wina?

– Z przyjemnością, dziękuję – odparł Martin i usiadł na skórzanej kanapie. Siedzenie poddało się ze sieknięciem, wypuszczając z siebie obłoczek kurzu. Martin skrzywił się z zakłopotaniem.

Na niskim stoliku między nim a ojcem Lucasem leżała otwarta paczuszka z czarnej bibułki, a obok niej ułożone równo w rządkiem szpony. Skrawek sierści wraz z kluczem odłożono na bok.

Ojciec Quinlan podszedł do sekretarzyka i stanął tyłem do Martina, nalewając ostrożnie kieliszek czerwonego wina z kryształowej karafki.

– Panie Williams – powiedział – wygląda na to, że udało się panu otworzyć coś, co mógłby pan nazwać puszką Pandory.

– Mówił pan, że to pilne – przypomniał mu Martin.

Ojciec Quinlan podszedł do niego i wręczył mu spory kieliszek. Wino miało ostry, przyjemny aromat.

– Pilne to mało powiedziane – uśmiechnął się. – W istocie sytuacja jest krytyczna.

Przyglądał się, jak Martin sący wino, po czym rozpromienił się cały.

– „Jeleni Skok”, rocznik 1976. Myślę, że będzie panu smakować.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego sytuacja jest tak zła – poprosił Martin. Nie był koneserem win. Jeśli o niego chodziło, samo wino nie było ważne. Liczyła się okazja, z jakiej się je pije, i towarzystwo – właśnie dzięki temu średni trunek mógł zmienić się we wspaniałą napój. Tego wieczora był kwaśny i podenerwowany, każde wino smakowałoby podobnie.

Ojciec Quinlan usiadł na drugim końcu sofy, elegancko krzyżując nogi.

– Ojciec Lucas przyszedł do mnie wczoraj i powiedział, jak bardzo się niepokoi. Opisał swe doświadczenie z lustrem. Raczej przerażające, nieprawdaż? Delikatnie mówiąc. I mówił też, że obaj z panem Capelli wydawaliście się niezwykle wstrząśnięci tym, co przydarzyło się wnukowi pana Capelli.

– Jeśli już mówimy o niedopowiedzeniach – zauważył Martin – to „niezwykle wstrząśnięci” to zdecydowanie za słabo powiedziane. Emilio zniknął wewnątrz tego lustra i jak dotąd nie udało nam się go wydostać.

Ojciec Quinlan przytaknął, aby pokazać, że rozumie o co mu chodzi, czy też – jeśli nawet nie rozumie – że chce im pomóc.

– Na początek porozmawiajmy o lustrach – zaproponował. – Lustrach jako takich, a potem o pańskim szczególnym lustrze.

Martin zerknął w stronę ojca Lucasa, ten jednak zdjął swoje powiększające szkła i uśmiechnął się, jakby chciał mu dodać otuchy.

– W porządku. Porozmawiajmy o lustrach.

– Jest taka stara żydowska historyjka o lustrach – zaczął ojciec Quinlan. – Pewien bogacz mówi rabinowi, że nie widzi żadnego sensu w dawaniu datków biednym. Więc rabin prowadzi go do okna i każe mu spojrzeć na targ w dole. „Co widzisz?” – pyta, a bogacz odpowiada: „Oczywiście ludzi.” Potem rabin stawia przed nim lustro i ponownie pyta: „Co teraz widzisz?”, a bogacz odpowiada: „Siebie.” A wtedy rabin uśmiecha się. „Okno i lustro, dwa kawałki szkła, i tyle. Zdziwiający jednak, jak odrobina srebra może sprawić, że człowiek nie jest w stanie dostrzec już innych za tym szkłem, lecz tylko siebie.”

Przerwał, by pociągnąć łyk wina, najwyraźniej świadomy tego, że jego wypowiedź można by uznać za protekcyjną i zbyt upraszczającą – rzecz często spotykana u księży, nawet jeśli mają dobre intencje. W końcu podjął:

– Lustra zatrzymują duszę, panie Williams. Nie w przenośni, lecz dosłownie. Naprawdę. Ile razy przechodzimy przed nimi, zatrzymują żywe fragmenty naszego życia i naszych charakterów. Czasami, w momentach ogromnego napięcia, mogą pochłonąć nas prawie w całości.

Martin z rozmysłem zachował milczenie, czekając, co dalej powie ojciec Quinlan.

Ksiądz spojrzał na niego bystro, jakby prowokując go do tego, by spróbował zaprzeczyć jego słowom.

– Lustro jest jak żywa kamera, panie Williams. To nie przypadek, że srebro stanowi jego podkład i że związki srebra są bardzo wrażliwe na światło, co umożliwia istnienie fotografii. I nie jest też przypadkiem, że właśnie srebrne kule zabijają tych nieszczęśników, popularnie zwanych wilkołakami. Jak lustro i jak zdjęcie, srebrna kula błyskawicznie absorbuje obraz wilczy, który zdominował obraz człowieczy.

– Wilkołaki? – spytał ostrożnie Martin. Nie chciał urazić ojca Quinlana, ale naprawdę...

– Obawiam się, panie Williams, że nieco się zagalopowałem. Może się pan ze mnie śmiać. Lecz historyczne przekazy dotyczące wilkołactwa nie pozostawiają cienia wątpliwości. Tak samo jak przekazy na temat niezwyklej właściwości luster.

Przerwał, łyknął wina i uważnie przyjrzał się Martinowi, po czym powiedział:

– Pańskie lustro – czy coś pan o nim wie?

– Nie jestem pewien, czy mówienie o tym byłoby dobrym pomysłem.

– Skąd pan je ma?

– Kupiłem je od pewnej kobiety na Hillside Avenue.

– A czy była ona pierwotną właścicielką?

Martin pokręcił głową.

Ojciec Quinlan odczekał chwilę w nadziei, że Martin poda mu nazwisko pierwszego właściciela, kiedy jednak tamten zachował milczenie, ciągnął dalej:

– Pozwól, że najpierw podam ci parę niezbędnych informacji, Martin. Być może potem uda nam się dojść do jakiegoś porozumienia i uzgodnić, co mamy robić w tej sytuacji.

– Słucham – zapewnił go Martin.

– Te szpony – ksiądz uniósł ze stołu jeden czarny zakrzywiony pazur – te szpony należą do Szatana we własnej osobie. Rozumiesz, co mówię? Prawdziwe szpony Szatana w jego smoczej manifestacji, wyraźnie przepowiedzianej w Objawieniu Świętego Jana. Podszedł do biurka i wziął do ręki jedną ze swoich Biblii.

– O, tutaj. *Potem ujrzałem inną Bestię, wychodzącą z ziemi: miała ona rogi podobne do rogów Baranka, a mówiła jak Smok. I dano jej, by duchem obdarzyła obraz Bestii, tak iż nawet przemówił obraz Bestii, i by sprawił, że wszyscy zostaną zabici, którzy nie oddadzą pokłonu obrazowi Bestii.*

Ojciec Quinlan zamilkł na moment, po czym przeczytał: *Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć\**.

Zamknął Biblię.

– Legenda głosi, panie Williams, że Szatan, zrzucony z niebios przez Archaniola Michała, upadł i roztrzaskał się, a fragmenty jego ciała zasłały całą ziemię. Tu szpon, tam róg, ówdzie kopyto.

Ale legenda mówi też, że – ułamek sekundy przedtem, nim uderzył o ziemię – jego obraz na moment odbił się w wodach rzeki i ten obraz stał się duchem Szatana, choć nie ma on ciała w świecie materialnym. Jego prawdziwe ciało zostało rozrzucone wokoło, jak zwłoki kogoś, kto zginął w katastrofie lotniczej. Jedyne różnica polega na tym, że Szatan nie runął z wysokości kilku tysięcy metrów, lecz z samego firmamentu niebieskiego.

Przez tysiące lat Szatan uwięziony był w świecie odbić. Po drugiej stronie szkła, wewnątrz luster, w rzekach i jeziorach. Mógł wpływać na przebieg wydarzeń w prawdziwym świecie. Mógł go nawiedzać w ograniczony sposób, poprzez dusze opętanych dzieci i naiwnych ludzi, gotowych udzielić mu schronienia. Ale nigdy nie udało mu się uwolnić. Do tego potrzebował, by jego prawdziwe ciało zostało odtworzone. Potrzebował kogoś, kto złożyłby tę potrzaskaną łamigłówkę w jedną całość. Stąd te szpony, panie Williams, stąd te włosy. Do kogokolwiek należały, musiał to być bez wątpienia wysłannik Szatana – pracujący nad odrodzeniem diabła we współczesnym świecie. W drugiej skrytce znajdzie pan zapewne więcej szczątków, a może nawet kolejny klucz, prowadzący do następnych.

– Szatan – powtórzył Martin. – Nie mogę w to uwierzyć. Ma pan na myśli prawdziwego, autentycznego Szatana?

Ojciec Quinlan skinął głową.

– Prawdziwego, jedyne Szatana z Biblii.

– Ale jeśli kiedykolwiek uda mu się zebrać do kupy, to co wtedy zrobi?

Ksiądz uśmiechnął się krzywo.

– Ma w życiu tylko jeden cel – zniszczenie wszystkiego, co zostało stworzone przez Boga. To

znaczy nas. Chce doprowadzić świat do efektownego i przerażającego końca.

Martin milczał przez chwilę.

– Dwa tygodnie temu nie uwierzyłbym w ani jedno pana słowo. Nie traciłbym czasu na coś takiego.

– A teraz?

– No, może teraz jest trochę inaczej. Widziałem dostatecznie wiele, by zrozumieć, że to, co próbuje mi pan powiedzieć, to prawda. No... częściowo prawda czy może prawie prawda. Te fragmenty Szatana, szpony i tak dalej, były używane przez czcicieli diabła w Hollywood pod koniec lat trzydziestych. Spotykali się co miesiąc w „Boskim Hollywood” na, jak to się nazywa – nie, proszę mi nie mówić, sam sobie przypomnę – sabatach.

Ojciec Quinlan uśmiechnął się z podziwem.

– Wie pan o „Boskim Hollywood”?

– Tak. Tam właśnie znaleźliśmy te szczątki.

– No, cóż, gratuluję. Szukałem ich od lat. Nigdy nie przypuszczałem, że wciąż tam mogą być.

– W piwnicy – wyjaśnił Martin – w skrytkach depozytowych.

Ojciec Quinlan odczekał chwilę, po czym powiedział:

– Na podstawie tego, czego udało mi się dowiedzieć, sądzę, że wszystko zaczęło się w zimie 1935 roku. W Hollywood było wtedy wiele gwiazd, które czuły się zagrożone. Studia filmowe sprawowały prawdziwie tyrańskie rządy. W jednej chwili uwielbiano cię, w następnej osuwałeś się w niepamięć. Pozostawały tylko narkotyki, alkohol, szybkie samochody i cudzołóstwo. Widzieliśmy tych aktorów, jak uśmiechają się i machają do nas rękami. Mój Boże, oni żyli na skraju załamania nerwowego. Jeśli kiedykolwiek istniała grupa ludzi, gotowych przystać na obietnice Szatana, to byli nimi właśnie oni.

– Co się wtedy stało? – spytał Martin.

Wysoki ksiądz postukał się palcem w nos.

– Przyjacielu, ojciec Lucas ma może okulary z denek butelek od coli, ale nie jest ślepy ani głupi. Dostrzegł te wszystkie zdjęcia Boofulsa u ciebie na ścianie i dowiedział się, że od pół roku próbujesz sprzedać musical na jego temat.

– Ach, tak?

– Uraziłem cię? – spytał ojciec Quinlan.

– Bo ja wiem, może troszeczkę.

– Jak możesz się obrażać? Czy nie rozumiesz, jakie to niebezpieczne? Och, rozmawiamy o Szatanie, i tyle. Niezła zabawa. Ale, na Boga, przyjacielu, mówimy tu o absolutnym przeciwieństwie pokoju i szczęścia, mówimy o zarazie, wojnie, zagładzie i zniszczeniu. Kochany panie Williams, rozmawiamy o świecie rozdartym od bieguna po biegun!

Przerwał na chwilę, oddychając głęboko.

– A dlaczego stajemy w obliczu tej przerażającej Apokalipsy? Niech pan pozwoli sobie wytłumaczyć. Z powodu próżności garstki nieszczęsnych aktorów z Hollywood z lat trzydziestych, którzy czuli się zagrożeni. Tych cudownych ludzi ze srebrnego ekranu: Joan Crawford, Errola Flynna, Johna Barrymore – ludzi, będących niegdyś naszymi idolami! Wcale nie byli cudowni; niepodzielnie władała nimi jedna obsesja – strach przed niepowodzeniem. Byli mali i wystraszeni, przerażeni uwielbieniem, jakim ich obsypywano. A zatem poszukiwali czegoś, co dodałoby im odwagi. Podpory. I kiedy pewien chłopczyk wkroczył pomiędzy nich i oznajmił, że mogą być szczęśliwi i uwielbiani po wieczne czasy, to jak pan myśli, jak zareagowali?

Martin nie odezwał się, dopił jedynie swoje wino i odstawił kieliszek obok paczuszki z czarnej

bibułki.

– Przejrzałem archiwa Świętego Patryka z drugiej połowy lat trzydziestych – ciągnął ojciec Quinlan. – Nie uwierzy pan, ale rok w rok otrzymywaliśmy anonimowe informacje, że ktoś gdzieś w Los Angeles organizuje czarne msze na ogromną skalę. Telefony, pospieszne listy, jedna czy dwie fotografie. Kilkanaście razy zostało też wymienione „Boskie Hollywood”. Jednakże niemal wszystkie informacje zostały zignorowane – mimo że jeden z listów ostrzegał wyraźnie „oni mają szczątki”.

– Ale co ci aktorzy próbowali naprawdę zrobić?

Ojciec Quinlan przeczesał siwe włosy dłonią.

– Nic innego, jak tylko sprowadzić Szatana z powrotem na ziemię. Prawdziwego, odrodzonego Szatana, z ciała i krwi. Był to całkiem prosty układ. W zamian za uwolnienie, Szatan miał im dać młodość, sławę i wieczną popularność.

Martin jedynie spuścił głowę w milczącej akceptacji tego, co usłyszał. Zbyt wiele widział w ciągu ostatnich kilku dni, by dalej trwać w niewierze.

Łagodniej już, ksiądz ciągnął dalej:

– W jakiś sposób to wszystko zaczęło się od Boofulsa. Od początku moich badań miałem takie podejrzenia. Znalazłem pewien list, napisany przez Billa Tildena... wie pan, jaki on był. Krępy Tilden. Lekcje tenisa dla ładnych młodych chłopców, te rzeczy. W trzydziestym szóstym roku napisał list do bliskiego przyjaciela. W liście tym stwierdził, że spotkał cudowne dziecko, które ofiarowało mu nadzieję i szczęście, „niewyobrażalną” nadzieję i szczęście. Chłopiec nazywał się Walter Crossley, alias Boofuls. Ale Bill Tilden nie był jedyny. Wszyscy w Hollywood, homoseksualiści czy nie, byli oczarowani Boofulem, jego słodyczą, widoczną niewinnością i tym, że kiedy są obok niego, czują się pewnie, są szczęśliwi i wydaje im się, że są zdolni osiągnąć trwałe sukcesy.

W głosie ojca Quinlana zadźwięczała powaga.

– Boofuls był, ni mniej, ni więcej, tylko dzieckiem opętanym przez Szatana. Przynajmniej taka jest moja opinia. Nigdy nie udało mi się uzyskać dowodów. Jak można udowodnić coś takiego? Nie zdołałem odkryć, kto był jego ojcem, ani nie udało mi się ustalić tożsamości kobiety, która zawsze towarzyszyła mu do „Boskiego Hollywood”.

– Panny Redd? – wtrącił Martin.

Ojciec Quinlan przytaknął.

– Zgadza się, tajemniczej panny Redd. Nigdy nie zdołałem znaleźć jakiegokolwiek jej zdjęcia, wzmianki w prasie, nic. Lecz kilkanaście anonimowych listów, które otrzymał Kościół w trzydziestym ósmym roku, wspomina o pannie Redd. – Sięgnął i nalał Martinowi wina. – Ale wracajmy do pańskiego lustra.

– Lustra Boofulsa – przyznał Martin.

Ksiądz uśmiechnął się.

– Tak też myślałem. No – ojciec Lucas tak sądził.

– Miał zupełną rację – odparł Martin. Odwrócił się do ojca Lucasa i z podziwem pokiwał głową. W odpowiedzi ojciec Lucas uniósł swój kieliszek.

Ojciec Quinlan kontynuował:

– Niełatwo to wszystko połączyć. Niektórzy z tutejszych pracowników myślą, że mam na ten temat obsesję. Ale Objawienie zawiera pewne zaskakująco ścisłe fakty i liczby, nie mówiąc o mnóstwie niezwykłych implikacji. Weźmy na przykład pannę Redd. W Objawieniu Szatan pojawia się jako smok – czerwony smok\*. Może to nic nie znaczy. Może to po prostu paranoja. O tak, księża też mogą być paranoikami. Ale mogę z dumą stwierdzić, że mamy jeszcze jeden autorytet, do którego możemy się zwrócić.

Przeszedł przez pokój do wielkiej dębowej szafy rzeźbionej w kiście winogron. Z kieszeni kamizelki wyjął mały kluczyk i otworzył ją. Wewnątrz widniały rzędy małych półek. Ojciec Quinlan wyjął niewielką paczkę papierów, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i wrócił na kanapę.

– Oto nie publikowany komentarz, dotyczący niezwykłych właściwości luster, napisany przez Charlesa Lutwige Dodgsona.

– Charlesa Lutwige Dodgsona? – powtórzył Martin, zdumiony. – Ma pan na myśli Lewisa Carrolla?!

Ojciec Quinlan rozplatał wyblakłą jedwabną wstążkę, którą związane były papiery.

– Tego samego. Mamy nawet świadectwo autentyczności, wystawione przez British Museum.

– Ale to musi być warte milion dolarów. Nie publikowana książka Lewisa Carrolla?

– No, cóż... kolejny tom przygód Alicji mógłby być coś wart. Niewielu ludzi wie jednak, że Lewis Carroll był bardziej matematykiem niż powieściopisarzem. Napisał między innymi *Podręcznik algebry płaszczyzny*, *Podstawową rozprawę o wyznacznikach* oraz książkę *Euklides i jego współcześni rywale*.

Ojciec Quinlan odwrócił poźółkłe i kruche kartki manuskryptu. Wokół rozeszła się woń kurzu i przypalonego mleka.

– To wszystko jest bardzo fragmentaryczne... właściwie nie można tego nazwać książką. To raczej notatki, a niektóre z nich nie mają ze sobą żadnego związku. Ale najciekawsze jest to, co Carroll ma do powiedzenia na temat luster. Zawsze wierzył, że po drugiej stronie lustra znajduje się coś w rodzaju krainy czarów, lecz jego pierwsze objawienie dotyczące luster nastąpiło wczesną zimą 1869 roku, kiedy bardzo ciężko zachorował, prawdopodobnie na zapalenie płuc, i leżał w łóżku w swym domu w Oxfordzie bliski śmierci.

Ojciec Quinlan spojrzał Martinowi prosto w oczy.

– Być może Carroll bredził, ale w tym komentarzu opowiada, jak przeszedł przez lustro w swej sypialni dokładnie tak, jak to uczyniła Alicja. *Szkoło naprawdę zaczęło rozwiewać się jak lśniąca, srebrzysta mgiełka*. Znalazł się w lustrzanym świecie, gdzie wszystko było odwrócone.

Pisze tu: „*Nie tylko pismo i obrazy, ale sama chrześcijańska moralność została odwrócona z lewa na prawo. Wnętrze lustra stanowi królestwo demonów, przedsionek samego Piekła.*”

Próbował opowiedzieć o tym przyjaciołom, próbował powiedzieć biskupowi Oxfordu. Ale po *Przygodach Alicji w Krainie Czarów* nikt mu nie wierzył. Dlatego napisał *Po Drugiej Stronie Lustra* jako opowieść o Alicji... wiedział, że w ten sposób zyska najwięcej czytelników. To było ostrzeżenie, wyrażone językiem dziecka, w nadziei, że jeśli nawet dorośli nie chcą uwierzyć w niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźli, może choć dzieci zrozumieją. *Po Drugiej Stronie Lustra* jest najwyraźniejszym ostrzeżeniem dotyczącym powrotu Szatana na ziemię od czasów Objawienia.

Podał Martinowi jedną z kartek. Na jej środku widniał napisany własnoręcznie przez Lewisa Carrolla „Dżabbersmok”:

*Ach, Dżabbersmoka strzeż się, strzeż!  
Szponów jak kły i tnących szczęk!*

Ojciec Quinlan przyniósł kolejną porcję wina.

– Dalej w książce Carroll wyjaśnia ten absurdalny wiersz za pomocą całej serii nonsensownych definicji. Ale proszę spytać o Dżabbersmoka jakiegokolwiek dziecko, a opowie jedynie o ciemnym



lesie, okrutnym potworze przypominającym smoka i chłopcu, który zabija go i rozcina na kawałki. Sama Alicja mówi: „*Nasuwa to jakieś myśli... ale nie wiem dokładnie, jakie! Bądź co bądź ktoś zabił coś: to jest oczywiste w każdym razie...*”. Proszę spojrzeć:

*Płomienooki Dżabbersmok  
Zagrzmudnił pośród srożnych skał  
sapgulcząc poprzez mrok!*

a potem:

*Raz dwa! Raz dwa! I ciach! I ciach!  
Miecz migbłystalny świstotnie  
Łeb uciął mu, wziął, i co tchu  
Galumfująco mknie!*

Ojciec Quinlan uśmiechnął się.

– Cóż, to naprawdę zabawny kawałek. Ale te notatki wcale nie są zabawne. Carroll pisze tu: „*Uważam, że byłem tak blisko śmierci, jak tylko człowiek może się znaleźć i potem powrócić do świata żywych. Widziałem ciemność i widziałem niewyobrażalne istoty: ludzi o głowach wielkich, niczym maski karnawałowe, potwornie zgarbione stwory, psy, które mówią. Teraz to wszystko wydaje mi się snem czy raczej zmorą senną, przekonany jednak jestem, że widziałem Czyściec, krainę, w której każdy przybiera swoją właściwą postać. W krainie po drugiej stronie lustra, w świecie odbić, jest życie po śmierci i życie przed śmiercią. Teraz dopiero widzę, jak chrześcijaństwo, które uczy, że w świecie poza naszym światem na każdego czeka kara lub nagroda, jest bliskie religiom hinduskim, twierdzącym, że każdy człowiek odradza się w postaci, na jaką zasłużył w poprzednim życiu.*”

– Ale Dżabbersmok? – spytał Martin. – Co ma wspólnego Dżabbersmok z Boofulsem i moim lustrem?

– Absolutnie wszystko – odparł ksiądz. – Dżabbersmok to lustrzany obraz Szatana. Carroll wyprowadza to imię z nazwy Dżabbok, górskiego strumienia, jednego z głównych dopływów rzeki Jordan. To właśnie w wodach Dżabbok miał podobno odbić się Szatan podczas swego upadku z niebios. Może to przypadek, a może nie, ale w tym czasie lekarzem Carrolla był niejaki dr James Crowe, i litery e-r-o znakomicie uzupełniają nam imię Dżabbersmoka.

Martin odstawił swój kieliszek i przetarł twarz dłońmi.

– Boże, to wszystko jest takie nieprawdopodobne.

– Bardziej nieprawdopodobne niż woda święcona, przelatująca przez lustro i lądująca w odbitym pokoju? Bardziej nieprawdopodobne niż pański młody przyjaciel Emilio, znikający w głębi lustra i odmawiający powrotu? Nie, panie Williams, to wcale nie jest nieprawdopodobne. To, co tu widzimy, to plan Szatana dotyczący jego własnego zmartwychwstania, jak to przepowiedziano w Objawieniu Świętego Jana. W jakiś sposób udało mu się posiąść duszę tego chłopca, Boofulsa, i chłopiec regularnie organizował bluźniercze sabaty w hotelu „Boskie Hollywood”. Używał także

swych pieniędzy i wpływów, aby zebrać razem rozproszone szczątki fizycznego ciała Szatana.

Ojciec Quinlan wyciągnął kolejną kartkę spośród notatek Lewisa Carrolla, a na niej widniał własnoręcznie przez niego narysowany Dżabbersmok. Słynna ilustracja Sir Johna Tenniela oparta była właśnie na tym szkicu. Szcherzący zęby stwór o skrzydłach smoka, zrogowaciałych szponach i płonących oczach.

– Sam pan widzi – powiedział ze spokojnym triumfem – *szpony jak kły i tnące szczęki* – o, proszę, tutaj. – Wziął w rękę czarne rogowe szpony ze stołu. – Prawie identyczne i mają mniej więcej te same proporcje.

Martin milczał. Oszłomił go ogrom i zasięg tego, co próbował mu powiedzieć ojciec Quinlan. Ksiądz kontynuował:

– Kiedy ostatecznie wyzdrowiał po zapaleniu płuc, Carroll spędził wiele czasu w Bodleian Library w Oxfordzie, zapoznając się z legendą o upadłym diable. Odkrył, że według Jakuba i Ezawa, którzy spotkali się nad wodami Dżabbok, Szatan i dzieci Szatana mogą zostać zabite jedynie mieczem, błogosławionym w imię Boże i w imię Archanioła Michała, i ozdobionym napisem: „Victoria nad Okrucieństwem, Ruiną, Plagą, Antychrystem Lucyferem.” Stąd też w wierszu migbłystalny miecz, zwany przez Carrolla także vorpalnym: V-O-R-P-A-L. I stąd, jak podejrzewam, poćwiartowanie Boofulsa przez jego babcię.

Nigdy nie udało im się odnaleźć narzędzia mordy, prawda? Musiało jednak być bardzo ostre i bardzo ciężkie. Proszę pamiętać, to była starsza kobieta. Mogła go rozczłonkować jedynie czymś, co samo w sobie miało odpowiednią wagę, na przykład chińskim tasakiem, dużą dwuręczną maczetą albo dwuręcznym mieczem.

Martin uniósł dłoń.

– No, dobrze – przypuśćmy, że to wszystko prawda – przypuśćmy, że pani Crossley zabiła Boofulsa, ponieważ uważała, że próbuje on wskrzesić Szatana. Skąd to wiedziała? Jak odkryła, co ma zrobić, aby mu przeszkodzić? I skąd zdobyła miecz, pobłogosławiony w imię Boga i Archanioła Michała?

Ojciec Quinlan uśmiechnął się:

– Każda tajemnica ma swoje pytania bez odpowiedzi. Jestem teologiem i historykiem, nie policjantem ani detektywem. Może powinien pan zapytać samego Boofulsa.

Martin nie odpowiedział. Nie był jeszcze gotów do tego, by przyznać się któremuś z duchownych, że chłopiec o kręconych włosach przebywający u niego w mieszkaniu to naprawdę Boofuls. Ojciec Lucas mógł coś podejrzewać, bo spotkał go osobiście. Ale zanim Martin poprosi o pomoc ludzi takich, jak ojciec Quinlan, musi upewnić się, że uda im się wydostać Emilia całego i zdrowego ze świata za lustrem.

– Mówił pan, że to pilne – powiedział głośno, specjalnie zmieniając temat. – Obawiam się, że nie widzę żadnego powodu do pośpiechu. Jeżeli mamy tu te pazury i klucz do reszty fragmentów – cóż, ktoś nie może bez nich zdziałać zbyt wiele, jeśli faktycznie próbuje przywrócić do życia Szatana.

Ojciec Quinlan skinął głową.

– Ma pan zupełną rację. Ale nie należy nie doceniać Szatana. Ani też przepowiedni, że aby powrócić do życia i zdobyć panowanie nad światem, Szatan musi otrzymać ofiarę – życie stu czterdziestu czterech tysięcy niewinnych ludzi.

– Czy to jakaś specjalna liczba? – spytał Martin.

– W Objawieniu Świętego Jana jest to liczba ludzi, którzy odrzucili kłamstwo i nikczemność i podążyli za Barankiem. Najlepsze owoce z Bożego drzewa. Szatan nie może żyć i oddychać, dopóki te sto czterdzieści cztery tysiące nie zostaną zmasakrowane.

Martin uniósł brwi.

– Raczej ciężko zmasakrować taką liczbę ludzi w dzisiejszych czasach.

– Ciężko, tak – zgodził się ojciec Quinlan – ale nie jest to niemożliwe.

\* \* \*

Później ojciec Lucas odprowadził Martina do samochodu. Noc była ciepła. Martin nie mógł opędzić się od myśli o Morsie i Stolarzu. „*Ach, co za noc!*” – powiedział Mors. – „*Spójrzcie, jak tu cudownie!*”

Martin otworzył drzwiczki. Policyjna syrena odbiła się echem nad Mulholland, cichnąc pośród wzgórz. Jeżące włos na głowie zakręty Mulholland zawsze przyciągały naszprycowanych młodych kierowców, którzy wierzyli, że potrafią fruwać.

– I co pan o tym sądzi? – spytał ojciec Lucas.

– Sam nie wiem – odparł Martin. – Prawdę mówiąc, nieźle się w tym wszystkim pogubiłem.

– Ojciec Quinlan jest najprawdopodobniej najlepszym w tym kraju specjalistą od teologicznych legend. Wiem, że jego tezy brzmią nieco... chaotycznie, ale jego wiedza jest ogromna.

Martin uruchomił silnik.

– Pytanie brzmi, czy w to, co on mówi, w ogóle można uwierzyć?

Ojciec Lucas wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– To już, rzecz jasna, kwestia wiary.

– Proszę mi pozwolić to przemyśleć. Niech ojciec zadzwoni jutro – może będziemy mogli jeszcze to przedyskutować.

– Zanim pan odjedzie – ksiądz przytrzymał drzwiczki samochodu – muszę panu zadać jedno pytanie.

Martin skrzywił się.

– Chyba wiem, co to będzie.

– Lejeune... ten chłopiec, którego spotkałem w pańskim mieszkaniu. On jest ogromnie podobny do Boofulsa.

– Dlatego właśnie go wybrałem.

– Czy istnieje choćby najmniejsza możliwość, że kiedy pański młody przyjaciel Emilio przeszedł przez lustro...

Martin przerwał mu:

– Ojczy, możliwe jest wszystko.

– No, cóż – odparł ojciec Lucas, czyniąc znak krzyża nad głową Martina – jeśli to jest Boofuls, proszę, niech pan zachowa niezwykłą ostrożność.

– Lejeune to... – zaczął Martin, po czym urwał. – Lejeune to Lejeune, i tyle. To najzwyklejszy chłopiec.

– Może powinien pan lepiej zapoznać się ze swoją Biblią – uśmiechnął się ojciec Lucas. – Ewangelia Świętego Marka, rozdział 5. *Ledwie wysiadł z łodzi, wybiegł mu naprzeciw z grobów człowiek opętany przez ducha nieczystego. I Jezus powiedział mu: „Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka.” I zapytał go: „Jak ci na imię?” Odpowiedział Mu: „Nazywam się Legion\*, bo nas jest wielu.”*

Choć noc była tak ciepła, Martin zadrżał. Przez wypukłe szkła okularów spjrzały na niego powiększone, poważne oczy ojca Lucasa.

– To taki mały żart z jego strony, panie Williams. Gdybyz tylko był zabawny.



## 10.

Kiedy Martin wrócił na Franklin Avenue, Boofuls nadal spał. Pani Capelli powiedziała, że nie słyszała żadnych hałasów.

– Tylko jakby drapanie, to wszystko, ale to najpewniej sprawka wiewiórek – zawsze grzebią w śmieciach.

Martin wszedł cicho na górę, otworzył drzwi i na palcach przeszedł przez korytarz do pokoju stołowego. Boofuls wciąż leżał skulony na kanapie, oddychając głęboko, lecz w powietrzu unosiła się dziwna woń spalenizny, jakby ktoś próbował tam palić pióra albo końskie włosie.

Boofuls oddychał głośno i regularnie i kiedy Martin podszedł, aby go przykryć, pozostał blady i cichy, śniąc sen bez marzeń; sen tych, których rzeczywistość odwrócona jest o sto osiemdziesiąt stopni, tych, którzy skazani są na wieczne potępienie.

*Nazywam się Legion, bo nas jest wielu.*

Spojrzał w lustro. Widział samego siebie, jak stoi w wąskiej plamie światła, przecinającej pokój i mającej swe źródło za uchylonymi drzwiami. Wyglądał na spoconego i zmęczonego. Zastanowił się, jak też, u diabła, udało mu się wplątać w to wszystko.

Podszedł bliżej i przechylił się w bok, starając się wyjrzeć przez drzwi stołowego pokoju na świat, gdzie wszystko jest inne. Nie miał pojęcia, w które z teorii ojca Quinlana wierzyć. Zakurzony rękopis Lewisa Carrolla jeszcze niczego nie dowodził. Choć to niezwykle, do jakiego stopnia opis życia po śmierci przypominał słowa Homera Theobalda, który wspominał o „gadających żółwiach” i ludziach o rozciągniętych głowach.

W końcu Martin zamknął drzwi pokoju i poszedł wziąć prysznic. Namydlając ciało pod strumieniem gorącej, łaskoczącej je wody, nieomal przysnął. Był zbyt zmęczony, by zaparzyć sobie kawę, wypił więc jedynie trzy łyki zimnego mleka wprost z kartonu.

W jego sypialni plakat Boofulsa spoglądał na niego ze ściany i uśmiechał się. Przez długą chwilę stał i wpatrywał się weń, po czym wyciągnął rękę i zdarł go. Zgnieciony odrzucił w kąt.

Oddychając nieco za szybko wgramolił się na łóżko, przykrył z głową i podjął zdecydowaną próbę zaśnięcia.

\* \* \*

Śnił o szponach, ryjących w wypolerowanych drewnianych blokach. Śnił o kotach, prześlizgujących się przez nieprawdopodobne ogrodzenia. Śnił o gorącym oddechu, płonących błękitnych oczach i włochatych istotach długich jak strażackie sikawki. Pocił się, krzyczał, zaciskał dłonie na krawędzi kołdry, ale nie przebudził się.

– Gałka-siostra-wiatru – ktoś szepnął. – Gałka-siostra-wiatru.

\* \* \*

Podczas jego snu miały miejsce dwie rzeczy.

Po pierwsze, Boofuls nagle usiadł na łóżku. Wczesne promienie księżycy oświetlały jego drobną postać. Bardzo długo trwał prawie nieruchomo, nasłuchując. Na najdalszej od niego ścianie pokoju wisiało lustro – chłodne i czyste.

Po trzech czy czterech minutach Boofuls wstał z łóżka, tupiąc bosymi stopami podszedł do lustra i stanął tuż przed nim z opuszczonymi po bokach rękami.

W lustrze drzwi pokoju otwarły się i pojawił się w nich drugi chłopiec, ubrany w pasiastą bawełnianą piżamę. To był Emilio. Wyglądał blado i mizernie, nie mógł opanować zdenerwowania.

– Gdzie jest Gałka? – szepnął Boofuls. – Mówiłem ci, żebyś przyprowadził Gałkę.

– Gałka nie chciała przyjść.

– Gałka musi przyjść.

– Dobrze, mogę ją przyprowadzić rano.

Oczy Boofulsa zapłonęły wściekle.

– Lepiej to zrób, bo możesz zostać w tym lustrze na zawsze!

– Proszę – powiedział błagalnie Emilio.

– Co, proszę?

– Proszę, wypuść mnie stąd. Chcę stąd wyjść.

– O co chodzi? Masz przecież swoją babcię i dziadka, czego jeszcze chcesz?

Oczy Emilia wypełniły się łzami.

– Tak, ale to nie to samo. Oni są inni.

– Wszystko jest inne w lustrze.

– Boofuls, proszę, wypuść mnie. Proszę cię.

Boofuls zaśmiał się cichym, syczącym śmiechem.

– Wyjdiesz, kiedy nadejdzie czas. I jeśli tak mi się będzie podobało.

– Ale tu jest okropnie! Boję się!

Boofuls nachylił się bliżej lustra, złożył usta w ciup i przesłał mu pocałunek.

– Przyzwyczaisz się. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, jeżeli tylko bardzo się tego chce.

– Proszę! – błagał Emilio.

– Przyprowadź rano Gałkę – nalegał Boofuls. – Jak nie, to zostaniesz w tym lustrze na wieki wieków, amen!

Emilio zakrył rękami oczy i zaczął cichutko szlochać. Boofuls obserwował go przez chwilę ze złośliwym wyrazem twarzy, po czym wrócił do łóżka. Kiedy się obejrzał, Emilio już odszedł i lustrzany pokój był pusty. Uśmiechnął się do siebie i zasnął.

\* \* \*

Po drugie, ojciec Lucas skończył ostatni późny kieliszek wina w towarzystwie ojca Quinlana i zaczął przygotowywać się do wyjścia.

– Macie tam u Świętej Teresy sejf, prawda? – spytał ojciec Quinlan. – Może lepiej będzie, jeśli zabierzesz te szczątki i schowasz je w bezpiecznym miejscu. Nie do końca ufam naszym sprzątaczkom. Zginęła mi już kiedyś piękna fajka z wrzośca i laska ze srebrną główką.

– To niezbyt zachęcająca reklama – uśmiechnął się ojciec Lucas. – „Kolegium Teologiczne to

gniazdo złodziei – twierdzi zakonnik.”

Ojciec Quinlan zaśmiał się, zapakował szpony i włosy i wsunął zawiniątko do wyściełanej koperty.

– A tu masz klucz. Nie chcemy go przecież zgubić.

Ojciec Lucas otworzył drzwi gabinetu.

– Nie jestem całkiem pewien, czy pan Williams naprawdę wierzy w Objawienie – zauważył.

Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

– To raczej ponure, zresztą jak większość przepowiedni.

– Ten chłopiec u niego w mieszkaniu. Mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że to Boofuls.

– Tak... Szkoda, że pan Williams nie był jeszcze skłonny obdarzyć nas pełnym zaufaniem. No, ale to wszystko ciężko przełknąć za jednym zamachem – połączenie Objawienia i Lewisa Carrolla. Mnie samemu trudno było uwierzyć, kiedy pierwszy raz się z tym zetknąłem.

– Teraz jednak nie masz już wątpliwości?

Ojciec Quinlan potrząsnął głową.

– Żadnych.

Ojciec Lucas pożegnał się i wyszedł z budynku bocznymi drzwiami. Jego powgniatany czerwony datsun stał zaparkowany w cieniu kaplicy. Wgramolił się do środka, a zawieszenie jęknęło niczym zarzynana świnka. Uruchomił silnik i już miał wyjechać z parkingu, kiedy przypadkiem spojrzął na wypchaną kopertę, leżącą na siedzeniu obok niego.

A gdyby tak pojechać do „Boskiego Hollywood” i otworzyć drugą skrytkę? Im prędzej to zrobi – im prędzej zamknie szczałki w swym sejfie u Świętej Teresy – tym mniejsze ryzyko, że ktoś inny znajdzie je pierwszy i spróbuje zrekonstruować roztrzaskane ciało Szatana.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej. Był jednak pewien, że jeszcze zostanie kogoś w recepcji. W końcu większość klienteli hotelu nie odróżniała dnia od nocy.

Pojechał na wschód Santa Monica Boulevard. Od czasu do czasu zerkał na odbicie swych oczu we wstecznym lusterku. Były nieco zamglone i przekrwione, nie wiedział jednak, dlaczego. Zapewne z powodu zbyt dużej ilości czerwonego chardonnay ojca Quinlana. Nie pił zbyt często. Mimo to jednak zaskakiwało go, jak dziwnie się czuje – jak oderwany, jakby to jego ciało zabierało go do „Boskiego Hollywood”, choć umysł nie ma na to specjalnej ochoty.

Ojciec Lucas zawsze lubił myśleć o sobie jako o człowieku tradycyjnym i pragmatycznym. Wierzył w moce ciemności i wierzył, że ludzie mogą być opętani przez złe duchy. Wierzył nawet, że Boofuls w jakiś sposób powrócił poprzez lustro w mieszkaniu Martina – jako coś w rodzaju żywego hologramu. Ale niełatwo mu było przyjąć teorię ojca Quinlana o drugim nadejściu Szatana. Lecz myślał, że Szatan, władca chaosu, mógłby faktycznie pojawić się w Hollywood pod koniec lat osiemdziesiątych, i to Szatan z krwi i kości – cóż, to był jeden z tych konceptów, których jego zdyscyplinowany umysł nie był w stanie objąć.

Jechał teraz Hollywood Boulevard. O tej porze przybierał on swoją najgorszą postać – na chodnikach tłoczył się tłumek punków, obszarpańców i ćpunów oraz zataczających się włóczęgów. Nieskazitelnie ubrany Murzyn w białym kabriolecie eldorado minął ojca Lucasa, unosząc w pozdrowieniu cętkowany kapelusz.

– Dobry wieczór, wasza wielbność. Co tam słyhać ostatnio w niebie?

– Dobry wieczór, Perry – odparł ojciec Lucas. – Powiem ci, kiedy już się tam znajdę.

– Proszę się nie martwić, wasza wielbność, będę tam przed panem.

– Na pewno, Perry – uśmiechnął się ksiądz. – Na pewno.

Skręcił w Vine i zaparkował przed „Boskim Hollywood”. Natychmiast podszedł do niego mały Meksykanin, nie mający więcej niż osiem lat, i zaproponował, że przypilnuje mu radia.

– Obawiam się, że dawno już zniknęło – powiedział mu ojciec Lucas.

– To może nakładki na koła?

– Weź je sobie, jeśli przydadzą ci się bardziej niż mnie.

– Nie chcę takich nakładek. Jakbym miał coś wziąć, to zabrałbym ten cały zrypany wóz.

Ojciec Lucas nachylił się nad chłopcem, opierając dłonie na kolanach, tak aby móc spojrzeć mu prosto w oczy.

– Dotknij tylko mojego zrypanego wozu jednym brudnym paluchem, a oberwę ci tę twoją zrypaną głowę. I nigdy więcej nie używaj takiego języka w obecności księdza ani nikogo innego.

Chłopiec wpatrzył się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie, proszę pana. Przepraszam pana. Przypilnuję panu samochodu, proszę pana.

Ojciec Lucas przecisnął się między prostytutkami i amatorkami i wspiał się na schody prowadzące do hotelu. Z boku stopni ktoś zwymiotował falę czegoś malinowoczerwonego, a setki butów rozniosły to wszędzie wokół.

Ojciec Lucas przepchnął się przez dygoczące drzwi obrotowe i przeciął kiepsko oświetlony hol. Jeden z hotelowych obdartusów zataczał się po całym hallu, wymachując butelką w brązowej papierowej torebce i śpiewając:

– To melodia... tak piękna... jak mam się... opamiętać... każda z nut... twego serca... pocałunkiem mi jest...

„Boofuls”, pomyślał ojciec Lucas. „Jest wszędzie. Zupełnie jak burza, kiedy w powietrzu czuje się jej nadejście.”

Recepcjonista siedział z nogami na ladzie, czytał komiks *Wędrówka Elfów* i palił papierosa. Pół butelki gatorade i nadgryziony hot-dog wskazywały, że był właśnie w trakcie kolacji. Kiedy ksiądz podszedł bliżej, recepcjonista uniósł wzrok i głośno pociągnął nosem.

– Co słyszę, ojczu? Przyszedłeś zbawić nasze dusze?

– Gdybym tylko mógł – odparł ojciec Lucas.

Młody człowiek odłożył komiks i zdjął nogi z blatu.

– No, dobrze, co ma być? Pół godziny z Vivą i Louise? Za dodatkowe dziesięć dolców mogą się przebrać w stroje zakonnice. A może chwilka z Władysławem? Świetnie prosperuje przebierając się za Papieża. Katolicy goście to uwielbiają. Przeleci takiego, a potem odpuści mu winy, wszystko w ramach jednej opłaty.

– Uważaj, Gary – ostrzegł go ojciec Lucas.

– W porządku, ojczu, wybac mi, albowiem nie mam najmniejszego pojęcia, co czynię. W czym mogę pomóc?

Ojciec Lucas pokazał mu klucz.

– Skrytki depozytowe – powiedział. – Rozumiem, że są w piwnicy.

– Zgadza się. – Gary spojrzał na niego zwięzonymi oczami. – Ale to będzie kosztowało. Jest ksiądz już drugi w ciągu ostatnich kilku dni.

Ojciec Lucas sięgnął do kieszeni i odliczył pięć banknotów.

– Przykro mi, ale nie jestem Aaronem Spellingiem.

– No cóż... Ponieważ to pan... – Gary schował pieniądze, zdjął z tablicy klucz do piwnicy i poprowadził ojca Lucasa przez hol.

Jeden z obszarpańców wrzasnął:

– Niech pana Bóg błogosławi, ojczu! – i padł na kolana na brudną wykładzinę, przyciskając czoło



do podłogi.

Ksiądz uczynił znak krzyża i ruszył za Garym wąskim korytarzem prowadzącym do kuchni i wejścia do piwnic.

Gary otworzył je, sięgnął do środka i zapalił światło.

– Proszę tylko uważać na nogi, dobrze? Tam na dole jest cała kupa śmieci. Skrytki są na tyłach, pod ścianą. Jest tam taka afrykańska figura, są tuż za nią.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Gary odszedł, ojciec Lucas zaś ruszył ostrożnie na dół. U stóp schodów przystanął na moment i rozejrzał się wokoło. Piwnica była absolutnie cicha – groteskowy krajobraz odwróconych krzeseł, stojaków na kapelusze, składanych łóżek i sekretarzyków. Dostrzegł „afrykańską figurę” i ruszył w jej stronę, przełaząc przez stosy krzeseł i omijając rzędy stolików.

Tu na dole czuł się w szczególny sposób odcięty od świata i ogarnął go znajomy przyptyw klaustrofobii. Nie cierpiał na nią często, nie była też zbyt ostra – pojawiała się jedynie w chwilach stresu. Zdarzało się jednak, że jadąc zatłoczoną windą zmuszony był przygryźć policzek, aby nie krzyczeć, że chce wyjść.

Najgorsze było uczucie, że nad głową ma ciężar całego hotelu, tony betonu i stali, wszystkie te wykładziny i meble, schody i ludzi.

Przytrzymał się oparcia krzesła, aby utrzymać równowagę, i na moment zawahał się, dysząc. Nie miał obowiązku otwierania tej skrytki. Mógł odwrócić się na pięcie, wyjść i nikt by się nie dowiedział. Ale przypuśćmy, że on wyjdzie, a tymczasem dostanie się tu ktoś inny, ktoś, kogo celem jest wskrzeszenie Szatana? Co wtedy by sobie pomyślał, kiedy świat pękłby od bieguna do bieguna?

Ojciec Lucas otarł spoconą twarz chusteczką, odetchnął głęboko, aby się uspokoić, po czym podążył naprzód, potykając się o meble niczym kulawy kozioł. Wreszcie jednak dotarł do skrytek. Minął afrykańską damę o gustownych cycusiach, po czym zdołał wdrapać się na szczyt stosu skrytek. Zadyszał się przy tym i musiał zdjąć swe grube okulary, by przetrzeć zaparowane szkła. Bóg jeden wie, że nigdy nie byłby w stanie pracować w kopalni.

Znalazł skrytkę numer 531, z nadal otwartymi drzwiczkami. Potrzebował teraz 135. Zsunął się na bok stosu i zepchnął z niego górny rząd skrytek. Ostatecznie udało mu się usunąć go z drogi przy pomocy metalowego drążka, do przeciwnego końca którego przymocowana była strzałka, wskazująca drogę do „Baru Pod Gwiazdami”.

Miał szczęście, następne rzędy skrytek nosiły numery 1-199. Same tabliczki z numerami także były nieźle widoczne. Znalazł 135 i wyjął klucz, który Ramone i Martin odkryli w pierwszym schowku.

Już miał go włożyć w zamek, kiedy wydało mu się, że z drugiego kąta piwnicy dobiega jakiś hałas. Spocony, zaczął nasłuchiwać. Znowu. Cichutkie skrobanie, jakby szczury, wydzierające bawełniane wnętrze z tapczanu – albo ktoś skradający się ostrożnie między meblami. Słuchał i słuchał, z kluczem nadal przygotowanym, odgłos jednak nie powtórzył się.

– Wybujała wyobraźnia – powiedział do siebie i wsunął kluczyk w zamek.

Zamek kompletnie się zaciął. Zmagał się z nim, stękając, a kluczyk wpijał mu się w palec. Żałował, że nie pomyślał o tym, by wziąć ze sobą śrubokręt i obcęgi, choć w ten sposób prawdopodobnie udałoby mu się w końcu zepsuć zamek. Jeszcze raz szarpnął klucz, stękając z wysiłku, wreszcie poczuł, że zamek ustępuje.

– Jeszcze raz! – sapnął. – No dalej, ty draniu, otwórz się!

Tak się natężył, że ledwie usłyszał śpiew. Wysoki i czysty, lecz w dziwny sposób nierzeczywisty, mógł równie dobrze dochodzić z bardzo bliska, jak i z bardzo daleka.

*Gruszki są słodsze od jabłek  
jabłka są słodsze niż lzy  
ale najśłodsze jest twoje wspomnienie  
i smutek szczęśliwszych dni.*

Pozwolił sobie na chwilę oddechu, po czym drżącymi palcami przekręcił klucz do końca, czując, jak wewnątrz przesuwają się pordzewiałe tryby.

Śpiew rozlegał się nadal, lecz ojciec Lucas nie słyszał go. Uniósł pokrywę skrytki i zajrzał do środka. Oświetlenie tej części piwnicy było jednak tak kiepskie, że nie mógł dojrzeć absolutnie nic.

– Dalej – rzekł na głos. – Nie ma się czego bać. To nie będzie nic strasznego. Po prostu pazury, bibułka i jeszcze trochę tej owłosionej skóry.

Ostrożnie wsunął tam lewą rękę, obmacując ścianki schowka. Wyglądało na to, że jest pusty. Może ktoś dotarł tu wcześniej i zabrał zawartość. Może szpony i skrawek skóry to wszystko, co zostało.

Sięgnął odrobinę głębiej i jego palce musnęły coś pomarszczonego, giętkiego i lekko tłustego; jak worek z ciężkiej, miękkiej skóry. Zupełnie nie podobał mu się dotyk tego czegoś, mimo to dokładnie zbadał dłonią znalezisko, starając się domyśleć, co to jest. Próbował to podnieść, aby sprawdzić, jak wygląda, było jednak zbyt ciężkie i w dodatku wydawało się, że jest przymocowane do tylnej ścianki skrytki.

Ojciec Lucas wyjął rękę. Znalazł chusteczkę, otarł nią palce i powąchał je. Przedmiot w skrytce miał dziwny zapach, przypominający woń oleju maszynowego z niewielkim dodatkiem ryby.

Nachylił się i wyteżył wzrok, starając się pochwycić choćby najlżejszy zarys przedmiotu wewnątrz schowka.

– Czym ty, u diabła, jesteś? – szepnął. – Jeśli jesteś częścią Szatana, to zdecydowanie wolałbym wiedzieć, którą.

Już miał ponownie sięgnąć do skrytki, kiedy usłyszał wysoki, dziecięcy chichot. Zaalarmowany, uniósł wzrok. Jego serce kurczowo pompowało krew. Z początku nie potrafił stwierdzić, skąd dochodzi śmiech, po chwili jednak na drugim końcu piwnicy dostrzegł twarz. Czy raczej odbicie twarzy w przekrzywionym lustrze zrujnowanej hotelowej toaletki.

Ojciec Lucas zadrżał. Jego wzrok nie był zbyt dobry, ale nie miał cienia wątpliwości, kogo widzi. Wyraźne, nienaturalnie blade rysy płonące jasnym ogniem.

– Boofuls – szepnął.

– Witaj, ojcze. – Boofuls uśmiechnął się. – Co tu robisz? Wtrącasz się? Wtykasz nos w nie swoje sprawy?

Ojciec Lucas przeżegnał się.

– Wszechmogący, wieczny Boże, Słowo Boga Ojca, Jezu Chryste, Panie i Boże wszelkiego stworzenia, który dałeś swoim apostołom moc zdeptania węża i skorpiona – moc którego sprawiła, że Szatan runął z niebios jak błyskawica...

– Ojcze Lucas! – krzyknął Boofuls. – Wplątałeś się w sprawy, które ciebie nie dotyczą i musisz ponieść za to karę! Uważaj na swoje zęby, ostrzegałem cię! Uważaj na zęby!

Ksiądz pochwycił wzrokiem błysk lśniącej bieli w ciemności na dnie skrytki. Był tak przerażony, że nie mógł się poruszyć, dosłownie niezdolny do niczego. Klęczał jedynie z otwartymi ustami. Umysł nakazywał mu zerwać się na nogi i uciekać, ciało jednak odmawiało posłuszeństwa.

– Wścibski ksiądz! – wrzeszczał Boofuls. – Wścibski ksiądz! Wścibski ksiądz!

Jego głos wzniosł się do nieartykułowanego histerycznego pisku.

I wtedy coś wychynęło ze schowka – coś przypominającego lśniącą szarą chrząstkę, grubą splątana kolumnę niewyobrażalnych mięśni i nagich arterii. Nie było to podobne do niczego, co ojciec Lucas kiedykolwiek widział – ślepe, napuchnięte, ze zwisającymi strzępkami ośliszej szarej skóry, cuchnące olejem i martwymi rybami.

– Wszchemogący, wieczny Boże, Boże Ojczy... – bełkotał ksiądz.

Wtedy jednak cienka skóra wokół czubka kolumny powoli odpęzła w tył, odsłaniając rząd za rzędem ostrych jak brzytwa zębów, pięć, sześć – w sumie siedem rzędów, lepkich i ociekających śluzem. Głos zamarł mu w gardle i jedyne, co był w stanie zrobić, to wpatrywać się w przerażającą zjawę, starając się nie wierzyć w jej istnienie. Z całej siły wmawiał sobie, że to tylko koszmarny sen i że lada chwila spadnie ze stosu skrytek i przebudzi się we własnym łóżku.

Nagle jego system nerwowy jakby włączył się na nowo. „Skacz!”, pomyślał. Spóźnił się jednak o ułamek sekundy. Lśniaca szara kolumna zakołysała się lekko w jego stronę i wystrzeliła mu prosto w usta, łamiąc wszystkie zęby. Uderzenie wywichnęło szczękę ojca Lucasa i rozdarło mu całe podniebienie.

Nie mógł krzyczeć; to coś wypełniało mu usta. Krew trysnęła na rzędy skrytek i zaczęła ściekać na podłogę.

Dławiąc się, krzyczał w myślach: „Wypluć! Muszę to wypluć!”, lecz ta rzecz wysliznęła się z jego rąk, giętka, silna, niepowstrzymana.

Wcisnęła się głębiej, w gardło, rozrywając mu przełyk. Ból był tym bardziej nie do zniesienia, że jego płuca były pełne, a tchawica zablokowana i nie mógł oddychać.

Walczył, rzucał się, kopał naokoło, aż wreszcie stracił równowagę i spadł ze stosu skrytek na podłogę. Ogon szarego stwora nadal wystawał mu z ust. Ogon ten przypominał miękki, zwiotczały zwieracz, który kurczył się i rozkurczał za każdym razem, gdy stwór wnikał głębiej.

Podczas upadku coś wbiło mu się w plecy. Sparaliżowany, leżał teraz na złożonym krześle. Oczy wychodziły mu z orbit, twarz zsiniała, z ust spływała krew. A szary stwór przegryzł się aż do żołądka, rozszarpując miękkie błony na strzępy – i sprawiając mu największy ból, jakiego może doświadczyć człowiek.

Było to gorsze niż *seppuku*, najpotworniejsza forma japońskiego samobójstwa, ponieważ ból dochodził z wewnątrz i nie ustępował. Stwór szarpał się i wił nie oszczędzając ani kawałeczka jego wnętrza.

Ogon stwora zniknął w ustach ojca Lucasa. Czuł, jak suchy, pulsujący zwieracz ześlizguje mu się w głąb gardła. Zachłusnął się, kaszlnął, wciągając do płuc krew i skrawki ciała. Dokładnie wyczuwał każdy skurcz i rozkurcz, skurcz i rozkurcz, towarzyszący stopniowej wędrówce stwora w dół. Najbardziej ze wszystkiego przerażała go świadomość, że już jest martwy. Nikt nie byłby w stanie przeżyć takiego uszkodzenia wewnętrznych narządów.

Poczuł napięcie w żołądku. Spojrzał w dół na swój brzuch, wytrzeszczając oczy. Przez moment odniósł wrażenie, jakby miednica pękała mu na kawałki, jakby walił się na niego cały świat, „Boskie Hollywood”, nocne niebo, wszystko. Tona za toną agonii i upodlenia.

– O, Boże, pomóż mi – wybełkotał.

I wtedy szara kolumna wystrzeliła spomiędzy jego ud. Jej zęby były zakrwawione, udekorowane wszystkimi możliwymi kolorami tkanek. Wśród strzępków skóry z trudem dawało się rozpoznać jego własną rozdartą męskość. Kolumna zakołysała się sztywno, długa na ponad metr – napuchnięty członek Władcy Ciemności, sztywny zeń, arogancki, obsceniczny penis Szatana między nogami

księdza. Teraz już wiedział, dlaczego lustro obryzgało go nasieniem. Szatan radował się seksualnym poniżeniem duchownych.

– O, Boże... – szepnął ojciec Lucas.

Jeden po drugim, rzędy zębów znikwały pod skrywającą je skórą. Szary stwór odpełznął od ojca Lucasa z szelestem kurzu, i wcisnął się głęboko pod stopy składanych krzeseł, w najciemniejszy kąt, gdzie skurczył się niczym porzucony worek, czekając na bliski już dzień, bliższy niż kiedykolwiek. Dzień, który nieuchronnie się zbliżał.

A krew ojca Lucasa ściekała, pozostawiając lepkie ślady na podłodze piwnicy, pomiędzy malowane palce stóp afrykańskiej figury. Jedna świnka poszła do miasta, druga świnka została w domu...

\* \* \*

Tego ranka, dokładnie o ósmej, Boofuls tańczył i śpiewał dla June Lassiter w studio 20th Century Fox.

Wykorzystali dekoracje zbudowane dla miniseriale telewizyjnego *Ziegfield Follies*, po części dlatego, że nikt inny ich nie używał, częściowo zaś, ponieważ w ich skład wchodziła scena teatralna. June Lassiter siedziała na samym przodzie na swym reżyserskim krześle, ubrana w brudnobiały komplet od Giorgio Armaniego. Obok niej zasiadła jej główna asystentka i powierniczka jej notatnika, Kathy Lupanek – połączenie nastroszonych włosów, wielkich okularów i radykalnych poglądów.

Obecni byli oczywiście również Morris Nathan i Alison. A także Chubby Bosanquet, dyrektor finansowy Foxa, John Drax – choreograf i Ahab Greene.

Martin usiadł na samym końcu, w ciemności, czując zmęczenie i obojętność. W pewnym sensie modlił się, by przesłuchanie „Lejeune’a” okazało się kompletnym fiaskiem. Gdyby tak się stało, gdyby okazało się, że nikt nie ma najmniejszego zamiaru robić remake’u *Błogosławionego rydwanu* – to może Boofuls wycofałby się do swego lustra i wypuścił stamtąd Emilia.

„Też mi nadzieja”, pomyślał. „Jeśli teoria ojca Quinlana, dotycząca zmartwychwstania Szatana, jest nawet tylko w części prawdziwa, to Boofuls zrobi wszystko, aby dokonać tego, do czego został zrodzony. Tym razem nie będzie już wtrącających się babć. Ani mieczy.”

Wreszcie Boofuls wszedł na scenę i uklonił się. Miał na sobie ciemnobłękitny kostium w stylu małego lorda Fauntleroya, który wypożyczył z garderoby. Patrząc na niego, jak drobiąc nogami wkracza w światła reflektorów, Martin odniósł niesamowite wrażenie, jakby druga wojna światowa, Korea, rock and roll, prezydent Kennedy i lądowanie na Księżycu nigdy nie miały miejsca.

– Czyż nie jest absolutnie czarujący? – wykrzyknęła June i klasnęła w dłonie.

Martina ogarnęło jeszcze większe przygnębienie. Już ją miał – dajcie mu jeszcze pięć minut, a będzie jadła z czarującej ręki Boofulsa.

– To naturalny talent – oznajmił Morris – całkowicie naturalny. Nigdy w życiu nie widziałem podobnej dziecięcej gwiazdy. Mówiłeś, że jak się nazywa? Lejeune?

Morris skinął głową.

– Zgadza się. Ale ty nie martw się o jego imię. Posłuchaj lepiej, jak on śpiewa.

Boofuls ukląkł i zaśpiewał „Smutek szczęśliwszych dni”. Jego głos był tak czysty i przejmujący, że nawet Martin poczuł wzruszenie. June Lassiter bezwstydnie ocierała oczy chusteczką, Morris zaś wydmuchał nos tak głośno, że Kathy Lupanek aż podskoczyła.

Kiedy wszyscy byli już dostatecznie poruszeni, a w niektórych oczach zakręciły się łzy, Boofuls

niespodziewanie zerwał się na nogi i zaczął tańczyć radosnego marsza ze *Słonecznej serenady*. Wymachiwał nogami, podskakiwał, wykręcał piruety, jakby grawitacja nie miała na niego żadnego wpływu. Jego błękitno obute stopy ledwie dotykały ziemi. Ahab Greene zaczął klaskać na długo przed końcem i reszta przyłączyła się do niego. Morris nawet wstał i krzyknął:

– Nieprawdopodobne! Wspaniałe! Tylko popatrz, June! To nieprawdopodobne!

Boofuls zakończył swój taniec i uklonił się głęboko. Nadal nie przestawali klaskać. W końcu, z zarumienionymi policzkami, oddychając ciężko, zszedł po schodach z boku tej niby-sceny i podszedł prosto do Chubby'ego Bosanqueta, całkowicie ignorując June Lassiter.

– No i? – spytał swym wysokim, dźwięcznym głosem. – Zrobi pan to?

– Lejeune... – wtrąciła się June. – Ta decyzja naprawdę nie zależy od pana Bosanqueta.

– To on zajmuje się finansami, prawda?

– No, tak, ale...

– Zatem wszystko w porządku. Wiem, że pani się podobałem, pani Lassiter. Muszę się tylko dowiedzieć, czy pan Bosanquet ma zamiar wyłożyć dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Morris Nathan podszedł do niego i chciał położyć mu dłoń na ramieniu, Boofuls jednak cofnął się szybko.

– Daj spokój, Lejeune – powiedział agent, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Nie podniecaj się tak bardzo. Tylko od pani Lassiter zależy, czy Fox zrobi ten film, czy nie. Nie uważasz, że to lekka beczelność zakładać, że spodoba jej się to, zanim jeszcze miała okazję przeczytać scenariusz albo posłuchać piosenek?

Boofuls nadał się.

– Gdybym nie sądził, że jej się spodobam, nie zadawałbym sobie trudu przychodzenia tutaj.

June Lassiter wstała i podeszła bliżej. Boofuls kiwnął na Martina, aby przyniósł swą przeróbkę scenariusza. Martin podał go jej i powiedział:

– *Błogosławiony rydwan*, całkowita przeróbka. Unowocześniony, ze zmienionymi dialogami, uprawdopodobnioną motywacją postępowania bohaterów i wyostrzoną charakterystyką postaci.

– A co pozwala ci sądzić, że go zaakceptuję? – spytała June. – Pamiętaj, że zaledwie tydzień temu próbowałem mnie przekonać do musicalu o Boofulsie i odmówiłam ci bardzo stanowczo.

– To było wtedy. Teraz jest teraz.

– Powiedz mi zatem, na czym polega różnica.

Martin pogłaskał Boofulsa po włosach. Był jedyną osobą, której chłopiec pozwalał to robić.

– To jest ta różnica i dobrze o tym wiesz. On tańczy i śpiewa lepiej niż Boofuls. Zostanie największą dziecięcą gwiazdą w historii kina.

Kathy Lupanek skrzywiła się, okazując wyraźną niechęć dla wszystkich dziecięcych gwiazd, jakie kiedykolwiek istniały. Lecz twarz June Lassiter stopniowo rozplynęła się w uśmiechu.

– Wiesz co, Martin? Najprawdopodobniej masz rację. Mam zamiar poprzeć ten projekt. Morris, ty i ja powinniśmy pogadać o interesach.

Boofuls powiedział wyraźnie:

– Pan Nathan nie jest moim agentem.

Morris był całkowicie zaskoczony.

– Hej, co ty gadasz? Czyż nie zorganizowałem dla ciebie tego przesłuchania? Musisz przecież mieć agenta! Nie możesz pracować bez agenta! Ten chłopak to prawdziwy *mazik*!

Boofuls podszedł do niego i spojrzał mu w twarz oczami koloru płomienia spawarki.

– Nie *mazik*, panie Nathan. *Dybuk*. Nie diablík, panie Nathan, lecz piekielny demon.

June starała się rozładować napięcie.

– Lejeune, kochanie, pan Nathan ma rację. Musisz mieć agenta, choćby dla ochrony prawnej. To znaczy, jeśli nie chcesz pana Nathana, mogę porozmawiać z twymi rodzicami i zaproponować wielu...

– Ja nie mam żadnych rodziców – przerwał Lejeune. Jego głos był podniesiony, lecz bez wyrazu. June była wyraźnie zakłopotana.

– Musisz mieć kogoś, kto by się tobą zajmował. Legalnego opiekuna.

Boofuls przez chwilę milczał, rozglądając się wokół. Martin znał już to obce, przebiegłe spojrzenie, wilczy wyraz twarzy należący do dorosłego człowieka.

– Moja babcia. Mieszkam z babcią. Ona jest moim legalnym opiekunem.

– Haruję jak wariat, przygotowując to przesłuchanie, i nie dostaję nawet dziesięciu procent podziękowania? – spytał gniewnie Morris.

– Przykro mi, Morris, to zależy od Lejeune’a – odparła June.

Morris odwrócił się w kierunku chłopca i wysunął w jego stronę gruby palec.

– Nie jesteś ani *mazik*, ani *dybuk*. Jesteś po prostu *gilgulem* mojego nieżyjącego współnika, Chaima Seltzera, ot, co!

Martin podszedł do niego i ujął jego ramię.

– Morris, daj spokój. Przepraszam cię. Po prostu z góry założyłem, że Lejeune zechce, abys był jego agentem.

Alison przytuliła się do męża.

– Nie przejmuj się, Morry, zapomnij o nim. Lepiej, że nie będziesz go reprezentował, uwierz mi. Jeśli nie potrafi okazać wdzięczności za to, co dla niego zrobiłeś, to Martin ma rację, daj sobie spokój.

Morris naciągnął swą białą sportową marynarkę głębiej na brzuch.

– Dam sobie spokój, możecie być pewni, że dam sobie z nim spokój. A ty, Martin, z tobą też dam sobie spokój, nie bój się!

– Och, przestań się tak wściekać, Morry, uspokój się – powtarzała kojąco Alison, jednocześnie rzucając Martinowi spojrzenie oznaczające: „Nie martw się, niedługo ochłonie.”

– No, dobrze już, dobrze! – warknął Morris. – Nie jestem zły, jestem miły. Tylko żebym nigdy więcej nie widział twarzy tego dzieciaka, nigdy! I nigdy już nie chcę słyszeć jego imienia!

Boofuls tymczasem w jakiś niezwykle sposób zdołał zatoczyć krąg i stał teraz między Morrisem a wyjściem. Morris przystanął i spojrzał na niego. Chłopiec odwzajemnił mu się spojrzeniem, po czym uśmiechnął się powoli.

– Jest pan pewien, że tego pan chce? Nigdy więcej nie widzieć mej twarzy, nigdy nie słyszeć mego imienia?

– Dokładnie tak, aniołku – odrzekł Morris. – A teraz, jeśli byś mógł nas przepuścić...

Ujmując Alison pod ramię, Morris wytoczył się ze studia na słońce.

– Nie miałem zamiaru go urazić – powiedział Boofuls, obserwując jego odejście.

June Lassiter zaśmiała się.

– Nie przejmuj się Morrisem. Przejdzie mu. A teraz może pójdziemy na kawę i jakieś ciastko i porozmawiamy o tym twoim musicalu? Rozumiesz chyba, że będziemy musieli pogadać też z twoją babcią, skoro opiekuje się tobą.

– Rozumiem – odparł słodko Boofuls, biorąc June za rękę.

Martin ruszył za nimi z narastającym uczuciem grozy. Na Boga, wolałby, żeby Morris nie krzyczał tak na Boofulsa. Jeśli ten zabił Homera Theobalda jedynie za dotknięcie klucza do skrytki depozytowej z „Boskiego Hollywood”, to co dopiero mógł zrobić z Morrisem?

Kathy Lupanek, krocząca obok niego z przyciśniętym do płaskiej piersi notatnikiem, powiedziała:

– Naprawdę nie cierpię dziecięcych aktorów, wiesz? A szczególnie takich słodziutkich i przymilnych jak Lejeune.

Martin nie odpowiedział. Nie wiedział, jak dobry był słuch Boofulsa. Nie był nawet pewien, czy nie potrafi on przeniknąć do jego umysłu i usłyszeć jego milczącego krzyku: „Ty ohydny, potworny sukinsynu! Gdybym tylko miał choć cień szansy, zabiłbym cię! Porąbałbym cię na kawałeczki, tak jak twoja babcia!”

Byli z powrotem w domu na Franklin Avenue dobrze przed jedenastą. Martin chciał się zobaczyć z Ramone, kazał więc Boofulsowi, by został w mieszkaniu i oglądał telewizję.

– A czy pójdziemy później na hamburgera? – poprosił Boofuls zaskakująco dziecinnym tonem.

– Jasne. Jeżeli już jesteś głodny, w lodówce jest trochę mortadeli i ciasto. Tylko nie pij piwa. Może i masz pięćdziesiąt osiem lat, ale nie zmienia to faktu, że jesteś niepełnoletni.

Martin wyszedł z domu podenerwowany i rozdygotany. Czuł się zagrożony. Zjechał w dół Hollywood Boulevard, prowadząc bardzo kiepsko, wpadając na krawężniki i wdając się w dyskusję z kierowcą ciężarówki. Kiedy dotarł do „Reel Thing”, nie mógł znaleźć wolnego miejsca i ostatecznie zostawił wóz na Leland Way, niemal tak daleko od sklepu, jakby parkował na Franklin Avenue.

Ramone stał oparty o ladę, z ciemnymi okularami zsuniętymi na sam czubek nosa, i czytał drobne ogłoszenia w *Variety*. Na widok Martina wyprostował się.

– Hej, wędrowiec powraca z podróży! Gdzie się podziewałeś, człowieku, dzwonię do ciebie od wieków! Byłem nawet u ciebie dziś rano, koło dziewiątej, ale Caparuparelli powiedzieli, że wyszedłeś w interesach.

Martin otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

– Kiedy ci powiem, nie uwierzysz.

– Człowieku – widziałem tego węża-kota. Jestem gotów uwierzyć we wszystko.

– Chodźmy na piwo – zaproponował Martin. – To nie jest coś, o czym można mówić całkiem na trzeźwo.

– Dobrze zatem. Kelly! Zajmij się sklepem przez pół godziny!

Wyszli na gorące przedpołudniowe słońce. Ramone zaczął rozmowę.

– Pytałem panią Capelli o Emilia, ale powiedziała, że nadal ani śladu.

– Czy to wszystko, co mówiła?

Ramone skinął głową.

– Wyglądała na bardzo spiętą, więc nie chciałem jeszcze jej denerwować.

– Nie powiedziała ci o Boofulsie?

– Nie. O co chodzi?

Martin zawahał się. Wreszcie rzekł:

– Przysięgałem sobie, że zachowam to w całkowitej tajemnicy. Na razie jedynymi ludźmi poza mną, którzy znają prawdę, są państwo Capelli, a i pan Capelli dowiedział się jej jedynie przez przypadek, choć przypuszczam, że miał prawo wiedzieć. W końcu Emilio to jego wnuk. Ale, do cholery, nie mogę już dłużej. Nie potrafię być jedynym właścicielem tego sekretu, skoro mogę podzielić się nim z przyjacielem takim jak ty.

Ramone zatrzymał się nagle na samym środku chodnika, a idący tuż za nim punk zderzył się z nim gwałtownie.

– Hej, człowieku, uważaj! – zaprotestował chłopak. Ramone jednak uciszył go groteskowym błyskiem oczu, jak Mick Belker w *Posterunku przy Hill Street*.

- Co mi próbujesz powiedzieć? – spytał ostro Martina. – Co się, do diabła, stało?
  - Lugosi przeszedł przez lustro – powiedział Martin. – Ten piekielny kot z niego wyszedł.
  - Jedź dalej – popędzał go Ramone.
  - A potem... Emilio przeszedł przez lustro... i zgadnij, kto wyszedł zamiast niego?
- Ramone spojrzał na niego z przerażeniem.
- Boofuls – szepnął. – O Jezu, Boofuls.

\* \* \*

Krótko przed jedenastą Boofuls wstał z kanapy, podszedł do telewizora i zgasił go. Następnie z rękami spuszczoneymi po bokach pomaszerował prosto do lustra i zawołał:

- Emilio! Emilio! No, wychodź! Emilio!

Po krótkiej chwili Emilio wszedł do lustrzanego pokoju. W rękach niósł wielkiego pręgowanego kota, tak ciężkiego, że zdołał go uchwycić tylko pod przednie łapy. Reszta ciała zwierzęcia zwisała na dół, kołysząc się lekko w rytm kroków chłopca. Oczy kota były zmrużone z niezadowolenia.

- Nie powinieneś nieść Gałki w taki sposób – upomniał go Boofuls. – Ona tego nie lubi.

Emilio opuścił kota na podłogę. Jego ręce były całe poznaczone czerwonymi pręgami zadrapań.

- Jest taka ciężka.

– Po prostu dobrze wykarmiona, to dlatego – odparł Boofuls. – Zjada języki gaduł i pleciug, pije krew wścibskich ludzi i nie lubi nikogo, kto kocha ją mniej ode mnie.

– Ja ją kocham – powiedział Emilio. Wyglądał na wygłodzonego i wyczerpanego. Jego podkoszulek był przybrudzony, a na skroni widniał szkarłatny siniak, jakby ktoś go tam uderzył. *W lustrzanym świecie wszystko, nawet sama chrześcijańska moralność, jest odwrócone z lewa na prawo.*

- Chyba jest obrażona – stwierdził Boofuls. – Czy dobrze się nią opiekowałeś?

Emilio przytaknął.

- Bawię się z nią i głaszczę ją, nawet kiedy mnie drapie.

- Wszystkie koty drapią – zauważył Boofuls tonem pełnym potępienia.

Miał właśnie podejść bliżej do lustra, gdy usłyszał kroki na schodach.

- Ciii – szepnął do Emilia i zaczął nasłuchiwać.

Ktoś wchodził na podest. Nie Martin, kroki nie były dość ciężkie. Nie pani Capelli – na to były stanowczo za szybkie. Zmarszczył brwi i czekał. Emilio czekał również, wstrzymując oddech, w nagłej nadziei, że oto wreszcie ktoś przybywa, aby go uratować.

Usłyszeli pukanie do drzwi mieszkania, potem następne. Boofuls czekał w bezruchu, nic nie mówiąc. Dziewczęcy głos zawołał:

- Hej-hej, Martin!

- Idź już – polecił Boofuls.

- Ale przecież jeszcze nie... – zaczął Emilio.

- Idź! – warknął Boofuls. – W przeciwnym razie nigdy ci nie pozwolę, nigdy!

Emilio niechętnie opuścił lustrzany pokój i zniknął za drzwiami. Jednak kot, Gałka, pozostał, przyczajony na kanapie z podwiniętymi przednimi łapami.

- Zostań tam – powiedział mu Boofuls, choć kot nie zdradzał najmniejszej chęci odejścia.

Boofuls podszedł do drzwi mieszkania i otworzył. Na zewnątrz, w podkoszulku bez rękawów i w niezmiernie obcisłych, szmaragdowych satynowych szortach, stała Maria Bocanegra, sąsiadka. Jej błyszczące czarne włosy zaczesane były mocno do tyłu, purpurowe usta lśniły, a paznokcie migotały



jaskrawym fioletem. Na nogach miała szmaragdowozielone szpilki i złana była wystarczającą ilością Obsession, by stłumić każdy zapach, który ośmielił się pojawić w promieniu dwudziestu stóp.

Miss Złego Smaku 1989.

– Tak? – spytał Boofuls z niewinnym wyrazem białej twarzy.

– A kimże ty jesteś? – Maria uśmiechnęła się do niego. – Czy nie jesteś po prostu słodki?

– Nazywam się Lejeune. Martina nie ma w domu. Ale może pani wejść i poczekać na niego, jeśli pani chce.

– Czyż to nie miłe z twojej strony? – zachichotała dziewczyna. – Gdyby wszyscy mężczyźni byli tak mili, jak ty! Ale słuchaj, nie mogę zostać! Chciałam tylko zaprosić Martina na imprezę u mnie w sobotę. To będzie szalona, szalona zabawa, salsa i tak dalej, wyobrażasz sobie? A ponieważ Martin uwielbia południowoamerykańskie rytmy, jestem pewna, że chętnie przyjdzie! Czy możesz mu przekazać, że zaczynamy o dziewiątej wieczór?

– Za chwileczkę wróci – odparł nieporuszony Boofuls.

– Cóż, jeśli nie potrafisz zapamiętać wiadomości, to zadzwonię później. Ale teraz naprawdę muszę lecieć!

– Wolno mi poczęstować panią kieliszkiem wina – oznajmił Boofuls.

Maria była oczarowana.

– Czy tak powiedział Martin? Jeśli do drzwi zapuka oszalamiająca kobieta, to wolno ci poczęstować ją kieliszkiem wina?

Boofuls przytaknął.

– Hmm – powiedziała Maria. – Mówiłeś, że jak długo go nie będzie?

– Tylko minutkę. Proszę wejść, proszę pani. Wiem, że będzie zachwycony, gdy panią ujrzy. Zawsze przygląda się pani przez okno.

– Taaak, też o tym wiem. No, dobrze, ale tylko jeden kieliszek wina. Nie chcę przecież, żeby Rico pomyślał sobie, że interesuję się obcymi mężczyznami, prawda?

Boofuls otworzył szerzej drzwi i zaprowadził ją do pokoju stołowego. Maria obeszła cały pokój, kołysząc się na swych wysokich obcasach. Chłopiec stał w drzwiach i obserwował ją ze splecionymi rękami.

– Czyż tu nie ładnie? – skomentowała Maria. – Ale bardzo po męsku. Żadnego kwiatka, poduszki czy choćby ozdóbek z porcelany, nic. Ale, wiesz, z gustem. Zawsze uważałam, że Martin ma gust. A to lustro to naprawdę coś. Czy to antyk?

Boofuls uśmiechnął się. Rozmarzony delikatny uśmiech.

– Podobno przynosi szczęście.

– Naprawdę? – Maria spojrzała na lustro mrużąc oczy. Powinna nosić okulary, ale była zdecydowanie zbyt próżna. Zresztą i tak ciężko by jej było założyć je na te długie sztuczne rzęsy.

– Zgodnie z legendą, jeśli pocałuje się swoje odbicie, to spełni się to, o czym się zawsze marzyło.

Maria wybuchnęła śmiechem.

– Jedyne, o czym marzę, to miliarder. No, ostatecznie może być milioner, wiesz.

– Dalej, proszę spróbować – zachęcał Boofuls. Jego głos był dziwnie głuchy.

– Och, daj spokój, jeżeli pocałuję to lustro, to zostawię na nim tylko wielki, tłusty odcisk ust i tyle. Nic innego się nie zdarzy.

Boofuls wzruszył ramionami.

– Martin pocałował je i Fox zgodził się zrobić ten musical o Boofulsie, nad którym pracował całe lata.

– Nie nabierasz mnie? – spytała Maria. – Naprawdę mają zamiar to zrobić?

Boofuls skinął głową.

– Dalej, niech pani spróbuje.

Maria zachichotała.

– Czuję się jak idiotka. – Mimo to jednak, kręcąc biodrami, podszła do lustra i nachyliła się tak, że jej twarz była tuż przy szklanej tafli. – Co mam zrobić – najpierw wyrazić życzenie, a później pocałunek, czy odwrotnie?

– To nie ma znaczenia.

– W porządku – odparła, zamykając oczy. – Życzę sobie, żebym spotkała mężczyznę wartego netto miliard dolarów i przy okazji, żeby był też przystojny. Nie chcę jakiegoś starucha z twarzą jak pomarszczona dynia.

Przycisnęła usta do chłodnej powierzchni lustra, nadal nie otwierając oczu. Nad jej głową złocone, ślepe oblicze Pana szczyrzyło zęby z demoniczną radością.

– Mmmff – powiedziała, po czym natychmiast: – Mmmmmfffff! – bowiem nie mogła oderwać warg od szkła.

Szaleńczo zamachała rękami i z całej siły uderzyła pięściami o lustro. Lustro jednak powoli, niepowstrzymanie wciągało ją do środka, tak że cal po calu znikła wewnątrz własnego odbicia. Najpierw twarz, tak że jej głowa przypominała teraz wąską piłkę porośniętą wściekle potarganymi włosami. Następnie – kiedy jej głowa zmalowała do ciemnego skrawka – prawdziwa szyja złączyła się z lustrzaną niby zakrzywiona rura.

Przez cały czas stopniowego wnikania w lustro Maria walczyła, kopiąc dziko na wszystkie strony i waląc rękami w zwierciadło. Co chwila sięgała w tył, desperacko błagając Boofulsa o pomoc.

Boofuls jednak pozostał na swym miejscu, obserwując ją z pogodnym uśmiechem. Podczas gdy dziewczyna znikła w głębi lustra, nucił do siebie:

*Gruszki są słodsze od jabłek  
jabłka są słodsze niż lzy.*

Ponieważ w jej zasięgu nie było niczego prócz tafli zwierciadła, Maria z całej siły wsparła ręce o lustro w ostatniej próbie ocalenia. Jej dłonie zaczęły sunąć po szkłe z przykrym odgłosem tarcia. Ale ssanie było zbyt potężne i jej ręce także pogrążyły się w lustrze.

W końcu po Marii nie pozostało nic prócz jej kostek i stóp – dwóch oddzielnie wystających trójkątów ludzkiego ciała zakończonych zielonymi pantoflami. Jedna stopa zadrzała i została pochłonięta, druga natomiast trwała nieruchomo. Cieniutka strużka krwi spłynęła po łydce i skapnęła z metalowego fleku, zanim noga zniknęła ostatecznie. Upadła na podłogę i pozostała tam – jedyny ślad odejścia Marii.

Boofuls zbliżył się do lustra i wbił wzrok w odbicie pręgowanego kota, siedzącego na krześle.

– Teraz, moje śliczne kochanie – szepnął i wyciągnął ręce.

Powieki kota, dotąd zamknięte, uchyliły się odrobinę. Zwierzę uniosło głowę i spojrzało na niego wyniośle.

– No, dalej, moje śliczne kochanie – wabił ją Boofuls.

Wreszcie kot wstał, przeciągnął się i ziewnął, po czym zeskoczył z krzesła na podłogę. Podbiegł do lustra i zaczął obwąchiwać Boofulsa. Spuścił głowę i powąchał kroplę krwi, jedyne, co zostało po Marii.

– Dalej, miła pani – szepnął Boofuls, a jego szept był urażony i jednocześnie rozkazujący.

Kot cofnął się odrobinę, zawahał, po czym skoczył. Wyprysnął z lustra wprost w ramiona chłopca. Boofuls zachwiał się i cofnął się dwa lub trzy kroki pod ciężarem Gałki, zatopił jednak swe drobne dłonie głęboko w jej futrze. Uniósł ją przed sobą i zaczął rozciągać.

Kot syczał i pluł na niego, on jednak trzymał go mocno i ciągnął jeszcze silniej. Rozległ się odgłos, przywodzący na myśl rozrywany materiał i brzuch kota rozdarł się szeroko. Zmierzwione futro rozdzieliło się, odsłaniając lśniące ciało, mieniące się czerwienią i fioletem. Boofuls przerwał, ciężko dysząc, potem jednak ponownie zaczął rozrywać zwierzę. I wtedy stało się coś niezwykłego.

Z brzucha kota wyłoniła się kobieca twarz. Kobieca głowa. Była kompletnie łysa, oczy miała zamknięte i pokrywała ją gruba warstwa śluzu. Była to szczupła twarz o wystających kościach policzkowych, piękna i surowa, a kiedy Boofuls coraz bardziej rozdzierał brzuch kota, pojawiła się jej szyja, następnie ramiona – i Gałka była już tylko brzydką fałdą, zwisającą z pleców kobiety, zasuszoną głową lisa na końcu futrzanego szala.

Transformacja była niezwykła i bardzo powolna. Podczas gdy Boofuls rozciągał ciało kota szerzej i szerzej, kobieta wysuwała się z niego z wdziękiem i godnością, niczym w chińskiej magicznej sztuczce. Kiedy zdarł ostatnie szczątki kota z jej łydek i stóp, stanęła naga, wysoka i milcząca. Jej oczy były nadal zamknięte, z ramion unosiła się cuchnąca para, jakby kobieta dopiero co się urodziła.

Gałka była już tylko pustym workiem pręgowanego futra, niczym więcej – podartym, zniszczonym workiem.

Boofuls cofnął się kilka kroków i usiadł na kanapie, krzyżując nogi.

– No, miła pani – powiedział i uśmiechnął się. Kołysał się w przód i w tył.

Kobieta trwała nieruchomo przez prawie pół godziny. Jej oczy pozostawały zamknięte. Stopniowo pokrywający jej ciało śluz zaczął wysychać. Była bardzo szczupła i bardzo blada. Jej skóra miała barwę kości słoniowej, z przebijającą przez nią siateczką błękitnych żył. Piersi były małe i sterczące, brodawki tak bladoróżowe, że prawie niewidoczne. Kości biodrowe odznaczały się wyraźnie. Otworzyła oczy. Tęczówki miały kolor białych bursztynów, źrenice były rozszerzone i niewidzące.

– Panno Redd – uśmiechnął się Boofuls.

Panna Redd odpowiedziała mu tym samym. Jej uśmiech był niepewny, jak u kogoś świeżo wyrwanego ze snu.

– Wróciliśmy – powiedział Boofuls. – Nie cieszy się pani, panno Redd? Po tych wszystkich latach nareszcie wróciliśmy.

Panna Redd wygięła szyję w tył i zatoczyła głową koło, by rozruszać mięśnie. Następnie zaczęła ruszać ramionami. Mrużąc oczy rozejrzała się wokół, próbując ustalić, gdzie się znajduje, jaki to dzień, który rok. Wyglądała bardzo interesująco. Mogłaby być modelką Vogue'a. Było w niej coś tylko na poły ludzkiego, coś kociego i drapieżnego, jakby zrzuciwszy kocie ciało zachowała jednak kocią duszę.

Boofuls podszedł do niej i dotknął jej uda.

– Gałka-siostra-wiatru – powiedział z uśmiechem.

Panna Redd przesunęła swe długie palce po złotych lokach chłopca.

– Nigdy więcej – szepnęła.

– Może się pani umyje? – zaproponował Boofuls. – Potem znajdę pani coś do ubrania.

– Zawsze byłeś najlepszym z chłopców – powiedziała panna Redd.

– Niedługo wróci Martin... mamy niewiele czasu.

– Martin? – powtórzyła kobieta.

– To on kupił lustro... i przywiózł je tutaj. Nasz zbawca, jeśli tak można powiedzieć. Pisze dla

filmu. Ma zamiar pomóc nam ukończyć *Błogosławiony rydwan*. Panna Redd, nareszcie stało się. Wszystko pójdzie wspaniale. Fox chce zrobić ten film, wszyscy są nim zachwyceni – wreszcie to się stało.

Panna Redd uklękła na jedno kolano, ujęła dłoń Boofulsa i ucałowała ją.

– Mój Panie – szepnęła.

Następnie pochyliła głowę, aż jej czoło wsparło się o drewnianą podłogę, i powtórzyła:

– Panie mój... któremu oddaję cześć.

Boofuls nachylił się, musnął palcem podstawę jej kręgosłupa i przesunął nim wzdłuż pleców kobiety, między jej nagimi łopatkami. Pozostała nieruchoma, w pokorze, tak jak trwałaby w bezruchu, nawet gdyby jego paznokieć był ostrzem brzytwy, rozcinającym ją z góry na dół.

– Jesteś najniższą ze sług – powiedział jej. – Najgorszą, najpodlejszą suką.

– Panie – szepnęła i otworzyła szeroko usta, przyciskając je do podłogi, liżąc nagie deski, po których stapały stopy jej mistrza.

\* \* \*

Martin i Ramone weszli na górę jakąś godzinę później. Ramone spieszył się, chcąc na własne oczy ujrzeć żywego, wskrzeszonego Boofulsa. Czuł niecierpliwość, ale i strach. Wszystko to nieco za bardzo przypominało mu to, co kiedyś działo się w domu jego babki. Babka twierdziła, że jest czarownicą i przyrządzała mikstury z rumu, prochu strzelniczego i korzenia lukrecji. Mikstury te miały być podobno panaceum na wszystko, od brodawek na dłoniach do zapalenia płuc.

Dotarli do drzwi mieszkania. Ramone położył swą lekko drżącą rękę na ramieniu przyjaciela i powiedział:

– Lepiej, żebyś nie wciskał mi jakiejś ciemnoty.

– Sam mówiłeś, że gotów jesteś uwierzyć we wszystko – odparł Martin.

– No, nie jestem tak do końca przekonany. To znaczy, gdybym na przykład umarł i nie zdawał sobie z tego sprawy, a ktoś przyszedłby do mnie, aby mi powiedzieć, że nie żyję, nie miałbym specjalnej ochoty w to akurat uwierzyć. A przede wszystkim wolałbym, żeby mnie nikt nie informował.

Martin miał właśnie otworzyć drzwi do pokoju, kiedy ktoś przekreślił klamkę od wewnątrz i rozwarł je, szybko i dramatycznie. Stała w nich wysoka dziewczyna, ubrana wyłącznie w jedną z jego kraciastych koszul, przepasaną ciasno w talii krawatem – jednym z dwóch, jakie posiadał. Czerwonym. Używał go, kiedy szedł na rozmowę do IRS. Czarny był na pogrzeby. Głowa dziewczyny owinięta była turbanem, sporządzonym z czerwonego ręcznika. Boofuls ciągle siedział uśmiechnięty na kanapie, ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądał jak mały Budda.

– Zobacz, kto przyszedł z wizytą! – krzyknął triumfalnie.

– Ach, tak? – spytał Martin. – Kto to?

– To panna Redd! – zaśpiewał Boofuls. – Mówiłem ci, że przyjdzie!

Martin wszedł do pokoju i obejrzał pannę Redd od stóp do głów. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Jej wzrok był wyzywający. Ramone stał tam, gdzie przedtem, nadal wstrząśnięty widokiem Boofulsa. To prawda. Boofuls naprawdę żyje. Jest żywy – i siedzi tu, śmiejąc się i gadając jak normalne dziecko.

– Jak się pani miewa? – spytał Martin. Zabrzmiało to absurdalnie oficjalnie, nie był jednak w stanie wymyśleć nic innego. W jego umyśle tłoczyły się wizje Boofulsa w 1939 roku, spieszącego do „Boskiego Hollywood” z panną Redd u boku, odzianą w czarną pelerynę, szarpaną wiatrem niczym gradowa chmura. Jej spojrzenie było ostre jak brzytwa.

– Wydostał pan Waltera z lustra – powiedziała panna Redd z delikatnym środkowoeuropejskim akcentem. – Powinniśmy być wdzięczni.

Zabrzmiało to dziwnie – ów sposób, w jaki powiedziała „powinniśmy”, zamiast „jesteśmy wdzięczni”. Jakby subtelnie dawała do zrozumienia, że powinni być wdzięczni, lecz nie są; jakby nie odczuwali potrzeby bycia wdzięcznymi komukolwiek.

Martin podszedł do lustra i stanął tam, wpatrując się w swoje odbicie.

– Pani także wyszła z lustra?

Panna Redd uśmiechnęła się. Była wyjątkowo piękna, Martin jednak stwierdził, że jest zbyt szczupła, by być naprawdę atrakcyjną. Jej chudość przywodziła na myśl ofiary anoreksji – jak zagłodzona gazela albo więźniarka wyzwolonego obozu koncentracyjnego.

– Przeszłam z jednego etapu mego życia w kolejny – odparła. – Musi mi pan wybaczyć mój strój, pozwoliłam sobie skorzystać z pańskiej koszuli. Moje ubranie... cóż, moje ubranie zaginęło.

Martin przeszedł do okna i nalał dwa kieliszki wina, nie pytając panny Redd, czy napije się również. Wyjrzał na podwórko, ale Marii nie było w pobliżu. Jej materac był pusty, pogięty egzemplarz *Opowieści* Harolda Robbinsa leżał na obtłuczonym szklanym blacie ogrodowego stolika. Jedna z serwetek unosiła się na wodzie. Martin podał Ramone kieliszek i sam przełknął niemal duszkiem połowę zawartości drugiego.

Panna Redd obserwowała go z twarzą pozbawioną wyrazu. Boofuls uśmiechał się i nucił „Smutek szczęśliwszych dni”.

– Kim pani jest? Opiekunką Boofulsa czy czymś podobnym? – spytał Martin.

– Można to tak określić.

– Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, aby w ogóle potrzebował opiekunki. Świetnie sobie sam radzi, takie odnoszę wrażenie.

– Istnieją pewne rzeczy, których nie jest w stanie zrobić sam – odparła panna Redd.

– Na przykład czego? – chciał wiedzieć Martin. – Na razie poradził sobie ze wszystkim.

Panna Redd uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała.

– Cóż, jeśli przybyła pani z lustra, to musi pani wiedzieć, gdzie jest teraz Emilio.

– Tak – zgodziła się z nim panna Redd. – Musiałabym wiedzieć. Gdybym przybyła z lustra.

Martin dopił wino i odstawił pusty kieliszek na biurko.

– Jeśli nie z lustra, to jak się tu pani dostała? Wędrując nago po Franklin Avenue?

Dziewczyna wciąż się uśmiechała.

– Emilio jest zupełnie bezpieczny – oznajmiła. – To taki czarujący chłopczyk, nieprawdaż? Uroczy, choć raczej poważny.

– Ostrzegałem już Boofulsa i ostrzegam też panią. Jeśli spadnie mu choć włos z głowy, zabiję was.

Panna Redd skinęła głową.

– Tak, naprawdę wierzę, że zrobiłby to pan – powiedziała głosem, który brzmiał zupełnie jak głos Grety Garbo. – Ale zupełnie nic by to panu nie dało. Ponieważ gdyby nas pan zabił, tym samym utraciłby pan możliwość sprowadzenia Emilia z powrotem na tę stronę lustra. Byłby tam uwięziony na zawsze, tak jak my z Boofulsem byliśmy tam uwięzieni.

Ramone potrząsnął głową niczym pies, starający się wytrząsnąć osę z ucha.

– Martin – powiedział. – Musimy opanować całą tę sytuację. Rozumiesz, ci ludzie włożą ci na głowę. I, Jezu, Martin, to nie są nawet prawdziwi ludzie!

Panna Redd odwróciła się do niego i wyciągnęła rękę.

– Proszę – rzekła zimno. – Proszę wziąć moją dłoń.

Ramone zawahał się przez moment, potem jednak wyciągnął swoją. Panna Redd natychmiast

ścisnęła ją mocno i wbiła paznokcie w jego przegub. Ramone krzyknął głośno:

– Auu! Hej! To boli! – Ale panna Redd dalej wbijała w niego paznokcie, coraz głębiej.

– Na miłość boską, jesteś prawdziwa! Prawdziwa! – Ramone uwolnił w końcu rękę i gniewnie obejrzał zadrapany przegub. – Co, u diabła, chcesz udowodnić? Jesteś gorsza niż kot!

Boofuls wybuchnął śmiechem.

– Od tej pory panna Redd będzie się mną zajmować. Panna Redd będzie mnie ubierać, karmić i zabierać do wytwórni. Zrobiłeś już swoje, Martin, i jestem ci za to wdzięczny. Ale nie masz już nic więcej do roboty.

– A co z *Błogosławionym rydwanem*? – spytał Martin. – Przypuśćmy, że zażądają jakichś poprawek?

– Panna Redd zajmie się poprawkami. Twoje zadanie jest skończone.

– A Emilio? – wtrącił się ostro Ramone. – Kiedy go wreszcie wypuścisz?

– Kiedy będę miał na to ochotę.

– Posłuchaj tylko tego smarkacza – wykrzyknął Ramone – ma osiem lat, a gada, jakby był moim ojcem albo co. Słuchaj no, gówniarzu...

– Ramone – powiedział ostrzegawczo Martin. – Przestań. Chwilowo Boofuls trzyma w ręku wszystkie atuty.

Boofuls ukrył twarz w dłoniach. Cała trójka przyglądała mu się w milczeniu, wstrzymując oddech. Kiedy wreszcie ją odsłonił, na jego wargach widniał uśmiech. Jego śmiech zabrzmiał jak setka małych, dźwięcznych dzwoneczków.

– Wszyscy wyglądacie na takich przerażonych! – wykrztusił. – Jesteście tacy okropnie, potwornie wystraszeni!

Przez jedną szaloną minutę Martin zastanowił się, czy Boofuls nie robi z nich wszystkich durniów, czy naprawdę ma jakąkolwiek władzę nad Emiliem i czy zagłodzona panna Redd naprawdę pochodzi z drugiej strony lustra. Wtedy jednak Boofuls spojrział na niego przelotnie i Martin ujrzał śmiertelny chłód jego oczu barwy płomienia spawarki i wiedział już, że fakt, iż to dziecko jest opętane przez Szatana, jest tak samo pewny jak to, że każdy człowiek ma za plecami swą własną śmierć.

Boofuls podbiegł do Ramone i złapał go za rękaw.

– Nie powinieneś się bać – powiedział. – Nie masz żadnego powodu do lęku, ani cienia powodu, dopóki będziesz pamiętał, ile czasu mnie nie było i czemu tu jestem, i to, że żaden człowiek, który kiedykolwiek zwrócił się przeciwko mnie, nie pożył wystarczająco długo, by móc się tym szczycić.

Martin widział, jak w jego przyjacielu kipi gniew. Widział, jak zaciskają się jego pięści, jak nabrzmiewają żyły na szyi. „Nie, Ramone, na rany Chrystusa!”, błagał w duchu.

Ramone spojrział na niego. Jego oczy mówiły: „Do diabła z tym”, ale trzymał język na wodzy, uwolnił rękę z uchwytu chłopca, a nawet z wysiłkiem zdołał skrzywić usta w niezłej imitacji przyjaznego uśmiechu.

– A teraz – oznajmił Boofuls – obiecałeś mi hamburgera, Martin. I musimy kupić pannie Redd coś do ubrania. Panna Redd lubi czarny kolor, prawda, panno Redd? Czarny, czarny, czarny! Czarne płaszcze, czarne spódnice, czarne jedwabne pończochy!

Ramone podszedł do przyjaciela i położył mu dłoń na ramieniu.

– Chyba odpuszczę sobie tego cholernego hamburgera, stary. Dasz sobie radę?

– Jasne, nie ma sprawy. – Martin skinął głową w stronę Boofulsa i uśmiechnął się. – Wszystko będzie w najzupełniejszym porządku.

– Big Maca, bez ogórka, dużą porcję frytek i do tego szarlotkę! – zarządził Boofuls.

– Jasne – zgodził się Martin, jego głos zabrzmiał jednak bardzo słabo. Dostrzegł właśnie na

podłódze małą plamkę krwi. Gęstej krwi tętnącej, wciąż jeszcze błyszczącej i wilgotnej. Najstraszniejszą rzeczą nie była jednak jej obecność, lecz to, że we własnym mieszkaniu, w samym środku dnia, nie miał odwagi spytać, skąd się tu wzięła.

\* \* \*

Policja przybyła do Świętego Patryka o drugiej tego samego dnia, by zawiadomić ojca Quinlana, że ojciec Lucas nie żyje.

– Znalaziono go w piwnicy, mniej więcej trzy godziny temu. Recepcjonista był tak naćpany, że nie pamiętał nawet, czy go tam wpuszczał. Jego ciało było zmasakrowane. Jakiś wariat, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Ale co właściwie robił pięćdziesięcioletni ksiądz w „Boskim Hollywood” tak późno w nocy? Jakby sam napraszał się kłopotów.

Ojciec Quinlan wpatrywał się w śniade oblicze siedzącego naprzeciwko policjanta. Zastanowił się przelotnie, jak to możliwe, by taki człowiek mógł przynosić podobnie tragiczne wieści. Wyglądał bardziej na komika niż policjanta. Miał obwisłe policzki, okrągły, wydatny nos i włosy, które zbiły się z tyłu głowy niczym papuzie pióra.

– Czy wie pan, jak zginął?

Policjant donośnie pociągnął nosem i potrząsnął głową.

– W tej chwili oglądają go lekarze. Ale był cały poszarpany. Dlatego właśnie twierdzę, że to sprawa wariata. No i oczywiście cała ta piwnica jest pełna szczurów. One także nieźle go doprawiły, dołożyły swoje trzy grosze.

Ojciec Quinlan przytaknął. Czuł się dziwnie odległy, jakby tak naprawdę nic się nie stało. Widział z niezwykłą dokładnością każdy szczegół twarzy mężczyzny. Dostrzegł płatki łupieżu na kołnierzu jego jasnobrązowej sportowej marynarki. A jednak miał wrażenie, że wcale go tu nie ma. Nie, że śni – że jest nieobecny.

– Nie możemy tylko zrozumieć – kontynuował policjant – co on robił w piwnicy najpaskudniejszej speluny w całym mieście? Ksiądz jak on?

– Być może... – zaczął ojciec Quinlan, ale widząc, jak policjant szybko unosi brew, błyskawicznie się opamiętał – być może szukał tam starych mebli. Zawsze potrzebujemy krzeseł i stołów, wie pan, do naszych klubów młodzieżowych i kółek modlitewnych.

– O tej porze, w nocy? – spytał policjant, wydymając z niedowierzaniem wargi.

– To tylko przypuszczenie.

Policjant zmarszczył brwi i zastanowił się przez chwilę.

– Muszę pamiętać, żeby po drodze do domu kupić pieczeń i żeberka. Inaczej żona mnie zamorduje.

– Jeśli coś mi się przypomni...? – powiedział ojciec Quinlan.

– Jasne. Proszę dzwonić o każdej porze, tu jest numer. Niech pan prosi Hectora. Po prostu Hectora. Albo Fernandezę, to mój partner.

– Jeszcze jedno. Czy ojciec Lucas miał może przy sobie jakąś paczuszkę? Zawiniątko w czarnej bibułce?

Policjant wyjął z kieszeni notes, poślinił palec i zaczął przewracać kartki.

– Portfel, klucze, trochę drobnych, chusteczka, to wszystko. Żadnej paczki. W samochodzie też nie.

– No, cóż – odparł ojciec Quinlan, starając się, aby zabrzmiało to, jakby sprawa była całkiem błaha. – Może zostawił ją w domu.

– Tak, to możliwe – zgodził się policjant.

Ksiądz odprowadził go do drzwi.

– Przepraszam, ojcie, że przyniosłem panu tak przykrą wiadomość. To wszystko, z czym mam do czynienia w tej pracy – same złe nowiny.

Ojciec Quinlan skinął głową i rzekł:

– Nieważne. Niech pana Bóg prowadzi.

– Dzięki, ojcie.

– I niech pan nie zapomni o pieczeni.

– No, chyba.

Ojciec Quinlan zamknął drzwi swego gabinetu i przez długą chwilę stał nieruchomo, oszołomiony, zasmucony i nieco przerażony. Nie tylko udzielił fałszywych informacji przedstawicielowi prawa, ale także, pośrednio, bronił Szatana. Zdradził swe święte powołanie księdza i jeszcze bardziej przybliżył dzień Apokalipsy.

Lecz jak mógł inaczej postąpić? Policja nigdy nie uwierzyłaby w to, że ojciec Lucas szukał rozproszonych szczątków prawdziwego Szatana. A nawet gdyby uwierzyli, to i tak w niczym nie mogli pomóc. Będzie musiał natychmiast skontaktować się z Martinem Williamsem i ostrzec go, że szpony i włosie zniknęły bez śladu – a najprawdopodobniej zawartość drugiej skrytki została zabrana również.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił pod numer Martina. Telefon nie odpowiadał. Ale przecież Martin zostawił mu też swój adres na Franklin Avenue, może powinien tam pojechać i zostawić mu wiadomość. I tak chciał mu złożyć wizytę, aby na własne oczy obejrzyć lustro Boofulsa.

Ojciec Quinlan nabazgrał szybko list, polizał kopertę, zakleił ją, po czym przeczesał włosy, naciągnął wymiętą lnianą marynarkę, zamknął na klucz gabinet i wyszedł na zewnątrz, na parking należący do kolegium. Było gorące słoneczne popołudnie. Jego cień podążał za nim przez parking niczym posłuszny czarny pies. Wsiadł do swego starego grand prix i zapuścił motor.

Jechał wolno i ostrożnie. Połowa przedniego zderzaka samochodu zwisała bezwładnie, głucho telepiąc się podczas jazdy. Nigdy nie miał technicznych zainteresowań. Od czasów młodości fascynowały go mity i legendy dotyczące Dobra i Zła, rzekomo realnego świata demonów i aniołów. W roku 1954 został ordynowany jako egzorcysta, choć tylko raz w życiu miał do czynienia z prawdziwym szatańskim opętaniem młodej dziewczyny u Świętego Jana Kapistrana, której w jakiś sposób udawało się osmalić ściany każdego pomieszczenia, w jakim przebywała.

Nawet teraz pamiętał słowa biskupa: „Ze względu na swój urząd musisz nauczyć się opanowywać wszelkie niedoskonałości. W przeciwnym razie nieprzyjaciel może zawładnąć częścią ciebie i uzyskać nad tobą kontrolę. Bowiem zaprawdę wtedy jedynie zdołasz zwalczyć sztuczki nieczystych duchów, gdy najpierw uda ci się obronić przed nimi swą własną osobę.”

Po latach ojciec Quinlan zaczął wierzyć w obecność demonów. Nie takich z rogami i kopytami, lecz nie mniej złych. Wyczuwał ich wpływ w działaniach najzwyczajszych nawet ludzi, widział ich oczy wyglądające z twarzy polityków, finansistów, gwiazd filmowych i ulicznych przechodniów.

Istniał specjalny wyraz twarzy, który ojciec Quinlan nauczył się rozpoznawać. Jedynie demon spoglądał na księdza w taki sposób. Chłodny, ponury i przeraźliwie wrogi. I można go było dostrzec wszędzie, w najmniej spodziewanych miejscach. W oczach kierowcy autobusu. W bankowym okienku w Wells Fargo. U sprzątaczkę myjącej schody ratusza.

Z jego wiary w demony rozwinęła się wiara w samego Szatana. Tak naprawdę to zawsze wierzył w jego istnienie, teraz jednak wiedział już na pewno, że przepowiednie zawarte w Objawieniu Świętego Jana oparte są na potwierdzonych faktach. Szatan został pokonany przez Archanioła Michała, miał jednak pojawić się ponownie. Nie jako człowiek, lecz w swej prawdziwej demonicznej postaci: smoka sprowadzającego śmierć i zniszczenie.



I niebo stanie się czarne, a ulicami popłynie krew niewinnych.

\* \* \*

Ojciec Quinlan w żółtym tempie jechał Santa Monica Boulevard, nucąc nerwowo. Było mu gorąco i niewygodnie, bowiem klimatyzacja grand prix nawaliła, a nie mógł sobie pozwolić na jej naprawę. Znalazł w kieszeni spodni wymiętą papierową chusteczkę i otarł nią twarz.

Zwolnił jeszcze bardziej. Utkwił między dwiema ciężarówkami: pustą platformą z przodu i wielką mięsną chłodnią za plecami. Ryk zmienianych biegów i smród diesli sprawiły, że poczuł się jeszcze gorzej. Zirykowało go, że nawet gdy dotarł wreszcie do świateł, nie zdołał wydostać się spomiędzy ciężarówek, bowiem zablokowała go błyszcząca czerwona corvette, z której wylewał się łomot Beastie Boys.

Zerknął w tylne lusterko. Widać w nim było jedynie oślepiająco jasny chromowany zderzak ogromnej ciężarówki Kenworth Trans Orient i jego własne oczy. Światło zmieniło się i platforma z przodu ruszyła powoli. Kiedy jednak ojciec Quinlan próbował wrzucić bieg, stwierdził, że jego sprzęgło zablokowało się.

Klakson wielkiej ciężarówki z tyłu zatrąbił ogłuszająco. Ojciec Quinlan opuścił szybę i zamachał do kierowcy, aby ten spróbował go wyminąć. Samochody stały jednak zbyt blisko siebie i wszelkie manewry były niemożliwe. Klakson zatrąbił ponownie i tym razem towarzyszył mu chór innych aut, zablokowanych w korku.

Cały zlany potem, ojciec Quinlan zmagał się ze sprzęgłem. Miał nadzieję, że Bóg wybaczy mu to, co myślał w tej chwili o kierowcach ciężarówek i mechanice samochodowej. Kierowca Kewnwortha wychylił się z kabiny i ryknął:

– Zabierz tę kupę złomu, ty skurwysynu!

– Próbuję! Sprzęgło mi się zablokowało!

Kierowca ciężarówki ponownie nacisnął klakson, tym razem nie odrywając od niego dłoni, i ojciec Quinlan poczuł, że coś zaczyna się w nim gotować. Spojrzał na swe odbicie w lusterku i ujrzał, że jest blady, jego oczy płoną zimnym błękitem i że to w ogóle nie jest jego twarz.

– Spiskowałeś przeciwko mnie, ojciec – szepnęło oblicze w lusterku.

Ojciec Quinlan wpatrzył się w nie z przerażeniem. Z ust wyrwał mu się cichy skowyt. Jeszcze mocniej naparł na sprzęgło. To było dziecię Szatana, ten, który przybywa pierwszy, by przygotować zmartwychwstanie ojca. Wiedział o tym; wiedział też, jaką obdarzone jest mocą i jak bardzo potrafi być okrutne. Dlatego właśnie z całej siły walczył ze swym wozem. „Zostaw mnie! Na miłość Boską, zostaw mnie!”

Klakson ciężarówki zaryczał niczym wściekły smok.

*I zwodzi mieszkańców ziemi, mówiąc mieszkańcom ziemi, by wykonali obraz Bestii, która otrzymała cios mieczem, a ożyła.*

Ojciec Quinlan zacisnął obie ręce na sprzęgle, szarpiąc je w przód i na boki. Jego twarz całkiem poczerwieśniała. Pot spływał mu po policzkach.

– Przez całe swoje życie knułeś i spiskowałeś przeciwko mojej osobie, ojciec, i teraz nadszedł dzień zapłaty. Ci, którzy umyśłem działają przeciwko mnie, muszą go utracić.

Moment maksymalnego oporu. Nagle sprzęgło zaskoczyło i samochód z rykiem silnika runął naprzód, przez skrzyżowanie, prosto na tył platformy, która stała przed nim wcześniej, a teraz zatrzymała się na kolejnych światłach.

Ojciec Quinlan wściekle nacisnął pedał hamulca, ten jednak zapadł się po prostu w podłogę, nie

stawiając najmniejszego oporu.

– Oszust! – krzyczała blada twarz w lusterku. – Kłamca!

Ojciec Quinlan ujrzał tył ciężarówki zbliżającej się z ogromną prędkością, drugi wóz był tuż za nim, i nagle zrozumiał, że oto nadchodzi śmierć.

Nie miał nawet czasu, by choć pomyśleć o modlitwie. Ze zgrzytem i trzaskiem przód grand prix wbił się głęboko pod ciężarówkę i aluminiowa platforma ścięła jego dach dokładnie sto czterdzieści centymetrów nad powierzchnią drogi, prosto przez przednią szybę, prosto w twarz ojca Quinlana, zrywając jego głowę z karku, prosto przez okna i tylną szybę, wysyłając wokoło lśniąca fontannę szkła.

Druga ciężarówka zmiażdżyła tylny zderzak grand prix i wbiła go jeszcze głębiej pod platformę, tak że zniknął prawie całkowicie.

Rozległ się potworny huk. To pękła jedna z opon ciężarówki. A potem zapadła niezwykła cisza.

\* \* \*

Dwie godziny zabrało ekipie remontowej uwolnienie samochodu ojca Quinlana spod ciężarówki. Tłumek ciekawskich stał wokół na chodnikach w gorącym popołudniowym słońcu, patrząc i wyczekując. Niewiele było do oglądania. Sanitariusze zakryli grand prix płachtą folii i podjechali karetką tuż obok. Ciało ojca Quinlana zostało uniesione w górę i schowane do jaskrawoniebieskiego plastikowego worka. Dopiero gdy jeden z sanitariuszy podążył w ślad za wózkiem, niosąc w rękę mniejszy worek, ktoś z tłumu jęknął:

– O, Jezu, to jego głowa.

Martin, Boofuls i panna Redd przejeżdżali obok miejsca wypadku w drodze powrotnej od MacDonalda. Martin zauważył:

– Spójrzcie tylko. Mój Boże, facet musiał zginąć na miejscu.

Boofuls nie odpowiedział, lecz uśmiechnął się do panny Redd i wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń.

\* \* \*

Tego wieczoru Martin zszedł na dół, aby zagrać w szachy z panem Capelli. Wcześniej był na zakupach z listą sporządzoną przez pannę Redd. Cielęcina, kurczę, pełnoziarnisty chleb, świeże owoce i warzywa. Panna Redd oznajmiła, że odtąd ona będzie gotować: Boofuls musiał przestrzegać specjalnej diety. Zaprosiła też Martina, on jednak nie miał ochoty na nic, co przyrzadziła. Wizyta u MacDonalda była dostatecznie okropna. Siedzieć we własnym mieszkaniu i patrzeć, jak oboje jedzą, przypominałoby kolację w kostnicy.

Według niego, oboje byli martwi. Nieważne, jak uroczy był Boofuls i jak uprzejmie zachowywała się panna Redd.

Pan Capelli wyglądał na wyczerpanego, mimo że lekarz przepisał mu Traxen na sen. Pani Capelli wyjechała na resztę tygodnia do siostry w Pasadenie. Jej szwagier był szefem popularnej sieci pralni chemicznych.

Martin i pan Capelli wypili na spółkę sześć butelek piwa i grali w szachy przez ponad godzinę. Bez gospodyni mieszkanie było puste i przygnębiające. Żadnych śpiewów w kuchni, odgłosów siekania czosnku i cebuli, aromatu bolońskiego sosu. Pan Capelli bez przerwy palił krótkie cygara i co chwila popełniał omyłki na szachownicy.

– A ta kobieta – spytał Martina – to kto? Jest prawdziwa? Czy to duch?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że jest tym samym co Boofuls. Rodzaj żywego lustrzanego odbicia.

– Wszystko to bardzo mi się nie podoba – zauważył gospodarz, przesuwając królową. – Mam przeczucie, że jedynie nas wykorzystują, no wiesz, do czegoś jeszcze gorszego, czegoś bardzo złego.

Jak dotąd Martin nie powiedział mu o tym, co ojciec Quinlan mówił na temat drugiego nadejścia Szatana. Przełknął łyk piwa i przestawił wieżę, aby odeprzeć atak królowej pana Capelli. *Szatan nie może żyć i oddychać, dopóki te sto czterdzieści cztery tysiące nie zostaną zmasakrowane.*

– Wiesz, jak się czuję? To mój dom, ale mam wrażenie, jakby już nie należał do mnie. Nie kiedy Emilio jest uwięziony w tym lustrze, a ci ludzie mieszkają na górze.

Martin przytaknął. Dokładnie wiedział, co czuje pan Capelli. Całe szczęście, że firma Stephen J. Cannell przysłała mu właśnie czek za czteromiesięczne przeróbki, bo z Boofulem i panną Redd, którzy bez przerwy kręcili się po mieszkaniu, rozmawiali, śmiali się i snuli plany, nie był w stanie nawet zbliżyć się do swej maszyny. Zresztą i tak najprawdopodobniej nie zdołałby napisać nawet jednego słowa, które byłoby coś warte. Za bardzo martwił się o Emilia. Martwił się też, co właściwie wypuścił na świat.

Szatan? Brzmiało to idiotycznie. Ale ojciec Quinlan wierzył w to jednak, tak samo jak ojciec Lucas. Jeden ksiądz mógł być szalony, ale dwóch?

Ozdobny zegar na sekretarzyku pana Capelli wydzwonił dziewiątą. Niemal dokładnie w tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi.

– Goście? – spytał Martin. – Spodziewa się pan kogoś?

Pan Capelli pokręcił przecząco głową.

– Mój kuzyn Bernardo przyjeżdża w przyszłym tygodniu, ale to wszystko.

– Ja otworzę – zaproponował Martin i podszedł do drzwi.

Na zewnątrz, na podeście, stała panna Redd, ubrana w obcisłą sukienkę z czarnej satyny, kupioną wcześniej tego dnia u Firucciego, czarne pończochy i czarne pantofelki na wysokich obcasach. Ze swymi wystającymi kośćmi policzkowymi i bladą cerą wyglądała zupełnie jak ilustracja z żurnala z lat czterdziestych.

– Nie przeszkadzam – powiedziała bezbarwnym głosem. Jej intonacja ani trochę nie wskazywała na to, aby to było pytanie.

– O co chodzi? – Martin przytknął za sobą drzwi, by gospodarz jej nie widział.

– Chciałam panu powiedzieć, że Lejeune i ja wyprowadzamy się jutro.

– Ach tak?

Panna Redd uśmiechnęła się.

– Właśnie rozmawiałam z June Lassiter z 20th Century Fox. Zaproponowała nam prywatny domek na terenie wytwórni na czas realizacji *Błogosławionego rydwanu*. A więc zapewne z radością przyjmie pan wiadomość, że nie będziemy już więcej nadużywać pańskiej gościnności. Wyjeżdżamy jutro rano.

– A co z lustrem? Zabieracie je ze sobą?

– Właśnie o tym chciałam z panem pomówić – stwierdziła panna Redd. – To lustro nie może zostać przeniesione, jeszcze nie.

– A Emilio?

– Emilio będzie bezpieczny tak długo, jak długo nie będziecie próbowali stłuc lustro albo wydostać go stamtąd.

– Kiedy go wypuścicie?

– Lejeune wyraził się chyba dostatecznie jasno.

– Proszę nie nazywać go przy mnie Lejeune, droga pani – warknął ostro Martin. – To złośliwy i kretyński żart. Jego imię brzmi Walter Lemuel Crossley, znany również jako Boofuls.

Panna Redd posłała mu prowokujący uśmiezek.

– W gniewie jest pan przystojniejszy, wiedział pan o tym?

– I dużo bardziej zdeterminowany – odparł Martin. Jego głos trząsł się z wściekłości. – I jeśli jest coś, co do czego jestem najbardziej zdeterminowany, to jest to odzyskanie Emilia całego i zdrowego. Ile czasu zajmie praca przy tym waszym filmie?

– Piętnaście tygodni. Fox ma zamiar włożyć w niego wszystko, co tylko możliwe. Najlepszych techników, najlepszych choreografów, najlepszych muzyków. Wybrali już Marcusa Leopolda, żeby go reżyserował. Będzie wspaniale.

– I daję mi pani uroczyste słowo honoru, że kiedy go skończycie, uwolnicie Emilia?

– W wieczór premiery uwolnimy chłopca.

W tym momencie do drzwi podszedł pan Capelli, zatrzymał się i rzucił pannie Redd obelżywe spojrzenie.

– Z całego serca przepraszam pana za cały ból, który panu sprawiliśmy. Ale w imię wielkich celów konieczne są czasem ofiary.

– Wyprowadzają się – poinformował gospodarza Martin. – Do chwili ukończenia filmu zamieszkają na terenie wytwórni. Obiecali, że zaraz potem wypuszczą Emilia.

– I jeszcze jedno – dodała panna Redd. – Podczas realizacji filmu nie będziecie próbowali zbliżyć się do nas ani kontaktować się z nami, ani też rozmawiać na nasz temat z kimkolwiek innym. Zachowacie ciszę i spokój i będziecie strzegli lustra.

– Moja panno, prawdziwa z ciebie piekielna zdzira – odezwał się pan Capelli.

Panna Redd powoli i elegancko przesłała mu pocałunek.

– A pan, sir, ma więcej racji, niż sam pan sądzi.

Z tymi słowy odwróciła się, weszła po schodach i zamknęła drzwi mieszkania Martina. Pan Capelli potrząsnął głową.

– Powinniśmy zawiadomić policję, wiesz?

– Tak? I jak pan myśli, co by powiedzieli? Ci ludzie porwali pana wnuka? No, dobrze, a gdzie on teraz jest? W lustrze? Przepraszam pana na chwilę, wezwę tylko ludzi z kaftanem.

– No, tak, masz rację – odparł gospodarz zmęczonym głosem.

Wrócili do mieszkania i zatrzasnęli za sobą drzwi.

– Mamy jeszcze jedno wyjście – stwierdził Martin. – Mogę zadzwonić do ojca Quinlana z Teologicznego Kolegium Świętego Patryka. To egzorcysta wie pan, najprawdziwszy oficjalny egzorcysta. Kiedy już Boofuls i jego przyjaciółka wyprowadzą się stąd – cóż, może uda mi się go przekonać, aby egzorcyzmował to lustro, sam nie wiem – może w ten sposób zdołałby wydostać stamtąd Emilia.

– Egzorcysta? – powtórzył pan Capelli, kręcąc z powątpiewaniem głową.

Martin znalazł Świętego Patryka w książce telefonicznej, po czym wykręcił numer. Przez długi czas telefon dzwonił, aż wreszcie ktoś podniósł słuchawkę. Był to młody mężczyzna o poważnym głosie.

– Czy mógłby mnie pan połączyć z ojcem Quinlanem? – poprosił Martin.

– Niezmiernie żałuję. Przykro mi, ale ojciec Quinlan zmarł dziś po południu.

Martin był wstrząśnięty.

– Umarł? O mój Boże! Jak?

– Miał wypadek na Santa Monica Boulevard. Z tego, co wiem, zginął na miejscu.

„Boże”, pomyślał Martin, „przejeżdżaliśmy obok tego wypadku.”

– Tak mi przykro – powiedział na głos. – Nie wiem co mam powiedzieć.

– Czy dobrze pan znał ojca Quinlana? – spytał młody człowiek.

– Dopiero co go poznałem. Nazywam się Martin Williams. Byłem u niego razem z ojcem Lucasem.

– A tak, pamiętam pana. To właśnie ja pana wpuściłem. Ojciec Quinlan miał zresztą przy sobie w samochodzie kopertę, zaadresowaną do pana. Musiał właśnie jechać, aby ją panu zostawić. Policjanci znaleźli ją na podłodze obok siedzenia. Mam ją tutaj. Jeśli pan chce, może ją pan odebrać jutro rano.

Martin zastanowił się szybko.

– Nie, nie. Proszę ją otworzyć i przeczytać mi przez telefon.

– Jest pan pewien? Proszę poczekać, zaraz ją przyniosę.

Nie było go prawie dwie minuty. Kiedy wrócił, Martin usłyszał odgłos rozdieranego papieru. Ksiądz podniósł słuchawkę:

– Oto ten list. „Do pana Martina Williamsa. Być może nie dotarła jeszcze do pana smutna wiadomość, że ojciec Lucas został zamordowany.”

– O, Boże – przerwał Martin – o tym także nie miałem pojęcia. Obaj jednego dnia.

– Czy mam czytać dalej?

– Tak, proszę – odparł Martin.

Pan Capelli spojrzał na niego, marszcząc brwi i szepnął:

– Co się stało? O co chodzi?

Młody ksiądz kontynuował:

– „Znaleziono go w piwnicy hotelu »Boskie Hollywood. Policja sądzi, że zaatakował go jakiś narkoman. Może ktoś na kwasie. Ojciec Lucas miał ze sobą szczątki, zniknęły jednak bez śladu. Nieważne, czy wierzy pan w prorocтва, czy nie, ale nie zaszkodzi zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. Proszę pamiętać przepowiednię o stu czterdziestu czterech tysiącach niewinnych ludzi, najlepszych Bożych owieczek. Niech pan spróbuje uwierzyć! Proszę do mnie zadzwonić, jak tylko pan wróci. A tymczasem niech pan upewni się, żeby absolutnie żadna kobieta nie zbliżyła się do tego lustra, ponieważ Boofulsowi potrzebna będzie jego wiedźma-towarzyszka, panna Redd, a jedynym sposobem na wydostanie jej z lustra będzie...”

Młody ksiądz przerwał. Martin ponaglił go:

– Proszę czytać dalej. Dlaczego się pan zatrzymał?

– No, naprawdę pan tego chce? To znaczy, to raczej niezwykle, delikatnie mówiąc, prawda?

Ojciec Quinlan zawsze był znany jako ekscentryk.

– Proszę pana – nalegał Martin – niech pan po prostu skończy ten list.

– W porządku, jeśli pan sobie tego życzy. Gdzie ja byłem? Ach, tak: „jedynym sposobem na wydostanie jej z lustra będzie wymiana z inną żywą osobą – jak to miało miejsce z kotem i pańskim małym przyjacielem Emiliem. Będzie ona chronić i wspomagać swego pana, póki nie uda mu się wskrzesić jego szatańskiego rodzica. Takie towarzyszki mają zazwyczaj bardzo stare i plugawe imiona, na przykład Dmuch-Kaśka, Zwarta-i-Silna albo Gałka-siostra-wiatru...” – Młody ksiądz zakasłał z zakłopotaniem.

– Proszę – powiedział błagalnie Martin. – Może dla pana to brzmi jak kupa bzdur, ale dla mnie ma to sens.

– Cóż, jest jeszcze tylko jeden akapit – poinformował go ksiądz. – Ojciec Quinlan pisze: „Proszę pamiętać o Alicji, niech pan przeczytają bardzo uważnie. I niech pan też pamięta, że tylko dziecko może pokonać dziecko i tylko dziecko może pokonać ojca.”

– Czy to wszystko? – upewnił się Martin.

– To wszystko. – Głos młodego księdza zabrzmiał teraz bardziej oficjalnie. Wypełnił już swój obowiązek w stosunku do ojca Quinlana.

– Wpadnę i odbiorę go rano – powiedział Martin. – Czy mógłby pan go dla mnie przechować?

Ksiądz zawahał się, po czym oznajmił:

– Panie Williams, nie chciałbym mówić źle o umarłych, ale zdaje pan sobie sprawę, że ojciec Quinlan był zazwyczaj lekko stuknięty, jeśli mogę tak to określić? To znaczy, w sensie teologicznym. W dzisiejszych czasach Kościół nie uznaje już starych biblijnych legend za ścisłe fakty. A już szczególnie Objawienia Świętego Jana. Dlatego filmy tego typu co *Omen*, cofnęły nas o dziesiątki lat. Nie możemy pozwolić, aby ludzie wierzyli w Szatana, nie w naszych czasach. Mają i tak zbyt wiele innych problemów. Bezrobocie, długi, rozwody, narkotyki, przestępczość w miastach – czy to nie wystarczająco dużo powodów do zmartwienia? Po co jeszcze do tego ognisty smok z Apokalipsy?

Martin milczał przez chwilę. Potem powiedział:

– Z całym szacunkiem, ale czy nie przyszło panu kiedykolwiek do głowy, że wszystkie te obecne bolączki, o których pan mówi – rozwody, zadłużenie, napady i tak dalej – czy nie przyszło panu na myśl, że to po prostu współczesne oblicze tego samego starego ognistego smoka?

Młody ksiądz odpowiedział oziębło:

– Cóż, proszę pana, naprawdę nie wydaje mi się, aby to był najwłaściwszy moment na wdawanie się w dyskusje religijne. Może pan odebrać swój list w sekretariacie. I jeszcze jedno – ja nie wierzę w Szatana. I nie mam zamiaru w niego kiedykolwiek uwierzyć.

– Pańska wola. – Martin odłożył słuchawkę.

Pan Capelli uniósł głowę znad szachownicy.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć.

Martin podszedł do niego i stanął tuż obok.

– Zostaliśmy sami – oznajmił. – Pan, ja i Ranione. Nikt inny nam nie uwierzy.

– Masz mi coś do powiedzenia, prawda? – spytał gospodarz. – Siadaj, porozmawiamy. Mów najgorsze. No dalej, jestem starym człowiekiem, zniosę to. W końcu jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie? A przy okazji, zbiłem ci więzę.

# 11.

Właściwe zdjęcia do *Błogosławionego rydwanu* zaczęły się w drugim tygodniu września. Fox wykupił całostronicowe ogłoszenie w *Variety*, grząc triumfalnie: „Pip Young, Geraldine Glosset, Lester Kroil w *Błogosławionym rydwanie*, anielskim musicalu, słowa i muzyka: Art Glazer i Michael Hanson.”

„Pip Young” było natchnionym nowym nazwiskiem Boofulsa, wymyślonym przez June Lassiter. Rada Nadzorcza Foxa uznała, że Lejeune brzmi zbyt cudzoziemsko, zwłaszcza dla chłopca o tak wyraźnym cudzoziemskim akcencie. Tak naprawdę akcent Boofulsa wcale nie był obcy, lecz jedynie przestarzały o pięćdziesiąt lat.

Martin śledził postępy *Błogosławionego rydwanu* poprzez Morrisa, a także poprzez Kathy Lupanek. Włożył sporo wysiłku w to, aby się z nią zaprzyjaźnić. Zaprosił ją nawet na lunch do Strattona i kupił jej kwiaty. Kathy Lupanek przez dwie godziny opowiadała mu o tym, jak była prześladowana w dzieciństwie. Martin wyraził współczucie.

Na Franklin Avenue tygodnie upływały na niespokojnym wyczekiwaniu. Martin i państwo Capelli czekali, aż *Błogosławiony rydwan* zostanie nakręcony, zmontowany, oceniony i wreszcie wyświetlony. Dla samego Martina czas wewnątrz domu jakby stanął w miejscu, podczas gdy dni za oknem mijały jak przyspieszony film: chmury, zachody słońca, burze, smog.

Starał się nie patrzeć na lustro. Przeniósł maszynę do kuchni i zarabiał na życie wystukując przeróbki *W poszukiwaniu jutra* i *Światła przewodniego*. Co pewien czas jednak stwierdzał, że w głowie ma próżnię i że już od pół godziny patrzy pustym wzrokiem w klawiaturę, nie napisawszy ani słowa. Wtedy szedł do pokoju stołowego, wpatrywał się w swoje odbicie i szeptał:

– Emilio? Gdzie, u diabła, jesteś, Emilio? Czy jeszcze żyjesz? Czy jesteś martwy?

Nic się jednak nie działo. Żadnej odpowiedzi, żadnych obrazów. Nic, tylko chłodne i czyste odbicie światła, bez najmniejszych zmian.

Czasami Ramone wpadał z wizytą. Siadali wtedy na kanapie, patrzyli na siebie w lustrze i wypijali parę butelek wina. Z początku – kiedy Martin opowiedział mu wszystko o ojcu Quinlanie i jego ostrzeżeniach dotyczących Apokalipsy – Ramone był za tym, aby roztrzaskać lustro na kawałki.

– Po prostu rozwalmy to świństwo, czemu nie?

Ale dni mijały, a on uspokajał się, spoglądając na wszystko bardziej filozoficznie. W końcu może ojciec Quinlan był tylko starym dziwakiem, kto wie?

Jednego ranka, niedługo po wyprowadzce Boofulsa i panny Redd, zobaczyli u sąsiadów policję. Maria Bocanegra zniknęła, nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Z początku jej gospodyni uznała, że wyjechała do domu, do rodziców w San Diego, jednak w miesiąc później jej rodzice przyjechali z wizytą. Jej ubrania ciągle leżały rozrzucone po całym pokoju, łóżko było nie posłane, otwarta szminka rozpułnęła się po całej toalecie.

Jej ojciec stwierdził:

– To totalna tajemnica, zupełnie jak ten statek ze śniadaniem, ale bez ludzi, jak mu tam było, „Marry Sir Less”.

Boofulsa i panny Redd nie widywali zupełnie. Nie dopuszczano do nich nikogo, pominąwszy konferencje prasowe, na które Martina nie zaproszono ani razu. Trzy czy cztery razy Martin próbował zadzwonić do Boofulsa, ale regularnie informowano go: „Przepraszamy, ale pan Young nie przyjmuje żadnych telefonów.” Pewnego czwartkowego popołudnia, pijany kalifornijskim chablis, pojechał pod willę Boofulsa i zaczął wrzeszczeć:

– Boofuls! Ty draniu! Posłuchaj, ty parszywy draniu! Chcę, żeby Emilio wrócił!

Martin został odeskortowany do granicy terenów Foxa przez dwóch zirytowanych strażników, a June Lassiter zadzwoniła do Morrisa i kazała mu trzymać Martina Williamsa co najmniej milę od Century City. Faktycznie nie wolno mu było nawet pojawić się w Alei Gwiazd pod groźbą natychmiastowej i absolutnie nieodwołalnej utraty jakiegokolwiek pracy dla 20th Century Fox Television.

Martin zastanawiał się gorzko, co jest gorsze – koniec świata czy absolutna utrata pracy dla 20th Century Fox Television.

Tymczasem jednak, posłuszny wskazówkom ojca Quinlana, czytał *Po Drugiej Stronie Lustra* tam i z powrotem i studiował list, który ksiądz starał się mu doręczyć w dniu swojej śmierci.

*Tylko dziecko może pokonać dziecko i tylko dziecko może pokonać ojca.* Cóż to, u licha, mogło znaczyć?

Ranione miał na ten temat własne zdanie.

– Mój staruszek zawsze mawiał, że w końcu umrze przeze mnie. Może właśnie o to tu chodzi.

\* \* \*

W pierwszym tygodniu listopada pan Capelli wbiegł z łoskotem po schodach i wpadł bez pukania do kuchni Martina. W rękę trzymał zrolowany egzemplarz *Variety*. Klepnął w niego dłonią i opadł na kuchenny stół. Martin pisał właśnie nowe dialogi do *Tak kręci się świat*. Zamarł na moment, starając się przypomnieć sobie koniec zdania.

– Jest tutaj! – oznajmił pan Capelli. – Data premiery! O, tu! Dwunasty listopada! To wtedy odzyskam mojego Emilia!

Martin wziął gazetę. Jeszcze jedna całostronicowa reklama: „20th Century Fox ogłasza światową prapremierę *Błogosławionego rydwanu*, anielskiego musicalu. W rolach głównych Pip Young, Geraldine Glosset i Lester Kroil... Nie mająca precedensu w historii jednoczesna premiera w kinach Mann's Chinese Theatre, Hollywood Boulevard, sieciach Lux, Hyatt, Union City... w sumie czterystu kinach w Stanach Zjednoczonych... plus specjalne międzynarodowe pokazy w Londynie, Paryżu, Madrycie, Rzymie... absolutnie żadnych wcześniejszych pokazów.” Martin powoli pokręcił głową.

– Słyszał pan kiedyś o czymś takim? Jednoczesna premiera na całym świecie? Rzeczywiście mają zamiar rozesłać czterysta kopii, nie mając nawet pojęcia, czy ten film w ogóle komukolwiek się spodoba?

Pan Capelli nie odpowiedział, postukał jedynie palcem w gazetę.

– Tu jest data. Dwunasty listopada. To wtedy odzyskam Emilia.

Martin odsunął krzesło i przeszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Wystukał numer Morrisa Nathana.

– Morris? – odezwał się w końcu. – Tak, tu Martin. Słuchaj, czy widziałeś, jak Fox ma zamiar



wprowadzić *Błogosławiony rydwan*?

– Tak, widziałem – odparł Morris. – I jeśli chcesz poznać moją skromną opinię, to uważam, że zupełnie im odbiło. Trzymali ten film w absolutnej tajemnicy. Nikt nie widział żadnych zdjęć; nikt nie wie, czy to dobre, średnio dobre czy może okropne. Ale jeśli chcą się na tym sparzyć, to kimże ja jestem, żebym miał im mówić, co mają robić? Podejmują ogromne ryzyko. June mówiła mi, że ostateczny koszt produkcji wyniósł trzydzieści dwa miliony czterysta tysięcy dolarów. Więc pytam ją, co to, do cholery jest, *Wrota niebios* z muzyką?

– I co na to odpowiedziała?

– Powiedziała: poczekaj, a sam zobaczysz. A ja na to: tylko pamiętaj, nie miałem z tym nic wspólnego. Jeżeli stracie trzydzieści dwa miliony z powodu jakiegoś niedouczzonego smarkacza, nie przychodź z płaczem do mnie.

– Czy wiesz, czyj to był pomysł? Ta jednoczesna premiera?

– Tego dzieciaka albo jego bony, jakżeby inaczej?

– I poszli na to? June Lassiter dała to ośmioletniemu gówniarzowi?

– Musieli. Tak przynajmniej słyszałem. Byli już w trzech czwartych zdjęć, dzieciak pojawia się w dziewięćdziesięciu procentach scen i śpiewa wszystkie piosenki, i wtedy on przychodzi do nich i mówi, że muszą zorganizować premierowe pokazy w czterystu kinach na całym świecie i już, inaczej rezygnuje. Pewnie, mogli podać go do sądu, ale co by im z tego przyszło?

– Dobra, Morris, dzięki.

– Czy skończyłeś już te poprawki? – spytał agent.

– Tak, podrzucę ci je po południu.

Morris odchrząknął.

– Dobry z ciebie scenarzysta, Martin. Nadejdzie dzień, kiedy staniesz się jeszcze lepszy.

– Morris, jesteś aniołem.

– Nie mów do mnie o aniołach.

\* \* \*

W wieczór poprzedzający premierę Martin stał przy otwartym oknie i przyglądał się światłom na Hollywood Hills. Zza rogu ulicy wynurzył się Ramone, idący w stronę jego domu. W objęciach dzierżył wielką butlę czerwonego wina.

– Hej, *muchacho*, masz ochotę na odrobinę środka uspokajającego?

Wszedł na górę i stanęli obok siebie, pijąc wino. Zimny wiatr owiewał ich twarze. Ramone zapalił cygaro i wydmuchnął chmurę dymu, która pospiesznie umknęła za róg domu, jakby próbując uciec przed czymś strasznym.

– Czasami sam nie wiem, czemu zostaję w tym mieście – stwierdził Ramone. – Jest snobistyczne, całkiem bez gustu. Gdzie, u diabła, podziały się wszystkie jego wyższe wartości? Czasami mam ochotę znaleźć sobie cichy kącik i zacząć hodować konie.

– Zwariowałbyś tam – zauważył Martin.

– Masz rację, niestety. Cholera.

Przez dłuższy czas pili w milczeniu. Wreszcie Ramone powiedział:

– Co zrobisz, jeżeli on jednak nie wypuści Emilia?

Martin wzruszył ramionami.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek odważył się o tym myśleć. Ostatecznie obiecał.

– Mimo to dziś po południu zaczęło mnie to męczyć – kontynuował Ramone – i nie mogłem jakoś poukładać sobie tego wszystkiego we łbie.

– Co masz na myśli?

– No... próbuję powiedzieć, że... z tego, co wiemy, Boofuls nie może zostać w prawdziwym świecie, jeśli Emilio nie zostanie w lustrze, mam rację? Zatem jedyne, co mogłoby go stamtąd wydostać, to powrót Boofulsa do jego lustra, nie?

Martin skinął głową.

– Chyba masz rację.

– Dobra. Ale chciałem powiedzieć, że jeśli ten lustrzany świat jest tak okropny, jak to się zdaje z naszego punktu widzenia, to dlaczego Boofuls w ogóle miałby zgodzić się tam wrócić? No wiesz, ja bym się nie zgodził na jego miejscu, a ty? Odmówiłbym kategorycznie, nieważne, co wcześniej obiecywałem. Chyba że – i właśnie z tego powodu mój mózg dostał czkawki – chyba że po premierze tego filmu nie będzie już musiał wracać. Chwytasz, co mam na myśli? Może ten film ma w sobie coś takiego – może jest w stanie zmienić rzeczywistość. Może kiedy ludzie ujrzą jego obraz na ekranie, Boofuls stanie się prawdziwy i dlatego właśnie potrzebna mu jednoczesna premiera na całym świecie – im więcej ludzi go zobaczy, tym prawdziwszy się stanie. Sam nie wiem. Ta cała historia zupełnie mnie ogłupiała. Naprawdę nie znoszę myśleć, Martin. To mi szkodzi na zatoki. Ale ta sprawa zmusza mnie do myślenia.

Martin przełknął wino i przytaknął.

– Nie wiem, Ramone, może i masz rację. Boofulsowi naprawdę zależało na rozpoczęciu realizacji *Błogosławionego rydwanu* i to od pierwszej chwili, gdy tylko wyszedł z lustra.

– A więc to było dla niego ważne?

– Właśnie. Niezwykle ważne.

– A jeśli ma to dla niego takie znaczenie, jeśli to sprawa życia lub śmierci, to może jest to coś więcej niż tylko zwykły triumfalny powrót, nie?

– Cóż, może tak, a może nie. To zależy, o czym powrocie mowa.

– Chcesz powiedzieć...

– Ramone, na miłość boską, nie mam pojęcia, co naprawdę chcę powiedzieć. Ale może ten film to taka uwspółcześniona wersja biblijnych rytuałów, które miałyby wskrzesić Szatana. Czytałem o tym wiele razy, nadal jednak nic z tego nie rozumiem, lecz Biblia mówi o wielkim czerwonym smoku z siedmioma głowami i dziesięcioma rogami i o tym, jak jego ogon zmiótł z firmamentu trzecią część gwiazd i stracił je na ziemię. Pokaż mi jednak kogoś, kto, do cholery, mógłby wyjaśnić, co to właściwie ma oznaczać, bo ja osobiście nie wiem.

Ramone obrócił głowę i spojrzał na lustro.

– Może nie powinniśmy czekać. Może należałoby spróbować wydostać stamtąd Emilia teraz, zaraz.

Martin potrząsnął głową.

– To zbyt niebezpieczne. Boofuls powiedziałby, że możemy go zabić.

– Tak, on niewątpliwie twierdziłby coś takiego.

– A jeśli naprawdę byśmy go zabili? – odparował Martin. – Chciałbyś o tym powiedzieć państwu Capelli?

Ramone zastanowił się przez moment, po czym wlał w gardło resztkę wina i otarł dłonią usta.

– Chodź, pooglądajmy telewizję. Zmęczyło mnie to myślenie.

W swoim domu na Mulholland Drive Morris Nathan nadal jeszcze pracował, czytając wstępną wersję kontraktu telewizyjnego z MTM. Siedział w swym gabinecie w kręgu światła, rzucanego przez lampę na biurku. W popielniczce obok tliło się cygaro. Jedynie tu Alison pozwalała mu palić.

Już prawie skończył, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi. Morris zdjął okulary do czytania, zacisnął pasek swego jaskrawoblękitnego szlafroka i przeszedł do holu, wykładanego meksykańskimi płytkami. Alison właśnie schodziła z kręconych schodów, odziana jedynie w luźny różowy podkoszulek z czerwonym napisem „Andy Warhol 1928 – 1987” na piersiach i czerwoną jedwabną apaszkę, którą przewiązała włosy.

– W porządku – powiedział Morris. – To Benny Ito, obiecał wpaść dziś wieczór. A niezależnie od wszystkiego, nie pozwoliłbym ci otworzyć drzwi w takim stroju.

– W jakim stroju? – zaprotestowała Alison. – Nie jestem ubrana w żaden strój.

– I o to mi chodziło – zgodził się Morris. Dzwonek zabrzmiał ponownie. Morris nacisnął guzik domofonu i spytał:

– Kto tam?

– Benny, panie Nathan. Przyniosłem to, o co pan prosił.

– Wejdz.

Morris otworzył drzwi i do środka wszedł młody Japończyk o nastroszonej czarnej fryzurze, ubrany w czarny dres. Pod pachą ścisnął wielką, wypchaną kopertę.

– Proszę, panie Nathan. To nic wielkiego, tylko odrzutki. Ale do gotowych materiałów nie da się dostać nawet przy pomocy czołgu.

– Obiecałeś kompletną kopię – obruszył się Morris.

– Proszę mi wierzyć, próbowałem. Ale ci z Foxa dostali prawdziwego świra na punkcie strażników. A kopie zostaną dostarczone do kin dopiero na godzinę przed planowaną projekcją. Tak mi przynajmniej powiedział Walter Peskow, a on najlepiej to wie.

Morris otworzył kopertę. Wewnątrz znajdowało się pojedyncze metalowe pudełko z taśmą filmową. Podważył wieczko i zajrzał do środka. Nie mogło tam być więcej niż jakieś trzysta stóp materiału, drobne kawałeczki sklezione razem w jedną taśmę.

– I oczekujesz, że ci zapłacę pięćset dolarów za to *czazzerei*?

Benny wzruszył ramionami i pociągając nosem przestąpił z nogi na nogę.

– Może dwieście pięćdziesiąt.

– Dwieście pięćdziesiąt? Połowę? Nawet nie za pół filmu?

– Hej, daj spokój, człowieku, ryzyko pozostaje takie samo. Mogłem stracić robotę.

– Za coś takiego powinieneś stracić jaja.

Mimo to, Morris sięgnął do kieszeni szlafroka i wyjął z niej gruby zwitek dwudziestodolarówek przytrzymywanych gumką. Odliczył dziesięć banknotów i bez słowa podał je Benny’emu Ito.

Benny przeliczył je i zaprotestował:

– Dwieście? To wszystko?

Morris klepnął go po ramieniu i popchnął w stronę drzwi.

– Jest takie stare powiedzenie, Benny. Połowa życiowych niepowodzeń spowodowana jest tym, że ściąga się swemu koniowi cugle akurat w trakcie skoku. Wiesz, kto to powiedział? Ja też nie. Ale właśnie to zrobiłeś. Dobranoc.

Zamknął drzwi, przekręcił w nich klucz i ruszył z powrotem korytarzem z pudełkiem filmu pod pachą. Alison obserwowała go ze schodów.

– Co to jest, Morry? – chciała wiedzieć.

– Jedyne kawałek *Błogosławionego rydwanu*, który nie znajduje się w sejfach 20th Century Fox. Tak naprawdę to nie tego chciałem. To tylko *shkitlech und breklech*, a ja chciałem cały ten cholerny film. Ale przynajmniej będziemy mieć jakieś takie pojęcie o tym, co June Lassiter dostała za swoje trzydzieści dwa miliony, i jeśli okaże się to naprawdę parszywe, zrobimy wszystko, aby prasa obejrzała to zaraz jutro rano.

Alison zeszła ze schodów. Jej piersi podskakiwały i tańczyły pod bawełnianą koszulką.

– Wolalabym, żebyś tego nie robił.

– Wolalabyś, żebyśmy nie robił czego? Nie uzyskał tych materiałów? Myślałaś, że pozwolę, aby taki ośmioletni *fajgele* traktował mnie jak tępego idiotę, który przedstawia go June Lassiter proszę bardzo, June, spójrz na to wspaniałe dziecko, June – a potem nagle, ni z tego, ni z owego, bęc! i nie jestem już jego agentem. Wiesz, ile zapłacili temu gówniarzowi za rolę w *Błogosławionym rydwanie*? Dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy dolarów! A czy wiesz, ile to jest dziesięć procent od dziewięćset osiemdziesięciu tysięcy?

Alison wpatrywała się w niego przez moment całkowicie tępym wzrokiem.

– Nie – szepnęła. – Obląłem matematykę w szkole.

Morris objął ją i poprowadził do saloniku.

– Powiedzmy po prostu, że „Pip Young” czy „Lejeune”, czy jak tam go zwa, pozbawił mnie dochodu wystarczającego, abym mógł zaopatrywać się w nowe ferrari do końca mych dni.

– Myślałam, że nie lubisz ferrari.

Morris przeszedł przez pokój i pstryknął dwoma wyłącznikami na ścianie. Z cichym pomrukiem z sufitu spuścił się ekran, a na środku stolika do kawy wyrósł 35-milimetrový projektor. Jeszcze jeden przycisk i oto beżowe aksamitne zasłony w całym pokoju zaciągnęły się błyskawicznie.

– Czy mogłabyś nalać mi drinka? – poprosił Morris, wyjmując taśmę z pudełka i nawijając ją na rolkę projektora.

Alison podeszła do barku i nalała im obojgu po jednym zwykłym. Zasiadli na beżowej welwetowej kozetce, a Morris wcisnął kolejne przyciski, aby przygasić światło i uruchomić projektor.

Na ekranie zamigotały cyfry, po czym bez ostrzeżenia pojawiła się twarz Boofulsa. Lekko podrygująca, odrobinę nieostra, ale w skupieniu wpatrzona w kamerę.

Morris oglądał ją niecierpliwie przez moment, sącząc alkohol.

– Co to ma do cholery być? Zapłaciłem za to dwieście dolarów! Próba kamerowa!

Alison pogłaskała go po ramieniu.

– Poczekaj chwilę, pewnie jest tam coś jeszcze.

– Lepiej niech będzie coś jeszcze – oznajmił Morris. – W przeciwnym razie Benny Ito naprawdę dostanie za swoje, możesz mi wierzyć.

Już miał wyłączyć projektor, kiedy w stereofonicznych głośnikach zabrzmiał głos Boofulsa, wysoki i dźwięczny.

– Powiedziałeś, że nigdy już nie chcesz oglądać mojej twarzy, prawda, Morris? Mówiłeś, że nigdy nie chcesz oglądać mojej twarzy ani słyszeć mojego imienia.

Morris, wstrząśnięty, spojrział na ekran, po czym odwrócił się do Alison.

– Słyszałaś? Zwracał się do mnie osobiście!

– Morris, wyłącz to, proszę cię!

– Ale on mówi do mnie, wprost z ekranu, zupełnie jakby tu był! Co, u diabła, wyczynia ten Benny? Dowcip, tak ni przypiął, ni przyłatał?

– Morry, błagam – prosiła Alison. – Ten chłopiec, Lejeune – w nim jest coś niedobrego, Morry,

coś złego! Naprawdę! Martin też tak sądzi!

– *Kaporeh* z Martinem! Posłuchaj tylko. Widziałaś kiedyś taką bezczelność? Benny musiał spiknąć się ze smarkaczem i sfilmować to specjalnie!

– *Powiedziałeś, że już nigdy nie chcesz oglądać mojej twarzy, Morris, nigdy, przenigdy! Cóż, teraz spełni się twoje życzenie! I mówiłeś, że nigdy już nie chcesz słyszeć mojego imienia. I to życzenie także zostanie spełnione!*

Morris zerwał się na nogi i wyłączył projektor.

– Słyszałaś kiedyś podobne bzdury? I zapłaciłem za to dwieście dolarów! Uduszę tego Benny'ego Ito. I to gołymi rękami!

Alison dopiła swego drinka.

– Może jeszcze jednego? – zaproponował Morris. – A potem pójdziemy do łóżka. Skończyłem już ten kontrakt dla MTM.

Podszedł do barku i odwrócony plecami do żony zaczął nalewać whisky.

– Czy pójdziemy jutro na premierę? – spytała Alison. – Kupiłam sobie przepiękną złotą suknię u Alluciego.

Morris sięgnął po dwa mieszadełka do koktajli.

– Znowu wydajesz moje ciężko zarobione pieniądze?

– Och, ale jest taka śliczna. Przymierzę ją specjalnie dla ciebie, kiedy pójdziemy na górę. Ma bardzo głęboki dekolt, bardzo odważny, ale jest tam fantastyczna kokarda na biodrze, i rodzaj rozcięcia z tej samej strony, do samego dołu. Jest bardzo sexy, ale niesłychanie szykowna.

Morris odwrócił się, w każdej ręce dzierząc szklankę.

– Wszyscy będą na ciebie patrzeć, co?

– Och, Morry, wiesz przecież, że to tylko dla ciebie.

– Nie ma po co robić tego dla mnie – odparł Morris i po raz pierwszy Alison dosłyszała w jego głosie jakąś niezwykłą, napiętą nutę. Obróciła się i spojrzała na niego, w pierwszej chwili nie pojmując, co takiego zrobił, kiedy jednak zbliżył się powoli, szurając nogami, skrzywiony, nadal niosąc oba drinki, zrozumiała nagle z ostatecznym przerażeniem, że szydercza przepowiednia Boofulsa sprawdziła się i że to Morris sam ją wypełnił.

Ostre mieszadełka do koktajli wystawały z obu gałek ocznych Morrisa. Wbił po jednym dokładnie w środek źrenicy każdego oka, tak głęboko, jak się tylko dało, oślepiając się natychmiast. Teraz po omacku zmierzał w stronę Alison, a cienkie strużki śluzowatego płynu z oczu ściekały mu po policzkach.

Alison krzyknęła wysokim, prawdziwie teatralnym głosem:

– Morry! O, Boże! Coś ty zrobił, Morry, twoje oczy!

Morris przystanął, potknął się i upuścił obie szklanki whisky. Jedna z nich potoczyła się po dywanie, druga zawadziła o krawędź stolika i roztrzaskała się na kawałki.

– Było to jedyne, co mogłem zrobić – powiedział oszołomiony. – Jedyne, co mogłem zrobić.

Alison wstała, była jednak tak wzburzona, że nie mogła do niego podejść.

– Morry – wyszlochała – wyjmij je, Morry. Błagam, wyjmij je! Zadzwońię po karetkę, proszę cię, Morry!

Morris zatoczył się naprzód, starając się podążyć za jej głosem.

– Alison, kochanie, ja... – Nagle jednak przerwał i obrócił głowę, jakby nasłuchując. W tej samej chwili coś trzasnęło i projektor ponownie obudził się do życia, zupełnie sum, przerażając Alison do tego stopnia, że znów zaczęła krzyczeć, tym razem jednak nie mogła przestać.

Ponownie na ekranie pojawiła się twarz Boofulsa, to blade oblicze bez wyrazu, a jego głos

wyszeptał z głośników:

– *Dostałeś jedno swoje życzenie, Morris. Nigdy już mnie nie zobaczysz. I co ty na to? Co ty na to, Morris? Czy nie dziękujesz, kiedy ktoś spełnia twoje pragnienia?*

Morris nachylił swą głowę lekko w przód i ujął patyczki, wystające z oczu. Z drżeniem, dysząc głęboko, wyciągnął je, a w przedziurawionych źrenicach wezbrały przejrzyste krople płynu. Krzyk Alison przeszedł w wysoki, nie kończący się jęk, nie była jednak w stanie oderwać od męża oczu, poruszyć się ani pomóc mu w jakikolwiek sposób.

A przez cały czas z głośników wylewał się piskliwy, złośliwy głosik Boofulsa, a jego jasna twarz nadal wpatrywała się w nich z ekranu.

– *Nie mogłeś być miły, Morris, nie mogłeś być miły! Nie mogłeś być słodki jak miód! Więc teraz spełni się twoje życzenie: ślepy jak kret i głuchy jak pieniek!*

– Zamknij się! Zamknij się! Na miłość boską, zamknij się! – wrzasnęła Alison. Podbiegła do ekranu i zaczęła go ciągnąć i szarpać, aż w końcu zerwała go z trzaskiem. Z kolei chwyciła głośniki, podniosła je i rozbiła o blat stolika.

Jednak projektor nie zaprzestał pracy, a spłaszczony oblicze Boofulsa nadal spoglądało na nich z oparcia białej skórzanej kanapy, bezgłośnie powtarzając te same słowa. Alison histerycznie rzuciła się na nie i zaczęła szarpać skórę paznokciami.

Tymczasem Morris opadł wolno na kolana na biały dywan. Między kciukami i palcami wskazującymi obu rąk wciąż trzymał mieszadełka.

– Alison, złotko, nie mogłem zrobić nic innego. Nie miałem żadnego wyboru, słoneczko.

Alison odrzuciła w tył głowę i zaczęła szlochać. Zduszonym głosem odezwała się przez łyż:

– O, Boże, Morry, co teraz zrobimy? Co zrobimy?

Morris jednak nie słyszał jej. Jego głowę wypełniało monotonne zaciąganie Boofulsa, brzmiące jak ciągnięta po podłodze stara, jedwabna suknia. *Nigdy już nie chciałeś mnie widzieć, Morris, nigdy nie chciałeś mnie słyszeć! Mogę spełnić twoje pragnienia, Morris! Mogę je spełnić!*

Morris powoli uniósł oba mieszadełka, macając na oślep po policzkach, póki nie znalazł uszu. Następnie wsunął ostrza tak głęboko, aż poczuł, jak boleśnie muskają mu bębenki.

Alison przestała płakać i niezdarnie ocierała dłońmi łyż z twarzy.

– O, Boże, Morry – powiedziała. – Przepraszam. Nie mogłam znieść widoku tego, co sobie zrobiłeś. Lepiej wezwę karetkę.

Odwróciła się i ujrzała go, jak klęczy na podłodze, w obu rękach trzymając plastikowe patyczki. Jego poranione oczy były zamknięte, toteż wyglądał niemal normalnie, a na jego twarzy malował się wyraz niezwykłego spokoju.

– Morry? – odezwała się pytająco, po czym dostrzegła mieszadełka. – Morry!

Z cichym, zdławionym sapnięciem Morris pchnął plastikowe ostrza prosto w swoje bębenki, przebijając oba jednocześnie. Przez moment zamarł, wstrzymując oddech, po czym gwałtownie przekreślił oba patyczki, całkowicie rozrywając membrany.

Dygocząc na całym ciele, Alison podniosła bezprzewodowy telefon i wystukała 911.

– Dom pana Nathana – szepnęła. – Zgadza się. Mulholland Drive. Pospieszcie się, proszę.

Odłożyła telefon, podeszła do Morrisa i ukłękła przed nim.

– Och, Morry. – Przytuliła mocno swego ślepego i głuche go męża i zaczęła go kołysać. I poprzysięgła sobie, że gdyby nawet była to jedyna rzecz, jaką zrobi w życiu, to i tak zemści się na Boofulsie.

Rankiem tego dnia, w którym miała się odbyć premiera *Błogosławionego rydwanu*, kotlinę Los Angeles wypełnił gęsty, jasnobrunatny smog. Z powodu swego położenia na zboczach hollywoodzkich wzgórz Franklin Avenue była całkowicie wolna od zanieczyszczeń i kiedy Martin wyjrzał przez kuchenne okno, odniósł wrażenie, jakby spoglądał na jakieś obce i mroczne Morze Sargassowe.

Wypił dwa kubki gorącej czarnej kawy, zjadł odrobinę musli posypanego kielkami pszenicy, po czym ubrał się w białą koszulkę i spodnie khaki i zszedł na dół, aby sprawdzić, czy pan Capelli nie ma czasem ochoty na spacer po Hollywood Boulevard.

– Spacer? – powtórzył pan Capelli. – Chodzi ci o to, kiedy stawiasz jedną nogę przed drugą i nie przestajesz, póki nie znajdziesz się z powrotem w domu?

Szli obok siebie, niewiele mówiąc, lecz przecież wciąż przyjaciele – bracia w zagrożeniu. Zeszli w dół do La Brea i dalej na wschód Hollywood Boulevard aż do kina „Mann’s Chinese Theatre”, gdzie kilkunastu robotników ozdabiało markizę na wieczorną premierę. Wzniesli tam wielką trójwymiarową tablicę z pięćdziesięciostopowym akrylowym wizerunkiem Boofulsa lecącego przez chmury ze słodkim, niewinnym uśmiechem. Scena ta pochodziła z samego końca filmu, gdy Bóg stwierdza, że młody ulicznik zdziałał wystarczająco wiele dobrego, aby uzyskać odpuszczenie, i przyjmuje swego zbłąkanego syna do Królestwa Niebieskiego.

Martin i pan Capelli przez dłuższy czas stali przed kinem i patrzyli, jak elektrycy podłączają reflektory. Pan Capelli odezwał się:

– Wiesz co? Widziałem kiedyś braci Kliegl, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Spierali się na ulicy o coś bardzo technicznego, jakieś związki węgla czy coś takiego. I jeden z nich powiedział do drugiego – nie wiem, który to był, John czy Anton – ale powiedział: „Gdyby nie ja, to kino w ogóle by nie istniało!” A drugi odparł: „Może to by było błogosławieństwem.”

Martin uśmiechnął się.

– Naprawdę pan to widział?

Gospodarz przytaknął.

– Bardzo dawno temu. Może ludzie byli wtedy bardziej niewinni.

– Nie wydaje mi się, aby ludzie kiedykolwiek byli niewinni.

Pan Capelli ścisnął ramię Martina.

– Chyba masz rację. Chciałbym, żebyś jej nie miał.

Wstąpili do „Maxiego” na filiżankę kawy. Nie odzywali się zbyt często, nie było takiej potrzeby. Obaj myśleli o Emiliu.

Kiedy wrócili na Franklin Avenue (obaj spoceni, bo ranek stawał się coraz gorętszy), ujrzeli przed domem bladobłękitny kabriolet rolls-royce’a corniche’a. Jego tablica rejestracyjna głosiła: 10 PC.

– To samochód Morrisa Nathana – stwierdził zaskoczony Martin. – Myślałem, że Morris jest na mnie obrażony po tym, jak pojechałem na tereny Foxa i próbowałem powiedzieć Boofulsowi, jak wielkim jest draniem.

– Jeśli tylko nie będzie zaśmiewał mojego podjazdu tą kupą importowanego złomu.

– Panie Capelli, to przecież rolls-royce corniche!

– Posłuchaj, Martin, pewnego dnia sam to zrozumiesz. Każde auto to kupa złomu. W końcu tym są, plastikiem, chromem, gumą piankową, mnóstwem małych kawałeczków. Ten tutaj to po prostu kupa importowanego złomu i tyle.

– Ale przecież kocha pan swojego lincolna.

– Jasne, że kocham mojego lincolna. Wiesz, dlaczego? Zawsze żartuję z Emiliem, że zamienia się

w robota, no, wiesz, jak w *Transporterach*.

– W *Transformerach* – poprawił go Martin, ale zrobił to delikatnie.

– Jasne, tak, *Transmorferach*. On to uwielbia. Zawsze mi powtarza: „Dziadku, widziałem, jak się zmieniał. Koła zamieniły się w ręce, dach w hełm, z bagażnika wysunęły się dwie nogi...” – W oczach pana Capelli zakręciły się łzy. – Martin, to tylko mały chłopiec. Tak bardzo go kocham. Czy nie można go stamtąd wydostać?

– Boofuls przyrzekł nam – odparł trzeźwo Martin. – Tak samo panna Redd.

Gospodarz potrząsnął głową.

– Ci ludzie – powiedział – ci ludzie.

Kiedy jednak weszli do domu, z zaskoczeniem stwierdzili, że czeka na nich nie Morris, lecz Alison, siedząca na schodach w obcisłej białej bluzeczce, szerokiej spódnicy w stylu lat pięćdziesiątych i sandałach na wysokich obcasach.

Gdy tylko dostrzegła Martina, zerwała się na nogi, zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchnęła płaczem.

– Hej – uspokajał ją Martin. – Hej, co się stało? Alison, co się stało?

– To Morry – wyszlochała. – Och, Martin, to Morry.

Pan Capelli położył jej dłoń na ramieniu.

– No, cicho, nie martw się. Spójrz tylko na siebie, jesteś cała zapłakana. I popatrz na mnie, ja też się zmartwiłem!

– Co się stało? Alison! Czy z Morrym wszystko w porządku?

Alison wykrztusiła:

– On jest ślepy, Martin. Ślepy! I sam to sobie zrobił, dwoma mieszadełkami do koktajli, jak gdyby nigdy nic! A potem wbił je sobie w uszy i pozbawił się słuchu!

– Co? Żartujesz sobie ze mnie, czy co? Morris się oślepił? I ogłuszył? Alison – on pracuje w filmie!

– Czy tylko to cię obchodzi? – krzyknęła Alison. – On jest moim mężem! Kocham go! Wszystko mi daje! A teraz jest ślepy i nigdy już mnie nie zobaczy, i głuchy – i nigdy już mnie nie usłyszy!

Martin przytulił ją do siebie. Pan Capelli, przybity, usiadł na stopniu.

– Sam już nie wiem, do diabła. Czasem zastanawiam się, czy warto jest żyć.

– Chodźcie na górę – zaproponował Martin. – Mam w lodówce jeszcze jedną butelkę chablis. Jeśli już nic innego nie możemy zrobić, to przynajmniej możemy się upić.

\* \* \*

Alison wypła duszkiem dwie duże szklanki zimnego chablis, po czym opowiedziała Martinowi i panu Capelli o wszystkim, co się zdarzyło ostatniej nocy, kiedy Morris przebił sobie oczy i uszy.

– W żaden sposób nie mogłam mu pomóc – wyjaśniła, a łzy spływały jej po policzkach. – Zniszczyłam ekran, zniszczyłam głośniki, ale to i tak nic nie dało.

– Tak mi przykro – powiedział Martin. – Tak bardzo przykro. Nieważne, ile razy kłóciłem się z Morrisem.

Alison otarła oczy wymiętą papierową chusteczką.

– Jediną poważną wadą Morry’ego było to, że zawsze głośno mówił, co myśli. Nikt nie zasługuje na to, by oślepnąć i ogłuchnąć jedynie dlatego, że nie ukrywa swoich poglądów. Wiesz, Morry zawsze mówił prawdę w oczy i czasami bywał nieuprzejmy, ale nie zasłużył sobie na coś takiego.

– I naprawdę wierzysz, że to sprawka Lejeune’a?



Alison skinęła głową.

– Inaczej bym tu nie przysłała. To była jego twarz, jego głos. A pamiętasz, co powiedział Morry'emu podczas przesłuchania u Foxa? Kiedy się pokłócili? *Już nigdy nie chcesz oglądać mojej twarzy ani słyszeć mojego imienia.* To samo powtórzył na tym filmie. Dokładnie to samo – jakby rozmawiał z Morrym twarzą w twarz.

– Przykro mi, Alison, naprawdę. Ale nic nie mogę zrobić. Próbowałem dostać się do Lejeune'a, ale mnie nie dopuszczono.

Niedługo potem pojawił się Ramone. Stał w drzwiach z kciukami zatkniętymi za szlufki swoich dżinsów, wyglądając jak Carlos Santana na wakacjach. Martin poinformował go:

– Nic. Żadnych nowin.

– Może powinniście włączyć telewizor – zasugerował Ranione. – Pokazują teraz godzinny program „Historia *Błogosławionego rydwanu*”. Właśnie się zaczął. Kanał czwarty.

– Nie chcę tego oglądać – stwierdził pan Capelli. – Chyba pójde kupić pizzę.

– Z papryką, podwójnej grubości, z dodatkowym chili, pieczarkami, cebulą i kukurydzą – zarządził Ranione sadwiąc się na kanapie.

Pan Capelli spojrział na niego ze zdumieniem, Martin jednak skinął porozumiewawczo głową. Ranione nigdy nie zostawiał rzeczy własnemu biegowi.

– Dla mnie cokolwiek – zamówił.

– Ja dziękuję – powiedziała Alison. – Przepraszam, ale nie jestem specjalnie głodna.

Z jakiegoś powodu wszyscy czworo zwrócili wzrok na lustro, nad którym złocona twarz Pana wyszczerzyła do nich zęby w cichym triumfie. Wyglądali jak grupowy portret wydrukowany w wyblakłej gazecie: ulotna fotografia czworga ludzi, połączonych przez ból, przyjaźń i okoliczności, którzy już niedługo będą musieli stawić czoło najgorszej próbie w całym ich życiu.

Jakby z nich drwiąc lustro pociemniało i zmętniało, aż wreszcie tylko z wielkim trudem mogli w nim dostrzec swoje twarze.

Pan Capelli przyglądał mu się przez moment, po czym ze złością wyszedł, żeby kupić pizzę.

\* \* \*

Tuż przed szóstą tego popołudnia Martin powiedział:

– Słuchajcie, nie mogę już znieść tego siedzenia i czekania. Chodźmy do Manna i obejrzyjmy to cholerstwo na własne oczy.

– Wy idźcie – odrzekł pan Capelli. – Ja tu zaczekam. Na wszelki wypadek – no, wiesz, może Emilio nagle wyjdzie z lustra.

– Ja też zostanę – dodała Alison. Nie macie nic przeciw temu?

– Jasne, nie ma sprawy – zapewnił ją Martin. W tym samym jednak momencie Ramone zawołał:

– Patrzcie, jest w telewizji!

Był to reportaż CBS prowadzony przez Nancy Bergen, transmitowany na żywo z Hollywood Boulevard. W tle widać było gromadzące się już tłumy fanów – choć przybycia pierwszych gwiazd nie spodziewano się jeszcze co najmniej przez godzinę – i wielki zwycięski portret Boofulsa.

Nancy Bergen mówiła:

– ...filmowe wydarzenie dekady – nieznana dziecięca gwiazda odkryta przez June Lassiter z 20th Century Fox – niespotykany naturalny talent śpiewu i tańca – dzięki temu zdobył główną rolę w trzydziestopięciomilionowym remake'u musicalu, którego naprawdę nigdy nie ukończono – w *Błogosławionym rydwaniu*.

– Zauważcie – wtrącił Martin – że ani razu nie wspomniała Boofulsa. To dalej zła karma w Hollywood, i zawsze nią będzie.

– Zła karma? – odparł Ramone. – Niech no go tylko dorwę, a zostanie z niego karma dla kotów.

Nancy Bergen ciągnęła dalej:

– ...wytwórnia pokłada taką wiarę w sukces *Błogosławionego rydwanu*, że zorganizowała jednoczesną premierę w całych Stanach Zjednoczonych i Europie – co oznacza, że w Londynie pierwszy pokaz odbędzie się w porze śniadaniowej, a w Nowym Jorku o pierwszej w nocy – mimo to bilety były do tego stopnia poszukiwane, że...

– Chcesz jeszcze wina? – spytała Alison Ramone.

– Tak, jasne, dzięki, pół kieliszka.

– ...tysiące ludzi obejrzą jednocześnie *Błogosławiony rydwan*...

– Powiedziała, że ile? – zapytał Martin.

– Co? – nie zrozumiał Ramone.

– Mówiła, że ilu ludzi obejrzy dziś *Błogosławiony rydwan*!

Ramone wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, stary. Nie słyszałem. Musi być ładnych parę tysięcy.

Martin szybko złapał pilota i przeleciał po kanałach, ale nigdzie indziej nie znalazł wiadomości o *Błogosławionym rydwanie*.

– Proszę mi dać książkę telefoniczną – polecił panu Capelli.

– Jasne – odparł gospodarz – ale o co ci chodzi?

Pospiesznie przerzucając kartki, Martin znalazł numer Dziennika Telewizyjnego CBS.

– Wydawało mi się, że słyszałem, jak Nancy Bergen wymieniła pewną liczbę, to wszystko. Coś mi to przypomniało.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer CBS. Po nie kończących się minutach odezwała się centrala, której połączenie z dziennikiem zabrało dalszą wieczność.

– Chuck Pressler – oznajmił lakoniczny głos.

– Cześć, przepraszam, że przeszkadzam – odparł Martin. – Widziałem reportaż Nancy Bergen z premiery *Błogosławionego rydwanu*. Wspomniała, że ileś tysięcy ludzi będzie jednocześnie oglądało pierwszy pokaz. Czy ma pan może tę liczbę? Nie dosłyszałem jej.

Rozległ się szelest, po czym lakoniczny głos odpowiedział:

– Nie mam tu teraz tej informacji. Nancy wraca około jedenastej. Proszę spróbować zadzwonić później. Albo może jutro rano.

Martin rozłączył się i wystukał numer 20th Century Fox. Tym razem w ogóle nikt nie podniósł słuchawki.

– Cholera. Chodź, Ramone, idziemy osobiście spytać Nancy Bergen.

Zostawili Alison w towarzystwie pana Capelli i truchcikiem zbiegli na La Brea w zabójczym wieczornym upale.

Kiedy dotarli do skrzyżowania z Hollywood Boulevard ujrzeni, że jest już zapchany tysiącami fanów i turystów i że naokoło kina wzniesione są policyjne barierki. Cał po calu, zadyszani, na zmianę pracując łokciami i przepaszając, przepchnęli się w końcu na sam przód, tak blisko wozu transmisyjnego CBS, jak tylko mogli. Dostanie się tam zabrało im niemal dziesięć minut, a kiedy wreszcie dotarli na miejsce, odkryli, że dokładnie między nimi a ekipą telewizyjną stoi dwójka policjantów.

Martin dostrzegł Nancy Bergen, jej puszyste blond włosy i lśniąca wiśniową wieczorową suknię, i zawołał:

– Pani Bergen! Pani Bergen!

Stojąca obok niego dziewczyna skrzywiła się i warknęła:

– Wrzasnąłeś prosto w moje cholerne ucho, kretynie.

Martin puścił to mimo uszu, osłonił usta dłońmi i ryknął:

– Pani Bergen! Tutaj!

Wreszcie, dosłyszawszy wśród zgiełku dźwięk własnego nazwiska, Nancy Bergen odwróciła się i marszcząc brwi spojrzała w tłum. Kilkanaście osób zamachało do niej, a ona uśmiechnęła się i odpowiedziała im tym samym. Hałas, panujący wokół kina, był ogłuszający: kombinacja rozmów, śmiechu i szurania nóg, i nawet gdy Martin jeszcze raz wydarł się z całej siły: „Pani Bergen!”, reporterka wróciła do swoich spraw, niewątpliwie go nie słysząc.

Martin spojrzał na zegarek. Tylko jedenaście minut do premiery. Zaczynali już pojawiać się pierwsi goście, a cały Hollywood Boulevard zapchany był długą kolejką lśniących limuzyn. Przy wtórze zachęcających okrzyków gapiów uruchomione zostały reflektory, oślepiającymi smugami przecinające nocne niebo.

– Dlaczego to takie ważne, człowieku? – dopytywał się Ramone. – Całkiem mnie tu zdeptali.

– Słuchaj, chcę, żebyś odwrócił jakoś ich uwagę tak, abym mógł przedostać się przez bariery do wozu transmisyjnego.

– Odwrócić uwagę? Jak, do diabła, mam odwrócić ich uwagę?

– Powiedzmy, przepchnij się dalej i spróbuj przebić się przez liny.

– Świetnie, żeby mnie aresztowali?

– To udaj, że załamałeś. Symuluj atak serca, czy co.

– Jasne, i wywiozą mnie do szpitala.

– No, więc wymyśl coś, do cholery! Muszę porozmawiać z Nancy Bergen, i to natychmiast!

Ramone otarł swój spocony kark.

– No, dobra. Ale lepiej, żebyś miał ku temu naprawdę ważny powód, *amigo*.

– Po prostu mi zaufaj, OK?

Ramone przebił się przez tłum widzów, napierających na policyjne bariery, póki nie znalazł się w odległości jakichś dziesięciu metrów. Kilka razy energicznie pokiwał głową, po czym obrócił się w stronę Martina i uniósł ku niemu dłoń z kciukiem i wskazującym palcem złożonymi w kółko. „Tylko popatrz, stary.” Nagle zaczął wymachiwać rękami i wrzeszczeć:

– Złodzieje! Złodzieje! Ukradli mi portfel! Złodzieje!

Otoczający go ludzie cofnęli się o krok. Albo zwariował i zaraz ich zaatakuje, albo też bynajmniej nie oszalał i ktoś zostanie oskarżony o kradzież jego portfela. Obydwie alternatywy były mniej więcej tak atrakcyjne jak złapanie AIDS.

Z początku obaj policjanci nic nie zauważyli – zbyt byli zajęci pozowaniem do kamery i udawaniem opanowanych twardzieli – kiedy jednak parę dziewcząt zachwiało się i upadło z powodu zamieszania, wywołanego przez Ramone, pospieszyli, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Martin niezwłocznie prześliznął się pod barierką, zanurkował za róg furgonetki i od tyłu podszedł do Nancy Bergen. Reporterka słuchała właśnie swego producenta, przemawiającego do niej w słuchawkach, i mówiła:

– Tak, Farley, okay, Farley, ale do ich przyjazdu zostało jeszcze co najmniej pięć minut.

Kiedy tylko skończyła, Martin postukał delikatnie w jej ramię.

– Pani Bergen?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem. Nieprzyjazny wzrok, mówiący wyraźnie: „Odczep się ode mnie.” Martin widywał go w oczach wielu osobowości telewizyjnych, kiedy spocony tłum znalazł się

niedaleko zbyt blisko.

– Proszę posłuchać, pani Bergen, pani mnie nie zna. Nazywam się Martin Williams.

– Ma pan rację – odparła, maszerując z powrotem do wozu. – Nie znam pana.

– Pani Bergen, jestem scenarzystą, napisałem większą część scenariusza *Błogosławionego rydwana*. To znaczy, uwspółcześniłem oryginał. Prawdopodobnie nie wymienili mnie na ekranie, ale...

– Ale teraz jest pan piekielnie wściekły i zamierza ich podać do sądu. Proszę mi uwierzyć, panie Williams, takie rzeczy zdarzają się bez przerwy i na pana miejscu oszczędziłabym sobie kosztów. Jedyni ludzie, którzy zarabiają na prawie, to prawnicy. Też przez to przeszłam i wiem, co mówię.

– Pani Bergen, nie mam o to pretensji. Ale ten film to dużo większa rzecz, niż się na pozór wydaje.

W tym momencie podeszła do nich rudowłosa asystentka Nancy Bergen, niosąc w dłoniach szklankę wody mineralnej, notatnik i zapalonego papierosa w popielniczce z aluminiowej folii. Nancy przełknęła dwa łyki wody, wetknęła papierosa w kącik ust i zaczęła coś bazgrać na papierze.

– Czy ma pan do mnie jakąś sprawę, panie Williams? Bo jeśli nie, to wie pan, będę musiała powiedzieć *hasta luego*.

– Czy mogę zadać pani najpierw jedno pytanie?

Reportarka nadal pisała zawzięcie, kompletnie go ignorując.

– Wspomniała pani, że x tysięcy ludzi na całym świecie będzie jednocześnie oglądać premierę.

Nancy Bergen przerwała pisanie, oddała notatnik asystentce, odłożyła papierosa do popielniczki, wydmuchnęła chmurę dymu i powiedziała:

– Sto czterdzieści cztery tysiące, a dlaczego pan pyta?

Martin odetchnął głęboko.

– Kiedy pani powiem, uzna mnie pani za wariata.

– To niech pan nie mówi. Hank, czy przygotowałeś już mikrofon bezprzewodowy?

– Wszystko gotowe, Nancy – odparł szczupły mężczyzna o ogolonej głowie, ubrany w przepocony podkoszulek.

Martin jednak ciągnął dalej.

– Sto czterdzieści cztery tysiące to dokładna liczba wspomniana w Apokalipsie, ilość najwierniejszych wyznawców Baranka – dokładna liczba ludzi, których należy poświęcić, aby przywrócić Szatana do życia.

Nancy Bergen skinęła na jednego z członków ekipy dźwiękowej CBS.

– Harvey, czy mógłbyś łaskawie odprowadzić pana Williamsa z powrotem do barierki?

– Pani Bergen, pani nic nie rozumie. Ten chłopiec, Pip Young, to w rzeczywistości zupełnie ktoś inny.

– Panie Williams, doskonale mi o tym wiadomo. Naprawdę nazywa się jakoś tak... Lejeune. A teraz przepraszam, ale i bez tego dostaję już tutaj fioła.

– Pani Bergen, Pip Young to Boofuls! Prawdziwy Boofuls! Prawdziwy zamordowany Boofuls, który znowu żyje!

Wielki blondyn z bicepsami niczym szynki z Virginii i opaską na czole położył dłoń na ramieniu Martina i zagwizdał przez zrujnowaną przegrodę nosową.

– No, dalej, kolego, zachowujmy się kulturalnie.

– Boofuls był opętany! – krzyczał Martin. – To dlatego jego babcia go zabiła! Boofuls był opętany przez Szatana! Ale udało mu się uciec! Schronił się w lustrze! A teraz powrócił i wszyscy, którzy zobaczą ten film, umrą! Pani Bergen! Proszę posłuchać! Zginie sto czterdzieści cztery tysiące niewinnych ludzi!

Nancy Bergen była już jednak poza zasięgiem jego głosu, przygotowując się do pierwszego wywiadu z gwiazdą. Do krawężnika podjechał właśnie lśniący czarny fleetwood.

Otworzyły się drzwi i na chodnik wyszła Geraldine Glosset w obcisłej sukni obsypanej sztucznymi brylancikami. W tłumie rozległy się krzyki, wycia i gwizdy, a reflektory przecięły niebo jak na zdjęciach z czasów wojny.

Martin wyrywał się i kopał, blondyn jednak wyłamał mu rękę i częściowo zaniósł, częściowo zawlókł go do barierki.

– Pani Bergen – wrzasnął Martin z całych sił. – On chce wskrzesić Szatana! Dziś wieczór!

Kilka osób spojrzało na niego z politowaniem. Blondyn uniósł go ponad ogrodzeniem, powiedział: „Przepraszam panią” do kobiety przyciśniętej kurczowo do barierki i postawił go na ziemi.

– A teraz posłuchaj, kolego. Zostaniesz tu albo przysięgam na Boga, że już nigdy nie będziesz chodził.

Martin był zlany potem i trzął się cały. Jego energia wyczerpała się do cna. Mimo wszystko skinął głową, przytaknął i rozcierając wykręcony przegub starał się sprawiać wrażenie skutecznie ostrzeżonego. Wielki blondyn wrócił na stanowisko, od czasu do czasu rzucając groźne spojrzenia w stronę Martina, ten jednak odpowiadał jedynie skinieniem głowy i uśmiechem, mówiącym: już dobrze, wszystko w porządku, zachowuję się.

Ramone przedostał się do niego.

– I co? – dopytywał się. – Czy dostałeś to, o co ci chodziło?

Martin złapał go za rękę.

– Rzeczywiście, to właśnie sto czterdzieści cztery tysiące.

– Stary, zupełnie się pogubiłem.

– To dlatego organizują te jednoczesne premiery na całym świecie. Dlatego nigdy przedtem nikomu nie pokazali filmu. Musi w nim być coś takiego – nie wiem: sposób, w jaki go zrobiono, coś w scenariuszu czy może jakiś podklatkowy przekaz, nie wiem. Wszyscy ludzie, którzy go dziś zobaczą, zginą.

– Nabijasz się ze mnie. Sto czterdzieści cztery tysiące? Na cholerę?

– Bo dziś właśnie jest ta noc. Uwierz mi, dziś nadeszła noc zapowiedziana w Apokalipsie. Noc, kiedy Szatan powróci do życia, autentyczny smok, naprawdę, i jeśli czegoś nie zrobimy, ty i ja, to jutro nie wstanie słońce. I nigdy więcej.

Ramone spojrział na niego. Po raz pierwszy Martin dostrzegł, że przyjaciel mu nie wierzy. I pierwszy raz usłyszał dźwięk własnych słów. Majaczenie szaleńca.

Wokół nich rozległy się ogłuszające krzyki i oklaski gapiów witające pojawienie się szafirowo-białej limuzyny, w której siedział Pip Young, alias Lejeune, alias Boofuls.

– Ramone – powiedział Martin – ty i ja jesteśmy przyjaciółmi od bardzo dawna.

Ramone skinął głową. Był wyczerpany, sponiewierany i niemal smutny.

– Uwierz mi, sam przecież widziałeś to lustro. Te okropności nie zdarzyły się ot, tak sobie. Miały powód, a powodem tym jest to, że nadszedł czas. Czas na powrót Szatana na ziemię, czas smoka. Wszystko to jest w Biblii, w Apokalipsie, ale Apokalipsa mówi, że Szatan powróci, aby zostać pokonany na dobre. Dlatego właśnie używa Boofulsa. Boofuls uczynił wszystko, co możliwe, żeby już nikt go nie pokonał. Jeśli mu na to pozwolimy, powróci, i tym razem ma zamiar zostać na stałe.

Ramone spuścił głowę.

– Nie wiem, stary. Wierzyłem w Szatana, kiedy byłem małym szczeniakiem.

Boofuls, wynurzył się ze swej limuzyny i przez moment stanął samotnie na pokrytym szkarłatnym dywanem chodniku. Był ubrany w biały garnitur z klapami naszywanymi cekinami, a jego loki lśniły.

Tuż za nim pojawiła się panna Redd, jej krwistoczerwone usta odcinały się na bladej twarzy, czarną pelerynę wydymał wiatr.

Kiedy chłopiec ruszył w kierunku wejścia do kina, tłum wydał z siebie niespotykany jęk zachwytu, a dwie dziewczyny w skąpych błyszczących kostiumach kelnerek zbliżyły się do niego, drepcząc na wysokich obcasach, i wręczyły mu opakowane w celofan bukiety kwiatów. Boofuls przyjął je z powagą, po czym oddał pannie Redd, która z kolei przekazała je szoferowi.

Martin pociągnął Ramone za rękaw.

– W tej chwili nie dbam o to, czy wierzysz w niego, czy nie. Chcę, żebyś mi pomógł, to wszystko. Ja wierzę, i to wystarczy za nas dwóch.

– Więc co masz zamiar zrobić?

– Nie mam najbłedszego pojęcia. Przede wszystkim musimy wkręcić się na tę premierę i zobaczyć, jakie są plany Boofulsa.

– Niby że w tych przepoconych podkoszulkach mamy dostać się na najświetniejszą premierę dekady?

Martin obejrzał się dokładnie.

– Chyba masz rację. Szlag by to. Może uda nam się wśliznąć od tyłu.

– Widziałeś te gliny? Jak, u diabła, mamy się przez nich przedostać?

– Mandrake wykonuje magiczny gest – odparł gorzko Martin. – W jednej sekundzie nasi bohaterowie przyodziani są w nieskazitelne smokingi.

– Zaczekaj chwilkę. – Ramone sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wydobył klucze. – Zdaje się, że znalazłem rozwiązanie naszych problemów.

Ścisnął łokieć przyjaciela i wspólnie zaczęli przepychać się przez tłum. Dotarcie do drugiej strony Hollywood Boulevard zajęło im prawie pięć minut, ale kiedy już wydostali się z bezpośredniego sąsiedztwa policyjnych barier, poszło im znacznie szybciej. W końcu dotarli do sklepu Ramone, „Reel Thing”. Ramone otworzył drzwi i wyłączył alarm przeciwwłamaniowy, po czym weszli do środka.

– Co to za pomysł? – chciał wiedzieć Martin.

Ramone zaprowadził go na drugą stronę sklepu, gdzie wisiały rzędy starych kostiumów filmowych. Na samym przodzie, opatrzony etykietką, kołysał się kombinezon malarski, noszony przez Springa Byingtona w filmie *Tego z sobą nie weźmiesz*. Lecz Ramone zaczął grzebać na samym końcu wieszaków i po chwili wynurzył się spośród nich z triumfalnym uśmiechem, niosąc w dłoniach dwa nieskazitelne smokingi.

– Jeśli nosisz taki sam rozmiar co William Powell, to będzie pasować – oznajmił.

– Jesteś tak samo stuknięty jak ja – odparł Martin.

– Nie sądzę. A teraz posłuchaj. Mam też koszule, kamizelki i wieczorowe lakierki. Idź się umyj na zaplecze, a ja przygotuję to wszystko dla ciebie lepiej niż zawodowy kamerdyner.

Martin przeszedł na tyły sklepu, obmył twarz zimną wodą i przeczesał włosy. Gdy wrócił, Ramone był już na wpół gotów.

– Wspomnisz moje słowa – powiedział. – Ty i ja będziemy wyglądać jak para elegantów.

Po upływie dziesięciu minut opuszczali już sklep, tym razem ubrani w smokingi. Kamizelka Martina była o wiele za ciasna, toteż rozpruł ją na plecach. Spodnie Ramone łopotwały mu wokół kostek. Ale mieli nadzieję, że w tłumie i panującym podnieceniu nikt tego nie zauważy.

– Boże, pomóż nam – westchnął Martin.

– Zrobi to – zapewnił go Ramone. – Zrobi.

Niemal idealnie wycelowali w czasie. Udało im się przedostać przez tłumy w momencie, gdy ostatnia oficjalna limuzyna odjeżdżała od krawężnika, a policjanci odsuwali na bok barierki. Martin przepchnął się naokoło ogrodzenia i za plecami dwóch policjantów wśliznął się na ogrodzony linami teren, przeznaczony dla ważnych osobistości i gości. Bud Zabeti z Columbia Pictures dostrzegł go i pomachał mu ręką, najwyraźniej nieświadom tego, że Martin nie ma zaproszenia. To wystarczyło strażnikowi o oczach przypominających paciorki, który odwrócił się, usatysfakcjonowany, pozwalając im przyłączyć się do cizby, która wypełniała szczelnie hol kina.

W holu było gorąco i tłoczno, unosił się tam intensywny zapach wody Giorgio. Martin wolno przemykał się między ludźmi, uśmiechem i skinieniem głowy witając znajomych. W końcu dotarł do magicznego kręgu: June Lassiter, w uderzająco pięknej, choć niezwykle dyrektorskiej wieczorowej sukni, bardziej przypominającej turkusowy latawiec niż zwykły strój; Lester Kroil z falistymi szpakowatymi włosami, wystającymi zębami i palcami ozdobionymi ciężkimi złotymi pierścieniami, podarunkami od licznych „przyjaciół”; Geraldine Glosset, jak zwykle mniejsza w rzeczywistości, niż się to wydawało na ekranie, drobniutka, w czarnej sukni ozdobionej na jednym ramieniu złocistym pyłem; jakaś gwiazdeczka, ukazująca nagie ciało pod zwiewną sukienką z białego muślinu; panna Redd i wreszcie, w samym oku tego cyklonu hollywoodzkich znakomitości, Boofuls, wytrzeszczający pełne zadowolenia oczy, blady, triumfujący, chłonący każdą oznakę uwielbienia, jakby było mu ono niezbędne do życia.

Martin podszedł do niego i stanął w milczeniu za jego plecami, w końcu jednak chłopiec odwrócił się i zobaczył go. Przez ułamek sekundy w jego oczach błysnęło zdumienie, potem odwrócił wzrok.

– Nie powinno cię tu być, wiesz – powiedział.

Martina zaskoczył jego okropny wygląd. Po raz pierwszy Boofuls naprawdę wyglądał jak martwy, jak chłopiec, którego zabito, a następnie wskrzeszono. Jego twarz pokrywała warstwa podkładu i pudru, jakby nieudolny pracownik kostnicy przygotował właśnie zwłoki do pokazania rodzinie.

– Mogłeś mi przysłać zaproszenie – odparł Martin. – Ostatecznie napisałem sześćdziesiąt procent dialogu.

Boofuls uśmiechnął się do Esther Shapiro.

– Zanim się obejrzysz, to już wejdzie na wideo. Wtedy będziesz mógł sobie oglądać do woli.

Panna Redd położyła na rękę Martina swą dłoń, chłodną jak mrożony kurczak.

– Wydaje mi się, że Pip wolałby, aby pan już poszedł, panie Williams.

Martin zignorował ją i nachylił się w stronę chłopca.

– To dziś, Boofuls, prawda? To dzisiaj.

Pierwszy raz Boofuls spojrzał prosto na niego. Wokół jego oczu widniały czerwone obwódki.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Idź już. Wracaj do domu. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli obejrzysz to wszystko w telewizji.

– To dziś jest ta wielka noc, kiedy razem z panną Redd planujecie zamordować sto czterdzieści cztery tysiące niewinnych ludzi, wszystkich naraz, żeby sam-wiesz-kto mógł powrócić.

– Pan jest szalony – wycedziła panna Redd niskim, ostrym głosem, bardziej pasującym do mężczyzny niż kobiety.

– Zobaczmy – odparował Martin. – Ale pozwól, Boofuls, że coś ci powiem. Szalony czy nie, mam zamiar zrobić z tobą to, co kiedyś twoja babcia, to znaczy porąbać cię na tyle kawałków, aby już nikt nigdy nie zdołał cię poskładać do kupy. I tym razem w pobliżu nie będzie żadnego lustra, które mogłoby ocalić twą duszę.

– Martin – odparł Boofuls – próbuję ci pomóc. Chcę ci wyświadczyć przysługę.

– Nie życzę sobie żadnych przysług z twojej strony. Chcę jedynie, aby cały ten obłąd został odwołany. Sto czterdzieści cztery tysiące ludzi, Boofuls. Pomyśl, co to za rzeź. Jaka rozpacz. Co oni ci zrobili?

Boofuls odetchnął głęboko dwa czy trzy razy. Wyglądał, jakby miał gorączkę. Chore dziecko w izbie przyjęć.

– Powiem ci, co mi zrobili. Ściągnęli w dół mego ojca, zrzucili go z góry i odtąd żyje on w męce i na wygnaniu.

– Może na to zasłużył?

– O, nie. – Boofuls gwałtownie potrząsnął głową. – Nikt nie zasługuje na taką karę. Nikt nie zasługuje na wygnanie, które nigdy się nie kończy. Ostatecznie każdemu przysługuje przebaczenie, nieważne, jak bardzo grzeszył.

– I to ma być rozwiązanie – poświęcić tych wszystkich ludzi?

– Martin – przerwała mu June Lassiter. – Czyżbyś monopolizował rozmowę z naszą gwiazdą? Chodź, Pip, musimy iść na górę, zająć miejsca.

Boofuls jednak skinął na Martina, dotknął jego ramienia i szepnął:

*– I ujrzałem: oto koń trupio bladej, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła. I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta.*

Mimo opanowania Martinem wstrząsnął dreszcz.

– Boofuls – powiedział, świadom, jak żałośnie brzmi jego głos. – Boofuls, w imię Boga, nie rób tego.

Chłopiec zaśmiał się.

– Lubię cię, Martin, i to od chwili, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem. Myślę, że zawsze będę cię lubił. Ale teraz idź już do domu. Nic więcej nie możesz uczynić. I nigdy więcej nie proś mnie o nic w imię Boga.

– Mogę tu przynieść to diabelskie lustro i zmusić cię, abyś do niego wrócił.

– Nigdy nie zdołasz go udźwignąć. Dobrze o tym wiesz.

– Spróbuję, z pomocą Bożą.

Przez moment Martinowi wydało się, że dostrzegł grymas na twarzy rozmówcy, jakby perspektywa próby ruszenia lustra w jakiś sposób go zaniepokoiła.

– Zostaw lustro, gdzie jest. Jeżeli coś się z nim stanie, Emilio umrze. Czy chcesz, żeby zginął?

Panna Redd wkroczyła pomiędzy nich, osłaniając Boofulsa.

– Wystarczy – oznajmiła, mierzając Martina spojrzeniem błyszczących oczu.

Martin spróbował ją minąć, ale ona pochwyciła jego dłoń i zatopiła w niej paznokcie. Ból był ostry i przejmujący, zupełnie jakby zadrapał go kot. Martin wyrwał jej rękę. Krwawiła.

– Czy coś tu nie tak? – spytał dobrotliwie Lester Kroil, łagodnie zataczając się w ich stronę. Wokół niego unosił się mocny zapach whisky. – Chyba już pora, żebyśmy zajęli miejsca? No, chodź, Pip, ty mały knypku.

Do Martina podeszła June Lassiter.

– Nie wiem, jak ci się udało tu wprosić, Martin, i nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć. Skoro już jednak tu jesteś i napisałeś tak znaczną część tego filmu, i skoro biedny Morris znalazł się w takim strasznym stanie... no cóż, możesz dostać dwa miejsca z tyłu.

– Jesteś księżniczką, June – Martin bezskutecznie starał się wyprostować swą kamizelkę.

– Nie ma o czym mówić. Dobry z ciebie scenarzysta, a teraz, kiedy wybiłeś już sobie z głowy Boofulsa, możesz zostać nawet wielkim scenarzystą. Ale powiedz mi jedno.



– Co takiego?

– Skąd, u licha, wytrzasnąłeś ten smoking? Wygląda, jakby leżał na śmietniku.

Martin zerknął na opadające klapy wielkości słoniowych uszu.

– I tak byś nie uwierzyła.

Po kilku minutach Martin i Ramone zostali wezwani gestem przez Kathy Lupanek i usadowieni na samym końcu sali. Widownia była już prawie pełna. Dookoła przelewała się nieprzerwana kaskada podekscytowanych rozmów, normalnych pokasływań, szurania, trzaskania krzeseł i kobiecych okrzyków. „Aaron, mój drogi! Nie wiedziałam, że też tu będziesz!”

– Dużo czasu upłynęło, odkąd siedziałem w ostatnim rzędzie – zauważył Ramone. – I nigdy przedtem nie byłem tam z facetem!

Wreszcie światła na sali przygasły, a na scenę przed kurtyną padł promień reflektora. Z taśmy rozległ się dźwięk bębnów, po czym w kręgu światła pojawił się Boofuls, ubrany w biały garniturek, w którym pojawia się pod koniec filmu, kiedy to staje przed Bogiem i błaga Go, by mógł stać się aniołem. Publika ryknęła radośnie i powstała z krzeseł, aby nagrodzić go owacją na stojąco.

– Jezu – a nawet jeszcze nie widzieli tego filmu! – zdumiał się Ramone.

– Siła reklamy – odparł Martin, wstając z miejsca, aby lepiej widzieć. Nie klaskał jednak.

Boofuls uniósł ręce i po chwili oklaski rozpląły się w ciszy i wszyscy usiedli. Odczekał chwilę. Nie uśmiechał się, lecz oczy mu błyszczały.

– Nie wiecie, jak bardzo mnie uszczęśliwiliście. Mam nadzieję, że w zamian i mnie uda się was uszczęśliwić.

Ponowne oklaski. I znów uciszył je łagodnie.

– Dawno, dawno temu – zaczął, a jego wysoki głos w głośnikach zabrzmiał dziwnie głucho i donośnie, jakby wołał w głąb otworu kanalizacyjnego. – Dawno, dawno temu był sobie chłopiec, i chłopiec ten był legendą już za swego krótkiego życia. Dawno, dawno temu był też musical, który nigdy nie został ukończony.

Historia tego chłopca i jego przerwanego musicalu jest zbyt tragiczna, abyśmy mieli myśleć o niej dziś wieczór. Zamiast tego uczcijmy innego chłopca i musical, który został ukończony. Chłopca i musical, który – tak przynajmniej wierzymy my wszyscy, pracujący nad *Błogosławionym rydwanem* – zmieni świat.

Postawna kobieta w obcisłej czarnej sukni, siedząca dokładnie przed Martinem, nachyliła się do swego rumianego towarzysza i wyszeptwała:

– Co za zarozumiały smarkacz, prawda? Zupełnie taki, jak go opisywał Vernon. Czy wiesz, że nawet producentom nie pozwolił obejrzeć całego filmu, a montażyстів zmieniał siedem razy? Siedem!

– Cii, Yelma, to prawdziwa magia.

– Magia, akurat – odparowała Yelma.

Boofuls zszedł ze sceny i zasiadł między June Lassiter i panną Redd.

Publiczność nagrodziła go taką wrzawą, iż zmuszony był stanąć na krześle i pomachać im. W końcu jednak kurtyna odpłynęła na bok i na sali zapanowała cisza, zakłócona jedynie cichym pomrukiem podniecenia.

I wtedy zabrzmiały pierwsze akordy muzyki, na ekranie pojawił się Nowy Jork, a widownia zamarła.

Przez ponad godzinę Martin siedział nieruchomo, wpatrzony w ekran, bez żadnego słowa. Był całkowicie zahipnotyzowany. Muzyka przejmowała go do głębi, tańce były oszalamiające, zdjęcia nie przypominały niczego, co do tej pory widział. A Boofuls, od pierwszej chwili kiedy pojawił się

na ekranie, poruszył jego uczucia tak silnie, że Martin wcześniej nigdy by w to nie uwierzył.

Nienawidził go, absolutnie nie znosił tego chłopca. A jednak kiedy ten klęczał na chodniku, starając się ocalić życie umierającego przyjaciela, Martina ścisnęło coś w gardle, a jego oczy wypełniły się łzami. Rozejrzył się wokoło. Płakali wszyscy, nawet Ramone, a niektóre kobiety były tak poruszone, że ukryły twarze w dłoniach.

Film dotarł do momentu, kiedy Boofuls musi wybrać pomiędzy pozostaniem z matką a przemianą w anioła. Śpiewa wtedy piosenkę, podczas gdy jego mama zajmuje się codziennymi sprawami, nie mogąc go zobaczyć. W tym momencie smutek, panujący na widowni, przekroczył wszelkie granice. Martin sam zaczął rozsmarowywać po policzkach łzy, a kilkanaście osób szlochało w nie udawanej rozpacz.

*Matko... jak mam cię opuścić  
Nawet gdy aniołowie wzywają do siebie?  
Matko... jak mam się od ciebie odwrócić  
I odejść w deszcz, co wiecznie padać ma – bez ciebie!*

Martin odwrócił głowę, aby otrzeć łzy. Wtedy jednak, osłupiały, dostrzegł Boofulsa i pannę Redd zdążających pospiesznie, ręka w rękę, do bocznego wyjścia. A kiedy to ujrzał, melodramatyczne zakłęcie, które rzucił na niego *Błogosławiony rydwan*, niespodziewanie znikło. Powiedział głośno:

– Ramone! Ramone!! Przyjaciel spojrzał na niego oczami pełnymi łez. – Ramone, coś się tam dzieje. Coś złego.

– Stary, ten film cholernie mnie zasmucił – wykrztusił Ramone.

– Nie – odrzekł Martin. – To coś więcej. To przypomina zbiorową histerię.

Rozejrzył się po płaczącej, zrozpaczonej widowni. Mokre policzki lśniły w mroku. Część ludzi ukryła twarze w dłoniach i łkała, całkowicie rozstrojona.

Martin nareszcie zaczął rozumieć, dlaczego Boofuls nie pozwolił nikomu obejrzeć ukończonego filmu i czemu należało, aby premiera została zorganizowana jednocześnie na całym świecie. To nie był po prostu genialny, porywający musical. *Błogosławiony rydwan* stanowił hymn na cześć ludzkiej tragedii. W szczególnie subtelny i przekonujący sposób podkreślał nie nadzieję, wiarę i optymizm, jak inne musicale, lecz wszechogarniającą rozpacz. Akcentował nieuchronność śmierci i bezużyteczność życia. Jedyna droga uzyskania absolutnego spełnienia w ogóle nie miała się ziścić.

Martin zaczął także pojmować, czemu pani Alicja Crossley uznała za konieczne zabić Boofulsa przed ukończeniem oryginalnej wersji *Błogosławionego rydwanu*. W jakiś niezwykle, hipnotyczny sposób film ten był w stanie wciągać widzów w wir najczarniejszych emocji, niczym tonące łyki wessane w odpływ umywalki. Martin poczuł desperacki strach przed tym, co miało się stać za chwilę.

– Chodź – powiedział do Ramone. – Do diabła, wynosimy się stąd.

– Chcę zobaczyć zakończenie – odmówił Ramone.

– Wyłaż! – warknął Martin i pociągnął go za rękaw.

Ramone wyrwał się i protestował, w tym momencie jednak jeden z portierów oświetlił ich latarką.

– Proszę wyjść, panowie. Przeszkadzacie innym oglądać w spokoju.

Ostatecznie, nie przerywając narzekań, Ramone pozwolił wyprowadzić się do holu.

– Ten film przypomina niemal narkotyk – stwierdził Martin. – Nie czujesz, co zrobił z twymi

uczuciami? Wyprał cię, odwirował i wywiesił na sznurku, abyś wysechł! Bóg jeden wie, co się stanie z resztą widzów.

Ramone kilka razy odetchnął głęboko, po czym spojrzał na Martina, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– To było straszne – jęknął. Wyglądał naprawdę na wstrząśniętego. – Czuję się, jakbym miał kaca. Stary, było mi tak cholernie smutno.

– I o to, jak sądzę, właśnie chodziło. Ale Boofuls i jego przyjaciółka nie mieli bynajmniej ochoty zostać z nami i także się wzruszać.

– Wyszli?

– Parę minut temu.

– Jak myślisz, dokąd poszli?

– Chyba wiem aż za dobrze. Ale najpierw wracamy do domu. Czuję, że nadszedł czas, by poszukać Emilia.

\* \* \*

Byli dopiero w połowie drogi do wyjścia, kiedy usłyszeli wysoki, przeszywający krzyk bólu; z początku tak piskliwy, że prawie nieludzki. Zatrzymali się, spojrzeli po sobie i zawrócili w stronę drzwi sali kinowej. Rozległ się kolejny krzyk, i jeszcze jeden, po czym przerażający skowyt i odgłos jak gdyby objających się o siebie drewnianych wiader.

Jeden z portierów, zupełnie biały na twarzy, spytał:

– To ścieżka dźwiękowa, czy co?

Wtedy jednak Martin podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Po drugiej stronie usłyszał ciężkie uderzenia wielu ciał i nowe krzyki. Drzwi ustąpiły jedynie na parę centymetrów.

– Jezus, co się tam, do cholery, dzieje? – sapnął Ramone.

Do kina wpadł zziębnięty policjant, za nim jeszcze dwóch. Martin poinformował ich:

– Nie mogę otworzyć tych drzwi. Wygląda na to, że z drugiej strony napiera na nie cała masa ludzi.

Policjanci przyłączyli się do niego, drzwi jednak blokował ogromny ciężar, którego nie zdołali poruszyć. Wrzaski w środku nasiliły się, słychać też było coraz większy łomot, trzaski i tupanie.

– Na górę! – ryknął jeden gliniarz. – Jack, weź tę stronę!

Pierwszy policjant runął po schodach na balkon. Martin i Ramone pobiegli za nim, dysząc ze strachu i zmęczenia. Hałas wewnątrz budynku był nie do zniesienia. Brzmiało to, jakby w środku rozpętało się piekło. Nie rozległ się ani jeden artykułowany krzyk, żadne wezwanie pomocy. Jedynie przytłumione, zwierzęce jęki, nie kończący się krzyk i ten okropny pusty łoskot. Policjant dotarł do drzwi balkonu i instynktownie wy dobył pistolet. Następnie kopnął drzwi i odskoczył na bok. Ostatecznie, na miłość boską, kto wie, co też mogło rozgrywać się wewnątrz. Pożar, zamieszki, snajper. To mogło być cokolwiek. Martin już słyszał dobiegające z ulicy zawodzenie policyjnych syren.

Kolejna pauza. Nagle gliniarz ryknął:

– Nie ruszać się! Policja!

Ale okrzyk ten wywołany był jedynie strachem. Kobieta, która niespodzianie stanęła w drzwiach, dla nikogo nie mogła stanowić zagrożenia.

– O, Boże. Jednak zrobił to – szepnął Martin.

Ramone przeżegnał się i potrząsnął głową, nie był jednak w stanie nic powiedzieć.

Kobieta miała jasne włosy i kiedy przybyła na premierę, mogła być nawet ładna. Lecz obecnie nie

dało się tego stwierdzić. Jej twarz była zmiażdżona, jakby uderzył w nią młot. Pozlepiane krwią włosy sterczały niczym bocianie gniazdo; nie miała też jednego oka. Przez gołe mięso jednego policzka prześwitywała biała szczeka, zmiażdżona kość. Martin dostrzegł nawet złoty ząb. Miała na sobie zieloną jedwabną suknię i etolę z białych norek. Suknia była rozdarta z przodu aż do pasa, obnażając piersi, szal zaś przeistoczył się w zakrwawiony sznur.

Przez moment stała, chwiejąc się na nogach i wydając z siebie zdławione, bełkotliwe prośby, aby ktoś jej pomógł, kiedy jednak zatoczyła się do przodu, Martin stwierdził, że jej prawa ręka została rozerwana w łokciu, dosłownie oderwana, pozostawiając po sobie dyndający strzęp krwawego mięśnia, i że kobieta na ich oczach wykrwawia się na śmierć. Straciła równowagę i powoli osunęła się po ścianie obok drzwi, zostawiając za sobą szeroką smugę krwi.

– Pogotowie! – krzyknął policjant. – Rany boskie, wezwijcie pogotowie!

– Ramone – powiedział z napięciem w głosie Martin, omijając kobietę, podczas gdy policjant zdierał z niej zakrwawione rajstopy, aby zaimprovizować opatrunek. Strzaskana twarz kobiety wciskała się w dywan. Nawet nie mruknęła. Martin poczuł, że w jego gardle wzbiera żółć, musiał jednak przełknąć ją z powrotem.

Ramone zajął do pogrążonej w ciemności sali. Krzyki i jęki odrobinę ucichły, lecz nadal słychać było odgłosy szarpaniny, i wciąż od czasu do czasu rozlegał się umęczony wrzask bólu.

– Nie musisz tam wchodzić powiedział Ramone. Jego twarz była bardzo poważna.

– A właśnie że muszę. Ja to zacząłem. Ja uwolniłem Boofulsa.

– Stary, to nie twoja wina. W tym lustrze był Szatan i pewnego dnia Szatan znalazłby sposób, aby się stamtąd wydostać, nieważne, kto by je kupił. Jeśli ktokolwiek go wypuścił, to zrobił to Emilio.

Martin zawahał się, ponownie przełykając ślinę.

– I tak muszę tam wejść, żeby sprawdzić, co się stało.

Policjant ryknął:

– Lekarz? Gdzie jest, do diabła, lekarz? – po czym, tym razem do Martina: – Nie może tam pan wejść. Nie chcę jeszcze więcej ofiar, i tak jest ich wystarczająco wiele.

Martin udał, że go nie słyszy. Przez uchylone drzwi wkroczył w półmrok balkonu, a Ramone podążał tuż za nim. Przeszedł wzdłuż ostatniego rzędu krzeseł, po czym przystanął, spoglądając z góry na całe wnętrze kina.

Film już się skończył, ekran był jasnoszary i pusty. W sali zapadła nagła cisza. Pole walki po bitwie. Setki ludzi leżało na fotelach, prawie wszyscy martwi. Woń świeżej krwi i rozdartych ciał była tak mdląca, gorąca i ostra, że Martin musiał przycisnąć dłoń do nosa i ust.

Stopniowo światła zapaliły się i w kilkunastu wejściach pojawili się policjanci i sanitariusze. Podobnie jak Martin i Ramone zamarli w milczeniu. Nie mogli zrobić nic innego. Tego wieczoru „Mann’s Chinese Theatre” był wypełniony do ostatniego miejsca piętnastoma setkami hollywoodzkich sław, a teraz wszyscy oni spoczywali tu, rozdarci na kawałki.

– Nigdy bym w to nie uwierzył – wyszeptał Ramone. – Gdybym nie widział na własne oczy, to nigdy bym nie uwierzył.

Martin rozejrzał się dokładniej. Tuż przed nim leżał reżyser z 20th Century Fox Television, z którym kiedyś jedli lunch w restauracji. Jego usta były szeroko otwarte, przód koszuli ciemnoczerwony od krwi. Jego głowa stanowiła mieszaninę krwi i siniaków. Obok niego rozciągnięta żona, prawie naga, z włosami wyszarpanymi z głowy, jedną nogą nienaturalnie podwiniętą.

Światowej sławy operator, który dwa lata temu zdobył Oscara za swe pełne realizmu sceny śmierci i zniszczenia w Wietnamie, stał, na pół oparty o płataninę ciał, pozbawiony rąk, niczym

groteskowa Wenus z Milo.

W każdym przejściu spoczywały zwłoki w wieczorowych strojach, a ich krew wsiąkała ciemnymi strumieniami w dywany. I wszędzie, z każdej strony, widać było kupki biżuterii, futra, jedwabie i lśniące stosiki miękkich wnętrzności. Masakra w białych rękawiczkach.

– Co oni zrobili? – spytał Ramone ochryple. – Co się z nimi stało?

– Po prostu rozszarpali się na kawałki, to wszystko. – W ogromnej sali głos Martina zabrzmiał cicho i bezdźwięcznie. – Oszaleli ze smutku. Z rozpacz. Z czegokolwiek, sam nie wiem. Widziałeś, jak bardzo byli przejęci, jak płakali. Spójrz, deptali po sobie, dusili się nawzajem, odrywali sobie ręce. I cały ten łoskot. Walili głowami o krzesła i ściany.

– Stary, już nie mogę. Nigdy w życiu nie widziałem żadnego trupa oprócz mojej babki. Nie dam już rady.

W tym właśnie momencie ekran zamrugął i powrócił do życia. Błady, niewyraźny wizerunek triumfującego Boofulsa. Martin zwrócił ku niemu głowę i wpatrzył się tak, jakby Boofuls przemawiał do niego osobiście.

A potem wypowiedział te słowa:

– *I zapytał go: „Jak ci na imię?” Odpowiedział Mu: „Nazywam się Legion, bo nas jest wielu.” A pasła się tam na górze wielka trzoda świń. Prosił Go więc: „Poślij nas w świnie, żebyśmy w nie wejść mogli.” I pozwolił im. Tak duchy nieczyste wyszły i weszły w świnie. A trzoda około dwutysięczna ruszyła pędem po urwistym zboczach do jeziora. I potonęły w jeziorze.*

Boofuls uśmiechnął się powoli, po czym zaśmiał się w głos, tym wysokim, piskliwym śmiechem, tak dobrze znanym Martinowi. Po chwili jego twarz rozpułyła się i znikła.

\* \* \*

Całą powrotną drogę na Franklin Avenue przebiegli, ściągając po drodze za rogiem La Brea swe smokingi i kamizelki i wyrzucając je w piach. Nie odzywali się. Zbyt byli wstrząśnięci i zadyszani. Wiedzieli, że jeśli się nie pospieszą, mogą przybyć za późno. W dali, nad górami San Gabriel, zamigotała błyskawica i ponad całą doliną Los Angeles przetoczył się grzmot, jakby szaleńcy wrzeszczeli do siebie z dwóch pokojów w starym rozbrzmiewającym echami domu.

Gdy dotarli do domu Martina, natknęli się na pana Capelli, oczekującego na nich przed frontowym wejściem.

– Słyszałem w telewizji, jakaś katastrofa. Wszyscy zabici. Myślałem, że może was też zabili, i co bym wtedy zrobił?

Martin wyszarpnął zza paska przód koszuli i pochylił się, aby otrzeć sobie spoconą twarz.

– Chyba mieliśmy szczęście. Ale niech pan posłucha, przede wszystkim musimy wydostać Emilia.

Pan Capelli ścisnął jego rękę.

– Nie możecie! Co chcesz zrobić? Słyszałeś, co powiedział Boofuls. Jeżeli będziemy próbowali go wydostać, to może umrzeć.

– Proszę mi uwierzyć – odparł Martin. – Jeśli nie postaramy się wydostać go teraz, to zostanie tam na zawsze. Nie wydaje mi się, aby Boofuls miał jakkolwiek zamiar uwolnić go stamtąd.

– Ale powiedział przecież, że jeśli spróbujemy wyciągnąć Emilia, to on umrze!

– Mhm-hm, jakoś teraz tak nie uważam – odrzekł Martin.

Był zszokowany i wytrącony z równowagi, jednocześnie jednak czuł dziwną pewność, że zrozumiał wreszcie, o co naprawdę Boofulsowi chodziło i jak wszyscy zostali przez niego oszukani. Boofuls nie miał absolutnie żadnych skrupułów, ponieważ był synem wcielenia zła, i każde słowo,

które do nich skierował, było kłamstwem, służącym tylko jemu samemu. Uniemożliwił im ocalenie Emilia częściowo dzięki autentycznej magicznej mocy, częściowo zaś posługując się zwykłym blefem. A przynajmniej tak sądził Martin.

A nawet jeśli Boofuls mówił prawdę, nawet gdyby Emilio rzeczywiście znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie w razie jakiegokolwiek próby uwolnienia go z lustra – to ostatecznie czym jest życie jednego małego chłopca w zestawieniu ze śmiercią stu czterdziestu czterech tysięcy?

Poszli na górę do mieszkania Martina. Mijając podest, przez uchylone drzwi Capellich usłyszeli Toma Brockaw, który mówił:

– Tragedia na skalę światową ostatecznie obliczenia wskazują, że mogło zginąć nawet sto tysięcy ludzi – nie tylko u nas, lecz także w Londynie, Paryżu, Sztokholmie, Bonn i Madrycie.

Martin wszedł na schody i otworzył drzwi swojego mieszkania. Pan Capelli uniósł dłoń, jakby machał do niego z wielkiej odległości.

– Martin, to tylko mały chłopczyk, pomyśl o tym.

– Dlatego właśnie musimy go wydostać, panie Capelli. To tylko chłopczyk, zgadza się. Ale to niewinny chłopiec. To chłopiec, z którym Boofuls zamienił się na miejsca, aby móc zorganizować całą tę masakrę. Boofuls to syn diabła, panie Capelli, prawdziwy syn Szatana. Ale pamięta pan, co napisał ojciec Quinlan? „Tylko dziecko może pokonać ojca.” I wie pan, co to według mnie oznacza? To znaczy, że Emilio może zabić diabła. Tak naprawdę, jest on prawdopodobnie jedyną osobą, która może tego dokonać.

– Chcę tylko, żeby wrócił – odparł pan Capelli z godnością, wyprostowany, jakby nosił gorset.

– Panie Capelli – zapewnił go Martin – zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Razem z Ramone weszli do mieszkania. Alison zawołała z łazienki:

– Martin? To ty?

– Jestem, jestem! – odkrzyknął.

Ramone odetchnął głęboko.

– Człowieku, ci ludzie... te wszystkie trupy... to musiało być gorsze niż Hiroszima, czy coś takiego.

– Opadł na kanapę, kryjąc twarz w dłoniach. – Stary, to była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Martin.

– A jak myślisz? – odparował Ramone. – Dobrze? Jak mogę się czuć dobrze? Do końca życia będzie mi się to śniło.

Martin podszedł to parapetu i otworzył butelkę czerwonego wina. Nalał przyjacielowi szczodłą porcję i trochę dla siebie. Następnie przysiadł na brzegu biurka, wpatrując się w lustro, wiszące w przeciwnym końcu pokoju.

– To prawdziwe skurwielstwo – zauważył Ramone, także na nie zerkając.

– Ale da się je pokonać.

– Ach tak? Nie możemy go ruszyć, nie wolno go stłuc, nie mamy nic innego do roboty, jak tylko siedzieć tu niczym para skończonych durniów i czekać, aż zrujnuje nam życie.

– Możemy tam wejść – stwierdził z determinacją Martin. – Możemy tam wejść i wydostać Emilia. A wtedy, na Boga, możemy użyć go do pozbycia się Boofulsa – raz na zawsze.

– Naprawdę masz zamiar spróbować? – spytał Ramone.

– Tak – odrzekł Martin, choć dźwięk tego słowa, wypowiedzianego głośno, wzbudził u niego nagły lęk. – Naprawdę chcę spróbować.

Wstał i w tejże chwili do pokoju weszła Alison, bardzo blada.

– Martin? Ramone? Dzięki Bogu, nic wam się nie stało! Oglądaliśmy w telewizji reportaż z

premiery i kiedy powiedzieli, że wszyscy nie żyją...

Martin przez moment trzymał ją w ramionach.

– Wszystko w porządku, nic nam nie jest. No, może „w porządku” to za dużo powiedziane, ale przynajmniej ciągle jeszcze żyjemy.

– Ale co się właściwie stało? W dzienniku mówili, że wszyscy po prostu zwariowali.

Martin przytaknął.

– To się mniej więcej zgadza. Mam jednak przeczucie, że zanoszą się na coś jeszcze gorszego. Ciężko to wytłumaczyć, ale Emilio jest kluczem do całej sprawy. Musimy go uwolnić.

Alison wolniutko obróciła się i spojrzała na lustro.

– Kiedy mówisz: coś gorszego, masz na myśli...?

– Coś znacznie gorszego. To, że nigdy więcej nie wzejdzie słońce. A przynajmniej za naszego życia.

– I musimy uwolnić Emilia?

– Właśnie. Trzeba będzie przejść przez lustro, jeśli oczywiście nam się uda, odnaleźć go i sprowadzić do domu.

Dziewczyna zawahała się przez sekundę, po czym rzekła:

– Pozwól mi iść z tobą.

– Hej, daj spokój, odbija ci, czy co? – zaprotestował Ramone.

– Ale przecież mam pewne zdolności parapsychiczne. To znaczy, nie takie wielkie. Ale może na coś się przydadzą.

Martin potrząsnął głową.

– Nie mogę ci pozwolić na takie ryzyko.

– To co masz zamiar zrobić? Iść samotnie?

– Nie wiem. Chyba tak.

Martin wyciągnął rękę i dotknął powierzchni lustra. Była zimna i twarda, jak na prawdziwe szkło przystało, miał jednak dziwne wrażenie, że gdyby zamknął oczy i po prostu ruszył naprzód, to rozwiałyby się, zupełnie jak lustro w *Alicji*.

– A mnie się wydaje, że co dwie głowy, to nie jedna – nalegała Alison – szczególnie, jeśli w grę wchodzi zjawiska nadprzyrodzone.

– Na przykład? – spytał Ramone.

– Na przykład jeżeli nawet uda ci się przejść na drugą stronę, to jak chcesz się stamtąd wydostać? Pomyślałeś o tym? Emilio nie może wyjść. Jak ty chcesz tego dokonać?

– Zdać się na los szczęścia.

– O tak, i pozostać uwięziony w lustrze na zawsze, tak jak Boofuls.

– A co, masz może jakieś inne propozycje?

– Nie wiem. Nie jest to z pewnością niezawodne, ale może przy przejściu mógłbyś użyć liny, tak jak to zrobili w filmie *Poltergeist*, kiedy weszli do innego świata. W końcu, było nie było, to lustro to także inny świat, nie? A jeśli będziesz miał linę, to w razie kłopotów ktoś z tej strony będzie cię mógł wyciągnąć z powrotem.

– No cóż... wydaje się, że jest w tym jakiś sens – przyznał Ramone. – Wariacki, ale jest.

– Tak, jasne. – Martinowi nadal niespecjalnie podobał się pomysł zabrania ze sobą Alison. – A skąd niby mam wziąć tyle liny?

– Żaden problem. Mam w sklepie na zapleczu ponad tysiąc stóp nylonowej liny, należącej do wyposażenia nurków. Mogę ją przynieść, nie ma sprawy.

Martin zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową. Nie był w stanie wymyśleć żadnej

lepszey metody zapewnienia sobie powrotu do rzeczywistego świata.

– No dobra. Jeśli uda ci się zdobyć linę.

– Będzie zupełnie jak przy nurkowaniu. Ja tu zostanę, trzymając koniec liny, i jeśli napotkacie jakiegokolwiek kłopoty, po prostu za nią szarpnijecie, a ja już was wyciągnę.

Ramone wyszedł po linę. W tym czasie Martin nalał Alison kieliszek wina.

– Chyba powinnam przebrać się w coś bardziej praktycznego – stwierdziła. Nadal miała na sobie białą elastyczną bluzeczkę i szeroką spódnicę w stylu lat pięćdziesiątych. – Czy masz może jakiś dres, który mogłabym pożyczyć, albo coś podobnego?

Martin zabrał ją do sypialni i zaczął grzebać w szafie, póki nie znalazł luźnej szarej bluzy, ściąganej sznureczkiem przy szyi, i pary białych bawełnianych szortów, które skurczyły się w ostatnim praniu.

Alison skrzyżowała ręce i ściągnęła z wysiłkiem bluzkę, obnażając parę największych piersi, jakie Martinowi zdarzyło się oglądać. Podskakiwały, jedna niezależnie od drugiej, jak gdyby obdarzone były własnym życiem. Następnie zsunęła spódnicę, pod którą miała jedynie skąpe białe figi. Martin obserwował ją, kiedy zapinała szorty i wkładała bluzę. Dokładnie rozumiał, co Morris w niej widział. Tragiczne było tylko to, że nigdy więcej nie miał już jej zobaczyć.

– Coś się dzieje, prawda? – spytała Alison, odgarniając przed lustrem włosy. – Coś naprawdę poważnego?

Martin przełknął łyk wina.

– Tak. Chyba mogłabyś to nazwać Armageddonem.

– To oznacza koniec świata, tak?

– Mniej więcej. Może być jeszcze gorzej.

– Gorzej? – Alison zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

Martin wzruszył ramionami.

– Ktoś kiedyś podał definicję Armageddonu jako zbioru wszystkich najgorszych nieszczęść, jakie tylko możesz sobie wyobrazić, spotykających cię w tej samej chwili, jednocześnie, przez wieczność. Dla mnie to brzmi gorzej niż po prostu koniec świata.

Na zewnątrz niebo rozdarły włókna błyskawic, wiatr niósł ze sobą woń ozonu. W całym sąsiedztwie zaczęły szczekać psy, a koty miauczały i zawodziły, jakby właśnie był marzec. W dole, na Hollywood Boulevard, wygaszono co prawda reflektory, lecz światła na dachach karetek nie przestawały migać, wciąż wyły syreny, a rozpaczliwe krzyki lekarzy i strażaków nadal odbijały się echem po całej ulicy. Martin odwrócił się od okna, starając się nie myśleć o stosach okaleczonych ciał, które widział w „Mann’s Chinese Theatre”.

Włączył telewizor. Nadawano specjalny serwis z Londynu, ukazujący dziesiątki ambulansów przed kinem „Empire” na Leicester Square, przewożących ciała do szpitali. Sandy Gall, prezenterka, mówiła właśnie:

– ...obwinia się wysoce emocjonalną treść filmu. Doktor Kenneth Palmer z Instytutu Nauk Społecznych porównał tę tragedię z masowym samobójstwem wyznawców religijnego fanatyka Jamesa Jonesa w Jonestown i z wypadkami w Afryce w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy całe szczepy popełniały samobójstwa wierząc, że tylko w ten sposób zdołają dostać się do nieba. Minister spraw wewnętrznych jednak...

– Posłuchaj tylko – powiedział Martin. – Sto czterdzieści cztery tysiące ludzi, wszyscy zabili się sami, w tym samym czasie, oglądając ten sam film, a mass media już próbują znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to sądzę, że racjonalizowanie to śmierć ludzkiej rasy. Czas, żebyśmy zaczęli wierzyć w niewyjaśnione. A może jest już na to za późno.



\* \* \*

Minęło niemal dwadzieścia minut, nim Ramone pojawił się ze zwojem liny, zlany potem i zdyszany.

– Tam dalej wygląda zupełnie jak podczas zamieszek. Tysiące karet, tysiące wozów policyjnych, telewizja i diabli wiedzą kto jeszcze. I tysiące gapiów. Ludzie lubią oglądać trupy swych bliźnich.

Za oknem przeleciał policyjny helikopter, za nim jeszcze jeden. Zaraz potem rozległ się niski, głuchy grzmot.

– Lepiej się pospieszmy – powiedział Martin. – Możemy nie mieć zbyt wiele czasu. Obawiam się nawet, czy i tak nie jesteśmy już spóźnieni.

Przywiązali koniec liny do stalowej ramy okiennej dokładnie naprzeciw lustra.

– Mam tylko nadzieję, że to pieprzone okno wytrzyma – mruknął Martin. – Nie chciałbym pociągnąć za linę w tym lustrzanym świecie i wylądować z dwumetrowym oknem na kolanach.

Podczas gdy mężczyźni przygotowali asekurację, Alison stała przed lustrem i łagodnie wołała Emilia. Gdyby udało jej się zwabić go do pokoju stołowego, ich niesamowite zadanie byłoby sto razy łatwiejsze. Lecz drzwi lustrzanego pokoju pozostały zamknięte, nie wyrzał zza nich żaden Emilio. W lustrze nie było nikogo poza nimi samymi: Martinem, Ramone i Alison.

Wreszcie usatysfakcjonowany Ramone uznał, że lina ich utrzyma.

– Wierście mi, i słoń by tego nie rozerwał.

– Piękne dzięki – odezwała się Alison z nerwowym śmiechem. – Od dawna usiłowałam stracić trochę na wadze.

Oboje owinęli się w pasie liną, niczym para alpinistów.

– Tylko pamiętajcie – upomniał ich Ramone, szarpiąc węzły, aby sprawdzić, czy są dostatecznie mocne – jeśli tylko coś się stanie, zaraz was wyciągnę. Musicie tylko pociągnąć linę.

Martin zaczerpnął głęboko powietrza i zerknął na lustro.

– Wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko uda nam się przejść na drugą stronę.

– Więcej wiary, człowieku. – Ramone położył mu dłoń na ramieniu. – Na całym szerokim świecie wszystko opiera się na wierze.

Martin przytaknął i pochwycił rękę Alison.

– Ruszamy – oznajmił i jednocześnie podeszli do własnych odbić w lustrze.

Odczekali chwilę. Nie czuli ani śladu tego niepohamowanego ssania, które wciągnęło do środka Lugosiego i o mały włos nie wchłonęło także wszystkich trzech: Emilia, Ramone i Martina za jednym zamachem. Spojrzeli po sobie, a Martin powiedział:

– Jezu, mam nadzieję, że nie robimy z siebie idiotów.

– Wiary – napomniał ich Ramone.

– I co nam z niej przyjdzie? – spytała Alison.

– Nie wiem, ale może zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie, że jesteście w stanie przejść przez lustro. A wtedy, kiedy policzę do trzech, ruszycie naprzód i po prostu będziecie szli dalej.

Martin złapał mocno dłoń dziewczyny i zacisnął powieki. Starał się przypomnieć sobie słowa z *Po Drugiej Stronie Lustra*: „A szkło naprawdę zaczęło rozwiewać się jak lśniąca, srebrzysta mgielka”.

– Jak tam u ciebie? – zapytał Alison, nie otwierając oczu.

– W porządku.

– Chcę się nachylić i dotknąć czołem lustra. Spróbuj zrobić to samo.

Szkło pod jego czołem było zimne i płaskie, a oparte o nie okulary zaczęły wpijać się Martinowi w nos. Próbował jednak wykorzystać ten chłód, aby zamiast szkła wyobrazić sobie mgłę. „To jest możliwe”, powiedział do siebie, „sam przecież widziałeś. Piłka mogła odbić się z jednej strony na drugą. Kot zdołał tam przeskoczyć. Nawet chłopcu udało się przejść do lustrzanego pokoju, a także stamtąd tutaj. Jeżeli wszystko to mogło się zdarzyć, to i ty dasz radę wejść do środka.”

Dokonał tego Lewis Carroll. *Teraz to wszystko wydaje mi się snem czy raczej zmorą senną... kraina po drugiej stronie lustra, w której każdy przybiera swoją właściwą postać.* To możliwe. Już to robiono. Widziałem na własne oczy, a teraz sam zamierzam to zrobić.

Wydało mu się, że słyszy Ramone, mówiącego: „Jeden...” Potem jednak jego głos zamazał się i urwał, a Martin został szarpnięty do przodu w stronę lustra, tak gwałtownie i niespodziewanie, że puścił rękę Alison.

Próbował ją pochwycić, starał się krzyknąć, było to jednak niemożliwe. Nieznana siła przyciągała go z taką mocą, że nie mógł zrobić nic poza jeszcze mocniejszym zaciśnięciem powiek. Napiął mięśnie i zaczął modlić się w duchu, by nie zostać zmiażdżonym na śmierć.

A mimo to wiedział, że coś wsysa go na drugą stronę lustra, do odbitego pokoju.

Było to niesamowite uczucie. W jednej chwili miał wrażenie, że jego ciało jest rozciągnięte, nieprawdopodobnie cienkie. W następnej wydało mu się, że coś go ściska, a on sam kurczy się do niemożliwych rozmiarów. I przez cały ten czas czuł, jak powierzchnia lustra wchłania go niczym jezioro rtęci. Głęboki chłód ogarnął najpierw jego głowę, ciało, wreszcie stopniowo nogi.

Przez sekundę uwierzył w to, że nie żyje, że lustro go zabiło. Potem jednak otworzył oczy i oto stał w swym własnym pokoju, z Alison u boku. Jediną różnicę stanowił fakt, że obecnie zwróceni byli twarzami do okna, zamiast do lustra. A kiedy obejrzał się, nie zobaczył ich odbić. Jedyne Ramone istniał obecnie w obu światach – zwykłym i lustrzanym.

– *Madre mia*, udało się wam! – wykrzyknął teraz. – Przeszliście prosto przez lustro, prosto na drugą stronę, zupełnie jakby to były drzwi.

Martin spojrział na opasującą go linę. Zamiast przenikać przez lustro za jego plecami, przywiązana teraz była do okna w odbitym pokoju.

– Czy lina przeszła razem z nami? – spytał, odwracając się do prawdziwego Ramone.

– Jasne. Wszystko okay. Może spróbuj przejść parę kroków, sprawdzimy, czy się tu ruszy.

Martin postąpił kilka kroków w głąb obcego pokoju na-odwrot. Przyjaciel krzyknął:

– Świetnie, wspaniale. Lina wchodzi za tobą w szkło.

Alison ujęła jego dłoń.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To takie dziwne, brak mi słów.

Martin podszedł do swego biurka i podniósł egzemplarz *yteira V*. Nagłówek głosił: „Dziś start *Błogosławionego rydwanu*”, a pod nim cały tekst był dokładnie odwrócony. Spojrział na Alison i dostrzegł, że stanowi ona swe lustrzane odbicie: jej włosy zaczesane są na drugą stronę, a zegarek przeniósł się z lewego przegubu na prawy. Zerknął na własny czasomierz. Wskazówka sekundnika wędrowała po tarczy w przeciwnym kierunku.

– Sądząc po tych grzmotach i błyskawicach nie mamy zbyt wiele czasu – powiedział. W lustrzanym świecie burza szalała z równą gwałtownością co w prawdziwym. – Chodźmy sprawdzić, czy Emilio jest na dole.

Odwrócił się do Ramone i krzyknął:

– Dziesięć minut! Daj nam dziesięć minut! Potem lekko szarpnij linę, żeby nam przypomnieć.

– Dobra! – odkrzyknął Ramone.

Martin przeciął pokój i otworzył drzwi. Alison dreptała tuż za nim. Dziwne wrażenie sprawiało otwieranie drzwi w przeciwną niż zazwyczaj stronę, z zawiasami po prawej, a nie z lewej. Jednak korytarz prowadzący do wyjścia wyglądał dokładnie tak samo. Martin dostrzegł nawet niewielki prostokątny ślad na tynku w miejscu, gdzie wbił śrubokręt, żeby zabić kota. Dokładnie taki sam, tylko że na przeciwnej ścianie.

Zajrzał do kuchni. Wszystko wydawało się być identyczne jak w prawdziwym świecie, poza napisami na słoiczkach z przyprawami – lóS zrpeiP kenaimyT kenarejaM onagerO i w leżącej na stole gazecie, *semiT selegnA soL*.

– Jak na razie, wszystko idzie dobrze, jak mawiają w historiach przygodowych – powiedział.

Kolejny grzmot wstrząsnął wieczornym powietrzem, z daleka dobiegł ich łoskot spadających dachówek.

Nadal ciągnąc za sobą linę Martin i Alison podeszli do drzwi mieszkania i otworzyli je. Na klatce schodowej panował półmrok, lecz nie różniła się niczym od prawdziwej klatki schodowej. Poza... Martin uniósł głowę i zaczął węszyć. Coś tu było nie tak. Nie czuł żadnych zapachów, ani śladu czosnku, ziół czy nawet subtropikalnej wilgoci. W ogóle nic.

– Co się dzieje? – zaciekawiała się Alison, podchodząc do niego i dotykając jego ręki.

Martin potrząsnął głową.

– Jak na razie jeszcze nic. Ale tu nic nie pachnie. Normalnie czuć tu jak w „La Barbera”.

Alison także pociągnęła nosem.

– To chyba dlatego, że jesteśmy wewnątrz lustra. Czy przycisnąłeś kiedyś nos do lustra? Zimne, bez żadnego zapachu.

Ostrożnie zeszli na dół. Lina zaszeleściła na stopniach, podążając wiernie za nimi. Ich jedyne połączenie z rzeczywistym światem. Dotarli do podestu i zatrzymali się przed drzwiami Capellich. Wizytówka nad przyciskiem dzwonka głosiła: illepaC wypisane pochyłym pismem.

– Dobra, zaraz zadzwonię i zobaczymy, czy jest tam Emilio – oznajmił Martin. – Ale jest jedna rzecz, którą musisz wiedzieć. Ludzie w lustrzanym świecie mogą czasami wyglądać dziwnie. No, wiesz, naprawdę groteskowo. To dlatego, że przybierają tu swoją prawdziwą postać – kombinację wyglądu i osobowości. Przynajmniej tak twierdził ojciec Quinlan, a także Lewis Carroll.

Alison w milczeniu skinęła głową. Martin nacisnął dzwonek.

## 12.

Ramone siedział na kanapie, w jednej dłoni ściskając linę, a w drugiej kieliszek wina. Czuł się bardzo nieswojo, kiedy tak patrzył, jak lina prześlizguje się wolno po złoczonej ramie i stopniowo znika w lustrze. Widział swoje odbicie, także dzierżące linę. Również wyglądało nieswojo.

Zaczął stepować w powietrzu, pogwizdując „Samba Negra”. Na dworze nadal szalała burza, a spazmatyczne wybuchy oślepiającego blasku przesywały spuszczone żaluzje. Słychać było coraz więcej syren, oddalających się w kierunku Hollywood Boulevard. W powietrzu unosił się zapach Apokalipsy, atmosfera końca świata, woń ozonu, strachu i świeżo przelanej krwi.

Ramone wstał, nie wypuszczając liny, i podszedł do parapetu, aby nalać sobie kolejny kieliszek czerwonego wina. Odchylił dwie listwy żaluzji i wyjrzał na zewnątrz. W dole ulicy dostrzegł biegnącą kobietę, nie uprawiającą joggingu, lecz naprawdę biegnącą, jakby ścigała ją cała sfera diabłów prosto z piekła. Błyskawica oświetliła jej twarz, ponurą i bladą, przypominającą japońską maskę z teatru No.

Czując niepokój, Ramone puścił listwy i z powrotem odwrócił się w stronę lustra.

Ku jego zdumieniu, w pokoju, dokładnie przed szklaną taflą, stał Martin i uśmiechał się do niego.

– Martin! Na miłość boską! Chcesz, żebym dostał ataku serca, czy co?

Martin nie odpowiedział, lecz ruszył ku niemu, zacierając ręce. Nadal się uśmiechał.

– I co? – dopytywał się Ramone. – Gdzie jest Alison? Czy coś poszło nie tak? Zdjąłeś swoją linę.

– Nie, nic się nie stało. Wszystko w porządku – odparł Martin.

– Znaleźliście Emilia?

– Emilia? Ach, nie. Nie, jeszcze nie. Ale sądzę, że go znajdziemy – w odpowiednim czasie.

Ramone przyjrzał się mu uważnie.

– Stary, nic ci nie jest? Jakoś dziwnie mówisz.

Martin uśmiechnął się.

– Dziwnie?

Ramone przez ramię obejrzał się na lustro.

– Jesteś pewien, że wszystko w porządku? Co robi Alison? Zostawiłeś ją tam, czy jak?

Martin objął go ramieniem.

– Chodzi o to, Ramone, że będąc w lustrze odkryliśmy parę rzeczy. Odkryliśmy, że można przeżyć swe życie zgodnie z zupełnie innymi zasadami. Możesz przeżyć je potulnie, zawsze postępując tak, jak ci każą, kochając swego bliźniego, płacąc przykładownie podatki, albo też możesz żyć pełnią życia.

Ramone był kompletnie oszołomiony.

– Stary, myślałem, że macie szukać Emilia.

– I szukaliśmy – przyznał Martin. – Ale to przecież w końcu tylko chłopak, i tyle. A czymże jest jeden chłopiec wobec całej cudownej złożoności wszechrzeczy?

Ramone obrócił głowę, starając się uwolnić z uścisku Martina. I właśnie w tym momencie zobaczył jego zegarek, zapięty na prawym przegubie, ze wskazówką poruszającą się w przeciwną stronę. Szarpnął się i spojrzał na twarz Martina, i dopiero wtedy pojął, że jego przedziałek znajduje się po niewłaściwej stronie, a pieprzyk z prawego policzka w jakiś sposób przeniósł się na drugi.

– Człowieku, ty nie... – wykrztusił.

Wtedy jednak oczy Martina zapłonęły błękitem, oślepiającym błękitem, a jego ramię zacisnęło się wokół szyi Ramone tak mocno, że ten dosłyszał, jak coś trzaska – kość, żyła albo mięsień.

– Puszczaj mnie! – krzyknął. – Puszczaj!

Martin przyciągał go coraz bliżej i bliżej, nadal szczerząc zęby w uśmiechu, a jego oczy lśniły tak jasno, że Ramone musiał zacisnąć powieki.

Szarpał się na ślepo i może to dobrze, że nie zobaczył, jak usta Martina rozszerzają się coraz bardziej, a potem nagle szczęki rozwierają się na całą szerokość. Cał po calu, coś wysuwało się z jego ust. Nie język, lecz oślizły czubek drugiej głowy, szaroróżowej i pomarszczonej, która stopniowo wyłaniała się spoza zębów, odwijając przy tym wargi i popychając w górę nos, oczy i czoło tak, że zmieniły się w groteskową karykaturę, przypominającą chińską małpkę.

Głowa, która wynurzyła się z ust Martina, stanowiła jego zmniejszoną wersję, nieco gorzej ukształtowaną, lecz oczy jej płonęły potężnym bladobłękitnym światłem, a usta wypełnione były ostrymi drapieżnymi zębami, ociekającymi śluzową śliną.

Ramone, który nadal wyrywał się i kopał, otworzył oczy. Przez jedną przerażającą sekundę wpatrzył się w sterczące tuż przed nim okropieństwo, po czym wydał z siebie desperacki ryk.

Druga głowa Martina rozwarła usta przy akompaniamencie obrzydliwego odgłosu dławienia się, po czym wgrzyła się w twarz Ramone. Dolne zęby wbiły się w otwarte usta, górne miażdżyły brwi. Uchwyt szczęk tego stwora przypominał stalowe sidła, a kiedy Ramone spróbował wcisnąć ręce do jego gardła, aby go oderwać, napotkał tak ostre zęby, że natychmiast pokaleczył palce aż do kości.

W ostatniej konwulsyjnej próbie uwolnienia się Ramone mocno przechylił się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Nie mógł widzieć efektu tego, co zrobił – rozwarta paszcza potworka całkowicie zakrywała mu oczy – w rzeczywistości jednak przechylenie to wywlokło jedynie atakującą go głowę jeszcze dalej z ust Martina, ujawniając długą, oślizłą, różowawą szyję, która wydawała się nie mieć końca.

Ramone upadł na podłogę, dziko się szarpiąc, lecz wężopodobna głowa nie ustąpiła. Zamiast tego szyja naprężyła się, jakby jej mięśnie przygotowywały się do ostatecznego, potwornego ugryzienia.

Ramone uderzył dłonią w drewnianą podłogę, jak to czyni zapaśnik proszący o łaskę. Jedno uderzenie, dwa, trzy i nagle szyja stwora napięła się w koszmarnym skurczu mięśni, a jego zęby przebiły ciało i kość, wbiły się wprost w zatoki mężczyzny, przecinając język u samej nasady, rozrywając nerwy wzrokowe. Jednym potężnym szarpnięciem potwór odgryzł i oderwał całą twarz Ramone.

Prawie natychmiast stwór zaczął na powrót wślizgiwać się w otwarte usta Martina. Po sześciu sekundach widać już było tylko czubek jego głowy. Po siedmiu usta Martina zamknęły się i powróciły do swych normalnych rozmiarów.

Po piętnastu – tyle bowiem czasu potrzebował zasapany pan Capelli, by wbiec na górę, żeby sprawdzić, co to za łomoty i trzaski – Martin zniknął.

Gospodarz powoli ukląkł obok potwornie okaleczonego ciała Ramone. Wokół widniało zaskakująco mało krwi, jednak ugryzienie w twarz było tak straszne, że panu Capelli pozostawało jedynie przeżegnać się raz i drugi i wbić wzrok w lustro.

Martin zadzwonił ponownie. Wreszcie usłyszeli kroki i stłumiony głos zapytał:

– Kto tam?

– To ja, Martin, z góry. Byłem ciekaw, czy Emilio jest w domu.

Chwila przerwy, po czym dźwięk odsuwanej zasuwki i drzwi otwarły się. Z początku trudno było dostrzec, kto za nimi stoi. W korytarzu panował mrok i nigdzie nie paliło się ani jedno światło. Martin widział jedynie coś wielkiego, kołyszącego się lekko i przyodzianego w czerń. Wyglądało to prawie jak wielka klatka z papugą przykryta czarną płachtą.

– Emilio wyszedł – oznajmił przytłumiony głos.

W tej właśnie chwili błyskawica rozświetliła ciemność i Martin z dreszczem lęku pojął, kogo ma przed sobą. To była pani Capelli z czarną mantylą na głowie. Lecz jej głowa była nieproporcjonalnie wielka, jak na rysunku przedstawiającym Księżną w *Alicji w Krainie Czarów*. Twarz miała ogromną, cerę woskową – oblicze stale cierpiącej włoskiej matrony. Mantylę ozdabiały tysiące lśniących czarnych paciorków, sama zaś gospodyni obwieszona była dżetowymi naszyjnikami, poopinana broszami z dżetem. Matka w żałobie po starym kraju, utraconej niewinności i dawno zmarłych krewnych.

Ten kołyszący się wielkogłowy potwór to pani Capelli wzmocniona pięćset razy. Jej wygląd zewnętrzny w połączeniu z prawdziwym „ja”.

Martin usłyszał za plecami sapnięcie Alison. Był jednak zdecydowany odnaleźć Emilia. I mimo że jego głos trząsł się lekko, zdołał jednak zapytać:

– Czy wie pani... czy wie pani może, dokąd poszedł?

Pani Capelli pokręciła swą gigantyczną głową. Jej biżuteria zabrzęczała.

– To bardzo ważne – nalegał Martin. – Naprawdę muszę go znaleźć.

Gospodyni stała przez moment w milczeniu, po czym zawróciła do mieszkania. Pozostawiła jednak otwarte drzwi, jakby Martin miał poczekać na odpowiedź. Lecz zamiast tego wszedł za nią, podążając w ślad za chyboczącą się masą jej mantyli.

Pani Capelli weszła do saloniku, tupiąc nogami o wzorzysty dywan. Kiedy mijala stojące na komodzie lustro, zmieniła się – bez żadnego ostrzeżenia jej ogromna rozchybotana głowa skurczyła się do normalnych rozmiarów, jak pod wpływem magicznej sztuczki, a mantyla rozwiała się niczym dym. Dopiero gdy dotarła do najdalszego kąta pokoju, poza zasięg lustra, jej głowa ponownie spuchła, a naszywana paciorkami chusta powróciła na miejsce.

Martin sięgnął do tyłu i ścisnął rękę Alison.

– Widziałas? Kiedy przechodzi przed lustrem, jest normalna.

– Tak, masz rację. Teraz rozumiem. Jeżeli w realnym świecie ktoś nawet spojrzy w lustro, to nie dostrzeże nic niezwykłego.

Śladem gospodyni weszli do kuchni. Tam właśnie ujrzeli kolejną zjawę, jeszcze chyba dziwniejszą. Przy kuchennym stole siedział nadęty mężczyzna o białej twarzy, przypominający bardziej wielkie meduzie jajo niż normalnego człowieka. Martinowi przypomniał się Humpty-Dumpty z *Po Drugiej Stronie Lustra*: „Lecz jajko stawalo się tylko coraz to większe i większe i coraz bardziej i bardziej podobne do człowieka; gdy zbliżyła się do niego na odległość kilku jardów, spostrzegła, że posiada ono nos, usta i oczy.”

Lecz ta istota nie była bynajmniej miłym stworzonkiem z wierszyka dla dzieci. Oświetlona jedynie częstymi rozbłyskami z zewnątrz, była miękka i napuchnięta, z parą lśniących czarnych oczu. Stwór oddychał ciężko, jakby jego płuca były czymś zapchane. Odwrócił się i spojrzął na Martina wzrokiem wyrażającym podejrzliwość i pogardę.

– Czego chce? – spytał ostro z silnym, scenicznym włoskim akcentem.

– Pan Capelli? Szukam Emilia.

– Pocco? – chciał wiedzieć gospodarz. – Gdzieś się tam bawi.

– Panie Capelli, to niesłychanie ważne. Muszę go znaleźć.

– Czy ja cię znam? – wysapał jajokształtny stwór. Coś w rodzaju rozpoznania mignęło w jednym z pływających po gładkiej twarzy oczu.

– Martin, panie Capelli. Martin Williams. Emilio i ja zawsze się bardzo przyjaźniliśmy.

– Martin Williams?

– Zgadza się, panie Capelli. Martin Williams. Mieszkam na górze.

– Ach... – powiedział gospodarz. Przez chwilę namyślał się, otwierając i zamykając oczy niczym skorupki mięczaków. Wreszcie odkaslnął, chrząknął i machnął jedną, przypominającą płetwę, ręką w stronę drzwi.

– Poszedł do sklepu. Może z kolegą. Kupić kawę i cukierki. A teraz zostawcie mnie samego.

Pani Capelli stała w milczeniu w kącie, obserwując ich oczami w twarzy tak wielkiej, że przywodziła na myśl białe wyściełane krzesło. Martin nie odpowiedział, wziął tylko Alison za rękę i wyprowadził ją z mieszkania. Zamknął za sobą drzwi i stanął na podeście cały drżący, oddychając głęboko, jedną ręką wsparty o ścianę.

– Naprawdę musimy wyjść na dwór? – spytała Alison.

– Nie mamy żadnego wyboru.

– Ale jeśli Capelli tak wyglądają...

– Nie mamy wyboru, musimy znaleźć Emilia.

Ciągnąc za sobą linę wyszli przed budynek. Niebo miało barwę atramentowoczną, wiatr huczał coraz mocniej, a palmy szumiały i potrzaskiwały.

– Supermarket jest w tę stronę – poinformował Martin. – Chyba będziemy musieli pozbyć się tej liny. Może pociągnę ją kilka razy, po prostu żeby dać znać Ramone, że z nami wszystko okay.

Dwa razy szarpnął linę, nie poczuł jednak ani cienia reakcji ze strony przyjaciela. Zawahał się przez sekundę, niepewny, czy nie powinien wrócić na górę i zawiadomić Ramone, że wyruszają dalej już bez asekuracji, ale ogłuszający huk grzmotu sprawił, że zaniechał tego. To była noc nadejścia Szatana. Nie mieli czasu do stracenia.

Pospiesznie rozplatali węzły wokół talii, pozostawiając na podjeździe pana Capelli zwój liny. Szybko pomaszrowali Franklin Avenue w kierunku supermarketu, przecinając La Brea i zmiierzając w stronę Highland Street. Martin był koszmarnie zagubiony, ponieważ miał migoczące światła Los Angeles po prawej, zamiast po lewej, a samochody jechały po niewłaściwej stronie ulicy. Oboje nie przyglądali się zbyt uważnie, odnieśli jednak wrażenie, że kierowcy i pasażerowie niektórych mijających ich aut są w szczególny sposób zniekształceni – zgarbione postacie w bezszelestnie toczących się pojazdach.

Wichura wzmagała się. Na twarzach poczuli krople deszczu. Po drugiej stronie ulicy dostrzegli spieszącego do domu mężczyznę o głowie owcy, obarczonego naręczem zakupów. Spojrzenie jego żółtych oczu padło na nich przelotnie, potem jednak odwrócił wzrok.

Supermarket usytuowany był dokładnie na skrzyżowaniu Franklin Avenue i Highland Street. Jego okna lśniły blaskiem. Kiedy się zbliżyli, Martin zaczął biec, a Alison także ruszyła truchtem, aby dotrzymać mu kroku. Jeszcze z przeciwległego chodnika Martin dostrzegł Emilia przy jednej z kas. Chłopiec czekał w kolejce. Te ciemne, rozczochrane włosy, drobna, blada twarzyczka.

– O, tam! – krzyknął z ulgą Martin. – Popatrz, tam jest!

Nietrudno go było zauważyć. Emilio był jedyną osobą w całym sklepie pozbawioną jakichkolwiek

widocznych zniekształceń. Kasjer miał wydłużoną, szczurzą twarz i stukał w klawisze długimi szponami. Tuż za Emiliem stała kobieta o maleńkiej główce i niezwykle napuchniętym ciele; jej twarz stanowiło jedynie kilka szkarłatnych punkcików. Gdy Martin i Alison dotarli do okna i rozejrzeli się po sklepowym wnętrzu, ujrzeli istoty rodem z koszmarów sennych wędrujące wszędzie naokoło, niektóre przebierające licznymi kończynami jak pająki, inne z ogromnymi chybotającymi się głowami, jak u pani Capelli, jeszcze inne przypominające najbardziej psy. Oto na własne oczy widzieli świat, opisany przez Lewisa Carrolla w *Po Drugiej Stronie Lustra* świat, który z powodu jego niewiarygodnego okropieństwa pisarz zdołał przedstawić jedynie jako dziecięcą fantazję. To był świat, w którym ludzie przybierają swą prawdziwą postać, a coś takiego przekraczało granice tego, co wiktoriańska wyobraźnia zgodziłaby się zaakceptować.

Kiedy stwory w supermarkecie mijały jedno z wypukłych lusterek systemu bezpieczeństwa, wiszących w rogach, ich wygląd ulegał momentalnej zmianie. Wyglądały wtedy prawie jak normalni ludzie. Jedynie ich twarze były nieproporcjonalnie duże, a reszta ciała i nogi kurczyły się niczym u krasnali – był to efekt skrzywienia powierzchni lusterek.

– O, mój Boże – mruknęła Alison. – To przypomina jakieś potworne zoo.

Martin jednak zdecydowany był dostać się do Emilia. Raz i drugi zabębnił dłonią w okno i w końcu chłopiec uniósł wzrok i dostrzegł go. Jego twarz natychmiast rozjaśnił szeroki uśmiech. Martin gwałtownymi ruchami polecił mu, aby zaraz wyszedł ze sklepu.

Emilio upuścił swoje zakupy i wybiegł na ulicę. Martin szeroko otworzył ramiona i obaj mocno się uściskali.

– Przeszedłeś! – szlochał Emilio. – Myślałem już, że nigdy się nie zjawisz! Że będę tu musiał zostać na zawsze!

Martin otarł mu łzy, czule zmierzwił włosy, po czym wyprostował się.

– Czas wracać – oznajmił. – Nie wydaje mi się, aby coś ci się miało stać, jeśli przejdiesz przez lustro. Ale mamy coś ważnego do zrobienia. Coś bardzo niebezpiecznego.

Emilio dreptał obok niego, kiedy maszerowali z powrotem do domu państwa Capellich.

– Zrobisz to? – spytał Martin. – Jesteś jedyną osobą, która może tego dokonać.

– Spróbuję – wydyszał Emilio.

Wichura dęła im w twarze tak mocno, że kiedy dotarli do domu, prawie nie mieli już sił iść dalej. Płachty gazet owijały im się wokół kostek, a suche palmowe liście chłostały twarze. Ulice były niemal zupełnie wyludnione, ale Martin dosłyszał wycie syren strażackich, przytłumione rykiem wichru, i odległe krzyki ogromnego tłumu, niczym fale dalekiego oceanu rozbijające się o brzegi.

Na podjeździe Martin podniósł koniec liny i idąc naprzód, zaczął owijać ją sobie wokół łokcia. Emilio pociągnął go za rękaw.

– Ale nie będę musiał wracać do nich? – Najwyraźniej miał na myśli lustrzanych Capellich.

Alison objęła go ramieniem i uśmiechnęła się.

– Nie ma mowy, *gringo*. Zostajesz z nami.

Wspięli się na schody, podczas gdy Martin nadal zwijał linę. Drzwi oznaczone illepaC były lekko uchylone. Dobiegały zza nich dźwięki straszliwie fałszującego operowego śpiewu, jak gdyby ktoś puścił płytę w przeciwną stronę. Alison szybko przeprowadziła obok nich Emilia, chłopiec jednak nie mógł się powstrzymać, by na nie nie zerknąć. Bóg jeden wie, jakie groteskowe wspomnienia pozostały mu po tym, co się tam działo. Przedziwne potworności, które tam oglądał: człowiek w pełni swej chwały.

Martin dotarł już niemal do szczytu schodów, gdy naraz drzwi jego własnego mieszkania otworzyły się odrobinę. Natychmiast zatrzymał się z walącym sercem. Alison spytała wystraszonym głosem:



– Kto to?

Drzwi na moment zamarły, po czym rozwarły się szerzej.

– Kto tam jest? – zawołał Martin.

Odpowiedź na jego pytanie nadeszła bezzwłocznie. W drzwiach pojawił się on sam, a za nim Alison. Ich własne odbicia, identyczne w każdym szczególe, lecz w jakiś sposób obdarzone własnym, niezależnym życiem. Stały teraz na najwyższym stopniu i dobrotliwie uśmiechnęły się do nich.

Martin poczuł grozę przekraczającą wszystko, czego doświadczył od czasu, gdy otworzył oczy i ujrzał stojącego nad sobą Boofulsa. Gdyby na podeście czekał na niego sam Boofuls albo panna Redd lub nawet ten wściekły kot, Gałka, to mógłby jakoś sobie z tym poradzić. Ale stanąć twarzą w twarz z samym sobą i to tak szyderczo uśmiechniętym – to było więcej, niż mógł znieść jego system nerwowy.

– O, Boże – szepnął. – Boże, to już koniec.

Alison stała nieruchomo ze zbielełą twarzą, sparaliżowana strachem.

– O co ci chodzi, Alison? – naigrywało się z niej jej odbicie. – Nie mów mi, że ze wszystkich ludzi właśnie ty boisz się spojrzeć na samą siebie?

Odbicie Martina uśmiechnęło się i ujęło dłoń lustrzanej Alison, jakby od lat byli w sekrecie przyjaciółmi.

– Co z ciebie za śmiałek, Martin! Cała ta wyprawa w głąb świata luster, jedynie po to, by uratować twego pięcioletniego kolegę.

Pseudo-Martin zszedł kilka stopni, tak że znalazł się tuż przed swym oryginałem.

– Zawsze miałeś wielkie plany, prawda? Mały człowieczek, wielkie plany. Cóż, chyba możemy ci to wybaczyć. Każdy człowiek ma prawo do marzeń. A twoim najlepszym marzeniem był *Boofuls!*, musical autorstwa Martina Williamsa. Spójrz, do czego to doprowadziło! Zmieniło cały świat, czyż nie?

– Zejdź mi z drogi – warknął ochryple Martin.

– Daj spokój, Martin, przecież mówisz do siebie. Jediną osobą, która stoi ci na drodze, jesteś ty sam.

Martin poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. W ustach czuł suchość i bliski był omdlenia. Coś jednak mówiło mu, że jego odbicie powiedziało prawdę. Jediną osobą, która stała na jego drodze, był on sam. Jego próżność, ambicje, nieostrożność, chwile wściekłości. To on sam pośrednio spowodował śmierć tych stu czterdziestu czterech tysięcy niewinnych ludzi.

W Biblii święty Jakub Apostoł powiada: *Jeśli bowiem ktoś przysłuchuje się tylko słowu, a nie wypełnia go, podobny jest do człowieka, oglądającego w lustrze swe naturalne odbicie. Bo przyjrzał się sobie, odszedł i zaraz zapomniał, jakim był.*

Lecz teraz Martin wiedział już, jakim jest człowiekiem, i nie był to ten zadowolony z siebie, uśmiechnięty osobnik, który w tej chwili stał przed nim na schodach.

– Zejdź mi z drogi – powtórzył. Poczuł, że wracają mu siły. Jego pewność siebie wyraźnie wzrosła. – Natychmiast złaź, z tych pieprzonych schodów!

Błyskawicznie, z szybkością atakującej kobry, odbicie Martina odrzuciło w tył głowę i szeroko rozwarło usta. Wychynęła z nich śliska różowa główka o oczach płonących błękitem i groźnie kłapiących zębach. Martin uchylił się i odskoczył w tył, lecz szyja potwora wygięła się tylko, a jego szczęki zamknęły się, muskając jego ramię, rozrywając koszulę i lekko kalecząc skórę.

Alison krzyknęła, a jej odbicie także wydało z siebie głos nie był to jednak okrzyk strachu, lecz czystego triumfu. Martin jednak zbiegł po schodach, chwilami tracąc równowagę i przeskakując po

cztery i pięć stopni. A kiedy zębata głowa zbliżyła się do niego, okręcił wokół jej szyi kawał liny i szarpnął z całych sił.

Głowa zaczęła się dławić, jej oczy wytrzeszczały się coraz bardziej. Na szczycie schodów odbicie Martina także zaczęło się dusić i upadło na kolana. Czymkolwiek była, ta ohydna główka miała wyraźny związek z wnętrznościami odbicia, zatem jeśli Martin zdołałby ją zabić, to pozbyłby się także jego.

Coraz mocniej zaciskał linę. Płonące błękitne oczy zaczęły mętnieć i zachodzić mgłą. Z kącików ust potwora ciekła ślina, potem krwawa ślina, wreszcie krew. Głowa zmalala i pomarszczyła się, niemal jak penis tracący erekcję, aż w końcu upadła na schody. Odbicie Martina także runęło bezwładnie na dół i koszmarnie zwłoki spoczęły oparte o ścianę podestu.

– A teraz – powiedział Martin do lustrzanej Alison, ruszając na górę i zwijając w rękę linę – jeśli o ciebie chodzi...

Ale odbicie Alison uniosło tylko górną wargę i zasyczało wściekle. Następnie zbiegło po schodach, roztrąciło całą trójkę i zniknęło na ulicy.

Alison mocno uścisnęła Martina.

– Zrobiłeś to. Jesteś cudowny! Zrobiłeś to!

– No, chodź – pogonił ją. – Boże, mam tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Weszli do lustrzanego mieszkania Martina, zamykając za sobą drzwi. Następnie Martin i Alison pochwycili obie ręce Emilia i podeszli do lustra.

– Nie ma Ramone – Martin zmarszczył brwi. – Popatrzcie, lina jest na miejscu. Ale nie ma Ramone.

– Wracajmy wreszcie – błagała go dziewczyna.

Jednocześnie zamknęli oczy i przycisnęli czoła do chłodnej powierzchni lustra. „Mogę tego dokonać”, pomyślał Martin.

„Mogę przejść przez szkło. Potrzebny jest tylko jeden krok i już tam będę, z powrotem w rzeczywistym świecie.”

Znów poczuł to dziwne rozciąganie i ściskanie. W uszach mu dzwoniło, serce tłukło się w piersi i przez jedną długą chwilę sądził, że nie żyje. „Umarłem”, powiedział do siebie, po czym otworzył oczy i oto stał razem z Alison i Emiliem z powrotem w prawdziwym pokoju stołowym.

– Udało się – stwierdził. – I popatrz, co ci mówiłem? Emilio jest cały i zdrowy. Boofuls blefował przez cały czas.

Alison rozejrzała się wokół, zaniepokojona.

– Ani śladu Ramone. Nie wyglądał na faceta, który mógłby ot tak wstać wyjść, zostawiając nas.

– Może pan Capelli coś wie – podsunął Martin.

Emilio zapał z radości:

– Gdzie jest dziadek? Dziadku? Jesteś tu?

Martin pochylił się i podniósł chłopca, po czym razem zeszli do mieszkania gospodarzy. Gdy nacisnęli dzwonek, Martin poczuł, że ciało dziecka sztywnieje z napięcia. Nie mówiąc ani słowa wskazał palcem wizytówkę na drzwiach. Capelli, nie illepaC. Pan Capelli otworzył drzwi niemal natychmiast. Już miał coś powiedzieć – wtedy jednak zobaczył Martina, Alison i, co najważniejsze, Emilia.

Nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Mocno przycisnął do siebie wnuka, a po jego policzkach popłynęły łzy. Martin i Alison czekali cierpliwie.

– Z nim wszystko w porządku, panie Capelli, naprawdę – wykrztusił Martin głosem przytłumionym przez wzruszenie. – Może mieć parę złych snów. Ale poza tym wszystko okay.

Pan Capelli postawił wreszcie Emilia na podłodze, nadal jednak nie wypuszczał go z objęć.

– Mam złe nowiny – powiedział. – To dotyczy twego przyjaciela, Ramone.

Martin poczuł nagły chłód.

– Co się stało? Czy musiał wyjść?

– Nie. Bardzo mi przykro. To było okropne, zupełnie przerażające. Usłyszałem, jak tłucze o podłogę i pobiegłem na górę tak prędko, jak tylko mogłem.

– I?

– Przypuszczam, że to coś z lustra. Jego twarz – cała twarz. Była odcięta, zupełnie jakby odgryziona, rozumiesz. Nie mogłem na to patrzeć. Myślę, że musiał umrzeć od razu. Zabrała go karetka, policja przyjedzie później. Teraz zajęci są tymi wszystkimi biedakami, którzy zginęli w „Mann’s Chinese Theatre”.

– Odgryziona? – powtórzył Martin. Jedyńm, o czym mógł myśleć, była mroząca krew w żyłach różowa główka, która wychynęła z ust jego własnego lustrzanego odbicia. Głowa o ostrych jak brzytwa zębach.

– To było bardzo przerażające – stwierdził pan Capelli. – Przykro mi. Takie straszne.

Martin zakrył oczy dłonią. Przez moment był bliski płaczu. Lecz łzy nie chciały płynąć, jeszcze nie teraz. Najpierw musiał zająć się Boofulsem.

– Panie Capelli – powiedział. – Mam do pana jedną prośbę.

– Jaką prośbę? – Pan Capelli obejmował wnuka ramieniem.

– Chcę, żeby pozwolił pan chłopcu pójść z nami, tylko ten jeden, ostatni raz.

Pan Capelli powoli potrząsnął głową.

– Może jestem stary, przyjacielu, ale na pewno nie głupi. Ten chłopiec przeszedł już wystarczająco wiele.

Wysoko nad domem zabrzmiał grzmot tak gwałtownie, że z sufitu posypał się tynk.

– Panie Capelli, jeżeli Emilio nie pójdzie z nami, to być może już nigdy nie zaświeci słońce.

\* \* \*

Zmiana postanowienia pana Capelli zabrała Martinowi prawie dziesięć minut. W tym czasie szalejąca na zewnątrz burza rozpętała się z jeszcze większą furją. Z hałasem przypominającym darcie włosów, wiatr wyrwał z korzeniami dwie palmy, rzucając je na ulicę, a woda w basenie Marii Bocanegra falowała i chlustała. Wichura dęła z tak oszałamiającą prędkością, że zaczęła skowyczeć między kablami telefonicznymi – wysokim, umęczonym wyciem torturowanych dusz. Wszędzie widać było rozgałęzione jęzory błyskawic; pioruny biły w bliźniacze wieże Century City i hotelu „Bonaventure” w centrum.

– Martin – upierał się pan Capelli. – Emilio jest dla mnie wszystkim. A jeżeli coś pójdzie nie tak?

– Panie Capelli – nalegał Martin – ten świat jest wszystkim dla każdego z nas. Nie bardziej niż pan boję się narazić życie Emilia. Ale na podstawie tego, co widzę, nie mamy żadnego wyboru.

– Bądź przeklęty za to, że kupiłeś to lustro – powiedział gorzko pan Capelli.

– Dobrze. Niech będę przeklęty.

Przez bardzo długą chwilę gospodarz siedział w bezruchu ze splecionymi rękami.

– Możesz go zabrać – oznajmił w końcu. – W porządku? Zgadza się. Możesz go zabrać. Ale ręczysz za niego własnym życiem. Swoim własnym życiem, pamiętaj. I jeszcze jedno. Zanim pójdziecie, stłuczysz to lustro. Rozwalisz je.

– Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł – odparł ostrożnie Martin.

– Rozwal je, w przeciwnym razie nigdzie nie zabierzesz Emilia. Myślisz, że będę tu siedział, jak ciebie nie będzie, i czekał, aż wyskoczy z niego Bóg wie jaki potwór? Widziałem, co się stało z twoim przyjacielem Ramone. Dziękuj swym szczęśliwym gwiazdom, że ominął cię ten widok. Miał odgryzione pół twarzy!

– Panie Capelli... – zaczął Martin, gospodarz jednak był niewzruszony.

– Rozbijesz to lustro. W przeciwnym razie nigdzie nie idziecie. Już i tak było przyczyną zbyt wielu kłopotów. A poza tym nie chcę, aby Emilio kiedykolwiek tam wrócił. Albo nawet myślał o powrocie.

Wyczerpany, wstrząśnięty, nadal czując przeszywający ból po śmierci Ramone, Martin ostatecznie przytaknął:

– Okay, rozbiję lustro. Zadowolony pan?

– Zadowolony – nie, ale lekko uspokojony.

Alison została u pana Capelli, podczas gdy Martin wrócił na górę do siebie. W połowie schodów przystanął, oparł się o ścianę i zakrył oczy dłonią. „Boże, dodaj mi sił, abym zdołał doprowadzić to wszystko do końca. Boże, pomóż mi.” Odczekał chwilę, aby nieco ochłonąć, po czym wspiął się na kilka ostatnich stopni.

Otworzył drzwi do pokoju stołowego i ujrzał lustro, z jego złoconą twarzą Pana, wiszące na ścianie, jak gdyby nic się nie stało, i nadal szydzące z niego. W pokoju panował przeraźliwy ziąb. Zupełnie jakby się wchodziło do chłodni. Było tak zimno, że powierzchnia lustra zaszła mgiełką i stała się niemal matowa. Martin jednak zignorował lustro. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka. Otworzył szufladę, w której trzymał narzędzia, i wyjął młotek.

– Już czas, ty skurwysynu – powiedział na głos. – A pani Harper niech lepiej zapomni o swojej drugiej racie!

Gwałtownym ruchem przetarł zamgloną tafłę i zamachnął się młotkiem.

I zamarł, niezdolny się ruszyć.

Ponieważ nie było go tam. Nie widział swego odbicia z młotkiem w dłoni. Lustrzany pokój był pusty.

Zbliżył się do lustra, a serce waliło mu powoli. Dotknął szklanej powierzchni. I nagle pojął, co zrobił. Zabił swe własne odbicie. Nigdy już nie ujrzy się w lustrze.

Zastygł w bezruchu. Ogarnęło go niezwykle poczucie straty, jak młodego Daniela, który skradł świętą harfę i stracił swój cień.

I wtedy usłyszał Alison, wołającą jego imię. Zamachnął się z całej siły i uderzył w sam środek lustra.

Szkoło rozprysło się gwałtownie. Wielkie odłamki wypadły z ramy i z brzękiem runęły na podłogę. A złocona twarz Pana, wieńcząca ramę, ryknęła tak głośno, że przestraszony Martin odskoczył dwa kroki w tył, potknął się i niemal upadł.

– Boże, chroń mnie – szepnął, po czym podszedł z powrotem do lustra i uderzeniem młotka odłupał twarz od ramy. Upadła na podłogę. Uderzał w nią raz po raz, aż wreszcie pozostała z niej jedynie kupka złocenia i gipsu.

Podniósł się, oddychając ciężko. Teraz kolej na Boofulsa. Potrzebna mu była broń, którą mógłby go zabić. Miecz, pobłogosławiony przez Archaniola Michała, tak twierdził ojciec Quinlan. Ale skąd, u diabła, miał wytrzasnąć miecz? A nawet jeśli go zdobył, to jak miał uzyskać błogosławieństwo?

Już miał się odwrócić, gdy nagle pokój zalało światło błyskawicy, odbijając się od długiego odłamka lustrzanego szkła. Miał on prawie cztery stopy długości i był lekko zakrzywiony, niczym ostrze szabli. Martin ukląkł i ostrożnie podniósł go. Opuszką palca wypróbował ostrze, kalecząc

się natychmiast, tak że strużka krwi spłynęła mu po przegubie. Nada się. To będzie jego święty miecz.

Zaczął grzebać w szufladzie, póki nie znalazł rolki taśmy izolacyjnej. Kilka razy okręcił nią koniec lustrzanego miecza, tworząc w ten sposób bezpieczną rękojeść. W końcu uniósł go i zatoczył nim łuk. Miecz ze świstem przeciął powietrze. Boofuls pożałuje, że kiedykolwiek wyszedł z tego lustra.

Ujął miecz za ostrze, tak jak to robili rycerze na obrazkach z bajek, i zamknął oczy.

– Boże, pobłogosław tę broń, jeśli możesz. A przynajmniej obdarz mnie siłą i rozumem, abym dobrze się nią posłużył. Dziękuję Ci.

Po czym krwią ze swojego skaleczonego palca wysmarował na ostrzu lustrzanego miecza litery: V-O-R-P-A-L.

Zszedł na dół. Alison, Emilio i pan Capelli czekali na niego na podeście.

– Słuczone – poinformował gospodarza i uniósł lustrzany miecz.

– Co, na miłość boską, masz tym zamiar zrobić? – spytał pan Capelli.

– Naprawić wszystko. Przynajmniej taką mam nadzieję. Chodź, Emilio, poszukajmy twojego towarzysza zabaw.

*W dłoń ujął migblystalny miecz,  
Za swym pogromnym wrogiem mknie...*

Mustangiem Martina dojechali do Vine Street. Alison trzymała miecz, podczas gdy Martin prowadził; Emilio siedział z tyłu. Wiatr nadal hulał po Los Angeles, a błyskawice rozgałęziały się od jednego krańca doliny do drugiego, niczym korzenie gigantycznych elektrycznych drzew. Wokół prawie nie było żywej duszy. Kilka samochodów wlokło się ulicą, wyglądało jednak na to, że większość ludzi postanowiła zostać w domu. Dzika, ciemna noc, hucząca przecuciem nadciągającej katastrofy.

Dotarli do hotelu „Boskie Hollywood”. Martin zaparkował po przeciwnej stronie ulicy i wszyscy wygramolili się z auta. Kilka profesjonalistek nadal przechadzało się po chodniku, poza tym jednak było pusto.

– Hej, chłopczyku! – zawołała jedna z prostytutek do Emilia. – Chcesz pobawić się w świnkę?

Martin wszedł do hotelowego holu. Alison i Emilio postępowali tuż za nim. W środku nadal rezydował zwykły zestaw obdartusów i pijaków, nie było jednak widać ani śladu młodego recepcjonisty. Hol był ciemny, ponury, śmierdziało w nim uryną i spalenizną. Martin przystanął, nasłuchując. Dobięł go skądś cichy szelest, raczej wibracja niż hałas, i odgłos śpiewu wielu głosów.

– Na górze – powiedział. – Apartament Leicester.

– Martin – odezwała się Alison – boję się. To już to, prawda? To znaczy, to naprawdę to?

– No, dalej pocieszył ją Martin. Przynajmniej mamy po swojej stronie Boga i wszystkich aniołów.

– Chciałabym w to wierzyć, Martin... – zaczęła.

Spojrzał na nią. Miał wrażenie, że wie, co zamierzała powiedzieć.

– Nie teraz – odparł łagodnie. – Najpierw załatwmy to.

Wspięli się na marmurowe schody, aż w końcu dotarli do podestu. Po przeciwnej stronie podwójne drzwi do apartamentu Leicester były szeroko otwarte, a dochodzące ze środka nieregularne migotanie bladego światła ukazywało boazerie i zasłony. Wibracje były teraz jeszcze silniejsze,

jeszcze głębsze.

Martin przełożył lustrzany miecz z jednej ręki do drugiej i oznajmił:

– Naprzód!

Weszli do apartamentu. Przy wewnętrznych drzwiach stało trzech czy czterech mężczyzn w frakach, żaden jednak nie uczynił nic, aby ich zatrzymać, ani nawet na nich nie spojrzeć. Wszyscy ze zgrozą wpatrywali się w przerażające widowisko, rozgrywające się w wysokim pomieszczeniu.

Kiedy Martin wszedł tam i spojrzął, niemal upadł na kolana. Historyjki o Szatanie to jedno, ale stanąć w obliczu Wielkiej Bestii, to zupełnie co innego.

W pomieszczeniu panował mrok, rozświetlony jedynie przez dwa migoczące świeczniki. Na podłodze z pochylonymi głowami klęczało pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu najslawniejszych aktorów, aktorek, reżyserów i producentów w Hollywood. Nawet w ciemności Martin rozpoznał Shany'ego McKay, Dereka Lorento, Harrisa Carlina i Petrę Fell. Był tam nawet Morris Nathan, na samym końcu pierwszego rzędu, z zabandażowaną głową, wsparty o ramię starego przyjaciela, Douglasa Perry'ego. Przypominało to hollywoodzkie *Who is Who* zebrane w jednej sali.

Na samym przedzie klęczących sław, zwrócony do nich tyłem, stał Boofuls, całkiem nagi, z szeroko rozłożonymi ramionami. Jego plecy były wąskie i blade, złote loki wlatywały w górę, jakby stał w silnym strumieniu wiatru. Obok niego, w powiewającej czarnej pelerynie stała panna Redd, z rękami złożonymi jak do modlitwy.

W cieniach, zalegających kraniec ogromnego pomieszczenia, Martin dostrzegł lekkie poruszenie. Coś wielkiego i skórzastego, i nieludzkiego. Słyszał drapanie szponów po marmurowej posadzce, szelest suchych, smoczyczych skrzydeł. To coś było barwy śmierci – żółtawoszarej, a jego skórę przecinały setki zmarszczek. Jego czaszka miała kształt klina, z rogami zakrzywionymi na podobieństwo wiekowego barana, a oczy były wąskie, mętne i nieskończenie złe.

Stwór był trzy razy wyższy niż człowiek. Jego głowa kołysała się z boku na bok, beznamiętnie obserwując tych, którzy byli na tyle dumni, próżni i słabi, by zbudzić go wreszcie z nie kończącego się snu.

– Czy to jest prawdziwe? – szepnęła Alison. – To nie może być prawdziwe.

Martin przełknął ślinę.

– On jest prawdziwy.

– To diabeł – mruknął Emilio.

– A tam jest Morry – stwierdziła z niedowierzaniem Alison. – Na samym przodzie – to Morry!

Martin starał się ją powstrzymać, Alison jednak podbiegła, chwyciła dłoń męża i potrząsnęła nią.

– Douglas – spytała – dlaczego Morry jest tutaj? Powinien być w szpitalu!

Martin pospieszył za nią.

– Alison, na miłość boską!

Lecz panna Redd zdążyła się już odwrócić i dostrzegła ich. Dotknęła ramienia Boofulsa swą długą, szponiastą dłonią, i on także obrócił się w ich stronę.

Ślepy i głuchy, Morris pokręcił swą obandażowaną głową. Douglas Perry odparł szorstko:

– Poprosiłem Lejeune'a i przyrzekł mi, że Morrisowi zostanie przywrócony wzrok i słuch, jeśli go tu przyprowadzę.

– Przez niego? – prawie wrzasnęła Alison. – Przez diabła?

W tym momencie Boofuls podszedł do nich nagi, uśmiechnięty, przypominający świętego.

– Witaj, Martin. Więc przyszedłeś złożyć hołd?

– Przyszedłem, aby dać ci to, na co niewątpliwie zasłużyłeś – warknął Martin.

– Za późno – uśmiechnął się Boofuls. – Sprowadziłem mego ojca z powrotem z jego wygnania i on

żyje. Ty, Alison i młody Emilio staniecie się jego pierwszą uczta.

Za jego plecami gigantyczny smokopodobny stwór odgiął w tył swą pomarszczoną szyję i wydał z siebie ostry gulgot.

– Powrócił – ciągnął Boofuls – aby objąć we władanie swe prawowite królestwo. Chwała! I chwała tym, którzy odnaleźli jego roztrzaskane ciało, fragment po fragmencie, i sprowadzili je tutaj, abym mógł z powrotem tchnąć w nie życie. Ci aktorzy i reżyserzy wydali miliony dolarów na odnalezienie ostatnich kilku kawałków ciała mego ojca... niektóre znaleziono w Europie, inne – w Arabii. A potem jedyne, czego jeszcze było trzeba, to wielka ofiara – sto czterdzieści cztery tysiące niewinnych, których dusze dały memu ojcu nowe życie.

Martin uniósł lustrzany miecz.

– Mam zamiar dokończyć teraz to, co twoja babcia powinna była zrobić wtedy, wiele lat temu. Zatem jeśli masz jakieś modlitwy do odmówienia, to lepiej je powiedz.

Boofuls zaśmiał się.

– Czy myślisz, że akurat ty, ze wszystkich ludzi, zdołasz zapobiec nastaniu wiecznej nocy? Słońce nie wstanie już jutrzejszego ranka, przyjacielu, a świat zginie w ciemności i chaosie, burzy i chłdzie. Ten czas został zapowiedziany w Biblii i czas ten wreszcie nadszedł!

Za Boofulem cielsko Szatana rozpostarło nagle z ogłuszającym łomotem skrzydła i otwarło paszczę w wyciu zwycięskiej furii. Kurz i strzępy materii wzniosły się w powietrze, a smok ruszył w stronę Martina z szeroko otwartymi oczami i obnażonymi zębami. Boofuls uniósł ramiona, odsunął się na bok i zaśpiewał:

– Uczta dla mego ojca! Tym właśnie jesteście!

Martin był tak przerażony, że ledwo mógł myśleć o tym, jak poruszać rękami. Zdołał jednak podnieść lustrzany miecz i zatoczyć nim młyńca, a ostrze ze świstem przecięło stęchłe powietrze i załśniło niczym łopata helikoptera nad jego głową.

Szatan pochylił gwałtownie głowę i czubek jego rogu uderzył w pierś mężczyzny. Martin usłyszał trzask łamanych żeber i poczuł ostry, nieznośny ból. Głowa smoka odwróciła się ku niemu i uderzyła o jego ramię. Przez ułamek sekundy miał przed sobą zbliżenie tego wodnistego, pełnego zła oka i rudawego futra, rojącego się od robactwa, a kiedy odetchnął, wciągnął w siebie przyprawiający o mdłości smród ekskrementów i gnijącego mięsa.

Szatan bawił się nim, napawał jego strachem, smakował ból. Martin zatoczył się na bok, krzyknął: – Skurwysyn! – i wziął zamach mieczem, celując w szyję smoka. Szatan jednak odsunął głowę, a z jego nozdrzy wydobył się dym. Martin stracił równowagę, potknął się i upuścił lustrzany miecz na podłogę.

– Uczta dla mego ojca! – wrzasnął Boofuls, podskakując radośnie. – Uczta dla mego ojca!

Martin poczuł, jak końce złamanego żebra ocierają się o siebie. Próbował odwrócić się i wstać, lecz skrzydło Szatana łopotało tuż nad nim jak cyrkowy namiot w czasie wichury, a gadzia głowa chyliła się ku niemu z rozwartymi szczękami.

– O, Boże, pomóż mi – krzyknął.

I właśnie w tej chwili Emilio zanurkował błyskawicznie pod szatańskim skrzydłem i podniósł miecz, oznaczony słowem „vorpal”. Szklane ostrze było niemal tak wysokie, jak on sam, lecz chłopiec pochwycił rękojeść z taśmy izolacyjnej w obie dłonie, podbiegł kilka kroków naprzód i w momencie, gdy Szatan zwracał głowę na bok, aby pochwycić Martina w swe kły, Emilio wraził miecz prosto w diabelskie oko.

Miecz był tak ostry, że wbił się na całą długość, a jego czubek zabłysł z tyłu pomarszczonego karku.

Martin miał zamknięte oczy. Nie widział uderzenia miecza. Usłyszał jednak krzyk panny Redd i przerażony wrzask Boofulsa, po czym otworzył oczy i ujrzał, jak Szatan miota się w tył, ze skórzastym pyskiem wspartym o miednicę i skrzydłami rozpostartymi sztywno w agonii. Wokół wlatywały robaki i pył z jego futra.

Na moment zapadła ogłuszająca cisza. Wszyscy obecni powstali z kolan i odstepili ze zgrozą. Smok, który był Szatanem, stał wyprostowany, niezwykle wysoki, z głową zadartą w górę, a w jego oku lśnił lustrzany miecz. *Pamiętaj, że tylko dziecko może zniszczyć ojca.*

I wtedy smok runął. Dosłownie rozpadł się na kawałki, kończyzna od kończyzny, szpon od palca, kość od kości. Jego czaszka oderwała się od szyi i z pustym odgłosem, jak beczka, potoczyła po posadzce. Skrzydła zwinęły się i opadły. W ciągu kilku minut nie pozostało nic z jego ogromu. Jedynie szczątki, z takim trudem i kosztem zbierane przez wiele lat przez pysznych hollywoodzkich czcicieli. Przez pewien czas unosiła się nad nim chmura cuchnącego kurzu, ale i ona stopniowo zrzędała i opadła.

Boofuls stał całkowicie nieruchomo z szeroko rozwartymi oczami.

– Co wyście zrobili?! – powiedział. – Coście zrobili?

Bez słowa Martin pokuśtykał do czaszki diabła, oparł o nią stopę i wyszarpnął lustrzany miecz. Następnie obrócił się do Boofulsa i stanął przed nim, wznosząc ostrze, gotów do ciosu.

– Syn Szatana – szepnął.

Boofuls milczał, lecz w dalszym ciągu wpatrywał się w niego, osłupiały.

Panna Redd, nieco dalej, słabo wykrztusiła:

– Nie.

Martin z całej siły zamachnął się mieczem. Ostrze błysnęło, zataczając łuk i czysto zdjęło głowę Boofulsa z karku. Zakrwawiona blond główka odbiła się od podłogi. Drobne nagie ciało przez kilka sekund stało przed Martinem. Z jego szyi tryskała krew. Wreszcie upadło sztywno na bok, jakby krawiecki manekin, i runęło na ziemię.

Dygocząc, nadal na wpół oszalały, Martin ruszył w stronę panny Redd.

– Nigdy mnie tym nie zabijesz – syknęła, cofając się. – Ja jestem zupełnie inna.

– Wiem o tym – odrzekł Martin. Odrzucił lustrzany miecz na bok, a ten opadł na podłogę i rozprysnął się na pół tuzina kawałków. – Ale ojciec Quinlan powiedział mi, abym uważnie przeczytał moją Alicję, i to właśnie zrobiłem.

Postąpił naprzód i mocno chwycił skraj peleryny panny Redd. *Schwyciła Czerwoną Królową i zaczęła potrząsać nią z całej siły w tył i ku przodowi.* Potrząsnął nią gwałtownie, i jeszcze raz, aż zaczęła krzyczeć. Nie przestawał jednak nią szarpać i trząść. Głowa latała jej bezwładnie na boki, ciało zataczało się. *Czerwona Królowa nie stawiała najmniejszego oporu: jedynie twarz jej stała się bardzo mała, a oczy zrobiły się wielkie i zielone; a gdy Alicja potrząsała nią nadal, stawała się coraz mniejsza... i coraz grubsza... i coraz mniejsza... i coraz okrąglejsza... i...*

Ręce Martina były puste, trzymał w nich tylko pustą czarną pelerynę. Wypuścił ją, wyczerpany, akurat na czas, by ujrzeć pręgowanego kota, uskakującego w ciemność apartamentu Leicester. Kot wśliznął się za zasłony i zniknął.

– To była Gałka! – powiedział zaskoczony Emilio. – Martin, to była Gałka!

Martin spojrział na swe poplamione krwią ręce, na Alison, na rozkładające się szczątki anioła, którego Bóg na zawsze strącił z nieba.

– Tak, Emilio. To była Gałka.

Razem, Martin, Alison i Emilio odwrócili się i przeszli przez milczące zgromadzenie aktorów i reżyserów. Morris zawołał bezradnie:



– Alison!

Lecz dziewczyna zignorowała go i ujęła dłoń Martina. Martin natomiast pochwycił rączkę chłopca.

– Alison – krzyknął raz jeszcze Morris i był to ostatni dźwięk, który odbił się echem w apartamencie Leicester.

\* \* \*

Ramone został pochowany obok swojej matki na cmentarzu Forest Lawn. Dzień jego pogrzebu był wietrzny i ciepły. Po zakończeniu ceremonii Martin zaprosił przyjaciół na obiad u „Butterfielda”. Alison, Emilia i państwa Capelli. Było im za gorąco w obowiązkowych czarnych strojach.

Alison przez dłuższą chwilę spoglądała na Martina. Wreszcie oznajmiła:

– Jutro wyjeżdżam.

– Ach, tak? – Martin miał nadzieję, że spędzą ten weekend razem.

– Do Acapulco, tylko na parę tygodni.

– Hej, Acapulco, to ładnie – wtrącił pan Capelli.

– Sama? – spytał Martin, starając się, aby zabrzmiało to zupełnie bez troski.

– No, cóż... – przyznała Alison. – Poznałam jednego faceta... to niezależny producent. Ma dom w Laurel Canyon. Mówię wam, nie uwierzylibyście! Dziewięć sypialni, dwa baseny!

Martin skinął głową.

– Wygląda, że to naprawdę lepszy gość.

Alison sięgnęła w jego stronę i uścisnęła mu dłoń.

– Nie jest ci przykro?

– Przykro? Dlaczego miałyby mi być przykro?

Wtedy jednak Emilio obszedł stół i położył rękę na ramieniu mężczyzny.

– Nie martw się, Martin. Możesz pobawić się ze mną.

\* \* \*

„Boskie Hollywood” zostało zburzone ostatniego dnia listopada tego samego roku. Podczas gdy brygada rozbiórkowa zwała wielką kopułę, okrywającą apartament Leicester, z drugiej strony ulicy przyglądał im się pręgowany kot. Jego oczy były zmrużone przed blaskiem słońca i kurzem.

Kot patrzył nadal, gdy przechodzący obok obszarpaniec zaczął grzebać w śmieciach, które wysypały się na ulicę, znęcony błyskiem czegoś świecącego.

Włóczęga podniósł prostokątny kawałek lustra, obrócił go na wszystkie strony i wykrzywił się do swego odbicia. Potem przetarł szkło rękawem i wrzucił je do kieszeni.

Szurając nogami ruszył na południe Vine Street, a kot cierpliwie podążył jego śladem.

---

\* – Ten i następne cytaty z książki Lewisa Carrolla *O tym, co Alicja odkryła po Drugiej Stronie Lustra* w przekładzie Macieja Słomczyńskiego

\* – Vladimir (Władziu) Liberace (ur. 1920) - amerykański pianista, słynny ze swych ekscentrycznych zachowań i oryginalnych występów

\* – Apokalipsa św. Jana, 13; 11, 15, 18. Cyt. wg Biblii Tysiąclecia

\* – Nazwisko Redd czyta się tak samo jak angielskie red - czerwony (przyp. tłum.)

\* – *Angielska wymowa nazwiska Lejeune i wyrazu legion jest bardzo zbliżona (przyp. tłum.)*

# Table of Contents

—\*